

GLENN MEADE

Piaski Sahary

Z angielskiego przełożył ZBIGNIEWA. KRÓLICKI

WARSZAWA 2000

Tytuł oryginału: THE SANDS OF SAKKARA

Wydawnictwo ALBATROS

Andrzej Kuryłowicz

Warszawa 2000. Wydanie I

OBECNIE

Rozdział 1

Kair

Był kwiecień i wiał chamsin, porywisty pustynny wiatr, który przetaczał po ulicach tumany wciskającego się wszędzie piasku. Kiedy taksówka zatrzymała się przed kostnicą, wysiadłem, wciąż zastanawiając się, co mi kazało przyjechać tu w taką paskudną noc. Przecież jedynym śladem, jaki miałem, była wiadomość o zwłokach starego człowieka, znalezionych na brzegu Nilu.

* Chcesz, żebym zaczekał, panie? * Taksówkarz był brodatym młodzieńcem o kiepskim uzębieniu.

* Czemu nie?

Zdecydowanie nie była to dobra noc na szukanie innej taksówki. Kostnica mieściła się w jednym z tych

wielkich, starych budynków z kamienia, jakie często widuje się w Egipcie. Jako relikwiarz kolonialnej przeszłości, teraz wyglądała smętnie i odstręcająco ze swymi granitowymi ścianami poszarzałymi od zanieczyszczonego powietrza i wieloletniego zaniedbania. Na podjeździe wiatr podrywał z ziemi śmieci. W świetle latarki ujrzałem pomalowane na niebiesko drzwi z zakratowanym okienkiem pośrodku. Podeszedłem do nich i nacisnąłem przycisk dzwonka. Usłyszałem jego brzęk gdzieś w głębi budynku. Po dłuższej chwili w okienku ukazała się zarośnięta twarz mężczyzny.

* Ismail? * Kiwnął głową. * Przeszedłem zobaczyć ciało * powiedziałem po arabsku. * To, które wyłowiono z Nilu. Kapitan Halim z kairskiej policji skierował mnie do pana.

Trochę zdziwiony, że znam jego język, trzaskając zamkami, otworzył drzwi i odsunął się na bok, przepuszczając mnie.

Wszedłem do środka, strzepnąłem piasek z płaszcza i ruszyłem holem. Czułem ogarniające mnie dziwne podniecenie. Oto ja, mężczyzna po pięćdziesiątce, zachowywałem się jak egzaltowany nastolatek, mając nadzieję, że w końcu znajdę odpowiedź na pytanie, które dręczyło mnie przez tyle lat.

Wewnątrz powitał mnie zadziwiający chłód i zapierający dech w piersi smród. Zapach wonności zmieszany z odorem rozkładających się ciał. Dostrzegłem przejście o drewnianym sklepieniu prowadzące do kostnicy, słabo oświetlonej przez jedną nagą żarówkę i parę kapiących aromatycznych świec. Pod ścianami ustawiono kilka metalowych stołów, na których spoczywały zwłoki, ponakrywane zgrzebnymi białymi całunami. W granitowe ściany wbudowano co najmniej tuzin szaf z nierdzewnej stali, podrapanych i poobijanych.

Ismail spojrzał na mnie z dobrze wypracowaną, współczującą miną. Był niski, otyły i nosił wypłowiałą bawełnianą galabiję.

* Jest pan krewnym zmarłego?

* Jestem dziennikarzem.

Smutek natychmiast znikł z jego twarzy.

* Nie rozumiem... * Zmarszczył brwi. * Czego pan tu szuka?

Wyjąłem portfel, odliczyłem hojny napiwek i wręczyłem mu go.

* Za fatygę.

* Słucham...?

* Za pański czas. I nie zajmę go panu wiele. Chcę tylko zobaczyć ciało tego starca. Czy da się to zrobić? Może będę mógł o tym napisać, rozumie pan?

Ismail najwidoczniej rozumiał. Pieniądże przełamały lody i uśmiechnął się, wypychając je do kieszeni.

* Oczywiście, jak pan sobie życzy. Zawsze z przyjemnością pomagam dziennikarzom z prasy. Jest pan

Amerykaninem?

* Zgadza się.

* Tak myślałem. Proszę tędy.

Wprowadził mnie do kostnicy. W środku było bardzo zimno. Łukowato sklepione przejście i same drzwi były ozdobione arabeskami, ale z pomalowanych na gołębi kolor ścian obłaziła farba, a całe to miejsce wyglądało na zaniedbane i wymagające

remontu. Ismail wskazał mi coś, co wyglądało na stanowisko pracy. Było osłonięte grubą kotarą.

* Ciało jest tam. Właśnie się nim zajmowałem, kiedy pan zadzwonił. Niezbyt przyjemna robota, bo zwłoki przez kilka dni leżały w wodzie. Nadal chce go pan zobaczyć?

* Po to tu przyjechałem.

Poszedłem za nim, a on odsunął zasłonę na bok. Przy marmurowym stole postawiono dwie mrugające, aromatyczne świece, na blacie leżało nagie ciało mężczyzny. Obok stał metalowy stoliczek z kilkoma prostymi narzędziami przedsiębiorcy pogrzebowego: nawoskowany sznurek, wata, kilka misek z wodą. Rekwizyty śmierci prawie się nie zmieniają, bez względu na to, czy jesteś w Kairze, czy w Kansas. Obok stołu leżała kupka starannie złożonych, czystych rzeczy: stary lniany garnitur, koszula, krawat, skarpetki i buty * jakby przygotowane do ubrania zmarłego.

Leżący na stole starzec z pewnością dawno ukończył siedemdziesiąt lat i był bardzo wysoki. Oczy miał szkliste i szeroko otwarte, a rzadkie siwe włosy odstaniały łysinę czołową. Jego skóra była biała i pomarszczona od wody. Miał wyrazistą twarz, wykrzywioną teraz grymasem agonii. Nie dostrzegłem jednak długiej rany na piersi, zaszytej po wykonaniu sekcji. W muzułmańskich krajach szybko chowa się zmarłych, zazwyczaj jeszcze tego samego dnia przed zachodem słońca, najpóźniej nazajutrz, a zwłoki uważa się za święte i prawie się ich nie dotyka. Nawet w przypadku ofiar morderstw zwykle przeprowadza się jedynie nekropsję, polegającą na powierzchniowych oględzinach, mających pomóc w ustaleniu przyczyny śmierci.

Wzdrygnąłem się, bo zapach świec wcale nie tłumił odoru rozkładu. Ruchem głowy wskazałem ciało.

* Co pan o nim wie?

Przedsiębiorca pogrzebowy wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że śmierć jednego człowieka w kilkumilionowym mieście nie ma większego znaczenia.

* Przywieziono go wczoraj. Policja znalazła go w wodzie niedaleko mostu kolejowego na Nilu. Według dokumentów w portfelu nazywał się Johann Halder, Niemiec, i wynajmował mieszkanie w dzielnicy Imbaba.

Tyle już wiedziałem.

* Czy ktoś zgłosił się po ciało?

* Jeszcze nie. Przez jakiś czas zatrzymamy je tutaj, może

znajdą się jacyś krewni. Na razie jednak żadnych nie znaleziono. Wygląda na to, że mieszkał sam.

* Rozumiem, że nie był muzułmaninem?

* Policja uważa, że był chrześcijaninem.

* Utonął?

Ismail kiwnął głową.

* Tak sądzi patolog. Jak pan widzi, na ciele nie ma śladów ran. Uznano, że stary mógł wpaść do rzeki przypadkiem, jak to się czasem zdarza. A może popełnił samobójstwo, skacząc z któregoś mostu. * Ismail pogładził się po brodzie. * Tego nie da się stwierdzić.

* Czy może mi pan powiedzieć coś więcej?

* Obawiam się, że nie. Musiałby pan zapytać policję.

* Z tego, co słyszałem, odkryli, że miał w mieszkaniu drugi komplet dokumentów. Były bardzo stare, na nazwisko Hans Meyer.

Ismail wzruszył ramionami.

* Jestem tylko zwykłym przedsiębiorcą pogrzebowym. Nic nie wiem o takich sprawach. Ale w Kairze mieszka wielu cudzoziemców, wśród nich i Niemcy. Jest pan z amerykańskiej gazety?

* Jestem korespondentem na Środkowy Wschód.

* To interesujące. Wskazałem na zwłoki.

* Nawet w połowie nie tak interesujące, jak ten mężczyzna.

* Znał go pan? * zapytał ze zdziwieniem Ismail.

* Jeśli jest tym, za kogo go uważam, to spogląda pan na szczątki człowieka od ponad pięćdziesięciu lat uważanego za martwego.

* Co takiego?

* To długa historia, zbyt długa, żeby ją teraz opowiedzieć. Jeśli jednak to on, dziś w nocy dotrzymuje panu towarzystwa bardzo niezwykły trup.

Ismail gwizdnął.

* Nic dziwnego, że tamten dżentelmen tak się nim zainteresował.

* Jaki dżentelmen?

* Był tu niecałe pół godziny temu. Przyszedł obejrzyć ciało. Amerykanin w podeszłym wieku. Przyzwyczajony zawsze stawiać na swoim, jak większość Amerykanów. * Ismail uśmiechnął się i poklepał po kieszeni galabii. * Niestety nie był tak

hojny, jak niektórzy jego rodacy. Kiedy go poprosiłem o mały bakszysz, zagroził, że utnie mi rękę.

* Kto to był?

Ismail podrapał się po głowie.

* Chyba przedstawił się jako Harry Weaver. Poczułem zimny dreszcz przechodzący mi po plecach.

* Harry Weaver? Jest pan pewny, że tak się nazywał?

* Tak sądzę.

* Proszę mi go opisać.

* Dość wysoki. Dobrze po siedemdziesiątce, może nawet starszy, ale najwyraźniej w świetnej formie. Bardzo opanowany. * Ismail spojrzał na mnie i zdziwił się, widząc moją minę. * Zna pan tego Weavera?

* Nie osobiście, ale słyszałem o nim.

* Wyglądał na ważnego człowieka. Nawykłego do rozkazywania. Typ wojskowego.

* Z pewnością * mruknąłem. * I może pan podziękować Allachowi, że nie stracił pan życia, nie mówiąc już o ręce. Harry Weaver zdecydowanie nie jest człowiekiem dającym łapówki. Przez prawie czterdzieści lat był doradcą do spraw osobistego bezpieczeństwa prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Ismail bezradnie rozłożył ręce.

* Przecież bakszysz należy do zwyczaju...

* Oczywiście.

Postawiłem kołnierz płaszcza i odwróciłem się, żeby odejść.

* Sądzi pan, że to ten człowiek, o którym pan mówił? * zapytał Ismail.

Spojrzałem na trupa.

* Jeden Bóg wie. Ten biedak jest w takim stanie, że trudno powiedzieć, gdzie góra, a gdzie dół. Czy pan wie, dokąd udał się Weaver?

* Do domu, w którym mieszkał ten Niemiec. Słyszałem, jak podawał adres kierowcy taksówki, która czekała na niego przed domem.

* Ta sprawa z każdą minutą staje się ciekawsza. Pamięta pan ten adres?

* Oczywiście. Zgodnie z poleceniem policji, poszedłem tam wczoraj zabrać ubranie potrzebne do pochówku. * Ismail zapisał adres na karteczce, którą mu podałem. * Mieszkanie znajduje się na poddaszu.

* Czy policja opieczetowała drzwi?

* Nie. To nie było potrzebne, bo ten człowiek nie miał niczego wartościowego. Nawet jeśli zamknęli mieszkanie, to dozorca ma klucze.

Kiedy chowałem kartkę do kieszeni, Ismail zapytał:

* Mogę jeszcze w czymś pomóc?

Ostatni raz spojrzałem na zwłoki, a potem odwróciłem się.

* Nie, dziękuję.

Imbaba to dzielnica robotnicza, składająca się z nędznych drewnianych bud i betonowych osiedli mieszkaniowych nad brzegiem Nilu. Ulicami płyną ścieki, a domy stoją tak blisko siebie, jakby broniły się przed napierającą zewsząd biedą i brudem. Taksówkarz bez problemu znalazł podany mu adres.

Dom był w stylu arabskim: wielki stary budynek z brązowego drewna, sterany wiekiem, z oknami zasłoniętymi nędznymi, wyblakłymi firankami, ze spróchniałym drewnianym balkonem na poziomie pierwszego piętra. Nie zauważyłem drugiej taksówki, ale frontowe drzwi były otwarte i kotływały się na wietrze, ukazując mroczny "hol.

* Zaczekaj tu * powiedziałem kierowcy i wysiadłem z wozu.

Przedsiónek śmierdział uryną i stęchlizną. Poszedłem na górę po skrzypiących schodach. Gdzieś w ciemnościach domu słyszałem płacz dziecka i odgłosy małżeńskiej kłótni. Kiedy dotarłem do podestu, zobaczyłem, że jedne z drzwi są otwarte. Wszedłem do środka.

Znalazłem się w typowym egipskim pokoju, nędznie umeblowanym. Panował w nim okropny bałagan. Szuflady były pootwierane, a ich zawartość wysypana, jakby ktoś tu czegoś szukał. Na podłodze leżały stare papiery i korespondencja, ubrania i rzeczy osobiste oraz para stłuczonych okularów. Dwoje drzwi prowadziło do sąsiednich pokojów, a przez okno widać było pogrążony w ciemnościach Nil. Przejrzałem papiery i korespondencję, ale nie znalazłem niczego interesującego. Zamykając jedną z szuflad, przewróciłem lampę stołową. Z trzaskiem upadła na podłogę i wtedy jedne z drzwi otworzyły się.

Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem wysokiego mężczyznę, który jak burza wpadł do pokoju. Za jego plecami dostrzegłem

porozrzucane wszędzie papiery. Nieznajomy trzymał w ręku okulary do czytania i miał na sobie jasny prochowiec. Jego włosy były przyprószone siwizną. Oцениłem jego wiek na osiemdziesiąt kilka lat, ale trzymał się tak dobrze, że wyglądał znacznie młodziej. Typ wojskowego: ponad metr osiemdziesiąt

wzrostu, chociaż z wiekiem zaczął się trochę garbić, a jego szare oczy nieco wyblakły. Zmrużył je, mierząc mnie wzrokiem.

* Kim pan jest, do licha? * zapytał z wyraźnym amerykańskim akcentem.

* Mógłbym zadać panu to samo pytanie, gdybym już nie znał odpowiedzi, pułkowniku Weaver.

Zaskoczyłem go.

* Pan mnie zna?

* Nie osobiście, ale który Amerykanin nie słyszał o Harrym Weaverze? Przez prawie czterdzieści lat był pan doradcą do spraw osobistego bezpieczeństwa prezydenta Stanów Zjednoczonych.

* A kim pan jest? * prychnął Weaver.

* Frank Carney * przedstawiłem się.

Nie zrobiło to na nim specjalnego wrażenia, ale coś zabłyśło w jego oczach.

* Chyba nie ten Carney, który jest reporterem „New York Timesa”?

* Obawiam się, że właśnie ten. Weaver natychmiast złagodniał.

* Czytywałem pańskie artykuły, chociaż nie zgadzałem się ze wszystkim, co pan pisał.

* Chyba jednak czasem się pan zgadzał * odparłem. * Byłem specjalnym wysłannikiem gazety w Dallas, kiedy zabito Kennedy'ego. Pan był jednym z jego doradców. Ostrzegał go pan, żeby tam nie jechał, prawda?

* Miejscowa ochrona była piekielnie dziurawa. A w tym samochodzie z odkrytym dachem prezydent stanowił idealny cel, pomimo zapewnień, że Secret Service potrafi go ochronić.

* Gdyby Jack Kennedy pana usłyszał, mógłby dziś jeszcze żyć. Napisałem tak wtedy, pamięta pan?

Weaver z ubolewaniem pokiwał głową.

* Już się stało. Teraz, kiedy o tym myślę, wydaje mi się, że przypominam sobie pański artykuł. Podawał rzetelną i wnikliwą ocenę faktów.

* Dlatego, że dobrze odrobiłem swoją pracę domową.

Przeczytałem wszystkie materiały, jakie zdołałem o panu zdobyć. Pańską dewizą było nikomu nie ufać i wątpić we wszystko. Wydawało się, że warto usłuchać człowieka o tak długim stażu pracy w tej branży.

* Nazwijmy to doświadczeniem. Człowiek nabiera go z wiekiem. * Weaver znów zmierzył mnie podejrzliwym spojrzeniem. * Ale to wcale nie wyjaśnia, co pan tutaj robi. To prywatne mieszkanie.

* Mógłbym zadać panu to samo pytanie. Czy wpuścił pana dozorca?

* A co to pana obchodzi? Niech pan najpierw odpowie na moje pytanie.

* Och, sądzę, że już się pan domyśla. Obaj z tego samego powodu odwiedziliśmy kostnicę. Johann Halder to prawdopodobnie jedna z najbardziej zagadkowych postaci drugiej wojny światowej.

Weaver zeszywniał.

* Był pan w kostnicy?

* Owszem. Minęliśmy się. Nawiasem mówiąc, jej pracownik nie był zadowolony z tego, że nie dał mu pan napiwku.

* Miał cholerne szczęście, że nie obciąłem mu uszu. * Weaver znów zmrużył oczy. * Skąd pan wie o Johannie Halderze?

* Tak się składa, że od dawna interesuję się egiptologią i dlatego pięć ostatnich lat spędziłem w Kairze, jako korespondent. Kilka lat temu czytałem artykuł o jakimś Franzu Halderze, bogatym niemieckim kolekcjonerze zabytków sztuki egipskiej. Zamierzałem napisać książkę o skarbach Egiptu, które podczas ostatniej wojny zniknęły z prywatnych zbiorów i muzeów Europy. Wielu z nich do tej pory nie odnaleziono.

* I co? * zainteresował się Weaver.

* Przed wojną Halder posiadał jeden z największych zbiorów w Niemczech, obejmujący bezcenne dzieła. Wiele z nich przekazał w darze muzeom. Zginął w czterdziestym trzecim, podczas alianckich nalotów dywanowych na Hamburg. Jakiś czas potem cała jego kolekcja zaginęła. Próbowałem trochę poszperać i dowiedzieć się, czy miał jakichś żyjących krewnych, którzy mogliby wiedzieć, co się z nią stało. Mój kolega, dziennikarz z Berlina, sprawdził to dla mnie. Nie znalazł żadnych żyjących krewnych ani nikogo, kto mógłby mi coś na ten temat powiedzieć, ale potem okazało się, że Halder miał syna Johanna,

który podczas wojny służył w wojsku. Według danych w archiwach niemieckiej armii zginął w czterdziestym trzecim, wypełniając jakieś zadanie, ale nie wiadomo jak i gdzie. Jednak mój kolega odkrył, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym roku Halder został zwerbowany przez Abwehrę. Tak nazywał się w czasie wojny niemiecki wywiad wojskowy.

* Wiem, czym była Abwehra, Carney. Mów dalej.

* Johann Halder wychowywał się w Ameryce, dopóki jego matka nie umarła podczas porodu drugiego dziecka. Wtedy ojciec ściągnął go z powrotem do Berlina, ale najwidoczniej przez wiele lat każdego lata wracali do Stanów. Rodzina matki miała kiedyś dużą posiadłość niedaleko Nowego Jorku. Kilka lat temu pojechałem tam, jednak nieruchomości już dawno przeszła w inne ręce, dom był zrujnowany i nikt w okolicy nie przypominał sobie Halderów.

* Wcale mnie to nie dziwi. To bardzo dawne czasy.

* Johann Halder płynnie władał kilkoma językami, włącznie z arabskim, a podczas wojny doszedł do

stopnia majora, chociaż nigdy nie wstąpił do partii hitlerowskiej. Szczegóły jego wojskowej kariery są okryte tajemnicą. Wiadomo tylko, że spędził jakiś czas w Afryce Północnej. Nie wiadomo natomiast nic o misji, w trakcie której miał rzekomo zginąć.

* I czego jeszcze się pan dowiedział? * zapytał Weaver.

* Dopiero teraz zaczyna się najciekawsze. Prawie zapomniałem o całej tej sprawie, ale niedawno przeprowadzałem wywiad z byłym dyrektorem Muzeum Egipskiego, Kemalem Assanem, na krótko przed jego śmiercią. Wspomniałem o Fran*zu Halderze i wtedy Assan powiedział, że w trzydziestym dziewiątym poznał jego syna Johanna, który brał udział w pracach wykopaliskowych w Sakkarze. Powiedział również, że widział go w Kairze po wojnie. Zważywszy na to, że Halder jest uważany za martwego, wydaje się to dość niezwykle.

* Co dokładnie powiedział panu Assan? * zapytał Weaver.

* Powiedział, że kiedy dziesięć lat temu siedział w jakiejś kairskiej kawiarni, zajęty swoimi sprawami, zauważył siedzącego przy sąsiednim stoliku mężczyznę. Jego twarz wydała się Assanowi dziwnie znajoma. Gdy go zapytał, czy się znają, tamten po prostu uśmiechnął się i rzekł po niemiecku: „Spotkaliśmy się dawno temu, w innym życiu”. Potem wstał i odszedł. Assan trochę znał niemiecki i był przekonany, że tym człowiekiem był Johann Halder.

* Nie próbował go śledzić?

* Próbował, ale zgubił go na bazarze. Weaver wyglądał na rozczarowanego.

* No tak. Więc uznał pan, że Halder może wciąż żyje?'

* Na to pytanie do tej pory nie znalazłem odpowiedzi. Naprawdę nie wiem, co o tym sądzić. Cała ta sprawa jest bardzo zagadkowa. Ale pomyślałem, że to dobry temat na artykuł. Gdyby Halder nadal żył, być może wiedziałby, co się stało z kolekcją jego ojca. We wczorajszej „Egyptian Gazette” znalazłem wzmiankę o zwłokach starego Niemca, wyłowionych z Nilu. Miał dokumenty wystawione na nazwisko Johann Halder i policja szukała kogoś, kto mógłby udzielić o nim jakichkolwiek informacji. Kiedy usłyszałem to nazwisko, dodałem dwa do dwóch i miałem nadzieję, że otrzymam w wyniku cztery.

Popatrzyłem na Weavera, który stał i słuchał mnie, ale nie odzywał się.

* Co pan tu robi, pułkowniku? Kiedy ostatnio o panu słyszałem, mieszkał pan w Waszyngtonie, więc mam ochotę zapytać, co porabia pan w Kairze? Jednak, jeśli dobrze pamiętam, przez całe życie interesował się pan Egipcem. Sam brał pan udział w kilku pracach wykopaliskowych, a podczas wojny służył pan w Egipcie, w wywiadzie wojskowym. Muszę założyć, że znalazł się pan tutaj dlatego, że wiedział pan o Halderze.

Weaver westchnął, opadł na jeden z foteli, ale nadal milczał. Spojrzałem mu w oczy.

* Czy tam, w kostnicy, to był Johann Halder? Weaver nie odpowiedział.

* Może przynajmniej powie mi pan, po co pan tu przyszedł? I skąd pan wie o Halderze? W końcu niecodziennie trafia mi się historia o człowieku, który podobno zginął, ale po pięćdziesięciu latach okazuje się, że może jeszcze żyje?

Weaver nadal milczał. Zmierzyłem go wzrokiem.

* Mam wrażenie, że mówię do ściany, pułkowniku. Nadal siedział nieruchomo.

* Więc proszę chociaż mi wyjaśnić, dlaczego pan tu przyszedł. Odpowiedź na jedno proste pytanie. Czy żądam za wiele?

Weaver najwidoczniej stracił cierpliwość.

* Boże, Carney, jest pan jak pies, który złapał kość. Mam dość tych przeklętych pytań. * Wstał, jakby zamierzał zakończyć rozmowę, i oświadczył: * Nie znam pana. A nie omawiam moich prywatnych spraw z nieznanymi.

* W porządku, pułkowniku. Mimo to coś panu powiem. Może podejźmy do tego z innej strony...

Spojrzał na mnie i warknął:

* Zamknij się, Carney. Nie jestem w nastroju.

* Pomyślałem, że może zechce pan wysłuchać tego, co mam do powiedzenia.

* Naprawdę? Nie sądzę.

* Proszę mnie jeszcze przez chwilę posłuchać. Kiedy w kostnicy usłyszałem pańskie nazwisko, miałem wrażenie, że to kismet...

Weaver przymrużył oczy.

* O czym pan mówi, do diabła?

* Ten artykuł o panu, który napisałem w Dallas. Nawet nie zapytał pan, skąd tyle o panu wiedziałem, skoro tak niewiele informacji podano do publicznej wiadomości.

Weaver zmarszczył brwi i skinął głową.

* Rzeczywiście było tam sporo faktów. I co z tego?

* Czy mówi panu coś nazwisko Tom Carney? Weaver drgnął zaskoczony.

* Kapitan Tom Carney?

* Ten sam. Był moim ojcem. Razem służyliście w wywiadzie wojskowym i w czterdziestym trzecim znaleźliście się w Afryce Północnej podczas operacji „Pochodnia”. Został pan ranny przez odłamek pocisku mózdzierzowego, który trafił w oddział zwiadowców na przedmieściach Algieru. Mój ojciec pod

ogniem nieprzyjaciela zaniósł pana do amerykańskich okopów. Dostał za to medal, na pański wniosek. A ponieważ został przy tym dwukrotnie ranny, odesłano go do domu.

Twarz Weavera złagodniała.

* Niech mnie licho. A więc jest pan synem Toma Carneya?

* Ojciec często o panu mówił. Odniosłem wrażenie, że kiedyś byliście dobrymi kumplami.

Weaver skinął głową i zapatrzył się w dal.

* Był wspaniałym człowiekiem. Odważnym. Uczciwym. Jednym z najlepszych żołnierzy, z którymi służyłem. Żałowałem, że straciliśmy ze sobą kontakt. Słyszałem, że umarł jakieś dziesięć lat temu?

* Dwanaście. I nie ma dnia, żebym za nim nie tęsknił. * Spojrzałem na pułkownika. * Wierzę, że czasem ludzkie ścieżki zbiegają się z rozmaitych przyczyn, których my, zwykli śmiertelnicy, nie potrafimy pojąć. Może tak jest zapisane w gwiaz

dach. Tak, jak losy pana i mojego ojca. Mój ojciec wiele mówił o przeznaczeniu. Może gdyby nie był przy panu, kiedy został pan ranny, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Przeznaczenie to dziwna rzecz, pułkownika. Kiedy w kostnicy padło pańskie nazwisko, pomyślałem, że może los podaje mi rękę. Kismet z jakiegoś powodu pomaga nam się spotkać. Ta historia z Halderem nie dawała mi spokoju przez kilka lat, jak łamigłówka, od której nie można się oderwać. Chciałbym dowiedzieć się, o co tu chodzi, i będę wdzięczny, jeśli mi pan w tym pomoże. Nie zamierzam powoływać się na zasługi mojego ojca, pułkownika. Sądzę jednak, że jemu mógł pan ufać, i proszę, żeby zaufał pan również mnie. Weaver milczał.

* Może uważa pan, że za wiele żądam? Dwa proste pytania. Dlaczego pan tu przyszedł i skąd wie pan o Halderze?

Weaver westchnął głośno, jakby próbował złagodzić jakiś głęboko tkwiący w nim ból.

* Tak, znałem Johanna Haldera * przyznał w końcu. * Bardzo dawno temu.

* Teraz mnie pan zaskoczył. Ja wiem, dlaczego tu przyszedłem. A co z panem? Jaki ma pan powód?

Weaver pochylił się i lekko zgarbione ramiona nagle dodały mu lat. Na jego twarzy malowało się znużenie i smutek.

* Och, miałem wiele powodów, Carney. * Zamierzał coś jeszcze dodać, ale najwyraźniej rozmyślił się. * A więc uznał pan, że może to być dobry temat?

* Taką miałem nadzieję. A nawet jeśli nie, przynajmniej zdołam zaspokoić ciekawość.

* Chyba to rzeczywiście ciekawy temat, ale wątpię, czy uda się panu odkryć, co się stało z kolekcją Franza Haldera. Prawdopodobnie po zdobyciu Berlina wpadła w ręce Rosjan. Jak prawie wszystko, co miało jakąkolwiek wartość.

* Brałem pod uwagę taką możliwość. Ale co z Johannem Halderem? Jest chyba jedynym tropem, jaki mi pozostał. Co może mi pan o nim powiedzieć?

Skrzywił się, jakby poczuł ból. Rozejrzył się po pokoju.

* Czy jest tu coś do picia?

* Pewnie nie.

Weaver wstał i podszedł do okna. Wiatr wciąż wiał, kołysząc wysokimi palmami rosnącymi wzdłuż brzegu Nilu. Pułkownik, nie odwracając się, mruknął z roztargnieniem:

* Podczas wojny Kair był niezwykle miejscem, wie pan? Można nawet rzec, iż zdecydowano tu o losach świata.

* Naprawdę? Zechciałby mi pan o tym opowiedzieć? Weaver przez chwilę milczał. Zatopiony w myślach, spoglądał

przez okno.

* Mogę opowiedzieć ci pewną historię, Carney. Może najdziwniejszą, jaką słyszałeś. Pytanie tylko, czy w nią uwierzysz.

* Proszę spróbować. Odwrócił się i popatrzył na mnie.

* Pod jednym warunkiem. Nie opublikuje pan tego, co panu powiem, dopóki żyję.

Zdziwiłem się.

* Wygląda pan na człowieka cieszącego się wyśmienitym zdrowiem, pułkowniku. Będę długo czekał.

* Może nie tak długo. Jestem stary, Carney. Nie zostało mi już wiele czasu. I wydaje mi się, że teraz prawda już nikogo nie zrani, nie po upływie tylu lat. Czy pan wie, co jest najdziwniejsze? Nigdy nikomu nie opowiedziałem tej historii. A wiele razy miałem na to ochotę, bo te wspomnienia dręczyły mnie, ale dusiłem je w sobie przez ponad pięćdziesiąt lat. Może nadszedł czas, żebym wreszcie zwierzył się komuś... * Weaver rozejrzył się wokół. * Może masz rację, Carney. Przeznaczenie odegrało w tym ważną rolę. Czytałem twoje artykuły i jeśli choć trochę jesteś podobny do ojca, postąpisz uczciwie i zastosujesz się do moich życzeń.

Napotkałem jego spojrzenie i skinąłem głową.

* Ma pan moje słowo.

Weaver popatrzył na nędzny pokój, jakby nagle poczuł się w nim nieswojo.

* Może wyjdziemy stąd?

* Przed domem czeka taksówka. Mogę pana podwieźć.

* W taki wieczór jak ten nie odmówię. Nawiasem mówiąc, zamieszkałem w nowym „Shepherdzie”. W niczym nie przypomina tamtego starego, ale przynajmniej podają tam niezłą amerykańską whisky.

* Teraz mówi pan do rzeczy.

Weaver postawił kołnierz prochowca, wyszedł na korytarz i szybko zaczął schodzić na dół. Jeszcze raz spojrziałem na pokój, zamknąłem drzwi i ruszyłem za nim.

Jazda do hotelu wystawiła moją ciekawość na próbę. Z jakiegoś powodu Weaver prawie się nie odzywał, wyglądał tylko przez okno taksówki, pogrążony w myślach. Obawiałem się, że może zmieni zdanie i nie opowie mi swojej historii, ale kiedy dotarliśmy do hotelu, strzepnął piasek z płaszcza i oświadczył:

* Za dziesięć minut spotkamy się w barze. Dla mnie duża szklaneczka dewars. Czystej.

Wsiadł do windy, a ja poszedłem do hotelowego baru. Stary „Shepherd” miał to, co w przewodnikach nazywają „atmosferą” * pewną wyblakłą wspaniałość przypominającą belle époque: wszędzie ciemne drewno i marmurowe kolumny, grube dywany i antyczne meble. Niegdyś był jednym z ekskluzywnych hoteli dla bogatych Europejczyków. Nowy „Shepherd” był jego bladym odbiciem, chociaż wciąż przyciągał turystów. Jednak tego wieczoru w barze było prawie pusto, tylko paru zagranicznych biznesmenów gawędziło przy drinkach. Zająłem miejsce pod oknem i zamówiłem dwie duże dewars, a potem zmieniłem zamówienie i kazałem kelnerowi przynieść całą butelkę.

Weaver przyszedł dziesięć minut później. Miał na sobie sweter i bawełniane spodnie. Rozejrzał się po barze.

* Do licha, wcale nie jest podobny do dawnego.

* Czyżby z tym hotelem wiązały pana jakieś wspomnienia, pułkowniku?

* Obawiam się, że aż za wiele * odparł z lekkim smutkiem. * Ale dość już tego pułkownikowania. Od przeszło dwudziestu lat jestem na emeryturze. * Popatrzył na bar. * Czy pan wie, że w dawnym „Shepherdzie” zatrzymywała się Greta Garbo? Nie mówiąc o Lawrence’u z Arabii, Winstonie Churchillu i połowie gestapowskich szpiegów w Kairze czasu wojny.

Napełniłem szklaneczki i postawiłem butelkę na stole.

* Gdzieś czytałem, że po upadku Tobruku Rommel zadzwonił tu, żeby zarezerwować pokój, bo był przekonany, że w ciągu tygodnia będzie w Kairze. Jeśli nie zawodzi mnie pamięć, stary „Shepherd” został spalony w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku, podczas zamieszek niepodległościowych. Najwidoczniej większość Egipcjan uważała go za irytujący symbol brytyjskiego imperializmu.

* Dobrze znasz historię, Carney.

* I dlatego coś mnie niepokoi. Jeśli wszystko, czego dowiedziałem się o Johannie Halderze, jest prawdą i on wciąż żyje, dlaczego miałby się ukrywać?

* Sądzę, że miałby kilka powodów. Jednym z nich jest fakt, że Stany Zjednoczone mogły uważać go za zdrajcę. Może nawet skazano by go na śmierć.

Zmarszczyłem brwi.

* Za co? Przecież był obywatelem Niemiec. Jak mógł być zdrajcą?

* Oczywiście, był Niemcem, jednak urodził się w Ameryce. Miał na imię Johann, ale lepiej był znany jako Jack. A jego zniknięcie było związane z misją, o której pan mówił, tej, podczas której rzekomo zginął. Zapewne był to najzuchwalszy plan, jaki kiedykolwiek opracowali hitlerowcy. A usiłowali zrealizować go tu, w Egipcie.

* Nie rozumiem...

* Halder kierował tajną grupą, która z rozkazu Hitlera miała zamordować w Kairze prezydenta Roosevelta i premiera Winstona Churchilla.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

* Teraz naprawdę mnie pan zaskoczył. Zamachowiec amerykańskiego pochodzenia, wysłany przez Hitlera, żeby zabić prezydenta USA? To niewiarygodne.

Weaver odstawił swoją szklaneczkę.

* W dodatku prawdopodobnie najlepszego prezydenta, jakiego kiedykolwiek mieliśmy * powiedział. * Misja Haldera miała zmienić przebieg wojny na korzyść hitlerowców. A stawka była nawet wyższa niż wtedy, gdy Kennedy został zastrzelony w Dallas. Tu chodziło o przyszłość całego świata. Zdarzyło się to w listopadzie tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, kiedy Roosevelt i Churchill przyjechali do Kairu na rozmowy. Miało to być jedno z najważniejszych spotkań alianckich przywódców podczas drugiej wojny światowej. Prezydent i premier, oprócz szeregu innych kwestii, mieli uzgodnić ściśle tajne plany operacji „Overlord”, czyli lądowania w Europie. Gdyby plan Hitlera się powiódł i obaj zostaliby zabici, wśród aliantów zapanowałaby chaos, do lądowania nie doszłoby i Niemcy mogłyby wygrać wojnę. * Weaver przybliżył palec wskazujący do opuszki kciuka. * Uwierz mi, Carney, tylko tyle brakowało, żeby im się udało. Do tej pory myślę o tym z przerażeniem.

* Mówi pan poważnie? Naprawdę tak było?

* Nie ma co do tego wątpliwości * odparł Weaver, * Moim zadaniem było powstrzymać Haldera i zabić go. Takich rzeczy nie opisuje się w podręcznikach historii, to była zbyt delikatna sprawa.

* Nie rozumiem... Nawet jeśli Halder przeżył, dlaczego po tylu latach nadal chce go pan odnaleźć? Żeby napiętnować go jako zdrajcę? Chyba już na to o wiele za późno.

W oczach Weavera dostrzegłem smutek. Spojrzał na Nil za oknem, a potem znów na mnie.

* Nie * odparł cicho. * Mam osobiste powody. Nagle uświadomiłem sobie, że jego głos zdradza silne wzruszenie.

* Jedno musisz zrozumieć, Carney. Halder naprawdę pomógł zmienić bieg historii * dodał.

* Zechce mi pan powiedzieć, w jaki sposób?

Weaver musiał dostrzec moje zdziwienie, ale nie odpowiedział. Spojrzał za okno, w dal, jakby usiłował zajrzeć w przeszłość. Porywisty wiatr prawie ucichł, unosząc zasłonę pyłu z prastarego miasta, i nagle ukazał się majestatyczny Nil, statki mieszkalne na rzece, cuchnące mroczne zaułki i strzeliste minarety, a w oddali widmowe zarysy piramid w Gizie. Łatwo mogłem sobie wyobrazić, jak to miasto tajemnic i intryg wyglądało przed przeszło pięćdziesięcioma laty.

Kiedy Weaver znów odwrócił się do mnie, jego twarz miała nieprzenikniony wyraz.

* Może lepiej opowiem wszystko po kolei. Widzi pan, znałem Jacka Haldera jeszcze przed wojną. Byliśmy przyjaciółmi z dzieciństwa. Można powiedzieć, że byliśmy jak bracia.

PRZED LATY

Rozdział 2

Kair

Kiedyś byli razem.

Byli młodzi, a to miejsce nazywało się Sakkara. Grupa archeologów odkryła wejście do sekretnej komnaty grzebalnej w pobliżu schodkowej piramidy faraona Dżosera, opodal starożytnego miasta Memfis, prawie trzydzieści kilometrów na południe od Kairu. Międzynarodowy zespół, który przybył tam wczesną wiosną, aby pomóc w pracach badawczych, składał się głównie z młodych ludzi w wieku dwudziestu paru lat. Była ich prawie setka * z Francji, Niemiec, Anglii oraz Ameryki. Niektórzy byli archeologami i egiptologami, inni inżynierami lub poszukiwaczami przygód, a wszyscy ciężko harowali pod palącym pustynnym słońcem, rozmiłowani w swojej pracy i zdecydowani cieszyć się nią, nie zważając na nadciągającą wojenną zawieruchę.

Jak to zwykle bywa, młodzi ludzie szybko nawiązywali bliższe znajomości. Dwaj z nich, Harry Weaver i Jack Halder, nie spotkali się w Sakkarze przypadkiem. Jack Halder, syn pięknej damy z nowojorskiego towarzystwa i bogatego Prusaka, po którym odziedziczył zamiłowanie do starożytnego Egiptu, był urodzonym poszukiwaczem przygód. Miał dwadzieścia cztery lata i był o rok starszy od Weavera, który ochoczo skorzystał z pierwszej okazji wyjazdu za granicę. Jego ojciec pracował jako zarządca posiadłości

należącej do rodziny matki Jacka Haldera i chociaż obaj młodzieńcy pochodzili z różnych klas społecznych, łączyła ich przyjaźń, która zaczęła się już w dzieciństwie i trwała do tej pory. Nawet po śmierci matki Jacka spędzali razem każde lato, kiedy Franz Halder przyjeżdżał do Nowego

Jorku. Jednak w Sakkarze pojawił się pewien problem. Obaj zakochali się w tej samej kobiecie.

Rachel Stern była młodą absolwentką archeologii, córką Niemca*katolika i matki*żydówki. Jasnowłosa i niebieskooka, odziedziczyła inteligencję i urodę rodziców. Oboje byli znanymi archeologami, a ojciec był profesorem i kierownikiem ekipy. Rachel Stern bardzo lubiła obu młodzieńców, ale najwidoczniej nie potrafiła zdecydować, którego z nich kocha, tak więc wszyscy troje spędzali wolny czas razem.

Tego lata zorganizowali wycieczki do Kairu i Luksoru, zwiedzając bazyliki i targowiska, Doliny Królów i Królowych oraz zrujnowaną świątynię w Karnaku. W weekendy chodzili na dancingi do hotelu „Shepherd” albo na przyjęcia w hotelu „Mena House”, w cieniu piramid w Gizie. Jadali w małych przytulnych restauracjach lub nocnych klubach na wodzie, których mnóstwo można było znaleźć nad brzegami Nilu.

Kiedyś Harry Weaver kazał zrobić zdjęcie ich trójki, stojącej wśród grobowców na rozpalonej pustyni. W tle była widoczna schodkowa piramida Dżosera, wszyscy troje byli opaleni i uśmiechali się do kamery. Rachel stała między nimi, obejmując ich ramionami. I chociaż nigdy o tym nie mówili, wiedzieli, że były to szczęśliwe chwile, może najszczęśliwsze w ich młodym życiu.

Jednak lato wkrótce miało się skończyć. Żadne z nich nie pamiętało dokładnie, kiedy pierwszy raz się spotkali, ale dokładnie zapamiętali dzień, jaki towarzyszył ich rozstaniu. Był wrzesień 1939 roku i rozpoczęła się wojna w Europie. Hitler napadł na Polskę, co miało wywrzeć ogromny wpływ na ich losy, tak jak na losy milionów innych ludzi.

Rozgrzane powietrze drżało nad bezkresną pustynią za piramidami. Kryty dżip zatrzymał się i wysiadł z niego Harry Weaver. Otarł czoło wierzchem dłoni, podniósł z tylnego siedzenia skórzany worek i ruszył w kierunku brezentowych namiotów rozstawionych wokół wykopaliska. Uczestnicy wyprawy porządkowali sprzęt i ładowali go na ciężarówkę. Kiedy Weaver zmierzał ku nim, z jednego z namiotów wyszedł siwowłosy dystyngowany mężczyzna w tropikalnym hełmie.

Profesor David Stern na widok Weavera zdjął okulary, wytarł je chusteczką i uśmiechnął się.

* Harry, wróciłeś! W samą porę. Już zacząłem się obawiać, że będziemy musieli cię szukać.

* Przepraszam, profesorze. Po drodze wpadłem do hotelu „Shepherd” dowiedzieć się, czy są jakieś wiadomości.

* I co słyhać przy głównym wodopoju w Kairze?

* Warszawa stoi w płomieniach. Niemieckie stukasy zrównują ją z ziemią. Nikt nie spodziewa się, żeby Polacy zdołali długo się utrzymać.

* Ten cholerny Hitler * mruknął Stern. * Zanim się obejrzyjecie, obróci Europę w ruiny. Czego innego można oczekiwać po takim niebezpiecznym szaleńcu?

Spojrzał na agregat prądowłórczy, pomrukujący w skwarnym słońcu. Elektryczne przewody wiły się jak węże, nikiąc w sporym dole, wykopanym w ziemi i solidnie oszalowanym.

* Już prawie kończymy. Wyciągniemy z tunelu resztę sprzętu, a potem zajmiemy się porządkowaniem obozu. Odebrałeś pocztę?

Weaver pokazał mu worek.

* Wszystko jest tutaj. To ostatnie przesyłki. I dopilnowałem, żeby Ministerstwo Ochrony Zabytków dostało tę listę adresów, którą mi pan dał na wypadek, gdyby jakaś poczta przyszła po naszym wyjeździe.

* Doskonale. * Stern oparł ręce na biodrach i zmrużył oczy. * A więc nasz pobyt w Sakkarze dobiega końca. Co

o tym myślisz, Harry?

* Prawdę mówiąc, wcale mnie to nie cieszy * odparł Weaver. * Ktoś taki jak ja nieczęsto ma okazję zwiedzić Egipt

i wziąć udział w takiej ekspedycji. Mam przeczucie, że ta przygoda to najlepsze, co mnie spotkało w całym moim życiu.

Stern uśmiechnął się i klepnął go w ramię.

* Nonsens. Jesteś młody. Ile masz lat, Harry? Pewnie tyle samo, co większość członków ekipy... dwadzieścia trzy lub cztery.

* Dwadzieścia cztery.

* Zatem wszystko przed tobą. Przeżyjesz jeszcze wiele pasjonujących przygód. Jestem tego pewny.

* A co z panem, profesorze? Jedzie pan do Stambułu? Stern kiwnął głową.

* Za cztery dni. To stanowisko wykładowcy zaproponowano mi zupełnie niespodziewanie, ale Stambuł to wspaniałe miasto i jestem pewien, że moja żona i Rachel będą zachwycone.

A ja przynajmniej będę miał jakieś zajęcie. * Otarł pot z czoła, wyciągnął rękę po worek z pocztą i ruchem głowy wskazał na szyb. * Rachel i Jack z kilkoma członkami ekspedycji nadal są na dole. Upał jest nie do zniesienia, więc może zejdziesz na dół i pomożesz im, a ja tymczasem rozdám listy.

Weaver zszedł po drabinie do szybu. Był to prawie dwunastometrowy wykop w ziemi i skale. Na jego dnie kilka wąskich korytarzy rozchodziło się w różnych kierunkach. Ściany i sklepienia podpierały drewniane stemple, z których zwisały festony żarówek, zasilanych z pracującego na górze agregatu. Korytarze wiodły do trzech grobowców odkrytych przez ekipę. Miejscami sufit znajdował się tak nisko, że

Amerikanin musiał się zgiąć. W porównaniu do panującej na powierzchni spiekoty powietrze w tunelu było przyjemnie chłodne, prawie zimne. Weaver podążał jednym z korytarzy, aż dotarł do końca i usłyszał głosy.

W znajdującej się w przeciwległej ścianie niszy stał wielki sarkofag * do niedawna było w nim ciało mało znanej księżniczki z dynastii Džosera. Zmumifikowane szczątki usunięto i kamienne wieko trumny, pokryte hieroglifami, stało teraz oparte o ścianę. Kilku członków ekipy zbierało sprzęt i zwijało przewody elektryczne. Weaver spostrzegł Jacka Haldera i Rachel Stern. Oboje byli bardzo zajęci, ich ubrania pokrywała warstwa drobnego pyłu. Rachel odwróciła się i zobaczyła go.

Jej jasne włosy były związane z tyłu, a na opalonej twarzy i szyi perliły się krople potu. Nawet luźna koszula i spodnie khaki nie zdołały ukryć jej doskonałej figury. Obdarzyła Wea*vera radosnym uśmiechem.

* Harry! Właśnie o tobie mówiliśmy.

* Mam nadzieję, że nic złego?

* Oczywiście, że nie. Po prostu zastanawialiśmy się, co cię tak długo zatrzymało. * Podeszła i pocałowała go w policzek, brudząc mu twarz kurzem. * No i popatrz, co narobiłam...

Kiedy ze śmiechem otarła kurz z twarzy Weavera, dotyk jej dłoni przeszył jego ciało jak elektryczny impuls. Za każdym razem, gdy spoglądał na Rachel Stern, czuł ten sam nieodparty impuls, nad którym z trudem mógł zapanować.

* Wpadłem do „Shephearda”. Nie mam dobrych wiadomości. Warszawa wciąż płonie. Mówią, że Polska wkrótce będzie musiała skapitulować.

* To okropne * westchnęła Rachel. * Prawda, Jack?

Jack Halder miał twarz o regularnych rysach, jasnoniebieskie oczy i zawsze uśmiechnięte usta. Teraz jednak ten uśmiech znikł.

* W tej chwili prawie się wstydzę tego, że jestem Niemcem * powiedział.

Weaver położył rękę na jego ramieniu.

* Myślę, że wszystkim nam przykro z tego powodu, Jack. Ale ani ty, ani żaden z innych niemieckich członków ekspedycji nie wywołał wojny. Zrobił to Hitler.

* Pewnie masz rację. * Halder przez chwilę spoglądał na otwarty sarkofag, a potem przesunął dłonią po jego gładkiej powierzchni. * Żał mi się żegnać z miejscem ostatniego spoczynku naszej księżniczki. Czy to nie jest niewiarygodne?

* Co takiego?

* Leżała tu przez tyle wieków, zanim ją znaleźliśmy. Kiedyś z pewnością budziła pożądanie mężczyzn, a

teraz jej zmumifikowane szczątki leżą w sejfie Muzeum Egipskiego, czekając na sekcję i zbadanie, tak samo jak inne, które znaleźliśmy. I wszyst*kie te pytania, jakie się nasuwają... Jak wyglądała? Jakie wiodła życie? Kogo kochała? Wątpię, czy po naszej śmierci ktokolwiek zada sobie takie pytania. Ona przynajmniej osiągnęła pewien rodzaj nieśmiertelności.

Rachel uśmiechnęła się.

* Jack, jesteś romantycznym marzycielem.

* Miejmy nadzieję, że grobowca księżniczki nie broni klątwa, bo inaczej wszyscy będziemy mieli kłopoty

* mruknął Weaver.

* Chyba nie wierzysz w klątwy, Harry? * spytała z niedowierzaniem Rachel.

* Zadaj mi to pytanie za kilka lat, kiedy wszyscy pokryjemy się wielkimi czerwonymi plamami i będziemy umierać na jakąś nieznaną, nieuleczalną chorobę.

Roześmiali się. Nagle za plecami usłyszeli trzeszczenie drewnianej drabiny. Po chwili w przejściu pojawił się profesor Stern.

* Wygląda na to, że dobrze się bawicie i przykro mi psuć wam humor, ale rozdałem listy, które Harry przywiózł z Kairu. Z tego, co słyszę, przeważnie złe wieści. Co najmniej tuzin członków ekipy dostało powołanie do wojska i nie są tym zbyt uszczęśliwieni.

* Harry mówił nam o Warszawie * powiedział Halder.

* Nawet nie chcę o tym myśleć * mruknął Stern i rozejrzał się wokół. * Widzę, że się tu nieźle napracowałeś, Rachel. Ty też, Jack.

* Normalna praca, profesorze * odparł Halder. * Jeśli Harry nam pomoże, za dwie godziny powinniśmy skończyć.

* Żebym nie zapomniał, Jack, w poczcie był list do ciebie. * Profesor podał Halderowi kopertę. * Zdaje się, że z Niemiec.

Halder stanął pod jedną z żarówek, rozerwał kopertę i przeczytał list. Wyraźnie spochmurniał. Powoli złożył kartki i wepchnął je do kieszeni na piersi.

* Co się stało? Złe wieści? * zapytała Rachel. Halder uśmiechnął się z trudem.

* Można tak powiedzieć. To od mojego ojca. W tym momencie przerwał im Stern.

* Lepiej wracajmy do pracy * powiedział. * Chcę, żebyśmy skończyli przed zmierzchem. A wieczorem urządzimy zabawę.

* Jaką zabawę? * zapytał Weaver. Stern uśmiechnął się.

* To sekret, ale teraz nadszedł czas, żeby wszyscy go poznali. Pamiętajcie, że w ubiegłym tygodniu

mówiłem wam, iż zamierzam naciągnąć nasz budżet, żeby opłacić tanie pokoje hotelowe w Kairze i posiłek dla całej ekipy po zakończeniu prac? Udało mi się załatwić coś lepszego. Pozostałe prace w Sakkarze dokończy Ministerstwo Ochrony Zabytków, ale uznali nasze prace za ogromny sukces i zorganizują dla nas przyjęcie w rezydencji ambasadora Stanów Zjednoczonych. Ambasador bardzo interesuje się archeologią i nalegał na to, żeby być gospodarzem wydanego na naszą cześć przyjęcia. Będzie wspaniały bufet, zaproszono sporo szacownych gości i zamówiono nawet orkiestrę.

* To wspaniała wiadomość, tato * powiedziała Rachel. * Prawda, Harry?

* Najlepsza, jaką dzisiaj słyszałem.

* Pomyślałem, że to poprawi wam humor. * Profesor podwinął rękawy. * A teraz wynieśmy i spakujmy sprzęt, potem wszyscy będziemy mogli odpocząć.

Słońce zachodziło, oblewając pustynię pomarańczowym blaskiem. Beduińscy kucharze przygotowali kolację: kulię, ryż

z szafranem i świeży chleb, a ponieważ dla członków ekspedycji miała to być ostatnia noc pod namiotami, profesor Stern za własne pieniądze zakupił sporą ilość egipskiego piwa i wina.

Siedzieli wokół ogniska, ale mało rozmawiali o wojnie, bo nikt nie chciał, żeby polityka zepsuła nastrój. Jeden z Francuzów grał na akordeonie, dwóch młodych Anglików akompaniowało mu na gitarach, i wszyscy śpiewali z zapałem, na jaki potrafią się zdobyć tylko młodzi ludzie. Zanim skończyły się rozmowy i śpiewy, dochodziła już północ. Ognisko dogasało i powoli zaczęto się rozchodzić do swoich namiotów.

Halder miał już trochę w czubie, ale wyjął jeszcze trzy butelki piwa i z uśmiechem wręczył po jednej Rachel oraz Weaverowi.

* Pomyślałem, że schowam je na później. Co wy na to, żeby powiedzieć dobranoc Dżoserowi?

* Czemu nie * odparła Rachel.

Pomaszerowali do schodkowej piramidy Dżosera, w euforycznym nastroju wywołanym alkoholem. Weaver niósł lampę naftową, którą oświetlał drogę. Usiedli na masywnych kamiennych stopniach podstawy piramidy, jak robili to prawie co noc przez całe lato, wciąż podziwiając piękno i ogrom mającego pięć tysięcy lat grobowca.

* Więc to nasza ostatnia noc w Sakkarze * powiedział z żalem Halder.

Rachel również była przygnębiona.

* Nie mogę znieść myśli, że muszę stąd wyjechać. Spędziłam tu tak cudowne chwile. * Spojrzała na nich obu. * A wszystko dzięki tobie, Jack, i tobie, Harry.

* Pamiętajcie tę fotografię, którą kazał nam zrobić Harry? * zapytał nagle Halder. * Tę, na której jesteśmy we troje?

* Oczywiście. Dlaczego pytasz?

Halder pociągnął łyk piwa z butelki i posłał im łobuzerski uśmiech.

* Wiecie, co myślę? Powinniśmy zrobić coś więcej, żeby upamiętnić to lato, które spędziliśmy razem. Coś, co przetrwa wieki.

* Co masz na myśli, Jack? * zapytał Weaver. Halder podniósł się niepewnie.

* Zaczekajcie.

Wziął lampę naftową, poczłapał do jednego z namiotów zajmowanych przez egipskich robotników i po chwili wrócił ze sfatygowaną płócienną torbą.

* Do diabła, co chcesz zrobić, Jack? * spytał Weaver.

* Cierpliwości. Nic nie mówcie, proszę. Ani słowa, bo mnie rozpraszacie. I nie patrzcie, dopóki wam nie powiem.

Odszedł kawałek dalej wzdłuż kamiennego stopnia, po czym wyjął z torby młotek i dłuto. Usiadł i zabrał się do kucia skały. Kiedy wreszcie skończył, otarł pot z czoła i uśmiechnął się.

* W porządku. Teraz możecie obejrzeć moje dzieło. Podniósł lampę, a oni podeszli do niego.

Na całej podstawie piramidy Dżosera widniały napisy wyryte w pionowej skale. Pierwszego dnia po przyjeździe do Sak kary ze zdumieniem oglądali te setki i tysiące nazwisk oraz inicjałów, wykute w ciągu stuleci przez niezliczonych przybyszów. Chociaż było to nielegalne, należało do zwyczaju, którego żadne zakazy nie zdołały wyplenić. Niektóre napisy sięgały czasów Rzymian.

Wśród nich Halder wykuł: RS, HW, JH, 1939.

* Jack! * zawołała Rachel. * Jesteś nie tylko pijany, ale i szalony. Tato będzie wstrząśnięty, jeśli się dowie, że zbezczęściłeś ten bezcenny pomnik.

* Być może, ale teraz jesteśmy nieśmiertelni * zaśmiał się Halder. * Tak jak nasza księżniczka. Miną lata, a ludzie będą tu przychodzić i zastanawiać się, kim byliśmy. Staliśmy się częścią zagadki piramid.

Rachel dotknęła jego ramienia.

* Cieszę się, że wyryłeś nasze inicjały. Przeżyliśmy tu tak wspaniałe chwile.

* Przynajmniej coś po nas pozostanie, gdy będziemy już martwi. * Weaver podniósł butelkę piwa. * Chcę zaproponować toast. Za nas. I za Sakkarę.

* Za nas. I za Sakkarę.

Chórem wzniesli toast i roześmiali się. Potem rozmawiali przez jakiś czas, patrząc, jak w oddali płoną światła Kairu. W końcu Rachel wstała i otrzepała spodnie.

* A teraz już naprawdę muszę iść spać. Nie mogę się doczekać jutrzejszej zabawy. Musicie obaj obiecać mi taniec. * Z czułością ucałowała ich obu w policzki. * Dobranoc, Jack. Dobranoc, Harry. Przyjemnych snów, kochani.

* Nie chcesz, żebyśmy cię odprowadzili i poświecili lampą?

* Nie, zostańcie i dopijcie piwo. Księżyc dobrze oświetla drogę.

Ruszyła w kierunku namiotów i Weaver przez długą chwilę

patrzył, jak idzie w srebrzystym blasku. Kiedy obrócił głowę, zobaczył, że Halder również spogląda na nią jak urzeczony.

* Czy myślisz o tym, co mi się zdaje?

* Nie wiem, Jack. Powiedz mi.

* Rachel jest najładniejszą, najcudowniejszą kobietą, jaką znamy.

* Jak zawsze czytasz w moich myślach.

* Bądźmy szczerzy, Harry. Prawda wygląda tak, że obaj się w niej zadurzyliśmy. Może więc obaj powiemy, co czujemy? Unikaliśmy takiej rozmowy, bo mężczyźni rzadko o tym mówią. Zawsze skrywamy nasze prawdziwe uczucia. Czasem nawet sami przed sobą.

* Chcesz, żebym szczerze powiedział, co czuję?

* Właśnie. Karty na stół. Obiecuję zrobić to samo. Weaver spojrzął w bok, ku odległemu Kairowi.

* Zeszłej nocy nie mogłem spać, bo myślałem o niej... o tym, że to ostatnie dni, jakie spędzę w jej towarzystwie. Od kiedy ją spotkałem, nie było dnia, abym o niej nie myślał, nie chciał z nią być. Choćby widzieć jej twarz. Słyszeć jej głos. To pierwsza kobieta, w której się zakochałem.

* Aż tak? * zapytał Halder.

* Chyba tak. I wcale mi nie przechodzi.

* Ale nigdy nawet nie wspomniałeś jej o tym, co czujesz, prawda?

* Wiesz, że nie. I to jest w tym najdziwniejsze. Zawsze coś mnie powstrzymuje. Może lęk przed odrzuceniem lub obawa, że ją utracę, jeśli ona nic do mnie nie czuje, i moje wyznanie skomplikuje sytuację. * Weaver wzruszył ramionami. * A może coś innego. Nie jestem pewien. A co z tobą?

Przez moment Halder wyglądał jak chłopczyk, który niechętnie wyjawia jakąś tajemnicę, ale ten moment zaraz minął.

* Najpierw chciałbym ci coś powiedzieć. Coś, o czym nikomu nie mówiłem. Kiedy moja matka umierała, nie chciała widzieć ojca ani się z nim pożegnać. Nie dlatego, że go nie kochała, wprost przeciwnie.

Wiedziała, że pożegnanie byłoby zbyt bolesne, zbyt ostateczne dla obojga. * Obrócił się do Weavera. * To była wielka miłość, Harry. Zawsze pragnąłem przeżyć taką samą. Naprawdę głęboką, pełną prawdziwej namiętności.

* A co czujesz do Rachel? Bądź szczerzy.

* Czasem... często nie mogę zasnąć, wyobrażając sobie to,

co chciałbym, aby zdarzyło się między nią a mną. Wyobrażam sobie, że jesteśmy razem. Wyobrażam sobie, że jesteśmy po ślubie i ona nosi moje dziecko. Wyobrażam sobie, że się kochamy... tak czule, jak mogą to robić tylko zakochani. Tyle razy chciałem jej o tym powiedzieć. * Halder spojrzął na Weave*ra. * Wiesz, że bywam lekkomyślny i zuchwały, i nie mogę powiedzieć, że nie miałem ochoty powiedzieć jej tego. Jednak, tak samo jak ty, nie mogłem.

* Dlaczego?

* Pewnie z tego samego powodu co ty. Nie chcę wywrócić wózka z jabłkami.

* Co masz na myśli?

Halder położył rękę na ramieniu Weavera.

* Jest jeszcze inny rodzaj miłości, nie fizycznej, ale braterskiej. Nazwij to jak chcesz, może głęboką przyjaźnią, ale to jest równie ważne. Zawsze byłeś moim najlepszym przyjacielem. Może gdyby jeden z nas spróbował, zniszczyłoby to wszystko. Nie mówię o nas, bo myślę, że łącząca nas więź jest zbyt silna, ale o przyjaźni z Rachel, którą cieszyliśmy się przez całe lato. Nie chcę, aby tak się stało.

* Chyba wiem, co chcesz powiedzieć. Spędziliśmy we troje wspaniałe chwile. Może tylko to jest naprawdę ważne.

* Mimo to, Harry, obaj wpadliśmy. I musi być jakieś praktyczne rozwiązanie. * Na ustach Haldera pojawił się wesoły uśmiech. * A jeśli istnieje choć najmniejsza szansa na to, że Rachel kocha jednego z nas?

* Co chcesz powiedzieć?

* Jeśli tak, czy nie byłoby wstyd zmarnować taką szansę? Obaj do końca życia żałowalibyśmy, że przed wyjazdem nie wyjawiliśmy jej, co czujemy. Przynajmniej jeden z nas byłby szczęśliwy. I Rachel też. Tak byłoby najlepiej. Co o tym sądzisz?

* Naprawdę myślisz, że ona może kochać jednego z nas? Halder znów się uśmiechnął.

* Tak czy inaczej, jutro mamy ostatnią okazję, żeby się o tym przekonać.

CZĘŚĆ PIERWSZA

WRZESIEŃ 1939

Rozdział 3

W rezydencji amerykańskiego ambasadora zjawił się tłum zagranicznych dygnitarzy, śmietanka egipskiego i europejskiego towarzystwa, od gwiazd filmowych po dyplomatów, wyższych oficerów i naukowców. Przyjęcie trwało w najlepsze, wszyscy byli w wyśmienitych humorach. Przechodząc przez zatłoczony parkiet, Weaver wymieniał pożegnalne uściski dłoni z innymi członkami ekspedycji. Zaproszono dziennikarzy, a dwaj egipscy policjanci pilnowali ustawionego w holu stołu, na którym wystawiono znalezione przez ekipę eksponaty: naszyjniki, skarabeusze, złote amulety i kamienne kartusze. Kiedy Weaver dziękował kolegom, zaraz pojawiali się następni i nagle gwałtownie zapragnął zostać sam.

* Wybaczcie mi, dobrze? Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza * powiedział.

Przecisnął się przez tłum, podszedł do drzwi i wyszedł na taras. Na zewnątrz było chłodno, w nocnym powietrzu unosił się za pach lotosów i bugenwilli oraz kwiatów z doniczek na parapetach. Rezydencję ambasadora otaczał wspaniały ogród, w którym stała oświetlona kolorowymi lampionami altana. Za mu*rem przepływał majestatycznie Nil. Tej nocy miasto wydawało się dziwnie ciche, a szum ulicznego ruchu był zaledwie szmerem.

Kiedy Harry stał na tarasie, ciesząc się samotnością i zapachem kwiatów, drzwi otworzyły się i stanęła w nich Rachel. Miała na sobie prostą czarną sukienkę, która podkreślała jej figurę. Za nią szedł ubrany w lniany garnitur Jack Halder, niosący butelkę zmrożonego szampana i trzy kieliszki. Z uśmie*chem podał je im.

* Udane przyjęcie, prawda? Wyglądasz, jakbyś miał już na dziś dość tańców, Harry. Pomyśleliśmy, że na pewno znajdziemy cię w jakimś spokojnym miejscu. Napij się z nami.

* Dlaczego nie. * Weaver wziął kieliszek, a Rachel postawiła swój na poręczu balkonu.

* Zmęczona? * zapytał Weaver. Uśmiechnęła się.

* Obawiam się, że razem z Jackiem zupełnie mnie wykończyliście.

* Zanim zapomnę * wtrącił Halder * kilka ważnych osób chce cię poznać, Rachel.

* Kto?

* Ambasador oraz niejaki Kemal Assan. To syn egipskiego dygnitarza, który jest znajomym mojego ojca. A także profesor z Muzeum Brytyjskiego, który za dużo wypił i mówi tak... * Harry ścisnął palcami nos i

zaczął naśladować akcent angielskich wyższych sfer. * To zgraja nudziarzy, moja droga, więc powiedziałem tym natrętom, że jesteś zmęczona i nie powinni długo cię nękać. Mam ich tu sprowadzić?

Rachel zachichotała.

* Dzięki, Jack.

Kiedy odszedł, Rachel powiedziała:

* A więc to nasz ostatni wieczór, Harry. Będzie mi ciebie brakowało.

* Naprawdę?

* Oczywiście. * Spojrzała mu w oczy i powiedziała: * Wiesz co? To dziwne, ale tak mało o tobie wiem. Jack jest jak otwarta księga. Matka Amerykanka i bogaty ojciec Prusak, znany kolekcjoner sztuki egipskiej. Języki nowożytne i klasyczne w Heidelbergu, a w międzyczasie rok w Oksfordzie. * Zaśmiała się. * Od razu wiadomo, dlaczego tak dobrze potrafi naśladować akcent angielskich klas wyższych. Tymczasem ty bardzo rzadko mówisz o sobie. Wiem tylko, że skończyłeś inżynierię na uniwersytecie w Nowym Jorku i od dziecka przyjaźnicie się z Jackiem. * Uśmiechnęła się. * Z pewnością mógłbyś powiedzieć mi znacznie więcej, chyba że to tajemnica? Powiedz, jak poznaliście się z Jackiem. Bardzo chciałabym to wiedzieć.

Weaver upił łyk szampana i spojrzał na ogród.

* Nie ma wiele do opowiadania. Kiedy miałem pięć lat, mój ojciec został zarządcą posiadłości należącej do rodziny

matki Jacka. To wielki majątek niedaleko Nowego Jorku. Byliśmy tam jedynymi dziećmi, więc wiadomo było, że zostaniemy rywalami lub przyjaciółmi. Od razu się zaprzyjaźniliśmy. Każdą wolną chwilę spędzaliśmy razem i okropnie rozrabialiśmy. Jego ojciec nazywał nas „kłopotliwą dwójką”. Jasne, rodzina Jacka jest bogata, a moja to prości ludzie, ale Franz Halder traktował nas z szacunkiem. Nie był snobem i syna też nie wychował na snoba. Nawet jako mały chłopiec Jack zawsze był wspaniałym kompanem. Nie ma w nim ani odrobiny pychy.

* Co sprowadziło cię do Egiptu?

* Kiedy w zeszłym roku skończyłem studia, podjąłem pracę w prywatnej firmie budowlanej w Nowym Jorku. Jednak po paru miesiącach zaczęło mnie to nudzić. Ojciec Jacka trzymał w posiadłości niektóre eksponaty ze swojej kolekcji. Widywaliśmy rozmaite egzotyczne przedmioty, jakie widuje się wyłącznie w muzeach: skarabeusze, antyczną biżuterię... Były tak piękne, że mogliśmy oglądać je godzinami. Jack napisał do mnie, że wyjeżdża na kilka miesięcy pomóc przy wykopaliskach w Egipcie, i zapytał, czy też nie chciałbym pojechać. Nie widzieliśmy się przez prawie sześć miesięcy, bo Jack był zajęty rodzinnymi sprawami w Niemczech, więc chciałem go zobaczyć, a poza tym chętnie skorzystałem z okazji, żeby wyrwać się z dusznego biura na Manhattanie. Uznałem, że nadarza mi się największa okazja w życiu. Podjąłem trochę uzbieranych dolarów, zrezygnowałem z pracy i przyjechałem tutaj.

* Nie zostawiłeś w kraju dziewczyny?

* Nie.

* I nie żałujesz tego, że tu przyjechałeś?

* Ani trochę. Jedyny problem w tym, że pobyt tutaj trochę mnie zepsuł. Nie sądzę, abym mógł wrócić do poprzedniej pracy. Przynajmniej dopóki nie skończą mi się pieniądze. Bardziej cieszyło mnie wykorzystywanie moich umiejętności przy pracach wykopaliskowych niż budowanie domów w Nowym Jorku.

* Wiesz, co mnie dziwi? Że Jack nie został archeologiem.

* To zbyt niespokojny duch, aby mógł poświęcić się jednej profesji. Sam twierdzi, iż zawsze będzie tylko fanatycznym amatorem, tak jak jego ojciec. Franz Halder przywoził go tutaj, kiedy Jack był mały, ale pewnie o tym wiesz. I od kiedy go znam, Jack zawsze uwielbiał ten kraj, był nim zafascynowany.

Nie tylko jego historią, ale wszystkim: kulturą, ludźmi. Chyba zaraził mnie tą pasją.

* Bardzo lubisz Jacka, prawda?

* Zawsze był moim najlepszym przyjacielem odparł Weaver. * Jest dla mnie jak brat, którego nie miałem. I jestem wdzięczny losowi za tę przyjaźń. Poza tym, gdyby nie jego ojciec, pewnie nie mógłbym pójść do college'u.

* Jak to?

* Franz Halder opłacił moje studia. Ojca nie byłoby na nie stać. Odwdzięczał się za to, hodując w ogrodzie mnóstwo białych lilii, które matka Jacka tak bardzo kochała.

* Czy to dlatego tak mało mówisz o sobie? * zapytała Rachel. * Czujesz się przytłoczony przez Jacka i jego rodzinę?

* Wcale nie * odparł z przekonaniem Weaver. * Oni po prostu byli dobrymi ludźmi, którzy chcieli mi pomóc zdobyć należyte wykształcenie. I zawsze będę im za to wdzięczny. A ojciec Jacka nie jest człowiekiem, który dałby komuś odczuć swoją wyższość. Poza tym jestem pewny, że nic takiego nie mogłoby wpłynąć na naszą przyjaźń. Prawdę mówiąc, chyba w ogóle nic. Zawsze doskonale się rozumiemy.

* Nigdy się nie sprzeczacie?

* Nigdy. Owszem, czasem mamy różne zdania, ale zawsze jakoś się dogadujemy.

* Wiesz co? Myślę, że obaj macie szczęście, że się spotkaliście i zostaliście takimi dobrymi przyjaciółmi * powiedziała Rachel. * To bardzo rzadka rzecz. Coś, co należy pielęgnować. I mam nadzieję, że nic was nigdy nie poróżni. * Uśmiechnęła się do niego, pod wpływem nagłego impulsu zerwała rosnący w doniczkę kwiat i wetknęła mu do butonierki, po czym nachyliła się i lekko pocałowała go w usta. * To

mały prezent ode mnie. Znacznie skromniejszy niż wykształcenie, ale ofiarowany szczerze. Tak się cieszę, że przyjechałeś tu pomóc w wykopaliskach, Harry. Nie wyobrażam sobie, jak byłoby tutaj bez ciebie i Jacka.

Weaver popatrzył na nią i odparł:

- * Będę za tobą tęsknił, Rachel.
- * Naprawdę będziesz?
- * Bardziej, niż potrafię powiedzieć. Ale martwię się.
- * Czym?
- * Wszyscy słyszeliśmy o tym, co wyprawiają w Niemczech z Żydami. Jeśli tam wrócisz...

Rachel powiedziała spokojnie:

* Nie ma obawy, moi rodzice i ja nie zamierzamy wracać do Niemiec. Przynajmniej dopóki wojna się nie skończy i hitlerowcy nie zostaną odsunięci od władzy. Na razie naszym domem będzie Stambuł. Będziemy tam bezpieczni. Mój ojciec ma tam wielu znajomych i z pewnością dostanie pracę na uczelni. Prawdę mówiąc, bardziej niepokoję się o Jacka.

* Dlaczego?

* Musi wrócić do Niemiec, więc pewnie dostanie powołanie do wojska. Optymistycznie uważa, że wojna nie potrwa długo. Sądzi, że wszystko skończy się do Bożego Narodzenia, gdy tylko Hitler osiągnie swoje i dokona aneksji Polski.

* Tak powiedział?

* Słyszałam to dzisiaj wieczorem. Zdaje się, że tak uważa wielu ludzi. Ja jednak wcale nie jestem tego taka pewna. No cóż, przynajmniej przez jakiś czas byliśmy razem. To wspomnienie zawsze będzie mi drogim.

Ich oczy się spotkały i Weaver był przekonany, że połączyła je dziwna więź. Patrzył w nie przez długą chwilę, zanim otworzył usta, zamierzając wyznać jej, co naprawdę czuje, lecz w tym momencie Rachel zerknęła w bok, na resztę gości, i nagle zeszywniała.

* Co się stało?

* Nie... nic.

Obejrzał się i przez otwarte drzwi werandy dostrzegł opartego o marmurową kolumnę chudego Egipcjanina z haczykowatym nosem, ubranego w płócienny garnitur i palącego cygaro. Mężczyzna miał twarz poznaną śladami po ospie i wygląd łotrzyka. Spojrzał na nich, ale zauważywszy, że Weaver mu się przygląda, natychmiast znikł w tłumie. Weaver znów popatrzył na Rachel.

* Ten człowiek... czy on cię niepokoił? Zadrżała.

* Mam wrażenie, że obserwował mnie przez cały wieczór.

* Może powinienem się dowiedzieć, kim on jest? Położyła dłoń na jego ramieniu.

* Nie, nie fatyguj się, na pewno jest nieszkodliwy. Poczułam się trochę nieswojo, to wszystko.

W tym momencie przez otwarte drzwi weszli dwaj mężczyźni, prowadzeni przez Haldera. Pierwszym był ambasador Stanów Zjednoczonych, wysoki i dystyngowany, drugim młody Egipcjanin w tradycyjnej arabskiej galabii przetykanej złotymi i srebrnymi nitkami.

Halder z uśmiechem wysunął się naprzód.

* Pozwólcie, że przedstawię wam ambasadora i Kemala Assana.

Ambasador uścisnął dłoń Rachel.

* Panno Stern, to dla mnie zaszczyt. Jestem gorącym wielbicielem pracy pani ojca. A Kemal przez cały wieczór czekał na okazję, żeby panią poznać. Bardzo interesują go wasze odkrycia, czemu trudno się dziwić, bo jego ojciec zajmuje wysokie stanowisko w Ministerstwie Ochrony Zabytków i jest zaprzyjaźniony z królem Farukiem.

Kemal Assan przywitał się po arabsku, przykładając dłoń do serca, a potem do głowy.

* Poznanie pani to dla mnie ogromna przyjemność, panno Stern. Mój kraj zaciągnął ogromny dług wobec pani i pani ojca. Dokonałiście wspaniałych odkryć. Jestem pewien, że król Faruk i rząd zechcą podziękować wam i waszej rodzinie za te wysiłki. W Egipcie zawsze będziecie mile widzianymi gośćmi.

* Jest pan bardzo uprzejmy, panie Kemal. * Rachel spojrzała na światła miasta, uświadamiając sobie nagle zalegającą wokół ciszę. * Nie wiedziałam, że w Kairze może być tak cicho. Jakby nadciągała burza.

* Obawiam się, że zbierają się chmury * odparł Assan. * Chyba miasto czeka na kolejne nieprzyjemne wieści.

Jack Halder zerknął na zegarek i oświadczył:

* Panowie, wybaczenie, ale muszę was przeprosić. Rachel wcześniej rano musi złapać pociąg do Port Saidu i powinna się wyspać.

* Mam nadzieję, że wkrótce znów zobaczymy panią w Egipcie, panno Stern * powiedział Kemal Assan.

Ambasador uścisnął im dłonie.

* Do zobaczenia. I dziękuję wam, wykonałiście wspaniałą robotę.

Ambasador i Assan odeszli. Jack Halder upił łyk szampana, odstawił kieliszek i spojrzał na Kair.

* Masz rację, tam jest cicho jak w grobie. Rachel spojrzała na zegarek.

* Przykro mi psuć wam zabawę, ale zaraz padnę. Moi rodzice też zaraz wychodzą, są bardzo zmęczeni. Po zakończeniu wykopalisk zawsze jest tak samo, szczególnie w tym

klimacie. Włożyli w nie całe serce i wszystkie siły i teraz są zupełnie wyczerpani.

* Wcale mnie to nie dziwi. Oboje pracowali na okrągło. * Halder uśmiechnął się. * Nawet wtedy, gdy wszyscy spali. Niedawno widziałem, jak rano wracali do namiotu. Wyglądali, jakby kopali przez całą noc. Czy profesor coś przed nami ukrywa, Rachel? Czyżby odkrył coś, co chce utrzymać w tajemnicy?

* Nie sądzę * odpowiedziała z uśmiechem. * Wiesz, że mój ojciec nigdy nie ma dość. Praca tutaj jest dla niego wszystkim.

Halder konspiracyjnie mrugnął do Weavera.

* Harry, pytałeś? * Kiedy Weaver pokręcił głową, Halder powiedział: * Ja też nie.

* O czym wy mówicie? * zainteresowała się Rachel. * O co Harry miał zapytać?

Halder przetknął tyk szampana, jakby dodając sobie odwagi, i potem oświadczył:

* To trochę krępujące, ale do licha z tym, w końcu nadeszła odpowiednia chwila. Jest coś, nad czym zastanawialiśmy się z Harrym i nie mieliśmy śmiałości zapytać. Skoro jednak jutro wyjeżdżasz do Port Saidu, a później do Stambułu, pomyśleliśmy, że zbierzemy się na odwagę i zadamy to pytanie.

* Jakie pytanie?

* Czy jest choć najmniejsza szansa, że możesz kochać jednego z nas?

Rachel zaczerwieniła się i przygryzła wargę.

* Może obiecuję wam coś... Napiszę do was obu, a wy mi odpiszecie. W ten sposób wszyscy będziemy mieli czas, żeby się lepiej poznać. Potem zobaczymy.

* Bardzo dyplomatyczna odpowiedź * mruknął Halder.

* Nie, Jack, po prostu szczerza. W moim życiu tyle się teraz dzieje. Opuszczam Egipt, wyjeżdżam do Stambułu...

* Czyżbyśmy przyparli cię do muru? * zapytał Weaver.

* Nie, skądże.

* No to dlaczego czuję się tak nieswojo? * zapytał Halder.

* Nie powinieneś. Obaj nie powinniście. Wiecie, że bardzo lubię was obu.

* Tylko lubisz?

* Proszę, Jack... To nie jest odpowiednia chwila.

* Wybacz, że poruszyliśmy ten temat * powiedział Wea

ver. * Widzę, że jesteś zmęczona. Pójdę sprawdzić, czy nie mogłabyś wrócić do hotelu jednym z samochodów ambasady. Odwieziemy cię.

* Nie, dziękuję. Nienawidzę pożegnań. Zostańcie tu obaj i bawcie się dobrze. Zasłużyliście na to. * Spojrzała na nich i ze wzruszenia zdrząły jej usta. * Mogę wam coś powiedzieć? To były najpiękniejsze chwile w moim życiu. Naprawdę. Do zobaczenia.

W jej oczach zabłyśły łzy. Ucałowała i uściskała ich obu, a potem odeszła.

Orkiestra grała walca. Halder podniósł swój kieliszek z szampanem.

* Wyglądała na zdenerwowaną, ale nie odpowiedziała na pytanie, prawda? * powiedział Halder.

Weaver zastanawiał się przez chwilę.

* Może się mylę, ale wydaje mi się, że jej propozycja może oznaczać jedną z trzech możliwości...

* Tak?

* Pierwsza: nie chce wiązać się z żadnym z nas i w ten sposób chce się od nas uwolnić. Druga: wybrałaby jednego z nas, ale postawiliśmy ją w niezręcznej sytuacji, ponieważ byliśmy przy tym obaj, więc nie chciała tego powiedzieć, żeby nie rozczarować drugiego.

* A trzecia?

* Jednakowo lubi nas obu, nie może się zdecydować i potrzebuje trochę czasu do namysłu.

* Tak sądzisz?

Weaver wzruszył ramionami.

* To tylko przeczucie, ale to może być ta trzecia możliwość. Poza tym w jej życiu rzeczywiście wiele się teraz dzieje. Jej rodzina nie może wrócić do Niemiec, a Stambuł to dla niej zupełnie nowy świat, w którym musi znaleźć swoje miejsce. W dodatku była zmęczona.

* Nagle zrobiłeś się taki wyrozumiały?

* Chcę wierzyć, że mówiła szczerze, Jack. Ona nie jest kobietą, która pochopnie podejmowałaby tego rodzaju decyzję. Potrzebuje czasu. Dlatego lepiej zostawmy na razie ten temat.

* Jednak jesteś rozczarowany, że nie udzieliła jasnej odpowiedzi.

* Pewnie, że jestem. To przedłuży męczarnie. Ale może lepiej będzie, jak zaczekamy i zobaczymy, co będzie? Po co to teraz roztrząsać?

Halder uśmiechnął się z przymusem.

* Nawet w miłości bierze w tobie górę praktyczna natura. Chciałbym również tak to traktować, ale, na Boga, będę za nią bardzo tęsknił. Tak dobrze było nam razem, szkoda, że to musiało się skończyć. W jej towarzystwie przeżyłem najlepsze chwile w życiu.

Weaver podniósł butelkę szampana i ponownie napełnił kieliszki.

* Zmieniamy temat. Kiedy wyjeżdżasz z Kairu?

* We wtorek lecę do domu. Nie mam wyboru... dostałem powołanie.

Weaver był zaskoczony.

* A więc to o tym przeczytałeś w liście?

* Właśnie. * Halder wzruszył ramionami. * Wiesz, że moja rodzina wywodzi się z długiej linii pruskich oficerów. Niektórzy z nich byli założycielami akademii wojskowej. Przewróciłiby się w grobach, gdybym zignorował powołanie.

Weaver położył dłoń na ramieniu Haldera.

* Powinieneś być mi powiedzieć, Jack. To tak nagle... Będę się o ciebie martwił.

* Nie chciałem zepsuć wam tych ostatnich kilku dni. I starałem się o tym nie myśleć. Nie martw się o mnie, prawdopodobnie przydzielą mi nudną pracę za biurkiem.

* Naprawdę wierzysz, że do świąt będzie po wszystkim, Jack? Rachel powiedziała, że tak uważasz.

Halder skinął głową.

* Tak sędzę. Żaden normalny Niemiec nie chce następnej wojny. Zbyt wielu z nich pamięta, jak okropna była poprzednia. Jestem głęboko przekonany, że zdrowy rozsądek w końcu zwycięży. A co z tobą? Co będziesz robił?

* Jestem wolny jak ptak. Profesor Stern stwierdził, że w Sakkarze trzeba jeszcze dokończyć prace porządkowe, zanim przekażemy wykopaliska Egipcjanom, toteż zgłosiłem się do pomocy razem z kilkoma innymi. Poza tym zaproponowano mi udział w pustynnej ekspedycji, więc może zostanę tu przez jakiś czas i może spróbuję nauczyć się języka. Ameryka ogłosiła neutralność. Nie bierzemy udziału w tej wojnie.

* Miejmy nadzieję, że wkrótce wszystko się uspokoi. Ale na razie wydaje się, że cały świat oszalał.

* Co masz na myśli?

* Wojna chyba dociera aż tu. Krążą plotki, że Anglicy wykopali niemiecką radiostację ukrytą na polu niedaleko drogi do piramid. Podobno w Kairze już pojawili się szpiedzy.

Weaver pokiwał głową.

* Słyszałem tę pogłoskę. Ale jakie to ma znaczenie?

* Po tym, jak tydzień temu usłyszeliśmy w radiu o wypowiedzeniu wojny, podsłuchałem, jak ktoś z naszej ekipy mówił, że Rachel i ja oraz wszyscy pozostali Niemcy w zespole to niemieccy szpiecy. Słyszałeś kiedyś podobną bzdurę? Przecież jej matka jest Żydówką. A profesor Stern nienawidzi hitlerowców.

* A co ty o tym myślisz, Jack?

Po raz pierwszy rozmawiali o polityce i Halder był szczerze zdziwiony.

* Ja? Kocham mój kraj, ale sądzę, że do tej pory domyśliłeś się już, że nie mam najlepszego zdania o Hitlerze.

* Z powodu Polski? Czy tego, co robi z Żydami?

* Z obu powodów. Nie uznaję takiego okrucieństwa i podobnie myśli wielu porządnym Niemców. Przyjaźnimy się tak długo, że z pewnością wiesz, iż nie pochwalam praw, jakie naziści wprowadzili przeciwko Żydom. Ale nie tylko o to chodzi. Hitler mówi za głośno i nie ma ani krzty poczucia humoru. To zawsze kiepskie połączenie, szczególnie u Austriaka. * Halder uśmiechnął się krzywo. * Obawiam się również, że to arogancki nudziarz. Poza tym zachowuje się jak tyran. A każdy tyran w końcu okazuje się tchórzem. Właśnie dlatego sądzę, że wycofa się, zanim zabrniesz za daleko.

* Chciałbym, żebyś miał rację. Czy naprawdę musisz wracać do domu?

* Jest takie niemieckie słowo, „Pflicht”. Oznacza obowiązek, ale nie tylko. To słowo często używane przez Halderów. Prawdę mówiąc, to dewiza naszej rodziny. Nie mogę zbrukać naszego nazwiska. Bez względu na to, co mój ojciec sądzi o Hitlerze, nie sądzę, aby mógł znieść myśl, że jego syn okazał się pierwszym dezertorem w rodzinie.

* Na twoim miejscu nie przejmowałbym się tym, że Anglicy uważają cię za szpiega. Słyszałem, że niektórzy Niemcy z naszej ekipy o to samo oskarżali Francuzów i Anglików. * Weaver

uśmiechnął się. * Na razie chyba tylko mnie nikt nie podejrzewa o nic złego i to mnie niepokoi.

Halder roześmiał się, a Weaver popatrzył na tłum gości i dodał:

* Dziś wieczorem jakiś człowiek obserwował Rachel. Egipcjanin. Chudy, około czterdziestki, w płóciennym garniturze. Zauważyłeś go?

* Nie, dlaczego pytasz? Weaver wzruszył ramionami.

* To pewnie nie ma znaczenia. Może to jakiś cichy wielbiciel. * Milczał przez chwilę. * Wiesz, co mi przyszło do głowy? Co będzie, jeśli Ameryka przystąpi do wojny i znajdziemy się po przeciwnych stronach? Jak byś się wtedy czuł?

* Okropnie. * Halder potrząsnął głową. * Ale my nigdy nie będziemy wrogami, Harry. Nigdy. Nawet gdyby nasze kraje stanęły przeciwko sobie.

* Chyba tak. * Weaver odstawił kieliszek. * A czy myślisz, że pozostaniemy przyjaciółmi, jeśli okaże się, że Rachel może wybrać jednego z nas?

* Oczywiście. * Halder mrugnął do Weavera. * Muszę jednak przyznać, że gdyby do tego doszło, kuśliby mnie, żeby z > nią walczyć. * Uśmiechnął się i podniósł kieliszek. * A więc ostatni toast. Za przyjaźń i wspaniałe lato.

Weaver też uniósł kieliszek.

* Za przyjaźń. Będzie mi brakowało twojego towarzystwa, Jack. Naprawdę. Dlatego staraj się uważać na siebie. Mam nadzieję, że ta przeklęta wojna nie potrwa długo.

* Ja również. Jeśli jednak mamy jakieś szanse u tej damy, niechaj jej rękę zdobędzie ten, kto pisze piękniejsze listy.

Jack Halder wrócił do Niemiec przez Rzym, rejsowym samolotem pasażerskim z Kairu. Po tygodniu został wcielony do Wehrmachtu i otrzymał przydział do Berlina, na szkolenie oficerskie. Choć nie był zwolennikiem nazistów, okazał się bystrym, odważnym oficerem, a jego intelekt i znajomość języków szybko zwróciły uwagę Abwehry, niemieckiego wywiadu wojskowego. Został osobiście zwerbowany przez admirała Wilhelma Canarisa do wydziału operacji specjalnych w rejonie Bałkanów i Morza Śródziemnego, a kiedy rozpoczęły się działania w Afryce Północnej, przeniesiono go do wydziału środkowo*wschodniego, współpracującego z Afrika Korps Rommla.

Kiedy po powrocie do domu przez sześć miesięcy nie doczekał się listu od Rachel, poznał córkę hamburskiego lekarza, Helgę Ritter, i zakochał się w niej. Było to nagłe i niespodziewane uczucie, ponieważ nadal kochał Rachel i bardzo często o niej myślał. Jednak jego żona okazała się interesującą kobietą, kochającą i pełną życia. Dziesięć miesięcy po ślubie urodziła mu syna, Pauliego.

Rachel Stern nigdy nie napisała do żadnego z nich. Trzy dni po przyjęciu u ambasadora wypłynęła z rodzicami do Sztambułu na leciwym tureckim frachtowcu „Izmir”. Kiedy podczas drugiej nocy po wypłynięciu z portu stała przy relingu sterburty, wciąż wspominając cudowne lato, w maszynowni nastąpił wybuch. Eksplozja zatopiła „Izmir” i zabiła czternaście osób. Jedną z nich była matka Rachel.

Pozostali przy życiu członkowie załogi opuścili palący się statek. Rachel i jej ojciec oraz dwóch ciężko rannych tureckich marynarzy zdołali dostać się na pokład szalupy ratunkowej. Profesor Stern wciąż ścisnął w ręku walizeczkę z cennymi mapami i notatkami z wykopaliska w Sakkarze. W ciemnościach zgubili inne szalupy, a tuż przed północą rozszalała się burza. Ich maleńką łódkę zalewały trzymetrowe fale. Przed świtem pogoda poprawiła się, ale do południa obaj marynarze umarli, a Rachel i jej ojciec byli

wyczerpani, odwodnieni i spieczeni palącym śródziemnomorskim słońcem.

Późnym popołudniem na horyzoncie pojawił się szary cień i skierował się ku nim. Z początku Rachel myślała, że to brytyjska łódź patrolowa szukająca rozbitków, ale kiedy okręt podpłynął bliżej, zobaczyła czerwono*czarną swastykę niemieckiej Kriegsmarine. Razem z ojcem zatrzymano ją na pokładzie okrętu, kiedy wpłynął do Neapolu, żeby zatankować paliwo, a dwa tygodnie później oboje znaleźli się w Hamburgu, gdzie czekało na nich gestapo.

Harry Weaver pozostał w Egipcie znacznie dłużej, niż przewidywał, jako członek amerykańskiej ekspedycji archeologicznej, szukającej starożytnych ruin na pustyni. Sześć miesięcy przed lądowaniem oddziałów Rommła w Trypolisie odleciał do Lizbony i dalej, do Londynu, a potem przez Southampton wrócił do Stanów Zjednoczonych. Dzień po japońskim ataku na Pearl Harbor na ochotnika zgłosił się do wojska.

Jeszcze będąc w Sakkarze, dowiedział się o zatonięciu „Iz*miru”. Było trochę po północy, ktoś przyszedł do jego namiotu z gazetą i pokazał mu artykuł, w którym napisano, że jedynymi ocalonymi byli czterej tureccy marynarze, których szalupę znalazł maltański trawler.

Przeczytał tę wiadomość przy świetle lampy naftowej i zapłakał. Bardzo kochał Rachel i tamtej nocy na werandzie ambasadora tyle miał jej do powiedzenia... ale nie znalazł okazji albo odwagi. Potem zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby każdy zrozpaczony młody człowiek. Odłożył gazetę, wyjął z torby butelkę whisky i upił się.

Jednak zanim zasnął, spojrzął jeszcze na przechowywaną jak największy skarb fotografię, na której byli razem. Rachel, Jack i on. Troje młodych, roześmianych ludzi, obejmujących się i stojących na pustynnym piasku Sakkary.

To były szczęśliwe chwile.

LISTOPAD 1943

Rozdział 4

Kair,

10 listopada

To były najgorętsze letnie miesiące od trzydziestu sześciu lat. Starożytne miasto wybudowane w cieniu piramid Gizy zawsze cuchnęło, ale teraz śmierdziało jak zatkany ściek. Czyste niebo i fala upałów nad całą Afryką Północną i Europą jeszcze pogarszały koszmar wojny. A jednak, mimo wszystko, był to doniosły rok dla aliantów. Potężny niegdyś Rommel został pobity, niemiecka 6 armia feldmarszałka von Paulusa skapitulowała pod Stalingradem, oddziały generała Pattona wylądowały na Sycylii, a drugie co do wielkości miasto Rzeszy, ogromny port Hamburg, zostało zmienione w stertę gruzów.

Potem przyszła jesień. Ochłodziło się, niemieckie oddziały zaczęły się przegrupowywać i nagle działania wojenne uległy stagnacji. We wrzącym kotle, jakim był Kair, takie wieści znaczyły o wiele mniej niż chłodne wiatry i długo oczekiwane deszczowe chmury, które na początku listopada wreszcie nadciągnęły znad Morza Śródziemnego.

Ukryty w gąszczu drzew Mustafa Evir miał wrażenie, że dokuczliwe letnie upały wcale się nie skończyły. Była już noc, a jednak pot spływał mu po plecach, twarzy i szyi. Oczywiście ze strachu. Próbując opanować lęk, bawił się tanim arabskim różańcem, trzymanym w prawej ręce. Zdawał sobie sprawę z tego, jak niebezpieczne jest to, co zamierza zrobić. Wiedział, że jeden błąd może go kosztować życie.

Był niskim mężczyzną, żylastym i chudym. Miał na sobie nędzny czarny garnitur, znoszone skórzane sandały oraz brudną Koszulę bez kołnierzyka. Jego nieogolona twarz przywodziła na myśl czujnego starego lisa, nieustannie tropionego przez

ogary. Znajdował się na terenie otoczonej murem posiadłości w bogatej dzielnicy Garden City, gdzie mieściło się kilka rezydencji ambasadorów obcych państw. Z cierpliwością myśliwego czekał już od godziny i teraz nadchodził czas działania. Sześćdziesiąt kroków dalej stała, otoczona trawnikami, elegancka willa amerykańskiego ambasadora. Przed podwójnymi dębowymi drzwiami przechadzali się dwaj uzbrojeni wartownicy, a następni dwaj siedzieli w budce, pilnując bramy wjazdowej.

Evir spojrzął za siebie, na ogród, na altanę i budkę strażniczą, sprawdzając, czy nadal są w niej wartownicy. Za kutą żelazną bramą, w gęstym mroku, widział zarys mostu Kasrel*Nil oraz szeroką, majestatyczną rzekę i upiornie białe żagle feluk, mknących po wysrebrzonej księżycowym blaskiem wodzie. Na drugim brzegu rzeki zauważył wysoki minaret meczetu i odmówił cichą modlitwę. Modły nigdy w niczym nie odmieniły jego nędznego życia, ale w ten sposób próbował opanować zdenerwowanie. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, był powrót do cuchnącej, zatłoczonej celi, którą dzielił z dwunastoma innymi więźniami. Błagał Allacha o pomoc.

Kiedy odwrócił się, w holu willi zapaliło się światło i Evir zastygł. Po chwili usłyszał warkot zapuszczanego silnika, a potem zza rogu służbówki wyjechał imponujący czarny ford i zatrzymał się przed głównym wejściem. Wartownicy wyprężyli się służbiście, gdy dębowe drzwi otworzyły się i stanął w nich mężczyzna w wieczorowym stroju. Amerykański ambasador był dobrze odżywiony. Evir pogardliwie splunął. Co taki człowiek wiedział, jak to jest mieć siedem gęb do wykarmienia? Życ w nędznym szałasie? Zaharowywać się co dzień, żeby wyżyć w takim mieście jak Kair?

Szofer otworzył przed ambasadorem drzwiczki samochodu i po chwili ford ruszył, a zaraz potem zgasiło światło w holu. Gdy tylko samochód wyjechał za bramę, wartownicy rozluźnili się, a dwaj strażnicy przy bramie usiedli na granitowych stopniach i zapalili papierosy. Evir jeszcze przez pięć minut czał się w cieniu drzew, po czym otarł pot z czoła, wepchnął różanec do kieszeni i wstał, rozmasowując sobie kolana. Czas wziąć się do pracy.

Rezydencja ambasadora Stanów Zjednoczonych miała opinię dobrze strzeżonej, ale Mustafa Evir również cieszył się swoją

reputacją. Tym, którzy korzystali z jego usług, był znany jako Lis. Nie było domu, do którego nie potrafiłby się włamać, ani sejf, którego nie zdołałby otworzyć. Jednak trzy długie wyroki, odsiedziane w ciągu trzydziestoletniej kariery w piekle kair*skiego więzienia Torah, ostudziły jego zapał do tej roboty. Kiedy trzy miesiące wcześniej został zwolniony, miał zamiar wieść uczciwe życie, ale jedynym zajęciem, jakie zdołał znaleźć, była wyczerpująca praca tragarza, noszącego ciężkie bele bawełny po stromych brukowanych uliczkach. Tłusty kupiec bławat*ny, który go zatrudnił, traktował go jak psa i płacił mu tak kiepsko, że Evir ledwie mógł wyżywić rodzinę. Dzisiejsza robota powinna przynieść mu fortunę.

Wartownicy i środki bezpieczeństwa nie robiły na nim żadnego wrażenia. Od tygodnia obserwował willę i wartowników, notując w pamięci plan ogrodu, oceniając odległości i przewidując przeszkody. Ryzyko było ogromne i nie mógł sobie pozwolić na błędy. Jednak bez trudu zdołał wspiąć się na mur rezydencji i niepostrzeżenie przeczołgać się przez trawnik na patio po drugiej stronie domu. Wiedział, że teraz, kiedy Niemcy przegrywali w Afryce Północnej, wartownicy nie będą tak czujni. Dotarł do drzwi werandy i stanął. Pot spływał mu po twarzy. Wyjął zza pasa długi, wąski nóż, wsunął ostrze w szparę okna, z łatwością pokonał zatrzask i wszedł za zasłony, do ciemnego, wyłożonego dębową boazerią gabinetu.

Tego wieczoru bazar Khan*el*Khalili był jak zawsze zatłoczony i pełen gwaru, korzennych zapachów i odoru spoconych ciał, ale przeciskający się przez tłum Evir był zadowolony z siebie. Dwie godziny wcześniej wykonał dobrą robotę. Labirynt wąskich uliczek rozbrzmiewał nawoływaniem straganiarzy i błagających o wsparcie kalek. Evir trzymał rękę w kieszeni, chroniąc schowany w niej cenny łup. Nawet kryminalista nie był bezpieczny na tym bazarze. Tutejsi złodzieje potrafili ukraść pieniądze z miseczki ślepca.

Podeszło do niego dwóch małych, chudych chłopców.

* Bakszysz... * żebrali.

* Wynocha, sucze syny!

Chłopcy opluli go, roześmiali się i uciekli. Evir nawet nie próbował ich dogonić i wytargać za uszy. Miał na głowie ważniejsze sprawy. W połowie drogi przez bazar dotarł do

ruchliwego skrzyżowania, pełnego sklepów i restauracji. Na ulicach i chodnikach panował ścisk, z kawiarni i barów płynęła głośna muzyka, ludzie wpychali się do tramwajów i autobusów, ryzykownie wisząc na zderzakach i bokach pojazdów.

Pomimo wojny w Kairze niezbyt przestrzegano zaciemnienia: nie wszystkie reflektory samochodów i klosze latarni były zamalowane niebieską farbą. Ulicami śmigały stare, poobijane taksówki, w wyniku braku części zamiennych przeważnie z rozbitymi lampami, pogiętymi zderzakami i popękkanymi szybami. Nie obowiązywały jakiegokolwiek przepisy ruchu drogowego, a kierowcy samochodów musieli współzawodniczyć z ciągniętymi przez osły wózkami lub pędzonym ulicami bydłem: kozami, owcami, krowami i wielbłądami. Co gorsza, na chodnikach roiło się od pijanych żołnierzy na przepustkach. Między barami o takich nazwach jak „Domu, słodki domu” lub „Stara Anglia” snuli się Anglicy, Amerykanie i Australijczycy.

Pamiętając o otrzymanych instrukcjach, Evir zaczekał na skrzyżowaniu. Przed herbaciarniami wysiadywały gromadki rozgadanych Arabów, pykających nargile, grających w tryk*traka i popijających kawę z maleńkich filiżanek. Ulicą z rykiem przemykały różne pojazdy i po pięciu minutach Evir ujrzał zabłocony motocykl BSA, który nadjechał ulicą z lewej strony, zwolnił i zatrzymał się. Maszynę prowadził brodaty Arab w ga*labii. Gestem kazał czekającemu wsiąść na motor. Evir wgra*molił się do bocznego kosza i BSA z rykiem ruszył naprzód.

Jadąc, mężczyzna wciąż oglądał się przez ramię, jakby sprawdzając, czy nikt ich nie śledzi. Kierował się ku meczetowi El Hakim, lawirując w ciasnych uliczkach. Po dziesięciu minutach wyjechali na brukowany plac otoczony wysokimi domami z drewna i cegieł. Zsiedli z BSA, mężczyzna zabezpieczył motor łańcuchem i kłódką, po czym skinął na Evira. Weszli do sieni jednego z domów i po drewnianych schodach ruszyli na pierwsze piętro. Znajdowały się tam drzwi zamknięte na trzy masywne zamki. Arab otworzył je wyjętymi z kieszeni kluczami, a potem wprowadził Evira do środka.

* I co? * zapytał.

* Zrobiłem, co chciałeś. Brodaty wyglądał na zadowolonego.

* Jesteś pewien, że nikt nie zauważył cię w rezydencji?

Evir roześmiał się.

* Gdyby było inaczej, myślisz, że przyszedłbym na spotkanie?

Był już w tym lokalu dwukrotnie, kiedy tamten uczył go, jak posługiwać się sprzętem. Mieszkanie było małe, lecz funkcjonalne, ze stolikiem do kawy, dywanami na podłodze i blaszanym piecykiem pod ścianą. Pachniało jednak stęchlizną i Evir podejrzewał, że rzadko ktoś tutaj przebywa. Mężczyzna wyciągnął rękę.

* Daj mi aparat.

* Najpierw moje pieniądze * zażądał Evir.

* Dostaniesz je później. Evir potrząsnął głową.

* Chcę je teraz.

* Później * odparł stanowczo mężczyzna. * Kiedy spraw*dzę, co zrobisz. Jeśli zdjęcia nie wyjdą, będziesz musiał tam wrócić.

* Wrócić?

* Tak. Teraz daj mi kamerę.

Evir usłyszał w jego głosie twardą nutę i dostrzegł groźny błysk w oczach. Wyjął z kieszeni małą leicę i podał brodatemu.

* Zaczekaj tu * polecił tamten.

Mężczyzna wszedł do sypialni i zamknął drzwi. Na prawo znajdowała się garderoba, w której urządził sobie ciemnię i z której płynął słaby, kwaskowaty zapach chemikaliów. Brodacz wszedł tam i zamknął za sobą przesuwane drzwi, pociągnął za zwisający z sufitu sznurek i rozbłysło czerwone światło, ukazując półkę ze szklanymi słoikami wywoływacza i utrwalacza. Leżał tam również stoper, dwie metalowe kuwety, wentylator i cienkie drewniane pudełko z matowym szkłem osadzonym w wieczku i zapalonymi wewnątrz żarówkami. Brodaty przelał odczynniki do kuwet, wyjął z małej leiki rolkę filmu, umieścił go w wywoływaczu, włączył stoper i odczekał trzy minuty, a potem włożył film do utrwalacza.

W końcu włączył wentylator i przytrzymał wywołany negatyw w strumieniu powietrza, susząc go. Potem włączył przeglądarkę i położył na niej film. Uważnie obejrzał go przez szkło powiększające. Kiedy oglądał fotografie stronic oznaczonych pieczęcią „ściśle tajne”, drgnął zaskoczony.

Dopiero po dłuższej chwili opanował wzburzenie, wziął bawełniany ręcznik i wytarł ręce. Wchodząc do pokoju, chyba wciąż wyglądał na zaskoczonego, ponieważ Evir zapytał:

* Co się stało? Czy coś jest nie tak? Brodaty pokręcił głową.

* Nie, nic. Wykonałeś doskonałą robotę. * Odrzucił ręcznik. * A teraz wynośmy się stąd.

* Dokąd?

* Chcesz dostać twoje pieniądze, prawda?

Dwadzieścia minut później zatrzymali się przed zrujnowanym magazynem w starych dokach. Wokół nie było nikogo, metalowa brama stała otworem i brodaty wjechał BSA na brukowany dziedziniec przed barakiem. Evir poczuł ukłucie strachu.

* Po co tu przyjechaliśmy? Mężczyzna zgasił silnik.

* Chodź, przecież chcesz dostać pieniądze.

Zsiadł z motocykla, oparł go o ścianę i wszedł do magazynu, a Evir niechętnie poszedł za nim. W środku

panował nieopisany nieład. Przepastne wnętrze magazynu było wypełnione stertami zardzewiałego metalu i usiane kałużami zużytego oleju. W jednym rogu stała pogięta żelazna beczka, a na niej sztormowa lampa. Brodaty zapalił ją i rzucił zapalną na podłogę.

Miękkie, żółte światło zalało magazyn. Mężczyzna wyjął z kieszeni grubą kopertę i pomachał nią w powietrzu.

* Zanim zapłacę, chcę ci zadać kilka pytań. Czy wzięłeś coś z sejfu?

Evir zobaczył, że tamten uważnie mu się przygląda.

* Na życie moich dzieci przysięgam, że zrobiłem tylko to, co mi kazałeś.

Brodaty wciąż na niego patrzył.

* Jesteś pewien, że mówisz prawdę?

Evir poczuł się nieswojo. Dreszcz strachu przebiegł mu po plecach.

* Kazałeś mi sfotografować wszystkie dokumenty, jakie znajdę w sejfie. Zrobiłem to. A teraz chcę dostać moje pieniądze.

* Cierpliwości. I na pewno nikomu nie powiedziałaś o naszej umowie?

* Nikomu. Niech Allah utnie mi język, jeśli tżę.

Evir mówił prawdę. Wyraźnie ostrzeżono go przed konsekwencjami. Brodaty kiwnął głową i uśmiechnął się z zadowoleniem.

* Dobrze. Pozostała jeszcze jedna sprawa... Evir zmarszczył brwi.

* Jaka?

Brodaty odłożył kopertę i wsunął rękę do kieszeni. Kiedy znów ją wyjął, już się nie uśmiechał i trzymał w dłoni zakrzywiony arabski sztylet z rękojeścią ze słoniowej kości, mordercze narzędzie podobne do stalowego szponu.

* Nie mogę pozwolić ci odejść. Za dużo wiesz i widziałeś moją twarz.

Rozdział 5

Zatoka Chesapeake, Wirginia, 12 listopada, godzina 8.50

Tego ranka słońce skryło się za czarnymi deszczowymi chmurami, gdy wielki, pomalowany szarą farbą pancernik USS „Iowa”, ważący pięćdziesiąt osiem tysięcy ton i będący dumą floty Stanów Zjednoczonych, rzucił kotwicę osiem kilometrów od brzegu Wirginii.

Kapitan Joe McCrea patrzył z mostka na holownik, który płynął ku nim od brzegu, podskakując na łagodnej fali. Byli eskortowani przez pół tuzina okrętów wojennych, które uwijały się wokół jak kwoki wokół kurczęcia. Dwadzieścia minut wcześniej McCrea otrzymał wiadomość, że specjaliści pasażerowie są gotowi do wejścia na pokład. Wśród nich była najważniejsza osoba, jaką w ciągu ponaddwudziestoletniej służby gościł na dowodzonym przez siebie statku, i McCrea wiedział, że wkrótce rozpocznie najważniejszą misję w swoim życiu. Odwrócił się do stojącego obok podporucznika.

* Przygotować się do przyjęcia pasażerów.

* Tak jest, kapitanie.

McCrea odłożył lornetkę, a podporucznik zszedł na główny pokład. „Iowa”, ze swoją dwu i półtysięczną załogą, był jak miniaturowe miasteczko. Najeżony budzącymi respekt lufami dział i działek przeciwlotniczych, z pokładami i platformami o łącznej powierzchni dziewięciu akrów, pomimo ogromnych rozmiarów mógł rozwijać prędkość trzydziestu trzech węzłów, co czyniło go najszybszą jednostką w swojej klasie. W pobliżu, rozstawione w szuku bojowym, kołyszac się na łagodnych falach, czekały okręty eskorty, dysponujące ogromną siłą ognia. Ten widok podniósł kapitana na duchu. Może nie była to

najsilniejsza flota w historii, ale zdecydowanie jedna z najlepszych. Obciągnął mundur, a potem zszedł na dolny pokład, żeby powitać pasażerów.

Kiedy holownik podpłynął w końcu do burty pancernika, McCrea zobaczył co najmniej tuzin ludzi, cywilów i marynarzy, stłoczonych na rufie. Załoga pospiesznie przygotowywała się do przejęcia pasażerów. Ze względu na wysokość „Iowa” jego dolny pokład znajdował się dziesięć metrów nad powierzchnią morza. Spuszczono małą platformę, na którą mieli przejść pasażerowie, ale nie było to takie proste. Niecodziennie bierze się na pokład prezydenta Stanów Zjednoczonych. Franklin Delano Roosevelt był kaleką, przez większość życia przykutym do wózka inwalidzkiego i na tym właśnie polegał problem. Nie mógł przejść na platformę, więc przygotowano dla niego specjalną uprzęż, w której miał zostać wciągnięty na pokład.

McCrea patrzył na gromadkę agentów Secret Service, którzy przeskoczyli z holownika na platformę. Potem przyszła kolej na prezydenta. Zobaczył znajomą sylwetkę Roosevelta, jego szeroką, uśmiechniętą twarz. Agenci podnieśli go z fotela. Nogi prezydenta, cienkie jak kończyny zbyt wyrosniętego nastolatka, tkwiły w metalowych szynach * była to pamiątka po przebytej w dzieciństwie heinemedinie. Dwaj agenci założyli mu szelki i zapięli je, a marynarze zaczęli wciągać go w górę.

Nie był to zbyt przyjemny widok i budził poważne obawy Joego McCrea. Prezydent najpotężniejszego mocarstwa na ziemi, człowiek, od którego zależały losy tej wojny, był wciągany na pokład „Iowa” w uprzęż z drewna i lin. Jednak na twarzy Roosevelta nie dostrzegł śladu lęku czy przygnębienia, tylko

posępne zdecydowanie. Kapitan cierpliwie czekał, z sercem podchodzącym do gardła, prosząc Boga, żeby obeszło się bez niespodzianek, żeby liny wytrzymały i żeby prezydent Stanów Zjednoczonych nie wyslizgnął się z uprzęży i nie utonął.

W końcu Roosevelt znalazł się na pokładzie i McCrea odetchnął z ulgą. Agenci Secret Service pospiesznie ruszyli z pomocą prezydentowi, podtoczono mu wózek i okryto ramiona grubym marynarskim płaszczem. Kapitan widział podziw na twarzach obserwującej to załogi, młodych i nie tak młodych amerykańskich marynarzy tłoczących się na pokładzie, żeby choć rzucić okiem na sławnego pasażera. Spoglądali na Roosevelta z uwiel

bieniem i podziwem i chętnie zgotowaliby mu owacyjne przyjęcie, ale nie pozwalały im na to rozkazy. To była ściśle tajna misja i załoga „Iowa” musiała się do nich zastosować. McCrea

zasalutował.

* Witamy na pokładzie, panie prezydencie. Roosevelt uśmiechnął się ciepło i podał mu rękę.

* Kapitanie McCrea, a więc to pan jest tym nieszczęśnikiem, któremu przypadł wątpliwy zaszczyt bezpiecznego przewiezienia mnie do miejsca przeznaczenia?

* Tak jest, panie prezydencie. Przygotowaliśmy już panu kwaterę. Jeśli zechce pan tam przejść...

McCrea nie dokończył, przypominając sobie nagle, że mówi do człowieka przykutego do wózka. Zaczerwienił się, zdając sobie sprawę z popełnionej gafy. Od dwóch lat był adiutantem Roosevelta, jednak nieugięta determinacja prezydenta sprawiała, że wciąż zapominał nie tylko o jego kalectwie, ale i o poważnej chorobie krążenia.

Ale Roosevelt nie zwrócił uwagi na niezręczność kapitana, serdecznie uścisnął jego dłoń i roześmiał się.

* Niech pan się nie przejmuję. Doskonale sobie radzę w tym paskudnym urządzeniu, więc proszę tylko pokazać mi drogę.

Kiedy weszli do znajdującej się na górnym pokładzie kabiny Roosevelta, McCrea powiedział:

* Pozwoliłem sobie przynieść tu kilka map, żeby pokazać panu naszą trasę, panie prezydencie.

Roosevelt umieścił lucky strike'a w bakelitowej lufce.

* To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, kapitanie. Agent Secret Service podał mu ogień i podtoczył wózek do

stołu. Drugi agent stał obok, trzymając czarną torbę lekarską z najpotrzebniejszymi medykamentami: pigułkami na serce, maściami rozgrzewającymi, słoiczkami rozmaitych środków przeciwbólowych i * jak zwykle * buteleczką whisky.

McCrea zaczekał, aż Roosevelt założy okulary, a potem pokazał mapę.

* Wytyczyliśmy kurs na południe od Azorów, a potem na północny wschód do Cieśniny Gibraltarskiej i dalej, do Oranu. Dopłyniemy tam za dziewięć dni, dwudziestego. Stamtąd odleci pan samolotem do Kairu, o ile nie będzie żadnych problemów.

Roosevelt uśmiechnął się łagodnie, trzymając w zębach lufkę.

* Zakładam, że jesteście na nie dobrze przygotowani?

* Mamy szybki okręt i eskortę niszczycieli. To powinno wystarczyć, żeby uniknąć ataku niemieckich łodzi podwodnych. Jednak nigdy nie ma całkowitej pewności, panie prezydencie.

Roosevelt wzruszył ramionami.

* Jak to na wojnie, kapitanie.

* Nasze samoloty będą wypatrywać wroga na trasie naszej podróży, a niszczyciele użyją sonaru w tym samym celu. Największym zagrożeniem są nieprzyjacielskie U*booty. Są śmiertelnie niebezpieczne.

Roosevelt wyjął z ust lufkę.

* To niezwykle ważna podróż, kapitanie. Można powiedzieć, że zależą od niej setki tysięcy istnień... nie mówiąc już o wyniku wojny i przyszłości naszego narodu. Sądzi pan, że nam się uda?

McCrea milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

* Tego nie można przewidzieć, panie prezydencie. Okręty wroga prowadzą ożywioną działalność na Atlantyku. Jednak Niemcy nie znają naszych planów i popłyniemy bardzo szybko, więc jestem przekonany, że bezpiecznie dowieziemy pana do celu.

Roosevelt zdjął okulary i obdarzył go jednym ze swoich słynnych krzywych uśmiezków.

* Kapitanie, wygląda na to, że mój los spoczywa teraz w pańskich rękach.

Mężczyzna miał na sobie czarny sztormiak, będący standardowym wyposażeniem amerykańskiej Coast Guard. Prawie trzy godziny czekał, leżąc w siąpiącym deszczu na mokrej trawie porastającej skaliste wybrzeże Norfolk. W ręce trzymał silną morską lornetkę. Zanim zobaczył, jak holownik podpływa do „Iowa”, deszcz przestał padać i widoczność znacznie się poprawiła. Po pięciu minutach wepchnął lornetkę pod sztormiak i szybko pomaszerował ścieżką na dół. Dotarł do ukrytego w wysokiej trawie roweru, wsiadł nań i szybko odjechał.

Berlin,

14 listopada,

godzina 8.30

Admirał Wilhelm Canaris był dziwnym człowiekiem.

Zwykle nosił w pracy kapcie, a w jego gabinecie zawsze panował nieład. Nie było tam obowiązkowego portretu Hitlera, bowiem Canaris * albo „Mały Admirał”, jak czule nazywali go dawni podkomendni z dowodzonego przez niego U*boota * darzył pogardą grubiańskiego i pompatycznego Fuhrera. Roztropnie jednak nie okazywał tej wzgardy, ponieważ był szefem Abwehry, niemieckiego wywiadu wojskowego, i kierował prawie dwudziestoma tysiącami jej pracowników i agentów rozsianych w trzydziestu różnych krajach na całym świecie.

Dochodziło południe, gdy młody pruski adiutant zapukał do drzwi jego biura w głównej berlińskiej kwaterze Abwehry przy Tirpitz Ufer 74*76, opodal kanału Landwehr. Nie usłyszał odpowiedzi, ale wszedł. Adiutant pełnił tę funkcję zaledwie od tygodnia, lecz już oswoił się z ekscentrycznym zachowaniem admirała. Ujrzał niskiego mężczyznę po pięćdziesiątce, przygarbionego, o krzaczastych brwiach, wyglądającego jak prowincjonalny nauczyciel, w wytartych kapciach i pomiętym marynarskim mundurze, klęczącego na podłodze i karmiącego dwa nerwowo podrygujące jamniki. Adiutant chrząknął.

* Panie admirale...

Canaris spojrział na niego z roztargnieniem.

* O co chodzi, Bauer?

* Telefon z głównej kwatery SS, od generała Schellenberga.

* A czego tym razem chce Walter?

* Generał prosi o pilne spotkanie o dziewiętej zero zero.

* W jakim celu?

* Nie powiedział, panie admirale. Mówił tylko, że to pilna sprawa.

Nagle w oddali rozległo się wycie syreny. Canaris westchnął, poklepał psy, uspokajając je, wstał i strzepnął kurz z kolan. Amerykańskie „Latające Fortece” przez cały poprzedni tydzień bombardowały w dzień Berlin, wyrządzając poważne szkody. Syrena zapowiadała właśnie kolejny nalot.

* No cóż, chyba lepiej będzie, jeśli podstawisz mi pan samochód. I proszę się pospieszyć, zanim Amerykanie zabiorą się do dzieła.

* Rozkaz, panie admirale! * szczerknął służbiście Bauer, wyprężył się i trzasnął obcasami.

Jamniki zaskomliły, a Canaris z dezaprobatą zmarszczył brwi.

* Niech pan coś dla mnie zrobi, Bauer. To trzaskanie obcasami i pokrzykiwanie pasuje na paradzie, ale proszę powstrzymać się od tego w biurze. Straszy pan psy.

Bauer poczerwieniał.

* Jak pan sobie życzy, panie admirale.

Kiedy adiutant wyszedł, Canaris spojrzał na swoje ukochane jamniki i westchnął ze znużeniem.

* Nie ma ani chwili odpoczynku, moje dzieci. Przeczuję, że młody Walter znów coś wymyślił.

Walter Schellenberg, trzydziestodwuletni prawnik, był jednym z najbardziej nieortodoksyjnych oficerów SS, jakich Canaris spotkał w swoim życiu, a także jednym z najsympatyczniejszych. Był zuchwały i przystojny i umiał cieszyć się życiem. Absolwent uniwersytetu w Bonn, wstąpił do SS po dojściu Hitlera do władzy w 1933 roku i zrobił karierę w SD, organizacji wywiadowczej SS, gdzie jego intelekt i rzeczowy stosunek do pracy szybko zwróciły uwagę Himmlera. Wkrótce został jednym z jego najbliższych współpracowników, a w końcu kierownikiem sekcji zagranicznej, ponieważ podobnie jak sam Himmler, uwielbiał spiski, intrygi i tajemnice.

Chociaż na zewnątrz trwał nalot i z otworu wentylacyjnego w ścianie wydobywały się cienkie smużki dymu, Schellenberg był w dobrym humorze, kiedy Canaris wszedł do jego gabinetu na trzecim piętrze.

* Usiądź, Wilhelmie * uśmiechnął się do admirała. * Jak

zwykle, wyglądasz tak, jakbyś dźwigał na ramionach ciężar trosk całego świata.

Schellenberg miał na sobie czarny mundur SS, z wyszytymi srebrną nitką literami RFSS na rękawach. Rcisshluehrer SS. Widząc te insygnia, Canaris zrywał się w duchu. Zawsze niechętnie odwiedzał Główne Biuro Bezpieczeństwa Rzeszy na Prinz Albrecht Strasse, kwaterę SS i gestapo, z której Heinrich Himmler i jego personel zarządzali imperium zła. Czarne mundury i ponure otoczenie nieodmiennie wywoływały w nim dreszcz niepokoju.

* Czasem naprawdę tak się czuję * odparł. * A więc cóż takiego tym razem, Walterze?

Huk bomb ucichł na chwilę i Canaris usłyszał pisk opon na wewnętrznym dziedzińcu, na który wjechała ciężarówka, a zaraz po niej mercedes. Z samochodów wysiedli gestapowcy w skórzanych płaszczach i zaczęli wyciągać więźniów, kierując ich do izb tortur. Wśród aresztowanych było kilku wyższych oficerów Wehrmachtu, głównie w podeszłym wieku. Niektórym towarzyszyły zaskoczone żony i inni członkowie rodzin. Canaris odniósł wrażenie, że poznaje jednego czy dwóch z nich. Gestapowcy brutalnie kopali ich i bili kolbami pistoletów, kierując do wejścia do piwnicy.

* Co się dzieje, do diabła? * warknął zaniepokojony Canaris.

* Paskudna historia * mruknął obserwujący tę scenę Schellenberg. * Wszyscy są podejrzani o udział w spisku. Himmler ma podstawy podejrzewać, że to grupa zdrajców, planująca zamach na Hitlera. Ostatnie dowody, uzyskane w trakcie przesłuchań, wskazują, że grupa wyższych oficerów zamierzała podłożyć w marcu tego roku bombę w jego samolocie. Tylko zrządzenie opatrzości sprawiło, że ładunek nie eksplodował.

* Wielki Boże! * zawołał Canaris. * Nie mówisz chyba poważnie?

* Niestety, jak najbardziej. Któż by uwierzył, że ktoś, kto przysięgał wierność Fiihrerowi, może chcieć jego śmierci? Nie przejmuj się, wytropimy ich, nawet gdybyśmy mieli przesłuchać wszystkich w armii, marynarce i lotnictwie. * Schellenberg odwrócił się od okna, włożył papierosa do ust, zapalił go i wydmuchnął dym pod sufit. * Ale do rzeczy. Ostatnie informacje od moich agentów w Persji i na Środkowym Wschodzie okazały się niezwykle interesujące. Wszystko wskazuje na to, że kairskie i teherańskie spotkanie przywódców aliantów dojdzie

do skutku, tak jak podejrzewaliśmy. Jak dobrze wiesz, Roose*velt jeszcze nie podjął decyzji w kwestii lądowania w Europie. Canaris oderwał oczy od nieprzyjemnego widowiska na dziedzińcu i ciężko westchnął, jakby już wiedział, co usłyszy.

* Dlaczego mam wrażenie, że zaraz przedstawiś mi jakiś kolejny fantastyczny plan?

Schellenberg uśmiechnął się.

* Mój drogi Wilhelmie, to jedyny powód mojego istnienia. Czym byłoby życie bez drobnych intryg, które czynią je interesującym?

* Może więc mi go wyjawisz.

* Po pierwsze, powiedz mi, co sądzisz o prezydencie Roose*velcie?

Canaris uniósł brew.

* A cóż to znowu? Podchwytliwe pytanie, mające mnie skompromitować?

Ich organizacje wywiadowcze rywalizowały ze sobą i Canaris miał nieprzyjemne podejrzenie, że Schellenberg zastawia na niego pułapkę.

* Wprost przeciwnie, to proste pytanie, na które chciałbym otrzymać szczerą odpowiedź.

Canaris wzruszył ramionami.

* Muszę przyznać, że darzę go niechętnym podziwem, chociaż to nasz wróg. Kalece, który większość życia spędza przykuty do fotela, a jednak trzykrotnie wygrał wybory prezydenckie, należy się odrobina szacunku. Jest prawdopodobnie najbardziej podziwianym prezydentem od czasu Lincolna. Niemal samodzielnie podźwignął gospodarkę kraju z najgorszego kryzysu w historii, za co go szanują, chociaż

my, Niemcy, nienawidzimy go za wciągnięcie Ameryki do wojny i bombardowanie naszych miast.

* Uczciwa ocena. * Schellenberg wstał, obszedł biurko i usiadł na jego krawędzi. * A co wiesz o moim najlepszym agencie w Kairze?

* Sądzę, że mówisz o „Słowiku”. Wiem tylko, że podobno jest najlepszym człowiekiem, jakiego masz.

Schellenberg roześmiał się i potrząsnął głową.

* Zapomnij o „Słowiku”, to już przeszłość. Mówię o chwili obecnej.

* Nic nie wiem. Przecież wszystko trzymasz w tajemnicy. Schellenberg uśmiechnął się.

* Czasy się zmieniają i nadszedł moment, kiedy powinniśmy współpracować. W tym momencie ważą się losy wojny. Niektórzy nawet twierdzą, że przegrywamy.

Canaris uniósł brew i powiedział:

* Nie wyrażałbym tej opinii zbyt głośno, Walterze. Chyba że chcesz pożegnać się z karierą i stracić jądra w jakiejś piwnicy.

Schellenberg odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

* Właśnie za to cię lubię, Wilhelmie, że zawsze masz na względzie moje dobro. Jednak wróćmy do tematu. W tej chwili mamy w Kairze dwóch dobrych agentów. Najważniejszym jest niejaki Harvey Deacon, pseudonim „Beszeba”. Urodzony w Hamburgu, ma czterdzieści osiem lat.

* Jest obywatelem Niemiec?

* Nie, Anglii. To dość zabawne, zważywszy na to, że serdecznie nienawidzi aliantów.

* Mogę zapytać za co?

* Brytyjczycy są odpowiedzialni za śmierć jego ojca.

* To wystarczający motyw.

* Właśnie. Jest właścicielem klubu nocnego i biznesmenem. Mogę ci też powiedzieć, że jest bezwzględny i bardzo zdolny. W przeszłości oddał nam ważne usługi, nawet bardzo ważne.

* A drugi?

* Arab, Hassan Sabry. Pseudonim „Feniks”. Przydzieliliśmy go Rommlowi, a potem przenieśliśmy do Kairu. Jego interesuje tylko wygnanie Brytyjczyków z Egiptu. Obaj ci ludzie są sprytni jak szczury, ale mają zbyt ograniczone możliwości, żebyśmy mogli wykorzystać ich do poważniejszych zadań.

* Dlaczego mówisz mi to wszystko?

Schellenberg zduśił papierosa i zaraz zapalił następnego.

* Potrzebuję twojej pomocy. Myślę o czymś, co wymaga współdziałania paru twoich ludzi z Deaconem i Sabrym.

* W jakim celu? Schellenberg spojrzął na Canarisa.

* Ponieważ, mój drogi Wilhelmie, razem zabijemy prezydenta Roosevelta.

W pokoju było tak cicho, że Canaris słyszał tykanie zegara. Odpowiedź Schellenberga zaskoczyła szefa Abwehry. Kiedy wreszcie doszedł do siebie, rzekł:

* Postradałeś rozum? To zwariowany pomysł.

* Ja nazwałbym go zuchwałym. Zapomniałeś, że zaledwie sześć tygodni temu spadochroniarze pułkownika Otto Skorzeny'ego odbili Mussoliniego z silnie ufortyfikowanego więzienia. Zanim podjęliśmy tę misję, wszystko wskazywało na to, że zakończy się niepowodzeniem. Dawaliśmy im tylko dziesięć procent szans, a jednak odnieśli sukces. Akcja trwała zaledwie cztery minuty i nie straciliśmy ani jednego człowieka.

Brawurowe uwolnienie Duce, uwięzionego w hotelu „Campo Imperatore” w Abruzzi, miało miejsce 12 września i SD wciąż jeszcze się tym chełpiła, ale Canaris potrząsnął głową.

* To całkiem inna sprawa. Obaj wiemy, że Roosevelt, podobnie jak Churchill, jest doskonale strzeżony, w dzień i w nocy. To niemożliwe.

* Wszystko jest możliwe, Wilhelmie. A rozpacзлиwa sytuacja wymaga desperackich posunięć. Poza tym wszystko zależy od dobrego planu.

* Więc jak właściwie zamierzasz dokonać zamachu na prezydenta Stanów Zjednoczonych?

* Najpierw coś ci pokażę. * Schellenberg podsunął admirałowi kartkę papieru ze stosiku leżącego na biurku. Gdy Canaris zaczął czytać, Schellenberg dodał: * To dość istotna informacja, od Deacona. Sądzę, że zgodzisz się, że natrafił na złoty samorodek.

Canaris przeczytał rozszyfrowaną depezę i spojrzął na Schellenberga.

* Czy to prawda? Schellenberg uśmiechnął się.

* Przypuszczałem, że będziesz zaskoczony. Jak widzisz, potwierdza to nasze informacje, że Roosevelt przybędzie do Kairu dwudziestego drugiego, za osiem dni, a potem odleci do Teheranu. Ma tam odbyć rozmowy z Churchillem i delegacją chińskich polityków na temat wsparcia działań wojennych na Dalekim Wschodzie. Jednak Himmler jest przekonany, że prawdziwym celem wizyty Roosevelta jest uzgodnienie z Churchillem terminu lądowania w Europie. Nawet nie chcę myśleć, co będzie, jeśli do niego dojdzie... będziemy wtedy musieli walczyć na wszystkich frontach.

Canaris ponownie przeczytał depezę i podniósł ją w palcach.

* Czy jesteś całkowicie pewny, że to wiarygodna informacja?

* Tak samo jak twoi, wszyscy agenci SD za granicą otrzy

mali rozkaz, aby zbierać wiadomości o spotkaniach w Teheranie i Kairze. Jeden z naszych amerykańskich agentów dwa dni temu zauważył okręt wojenny „Iowa”, opuszczający zatokę Chesapeake po podjęciu cywilnych pasażerów. Można by rzec, iż to nic nadzwyczajnego, ale podejrzewaliśmy, że okręt tej klasy mógł być wykorzystany do przetransportowania Roosevelta do Afryki Północnej. Oczywiście to były jedynie podejrzania i potrzebowaliśmy dokładniejszych informacji. Na szczęście Deacon odkrył coś więcej. Zdołał zdobyć fotografie ściśle tajnych dokumentów z sejfu w rezydencji amerykańskiego ambasadora w Kairze, potwierdzające datę konferencji. Mikrofilm przywieziono zeszłej nocy z Hiszpanii, pocztą dyplomatyczną.

* Jak, na Boga, Deacon zdołał sfotografować te dokumenty?

Schellenberg uśmiechnął się.

* Przed kilkoma tygodniami zawiadomił nas, że na terenie słynnego hotelu „Mena House”, w pobliżu piramid w Gizie, jest stawiany jakiś budynek. Krążyły pogłoski, że niebawem ma się tam odbyć jakieś ważne spotkanie. Naturalnie natychmiast poleciliśmy mu zebrać więcej informacji, ale zdołał jedynie stwierdzić, że hotel został w całości przejęty przez wojsko. Doszedłem do wniosku, iż właśnie tam odbędzie się konferencja. Osobiście poleciłem Deaconowi podjąć próbę włamania się do ambasady brytyjskiej lub amerykańskiej, jako najbardziej prawdopodobnych miejsc przechowywania informacji. To była rozpaczliwa próba, zuchwała i bardzo ryzykowna, ale po kilkudniowej obserwacji mój agent doszedł do wniosku, że oba te miejsca są zbyt dobrze strzeżone.

* Tak więc nie zdołał się do nich włamać?

* Dlatego zajął się rezydencją amerykańskiego ambasadora, jako słabiej strzeżoną. Od hiszpańskiego dyplomaty dowiedział się, że za tydzień Amerykanin weźmie udział w uroczystej kolacji wydawanej w tureckiej ambasadzie, i poczynił odpowiednie kroki. Zatrudnił do tego zadania włamywacza, jednego z najlepszych w Kairze. * Schellenberg uśmiechnął się. * Najważniejsze, że teraz wiemy na pewno, iż prezydent Stanów Zjednoczonych odwiedzi Kair, i znamy przybliżoną datę tej wizyty. To zbyt dobra okazja, żeby z niej nie skorzystać, nie uważasz?

* A jeśli ta informacja ma nas wprowadzić w błąd?

* Daj spokój, naprawdę myślisz, że alianci trzymaliby ją

w strzeżonym sejfie, gdyby chcieli, aby wpadła w nasze ręce? Deacon jest pewny, że nikt nie wie o tym, że włamano się do rezydencji i sfotografowano dokumenty. A to oznacza, że mamy przewagę zaskoczenia.

Canaris odłożył depeszę, ale wciąż nie dowierzał.

* Mówisz poważnie, prawda? Rzeczywiście zamierzasz zrealizować ten plan?

Schellenberg skinął głową.

* Myślałem o podjęciu próby w Teheranie, ale Iran to zbyt wrogie terytorium. Przy tak licznych obecnych tam oddziałach alianckich i paranoi Stalina operacja byłaby zbyt trudna. Egipt to zupełnie inna sprawa. Teraz, kiedy Rommel przestał być zagrożeniem, rozluźniono środki bezpieczeństwa. Poza tym Kair znajduje się daleko za linią frontu, więc alianci nie będą oczekiwali ataku. Oczywiście postawimy w stan gotowości Luftwaffe i wilcze stada naszych U*bootów na Atlantyku, w nadziei, że zlokalizują konwój Roosevelta i zatopią go. Jednak nie można na to liczyć, więc przeprowadzimy ten plan tak, jakby tylko od niego zależały losy wojny.

* A dokładnie na czym ma on polegać?

* Niestety dokument nie ujawniał miejsca zakwaterowania Roosevelta ani podjętych środków bezpieczeństwa, co stwarza pewien problem, ale do przezwyciężenia. Co do samej operacji, będzie składała się z dwóch faz, podobnie jak plan odbicia Mussoliniego. Najpierw wyślemy niewielką, dobrze dobraną grupę, która dowie się, gdzie dokładnie będzie stacjonował prezydent i premier oraz jak silną będą mieli ochronę. Kiedy będziemy to wiedzieli, spróbujemy coś wymyślić. Jak wiesz, zawsze można znaleźć jakieś słabe ogniwo. Gdy je rozpracują, zawiadomią nas drogą radiową. Wtedy rozpocznie się druga i ostatnia faza operacji. W jednej z włoskich baz lotniczych będą czekać samoloty z doborowym oddziałem spadochroniarzy Skorzeny'ego * najtwardsi i najlepiej wyszkoleni żołnierze SS. Obaj wiemy, że nasi spadochroniarze są najlepsi na świecie, bez wahania oddadzą życie za Fiihrera. Kiedy otrzymamy sygnał, polecą do Kairu i wylądują na opanowanym wcześniej przez naszych agentów lotnisku w pobliżu miasta, gdzie wylądują sprzęt: samochody, ciężarówki i inne pojazdy potrzebne ludziom Skorzeny'ego. Jeśli alianci zamierzają umieścić Roosevelta w hotelu „Mena House”, jak podejrzewam, to tym lepiej. Esesmani Skorzeny'ego już udowodnili w Abruzzi, że potrafią

zdobyć silnie strzeżony hotel. Wpadną tam i znikną tak szybko, że alianci nawet nie zdążą się zorientować.

* Skoro już mają tam być, to czemu nie mieliby zabić i Churchilla? * rzucił niedbale Canaris.

* Jeden cel zawsze łatwiej osiągnąć niż dwa. Śmierć Churchilla byłaby dodatkową korzyścią i jeśli natrafi się okazja, zapewniam cię, że zostanie wykorzystana. Jednak najważniejszy jest dla nas Roosevelt.

Canaris westchnął.

* Nadal uważam, że to głupota. Alianci będą go pilnowali lepiej niż bankowego sejf. Na ziemi i w powietrzu.

Schellenberg uśmiechnął się.

* Jak stwierdziliśmy w przypadku Mussoliniego, zawsze jest jakiś sposób, żeby otworzyć sejf, przyjacielu. Nie doceniasz ewentualnych korzyści. Śmierć jednego z przywódców aliantów byłaby dla nas błogosławieństwem, a Roosevelta szczególnie. On jest ogniwem łączącym aliantów oraz ich najważniejszym kwatermistrzem. Kiedy usuniemy go z drogi, wśród aliantów zapanuje zamieszanie. Nie sądzę, żeby po jego śmierci Amerykanie zechcieli w przyszłym roku lądować w Europie, na co nalegają Brytyjczycy i Rosjanie. Zapewne doszłoby do rozłamu, co byłoby dla nas bardzo korzystne i dało nam czas

na odzyskanie przewagi. Pomyśl też, jak dodatnio wpłynęłoby to na morale naszych żołnierzy. Poza tym dalibyśmy Amerykanom lekcję. Powinni wiedzieć, że nie mogą bezkarnie bombardować niemieckich miast i wtrącać się do wojny, w której nie biorą udziału. Najwyższy czas, żeby ktoś wymierzył im policzek.

* Chcesz powiedzieć, że ta operacja jest już przesądzona?

* Jeśli nasze U*booty lub Luftwaffe nie zatopią jakimś cudem „Iowa”, możesz być tego pewien. Mamy już kryptonim: Operacja „Sfinks”.

* A więc wyprzedziłeś mnie. Kto wydał rozkaz?

* Himmler.

Canaris potrząsnął głową.

* Nie mów mi, że Fiihrer aprobuje to szaleństwo.

* Sprawdź sam. Nadał tej operacji absolutny priorytet.

Schellenberg podsunął mu kolejny dokument z kupki i Canaris zobaczył podpis Adolfa Hitlera. Przeczytał dokument i podniósł głowę.

* Wspólna operacja Abwehry i SD... to dość niezwykle.

* Zgadzam się. Jednak Fiihrer wciąż ma wam za złe wasze

ostatnie niepowodzenie w Kairze. Nadal nie wie, czy traktować to jako nielojalność, czy niekompetencję. Dlatego chce, żebym to ja pokierował tą operacją, ale przy twoim udziale. Z pewnością byłby bardzo niezadowolony, gdybyś nie przyłożył do niej ręki i nie udzielił mi pomocy. * Schellenberg uśmiechnął się chytrze. * Boże broń, jeszcze mógłby zaliczyć cię do tych, którzy spiskowali przeciw niemu.

Abwehra, chociaż potrafiła opracowywać naprawdę doskonałe plany, czasem okazywała rozpaczliwą nieudolność przy ich realizacji. Ich najważniejszy szpieg w Egipcie, John Eppler, wpadł rok wcześniej, schwytany przez Brytyjczyków, kiedy dostarczone mu banknoty funtowe okazały się doskonale, ale nie idealnie podrobione, co doprowadziło do jego aresztowania. Abwehra popełniła jeszcze poważniejszy błąd, który Canarisowi udało się utrzymać w tajemnicy. Rok wcześniej jeden z jego agentów w Hiszpanii dowiedział się, że Roosevelt i Churchill mają się spotkać w Casablance. Drogą radiową przestał do Berlina wiadomość o dacie, czasie i miejscu spotkania. Ponieważ jednak agent był Hiszpanem, jakiś idiota z Abwehry źle przetłumaczył depezę i zameldował zwierzchnikom, że przywódcy aliantów zamierzają spotkać się nie w Afryce Północnej, lecz w Białym Domu w Waszyngtonie.

Canaris poczerwieniał, słysząc tę zawołowaną groźbę.

* Zdaje się, że nie mam wyboru. Których moich ludzi masz na myśli?

* Przede wszystkim potrzebuję jednego z twoich egipskich agentów. Najlepiej mieszkającego w jakiejś odludnej okolicy, nie więcej niż kilka dni drogi od Kairu. Kogoś, komu można zaufać.

Canaris wzruszył ramionami.

* Chyba znajdę jednego czy dwóch takich. Mów dalej.

* Po drugie, sędzę, że najlepiej poprowadziłby pierwszy zespół Jack Halder. To jeden z twoich najlepszych ludzi, dobrze zna Kair, mówi po arabsku i jest dostatecznie bystry, żeby przygotować teren dla Skorzeny'ego. Poza tym wychował się w Ameryce i płynnie mówi po angielsku, bo przez jakiś czas studiował w Oksfordzie. Wszystko to może się przydać, kiedy będzie musiał dostać się do kwatery Roosevelta.

Canaris spochmurniał.

* A więc dlatego biuro Reichsführera zażądało wczoraj jego akt? Sądziłem, że chodziło o tę historię na Sycylii.

Schellenberg uśmiechnął się.

* Musisz przyznać, że Halder cieszy się doskonałą reputacją. Sposób, w jaki zdołał przeniknąć w szeregi aliantów w Afryce Północnej, przeszedł do legendy. W Kairze i Aleksandrii, w przebraniu brytyjskiego oficera, zbierał informacje pod samym nosem wroga. Niezwykły wyczyn.

* Z pewnością jest jednym z moich najlepszych ludzi, ale tracisz czas * odparł Canaris. * Jeśli czytałeś jego akta, to wiesz, że załamała go ta nieprzyjemna sprawa z ojcem i synem. Niczym się już nie interesuje i większość czasu spędza w letnim domku ojca na brzegu Wannsee. Odwiedziłem go w ubiegłym miesiącu i widziałem, że jest piekielnie nieszczęśliwy.

Schellenberg odparł ponuro:

* Tak, to tragiczne, ale stało się. A jeśli zdołam go przekonać?

* To samobójcza misja, Walterze. Poślesz go na pewną śmierć.

* Zapewniam cię, że ten plan można zrealizować * stwierdził stanowczo Schellenberg. * A ci, którzy przeżyją operację, będą mogli bezpiecznie wrócić do domu. Co więcej, jestem przekonany, że przynasz mi rację, kiedy poznasz wszystkie szczegóły.

Canaris wiedział, że nie ma sensu się spierać. Ze znużeniem wzruszył ramionami.

* Znając Haldera, podejrzewam, że są szanse, że to może się udać.

Schellenberg uśmiechnął się zimno.

* Musi. Himmler zapewnił mnie, że w przeciwnym razie Fiihrer zażąda naszych głów.

* Przecież tydzień to za mało, żeby przygotować taką

operację?

* Właśnie dlatego musimy się bardzo spieszyć. Nie ma ani

chwili do stracenia.

Rozdział 7

Berlin

Tuż po jedenastej tego samego ranka mercedes Schellenberga zatrzymał się przed letnim domkiem na pustym brzegu jeziora Wannsee, dziesięć kilometrów na zachód od Berlina. Senna wioska na skraju Griinewaldu była popularnym miejscem odpoczynku wyższych oficerów niemieckiej armii i wielu z nich miało tu domki letniskowe. Deszczowe chmury rozeszły się i był pogodny listopadowy dzień.

Z jednopiętrowego, pomalowanego na biało drewnianego domku roztaczał się wspaniały widok na jezioro. Otoczony drewnianym płotem budynek miał niewielką werandę i Schel*lenberg uśmiechnął się na widok opartego o sztachety damskiego roweru. Ruszył po schodkach, niosąc skórzaną dyplomatkę i oficerską szpicrutę ze srebrną rączką.

Frontowe drzwi były otwarte, więc wszedł do saloniku. Domek składał się z zaledwie paru pokoików. Zobaczył kamienny kominek, stół i fotele oraz drzwi prowadzące do kuchni i sypialni. Na półkach stały książki, mosiężne popiersie króla Tut i oprawiona w srebrne ramki fotografia pięknej blondynki z małym chłopcem, ale w pokoju panował bałagan. Schellenberg zauważył niedopitą butelkę szampana i dwa kieliszki na stole, na podłodze parę damskich butów i szarą spódnicę od munduru, a na oparciu fotela kilka ręczników.

* Halder? Jesteś tam?

Po chwili drzwi sypialni otworzyły się i wyszła z niej dziewczyna. Miała na sobie tylko mundurową bluzę z naszywkami kaprała, odsłaniającą gołe nogi i bieliznę. Ze zdumioną miną złapała ręcznik i zasłoniła się nim.

* Kim pan jest, na Boga? Schellenberg uśmiechnął się.

* Mógłbym zadać pani to samo pytanie, panienko. Generał Walter Schellenberg, a pani?

Była młoda i ładna i miała rozwichrzone włosy, jakby dopiero co wyszła z łóżka. Widząc czarny mundur SS i usłyszawszy nazwisko, zaczerwieniła się ze zmieszania.

* Hei... Heidi Schmidt, korpus medyczny Wehrmachtu * wyjąkała.

* Czarujące. Spocznij, Heidi, nie jesteś na paradzie. Możesz mi powiedzieć, gdzie jest Halder?

* Powiedział, że idzie pobiegać i popływać.

* Jest twoim przyjacielem?

* Poznaliśmy się w barze w Wannsee * odparła dziewczyna. * Wyglądał na przygnębionego, więc przyjechałam tu sprawdzić, czy dobrze się czuje.

Schellenberg uśmiechnął się.

* Budzi w tobie matczyne uczucia, prawda? Cieszę się, że ma towarzystwo, bo naprawdę go potrzebuje. Czy to twój rower widziałem na zewnątrz?

Schylił się, końcem szpicruty podniósł z podłogi spódnice i podał ją dziewczynie.

* No cóż, Heidi, myślę, że będzie lepiej, jeśli teraz ubierzesz się i odjedziesz. Halder i ja mamy coś do załatwienia i naprawdę nie chcę, żeby ktoś nam przeszkadzał.

Jack Halder pocił się, biegnąc brzegiem jeziora. Był bez koszuli, tylko w tenisówkach i luźnych bawełnianych szortach. Jego opalony tors pokrywała siateczka drobnych blizn. Miał skronie przyprószone przedwczesną siwizną i ślady zmarszczek wokół oczu, ale na wargach ten sam uśmiech co dawniej, choć tego ranka odrobinę poważniejszy. W dłoni ścisnął stoper i kiedy dobiegł do skał na skraju jeziora, przystanął, wcisnął przycisk i z niechęcią spojrzął na wskazania.

* Do licha, stać cię na więcej, Halder * mruknął do siebie.

Znów zaczął biec, wkładając w to wszystkie siły. Kiedy okrążył zatoczkę i dobiegł do skał, zobaczył siedzącego na piasku oficera w czarnym mundurze. Przybysz miał na twarzy uśmiech, a w ręku papierosa. Halder zatrzymał się, zrobił kilka głębokich wdechów i spojrzął na Schellenberga, który uśmiechnął się jeszcze szerzej.

* No cóż, Jack, widzę, że znów nabierasz formy. To zawsze dobry znak. Zastanawiałem się, czy nie popływać z tobą, ale chyba dam sobie spokój. Potrzebujesz lepszego rywala niż ja.

Schellenberg rzucił mu ręcznik, który trzymał w drugiej ręce. Halder złapał go i otarł pot z twarzy.

* Ty draniu, czego chcesz?

* Tak się nie wita starego druha. * Generał spojrzął na poznaczoną bliznami pierś Haldera. * Widzę, że rany dobrze się wygoiły. Nawiasem mówiąc, spodobała mi się ta młoda dama, która dotrzymywała ci

towarzystwa. * I dodał już nieco poważniej: * Czy pomogła ci ukoić ból, przyjacielu?

* To nie twój cholerny interes.

* Masz całkowitą rację. * Schellenberg wstał, otrzepał mundur z piasku i podniósł dyplomatkę. * Może pójdziemy do domku? Chciałbym coś z tobą przedyskutować.

Schellenberg rozlał resztę szampana do dwóch wąskich kieliszków i podał jeden Halderowi, ale on potrząsnął głową.

* Nie, dziękuję. Czego ode mnie chcesz?

Zdążył wziąć prysznic i przebrać się, a teraz siedział na kanapie.

* Porozmawiać po przyjacielsku * odparł Schellenberg. * Obawiam się, że chodzi o nowe zadanie.

* Ostatni raz słyszałem to przed kilkoma miesiącami. Dzięki tobie admirał Canaris wysłał mnie, żebym jako amerykański oficer pomógł sprowadzić jednego z twoich generałów SS spoza linii frontu na Sycylii. Dostałem wtedy kulę w nogę i odłamkami szrapnela w pierś.

Schellenberg upił tyk szampana.

* Godne ubolewania, ale nikt lepiej od ciebie nie nadawał się do tej roli i dlatego cię tam wysłaliśmy. Spełniłeś moje oczekiwania i odniosłeś wspaniałe sukcesy. Jesteś pewien, że nie chcesz trochę szampana, Jack? Jest naprawdę doskonały.

* Idź do diabła.

Schellenberg wzruszył ramionami i spojrzał na butelkę.

* No, no. Dom Perignon rocznik trzydzieści sześć. Widzę, że potrafisz zadbać o siebie.

* To prezent od przyjaciela.

* Nie musisz się tłumaczyć. * Schellenberg zdjął z półki jedną z książek. * Dzieła zebrane Carla Junga. Mam wrażenie,

że jego filozofia to dość przygnębiająca lektura, prawda? Stary Carl nie przepadał za żartami i śmiechem.

* Pasuje do mojego obecnego nastroju.

* I co my mamy z tobą zrobić, przyjacielu? * Schellenberg odłożył książkę na półkę i spojrzał na oprawione w srebrne ramki zdjęcie kobiety z chłopcem. * Bardzo ją kochałeś, prawda, Jack?

Zobaczył żal na twarzy Haldera i bezgraniczny smutek w jego oczach. Jack wstał i powiedział ochryple:

* Ta dziewczyna z Wehrmachtu, którą widziałeś, to tylko miły dzieciak. Ktoś, z kim się upiłem i przed kim wylałem swoje smutki. Może w końcu musiałem z kimś porozmawiać. I jeśli naprawdę chcesz wiedzieć,

wcale nie ukoła mojego bólu.

* Ostatnie lata nie były dla ciebie łatwe, prawda? Straciłeś młodą żonę, a potem ta historia w Hamburgu. Z prawdziwą przykrością dowiedziałem się o twoim ojcu * rzekł cicho Schellenberg. * Naprawdę. Mam nadzieję, że przyjmiesz moje kondolencje. Słyszałem, że chłopiec wciąż dochodzi do siebie?

* I potrwa to jeszcze długo. Stało się. Nie mówmy już o tym. Schellenberg odstawił kieliszek i powiedział rzeczowym

tonem:

* Jednak wciąż jesteś zły i masz po temu powody. Ale ja potrafię dobrze wykorzystać twój gniew.

Otworzył walizeczkę, wyjął akta i położył je na stoliku.

* Co to takiego?

* To wiąże się z tym, co spotkało twojego ojca i syna. Ostatnie raporty naszego wywiadu dotyczące alianckich nalotów lotniczych na Hamburg.

* I co z nich wynika?

* Najwidoczniej naloty odbywały się za aprobatą brytyjskiego i amerykańskiego rządu. Oba kraje zgodnie pragnęły całkowitego zniszczenia miasta, co miało być okrutną nauką dla Niemiec. Okazało się to najstraszliwszym aktem zemsty w historii. Czy znasz całkowite rozmiary zniszczeń?

Halder odparł ze złością:

* Słuchaj, Schellenberg, wiem tylko, że straciłem ojca, a mój syn jest tak straszliwie poparzony, że będzie miał szczęście, jeśli kiedykolwiek znów będzie chodził.

* Twój ojciec wybrał zły czas na odwiedzin w Hamburgu.

* Leżałem wtedy w szpitalu, wracając do zdrowia po tej

wycieczce, na którą mnie wysłałeś, pamiętasz? * powiedział z goryczą Halder. * Pauli był pod opieką dziadka.

* Nie możesz mnie o to winić, Jack. To alianci dokonali nalotu na Hamburg. Dziesięć kilometrów kwadratowych drugiego co do wielkości miasta w Niemczech zrównane z ziemią, przeszło sześćdziesiąt tysięcy zabitych, głównie cywilów, sto tysięcy rannych. Celowo użyli fosforowych bomb zapalających, aby zadać jak największe straty. W mieście rozpętało się piekło, ludzie płonęli jak pochodnie, a żar był tak potworny, że zamieniał ulice w rzeki ognia. Podejrzewamy, że wcześniej czy później alianci mogą zrobić to samo z Berlinem. Goebbels już zarządził ewakuację miliona obywateli.

Halder nawet nie spojrział na akta.

* Do rzeczy * mruknął.

* Chcę coś z tobą omówić. To delikatna i niebezpieczna sprawa, która może przywróci życie twojej udręczonej duszy. Canaris zaproponował, że wypożyczy mi cię, jeśli wyrazisz zgodę.

* Nie pracuję dla SD. I odpowiedź brzmi „nie”, obojętnie o co chodzi. Nie jestem zainteresowany. Z przyjemnością przesiedzę resztę wojny w Berlinie.

* A co potem? Zaczekasz, aż Amerykanie powieszą cię jako zdrajcę? Może i jesteś niemieckim obywatelem, ale urodziłeś się w Ameryce, a z twoim życiorysem to dość prawdopodobny scenariusz. Co wtedy stanie się z twoim synem? On cię potrzebuje, Jack. Teraz nawet bardziej niż przedtem. Czy naprawdę sądzisz, że Canaris pozwoli ci odpoczywać w Berlinie? Ponieważ twoje rany się wygoiły, będziesz mu bardzo potrzebny, zwłaszcza że wojna wkroczyła w tak trudną fazę. A to zmniejsza twoje szanse na pozostanie przy życiu. Z drugiej strony, jeśli pomożesz mi przeprowadzić ten plan, skasujemy twoje akta i będziesz wolny.

* Mówisz, że miałbym odejść z Abwehry?

* Mówię o wyjeździe z Niemiec. O uwolnieniu się od wojny, jeśli tego chcesz * powiedział Schellenberg.

Zobaczył zdziwienie na twarzy Haldera.

* Masz na to moje słowo, Jack * dodał. * A także Himmlera i Fihrera. Ty i twój syn moglibyście zacząć nowe życie razem, bezpieczni i daleko stąd.

Halder zmarszczył brwi.

* A jaką miałbym za to zapłacić cenę?

Schellenberg uśmiechnął się.

* Jak zawsze szybko orientujesz się w sytuacji.

* Powiedz.

I Schellenberg powiedział mu.

Halder przez chwilę spoglądał na niego z niedowierzaniem, a potem roześmiał się.

* Walterze, zdecydowanie zwariowałeś na stare lata.

* Zapewniam cię, że ten plan jest wykonalny. Znasz mnie, zawsze starannie odrabiam moją pracę domową.

* Admirał wie o tym?

* To ma być wspólna operacja. Wiem, że to niezwykle, ale w tych okolicznościach nieuniknione. Osobiście pokieruję przygotowaniem i opracowaniem planu.

Halder podszedł do okna, przegarnął palcami włosy i odwrócił się.

* Zabić Roosevelta? Wiem, że uważasz mnie za awanturника, ale wierz mi, nie mam samobójczych skłonności. Ten, kto podejmie się tej misji, będzie miał takie same szanse ująć z życiem, jak jednonogi uciec z płonącego lasu.

Schellenberg uśmiechnął się.

* Ciekawe porównanie, ale całkiem nieodpowiednie. Ten plan jest naprawdę bardzo prosty. Dotrzesz ze swoją grupą do Kairu, gdzie zostaniecie umieszczeni w bezpiecznej kryjówce. Wszystko, czego będziecie potrzebowali, aby względnie swobodnie poruszać się po mieście * alianckie mundury i pojazdy * przygotowują wam moi agenci, którzy będą wam także służyć wszelką inną możliwą pomocą. Musicie tylko dokładnie ustalić, gdzie zostanie zakwaterowany Roosevelt * prawdopodobnie w hotelu „Mena House” * i znaleźć słaby punkt w jego ochronie, który moglibyśmy wykorzystać. Będziecie także musieli przejąć małe, niezbyt dobrze pilnowane lotnisko, jakieś dziesięć kilometrów od piramid w Gizie. Po wykonaniu tych zadań zawiadomicie nas drogą radiową. A kiedy wylądują nasi spadochroniarze z SS, zaprowadzicie ich do celu i resztę zostawicie im. Potem zabierzemy was stamtąd.

* Jak?

* Tak samo, jak ludzi Skorzeny'ego, drogą powietrzną.

* Jeśli ktoś będzie miał szczęście i przeżyje. A do czego ja ci jestem potrzebny?

* Mówiłem ci, moi agenci w Kairze może są sprytni, ale nie potrafią wykonać takiego zadania. Natomiast ty idealnie się do tego nadajesz. Już działałeś na tyłach wroga, płynnie mówisz po arabsku i znasz Kair.

* Chyba są lepsze powody? Na pewno masz agentów, którzy mówią po arabsku i lepiej znają miasto niż ja.

Schellenberg pokręcił głową.

* Niewielu, a z pewnością nie tak dobrych jak ty. Wielokrotnie doskonale udawałeś amerykańskich i brytyjskich oficerów, więc potrafisz zrobić to znowu. * Schellenberg otworzył walizeczkę i rozłożył na stole plan Kairu. * Przyniosłem to, żebyś przypomniał sobie miasto.

* Trochę się pospieszyłeś. Jeszcze nie podjąłem decyzji. I nic mi nie powiedziałaś o pozostałych członkach grupy.

* Przewiduję troje: dwóch esesmanów i kobieta.

* Opowiedz mi o nich.

* Esesmani to major Dieter Kleist i feldfelbel Hans Doring. Obaj służyli w oddziałach Otto Skorzeny'ego.

* Dieter Kleist? * powtórzył Halder i dodał z pogardą: * To zwierzę, zwyczajny żołdak. Widziałem, co wyprawiał na Bałkanach. Ma paskudny zwyczaj rozstrzeliwania jeńców i gwałcenia kobiet, zanim je zabije.

* Możliwe, ale nawet zwierzę może się czasem przydać. Ten nasz Kleist to bardzo skuteczna i śmiertelna broń. Ostatnio został przeniesiony pod komendę Skorzeny'ego i świetnie spisuje się w akcji. Poza tym niezłe mówi po angielsku i arabsku, zna także Egipt. Kiedyś pracował dla niemieckiej firmy poszukującej złóż nafty.

* A co z Doringiem?

* Przed wojną spędził jakiś czas na Środkowym Wschodzie jako kierowca i mechanik niemieckiej ekspedycji archeologicznej. Teraz jest specem od tajnych operacji za frontem i ma wspaniałe referencje.

* Od kogo?

* Od samego Skorzeny'ego. Himmler upiera się, żeby ludzie Skorzeny'ego weszli w skład pierwszego zespołu. Jestem przekonany, że razem zdołacie wypełnić to zadanie.

Halder potrząsnął głową.

* Nadal niezbyt mi się to podoba. A kobieta?

* Nazywa się Rachel Stern.

Halder zaniemówił. Po dłuższej chwili milczenia Schellenberg zapalił papierosa i powiedział:

* To zrozumiałe, że jesteś zaskoczony. O ile wiem, kiedyś ją znałeś.

Halder nadal milczał.

* O co chodzi? * zapytał Schellenberg.

* Upłynęło sporo czasu, od kiedy ostatni raz słyszałem to nazwisko.

Schellenberg uśmiechnął się.

* Ponownie przejrzałem twoje akta, oczywiście za zezwoleniem Canarisa. W ekipie archeologów, z którymi pracowałeś w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, było kilku agentów SD. Jeden z nich miał pseudonim „Słowik” i był naszym najlepszym człowiekiem. Z ciekawości sprawdziłem jego raporty. Znalazłem w nich nazwisko twoje i tej dziewczyny. Zdaje się, że bardzo ci na niej zależało. To dość lekkomyślnie z twojej strony, Jack, zważywszy na to, że była pół*Żydówką. Czy ta wiadomość cię dziwi?

* Mnie już nic nie dziwi. Gdzie była przez cały ten czas? Co się stało z nią i jej rodziną?

* Profesor to interesujący człowiek. Znany archeolog z kilkoma znaczącymi osiągnięciami, ale także zdecydowany przeciwnik Hitlera. Chociaż wiele czasu spędził za granicą, gestapo bardzo chciało dostać go w swoje ręce. W końcu im się to udało.

* To znaczy?

* Cztery lata temu okręt Kriegsmarine wyłowił dziewczynę i jej ojca z Morza Śródziemnego. Byli pasażerami tureckiego frachtowca płynącego do Stambułu. Statek zatonął w wyniku eksplozji kotła i żona profesora zginęła. Od tego czasu dziewczyna przebywa w obozie dla kobiet w Ravensbrück, a jej ojciec odsiaduje trzydzieści lat w Dachau.

Halder poczerwieniał z wściekłości.

* Nagle przypominasz mi, dlaczego nigdy nie lubiłem Hitlera.

* Daj spokój, Jack. To nie moja sprawa. Prawdę mówiąc, cała ta antyżydowska nagonka wydaje mi się dość odrażająca. Zapomnę o tym, co powiedziałeś... lepiej nie mówić głośno takich rzeczy.

* Zawsze zastanawiałem się, co się stało z Rachel i jej rodziną. Teraz wiem. Natomiast nie wiem, jaką rolę Rachel odgrywa w twoim planie? Do czego jest ci potrzebna?

* Uważaj ją za polisę ubezpieczeniową... tymczasową, ale bardzo potrzebną.

* Co masz na myśli?

* Podobnie jak ty, płynnie mówi po angielsku i arabsku, a także zna Egipt. Jednak przede wszystkim jest doświadczonym archeologiem, tak jak jej ojciec. Nie obraź się, ale ty byłeś w tej dziedzinie zaledwie zdolnym amatorem.

* Dlaczego jej profesja ma takie znaczenie?

* To bardzo proste. Dla zachowania pozorów, wasza grupa będzie działać pod przykrywką ekspedycji archeologicznej, uwięzionej przez wojnę na Środkowym Wschodzie. Moi informatorzy donoszą, że z powodu działań wojennych kilka takich ekip nadal przebywa na tym terenie. Nie muszę mówić, że nie mogę wyjawić ci wszystkich szczegółów planu, dopóki nie wyrazisz zgody, ale na pewno domyślasz się, że otrzymacie doskonale podrobione papiery i dokumenty, które przejdą najdokładniejsze oględziny. I nie będziecie musieli zbyt długo posługiwać się tą przykrywką. Spędzicie w Kairze najwyżej dwa do trzech dni.

* Przecież mogliście wymyślić inną legendę. Jesteś pewien, że nie wykorzystujesz Rachel, żeby zachęcić mnie do udziału w tej operacji?

Schellenberg uśmiechnął się.

* Przypuszczenie nie bez podstaw, ale mamy inny powód. I naprawdę bardzo ważny, chociaż na razie nie mogę ci go wyjawić. Dowiesz się w swoim czasie, jeśli wyrazisz zgodę.

* Zapominasz o jednym ważnym fakcie. Skąd wiesz, że ona się na to zgodzi?

* Znajdziemy sposób, żeby ją przekonać. Poza tym ona nie zna naszych prawdziwych zamiarów. Dla niej będzie to tylko mała operacja wywiadowcza w Kairze.

Halder potrząsnął głową.

* Nie podoba mi się ten pomysł. Jeśli była w obozie, to dość już wycierpiała.

* Obawiam się, że nie mamy lepszego kandydata. Himmler już przeczytał jej akta i zdecydował, że idealnie się do tego nadaje. I muszę przyznać, że się z nim zgadzam.

W głosie Haldera zabrzmiały błagalne nutki:

* Tylko nie ona, Walterze. Proszę cię.

* Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. * Schellenberg zamilkł na chwilę, po czym dodał: * Jestem pewien, że będzie

bezpieczniejsza, jeśli tam pojedziesz. Szczególnie przy Kleiście. Obawiałbym się o jej bezpieczeństwo, kiedy przestanie być potrzebna.

Twarz Haldera wykrzywił gniew.

* Jesteś draniem, Walterze!

* Musimy wygrać wojnę. Nie ma czasu na sentymenty.

* Chyba nie wierzysz, że ten zwariowany plan może się powieść?

* Wprost przeciwnie, jestem tego pewien. To, czego Sko*rzeni dokonał we Włoszech, można powtórzyć w Egipcie. To będzie błyskawiczne uderzenie. Nasi ludzie przeprowadzą atak i wycofają się tak szybko, że alianci nie zorientują się, co jest grane. Jeśli chodzi o twoją grupę, to słyszałem, że Kair jest teraz kosmopolitycznym miastem. Pełno w nim zabłąkanych Europejczyków i Amerykanów, nie mówiąc już o żołnierzach innych narodowości. To wielkie miasto liczące przeszło dwa miliony mieszkańców, więc nikt nie zauważy paru nowych twarzy. Powinniście móc poruszać się po nim bez żadnych trudności. Przy okazji, Himmler obiecał odznaczyć cię Krzyżem Rycerskim, jeśli przyjmiesz tę propozycję.

* Możecie sobie zatrzymać ten przekłęty medal. Schellenberg roześmiał się.

* Wiedziałem, że tak powiesz. Ważniejsze jest, że zgodził się na to, żebyś razem z synem wyjechał do Szwecji. Później mógłbyś robić, co chcesz.

* Sam nie wiem... To wszystko wydaje mi się zbyt ryzykowne.

* Wierz mi, to może się udać. Pomyśl tylko: Niemiec amerykańskiego pochodzenia, wysłany po to, aby pomóc zabić Roosevelta? Jest w tym jakaś przewrotna sprawiedliwość. Wiesz, co się stanie, jeśli przegramy wojnę i wpadniesz w ręce Amerykanów. Długa odsiadka albo stryczek. A w ten sposób miałbyś szansę. Jedno ostatnie zadanie i koniec. Jest jeszcze coś...

* Co?

Schellenberg ruchem głowy wskazał leżące na stole akta.

* Powinieneś przeczytać ten raport o nalocie na Hamburg. To Roosevelt osobiście podpisał rozkaz, a

nawet publicznie nakazywał załogom bombowców, aby działały bezlitośnie. Teraz Niemcy mają rachunek do wyrównania, a ty okazję, by odpłacić za to, co spotkało twojego ojca i synka. To osobisty

powód, ale zawsze uważałem, że osobista motywacja pomaga w takich sprawach.

* Kto mówi, że pragnę zemsty?

* Widzę to w twoich oczach, Jack. Masz to wypisane na twarzy. Kraj twojej matki zabił twojego ojca i okaleczył twoje dziecko. Teraz masz szansę mu odpłacić.

* A jeśli z niej nie skorzystam? Schellenberg wzruszył ramionami.

* Mądry pies zawsze trzyma się stada. Poza tym jeśli odmówisz, zapewniam cię, że Himmler będzie bardzo niezadowolony. Pomyśl też o dziewczynie. Przy tobie będzie bezpieczniejsza niż przy Kleiście.

* Kto będzie dowodził?

* Pierwszą fazą operacji kierowałbyś wyłącznie ty. Oczywiście ty i Kleist jesteście równi rangą, ale Kleist by ci podlegał i musiałby wykonywać twoje rozkazy. Dopóki nasi spadochroniarze nie wylądują w Kairze. Później dowodzenie przejąłby Otto Skorzeny.

* Alianci kontrolują niebo nad południowym akwenem Morza Śródziemnego. Musielibyście znaleźć bardzo odważnego lub lekkomyślnego pilota, który spróbowałby dolecieć do Egiptu nieuzbrojonym samolotem, bez eskorty Luftwaffe. Bo zakładam, że tak ma to wyglądać?

Schellenberg skinął głową.

* Na pewno znasz paru naszych najlepszych pilotów, którzy wykonywali misje dla Abwehry. Jeżeli to cię pocieszy, możesz sam wybrać któregoś z nich. * Zamilkł, a po chwili dodał z uśmiechem: * No cóż, wchodzisz w to? Ten ostatni raz, a potem będziesz wolny.

Rozdział 8

Kair,

15 listopada,

godzina 8.30

Harry Weaver obudził się, czując przeszywający ból głowy. Przez otwarte okno sypialni wlewał się

słoneczny blask, a zza zaston dobiegał gwar głosów i klaksony samochodów. Podniósł się i zaklął.

Cały był obolały i tupało go w głowie. Puścił prysznic i spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Jego oczy były zamglone bólem, podkrążone i przekrwione, a twarz wyglądała jak maska z pomarszczonej gumy. Nagle przypomniał sobie dlaczego. Był w hotelu „Shepherd” na pożegnalnym przyjęciu wydanym dla kilku brytyjskich oficerów sztabowych wracających do domu i zabawa przeciągnęła się do trzeciej rano.

Ogolił się i wszedł pod parującą wodę, która przywróciła mu życie. Potem wytarł się do sucha ręcznikiem i włożył mundur podpułkownika armii Stanów Zjednoczonych. Kiedy zszedł na dół do kuchni, Ali przygotowywał na opalonym drewnem piecu jajecznicę na boczku i kawę. Służący był siwowłosym Nubijczykiem w podeszłym wieku.

* Dzień dobry, Ali. Czy moi współlokatorzy już wyszli?

* Tak, panie. Ostatni zszedł na śniadanie. Efendi nie wygląda dobrze dziś rano.

* Ten dzin, który podają w „Shepherdzie” ... myślisz, że jest prawdziwy? Zeszłej nocy ktoś powiedział mi, że kierowcy taksówek wlewają go do baków zamiast benzyny.

Ali uśmiechnął się.

* Kto wie? Możesz mieć rację, panie.

Weaver roześmiał się i wyszedł na patio. Usiadł przy ocienionym końcu rozstawionego tam stołu, kryjąc się przed słońcem.

Nalał sobie szklankę ochłodzonego soku z mango i posmarował masłem kromkę świeżego chleba. Dzielił tę wielką starą willę w Zamaleku z dwoma innymi amerykańskimi oficerami: po*rucznikiem*sygnalistą oraz tłumaczem z ambasady. Zamalek był jedną z lepszych dzielnic w Kairze, usytuowaną na dużej wyspie pośrodku Nilu, a willa należała niegdyś do bogatego włoskiego kupca. Była otoczona ogrodem, gęsto obsadzonym drzewami pomarańczowymi i cytrynowymi, a z tyłu miała wielkie kamienne patio z dającymi cień palmami i szemrzącą fontanną.

Na stole leżała „Egyptian Gazette”. Kiedy Ali podawał mu śniadanie, Weaver przekartkował ją. Kilka doniesień przyciągnęło jego uwagę. Armia Czerwona przekroczyła Dniepr i przełamała niemiecką obronę; wojska aliantów wylądowały we Włoszech na południe od Rzymu i krążyły pogłoski, że Niemcy zamierzają opuścić wkrótce miasto. Churchill twierdził, że w ciągu ostatnich trzech miesięcy zniszczono sześćdziesiąt U*bootów, a w wygłoszonej przed Kongresem przemowie prezydent Roosevelt obiecał, że siły powietrzne USA będą kontynuować naloty na niemieckie miasta, dopóki Hitler nie ugnie się i nie podda. Same dobre wieści, pomyślał Weaver. Nie podejrzewał, żeby sukcesy aliantów miały skłonić Niemców do poddania się, ale z pewnością dobrze dawały im się we znaki. Odłożył gazetę, spojrzął na zegarek i szybko skończył śniadanie. Było już po dziewiątej i spóźnił się do pracy.

* Dobre wieści, efendi?

Weaver dopił kawę, włożył kurtkę i uśmiechnął się do Alego.

* Wygląda na to, że naprawdę wygrywamy wojnę * powiedział.

Biuro Weavera znajdowało się niedaleko głównej kwatery brytyjskich sił na Środkowym Wschodzie, przy Tolomba Street w Garden City. Znany jako „Szare Kolumny”, wielki czteropiętrowy budynek był otoczony zasiekami z drutu kolczastego i kiedyś należał do włoskiej firmy ubezpieczeniowej. Jako oficer wywiadu USA w biurze attache wojskowego, Weaver był łącznikiem między dowództwami obu krajów i podlegał bezpośrednio amerykańskiemu attache wojskowemu, generałowi George'owi Claytonowi w ambasadzie USA.

Po miesiącu od chwili ukończenia szkolenia oficerskiego został przydzielony do wywiadu, gdzie szybko wykorzystano

jego specjalistyczną wiedzę i znajomość arabskiego, najpierw przy lądowaniu armii USA w Afryce Północnej, czyli operacji „Pochodnia”, a potem, w randze podpułkownika, przydzielono go do ambasady w Kairze. Cieszył się z powrotu do Egiptu, ale praca wywiadowcza w Kairze okazała się nudna. Oficerowie wywiadu po całych dniach przekładali papierki i angażowali się w nieustanne biurowe potyczki. Oczywiście kwitło tu także ożywione życie towarzyskie. Drinki w hotelu „Shepherd” i Gezira Club, nieustanne spotkania, gra w golfa i tenisa, mecze polo, żeglownanie i przyjęcia. Kiedy oddziały Rommla przestały być zagrożeniem, Kair rozkwitł.

Weaver wjechał windą na drugie piętro, wszedł do swojego gabinetu i zdjął kurtkę. Na biurku stała oprawiona w srebrne ramki fotografia, ta zrobiona w Sakkarze i przedstawiająca jego, Rachel i Jacka Haldera. Kiedy dowiedział się o śmierci Rachel, kazał oprawić odbitkę w ramki i czasem lubił spoglądać na to zdjęcie i wspominać najwspanialsze lato w swoim życiu. Na biurku leżał także stos papierów: raportów do przeczytania i sprawdzenia. Właśnie zaczął się przez nie przedzierać, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

* Proszę.

Weszła kobieta w stopniu porucznika. Helen Kane od sześciu miesięcy była adiutantem Weavera. Pomimo angielskiego nazwiska była pół Angielką i pół Egipcjanką. Miała smagłą skórę, wyraziste brązowe oczy i czarne włosy przycięte na pazia, z końcami zawiniętymi do wewnątrz tuż nad kołnierzem munduru, jak nakazywał regulamin. Na rękawie nosiła błyszczące insygnia Intelligence Corps. Była na przyjęciu w hotelu „Shepherd” i Weaver przetańczył z nią większość wieczoru. Po raz pierwszy, od kiedy zaczęli razem pracować, nawiązali jakiś bliższy kontakt. Nadal pamiętał miły dotyk jej ciała i delikatny zapach perfum, ale był wtedy trochę pijany i teraz poczuł się lekko zażenowany.

* Dzień dobry, panie pułkowniku. Jeśli wolno zauważyć, wygląda pan na trochę niezdrowego.

* To widać?

* Obawiam się, że tak.

* Mam nadzieję, że tej nocy nie zrobiłem z siebie głupca, Helen?

Uśmiechnęła się i powiedziała:

* Nie większego niż inni.

* Czy wydarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć?

* Podpułkownik Sanson pyta, czy mógłby pan wpaść do jego biura.

Brytyjski wywiad wojskowy składał się z dwóch głównych sekcji: DDMI(O), czyli operacyjnej i DDMI(1), wywiadowczej. Alfred Sanson należał do tej drugiej i był odpowiedzialny za przecieki. Weaver nie przyjaźnił się z nim, ale wiedział, że Sanson przed wojną był inspektorem policji w należącej do Anglików Kairze i systematycznie awansował. Miał opinię twardego, metodycznego oficera, samotnika oddanego pracy. Minionej nocy w hotelu „Shepherd” Weaver widział Sansona siedzącego samotnie przy stoliku i z wyraźnym zainteresowaniem obserwującego jego i Helen.

* Czy mówił, o co mu chodzi?

* Nie, panie pułkowniku.

Weaver wstał i włożył kurtkę. Trudno mu było oswoić się z tym, że Helen nadal tytułuje go „pułkownikiem” po wczorajszym wieczorze.

* Chyba wobec tego pójdę sprawdzić, czego chce.

Pokój Sansona znajdował się na drugim końcu korytarza * była to ciasna klitka z obłazującą ze ścian farbą, zardzewiałą szafą na akta, podrapanym drewnianym biurkiem i dwoma krzesłami. Panował tu idealny porządek: wszystko leżało na swoim miejscu. Kiedy kaprał wprowadził Weavera do pokoju, na biurku stała już taca z dzbankiem herbaty i dwiema filiżankami.

Sanson wstał, ale nie wyciągnął ręki.

* Podpułkownik Weaver. Proszę, niech pan usiądzie. Herbaty?

Anglik był wysoki, dobrze zbudowany, miał sylwetkę zapaśnika i zniekształconą twarz. Jego lewe oko było zasłonięte czarną opaską i miał mnóstwo różowych blizn na lewym policzku. Chirurg kiepsko zszył ranę, w wyniku czego twarz Sansona nieustannie rozciągał szeroki uśmiech, co sprawiało dość niepokojące wrażenie. Weaver usiadł.

* Proszę.

Sanson napełnił filiżankę herbatą i podał gościowi.

* Rozumiem, że cieszy się pan z przydziału do Kairu?

* Oczywiście * odparł Weaver. Wiedział, że Sanson nie

jest człowiekiem, który traciłby czas na towarzyskie pogawędki, więc zapytał: * W jakiej sprawie chciał mnie pan widzieć?

Sanson zapalił papierosa, otworzył szufladę biurka i wyjął akta.

* Zeszłej nocy kairska policja wyciągnęła z Nilu opodal starych doków zwłoki mężczyzny. Ściśle mówiąc, górną połowę ciała. Zauważył je członek załogi jednego z miejscowych promów. Ciało przeleżało w wodzie kilka dni.

Weaver wiedział, że na brzegach Nilu wciąż znajdowano jakieś ciała. Rzeka często wyrzucała zwłoki samobójców i zamordowanych.

* I co?

* Chociaż zwłoki były okaleczone, policja zdołała zidentyfikować tego człowieka. Był dobrze znanym przestępcą. Nazywał się Mustafa Evir.

* Co to ma wspólnego ze mną?

* Evir został zamordowany, podejrzyto mu gardło. A podczas rewizji w jego domu jeden z policjantów znalazł to, ukryte w jego rzeczach...

Sanson wyjął z teczki pomięty kawałek papieru, wygładził go i podał Weaverowi. Był to toporny szkic wykonany grubym ołówkiem, składający się z szeregu prostokątów. Coś, co mogło narysować dziecko. Rysunek najwyraźniej przedstawiał duży dom z ogrodem, otoczonym murem. W środku zaznaczono kilka kęp drzew oraz dziwną budowlę, jakby ogrodową altankę. Były tam również dwa inne prostokąty, których Weaver nie zdołał rozpoznać. Przez chwilę oglądał szkic, a potem spojrzał na Sansona i wzruszył ramionami.

* Nadal nie rozumiem, do czego pan zmierza.

** Człowiekiem kierującym śledztwem w sprawie tego morderstwa jest kapitan Arkhan, mój dawny kolega. Przez jakiś czas dowodził policyjną ochroną willi amerykańskiego ambasadora. Uważa, że to plan tej rezydencji. Teren ma ten sam prostokątny kształt, a w ogrodzie stoi altana. Pamięta też, że w ogrodzie stoją dwie budki wartownicze, które odpowiadają kwadracikom zaznaczonym na tym planie. Arkhan chciał, żeby spojrzał pan na ten rysunek i powiedział, co o tym myśli.

Weaver ponownie spojrzał na szkic. Przypomniał sobie układ ogrodu, altankę i budki wartowników.

* Może mieć rację. Nadal jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną?

* Mustafa Evir miał opinię doskonałego kasiarza i włamywacza. W przestępczych kręgach był znany jako „Lis”. Jednak w końcu wpadł i odsiedział półtora roku w więzieniu. Trzy miesiące temu został wypuszczony i od tego czasu usiłował żyć uczciwie, ale znajdował jedynie kiepsko płatne zajęcia. * San*son milczał przez chwilę. * Kapitan Arkhan uważa, że zamierzał powrócić do dawnego zawodu. Może chciał włamać się do rezydencji ambasadora i dlatego narysował ten plan. Zawsze bardzo starannie przygotowywał swoje włamania, chociaż skok na dobrze strzeżoną willę zagranicznego dyplomaty to trochę nie w jego stylu. Ponieważ jednak został zamordowany, na podstawie zebranych informacji Arkhan doszedł do wniosku, że mógł dokonać tego włamania i dlatego zginął.

Weaver zmarszczył brwi.

* Jakich informacji?

* Policja przesłuchała jego żonę. Evir przynosił mało pieniędzy i żona narzekała. Podobno tego wieczoru, kiedy został zabity, powiedział jej, że załatwia poważny interes, i przechwalał się, że da jej dużo pieniędzy. Ale nie wrócił już do domu.

* Sugeruje pan, że włamał się do domu ambasadora i okradł jego sejf?

Sanson wyduł usta, splótł palce i kiwnął głową.

* Może ukradł coś wartościowego. Coś, za co warto było zabić. Powinien pan wiedzieć o kilku faktach. Evir pracował na zlecenie. Ze względu na jego zdolności, często wynajmowano go do różnych zadań. Podejrzewaliśmy także, iż to on mógł brać udział w kradzieży poufnych papierów z teczki jednego z naszych oficerów... niewątpliwie zleconej przez niemieckiego agenta lub sympatyka. Kradzież tę zauważono dopiero po upływie doby, gdy już było za późno. Podczas przesłuchania Evir nie przyznał się do przestępstwa, a ponieważ nie mieliśmy żadnych dowodów, musieliśmy go wypuścić.

* Nie słyszałem o żadnej kradzieży w domu ambasadora.

* Mogła pozostać niezauważona.

* Wątpię. Rezydencja jest dobrze strzeżona.

Sanson posłał mu krzywy uśmiech, jakby ubawiony jego naiwnością.

* Jeśli nauczyłem się czegoś jako policjant, to tego, że w Kairze nic nie jest dobrze strzeżone. Znałem włamywaczy, którzy potrafili obrobić dom do czysta, a nikt niczego nie zauważył i nie usłyszał. Poza tym Evira nie na darmo nazywano

„Lisem”. Większość jego włamań zauważano długo po tym, jak już zdążył zniknąć.

* Czy policja podejrzewa kogoś o to morderstwo? Sanson potrząsnął głową.

* Jeszcze nie. Arkhan przesłuchał większość znanych nam współników Evira i jest pewien, że żaden z nich nie miał nic wspólnego z jego śmiercią.

* W jaki sposób został okaleczony?

* Ciało zostało przecięte na pół przez śrubę okrętową. * Sanson zdusił papierosa. * Wdowa po nim twierdzi, że nie wie, dlaczego jej mąż został zamordowany ani kto go zabił. I mówi, że nic nie wie o szkicu. Ale pochodzi z rodziny kłamców i złodziei, więc nie można jej wierzyć. Moglibyśmy jednak spróbować pomóc Arkhanowi w śledztwie.

* W jaki sposób?

* Jak większość egipskich wieśniaków, żona Evira żywi niechętny szacunek dla władzy. Arkhan uważa, że

widok paru oficerskich mundurów może rozwiązać jej język.

* Naprawdę myśli pan, że to coś pomoże? Sanson wzruszył ramionami.

* Sprawa stanęła w martwym punkcie i Arkhan chętnie przyjmie wszelką pomoc. Poza tym, jeżeli żona Evira wie więcej, niż mówi, może doszło do naruszenia tajemnicy wojskowej, a to już leży w naszej gestii.

Weaver wyprostował się.

* Sądzę, że nie zaszkodzi sprawdzić. Sanson sięgnął po czapkę.

* Weźmiemy mój samochód.

W oliwkowozielonym humberze było gorąco i Weaver opuścił boczną szybę. Mocno trzymał się drzwi, gdy Sanson skierował służbowy samochód w brukowaną uliczkę, o włos mijając ciągnięty przez wielbłąda wózek, wyładowany arbusami. Najwidoczniej brak jednego oka utrudniał mu prawidłową ocenę odległości.

Od czasu powrotu do Egiptu Weaver nieustannie się dziwił, jak bardzo międzynarodowym miastem stał się Kair. Na wąskich uliczkach tłoczyli się kupujący i żołnierze, w okropnym ścisku i zaduchu. Oprócz pół miliona alianckich żołnierzy wszelkich narodowości byli tu „biali” Rosjanie, Francuzi,

Niemcy, Żydzi, Anglicy i Grecy. Przeszło sto tysięcy cudzoziemskich uchodźców zapełniało ulice, rozbrzmiewające różnorodnym gwarem. Egipcjanom wcale to nie przeszkadzało: restauracje, burdele, pensjonaty i bazyry robiły doskonałe interesy.

Gdyby nie mundury, można by zapomnieć o wojnie, gdyż w Kairze nie brakowało niczego. Wszędzie kwitł handel: od maleńkich ciasnych sklepików po smażalnię, sprzedające pieczone na węglu drzewnym kebaby lub soczystą koftę z bulgoczących, okopconych saganów z olejem. Z drzwi mikroskopijnych sklepików wychylali się kupcy, zapraszając przechodniów na szklaneczkę miętowej herbaty lub kawę po turecku, gotowi targować się o cenę wszystkiego, od igły po wielbłądzie siodło. Stragany uginały się od żywności i przypraw, taniej biżuterii i ozdóbek, bawełny i papirusów, dywanów i bel wełny oraz stert mosiężnych i miedzianych naczyń. I jak zwykle, wszędzie unosił się w powietrzu kwaskowaty, ziołowy zapach haszyszu.

Sanson skręcił w brudną uliczkę z otwartym ściekiem i zatrzymał samochód przed czymś, co tylko z trudem można było nazwać domem. Była to raczej waląca się buda, stojąca w rzędzie równie nędznych budowli. Wszystkie szyby były powybijane i zastąpione kawałkami szmat albo dykty. Na zakurzonej ulicy para chudych dzieciaków bawiła się topornymi zabawkami z drewna, wokół nich skakały wynędzniałe, na pół dzikie psy, warcząc i szczekając.

Sanson podszedł do wejścia, które nawet nie miało drzwi, tylko zasłonę z paciorków.

* Tędy * powiedział i rozchylił kotarę.

Weaver poszedł za nim. Uderzył go zapierający dech w piersi smród. Była to mieszanina zastarzałego

potu i zepsutego pożywienia oraz zapachu zgnilizny, jaki spotyka się w najbiedniejszych dzielnicach Kairu. Ten dom był cuchnącą norą. Było tu tylko maleńkie palenisko, będące po prostu dziurą w brudnej, bielonej wapnem ścianie, i rozklekotany stół bez krzesel.

W kącie siedziała zawodząca, odziana na czarno kobieta, trzymająca w ramionach niemowlę. Otaczały ją trzy płaczki, wszystkie ubrane na czarno, pomimo okropnego skwaru. Wea*ver domyślił się, że to krewne lub sąsiadki. Po pokoju kręciło się prawie tuzin hałaśliwych, bosonogich dzieci. Wydawały się nie przejmować śmiercią pana domu, chichocząc i uśmiechając się do przybyłych. Sanson przegonił je machnięciem ręki.

* Barra! Barra! Wyjść! Wyjść!

Kiedy dzieciaki uciekły, Sanson powiedział coś do płaczek, które również opuściły pomieszczenie, zostawiając ich samych z kobietą i niemowlęciem.

* To wdowa po Evirze. Oczywiście nie mówi po angielsku. Jej dialekt może okazać się trudny do zrozumienia, więc lepiej będzie, jeśli przetłumaczę.

Wdowa miała twarz pokrytą zmarszczkami i wyglądała na czterdzieści kilka lat, choć Weaver podejrzewał, że jest dziesięć lat młodsza, ale sześć porodów i nędzne życie postarzyły ją

o dekadę. Boczny pokój pełnił rolę sypialni, nie było tam jednak łóżek, tylko kilka wytartych chodników rzuconych na podłogę. Weaver poczuł, że ktoś pociągnął go za kurtkę i zobaczył małego, mniej więcej dziesięcioletniego chłopca o wielkich oczach i umorusanej twarzą. Pogłaskał go po głowie i ze zgrozą zobaczył, że we włosach dzieciaka roi się od wszy.

* Barra! * warknął Sanson do małego. Chłopczyk przywarł do Weavera.

* Nie, niech tu zostanie, nie przeszkadza mi.

* Dobra rada od byłego policjanta, Weaver: ten chłopiec może świsnąć ci portfel, zanim się obejrzyysz. Tacy jak on rodzą się z ręką w torebce akuszerki.

Dzieciak wyglądał nieszkodliwie, ale Weaver podejrzewał, że Sanson ma rację.

* Lepiej wyjaśnijmy jej, po co tu przyszliśmy * powiedział, wskazując kobietę. * Niech pan ją zapyta, czy wie, po co jej mężowi był potrzebny ten szkic.

Sanson zaczął mówić do kobiety, która nie przestawała zawodzić. Po chwili wybełkotała coś przez ły. Mówiła szybko wiejskim dialektem, więc Weaver nie rozumiał ani słowa. Sanson był rozczarowany.

* Mówi, że nie ma pojęcia, po co mu był taki rysunek. Twierdzi, że jest zdziwiona. Nie tylko szkicem, ale tym, że taki ważny efendi przyszedł do jej domu.

* Powiedz jej, że to może być ważna wiadomość. Nagrodzimy ją za każdą informację, jakiej może nam udzielić.

Kiedy Sanson tłumaczył, chłopczyk znów pociągnął za połę kurtki Weavera, więc sięgnął do kieszeni i dał mu gumę do żucia. Mały uśmiechnął się z zachwytem, odwinął sreberko

i włożył gumę do ust. Kobieta odpowiedziała, a Sanson przetłumaczył:

* Mówi, że jej mąż nigdy nie rozmawiał z nią o swoich

interesach. I nie wie, dokąd mógł pójść tej nocy, kiedy go zabito. Jednak poprzedniej nocy powiedział, że ma się z kimś spotkać. Opuścił dom około dziewiętej i wrócił przed północą.

* Z kim się spotkał?

* Ona twierdzi, że nie wie. Mąż nigdy nie mówił jej, dokąd idzie ani z kim się spotyka.

* Na pewno? Sanson skinął głową.

* Jestem przekonany, że mówi prawdę, Weaver.

Kiedy kobieta znów zaczęła terkotać, Sanson odpowiedział po arabsku:

* Milcz.

* Co mówiła? * zapytał Weaver.

* Chciała, żebym panu powiedział, że ma pusty kredens i sześć gęb do wykarmienia, więc Allah uśmiechnie się do pana za każdy datek, jakim może pan wspomóc wdowę. Proszę nie zwracać na nią uwagi.

Weaver spojrział na niemowlę, na otaczającą ich nędzę i wyjął portfel. Okropności wojny uodporniły go prawie na wszystko i zahartowały pod wieloma względami, ale nie mógł znieść myśli, że ta kobieta i jej dzieci mają głodować.

* Nie musisz tego robić, Weaver * mruknął Sanson. * Ci ludzie zawsze jakoś przeżyją. Poza tym nie powiedziała nam niczego ciekawego.

* Mimo to. * Weaver hojną ręką odliczył kilka banknotów i położył je na stole.

Kobieta przycisnęła niemowlę do piersi i kołysała się do przodu i do tyłu, dziękując ze szlochem. Chowając portfel, Weaver poczuł, że mały znów ciągnie go za kurtkę.

* Spokojnie, synu.

Chłopiec wybełkotał coś. Weaver spojrział na Sansona.

* Co on mówi, do diabła?

* On chyba wie, dokąd poszedł jego ojciec.

Rozdział 9 xxx

Weaver spoglądał przez przednią szybę, gdy służbowy humber Sansona toczył się przez bazar Khan*el*Khalili. Na ulicach panował totalny rozgardiasz, a po obu stronach ciągnęły się niezliczone przepastne sklepiki oraz wyładowane towarami stragany. Wszędzie biegali kelnerzy, balansując nad głowami srebrnymi tacami z herbatą lub kawą. Obok przemykały zgarbione dzieciaki, dźwigające ogromne bele bawełny, cisnęli się przechodnie i zaprzężone w osiołki wózki. Beznogi żebrak, z kawałkami opony przywiązanymi do kikutów, ze zdumiewającą prędkością kuśtykał ulicą. Sanson co chwila używał klaksonu, centymetr po centymetrze przeciskając samochód przez tłum.

* Mówi, że kiedy ojciec wyszedł z więzienia, chciał go lepiej poznać, ale Evir prawie z nim nie rozmawiał. Dlatego kilkakrotnie śledził ojca i widział, że dwa razy wszedł do domu w Gamalii, niedaleko meczetu El Hakim.

Chłopiec miał na imię Jamal i chciał jechać z przodu. Siedział między nimi i od kiedy opuścili dom, Sanson niestrudzenie zadawał mu pytania. Weaver znał dzielnicę El Gamalija. Tu właśnie znajdował się Khan*el*Khalili, a wokół było mnóstwo tanich czynszówek, pensjonatów oraz nocnych klubów, pełniących również rolę burdeli.

* Za drugim razem zaczekał, aż ojciec wejdzie do domu, a potem poszedł za nim * ciągnął Sanson. * Zobaczył, jak Evir wszedł po schodach i zapukał do mieszkania na pierwszym piętrze. Jakiś mężczyzna otworzył mu drzwi i wpuścił do środka.

* Skąd wie, że jego ojciec był tutaj tej nocy, kiedy został zabity?

* Nie wie. Jednak tamtego wieczoru szedł za nim aż do meczetu El Hakim. Ojciec zauważył go i kazał mu wracać do domu. Chłopiec myśli, że mógł znowu pójść do tego mieszkania.

* Czy widział, jak wyglądał tamten mężczyzna?

* Wysoki, miał brodę.

Weaver dał małemu następną gumę do żucia. Chłopiec podziękował skinieniem głowy i schował prezent do kieszeni. W końcu Sanson skręcił w wąską brukowaną uliczkę, która wiodła na zakurzony plac otoczony zaniedbanymi czteropiętrowymi budynkami i popękany chodnikiem. Okolica wyglądała bardzo nieciekawie. Większość domów była w ruinie, z okien zwisały postrzępione szmaty, a w bramach i na rogach ulic wystawało kilku podejrzanie wyglądających osobników. Widok zwalniającego wojskowego samochodu wywarł magiczny skutek. Wszyscy zniknęli.

Chłopczyk wskazał dom po drugiej stronie placu. Przez otwarte drzwi widać było mroczne wnętrze.

* To tutaj *powiedział Sanson. Zatrzymał wóz, zaciągnął ręczny hamulec, a Weaver kazał chłopcu zaczekać w samochodzie.

* No dobrze, sprawdzimy to.

Kiedy szli przez placyk, Weaver nagle uświadomił sobie, że w razie kłopotów nawet nie ma się czym bronić. Rzadko nosił swojego służbowego colta, ale Sanson miał rewolwer, standardowy smith & wesson. Kiedy podchodzili do domu, odpiął kaburę.

* Czy nie powinniśmy wezwać pańskiego przyjaciela Ar*khana?

* Na to przyjdzie czas później. My też mamy kilka pytań, na które chcemy poznać odpowiedź.

Frontowe drzwi kamienicy były otwarte. Weszli w chłodną, mroczną sień. Podłoga była brudna i wokół unosiła się woń spróchniałego drewna. Drzwi po obu stronach korytarza prowadziły zapewne do poszczególnych mieszkań, a schody na końcu wiodły na górne piętra.

* Zaczekaj chwilę.

Sanson przeszedł korytarzem i lekko zapukał do pierwszych drzwi. Otworzyła je kobieta w czerni.

Przestraszyła się na widok munduru Sansona. Weaver usłyszał prowadzoną szeptem roz

mowę, a potem kobieta znikła w środku, zamykając i ryglując za sobą drzwi. Sanson wrócił do Weavera.

* Na pierwszym piętrze mieszka samotny Arab, którego rysopis pokrywa się z tym, jaki podał nam chłopiec. Kobieta zna go tylko z widzenia i nie wie, jak się nazywa. Arab wynajmuje to mieszkanie od dziewięciu miesięcy, przychodzi i wychodzi o różnych porach. Stroni od innych i nie wiadomo, z czego żyje.

* Coś jeszcze?

* Od paru dni go nie widziała. * Sanson spojrzął na schody. * Sprawdźmy, czy jest w środku.

Weaver ruszył za nim po skrzypiących schodach. Kiedy dotarli na pierwsze piętro, zobaczyli grube drzwi, zamknięte na trzy solidne zamki.

* Muszę mu przyznać, że jest ostrożny. * Sanson zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Mocno uderzył pięścią w drzwi. Kiedy nadal nikt nie odpowiadał, spróbował jeszcze raz. W końcu, zniechęcony, rzekł do Weavera: * Zaczekaj tu.

* Co chcesz zrobić? Sanson odparł tylko:

* To nie potrwa długo.

Zszedł po schodach i po paru minutach wrócił, niosąc stalową łyżkę do opon. Wprawdzie w Kairze wojskowy mundur często zapewniał posiadaczowi nietykalność, ale Weaver przestraszył się trochę.

* Chcesz się włamać bez nakazu?

* Ten człowiek jest podejrzany o morderstwo i być może już uciekł. Kobieta mówiła, że nie widziała go od kilku dni. Sprawdziłem tyły budynku. Bez drabiny nie można dostać się do okien, a poza tym na

pewno będą dobrze zamknięte. Możesz mi wierzyć, Weaver, tak będzie szybciej.

* Przecież on może być zupełnie niewinny.

* Ale może być też winny i próbuje się ukryć. Jeśli jest niewinny, przeproszę go i każę naprawić zamki.

Nie mówiąc ani słowa więcej, wepchnął tyzkę między drzwi a framugę. Mocno pociągnął za metal i drewno puściło. Potem wyjął rewolwer, kopnięciem otworzył drzwi i wpadli do środka.

W mieszkaniu panował bałagan i nie było w nim nikogo. Przez brudne muślinowe firanki sączyły się promienie słońca.

Pod oknem stała pokryta czerwonym pluszem otomana oraz niski stolik do kawy. Na gołej podłodze leżało kilka poduszek, a pod ścianą stał blaszany piecyk. Troje drzwi wiodło do następnych pomieszczeń, jedno z nich prowadziło do małej kuchni. Weaver zobaczył kuchenkę gazową, zlew i kilka szafek.

W pokoju nie było niczego ciekawego, więc kiedy Sanson poszedł sprawdzić inne pomieszczenia, Weaver wszedł do kuchni. Na półkach stały puszki konserw, słoiki z cukrem, kawą i przyprawami, ale szafki były puste. Zauważył ciemnobrązowy ślad w zlewie. Polizał palec, dotknął nim smugi, a potem czubka języka.

Kawa.

* Pozwól tutaj! * zawołał Sanson.

Weaver poszedł do sypialni. Tak jak pierwszy pokój, była skąpo umeblowana, ale funkcjonalna. Na podłodze leżał nakryty pościelą materac. Żadnych obrazów na ścianach ani rzeczy osobistych, tylko kilka pustych drewnianych skrzynek na podłodze, a obok pościeli wytarta kartonowa walizka z kilkoma galabijami.

* Weaver...?

Weaver zauważył po prawej wejście do garderoby. Sanson stał w środku, pod zwisającą z sufitu czerwoną żarówką. Weaver podszedł do niego.

* I co my tu mamy?

Na drewnianej półce leżał miniaturowy aparat fotograficzny, było tam też kilka słoików z chemikaliami i parę rolek filmów. Od ściany do ściany przeciągnięto sznurek, do którego przyczepiono klamerki do bielizny, służące do wieszania suszonych negatywów.

* Najwidoczniej nasz przyjaciel bardzo interesuje się fotografią * zauważył Sanson. Podniósł aparat i obejrzał go. * Niemiecka leica. Znalazłeś coś w tamtym pokoju?

* Nic.

* Każę dokładnie przeszukać to mieszkanie i postawię pod drzwiami wartownika, dopóki nie naprawię zamków i nie opieczętuję drzwi. Później będziemy obserwowali dom i zaczekamy, może ktoś się tu zjawi.

Na dworcu jest telefon. Mogę pana prosić, żeby zaczekał pan tu, aż zadzwonię po naszych?

* A jeśli w tym czasie pojawi się ten Arab? Sanson wyjął rewolwer i podał mu.

* Na wszelki wypadek niech go pan weźmie. Postaram się wrócić jak najprędzej. Za dziesięć minut, może szybciej.

Weaver otworzył okno. Prawie nie było wiatru. Spojrzał na pusty zaułek. Z tyłu domu znajdowało się otoczone murem z cegieł podwórko, zarzucone śmieciami, a wiodące na nie spróchniałe drzwi wisiały na przerdzewiałych zawiasach. Usiadł na otomanie, położył rewolwer na stoliku i rozejrzał się wokół. Mieszkanie było funkcjonalnie urządzone, ale nie było w nim żadnych fotografii, rzeczy osobistych ani drobiazgów zdradzających, z jakiego rodzaju człowiekiem mają do czynienia. Jednak nawet to puste mieszkanie z materacem, skąpym umeblowaniem, kilkoma ubraniami i trzema zamkami w drzwiach o czymś świadczyło. Ten człowiek był tajemniczy, przezorny, miał skromne potrzeby i mieszkał sam.

No i był szpiegiem, co do tego nie było wątpliwości. W dodatku bezwzględny, jeśli to on zabił Ewira. Weaver był zaintrygowany. Dlaczego Ewir został zamordowany? I co ten Arab robił w Kairze? Niemcy rekrutowali agentów i sympatyków w klubach, barach oraz burdelach, ale od czasu klęski Rommla ich aktywność wyraźnie osłabła.

Nagle coś przyszło mu do głowy. Jeżeli ten człowiek był szpiegiem, na pewno miał radiostację. Weaver wiedział, że powinien zostawić poszukiwania Sansonowi i jego ludziom, ale ciekawość zwyciężyła. Wstał i poszedł do kuchni. Opukał wewnątrz szafek, sprawdził ściany i podłogę, ale nie znalazł żadnych skrytek. Zrobił to samo w sypialni i ciemni.

Nic.

Wrócił do pierwszego pokoju i spróbował ponownie, z tym samym rezultatem. Został tylko piecyk. Metal był zimny. Weaver klęknął i pociągnął cegły u podstawy. Wyjął najpierw jedną, potem drugą. Kiedy usunął cztery, odsłoniła się pusta przestrzeń. Włożył w nią rękę, namacał coś i wyjął znalezisko ze skrytki. Była to skórzana walizeczka z solidną rączką i rzemiennymi paskami. Odpiął je. W środku znalazł niemiecką krótkofalówkę, słuchawki i klucz Morse'a. Domyślił się, że akumulator również znajduje się pod piecykiem albo w innej skrytce. Uśmiechnął się i zagwizdał.

* Wiesz co, Harry, chyba dopisało ci szczęście * mruknął do siebie.

Nagle usłyszał ciche skrzypnięcie za plecami i odwrócił się. W drzwiach stał wysoki, brodaty Arab w galabii, z walterem w ręce. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Weaver wyprostował się.

* Kim, do diabła... * zaczął.

* Odejdź od radiostacji * rozkazał Arab po angielsku. * Zrób to powoli.

Weaver cofnął się. Rewolwer Sansona nadal leżał na stoliku do kawy. Arab zauważył, że Weaver zerknął

w tym kierunku.

* Nie rób tego, chyba że chcesz zarobić kulkę. Opróżnij kieszenie.

Weaver wykonał polecenie. Arab podniósł jego identyfikator i obejrzał go beznamiętnie.

* Amerykanin. Co tutaj robisz?

* Szukałem znajomego i zobaczyłem otwarte drzwi.

* Nie kłam, bo stracisz życie. Odpowiadaj: co tutaj robisz? Weaver spojrzął na radiostację.

* Myślę, że to oczywiste.

* Podaj mi radiostację.

Weaver zamknął walizeczkę i podał ją Arabowi. W tym momencie na schodach dał się słyszeć tupot nóg. Arab obejrzał się, zaskoczony. Weaver natychmiast wykorzystał okazję. Kiedy mężczyzna odwrócił głowę, Weaver złapał za lufę walthera i pięścią uderzył przeciwnika w twarz. Usłyszał trzask kości. Pistolet wypalił, pocisk trafił w ścianę, a mężczyzna zatoczył się. Gdy Weaver usiłował wyrwać mu broń, zamachnął się wolną ręką, błysnęło ostrze i Weaver poczuł piekący ból szyi. Krzyknął i puścił walthera, a Arab podciął mu nogi, przewracając na podłogę.

Na korytarzu ktoś krzyknął i w następnej chwili w drzwiach pojawili się dwaj ludzie Sansona z bronią w rękach. Za nimi szedł nieuzbrojony Sanson. Arab złapał radiostację i dopadł okna. Stojąc w nim, obrócił się i dwukrotnie wystrzelił. Jeden z ludzi Sansona dostał w pierś i osunął się na ścianę.

* Nie podnoś się, Weaver! * wrzasnął Sanson.

Weaver mocno krwawił z rany na szyi, jednak wstał, złapał rewolwer i chwiejnie dobiegł do okna. W zaułku ujrzał Araba, który wskoczył na motocykl i odpalił go kopnięciem. Usiłował wycelować, ale tamten uniósł pistolet i dwukrotnie wypalił. Kule świsnęły nad głową Weavera, więc schował się za framugą.

Usłyszał ryk odjeżdżającego motoru, a kiedy znów wyrżał, tamten był już w połowie uliczki. Próbował oprzeć rękę o framugę okna, ale poczuł straszliwe zmęczenie. Zauważył krew spływającą mu po piersi, płamiącą mundur. Sanson w mgnieniu oka doskoczył do niego, wyrwał mu broń i oddał kilka szybko następujących po sobie strzałów. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył Weaver, była rozwiana galabija Araba, który skręcił za róg ulicy i znikł. Potem wszystko zaczęło rozmazywać mu się w oczach, poczuł, że osuwa się na podłogę, i nagle zapadł w ciemność.

Rozdział 10

Berlin,

15 listopada

Szpital na przedmieściach Charlottenburga był masywnym budynkiem z czerwonej cegły, zbudowanym na przełomie wieków i otoczonym wysokim murem. Halder dotarł tam tuż po jedenastej rano. Na żwirowym podjeździe parkowało kilka ambulansów i wojskowych ciężarówek, a żołnierze i sanitariusze pomagali wносить do środka dziesiątki rannych cywilów. Po schodach szła pielęgniarka, którą Halder znał z widzenia, więc zagadnął ją:

* Widzę, że znów są problemy.

* Te przekłete amerykańskie i brytyjskie bombowce * odparła gniewnie. * Czy oni nie mają wstydu? Większość rannych to kobiety i dzieci.

Obok przeszedł sanitariusz niosący mocno zakrwawioną nastolatkę i pielęgniarka pospieszyła mu z pomocą. Halder wszedł po schodach do holu. W środku panowało zamieszanie, sanitariusze biegali tam i z powrotem, a nad wszystkim unosiły się krzyki rannych i nawoływania personelu. Na końcu korytarza zobaczył drzwi, zapukał do nich i usłyszał niecierpliwe „wejść”.

Odziany w biały fartuch lekarz o zmęczonej twarzy siedział za biurkiem, przeglądając karty zdrowia.

* Tak, o co chodzi?

* Przyszedłem zobaczyć syna, Pauliego Haldera. Jest pacjentem oddziału oparzeń.

* Będzie pan musiał przyjść innym razem. Mam teraz pięćdziesięciu nowych pacjentów, łóżka tylko dla połowy z nich i Bóg wie, gdzie mam położyć pozostałych.

* Przepraszam, ale myślałem, że zastanę tu doktora Weissa...

* Weiss i jego rodzina zginęli podczas wczorajszego nalotu. Ich dom został bezpośrednio trafiony.

* Przykro mi to słyszeć. Był dobrym człowiekiem.

* Obawiam się, że nawet lekarze nie są odporni na bomby. Halder, mówi pan? Czego właściwie pan chce?

* Wczoraj przełożona pielęgniarek mówiła, że doktor Weiss chce się ze mną widzieć. Jednak nie było go w szpitalu, a telefon w domu nie odpowiadał, więc pomyślałem, że wpadnę tu na wypadek, gdyby chodziło o jakąś ważną sprawę związaną z moim synem.

Lekarz westchnął, podszedł do kartoteki i zaczął szukać karty zdrowia.

* Pauli Halder, niecałe trzy lata, przeniesiony z Hamburga?

* Tak.

Lekarz przeczytał kartę i pokręcił głową.

* Niezbyt dobrze, co? Przeszczepy skóry oczywiście przyjęły się, ale większą część ciała miał pokrytą oparzeniami trzeciego stopnia od bomby fosforowej i wciąż jest w kiepskim stanie. Takie rany długo się goją. Należałoby zabrać go stąd. Alianckie bomby padają coraz bliżej szpitala, a ich huk go niepokoi. Nic dziwnego, po tym co przeszedł w Hamburgu... * Lekarz ponownie westchnął. * Jest tu zapis o podawaniu morfiny na uśmierzanie bólu. Sądzę, że właśnie o tym chciał rozmawiać z panem doktor Weiss.

* To znaczy?

* Brakuje nam środków przeciwbólowych nawet dla najpilniejszych przypadków. Będziemy musieli zmniejszyć mu dawkę.

* Przychodziłem tu codziennie, od kiedy przeniesiono tu mojego syna * powiedział gniewnie Halder. * Widziałem, jak cierpi. Jeśli to zrobicie, będzie cierpieł jeszcze bardziej!

* Mnóstwo rannych cywilów cierpi tak samo, Halder, nie mówiąc już o naszych żołnierzach. Nasze fabryki zostały zniszczone podczas bombardowań, brakuje nam lekarstw i środków opatrunkowych. Wojsko ma pierwszeństwo w zaopatrzeniu, więc zmniejszono przydziały dla szpitali. Po ostatnich nalotach prawie skończyły nam się zapasy. Obawiam się, że nic nie mogę zrobić.

Zadzwonił telefon i lekarz podniósł słuchawkę.

* Tak, do diabła! Już idę. * Z trzaskiem rzucił słuchawkę na widełki. * Przykro mi, wzywają mnie na chirurgię.

Halder wypadł z gabinetu i pobiegł po schodach na drugie piętro. Było zatłoczone nowymi pacjentami i zastawione parawanem łóżko przesunięto do kąta. Zza zasłonki wyszła zaniepokojona pielęgniarka, trzymająca tacę z maścią i zużytymi bandażami.

* Och, to znowu pan, panie Halder. Właśnie opatrywałam Pauliego. Teraz odpoczywa, ale może pan wejść.

Halder wszedł za parawan. Chłopczyk był zabandażowany od stóp do głów, w wielu miejscach doznał tak głębokich oparzeń, że konieczne były przeszczepy skóry, szczególnie na okropnie poparzonych nogach. Spod bandażu była widoczna tylko jego twarz, napuchnięta i różowa, z zamkniętymi oczami i spalonymi rzęsami. Na jego czole perlił się pot i nawet we śnie miał udręczoną minę.

* Pauli, słyszysz mnie?

Chłopiec wybełkotał coś, ale był pod wpływem narkotyku i Halder nie zdołał go zrozumieć. Obok łóżka stało krzesło, miska z wodą i szafka, na której leżał ręcznik. Halder usiadł i zaczął delikatnie ocierać czoło syna wilgotnym ręcznikiem, patrząc na jego twarz. Gdy spróbował dotknąć obandażowanych rąk, chłopiec jęknął przez sen. Patrząc na tak straszliwie cierpiące dziecko i nie mogąc mu pomóc, Halder skręcał się z męki i był bliski łez.

Za parawan zajrzała młoda pielęgniarka.

* Czy pan major Halder? Otarł oczy.

* Tak.

* Jakiś pan chce się z panem widzieć. Czeka na dole, w pokoju dla odwiedzających.

Kiedy zszedł na dół, zobaczył siedzącego na ławce Wilhelma Canarisa. Admirał był w cywilnym ubraniu: wymiętym czarnym garniturze, płaszczu i kapeluszu. Wstał i wyciągnął rękę.

* Jack, miło mi cię widzieć.

Halder nie podał mu ręki i Canaris rzekł:

* Wyobrażam sobie, że niezbyt ucieszyłeś się na mój widok. Pewnie widziałeś się z Schellenbergiem?

* I co z tego?

Canaris ruchem głowy wskazał na izbę przyjęć.

* Może wyjdziemy na zewnątrz? Musimy porozmawiać w cztery oczy.

Poszedł przodem ścieżką między drzewami, a kiedy przeszli kilka kroków, zapytał:

* Jak się ma twój syn?

* A co cię to obchodzi?

* Moja troska jest szczerą, Jack. Nie gniewaj się.

* Nie najlepiej.

* Biedny chłopiec. Przykro mi to słyszeć.

* W jakiej sprawie chciałeś się ze mną widzieć? Admirał westchnął.

* Chciałem ci tylko powiedzieć, że cały ten plan to pomysł Schellenberga. Zeszłej nocy rozmawiałem z Himmlerem i próbowałem go przekonać, żeby powtórnie rozważył twój udział w tej misji, ale tylko straciłem czas. Przykłada ogromną wagę do powodzenia tej operacji. Najwidoczniej uważa, że ten plan może się powieść, a ty idealnie nadajesz się do tego, aby go zrealizować.

* A co ty o tym sądzisz? Canaris wzruszył ramionami.

* Czy to ważne? To tylko kolejny zwariowany plan SD. Podobnie jak ty, nie mam wyboru. Jednak Himmler nie zaakceptuje porażki. Uważa, że stawką są losy wojny, ostateczne zwycięstwo lub klęska. Jeśli misja się powiedzie, dotrzyma słowa. Da ci wszystko, co obiecał, a nawet jeszcze więcej. * Admirał zawahał się. * Jeżeli jednak nie...

* Wykrztuś to, Willy. Canaris spojrzał na niego.

* Podejrzewam, że z powodu twojego amerykańskiego pochodzenia Himmler ma pewne wątpliwości co do twojej lojalności wobec Rzeszy. Stąd udział Kleista i Doringa w tej operacji... aby mieć pewność, że wykonasz zadanie. Himmler zapewnił mnie, że jeśli zawiedziesz albo z jakiegoś powodu nie wykonasz zadania, nigdy nie zobaczysz syna. A gdybyś zaniedbał swoje obowiązki, Kleist lub jego kamrat wpakują ci kulę.

Twarz Haldera wykrzywiła się z wściekłości.

* Nędzny, parszywy drań.

* Już tak o nim mówiono, a nawet gorzej, ale to niczego

nie zmienia. Jest jeszcze coś. Schellenberg chce, żebyś to ty porozmawiał z Rachel Stern.

* Dlaczego, do diabła, właśnie ja?

* Czarny mundur Waltera przeraża większość ludzi. Poza tym on uważa, że panna Stern może być bardziej skłonna do współpracy, wiedząc, że ty weźmiesz w tym udział. * Canaris podał Halderowi dużą kopertę. * Tu są wszystkie szczegóły, włącznie z propozycją Schellenberga, która może jej pomóc podjąć decyzję. Wieczorem oczekują cię w Ravensbrück, jako wysłannika Reischfiihrera. Każę jednemu z moich szoferów zabrać cię o siódmej.

* Czy wiesz, jak ona się miewa? Canaris dostrzegł troskę na jego twarzy.

* To nie są przyjemne miejsca, ale Ravensbrück nie jest jeszcze najgorszym z nich. A Schellenberg zadbał, żeby przez kilka ostatnich dni dano jej dodatkowe racje żywnościowe, zapewniono opiekę medyczną i tak dalej. Mówił mi też, że w obozie nie była źle traktowana. Zdaje się, że jeden ze starszych oficerów był dawnym uczniem jej ojca. Na szczęście postarał się, żeby uniknęła najgorszego, i przydzielił jej lekkie obowiązki. * Canaris zatrzymał się i spojrzał na Haldera. * Kochałeś ją, Jack?

Halder odwrócił się i popatrzył na szpital.

* Wszystko to wydaje się tak odległe, jakby było w zupełnie innym życiu.

* Jeśli to cię pocieszy, powiedziałem Schellenbergowi, że chcę być na bieżąco informowany o rozwoju wypadków. W końcu jesteś jednym z moich najlepszych ludzi i czuję się za ciebie odpowiedzialny. * Canaris zawahał się i dodał z zakłopotaniem: * Jeszcze jedno... W porównaniu z niektórymi ludźmi z SD Walter może wydawać się sympatyczny, ale mimo to nie ufam mu.

* Co chcesz przez to powiedzieć? Admirał wznurzył ramionami.

* Nazwij to przecuciem, jeśli chcesz, ale siedzę w tym interesie już od wielu lat i coś mi się tu nie podoba. Podejrzewam, że on nie mówi nam wszystkiego i szykuje coś za naszymi plecami. Wiesz, jak uwielbia te swoje intrygi. Dla niego to tylko gra.

* A o co w niej chodzi?

* Nie mam pojęcia. Ale bądź ostrożny.

Halder wsunął kopertę do wewnętrznej kieszeni kurtki.

* Spróbuję. Możesz coś dla mnie zrobić, Willy?

* Pewnie.

* Zaopiekuj się Paulim, kiedy mnie nie będzie. I postaraj się, żeby ktoś się nim zajął, gdybym nie wrócił. Obiecujesz?

* Oczywiście. * Canaris położył rękę na jego ramieniu. * Powodzenia, Jack. Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Spróbuj wrócić żywy i w jednym kawałku.

Rozdział 11

Berlin

Obóz koncentracyjny w Ravensbruck został założony w 1935 roku na rozkaz Himmlera i był jednym z pierwszych obozów przeznaczonych wyłącznie dla kobiet. W postawionym na osuszonym bagnie lagrze przetrzymywano więźniarki polityczne, Cyganki, Żydówki, prostytutki, agentki aliantów i członkinie Ruchu Oporu.

Był ciemny, deszczowy wieczór. Mercedes zjechał z autostrady prowadzącej do Poczdamu i skierował się na północ. Siedzący na tylnym siedzeniu Halder miał na sobie czarny skórzany płaszcz i filcowy kapelusz. Ciężkie deszczowe chmury rozjaśniały błyski pocisków przeciwlotniczych, a część północnych przedmieść Berlina stała w płomieniach.

* Paskudna noc * rzekł Halder do szofera.

Sierżant obejrzał się. Jego pasażer wyglądał na gestapowca.

* I chyba będzie jeszcze gorzej * stwierdził. * Alianci bombardują nas już od trzech nocy. Żyjemy w niebezpiecznych czasach.

Halder opuścił szybę, gdy mercedes zjechał z głównej drogi i skręcił w lewo. Drogowskaz głosił „Ravensbriick”, a napis poniżej „Eintritt Verboten”, wstęp wzbroniony.

Na końcu drogi znajdowała się masywna drewniana brama, po obu jej stronach był wysoki płot z drutu kolczastego. Dalej stała budka wartownicza. Halder poczuł zimny dreszcz przebiegający po krzyżu i serce

mocniej uderzyło mu w piersiach. Z budki wyszło dwóch esesmanów w pelerynach. Jeden z nich trzymał na smyczy wilczura. Mercedes zatrzymał się, sierżant okazał dokumenty i pozwolono im przejechać.

Zaprowadzono go do pustego pokoju, w którym stał tylko stół i dwa krzesła. Kiedy siedział w nim, zdawało mu się, że czeka już całą wieczność. Niecierpliwie bębnił palcami po stole. Na przemian ogarniał go lęk i dziwne podniecenie. W końcu drzwi się otworzyły i dwie funkcjonariuszki SS wprowadziły Rachel. Była blada i ubrana w szary więzienny pasiak, jasne włosy miała krótko obcięte.

* Cześć, Rachel.

Przez moment czy dwa nie poznawała go.

* Jack...?

Pomimo bladości nadal była bardzo piękna. Halder poczuł nieznośny ucisk w piersi. Odprawił strażniczki.

* Zostawcie nas.

Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Rachel stała, patrząc na niego w milczeniu. Powoli przeszedł przez pokój i delikatnie położył dłoń na jej policzku.

* Biedna Rachel, co oni ci zrobili?

* Ja... nie mogę uwierzyć, że to ty. Tak bardzo się cieszę. Tak bardzo.

Widocznie szok okazał się zbyt wielki, bo zobaczył w jej oczach łzy i w następnej chwili znalazła się w jego ramionach. Poczucie ciepła jej ciała pod cienkim pasiakiem i przez dłuższą chwilę stali tak, mocno objęci.

* Już dobrze, dobrze. Proszę, usiądź. Zaprowadził ją do stołu i usiedli.

* To już tyle czasu. Jak się czujesz? Otarła łzy.

* Żyję. To chyba coś.

* Wybacz, ale dopiero teraz dowiedziałem się, co się stało z tobą i twoimi rodzicami. Gdybym wiedział wcześniej...

Urwał, a Rachel zapytała:

* Dlatego przyjechałeś się ze mną zobaczyć?

* Nie, nie dlatego. Musimy porozmawiać. Czujesz się na siłach?

* Porozmawiać o czym?

Położył teczkę na stole, otworzył ją i spojrzał w akta.

* Widzę, że przeżyłaś tu ciężkie chwile. Siedzisz tu od czterech lat, twój ojciec jest w Dachau... Na pewno nie było ci lekko.

Przez chwilę nie odpowiadała, a potem w jej oczach niespodziewanie pojawił się gniewny błysk.

* Dla kogo pracujesz, Jack? Dla gestapo?

* Skądże.

Popatrzyła na jego filcowy kapelusz i skórzany płaszcz.

* Jesteś ubrany tak jak oni. Potrząsnął głową.

* Obawiam się, że źle dobrałem strój. Jestem majorem Abwehry. Wywiad wojskowy. Moi zwierzchnicy mają dla ciebie propozycję... Czy chciałabyś wrócić ze mną do Egiptu?

Zobaczył zdziwienie na jej twarzy.

* Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Chcesz znów zobaczyć ojca, być wolna i uwolnić także jego?

Wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

* O... oczywiście.

* Mogę ci obiecać, że zostanie zwolniony z Dachau i umieszczony w dobrym prywatnym szpitalu, a jeden z naszych najlepszych lekarzy pomoże mu wrócić do zdrowia. Najważniejsze jednak, że oboje możecie otrzymać pozwolenie na opuszczenie Niemiec. W zamian zgodzisz się wziąć udział w pewnej misji. To dość nieskomplikowana operacja: chodzi o zebranie pewnych informacji w Kairze. Na pewno o tym nie wiesz, ale to miasto znajduje się teraz w rękach aliantów.

* Nie rozumiem. Jakie informacje? Halder potrząsnął głową.

* To ściśle tajne i nie dotyczy ciebie bezpośrednio. Ty masz tylko należeć do naszej grupy, która będzie udawać ekipę archeologów, uwięzionych przez wojnę w Afryce Północnej. To proste. Najwyżej kilka dni, a potem oboje z ojcem będziecie wolni.

* Kto tak powiedział?

* Heinrich Himmler, Reichsführer SS, oraz admirał Wilhelm Canaris, szef Abwehry.

Spojrzała na niego, jakby oszalała, a potem nagle roześmiała się.

* Co cię tak śmieszy? * zapytał Halder.

* Prędzej zaufałabym diabłu. Chcesz, żebym pomagała hitlerowcom? Jak mogę im ufać po tym, co zrobili z ojcem i ze mną?

* Nie możesz. Powiedzmy jednak, że jedziemy na tym samym wózku. Między diabłem a głęboką wodą.

* Dlaczego?

* To długa historia. W tej chwili musisz tylko podjąć decyzję.

* Co będzie, jeśli się zgodzę?

* Zostaniesz zwolniona i przeniesiona do koszar w Berlinie, gdzie spotkasz resztę grupy i dowiesz się, czego od ciebie oczekują. Wkrótce potem polecimy do Egiptu. Skłamałbym, mówiąc, że to nie będzie niebezpieczne. Gdybyś została schwytana na terytorium aliantów, mogliby rozstrzelać cię jako szpiega. Jeśli jednak wszystko pójdzie zgodnie z planem, ryzyko powinno być minimalne. Po zakończeniu operacji odlecimy z powrotem do Niemiec. Potem ty i twój ojciec w ciągu dwudziestu czterech godzin zostaniecie wsadzeni na statek płynący do Szwecji.

* A jeśli się nie zgodzę?

Halder powoli wstał, podszedł do okna i spojrzał na strumienie deszczu. Po dłuższej chwili odwrócił się.

* Poinformowano mnie, że w takim wypadku oboje zostaniecie rano rozstrzelani.

Posłała mu beznamiętne spojrzenie, jak ktoś, kto już dawno zużył ostatnie zapasy emocji. Potrząsnął głową z wyraźnym obrzydzeniem do siebie.

* Wybacz, Rachel, to nie zależy ode mnie. Ja jestem tylko posłańcem, w dodatku niechętnym. Jednak chyba kilka dni w Egipcie i nadzieja na odzyskanie wolności to znacznie lepsze niż pluton egzekucyjny. Wiem, że zastanawiasz się, czy możesz wierzyć w te obietnice. Ale nie masz innego wyjścia. Ja też muszę im zaufać.

* Traktujesz to bardzo poważnie, prawda?

* Bardzo. Na pewno zastanawiałaś się, dlaczego dali ci dodatkowe racje żywnościowe i dlaczego obozowy lekarz zainteresował się nagle twoim stanem zdrowia. Teraz już wiesz. Jak ci mówiłem, jestem tylko posłańcem. Nie mam wpływu na wasz los, twój i twojego ojca. Cokolwiek bym powiedział lub zrobił, w niczym nie zmieni to sytuacji.

Wrócił do stołu i usiadł. Ścisnęło go w gardle.

* Jest coś, o czym od dawna chciałem ci powiedzieć, jeśli to cię pocieszy. I obojętnie, co postanowisz, chciałbym, żebyś o tym wiedziała.

* O czym?

* O czymś, czego nigdy ci nie powiedziałem, ponieważ wiedziałem, że Harry czuje to samo. A ponieważ zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi, nie chciałem niszczyć naszej przyjaźni. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem cię w Sakkarze, natychmiast

się zakochałem. Francuzi nazywają to coup de foudre. Piorun. Najsilniejsze ze wszystkich uczuć.

Nie odpowiedziała i na chwilę w pokoju zapadła głęboka cisza. Halder wstał i odsunął krzesło. Patrząc na twarz Rachel, poczuł gwałtownie wzbierające w nim uczucia.

* Zostawię cię na chwilę i pozwolę ci przemyśleć tę propozycję.

Było już po północy, kiedy szofer wysadził Jacka przed domkiem nad Wannsee. Deszcz nadal lał strumieniami. Na żwirowym podjeździe stał czarny opel, w którym siedzieli dwaj gestapowcy w skórzanych płaszczach. Obok zaparkował swój mercedes Schellenberg, który już czekał przy kieliszku szampana we frontowym pokoju, siedząc na kanapie i paląc papierosa przy ciepłym kominku.

* Paskudna noc, więc pomyślałem, że rozgoszczę się i odświeżę. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu? * uśmiechnął się Schellenberg. * No, jak poszło?

Halder strzepnął mokry od deszczu płaszcz i odparł gniewnie:

* Zgodziła się. Ale trudno się dziwić, zważywszy na to, jaką dałeś jej alternatywę.

* Taki już jest ten świat, Jack. * Schellenberg podniecony zerwał się z kanapy. Wypił szampana i odstawił kieliszek. * Wygląda na to, że możemy zaczynać. Wspaniale.

* Mam nadzieję, że sobie poradzi.

* Na pewno, jest w niezłej formie. Zresztą za późno na szukanie kogoś innego, nawet gdybyśmy chcieli. Musisz mieć ją na oku i dopilnować, żeby zrobiła to, czego od niej oczekujemy. Oczywiście powiemy jej, jak wygląda sytuacja... po pobycie w Ravensbrück pewnie nie ma o tym pojęcia. Ale tylko tyle, ile powinna wiedzieć.

* Chcę, żebyś coś dla mnie zrobił.

* Co?

* Mój syn potrzebuje morfiny. Szpitalny przydział został obcięty. Nie chcę, żeby Pauli cierpiał jeszcze bardziej. I chciałbym, żeby przeniesiono go do szpitala poza Berlinem, gdzie tak nie bombardują.

Schellenberg kiwnął głową.

* Dobrze, zobaczę, co się da zrobić.

* Nie patrz, tylko to zrób! * warknął Halder.

* Spokojnie, Jack * odparł Schellenberg. * Obiecałem, że Pauli będzie miał opiekę, i zamierzam dotrzymać obietnicy. Co w ciebie wstąpiło?

* Powiedzmy, że nie podobają mi się twoje metody. I wiesz co? Mam złe przeczucia. Naprawdę niedobre.

* Nonsens. Uda się. Musi.

* Jeszcze jedno. Jeśli Rachel Stern wyjdzie z tego z życiem, lepiej dotrzymaj słowa. Inaczej wezmę się za ciebie, Walterze. Przysięgam. Nawet gdybym miał stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

* Nie wiem, czy mi się podoba twój ton * mruknął Schellenberg. * Jednak dotrzymam obietnicy, możesz być pewien.

Halder zdjął mokry płaszcz i rzucił go na krzesło.

* Co teraz?

* Jutro rano spotkasz pozostałych. O siódmej rano w koszarach SS w Lichterfeld. Dziewczynę przywiozą tam dziś w nocy. O szóstej trzydzieści przyślę po ciebie szofera.

* A potem?

* Czas jest przeciwko nam, więc będziemy musieli bardzo się spieszyć. Od jutra rana rozpocznie się krótkie szkolenie dla ciebie, Kleista i Doringa. Poznacie szczegóły planu i waszej przykrywki, co nie powinno zająć więcej niż trzy dni. Później będziecie mieli cały dzień na to, żeby się lepiej poznać. Następnie * o ile Luftwaffe lub U*booty nie odwalą za nas brudnej roboty * przewiozę was do Rzymu, a stamtąd do Egiptu, prawdopodobnie tej samej nocy. Nasz najważniejszy agent w Kairze zostanie szczegółowo poinformowany o waszej operacji i otrzyma dokładne instrukcje, jaki sprzęt ma dla was przygotować.

* Wszystko to wydaje mi się nazbyt pośpieszne.

* Pogania nas czas, a prognozy meteorologiczne dla obszaru Morza Śródziemnego są naprawdę niedobre. Dlatego jak najszybciej chcę wyprawić was do Egiptu, bo później moglibyście mieć kłopoty z lądowaniem. Nie możemy ryzykować zwłoki ani odwołania akcji.

* Chciałbym jeszcze raz zobaczyć syna, zanim polecę. Schellenberg pokręcił głową.

* Obawiam się, że to niemożliwe. Od tej pory wszyscy wykonujecie zadanie specjalne i moje rozkazy. Zgodnie z przepisami dzisiejszej nocy powinieneś spać w koszarach w Lichterfeld.

Halder chciał zaprotestować, ale Schellenberg przerwał mu:

* Daj spokój, Jack. Takie są osobiste rozkazy Himmlera i ci dwaj gestapowcy na zewnątrz mają dopilnować, żebyś nigdzie nie oddalił się bez mojego pozwolenia. * Schellenberg wstał. * Teraz lepiej się prześpij, bo jutro czeka cię ciężki dzień. * Podeszedł do drzwi, otworzył je i spojrzał na strugi deszczu. * Dzięki Bogu, pogoda zapobiegła nalotom. * Postawił kołnierz płaszcza i obejrzał się. * Wciąż darzysz ją uczuciem, Jack?

* A co cię to obchodzi? Schellenberg wzruszył ramionami.

* Po prostu jestem ciekawy.

* Idź do diabła.

* Rozumiem, że Canaris powiedział ci o groźbie Himmlera?

* Owszem.

* Stary Heinrich mówi poważnie. Wiem, że to nieprzyjemne, ale tak już jest. Dlatego na twoim miejscu

nawet nie myślałbym o porażce, Jack, i włożyłbym w to wszystkie siły. Inaczej nie miałobyście życia, ty i twój syn. * Schellenberg z krzywym uśmiechem odwrócił się do drzwi. * Nie bój się, do czasu twojego powrotu twój syn będzie pod dobrą opieką.

Rozdział 12

Kair

Weaver przechylił głowę i starał się siedzieć nieruchomo, gdy lekarka zszywała mu rozciętą szyję. Znajdował się w ambulatorium amerykańsko*angielskiego szpitala. Pielęgniarka zrobiła mu zastrzyk z morfiny i teraz czuł jedynie przyjemne uniesienie. Ból przyjdzie później, kiedy minie działanie leku. Lekarka położyła następny szew, uśmiechnęła się i powiedziała:

* Cudowna rzecz, ta morfina. Pozwala zapomnieć o wszelkich kłopotach. Paskudne cięcie. Ma pan szczęście, że jeszcze pan żyje. * Była Angielką, bardzo przystojną, o pełnych współczucia niebieskich oczach. * Może mi pan powiedzieć, co się stało?

* Ktoś zranił mnie nożem.

* To nie ulega wątpliwości.

Była to służbowa sprawa i Weaver nie zamierzał omawiać jej nawet z najbardziej atrakcyjną lekarką.

* Czy to już koniec?

* Jeszcze chwilka... * Ponownie przebiła tkanekę, zakładając ostatni szew. Zawięzała supeł, nożycami odcięła nitkę, a pielęgniarka obłożyła ranę ligniną i owinęła bandażem.

* Gotowe?

* Nic panu nie będzie, zostanie tylko brzydka blizna, kiedy rana się zagoi. Ale jest pan w lekkim szoku i powinien pan odpocząć tydzień czy dwa. Przez kilka dni musi pan spożywać wyłącznie płynny pokarm, zupy i glukozę z wodą, inaczej przetykanie będzie bolesne. Dam panu tabletki morfiny dla złagodzenia bólu. Nie wolno też nadwierać karku, w przeciwnym razie może pan zerwać szwy.

* Czy naprawdę muszę odpoczywać?

* Podpułkownikowi Weaver, stracił pan sporo krwi, a rana jest dość głęboka. Pół centymetra głębiej i pewnie znalazłby się pan w kostnicy. Proszę iść prosto do domu i położyć się do łóżka.

Drzwi otworzyły się i weszła Helen Kane. Obrzuciła Weavera zatroskanym spojrzeniem.

* Co z nim, pani doktor?

* Przeżyje. * Lekarka wręczyła mu słoiczek z tabletkami. * Proszę połykać po dwie, jeśli ból stanie się nie do zniesienia. Będzie pan po nich trochę oszołomiony i senny, ale to drobiazg. A w przyszłości proszę uważać.

Uśmiechnęła się i wyszła razem z pielęgniarką.

* Jak pan się czuje, panie pułkowniku? * zapytała Helen Kane.

* Parszywie.

* No cóż, ma pan jeden dobry powód do zadowolenia.

* Jaki?

* Myślę, że spodobał się pan tej lekarce. Starła się nawiązać kontakt wzrokowy.

Weaver miał ochotę odpowiedzieć uśmiechem, ale powstrzymał się. Dotknął bandaża na szyi. Z trudnością mógł poruszać głową i był trochę oszołomiony. Ledwie pamiętał przejazd do szpitala i wszystko, co zdarzyło się po tym, jak Arab ciął go nożem. Zsunął się z łóżka i sięgnął po kurtkę. Helen Kane wyciągnęła rękę i podtrzymała go.

* Nie uważa pan, że powinien pan odpocząć?

* Później. Co się stało z tym Arabem, Helen?

* Podpułkownik Sanson chce się z panem zobaczyć. Czeka na dole, w holu.

Kiedy Weaver i Helen Kane zeszli na dół, Sanson siedział w poczekalni, w której były otwarte wszystkie okna, a pod sufitem kręcił się wentylator. Widząc obandażowaną szyję i zaschniętą krew na koszuli i mundurze Weavera, zrobił współczującą minę.

* Kiepsko to wygląda. Może pan rozmawiać?

* Pewnie. Sanson powiedział:

* Bądź tak miła i zaczekaj w samochodzie, Helen.

* Tak jest, panie pułkowniku.

Gdy odchodziła, Sanson zapalił papierosa, patrząc, jak maszeruje przez szpitalny ogród.

* Najwyraźniej bardzo przejmuję się pańskim zdrowiem, Weaver. Czyżby między wami działo się coś dobrego?

* Mówiąc między nami, oficerami równymi rangą, i bez urazy, naprawdę nie sędzę, żeby to był pański interes.

Sanson poczerwieniał i z lodowatą miną wskazał na ławkę.

* Niech pan siada.

Usiedli przy jednym z okien. Po zalanych słońcem trawnikach przechadzały się pielęgniarki ze swoimi podopiecznymi, okaleczonymi lub ciężko rannymi mężczyznami na szczudłach lub w wózkach inwalidzkich, dochodzącymi do zdrowia po walkach we Włoszech. Patrząc na tych rannych oraz na pokaleczoną twarz i opaskę na oku Sansona, Weaver nagle podziękował losowi, że sam został tylko lekko cięty nożem. Ostatni raz był ranny w Algierii, kiedy odłamki nieprzyjacielskiego pocisku mózdzierzowego wbiły mu się w udo. Niewiele brakowało, bo stracił dużo krwi, a jego oddział znalazł się pod ogniem karabinu maszynowego, ale jeden z jego kolegów oficerów zaryzykował życie, przeczołgał się pod ogniem i pomógł mu przedostać się do amerykańskich okopów. Gdyby nie to, Weaver na pewno by się wykrwawił, ale po sześciu tygodniach nudy na szpitalnym łóżku w Algierze niemal z ulgą wrócił do aktywnej służby.

* Udało się panu * rzucił Sanson. * Mój sierżant nie miał tyle szczęścia. Umarł dziesięć minut temu na stole operacyjnym.

* Przykro mi to słyszeć.

* Mnie też. * Sanson był zły. * Gdybyś zczekał, aż wrócę, zamiast węszyć po mieszkaniu, mój sierżant może jeszcze by żył.

* Może ma pan rację * mruknął ponuro Weaver. * Jednak sądząc po minie tego Araba, był gotowy zabić każdego, kto wejdzie mu w drogę. Nas wszystkich, gdyby zdołał. Naprawdę przykro mi z powodu śmierci sierżanta. Równie dobrze mogłem to być ja.

Sanson wyjął notes i powiedział rzeczowo:

* Zapomnijmy o tym, Weaver. Nie jestem w nastroju do sprzeczek. Lepiej opowiedz mi, co dokładnie zdarzyło się po tym, jak wyszedłem z mieszkania.

Weaver opowiedział mu, a Sanson zanotował szczegóły.

* Jeśli nasz przyjaciel ma dobrze w głowie, pewnie ma inną

melinę, ale musimy sprawdzić także hotele, pensjonaty i pokoje gościnne. Prawdopodobnie nie ma po co pilnować mieszkania, bo on już tam nie wróci. Przekazałem raport o tym incydencie wszystkim posterunkom policji w Kairze, a teraz przesłuchujemy innych mieszkańców i dozorcę domu, próbujemy też porozumieć się z właścicielem, żeby sprawdzić, czy może zidentyfikować tego lokatora.

* Przeszukaliście mieszkanie?

* Od podłogi po sufit. Niczego nie znaleźliśmy, poza ukrytym pod piecem akumulatorem do radia. Pewnie równie dobrze będzie mógł użyć akumulatora samochodowego. Spróbuję się dowiedzieć, czy ostatnio odnotowano jakieś niezidentyfikowane transmisje radiowe z Kairu, i poproszę łącznościowców,

żeby od tej pory monitorowali eter. Nawiasem mówiąc, znaleziony w tym mieszkaniu aparat doskonale nadaje się do fotografowania dokumentów na mikrofilmie. Aparat i radiostacja świadczą o tym, że temu draniowi chodzi o coś poważnego. Czy masz jakieś doświadczenie w tropieniu szpiegów, Weaver?

Za wewnętrzne bezpieczeństwo Egiptu odpowiadali Brytyjczycy, mieli też największe doświadczenie; Amerykanie zadowalali się rolą obserwatorów.

* Raczej nie.

* Można rzec, iż wyłuskiwanie ich to moja prywatna krucjata. * Sanson dotknął twarzy, opaski na oku i pokrytej bliznami szczęki. W jego głosie Weaver usłyszał nutę goryczy. * Na pewno zastanawiałeś się, skąd to mam. To pamiątka po jakimś Raoulu Hosinym, który pracował dla Niemców. Półtora roku temu wytropiłem go w mieszkaniu w Aleksandrii, skąd przekazywał informacje do jednej z baz Rommla. On też dobrze władał nożem, ten Raoul. Tak dobrze, że na zawsze straciłem jedno oko i kawałek twarzy.

* Uciekł?

* Nie na długo. Ponownie go wytropiłem i zastrzeliłem drania. * Sanson upuścił papierosa na podłogę i zgniótł go obcasem. * Chwywanie włoskich szpiegów jest zawsze łatwe: należy poszukać najpiękniejszych kobiet w mieście i zajrzeć pod ich łóżka. Włosi to rozsądni faceci, więc prawie zawsze poddają się bez walki. Jednak Niemcy to zupełnie inna sprawa. Mają najlepszych i najbardziej bezwzględnych agentów na świecie. Trudno się dziwić, skoro szkoli ich gestapo i SD.

* A co z tym Arabem?

* Och, on jest szpiegiem, to nie ulega wątpliwości. Pytanie tylko, o co mu chodzi? I co zrobił dla niego Ewir, że musiał zapłacić za to życiem?

* Naprawdę uważa pan, że mógł włamać się do rezydencji ambasadora?

Sanson wstał i powiedział lodowatym tonem:

* Lepiej będzie to sprawdzić, prawda? Jeżeli jednak chce pan usłyszeć moje zdanie, to bardzo proszę. Przez dziesięć lat byłem policjantem i czuję, że coś tu śmierdzi. Obaj wiemy, że w przyszłym tygodniu wasz prezydent i nasz premier przylecą tu na tajną konferencję. Raporty naszego wywiadu świadczą, że Niemcy rozpaczliwie usiłują dowiedzieć się czegoś bliższego na ten temat. No cóż, to oczywiste. Powiedziałbym, że to wystarczający powód, żebyśmy się tym obaj zajęli.

Klub Sportowy i Jeździecki „Gezira” był najbardziej prestiżowym klubem w Kairze, usytuowanym na wyspie Gezirze * małej oazie luksusu na Nilu. Miał czternaście akrów wspaniałego ogrodu, korty tenisowe, trzy boiska do polo, baseny, restauracje oraz kilka barów. Jego członkami byli głównie dyplomaci, bogaci Europejczycy oraz alianccy oficerowie, a lista oczekujących na przyjęcie była równie długa jak klubowy tor wyścigowy.

Kiedy Weaver zjawił się tam tuż po lunchu, w barze wciąż było mnóstwo cywilów i oficerów po służbie. Zamówił whisky z wodą sodową, pociągnął łyk i stwierdził, że z trudem może przełykać. Wziął wcześniej

prysznic i przebrał się w cywilne ubranie: lekki lniany garnitur i rozpiętą pod szyją koszulę. Bandaż nie pozwalał mu włożyć koszuli od munduru i krawata, a teraz, kiedy ustało działanie środka znieczulającego, bolała go szyja.

Zobaczył wchodzącego do baru generała George'a Claytona, jak zwykle w nienagannie uprasowanym mundurze, z błyszczącymi mosiężnymi gwiazdkami na epoletach. Attache wojskowy Stanów Zjednoczonych był kompetentnym oficerem wywiadu o reputacji twardego faceta.

* Witaj, Harry. Wyglądasz, jakbyś miał dziś ciężki dzień.

Za Claytonem szedł amerykański ambasador, w białym stroju do tenisa, z rakieta i ręcznikiem. Alexander Kirk był wysokim, bardzo przystojnym mężczyzną o jowialnym sposobie bycia, ale w jego przyjaznych niebieskich oczach krył się chytry błysk.

* Panie ambasadorze, panie generale. Przepraszam, że przeszkodziłem w grze.

* Pułkownik Weaver! Miło mi znów pana widzieć. Kiedy Weaver uścisnął im dłonie, Clayton wskazał puste

stoliki na werandzie.

* Może przejdziemy tam? Będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

Ambasador i generał wyszli na zewnątrz i usiedli w trzcinowych fotelach przy jednym ze stolików, a Weaver dołączył do nich. Po rzece majestatycznie przepływały ghisasy * łodzie o wielkich, wydętych żaglach. Za palmami i fikusami rozpościerał się widok na piramidy w Gizie, osiemnaście kilometrów dalej. Clayton zapalił cygaro i odprawił kelnera, który podszedł do stolika.

* Co z tym Arabem, który próbował poderżnąć ci gardło? Kiedy Weaver opowiedział, co się zdarzyło, zapadła długa

cisza. W końcu ambasador powiedział:

* Więc podpułkownik Sanson uważa, iż tamten złodziejaszek zdołał włamać się do mojego sejfu tak, że nie zauważyła go ochrona? To wydaje się niewiarygodne.

* On sądzi, że to możliwe.

* Rezydencja jest dobrze strzeżona * zauważył Clayton. * Wiesz o tym, Harry.

* Nic nie zniknęło z sejfu * oświadczył ambasador.

* Może lepiej powiem, co znaleźliśmy. Clayton przestał żuć cygaro.

* Może tak będzie lepiej. Weaver spojrzał na ambasadora.

* Odkryliśmy słabe ślady zadrapań, prawdopodobnie od noża, przy zatrasku drzwi prowadzących z pańskiego gabinetu na taras. I kilka wgłębień w ziemi, w kępie drzew po drugiej stronie trawnika.

Pułkownik Sanson uważa, że mogą to być ślady stóp. Nadal szukamy odcisków palców, ale jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

Ambasador niespokojnie kręcił się na fotelu.

* A co pan o tym myśli, pułkowniku Weaver?

* Faktem jest, że włamywacz został zamordowany. Arab miał radiostację i był zdecydowany mnie zabić, żeby ją odzyskać. To oznacza, że radiostacja jest dla niego niezwykle ważna, tak więc z pewnością kontaktuje się z Niemcami. Miał też aparat fotograficzny. Może z sejfu nic nie zginęło, ale trzymane w nim dokumenty mogły zostać sfotografowane. Czy przypomina pan sobie, co robił pan w zeszłym tygodniu?

* W poniedziałek odwiedziłem brytyjską ambasadę i wróciłem około piątej trzydzieści. We wtorek byłem w domu. W środę wziąłem udział w galowym przyjęciu wydanym w rezydencji tureckiego ambasadora. Wyjechałem z domu o ósmej i wróciłem o północy. W czwartek pozostałem w rezydencji i do późna pracowałem w gabinecie, wypełniając różne papiery. W piątek robiłem to samo.

* Ilu wartowników pełniło służbę w środę?

* Co najmniej tuzin, jak zawsze. Ośmiu w domu, dwóch przy bramie i dwóch przy drzwiach. W regularnych odstępach czasu patrolują cały teren posiadłości.

* Oficer odpowiedzialny za ochronę twierdzy, że w raportach nie odnotowano niczego niezwykłego. Za pana pozwoleniem chciałbym porozmawiać z ludźmi, którzy tamtego wieczoru pełnili służbę.

* Oczywiście, ale wątpię, aby powiedzieli panu coś więcej, niż już wiemy.

Weaver do tej pory zwlekał z najważniejszym pytaniem. Teraz zapytał delikatnie:

* Może mógłby mi pan powiedzieć, czy w zeszłym tygodniu w pańskim sejfie znajdowało się coś szczególnie ważnego?

* Ściśle tajne dokumenty zazwyczaj przechowuje się w ambasadzie.

* Zdaję sobie z tego sprawę, panie ambasadorze. Z całym szacunkiem, ale nie o to pytam.

Kirk nie odpowiedział, ale zarumienił się lekko.

* Chyba lepiej będzie, jeśli mu pan powie, panie ambasadorze * mruknął Clayton.

Kirk odchrząknął zmieszany.

* Była w nim poufna kopia rozszyfrowanej depezy, jaką przesałem do Waszyngtonu, pozostawiona przez pierwszego sekretarza ambasady.

* O czym mówiła ta depeza? * naciskał Weaver.

* Informowała, że kończymy przygotowania do konferencji, która odbędzie się za tydzień, i że przed przybyciem naszego prezydenta i brytyjskiego premiera zostaną podjęte wszelkie niezbędne środki ostrożności. * Ambasador poczerwieniał i dodał pospiesznie: * Zapewniam jednak, że nie zawierała żadnych szczegółów dotyczących celu spotkania ani samej ochrony.

Weaver milczał. Ambasador miał zbolaną minę, jakby został skompromitowany.

* Rany boskie, Harry! * zdenerwował się Clayton. * Czy naprawdę sądzisz, że jeden arabski szpieg może stanowić dla nas zagrożenie? Tego terenu będzie strzec ponad tysiąc ludzi i nikt nie zdoła tam podejść, nawet gdyby miał przepustkę od samego pana Boga, potwierdzoną przez diabła. Poza tym niemieckie linie znajdują się przeszło tysiąc kilometrów stąd.

* Naprawdę nie wiem, co myśleć. Jednak już dawno nauczyłem się zwracać uwagę na podejrzane zbiegi okoliczności. Nasze ostatnie raporty wywiadowcze z Lizbony i Stambułu wskazują, że Niemcy podejrzewają, iż coś się szykuje, a ich agenci rozpaczliwie usiłują zdobyć jakieś informacje. Chciałbym wiedzieć, co knuje nasz przyjaciel z radiostacją. I wolałbym nie dowiedzieć się tego za późno.

Clayton posłał ambasadorowi znaczące spojrzenie. Kirk wyduł wargi, nadal zmieszany, a potem z westchnieniem kiwnął głową. Clayton rzekł do Weavera:

* W porządku, znajdźcie tego faceta. Chcę, żebyście załatwili to przed przyjazdem prezydenta i premiera. Tylko nie wszczynajcie niepotrzebnego alarmu, dopóki nie będziecie pewni, że szykują się kłopoty. Na razie trzymajcie wszystko w tajemnicy.

* A co z pułkownikiem Sansonem?

* Chcę, żebyście obaj osobiście zajęli się tą sprawą. Załatwię to z jego zwierzchnikiem w kwaterze głównej. Tu chodzi także o ich bezpieczeństwo, tak samo jak o nasze. Lepiej pozwól Sansonowi poprowadzić śledztwo. W końcu znajdujemy się na terenie będącym pod brytyjską jurysdykcją, więc to ich boisko. Z tego, co słyszałem o Sansonie, ma sporo doświadczenia w takich sprawach. I tak jak Kanadyjscy Konni, zawsze dopadnie ściganego. * Clayton wstał i zgasił cygaro. * Nie zawieź nas, Harry. To rozkaz.

Część DRUGA

16 * 20 LISTOPADA 1943

Rozdział 13

Kair,

16 listopada

Agent znany jako Harvey Deacon, o którym Schellenberg i Canaris rozmawiali przy Prinz Albrecht Strasse, był naturalizowanym brytyjskim obywatelem, który od ponad trzydziestu lat mieszkał w Egipcie. Był biznesmenem i właścicielem mieszkalnej łodzi, pełniącej rolę kasyna i dobrze znanego nocnego klubu o nazwie „Sułtan”.

Chociaż z pewnością nie był to najszacowniejszy klub w Kairze * mieścił się na starym rzeczonym parowcu przerobionym na mniejszą i bardziej tandetną wersję Folies Berge, ze słabym oświetleniem i stylizowanymi meblami * zdecydowanie należał do najpopularniejszych. Nie tylko z powodu dobrze zaopatrzonego baru i doskonałej orkiestry, ale także dlatego, że niektóre dziewczęta dające tam pokaz tańca erotycznego za odpowiednią cenę zgadzały się na coś więcej. Harvey Deacon sam zachęcał je do takich praktyk, wiedząc, że napędzają mu klientów.

Tego popołudnia siedział w swoim biurze na statku, przeglądając papiery. Był mężczyzną imponującego wzrostu, o siwych kręconych włosach i szerokich barach. Miał na sobie długą jedwabną koszulę nocną, a na szyi apaszkę. Haczykowały nos nadawał mu zbójceki wygląd. Słyszając pukanie do drzwi, odłożył pióro.

* Wejść.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich jego nubijski służący.

* Jakiś džentelmen do pana, efendi. Nie podał swojego nazwiska.

* Nieważne. Wiem, kto to jest. Przyrowadź go tu. Postaraj się, żeby nikt nam nie przeszkadzał.

Po chwili wszedł Hassan. Deacon wyjął cygaro ze stojącego na biurku pudełka z sandałowego drewna.

* No? Czekam.

Arab opadł na jeden z trzciniowych foteli. Zarost nie skrywał siniaka na brodzie i napuchniętej wargi. Miał również podbite oko i brakowało mu dwóch dolnych zębów. Mówiąc, krzywił się z bólu.

* Chłopak był synem Evira. Byłem pewien, że już go gdzieś widziałem. Kręcił się koło dworca któregoś wieczoru, kiedy miałem spotkać się z jego ojcem. Ewir kazał mu iść do domu, ale mały pewnie szedł za nami aż do mieszkania.

Deacon wybuchnął gniewem.

* Cholera! Powinieneś być ostrożniejszy!

Hassan z ponurą miną siedział na fotelu, wyzywająco wytrzymując gniewne spojrzenie Deacona.

* Każdy ulicznik wygląda tak samo. I pamiętaj, że to ty kazałeś mi zaprowadzić Ewira do tego mieszkania, żeby nauczyć go posługiwania się aparatem fotograficznym. Gdybym nie wrócił wcześniej i nie zauważył służbowego samochodu, wojskowi obserwowaliby budynek i czekali na nas.

Deacon wiedział, że Arab ma rację i ryzykował życie, aby odzyskać zapasową radiostację, ale był wściekły, że stracili bezpieczną kryjówkę.

* Przecież znaleźli aparat fotograficzny i widzieli radiostację, prawda? Teraz wiedzą, że w mieście działa niemiecki agent. I prawdopodobnie zabiłeś jednego z ich ludzi. Cholerna sprawa. Lepiej przyczaj się gdzieś przez kilka dni. Będzie cię szukać policja i wojsko.

* Niech szukają * rzucił zuchwale Arab. * Nigdy mnie nie znajdą. Nie w takim wielkim mieście jak Kair. Widzieli tylko jeszcze jednego brodatego Araba w galabii. I nie wiedzą, że Ewir włamał się do rezydencji. Nie mają żadnych dowodów, bo tylko zrobił fotografie.

Deacon wiedział, że w słowach Hassana jest trochę racji, ale nie poprawiło mu to humoru.

* Czuję kłopoty i nie podoba mi się to. Alianci nie są

głupcami, a teraz wiedzą, że coś szykujemy. Ten oficer, którego zraniłeś, mówisz, że nazywał się Weaver? Hassan dotknął ręką szczęki.

* Amerykanin. Kiedy następnym razem go zobaczę, zabije go.

* Nie będzie żadnego następnego razu, jeśli masz choć trochę oleju w głowie. Trzymaj się z daleka od Weavera i jemu podobnych, inaczej stracisz coś więcej niż parę zębów. Co zrobiłeś z motocyklem?

* Zostawiłem go przy willi.

* Musisz się gdzieś dobrze ukryć. Nie w willi, nie chcę ryzykować, że ktoś cię zobaczy. * Deacon zastanawiał się przez chwilę. * Najlepszy wydaje się hotel „Imperiał” w Ez*bekii. Tam nic nie powinno ci grozić. Zadzwoń do ciebie, kiedy będę cię potrzebował.

* Do czego?

* Dziś wieczorem mam otrzymać odpowiedź z Berlina. A po tej ostatniej paczce, jaką im wysłaliśmy, mam wrażenie, że coś wymyślą. * Deacon otworzył szufladę biurka i podał Arabowi garść banknotów. * Masz, postaraj się, żeby nikt cię nie rozpoznał. Zgól brodę, obetnij włosy i kup sobie garnitur. I od tej pory uważaj, rozumiesz? Zostań w hotelu, dopóki cię nie wezwę. Nie możesz nas obu narażać na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że uważasz się za niezwykłego.

Hassan w ponurym milczeniu wziął pieniądze i wyszedł. Deacon podszedł do lustra wiszącego obok okienka na prawej burcie i westchnął ze zniechęceniem. Jeszcze dziewięć miesięcy temu Arab pracował w Trypolisie, jednak Berlin uznał, że może przydać się tutaj. Rommel szybko zbliżał się do Aleksandrii, więc Deacon miał pełne ręce roboty i nie ulegało wątpliwości, że potrzebuje pomocy. Hassan z pewnością był użyteczny, ale zdaniem Deacona zbyt narwany. Przez jego arogancję i nieostrożność z

łatwością obaj mogli zawisnąć na szubienicy.

Deaeon zerknął w lustro i potrząsnął głową, odpędzając złe myśli, zanim poszedł się ubrać.

* Z kim ty musisz pracować, Harvey * mruknął do siebie. * To może cię zgubić.

Harvey Deacon urodził się jako Harvald Frederick Mandle w grudniu 1894 roku, w Hamburgu. Jego ojciec, Klaus, wyemigrował z Transwalu, mając nadzieję rozpocząć nowe życie po tym, jak jego żona

umarła podczas okropnej epidemii grypy, szalejącej w Niemczech. Między tamtejszymi brytyjskimi a burskimi osadnikami holenderskiego i niemieckiego pochodzenia od dawna dochodziło do nieporozumień, więc nikt się nie dziwił, kiedy w 1899 roku w Afryce Południowej wybuchła wojna. Gdy po roku oddziały burskie zostały zdziesiątkowane pod Bloemfontein przez brytyjską piechotę, Burowie rozpoczęli wojnę partyzancką, przeprowadzając niespodziewane ataki na brytyjskie bazy, co wywoływało szybki i brutalny odwet. Internowano całe rodziny osadników, ich farmy i dobytek palono, a inwentarz konfiskowano. Klaus Mandle i jego sześćoletni syn wraz z tysiącami innych burskich rodzin zostali zesłani do obozu, który w istocie był pierwszym obozem koncentracyjnym. Panowały tam opłakane warunki * raczej z powodu nieudolności i braku higieny niż złej woli Brytyjczyków * toteż choroby i niedożywienie zebrały obfite żniwo, powodując śmierć przeszło dwudziestu tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Kiedy ojciec nabawił się gruźlicy i zmarł osiem miesięcy później, młody Harvald Mandle przestał w ogóle jeść i zamknął się w sobie, aż w końcu dzięki interwencji obozowego lekarza znaleziono bezdzietne małżeństwo Anglików, którzy zechcieli adoptować sierotę.

Frank Deacon i jego żona wyemigrowali z Birmingham do Johannesburga, gdzie Frank zarządzał szwalnią. Próbowali stworzyć chłopcu prawdziwy dom, ale ich wysiłki okazały się daremne. Przybrany syn był ponury i agresywny i nie potrafił nawiązać z Deaconami żadnego kontaktu.

Frank Deacon przyjął zaproponowane mu przez firmę kierownicze stanowisko w tkalni w Kairze, z niezłą pensją i możliwością taniego zakupu ładnego domu nad Nilem.

* To dobrze zrobi małemu, Vero * powiedział do żony, wciąż litując się nad chłopcem. * Zmieni go, pomoże mu wyjść z szoku.

W ciągu pięciu lat doprowadził kairską tkalnię do rozkwitu. Został jej dyrektorem i stosunkowo zamożnym człowiekiem, ale zmiana klimatu nie wpłynęła na poprawę zachowania ich przybranego syna. Harvey Deacon widział w Egipcie tę samą kolonialną arogancję, jakiej przejawy obserwował w Afryce Południowej. Nowych znajomych i przyjaciół Deaconów darzył

głębką pogardą, aż powoli przybrani rodzice zrozumieli, że chłopak obsesyjnie nienawidzi wszystkiego, co brytyjskie.

Kiedy zginęli w wypadku samochodowym, wracając z noworocznego balu w hotelu „Mena House”, Harvey Deacon miał dwadzieścia sześć lat i nie uronił po nich ani jednej łzy. Otrzymał w spadku dwa tysiące funtów i willę na Nilem, postanowił rzucić się w wir interesów.

Klub „Sułtan” był nędznym nocnym kairskim lokalem, należącym do bogatego włoskiego importera win z Aleksandrii, który zajął się show*biznesem, żeby łatwiej nawiązywać znajomości z dziewczynami. Gdy Deacon wykupił część udziałów i stał się równoprawnym partnerem, szybko ożywił interes, zatrudniając tuzin francuskich i włoskich hostess oraz amerykański zespół jazzowy. Wkrótce „Sułtan” stał się jednym z najlepiej znanych lokali w mieście.

Deacon z łatwością wszedł w rolę biznesmena i playboya, otaczając się zastępem pięknych kobiet. Nic nie łączyło go z ojczystym krajem, ale gdy w 1936 roku hitlerowcy byli już u władzy, pewnego popołudnia odebrał telefon od kobiety, która przedstawiła się jako Christina Eckart. Podawała się za jego kuzynkę, przebywającą w Egipcie z niemiecką delegacją handlową, jako sekretarka ministra. Czy może zaprosić go na kolację?

Deacon zapamiętał Christinę Eckart jako nieciekawą, pulchną czterolatkę, stojącą wśród tłumu krewnych w hamburskich dokach i ze znużeniem machającą do jego ojca i do niego, kiedy odpływali do Kapsztadu. Ciekawość sprawiła, że przyjął zaproszenie.

Kiedy zobaczył kuzynkę, był oszołomiony. Z biegiem lat stała się niebywale atrakcyjną kobietą. Szczupła i bardzo piękna,

o blond włosach i długich nogach, okazała się także inteligentną

i miłą towarzyszką. Nie była zamężna i na zakończenie wieczoru, który spędzili na długiej rozmowie przy szampanie, zaproponowała mu spacer na świeżym powietrzu.

* A więc twoi hitlerowscy pracodawcy wzięli się do roboty * zauważył Deacon, kiedy spacerowali po promenadzie nad Nilem. * Z tego, co słyszę, gospodarka Niemiec rozkwita.

Mówił to tylko po to, żeby coś powiedzieć, gdyż Christina Eckart doprowadzała go do szaleństwa. Przez cały wieczór

wyczuwał łączącą ich silną więź seksualną i gdyby nie była jego kuzynką, na pewno posunąłby się dalej.

* Wkrótce będzie jeszcze lepiej * powiedziała z uśmiechem Christina. * Fiihrer ma wielkie plany.

* Jedno mnie dziwi. Jesteś taką inteligentną, piękną kobietą, a nie wyszłaś za mąż. Dlaczego?

Christina roześmiała się.

* Można powiedzieć, że jestem oddaną kochanką.

* Czyją?

* Partii nazistowskiej.

* To również mnie dziwi. Po co minister handlu zabiera ze sobą sekretarkę? Chyba że z nią sypia...

Znów się zaśmiała.

* Gdzie tam. Mój szef ma odmienne zainteresowania. Powiedzmy, że jestem kimś więcej niż sekretarką.

Jej odpowiedź była trochę tajemnicza, ale zanim Deacon zdążył o coś zapytać, Christina spojrzała w kierunku koszar Kasr*el*Nil, gdzie oddział grenadierów właśnie wchodził przez bramę.

* Spójrz tylko, jak równo maszerują. Muszę przyznać, że Brytyjczycy to wspaniali żołnierze * zauważyła.

Deacon wzdrygnął się i odparł kwaśno:

* Zachowują się, jakby byli pieprzonymi panami świata.

* Wciąż nienawidzisz ich za to, co zrobili twojemu ojcu?

* To aroganccy dranie. Zawsze tacy byli i zawsze będą. Christina przystanęła, położyła dłoń na jego ramieniu i rzuciła

niedbale:

* Chciałbyś pracować dla Vaterlandu, Harry? Wybuchnie wojna i tym razem Niemcy jej nie przegrają. Musimy zasiać ziarna sukcesu, mieć wszędzie ludzi czekających, aż nadejdzie nasz czas. Sympatyków, którzy mogą pomóc naszej sprawie. * Spojrzała mu w oczy. * Anglia znów będzie naszym wrogiem, a Egipt jest jej kolonią, więc weźmie udział w konflikcie.

Dotyk jej dłoni wywołał nagłe, miłe ciepło w łędźwiach Deacona. Pożałował, że są spokrewnieni. Roześmiał się.

* A więc o to chodzi? Berlin chce zrobić ze mnie cholernego szpiega. Na Boga, dlaczego ja? Co ja mogę?

* Doskonale się do tego nadajesz. Brytyjski obywatel, bez powiązań z Vaterlandem, o przeszłości dobrze zasłoniętej kurtyną adopcji. Pozornie lojalny poddany Korony. Jesteś idealnym kandydatem. I mam wrażenie, że możesz być bardzo przydatny. No, co na to powiesz?

Deacon spojrzął na Christinę Eckart. Wiedział, że zrobiłby dla niej wszystko. Potem nagle wzdrygnął się, wspominając ostatnie dni w obozie, ojca trzęsącego się w gorączce i kaszlącego krwią.

* Co mam zrobić?

* Napierw mnie wypieprzysz * odparła z łobuzerskim błyskiem w oczach. * A potem pojedziesz do Berlina.

Trzy miesiące później Deacon pojechał na dziesięciodniową wycieczkę objazdową po Europie. Przejęto go na dworcu kolejowym w Zurychu, dano fałszywy paszport, a potem przewieziono przez granicę do Niemiec i nocnym pociągiem do Berlina.

W głównej kwaterze wydziału zagranicznego SD, czyli organizacji wywiadowczej SS, do której należała Christina, przesłuchiowano go przez trzy dni. Został zwerbowany jako agent i natychmiast rozpoczął intensywne szkolenie, które trwało całe dwa miesiące. Nauczył się obsługiwać radiostację i szyfrować,

czytać mapy, wymykać śledzącym i zbierać informacje. A przede wszystkim obserwować. Gdzie znajdują się nieprzyjacielskie składy broni, czołgi i lotniska? Gdzie stacjonują oddziały? Gdzie rozmieszczona jest artyleria? Którymi liniami idą transporty, co znajduje się w składach i wagonach?

Była to ciężka praca, ale dawała mu satysfakcję, a w czasie pobytu w rodzinnym kraju Harvey Deacon po raz pierwszy czuł, że tu jest jego miejsce. W weekendy sypiał z Christiną, oddając się gwałtownym seksualnym rozkoszom, znacznie przyjemniejszym od tych, jakimi cieszył się w Kairze. Po raz pierwszy i jedyny w życiu czuł coś, co brał za gorącą miłość. Podczas ostatniego weekendu, kiedy się kochali, Christina szepnęła cicho w ciemności:

* Oddasz w Egipcie wspaniałe usługi Fiihrerowi, Harvey. Kto wie, może pewnego dnia będziemy razem?

Deacon wrócił do Zurychu i przez dziesięć dni podróżował po Europie, podtrzymując swoje alibi, a potem znowu pojechał do Egiptu.

Zgodnie z instrukcjami SD, za pieniądze przesłane mu na szwajcarskie konto, wykupił klub „Sułtan” i załatwił koncesję na gry hazardowe. Gdy w końcu wybuchła wojna, lokal okazał się doskonałym źródłem plotek i informacji, jak przewidzieli

mocodawcy Deacona. Kiedy brytyjscy żołnierze zaczęli tysiącami przybywać do Kairu, aby podjąć walkę z oddziałami Rommla, szukali odprężenia w barach, nocnych klubach i dzielnicach czerwonych latarni. Nic lepiej nie rozwiązuje języków niż drinki i kobiety, a Deacon miał oczy szeroko otwarte. Wkrótce zebrał więcej materiału wywiadowczego, niż oczekiwał, od znajomych i nieświadomych informatorów ze wszystkich warstw społecznych, od młodszych oficerów po sam pałac królewski. To, czego nie przesyłał drogą radiową, przekazywał urzędnikowi hiszpańskiej ambasady, który pocztą dyplomatyczną dostarczał materiały przez Madryt do Berlina.

Po jedenastej wieczorem Deacon pojechał swoim czarnym packardem w kierunku Gizy, lecz zamiast wybrać drogę na zachód od piramid, skręcił na południe, wzdłuż brzegu Nilu, i dziesięć minut później dotarł do willi.

Maison Fleuve była dużym białym budynkiem z zamkniętymi teraz okiennicami, czterema sypialniami na dwóch poziomach i małym zaniedbanym ogrodem, otoczonym porośniętym bluszczem murem. Stała na uboczu, miała własną przystań i kiedyś została wybudowana przez jednego z napoleońskich generałów, który podejmował tu swoje kochanki. Była kilkakrotnie przebudowywana, zanim przeszła na własność przybranych rodziców Deacona, który teraz rzadko w niej bywał, woląc swoje mieszkanie na statku. Domy w tej okolicy były przeważnie wykorzystywane w weekendy przez bogatych ludzi z miasta, a w ciągu tygodnia stały puste i nie było tu nawet telefonu.

Deacon zatrzymał samochód w ogrodzie, w cieniu kępy figowców, po czym wysiadł. Była pełnia i piętnaście kilometrów dalej dostrzegł ciemny kontur wielkiej piramidy Cheopsa, od której oddzielały go pola trzciny cukrowej, ciągnące się aż do pustyni.

Otworzył drzwi i wszedł do ciemnego przedpokoju. W willi nie było prądu, ale na stoliku w holu stały dwa kaganki oliwne. Zapalił zapałką jeden z nich. Zamknął frontowe drzwi i założył na nie ciężką, grubą,

metalową sztabę * dodatkowe zabezpieczenie, które kazał zainstalować. Nikt łatwo nie dostałby się tędy do środka.

Podszedł do następnych, bocznych drzwi korytarza, otworzył je i zaczął schodzić po stopniach w ciemność. Na końcu scho

dów było pomieszczenie wykorzystywane niegdyś jako piwnica na wino i na starych stojakach wciąż spoczywały tuziny pokrytych kurzem i pajęczynami butelek. Jednak napoleoński generał wykorzystywał piwnicę w innym celu: jako ukryte wyjście ewakuacyjne. Na końcu piwnicy znajdował się krótki tunel, wiodący do metalowych, zardzewiałych drzwi.

Deacon otworzył je i uchylił; przez szparę wpadło do środka świeże powietrze. Dalej kołysały się trzciny, między którymi znajdowała się ukryta, ciągnąca się aż do rzeki kamienna grobla oraz drewniana łódź z wiosłami i silnikiem, nakryta plandeką. Deacon wrócił do podnóża schodów. Stało tam krzesło i szafka. Otworzył ją i wyjął schowaną w niej radiostację, ignorując leżącego obok dziewięciomilimetrowego lugera. Przeciągnął przewód do umieszczonej na zewnętrznej ścianie budynku anteny, podłączył akumulator, włączył radiostację i usiadł. Na konsoli paliła się zielona lampka, ale musiał poczekać jeszcze dziesięć minut.

Wciąż męczyło go to, co zdarzyło się w mieszkaniu Hassana. Zabicie Evira, włamywacza, było przykrą koniecznością, ale stary złodziej mógł zacząć gadać, a to zagroziłoby im wszystkim. Chociaż przez cztery lata udawało mu się uniknąć zdemaskowania, wiedział, że alianci nie są głupcami. Od tej pory zaczną szukać, więc powinien działać bardzo ostrożnie. Szczególnie teraz, kiedy Berlin zdobył dowód na to, że Roosevelt i Churchill odwiedzą Kair. Ponieważ Niemcy ostatnio zaczęli przegrywać wojnę, Deacon podejrzewał, że ta informacja niemal na pewno wywoła jakąś reakcję, bo czyż Berlin tak stanowczo domagałby się potwierdzenia, gdyby Schellenberg nie zamierzał jakoś tego wykorzystać?

Poprzedniego wieczoru zameldował Berlinowi o wykryciu ich kryjówki i teraz oczekiwał odpowiedzi. Gdy lampy się rozgrzały, dostroił radiostację. Stacja retransmisyjna w Rzymie przekazała jego sygnał do kwatery SD, a kiedy otrzymał sygnał gotowości, otworzył notatnik. Tym razem transmisja trwała dłużej niż zwykle i dopiero po dwudziestu minutach usłyszał skrót AR, oznaczający koniec wiadomości, później „powodzenia” i „proszę potwierdzić”, i wreszcie „K” na zakończenie transmisji. Odpowiedział, wysyłając kilkakrotnie „R”, co wskazywało, że odebrał depezę. Potem odszyfrował wiadomość.

Skończył i wytrzeszczył oczy. Wiadomość była tak niezwykła, że aż niewiarygodna. Zaschło mu w ustach, ścisnęło go w krtani

i pot wystąpił mu na czoło. Ledwie mógł uwierzyć w to, co przeczytał. Gwizdnął przeciągle.

* A niech mnie * mruknął, uśmiechając się pod wąsem. * Wygląda na to, że naprawdę zaczyna się zabawa.

W tym samym czasie Hassan szedł wąskimi bocznymi uliczkami Ezbekii, biednej dzielnicy kiepskich pensjonatów i brudnych restauracji, pełnych arabskich i europejskich uchodźców.

Hotel „Imperiał” mieścił się w zaniedbanym budynku, stojącym w rzędzie podobnych tanich hotelików i walących się czynszówek, z obłazącymi z farby okiennicami i popękkanymi ścianami. Hassan pomieszkiwał tu już wcześniej, po tym jak przedostał się przez linię frontu i wrócił do Kairu. Tym razem przez prawie cały wieczór przezornie obserwował wejście z zaułka po przeciwnej stronie ulicy, zanim upewnił się, że hotel nie jest pilnowany, i ruszył po schodkach do nędznego holu.

Za kontuar wszedł krępy, bardzo gruby mężczyzna, ostrożnie stawiając nogi i przeżuując garść daktyli. Nosił fez i przybrudzony garnitur, obsypany popiołem z papierosa. Nogi ledwie utrzymywały ciężar jego ciała, a pomiędzy rozchylonych warg wydobywało się głośne sapanie. Ledwie spojrzał na twarz przybyłego.

* Nie ma wolnych miejsc.

* Kuzynie Tariku...

Mężczyzna pobladł i szybkim gestem wskazał Hassanowi wejście do biura. Ze zgrozą spojrzał na jego opuchniętą twarz.

* Co ci się stało?

* Szuka mnie wojsko. Potrzebuję bezpiecznej kryjówki.

* Co zrobisz?

* Chyba zabiłem brytyjskiego żołnierza. Tarik uśmiechnął się.

* Dam ci ten sam pokój, co poprzednio. Tam będziesz bezpieczny.

* Masz moją wdzięczność, Tariku.

* Jesteśmy tej samej krwi, mamy wspólnego wroga. Pokój znajdował się na drugim piętrze, był mały i pusty.

W środku stało tylko łóżko z przybrudzoną pościelą, popękane lustro, wyszczerbiona umywalka i dzbanek. Pomieszczenie wyglądało na duży, nieużywany składzik. Zasapany po sforsowaniu schodów Tarik otworzył drzwi specjalnym kluczem,

który miał w kieszeni. Wskazał na mały elektryczny dzwonek nad drzwiami, ledwie widoczny, ponieważ ktoś pomalował go na ten sam kremowy kolor co ściany, zbrązowiałe teraz od wsiąkającego w nie latami dymu z papierosów.

* Pamiętasz sygnał alarmowy?

Hassan kiwnął głową: Tarik powiedział mu o przycisku znajdującym się pod biurkiem w jego biurze. Raz * uważaj. Dwa * uciekaj.

* Jeśli czegoś potrzebujesz, powiedz * wysapał Tarik.

* Jutro będziesz musiał mnie ogolić i przystrzyć mi włosy. Dam ci też pieniądze, żebyś kupił mi używany garnitur.

* Przebranie to dobra rzecz * stwierdził Tarik. * Pamiętaj, ten pokój to bezpieczne miejsce. Nie jest zarejestrowany, a personel nie ma do niego kluczy. Dla nich on nie istnieje. Korzystaj z wyjścia przeciwpożarowego na końcu korytarza, jeśli zechcesz dyskretnie wyjść lub wejść. Jeżeli będziesz ostrożny, nikt cię nie zauważy. Życzę ci dobrej nocy, kuzynie.

Ucałowali się, Tarik delikatnie dotknął wargami posiniaczonego policzka gościa. Hassan rozebrał się i położył w ciemnościach, przyciskając dłoń do pulsującej szczęki i oblizując bolące dziąsło w miejscu, gdzie brakowało dwóch zębów. Czuł palącą żądzę zemsty.

Jedno wiedział na pewno. Obojętnie, co mówi Deacon, ten oficer amerykańskiego wywiadu drogo za to zapłaci.

Rozdział 14

Kair,

16 listopada

Weaver z łomotem rzucił gruby plik akt na biurko, zdjął kurtkę, podwinął rękawy i zabrał się do pracy.

Akta dotyczyły sympatyków Osi, przynajmniej tych znanych kwaterze głównej. Po klęsce Afriki Korps wszyscy znani niemieccy agenci w Egipcie zostali ujęci, ale Weavera wcale nie dziwiło, że działał tu jeszcze jacyś V*mani * czyli Vertrauens*mannerzy, jak Niemcy nazywali szpiegów. Egipcjanie zawsze zdradzali proniemieckie sympatie i jeszcze pięć lat przed wojną znalazły się wśród nich dziesiątki hitlerowskich agentów, dostarczających swoim mocodawcom wielu informacji * często bardzo ważnych.

Weaver przeglądał akta najbardziej znanych. W 1942 roku z U*boota wyszedł na libijski brzeg szpieg Abwehry, niejaki John Eppler, urodzony w Aleksandrii, syn Niemca i Egipcjanki. Miał ze sobą radiostację i walizkę doskonale podrobionych banknotów jedno* i pięciofuntowych. Podróżnik węgierskiego pochodzenia, księżę Almaszy, przeprowadził go przez pustynię. Przebywszy odległość przeszło dwóch tysięcy kilometrów, agent dotarł do Kairu. Udając bogatego młodego Araba, wynajął luksusowy statek mieszkalny na Nilu, wiódł wystawne życie i wykorzystywał zastęp ponętnych kobiet do wyciągania ściśle tajnych informacji od alianckich oficerów. Szyfrem, którego klucz był oparty na książce Daphne Du Maurier „Rebeka”, przysyłał raporty wywiadowcze do jednej ze stacji nasłuchowych Rommla, dopóki nie wpadł w ręce alianckiego kontrwywiadu, który wytropił pochodzenie podrobionych banknotów.

Sympatyków było więcej niż prawdziwych agentów. Zaliczano do nich ludzi, których podejrzewano o

zdecydowane proniemieckie sympatie. Byli wśród nich kelnerzy, barmani, odźwierni, tancerki i taksówkarze, a także pomniejsi dyplomaci, biznesmeni z neutralnych krajów, egipscy oficerowie o faszystowskim odchyleniu, a nawet członkowie egipskiego parlamentu. Niektórzy byli nacjonalistami, ekstremistami z Bractwa Muzułmańskiego lub patriotami, gotowymi pomóc każdemu nieprzyjacielowi Brytyjczyków, innymi kierowała żądza przygód lub chciwość.

Wiosną i latem 1942 roku, kiedy Brytyjczycy stanęli w obliczu klęski, aresztowali i internowali wszystkich podejrzanych o to, że pracują na rzecz Osi. Jednak dziesiątki podejrzanych wymknęły się z sieci z powodu braku jakichkolwiek dowodów albo uciekły. Właśnie akta takich osób przeglądał Weaver. Dobrze było Claytonowi mówić, że mają wytropić arabskiego szpiega. Co to za człowiek, gdzie się ukrywa, jak działa? Nie było to łatwe, postanowił jednak znaleźć mężczyznę, który próbował go zabić. Cztery godziny później wprawdzie nie przejrzał jeszcze wszystkich teczek, ale wybrał już pół tuzina osób podejrzanych o prohitlerowskie sympatie * pięciu Egipcjan i tureckiego biznesmena * których rysopisy pasowały do wyglądu Araba.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła Helen Kane, niosąc emaliowany dzbanek z kawą.

* Pomyślałam, że może chce ci się pić.

* Dziękuję. Jeszcze nie skończyłaś?

* Właśnie miałam iść. Lepiej się czujesz?

Weaver zignorował zalecenie lekarki, która kazała mu odpoczywać przez kilka dni, i teraz odczuwał skutki tej decyzji: szyja piekła go żywym ogniem.

* Niezbyt.

Zawahala się, a potem powiedziała ostrożnie:

* Jeśli chcesz, mogę ugotować ci dziś kolację... * Uśmiechnęła się. * Zapomniałam, że masz ograniczyć się do płynów. Mimo to sądzę, że mogłabym coś wymyślić. Choćby drinka, jeśli ci wolno.

* Jesteś pewna, że to nie sprawi ci zbytniego kłopotu?

* Gdyby tak było, nie pytałabym. Podam ci mój adres. Kiedy skończyła pisać i wręczyła mu kartkę, drzwi otworzyły

się ponownie i wszedł Sanson, niosąc pod pachą teczkę. Za

uważył, jak Helen podawała adres Weaverowi i lekko poczerwieniał.

* Jeszcze tu jesteś? * burknął.

* Właśnie wychodzę.

Kiedy Helen Kane wyszła, Sanson zapytał:

* No i jak, dopisało ci szczęście, Weaver?

* Spójrz na to.

Sanson wyjął teczkę spod pachy, usiadł na krześle i przejrzał akta, które podał mu Weaver.

* Na oko wydają się dość nieszkodliwi. Większość arabskich sympatyków jest dla Niemców kompletnie bezużyteczna. Potrafią tylko gadać. Mimo to lepiej będzie przyjrzeć się ich twarzom.

Weaver już przesłuchał wartowników, którzy pilnowali rezydencji ambasadora. W raportach nie znalazł niczego nadzwyczajnego, ale dyżurny oficer przyznał, że w środę wieczorem, około dziewiętej, wydawało mu się, iż w jednym z pomieszczeń na parterze słyszy jakiś hałas. Osobiście przeszukał cały budynek, jednak nikogo nie znalazł. Zawsze to coś, pomyślał Weaver.

* Co z hotelami i pensjonatami?

* Nadal sprawdzamy, ale potrwa jeszcze dzień czy dwa, zanim dotrzemy do wszystkich. Na razie nic. Co do właściciela domu, to jego żona twierdzi, że wyjechał w interesach do Aleksandrii. Ma wrócić dopiero za kilka dni, ale spróbujemy odszukać go wcześniej. * Sanson podniósł teczkę, którą przyniósł, i Weaver zauważył na okładce czerwone litery napisu „Ścisłe tajne”. * Chciałbym, żebyś coś zobaczył.

* Co to takiego?

* Lista przechwyconych transmisji za cały zeszły rok. Weaver wiedział, że brytyjska sekcja „Y” w kwaterze głównej

oraz jednostka wojskowego korpusu łączności Stanów Zjednoczonych stacjonująca w dawnej włoskiej kolonii, Erytrei, prowadzą nasłuch radiowy każdej nocy, kiedy odbywa się większość transmisji. Zapisują wszystko, a sygnały niewiadomego pochodzenia, budzące podejrzenia, że mogą być wysyłane przez szpiegów, są przekazywane do Londynu i Waszyngtonu, gdzie zajmują się nimi kryptolodzy.

Sanson otworzył teczkę i pokazał Weaverowi rozszyfrowany radiogram o posiłkach przybywających do Kairu.

* Nasi chłopcy od łączności przechwycili to mniej więcej rok temu. Nadawał agent o kryptonimie „Beszeba”.

* I co w tym takiego interesującego?

* Jeszcze go nie złapaliśmy, ale dostrzeżesz znamienne podobieństwo jednego z sygnałów. Jednak najpierw spójrz na to...

Pokazał Weaverowi dwie inne depesze, przechwycone pół roku wcześniej. Te podawały dane dotyczące morale brytyjskich i nowozelandzkich oddziałów stacjonujących w mieście oraz informację o przybyciu nowozelandzkich posiłków do Maadi, na przedmieściach Kairu.

* Czy te dane są prawdziwe?

* Prawdziwe i bardzo dokładne. On nie jest podrzędnym zbieraczem plotek i pogłosek, to dobrze wyszkolony fachowiec. Spójrz na jego depesze. Zwięzłe, ale wyczerpujące. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy łącznościowcy wielokrotnie przechwycili jego transmisje, ale zawsze trwały tak krótko, że nie mogliśmy namierzyć miejsca nadawania.

* Czy coś o nim wiemy?

* Dostarcza doskonałych informacji, prawdopodobnie mieszka w Kairze, ma kontakty z personelem wojskowym i używa kryptonimu „Beszeba”. Oprócz tego nic.

* A co ze zbiegiem okoliczności, o którym wspomniałeś? Sanson potarł pokiereszowaną szczękę.

* Tu właśnie sprawa zaczyna się robić interesująca. * Podał Weaverowi jeszcze jeden radiogram. * To przechwycono w ubiegły czwartek, tuż po północy.

Depesza była dość długa i składała się z szeregów liter i cyfr. Weaver spojrzał na Sansona.

* Nie rozumiem. Jest zakodowana.

* Kiedy schwytaliśmy Epplera, Niemcy zaostrzyli środki bezpieczeństwa i „Beszeba” zmienił szyfr. Prawdopodobnie przeszedł na jednorazowe klucze, których nie da się rozszyfrować. Nie o to jednak chodzi. „Beszeba” nie nadaje często, a kiedy już to robi, zazwyczaj ma coś ważnego do przekazania. Stwierdziliśmy, że Evir został zamordowany w środę wieczorem. Niedługo potem sekcja „Y” odebrała tę transmisję. Na razie nie wiadomo, czy oba te fakty się łączą, ale to ciekawy zbieg okoliczności, nie uważasz?

* Sądzisz, że zawiadomił ich „Beszeba”?

* Założę się o moje jaja.

* Dlaczego?

* Każdy radiotelegrafista posługuje się kluczem w charakterystyczny sposób, który łącznościowcy nazywają „podpisem”, każda osoba ma swoje własne tempo nadawania, tak że doświadczony łącznościowiec słuchający transmisji bez trudu może zidentyfikować nadającego. Gość, który w czwartek przechwycił transmisję „Beszeby”, słyszał go już wielokrotnie. Zna jego „podpis” i przysięga, że to on.

* Uważasz, że „Beszeba” może być naszym arabskim przyjacielem?

* Bóg jeden wie, ale to całkiem możliwe. Jak już mówiłem, to zawodowiec, a moim zdaniem nie może ich być zbyt wielu w Kairze. * Sanson spojrzał za okno. Na zewnątrz było ciemno, minęła dziewiąta. Schował kartki z powrotem do teczki i wstał. * W porządku, na dzisiaj koniec. Spotkamy się jutro, o szóstej rano. Możesz zająć się aktami.

* A co z tobą?

* Mam stertę raportów wywiadowczych, które zdobyliśmy, kiedy szkopy wiały z Tunisu. Przechowujemy

je w naszym archiwum w dzielnicy Ezbekieh. Jeszcze nie zdążyliśmy ich posortować, bo nie było takiej potrzeby, skoro Rommel dostał po tyłku. Moja niemczyzna jest całkiem znośna, ale załatwiłem dwóch tłumaczy, którzy jutro pomogą mi je przejrzeć.

* Po co?

* Chcę sprawdzić, czy znajdę coś o „Beszebie”.

* Myślisz, że to możliwe? Sanson wrzucił ramionami.

* Być może ludzie Rommla wiedzieli o jego istnieniu i bezpośrednio odbierali jego sygnały. To ma sens. W tym czasie Niemcy parli naprzód i potrzebowali szybko informacji. Przekazywanie ich via Berlin byłoby zbyt czasochłonne.

* Kiedy skończę ze swoją robotą, może pomógłbym ci, jeśli nie masz nic przeciwko temu?

Sanson podniósł brew.

* Czyżbyś chciał dostać medal, Weaver? Harry sięgnął po płaszcz.

* Nie, tylko groźnego niemieckiego szpiega.

Mieszkanie Helen Kane znajdowało się przy ulicy Ibrahima Paszy. Weaver wziął w domu prysznic i przebrał się. Kark

wciąż go bolał, ale starał się unikać zażywania tabletek morfiny, dopóki ból nie stawał się nieznośny. Na ulicy zatrzymał taksówkę i pojechał do Ezbekieh Gardens, stwierdziwszy, że potrzebuje świeżego powietrza i odpoczynku, więc powinien się przejść.

Niespiesznie przemaszerował przez Birka, osławioną dzielnicę czerwonych latarni. Była tłoczna, hałaśliwa i śmierdząca i pełno tu było policyjnych patroli. Ale choć cały ten obszar był oznakowany czarnymi iksami na białym tle, zakazującymi wstępu żołnierzom wszystkich rang, nikt nie zwracał na nie uwagi. Z balkoników wychylały się młode dziewczyny i kobiety w średnim wieku, wachlując się papierowymi wachlarzami. Przeważnie były to Egipcjanki, trochę czarnoskórych Nubijek lub Sudanek. Uśmiechały się i machały do przechodzących mężczyzn, proponując im swoje ciała, a ich arabscy alfonsi prowadzili negocjacje.

* Halo, przyjacielu, chcesz tę dziewczynę? Bardzo ładna, bardzo czysta. Specjalna cena.

Weaver przegonił ich machnięciem ręki. Czasem przychodził tutaj, jak większość oficerów i innych mężczyzn, samotnych czy żonatych, jednak zawsze miał po tym uczucie pustki. Rzecz w tym, chociaż nie chciał się do tego przyznać, że przez te cztery lata nie zdołał zapomnieć o Rachel Stern. Wydawało mu się, że tylko wtedy był naprawdę zakochany, a później już nic nie mogło się z tym równać. Idąc, odepchnął od siebie tę myśl, przypominając sobie, że idzie na spotkanie z Helen Kane.

Jak zawsze, oficerowie i żołnierze musieli pokonywać na ulicach niezliczone przeszkody. Oprócz alfonsów zaczepiali ich kalecy, sprzedawcy i żałosne zebrzące kobiety, trzymające na rękach dzieci o twarzyczkach

pokrytych brudem i rojami much. Uliczni pucybuci podbiegali do każdego, kto wyglądał na obcokrajowca, ofiarowując swoje usługi. Jak w tym gwarnym, ogromnym mieście znaleźć jednego szpiega? * pomyślał Weaver.

Pięć minut później dotarł do mieszkania Helen Kane. Otworzyła mu drzwi nadal ubrana w mundur.

* Jenny, moja współlokatorka, wyjechała na tydzień do Aleksandrii * powiedziała i wyjaśniła mu, że dziewczyna, z którą dzieliła mieszkanie, jest maszynistką w głównej kwaterze wojsk Stanów Zjednoczonych. * Poznała kapitana RAF*u, który zwał ją z nóg. Zrób sobie drinka. Właśnie miałam wziąć prysznic i przebrać się.

Kiedy wyszła z pokoju, Weaver nalał sobie szkockiej. Pieczenie szyi stało się irytujące, więc połknął dwie tabletki morfiny, popił i rozejrzał się wokół. Na półkach stało mnóstwo książek, głównie o Egipcie, oraz kilka powieści. Na jednej z półek dostrzegł zdjęcie przystojnego mężczyzny w marynarskim mundurze. W pokoju było gorąco i Helen Kane po powrocie otworzyła okno. Miała na sobie granatową spódniczkę i białą bluzkę, a włosy rozpuściła na ramiona. Weaver po raz pierwszy widział ją bez munduru, bo nawet na przyjęciu w hotelu „Shep*heard” nosiła khaki. Zmiana była uderzająca.

* Co się stało? * zapytała.

* Wyglądasz inaczej, to wszystko.

* Chcesz powiedzieć, że już nie wyglądam jak oficer wywiadu?

* Po prostu... wyglądasz bardzo ładnie. Zarumieniła się.

* Dziękuję. * Nalała sobie whisky i usiadła przy Weave*rze. * Myślisz, że znajdziemy tego arabskiego szpiega?

* Musimy, bo nie wiadomo, co może zrobić. Ma radiostację. Może kontaktować się z Berlinem lub jakąś stacją nasłuchową, która przekazuje jego depeesze dalej.

Weaver odstawił szklaneczkę, spojrzął na zdjęcie na półce, ale zanim zdążył o nie zapytać, dziewczyna powiedziała:

* Peter był moim chłopakiem. Stacjonował na Krecie, kiedy dwa lata temu zajęli ją Niemcy. Od tego czasu nie miałam od niego żadnych wiadomości.

* Przykro mi.

* Pogodziłam się z tym, chociaż zajęło mi to sporo czasu.

* Opowiedz mi o sobie. Uśmiechnęła się, a Weaver zapytał:

* Co cię tak śmieszy?

* To, że zadajesz mi osobiste pytanie. Ciężko przywyknąć do formalnych stosunków, obowiązujących w

biurze. Nie ma wiele do opowiadania. Mój ojciec pracował w Kairze dla brytyjskiej firmy prawniczej i tu poznał moją matkę. Mieszkaliśmy tutaj, kiedy byłam dzieckiem, a potem wyjechaliśmy do Anglii.

* Gdzie jest teraz twój ojciec?

* Umarł, kiedy miałam dwanaście lat.

* A matka?

* Mieszka w Bostonie. W końcu ponownie wyszła za mąż, za miłego amerykańskiego prawnika. * Uśmiechnęła się lekko,

a potem znów napełniła szklaneczki i podała mu jedną. * Teraz twoja kolej. Jak to się stało, że znalazłeś się w Egipcie?

Opowiedział jej o Sakkarze, o Rachel Stern i Jacku Halderze. Było w Helen coś, czego nie mógł zignorować, jakiś delikatny magnetyzm, który poczuł już podczas tamtego wieczoru w „Shepherdzie”. Widział zarys jej piersi pod cienką bawełnianą bluzką i podniecał go sposób, w jaki krzyżowała długie, opalone nogi. Była wojna, wszędzie czaiła się śmierć i ludzie szukali zapomnienia, gdzie tylko mogli, ale wiedział, że jeśli zostanie tu dłużej, może wyjść na głupca.

* Co się stało? * spytała.

* Nic takiego * skłamał. * Chyba lepiej już pójdę. Dziękuję za drinka.

Wstał i pokój zawirował mu oczach. Mieszanina morfiny i alkoholu okazała się zabójczą kombinacją. Zachwiał się.

* Co się dzieje?

* Lekkie oszołomienie, to wszystko. Złapię taksówkę.

* Może powinieneś trochę odpocząć? Straciłeś mnóstwo krwi. Nie chciałabym, żebyś zemdlął na tylnym siedzeniu jakiejś taksówki. Kairskim taksówkarzom nie można ufać. * Zawahała się. * Gdybyś chciał zostać, łóżko Jenny jest wolne.

Spojrzał na nią. Jej twarz rozmazywała mu się w oczach.

* Jesteś... jesteś pewna?

* Tak, oczywiście.

Zaprowadziła go do dużej sypialni z wąskim łóżkiem. W pokoju unosił się słaby zapach perfum, na nocnym stoliku stała woskowa świeca. Helen zapaliła ją i pomogła mu zdjąć kurtkę. Wciąż był pod wpływem alkoholu i tabletek, ale nachylił się, żeby ją pocałować, i zdziwił się, że nie zaprotestowała. Całowali się długo, a potem Helen zapytała:

* Jak się czujesz?

* Nagle znacznie lepiej.

Roześmiała się i coś jakby zaiskrzyło między nimi, a w jej oczach wyczytał zachętę. Położył dłoń na jej policzku.

* Wiesz, co mówią o Egipcjankach?

* Nie. Powiedz mi.

* Że mówią oczami. Od wieków był to jedyny sposób, w jaki mogli przekazywać mężczyznom swoje uczucia, więc mają to we krwi.

Uśmiechnęła się.

* A co mówią moje oczy?

* Wiele rzeczy. * Weaver delikatnie pogładził czubkami palców jej twarz. * Zauważyłem, że na przyjęciu w „Shep*heardzie” Sanson nie odrywał od ciebie wzroku. Niezbyt się lubimy, ale mam wrażenie, że on uważa, iż coś nas łączy. I nie podoba mu się to.

* A czy coś nas łączy?

* Myślę, że to zależy od ciebie. Opowiesz mi o nim?

* Kilka razy byliśmy na kolacji. Przysyłał mi kwiaty i wydawał się trochę zauroczony. Powiedział, że przypominam mu żonę. Ona zginęła, wiesz. Statek, którym podczas ofensywy Rommla ewakuowano żony oficerów do Anglii, został zatopiony przez U*boota. Nie byli długo małżeństwem. Sądzę, że to dlatego tak bardzo nienawidzi Niemców. Cios, jakim była dla niego jej śmierć, mocno nim wstrząsnął i dlatego teraz poświęcił się tylko pracy. Czasem mam wrażenie, że toczy prywatną wojnę i próbuje odpłacić Niemcom za to, co zrobili. * Jej głos złagodniał. * Myślę, że wiele go kosztowało, zanim poprosił mnie o randkę, i naprawdę go lubię...

* Ale...?

Położyła palec na jego ustach.

* Nie tak bardzo jak ciebie.

Popatrzyli sobie w oczy. Weaver usiadł na łóżku. Helen powoli rozpięła bluzkę, ukazując pełne piersi. Potem rozpięła spódniczkę, która opadła na podłogę. Weaver spojrzał na jasnobrązową, gładką skórę nóg, na krągłe biodra. Wyciągnął ręce i położył ją obok siebie, a ona zarzuciła mu ramiona na szyję, przywierając wargami do jego warg, gdy jego dłonie gładziły jej piersi i uda.

Całowała jego pierś, ssała sutki, leciutko poruszając językiem, i przesuwiała się w dół, po brzuchu i między nogi, aż wzięła go w aksamitnie ciepłe usta i pieściła delikatnie. Zapomniał o bólu i pogrążył się w ekstazie.

Podniosła głowę i odgarnęła z twarzy kosmyk włosów.

* I co? Czy doprowadziłam cię choć na krawędź szaleństwa?

* Nawet dalej.

Ich oczy znów się spotkały.

* Wejść we mnie, Harry.

Zawahał się, a potem uniósł się i patrząc jej w oczy, powoli opadł w nią.

Rozdział 15

Berlin,

16 listopada,

godzina 7 rano

Był mroźny ranek i było jeszcze ciemno, gdy służbowy mercedes zatrzymał się przed komendanturą koszar SS w Lichterfeld. Halder wysiadł i zobaczył Schellenberga, który wyszedł z jasno oświetlonych drzwi. Na ramiona miał narzucony skórzany oficerski płaszcz, a pod pachą teczkę.

* No cóż, Jack, widzę, że dotarłeś. Mam nadzieję, że dobrze spałeś?

* Daj spokój uprzejmościom. Nie jestem w nastroju.

* Rozumiem, że nadal się złościś, że nie mogłeś zobaczyć chłopca?

* A jak myślisz, do diabła?

* Przykro mi, nic na to nie poradzę. Ale nie traćmy czasu. Kazałem przygotować salę odpraw. Kleist i Doring już czekają. Pułkownik Skorzeny przyjdzie później, żeby się z tobą przywitać.

* Gdzie Rachel?

* Śpi w jednym z baraków. Dostała lekarstwa, które pomogą jej szybciej wrócić do sił. Zobaczysz się z nią dziś wieczorem.

* Jeszcze nie powiedziałaś mi, dlaczego ona odgrywa tak ważną rolę w tej operacji.

* Dowiesz się przed odlotem. Chodź za mną.

Schellenberg poprowadził go do ogrodzenia z drutu kolczastego, pilnowanego przez tuzin esesmanów z pistoletami maszynowymi i kilka groźnie wyglądających wilczurów. Tablica na płocie głosiła: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony”. Schellenberg okazał przepustkę i przepuszczono ich. Po drugiej

stronie dziedzińca znajdował się długi jednopiętrowy budynek z czerwonej cegły, z jasno oświetlonym wejściem. Pilnowali go dwaj esesmani z psami. Strażnicy wyprężyli się, kiedy Schellen*berg otwierał drzwi.

* Niezbędne środki bezpieczeństwa * mruknął, wprowadzając Haldera do środka. * Ta misja jest ściśle tajna, więc nie możemy ryzykować. Każdy, kto spróbuje tu wejść bez mojego osobistego upoważnienia, zostanie zastrzelony, jeśli najpierw nie rozszarpia go psy. Te zwierzęta potrafią zabić człowieka w kilka sekund.

Wewnątrz budynek okazał się rozległy i pusty, wyglądał jak szkolna sala: z drewnianym biurkiem naprzeciw trzech krzeseł, tablicą i umieszczonym na środku kaflowym piecem, obok którego stali dwaj mężczyźni w cywilnych ubraniach, grzejąc ręce. Jeden z nich, dobrze po trzydziestce, barczysty i krępy, miał poznaczoną bliznami twarz i spłaszczony nos. Wyglądał jak typowy brutal, a jego czarne oczy zdradzały gwałtowny charakter. Drugi był dwudziestoparoletni, o ostrych rysach twarzy i cienkich wargach okrutnika.

* Znasz już majora Kleista. A ten młody człowiek to Doring, feldfelbel SS. Doring, poznaj majora Haldera.

Kleist pierwszy wyciągnął rękę.

* Cóż, Halder, znowu się spotykamy. Ostatnio widzieliśmy się pod Sarajewem, podczas operacji przeciw partyzantom, jeśli dobrze pamiętam?

Halder zignorował wyciągniętą rękę.

* Owszem. I nie mogę powiedzieć, że miło mi znów cię zobaczyć. Widziałem, jak traktowałeś jeńców.

Kleist poczerwieniał z urazy i groźnie zmrużył oczy.

* Wojna czasem wymaga surowych metod, majorze. Powinien pan o tym wiedzieć.

* Jestem żołnierzem, nie rzeźnikiem, Kleist. A może nie potrafisz tego rozróżnić? Nie uważam gwałcenia i torturowania kobiet za honorowy sposób prowadzenia wojny. Takie zachowanie hańbi niemiecki mundur. Gdybym mógł, kazałbym cię rozstrzelać.

Kleist uniósł brwi i uśmiechnął się złośliwie.

* Dziwię się, że tak pan do tego podchodzi. Czemu wobec tego bierze pan udział w tej operacji?

Halder zignorował zaczepkę. Feldfelbel Doring uśmiechał się krzywo, jakby ubawiony zajęciem, i Halder poczuł do niego

instynktowną niechęć. Schellenberg westchnął i położył teczkę na biurku.

* Teraz, kiedy już nie ma wątpliwości, że dobrze się poznaliście, zajmijcie miejsca, panowie, i zaczynamy.

Otworzył teczkę, wyjął kilka map i rozwinął sztabówkę północnego Egiptu.

* Za chwilę podam wam bliższe szczegóły, ale w skrócie wasza misja wygląda następująco: polecicie do północnego Egiptu i na nieczynnym lotnisku spotkacie jednego z naszych tamtejszych agentów, który pomoże wam dostać się do Kairu, gdzie będziecie udawali grupę archeologów. Tam spotkacie innego agenta, który umieści was w bezpiecznej kryjówce. Następnie, jak najszybciej * oceniamy, że w ciągu nie więcej niż trzech dni * postaracie się odkryć, gdzie dokładnie zamieszkają Roosevelt i Churchill. Podejrzewamy, że w hotelu „Mena House”, ale dojdziemy do tego później. Kiedy zdołacie ustalić ich miejsce pobytu, musicie opracować plan, który pozwoli nam przedrzeć się przez ochronny kordon i podejść dostatecznie blisko, żeby ich zabić. Po wykonaniu zadania * zakładając, że osiągniecie te cele * reszta będzie prosta. Nawiążecie łączność z Berlinem, a my wyślemy wtedy pułkownika Skorzeny'ego i jego spadochroniarzy. Spotkają się z wami na małym lotnisku pod Kairem, które będziecie musieli przedtem opanować. Kiedy Skorzeny wyląduje, przekażecie mu szczegóły planu, po czym przetransportujecie jego oddział do miejsca pobytu Roosevelta i Churchilla, a także pomożecie mu przedrzeć się przez ochronę. Później wszystkim zajmie się Skorzeny, a wy się wycofacie. Nie muszę wam powtarzać, jak ważna jest ta operacja dla Niemiec. Ten plan po prostu musi się powieść. Obojętnie jakie napotkacie przeszkody, wasz cel pozostaje bez zmian: dotrzeć do Kairu i wykonać zadanie. Bez względu na okoliczności nie możecie przerwać misji, chyba że na mój osobisty rozkaz. Czy to jasne?

* Jak będziemy się kontaktować? * zapytał Halder.

* „Beszeba”, agent, którego spotkacie w Kairze, ma radiostację. Jego sygnały są przekazywane do Berlina przez stację retransmisyjną w Rzymie. Przy dobrej pogodzie zazwyczaj otrzymujemy je w ciągu godziny, najpóźniej dwóch. Mamy także stację nasłuchową w Atenach. * Schellenberg stuknął palcem w mapę. * A teraz szczegóły. Wprawdzie Włosi skapi

tulowali, ale nasze oddziały nadal okupują północną część Włoch, włącznie z Rzymem, który znajduje się o niecałe trzy godziny lotu od brzegów Afryki Północnej. Za cztery dni zostaniecie przewiezieni do Rzymu. Kiedy dostaniemy wiadomość z Egiptu, że wszystko jest już przygotowane na wasze przybycie, wylądujecie na nieużywanym lotnisku RAF*u, tutaj, w pobliżu wioski Abu Sammar, trzydzieści kilometrów na południowy zachód od Aleksandrii, mniej więcej o piątej rano. To lotnisko jest zaledwie małym płachetkiem piasku, ale idealnym dla naszych celów. Jest całkowicie puste, nie licząc paru beduińskich rodzin koczujących kilka kilometrów dalej, ale Beduini nie powinni sprawić wam żadnych kłopotów. Nasz agent otrzymał już instrukcje, kiedy ma was oczekiwać. Da wam sygnał do lądowania, a potem zawiezie was do Aleksandrii. Stamtąd pojedziecie do Kairu pierwszym pociągiem, który odchodzi o siódmej rano i dwie godziny później przyjeżdża na Ramses Station. Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, skontaktujecie się tam z „Beszebą”, który zaprowadzi was do bezpiecznej kryjówki.

* Jak się skontaktujemy? * zapytał Kleist.

* W kawiarni „The Pharaoh's Garden”, znajdującej się naprzeciw dworca. Pójdziecie tam od razu po opuszczeniu pociągu, zajmiecie stolik na zewnątrz i wszyscy zamówicie kawę. Jako sygnał rozpoznawczy

jeden z was zatknie bilety kolejowe za opaskę kapelusza. Ten człowiek nawiąże z wami rozmowę. Będzie miał na głowie kapelusz panama, pod pachą egzemplarz „Egyptian Gazette” i różę w butonierce. * Schellenberg uśmiechnął się. * Oklepany numer, ale stare sztuczki zawsze są najlepsze. Zapyta was o najkrótszą drogę do Muzeum Egipskiego. Powiecie, że właśnie tam idziecie i możecie pokazać mu drogę. Później omówimy wszystkie szczegóły, łącznie z sygnałami ostrzegawczymi na wypadek, gdyby wasz kontakt uznał, że grozi wam niebezpieczeństwo i musicie spotkać się w punkcie awaryjnym. Jeśli z jakiegoś powodu nie zdążycie na pierwszy pociąg, kontakt będzie tam wracał w porze przyjazdu każdego kolejnego pociągu z Aleksandrii, aż do pierwszej w nocy. Jeżeli nie pojawicie się do tego czasu, uzna, że wydarzyło się najgorsze.

* A jeśli nikt nie pojawi się na lotnisku? * zapytał Halder.

* Człowiek, który ma was powitać, jest godny zaufania. Otrzymał ode mnie polecenie, aby czekał, aż przyleci samolot.

* Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Co będzie, jeśli się nie zjawi?

Schellenberg uśmiechnął się krzywo.

* Zawsze jesteś przezorny, Jack. Dla spokoju twojego ducha i na wypadek nadzwyczajnych trudności * których zresztą nie przewiduję * tu będzie czekała motorówka... * Schellenberg wskazał miejsce na mapie. *W delcie Nilu, opodal miasteczka Rashid. Rzeką w sześć godzin dopłyniecie prosto do Kairu. Szczegóły później.

Halder sprawdził mapę.

* Przecież Rashid leży co najmniej trzydzieści kilometrów od Aleksandrii.

* Zapominasz o jednym. W razie kłopotów na lądzie rzeka stanowi jedyną możliwość dotarcia do Kairu, a Rashid to najbliższe miejsce, w którym mielibyście dostęp do wody. „Be*szeba” uważa tę trasę za bezpieczną, gdybyście po wylądowaniu napotkali jakieś kłopoty. Poleciliśmy mu przygotować dla was pełne wyposażenie, od broni po środki transportu, wszystko co niezbędne. * Schellenberg uśmiechnął się. * Już wysłałem mu listę rzeczy, których możecie potrzebować. Trzy amerykańskie wojskowe ciężarówki do przewiezienia ludzi Skorzeny'ego z lotniska pod Kairem. Dżip oraz mundury żandarmerii dla ciebie, Kleista i Doringa oraz dokumenty, z którymi będziecie mogli swobodnie poruszać się po Kairze. Dziś po południu omówię z wami ten spis. Jest jeszcze jeden powód, dla którego potrzebujecie tych mundurów i dżipa...

*! Proszę o pozwolenie na zadanie pytania, panie generale.

* Pytaj, Kleist.

* Jest pan pewny, że temu „Beszebie” można ufać?

* Całkowicie. Ten człowiek okazał się bardzo przydatny i jest jednym z naszych najlepszych agentów. Oczywiście będzie miał pomocnika*Araba, dawnego agenta Rommla.

* Nigdy nie ufam Arabom * mruknął kwaśno Kleist. * Wszyscy są cwani.

* Ten jest godny zaufania, Kleist, więc traktuj go z szacunkiem, mimo że według standardów SS należy do podludzi. To rozkaz. Zrozumiano?

* Tak jest, panie generale.

* Są jeszcze jakieś pytania? Tak, Doring?

* Co z naszym transportem powietrznym, panie generale? Lecząc samolotem Luftwaffe nad terytorium wroga, podejmiemy ogromne ryzyko.

Schellenberg uśmiechnął się szeroko.

* O to możecie się nie martwić, zajęliśmy się tym.

* A papiery?

* Każdy z was dostanie komplet doskonale podrobionych dokumentów. Ty, Jack, oczywiście otrzymasz tożsamość Amerykanina. Kleist i Doring będą obywatelami Afryki Południowej. Panna Stern dostanie papiery niemieckiej Żydówki. W przeciwieństwie do innych Niemców w Egipcie, ci żydowskiego pochodzenia nie zostali internowani i mogą poruszać się zupełnie swobodnie. Mam nadzieję, że egipskie władze nie będą was zbyt niepokoić. Aby jednak upewnić się, że jesteście dobrze przygotowani, kazałem trzem moim najlepszym oficerom kontrwywiadu szczegółowo odpytać was i dziewczynę z waszych fikcyjnych życiorysów.

Halder przerwał mu:

* Chwileczkę... Nawet jeśli nasz kairski agent dostarczy trzy amerykańskie ciężarówky, aby przewieźć ludzi Skorzeny'ego z lądowiska do miejsca pobytu Roosevelta i Churchilla, to nie załatwia sprawy. Mówimy o setce spadochroniarzy w niemieckich mundurach. Jeśli ciężarówky zostaną zatrzymane na punkcie kontrolnym, będziemy skończeni.

* Mamy w rękawie asa, który w razie potrzeby powinien załatwić ten drobny problem. Wszystko w swoim czasie, Jack. Przed odlotem poznacie wszystkie detale.

Odłożył mapę Egiptu, wziął szczegółowy plan Kairu i okolic, po czym rozpostarł go na biurku.

* A teraz najważniejsze. Oto hotel „Mena House” w Gizie, gdzie prawdopodobnie zatrzymają się przywódcy aliantów. Wiemy jedynie, że teren wokół został ufortyfikowany i otoczony posterunkami. Mamy dokładny plan hotelu, z turystycznych prospektów wydrukowanych przed wojną, więc przestudiujemy go po południu. Spodziewam się, że po spotkaniu w Kairze „Beszeba” dostarczy wam dokładniejszych informacji. Szacunkowa liczebność żołnierzy, szczegóły dotyczące ochrony terenu i tak dalej. Powtarzam, że najważniejszą sprawą jest znalezienie drogi do wnętrza hotelu i ustalenie, czy kwatrują w nim Roosevelt i Churchill. A jeśli tak, to gdzie. Będziecie musieli przedostać się do środka i niepostrzeżenie wy dostać się z informacjami. Musicie jakoś tego dokonać.

Schellenberg wskazał na plan Kairu.

* Będziecie też musieli opanować i utrzymać to lotnisko, dwadzieścia minut jazdy od hotelu, aby ludzie Skorzeny'ego mogli bezpiecznie wylądować. Myśleliśmy o zrzuconiu ich na

spadochronach, ale to zbyt ryzykowne. Ktoś mógłby zauważyć spadochrony i wszcząć alarm. Lądowisko znajduje się dziesięć kilometrów na południe od Gizy, w pobliżu miasteczka Shab*ramant. To szkolne lotnisko Królewskich Sił Powietrznych Egiptu, istniejących właściwie tylko na papierze, więc pasy są sporadycznie wykorzystywane przez Anglików i Amerykanów. Z dotychczasowych raportów „Beszeby” wynika, iż jest kiepsko strzeżone, lecz ze względu na wizytę Roosevelta i Churchilla w Kairze może to ulec zmianie. Z tym problemem również będziecie musieli się uporać.

* W jaki sposób samoloty ze spadochroniarzami prześlizgną się przez aliancką obronę powietrzną?

Schellenberg uśmiechnął się do Haldera.

* Zawsze znajdzie się jakiś sposób. Jednak, jak już mówiłem, musicie cierpliwie poczekać. Co do powrotu, niebawem podam wam dokładne szczegóły, na razie tylko tyle, że jeśli dostaniecie się do Shabramant, będzie tam czekał jeden z naszych samolotów, który was zabierze. Razem z „Beszebą”. Po tej akcji będzie już spalony w Egipcie. Gdyby coś poszło źle w Shabramant * czego nie przewiduję * „Beszeba” przygotowuje wam awaryjną trasę ucieczki.

* Przecież powrót drogą powietrzną będzie bardzo ryzykowny. Do tej pory alianci na pewno postawią na nogi całą swoją obronę przeciwlotniczą.

* Dla odwrócenia uwagi zamówiłem naloty na Aleksandrię i Kair z naszych baz na Rodos i Krecie * odparł Schellenberg. * Po wylądowaniu Skorzeny'ego nasza Luftwaffe przez kilka godzin zajmie aliantów. Tak, Kleist...?

* Kiedy poznamy tę dziewczynę?

* Pojutrze, gdy otrzymacie cywilne ubrania i dokumenty. Jak już mówiłem, ona nie zna prawdziwego celu waszej misji, więc w jej obecności nie możecie omawiać żadnych istotnych kwestii. Zapamiętajcie to sobie dobrze.

Rozległo się pukanie do drzwi i Schellenberg rzekł:

* Wejść.

Do pokoju wszedł potężny mężczyzna, sprawiający wrażenie, że mógłby bez szwanku przejść przez ceglany mur. Miał sporo ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, szerokie bary i twarz jak wykuta z kamienia. Nosił mundur pułkownika SS z odznakami spadochroniarza, a na szyi Żelazny Krzyż. Uniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu i trzasnął obcasami.

* Panie generale.

* Pułkownik Skorzeny! * rozpromienił się Schellen*berg. * W samą porę. Właśnie kończyłem odprawę.

To jest major Halder.

Skorzeny odwzajemnił honory i uściśnął dłoń Haldera.

* Miło mi pana poznać, majorze.

* Cała przyjemność po mojej stronie. Zdaje się, że gazety Rzeszy nazywają pana najniebezpieczniejszym człowiekiem w Europie. Odbicie Mussoliniego to nadzwyczajny wyczyn.

* Który zamierzam powtórzyć, ale z jeszcze lepszym skutkiem. Pan też ma niezłe osiągnięcia, Halder. Muszę powiedzieć, że jestem pod wrażeniem. Przydałby mi się taki oficer jako dowódca jednego z moich batalionów.

* Niestety, pułkowniku, wolę stać mocno na ziemi. Tak jest bezpieczniej.

* Szkoda * odparł Skorzeny. * Ale kto wie? Może po tej akcji zmieni pan zdanie. * Zwrócił się do Schellenberga: * Przepraszam, panie generale. Przerwałem panu odprawę.

* Bynajmniej, już prawie skończyłem. * Schellenberg odwrócił się do pozostałych. * Została nam jeszcze sprawa dżipa i mundurów żandarmerii, ale wrócę do tego później. Jak łatwo się domyślić, strażę pilnującą hotelu muszą się zmieniać. „Be*szeba” powinien mieć dokładne informacje dotyczące zmian wart. Wydaje się, że moglibyście wykorzystać to, żeby dostać się do środka.

* Jak? * zapytał Halder. Schellenberg uśmiechnął się.

* Taki zdolny gość jak ty, Jack, na pewno coś wymyśli. Są jeszcze jakieś pytania?

Nikt się nie odezwał.

* Dobrze. Przez następne dni nauczycie się waszych życiorysów. Dokładnie utrwalcie w pamięci mapy Aleksandrii i Kairu... nie chcemy, żeby któryś z was się zgubił. Omówimy plany i położenie hotelu „Mena House” z pułkownikiem Skorzenym, który co pewien czas będzie sprawdzał wasze postępy i znajomość szczegółów. Chcę też, żebyście wiedzieli, że polecę z wami aż do Rzymu, aby pożegnać was i życzyć wam powodzenia.

Spojrzał na Kleista i Doringa.

* Jeśli chodzi o ewentualne pytania na temat znajomości

podstaw archeologii, które mają uwiarygodnić waszą przykrywkę, to major Halder i inni eksperci przeprowadzą z wami błyskawiczne szkolenie. A teraz do roboty, panowie.

Wieczorem lało jak z cebra * była to prawdziwa berlińska ulewa. Halder otworzył drzwi baraku i wszedł do środka. Woda ściekała mu z kapelusza i płaszcz. Rachel była sama, siedziała na pryczy.

* Schellenberg powiedział, że cię tu znajdę.

* Czego chcesz?

Zdjął kapelusz, strząsnął z niego wodę i uśmiechnął się niepewnie.

* Nie jest to powitanie, jakiego oczekiwałem w taki paskudny wieczór. Myślałem, że zjemy kolację w mojej kwaterze.

* Wolę być sama.

* Czy to potrzebne, Rachel?

* Co"?

* Ta niechęć. Chociaż sytuacja nie jest przyjemna, sądziłem, że nadal możemy być przyjaciółmi.

Chciała się odwrócić, ale Halder łagodnie chwycił ją za ramię.

* Naprawdę tak mną gardzisz?

* Puść mnie!

Odsunął się natychmiast i na jego twarzy pojawiło się znużenie.

* Nic dziwnego, że uważasz, iż zaprzedałem się hitlerowcom. Chcesz usłyszeć prawdę? Po prostu życie czasem nie biegnie tak, jak sobie zaplanowałeś: wybierzesz złą drogę i zanim się obejrzysz, już zaszedłeś za daleko, żeby zawrócić. * Zawahał się. * Nie mówiłem ci o tym, ale gdy nie odpisywałaś, poznałem kogoś i ożeniłem się. Była dobrą kobietą, pod wieloma względami podobną do ciebie.

Rachel spoglądała na niego pustym wzrokiem.

* Umarła, kiedy urodziła mi syna. Nikt z nas nie wyszedł z tej wojny bez szwanku, Rachel... wszyscy jesteśmy ofiarami. Trzy miesiące temu był aliancki nalot na Hamburg. Mój ojciec zginął, syn przeżył. Jeśli można nazwać życiem wegetację na oddziale poparzeń.

Jej twarz pociemniała.

* Ja... przykro mi to słyszeć. Naprawdę.

* Stare dzieje.

Chciała coś powiedzieć, ale najwyraźniej zmieniła zdanie. Halder odwrócił się, żeby wyjść.

* Schellenberg przyjdzie jutro i przedstawi ci twoje zadanie. Za kilka dni poznasz pozostałych.

* Kim oni są?

* Generał na pewno ci powie. Na razie wystarczy, jeśli się dowiesz, że obaj są z SS. Jestem przekonany, że po czterech latach pobytu w obozie nie są to twoi wymarzeni towarzysze podróży. Moi też nie. Jednak nic nie możemy na to poradzić. Na razie spróbuj wypocząć i nabrać sił. Będą ci potrzebne.

Zapadła cisza. Halder włożył mokry kapelusz, postawił kołnierz płaszcza, podszedł do drzwi i wyszedł.

Rachel stanęła przy oknie i ze łzami w oczach patrzyła, jak ze spuszczoną głową idzie w deszczu przez dziedziniec koszar i znika w ciemnościach.

Rozdział 16

Kair,

17 listopada

To Sanson znalazł notatkę, kiedy już byli gotowi zrezygnować.

Szukali aż do północy i byli wykończeni. Znajdowali się w budynku magazynu w Ezbekieh, w pobliżu opery, w ogromnej sali na drugim piętrze. Okna były zamknięte okiennicami, na stole i podłodze zalegały wysokie sterty dokumentów. Wiele z nich nosiło ślady nadpalenia lub wody, a wszystkie były w kompletnym nieładzie. Gdy alianci zajęli Tunis, zaskoczyli oficerów niemieckiego wywiadu przy paleniu archiwum. Na kilku dokumentach Weaver dostrzegł plamy krwi. Ktoś umarł, próbując zniszczyć te papiery.

Sanson przejrzał notatkę i nagle ożywił się.

* Zdaje się, że coś tu mamy.

Pokazał Weaverowi dokument, napisany po niemiecku na maszynie i datowany dziewięć miesięcy wcześniej. Kartka była nadpalona, lecz jej treść nadal czytelna. Weaverowi rzuciło się w oczy słowo „Beszeba”. Spojrzał na Sansona.

* Co tu jest napisane?

* To notatka do wewnętrznego użytku, sporządzona przez oficera wywiadu wojskowego, kapitana Bergera, dla jego zwierzchnika w Tunisie. * Sanson podał ją jednemu z tłumaczy, młodemu sierżantowi w okularach o grubych oprawkach. * Proszę o dokładny przekład, sierżancie.

* Tak jest, panie pułkowniku. „Rommel stanowczo domaga się szczegółów: liczby oddziałów, uzbrojenia i ruchów artylerii. Berlin rozkazuje Feniksowi natychmiast przenieść się do Kairu. Kontakt z Beszebą. Może połączone wysiłki dadzą lepsze wyniki”. * Sierżant podniósł głowę. * To chyba wszystko.

Sanson rzekł do Weavera:

* Najwyraźniej naszemu przyjacielowi „Bcszebie” przydzielono pomocnika.

* Po co?

* To nietrudno zrozumieć. Dziewięć miesięcy temu szkopy dostawały tęgie lanie od Monty'ego i potrzebowali wszelkich możliwych informacji wywiadowczych. * Sanson wzruszył ramionami. * Teraz nie ma to już większego znaczenia, tyle że jeśli nadal pracują razem, to mamy dwóch przeciwników.

Ziewnął, opuścił rękawy, włożył kurtkę i zwolnił obu sierżantów.

* I co teraz? * spytał ze znużeniem Weaver. Był niewyspany. Przez pół poprzedniej nocy nie zmrużył oka, kochając się z Helen Kane, aż poczuł przyjemne zmęczenie w całym ciele. Tego dnia trudno było im zachowywać się wobec siebie oficjalnie. Ilekroć Helen znalazła się w pobliżu, posyłała mu znaczący uśmiešek, a on odczuwał przepływające między nimi impulsy. Gdyby nie musiał szukać tego Araba, chętnie spotkałby się z nią wieczorem. Spojrzał na Sansona. Teraz, kiedy dowiedział się o jego osobistej tragedii, poczuł do niego sympatię.

* Prześpimy się trochę i będziemy szukali dalej, może znajdziemy coś więcej * powiedział Sanson. * Sprawdź w obozach jenieckich, czy zajmując Tunis, nie wzięliśmy do niewoli kapitana Bergera.

Weaver był przygnębiony. Wiedział, że nie zbliżyli się ani o krok do schwytania „Beszeby”. Jeśli łącznościowcy nie zdołali go namierzyć, to oni mieli jeszcze mniejsze szansę.

* Daleki strzał i trudno na to liczyć * mruknął. * Nasze szansę na złapanie go nadal są niewielkie, prawda?

Sanson potarł jedyne oko i spojrzał na Weavera.

* W dwumilionowym mieście? Niewielkie. Jednak musimy go złapać, Weaver. Musimy.

W ten wtorkowy wieczór klub „Sułtan” był zatłoczony. Na podium grała orkiestra, grupka Francuzów w śmiesznych fezach. Tuż przed dziesiątą Harvey Deacon zszedł po schodach na dół i pstryknął palcami na szefa sali.

* Znajdź mi stół na końcu sali, Sammy. Siódemka byłaby doskonała.

* Oczywiście, proszę pana. * Kelner odszedł, chcąc jak najszybciej spełnić życzenie pracodawcy.

Deacon patrzył, jak Sammy podchodzi do grupki amerykańskich żołnierzy, siedzących w cieniu na końcu sali, i próbuje ich przekonać, że ten stolik jest zarezerwowany. Po krótkim oporze tamci dali się przesadzić, zachęceni obietnicą darmowego piwa. Sammy wrócił i zaprowadził Deacona do stolika.

* Napiję się szampana * powiedział Deacon i ponuro zerknął na zegarek. * Do diabła, dlaczego show jeszcze się nie zaczął?

* Zaraz się zacznie, proszę pana.

Kiedy kelner nalewał szampana, Deacon zapalił cygaro. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny prawie wcale nie spał. Pod oczami miał czarne kręgi i był wyczerpany, ale także podniecony. Z Berlina nadeszła wiadomość, że czwórka agentów przybędzie przygotować operację, a potem przyłecą spadochroniarze. Był to bardzo zuchwały plan i przyszłość pokaże, czy się powiedzie. Ale jednego Deacon był pewien. Jeśli

to się uda, wojna będzie wygrana.

Będzie to także jego zemsta za to, co spotkało Christinę. Do tej pory przesywał go zimny dreszcz, ilekroć przypominał sobie, jak umarła. Podczas pierwszego dziennego nalotu na Berlin, przeprowadzonego przez Amerykanów sześć miesięcy wcześniej, w jej mieszkaniu trafiła bomba. Nie znaleziono ciała i Deacon był oślepiony, kiedy usłyszał tę wiadomość, dostarczoną przez hiszpańskiego kuriera. Myśl o zabiciu Roosevelta i Churchilla powodowała gwałtowny wzrost poziomu adrenaliny w jego krwi.

Ale trzeba było działać szybko, a Deacon nie lubił pośpiechu. Kroczył po cienkiej linie i musiał uważać.

Zapalono reflektor i czerwona kurtyna rozchyliła się. Przy dźwiękach egipskich bębnów na scenę weszło sześć kobiet w skąpych, naszywanych cekinami stanikach i szarawarach. Tania, gwiazda przedstawienia, szła w środku, prezentując swoje wdzięki: długie czarne włosy, migdałowe skośne oczy i ponętne ciało o wydatnych biodrach i obfitych piersiach. Była pół Włoszką, a pół Arabką * wybuchowa mieszanka.

Orkiestra zaczęła grać, a dziewczyny tańczyły, rozbierając się jednocześnie. Muzycy starali się, jak mogli, ale tancerki były beznadziejne. Jednak publiczność nie zwracała na to uwagi.

Jakiś mężczyzna przecisnął się przez tłum, niosąc wysoko nad głową kieliszek szampana i z zainteresowaniem obserwując przedstawienie. Był wysoki, przystojny i pewien siebie, a wymanikiurowane dłonie i drogi zachodni garnitur świadczyły

o jego arystokratycznym pochodzeniu. Kapitan Królewskich Sił Powietrznych Egiptu, Omar Rahman, był synem ministra

i gorącym sympatykiem Hitlera. Nie odrywał oczu od rozbierającej się Tani.

* Mój Boże, co za kobieta * powiedział z zachwytem. * Te piersi mogłyby doprowadzić mężczyznę do szaleństwa.

Deacon uśmiechnął się pobłaźliwie.

* Później będzie na to czas. Masz informacje, których potrzebuję?

Omar zręcznie wyjął z kieszeni kopertę i podał mu ją pod stołem.

* Tutaj jest wszystko, o co prosisz.

Deacon niepostrzeżenie schował kopertę do kieszeni.

* No i co, Omarze, możesz to zrobić? Kapitan uśmiechnął się.

* Znasz mnie, lubię ryzyko.

* Czy to wykonalne?

* Kradzież samolotu to żaden problem. Jeszcze kilka miesięcy temu Brytyjczycy dokładnie kontrolowali egipskie siły powietrzne: nie mogliśmy startować ani lądować bez ich pozwolenia, a paliwo było

racjonowane. Ale od kiedy Rommel wycofał się, nie przestrzegają już tak środków bezpieczeństwa. Jestem pewien, że twój plan jest do przeprowadzenia. Oczywiście jeżeli dotrzymasz naszej umowy.

* Możesz być tego pewny * rozpromienił się Deacon. Dziewczyny powoli kończyły pokaz. Muzyka ucichła, słysząc

było tylko bicie bębna. Tania wystąpiła naprzód, niemal zupełnie naga * miała tylko pędzelki na sutkach i mikroskopijne majteczki. Zaczęła poruszać pędzelkami, jednocześnie kręcąc biodrami w parodii zmysłowego tańca. Jej erotyczne podrygi doprowadziły publiczność do szaleństwa. W końcu bęben zamilkł i dziewczyna znieruchomiała. Zapadła chwila ciszy, a potem mężczyźni przy stolikach zerwali się na nogi, pokrzykując i klaszcząc. Tania skłoniła się, przęając obfity biust. Deacon zauważył, że Omar oblizał wargi.

* Chciałbyś spędzić kilka godzin w jej łóżku? Omar zaśmiał się.

* Mój przyjacielu, to byłby raj na ziemi. Deacon odpowiedział z uśmiechem:

* Więc chodź, zaprowadzę cię do jej garderoby.

Kiedy dziesięć minut później, po powrocie do gabinetu, Deacon kończył przeglądać zawartość koperty, usłyszał pukanie do drzwi. Wszedł Hassan i Deacon ledwie go poznał. Arab pozbył się brody i galabii, którą zastąpił garnitur. Wyglądał teraz zupełnie inaczej. Opał na krzesło. Opuchlizna już mu zeszała, pozostał tylko granatowożółty siniak.

* No co, widziałeś się z Salterem? * zapytał Deacon.

* Za pół godziny oczekuje nas w magazynie.

* Doskonale.

Berlin wyraźnie podał, co będzie potrzebne, i Deacon miał wrażenie, że Reggie Salter pomoże mu rozwiązać ten problem.

* Nie ufam Salterowi ani temu jego greckiemu partnerowi * rzekł posępnie Hassan.

* Nie mamy wyboru, chyba że sami spróbujemy ukraść pojazdy i mundury, co byłoby bardzo ryzykowne. Może to jeden z największych gangsterów w Kairze, ale dostarczy nam wszystkiego, co chcemy, i na pewno nie pójdzie na policję. Czegóż więcej można chcieć?

Hassan pomasaował szczękę.

* Tylko czy zrobi to, o co go poprosimy? Deacon dopił szampana i zgasił cygaro.

* Miejmy taką nadzieję, inaczej wszystko skończy się prędzej, niż się zacznie.

Malta

Tej samej nocy, tysiąc pięćset kilometrów dalej, premier Winston Churchill właśnie skończył prosty

posiłek złożony z gotowanego kurczaka i warzyw. Siedział w małej prywatnej mesie, na pokładzie krążownika HMS „Renown”, zakotwiczonego w Valletcie, stolicy Malty.

Pierwszą część wieczoru spędził w rezydencji gubernatora, wręczając medale za Afrykę Północną generałom Eisenhowe*rowi i Alexandrowi, a potem wrócił na pokład, żeby przed późną kolacją zabrać się za stos pilnych papierów. Po posiłku

wziął cygaro i dużą whisky z wodą sodową, podane mu przez jednego z oficerów.

* Nie za dużo wody sodowej, młodzieńcze. To cholera zabija smak. * Churchill przeniósł wzrok na generała Hastin*gsa „Pug” Ismaya, szefa sztabu, z którym dzielił stół. * No, Hastings, możemy wrócić do mojej kajuty?

* Oczywiście, sir.

Premier podziękował oficerowi, który podał mu drinka, i ruszył pierwszy, trzymając szklaneczkę. Była ciepła noc, wiał łagodny śródziemnomorski wiaterek, a oblane księżycowym blaskiem fale z pluskiem omywały kadłub okrętu. Churchill, szanując przepisy przeciwpożarowe, heroicznie powstrzymał się od zapalenia cygara przed powrotem do kabiny. Była niewielka, urządzona prawie po spartańsku: nocna szafka, dwa krzesła i metalowa koja. Ta prostota wcale nie pasowała do niezwyklej osobowości lokatora, ale też mało kto wiedział, jak skromne wymagania ma premier Wielkiej Brytanii, nie licząc cygar, przyjęć i whisky.

* Usiądź, Hastings.

Churchill opadł na krzesło i przytknął zapałkę do cygara. Ismay zauważył, że premier ma ziemistą cerę i niezdrowy wygląd: ostre zapalenie gardła oraz szczepienia przeciw tyfusowi i cholery spowodowały, że pierwsze dni rejsu przeleżał w łóżku. Oczekiwały go trzy tygodnie wyczerpujących spotkań na szczycie: pięć dni w Kairze, aby omówić z Rooseveltem operację „Overlord”, czyli lądowanie w Europie, później konferencja z Chiang Kai*shekiem w kwestii wyboru odpowiedniej taktyki na Dalekim Wschodzie i Pacyfiku, potem omówienie w Teheranie z Rooseveltem i Stalinem strategii aliantów, a następnie powrót do Kairu, aby z amerykańskim prezydentem podsumować wyniki tych wszystkich spotkań. Wojna właśnie wkroczyła w decydującą fazę: inwazja na Sycylię i włoski półwysep powoli przechylała szalę zwycięstwa na stronę aliantów. Ismay był przekonany, że decyzje, które zostaną podjęte w najbliższych tygodniach, zadecydują o zwycięstwie lub klęsce.

* Pewnie nie może się pan doczekać konferencji, panie premierze? * zapytał, siadając na drugim krześle.

* Zaczynam mieć dość tych cholernych konferencji, Hastings, i tej całej wojny. Proszę Boga, żeby się skończyła. Właśnie dlatego musimy wszystko uzgodnić w Kairze. Dopiąć na ostatni guzik naszą strategię w Europie i na Bałkanach, wobec Rosji

i na Dalekim Wschodzie. Potem przejmujemy piłkę i pobiegniemy z nią najszybciej, jak się da. * Churchill spojrział na Hasting*sa. * W przeciwnym razie obawiam się, że możemy przegrać wojnę.

Ismay nachylił się do niego niespokojnie.

* Wiem, że podczas tych konferencji zostaną podjęte nadzwyczajne środki bezpieczeństwa, ale czy czytał pan ostatnie raporty wywiadowcze z Londynu? Niemcy najwidoczniej zorientowali się, że coś wisi w powietrzu. Ich szpiedzy w Lizbonie i Stambule wychodzą z siebie, aby zdobyć informacje o poczynaniach pana i prezydenta Roosevelta.

* Czytałem.

* Nasz wywiad twierdzi, że teraz, kiedy przyparliśmy Hitlera do muru, Berlin prędzej czy później może spróbować jakiegoś rozpaczliwego posunięcia.

* O tym też czytałem. Mówisz o zamachu na nas.

* To logiczne. Śmierć któregoś z was: Roosevelta, Stalina lub pana, byłaby dla hitlerowców darem bożym. Zmieniłaby wszystko i prawdopodobnie powstrzymałaby naszą ofensywę. Kto wie, co mogłoby się stać w wyniku takiej katastrofy?

* Jakbym o tym nie wiedział. * Churchill podniósł się z krzesła, podszedł do okna, spojrzął przez szybę i nie odwracając się, rzekł: * Osobiście nie wierzę, by naziści byli w stanie przeprowadzić taką zuchwałą operację.

* Zdołali jednak wydostać Mussoliniego z Abruzzi. To również była zuchwałą operacja. Nie lekceważyłbym ich, sir. Ten Skorzeny ze swoimi spadochroniarzami... Trzeba przyznać, że cała ta akcja była przeprowadzona wzorowo.

* Czyżbyś próbował mnie przestraszyć, Hastings?

* Wątpię, czy to możliwe, sir. Ja tylko wskazuję, że może panu grozić niebezpieczeństwo, jeśli wierzyć raportom wywiadu. Może w razie konieczności rozsądniej byłoby zmienić termin konferencji?

* To niemożliwe. Jej zaaranżowanie kosztowało nas zbyt wiele pracy, przygotowań i kompromisów. Poza tym jest niezmiernie ważne, aby odbyła się właśnie teraz, wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Od jej wyniku zależy życie wielu ludzi. Im prędzej stoczmy tę bitwę i zwyciężymy, tym lepiej, inaczej nie będzie końca śmierci i zniszczeniom.

* Gdyby jednak okazało się to konieczne...

* Wtedy sam podejmę decyzję. * Churchill upił łyk whisky,

nadal spoglądając za okno. * Jestem pewien, że będę lepiej chroniony od Mussoliniego. I jest jeszcze jedno, czego Berlin nie wziął pod uwagę...

* Co takiego, sir?

* Nie zamierzam ginąć z rąk hitlerowskich zamachowców, ale umrzeć we śnie, w podeszłym wieku, otoczony rodziną. Wszystko przemawia za tym, że tak się stanie, Hastings.

Ismay mimo woli uśmiechnął się.

* Z pewnością z cygarem w zębach i szklaneczką whisky w dłoni?

Churchill odwrócił się i podniósł swojego drinka.

* Właśnie tak.

Rozdział 17

Kair

Wielki stary magazyn na tętniącym życiem bazarze Khan*el**Khalili niczym nie wyróżniał się spośród wielu innych: był to walący się budynek z poczerniałymi od sadzy murami.

W środku jednak wyglądał zupełnie inaczej.

Mieścił asortyment towarów, z którego byłby dumny każdy kupiec lub kwatermistrz, zapakowany w sięgające od podłogi po sufit sterty skrzyń. Były tam alkohole, środki medyczne, buty, koce, konserwy i puszki z olejem, bele materiałów i prawie wszystko, na czym można było dobrze zarobić na czarnym rynku.

Reggie Salter siedział za biurkiem w biurze na pierwszym piętrze, przeliczając pliki brudnych egipskich banknotów. Jak zawsze przy liczeniu pieniędzy, na jego twarzy perlił się pot. Był niskim mężczyzną po trzydziestce, o szerokich ramionach okrytych przepoconą lnianą kurtką, pod którą nosił skórzaną kaburę z tkwiącym w niej pistoletem automatycznym Browninga. Tego wieczoru skwar i duchota były nie do zniesienia, więc co chwila ocierał sobie twarz chusteczką.

Na drugim końcu pomieszczenia chudy, bosonogi, najwyżej dziesięcioletni egipski chłopiec szybko obracał rękami pedały roweru, połączonych skomplikowanym systemem łańcuchów i przekładni z dużym drewnianym wiatrakiem, który kręcił się pod sufitem, lecz powietrze było zbyt gęste, aby czyniło to jakąkolwiek różnicę.

* Nie możesz szybciej kręcić tym cholernym wiatrakiem? *

warknął Salter. Dzieciak sphywał polem, jednak próbował wykonać rozkaz.

Rozległo się pukanie do drzwi i Salter zmarszczył brwi, ale nie oderwał oczu od banknotów.

* Co jest, kurwa? Jestem zajęty.

Drzwi otworzyły się i wszedł jeden z jego goryli. Wyglądał bardzo groźnie: wysoki, krępy i muskularny, o

twarzy pokrytej pajęczyną drobnych blizn.

* Łysy Reed chce się z tobą widzieć, Reggie. Przyszedł też Deacon. Czekaj na dole.

Salter zgarnął banknoty do szuflady i zamknął ją.

* Niech Deacon zaczeka, najpierw przyślij tu Łysego. Potem znajdź w piwnicy Costasa i powiedz mu, żeby natychmiast przywłókł tu swoje dupsko.

* Dobrze, szefie.

Kiedy goryl wyszedł, Salter przeszedł przez pokój i kciukiem wskazał chłopcu drzwi.

* Wynoś się, mały. Jesteś do niczego.

Wyczerpany dzieciak zsunął się z worków, ale ponieważ nie oddalił się dostatecznie szybko, Salter kopnął go w tyłek.

* Głuchy jesteś, cholera? Powiedziałem, żebyś się wynosił. Już!

Chłopiec wypadł za drzwi, które po chwili otworzyły się ponownie i stanął w nich niepozorny mężczyzna w mundurze sierżanta brytyjskiej armii. Wally Reed miał najwyżej dwadzieścia pięć lat i chłopięcą twarz, ale pod czapką był niemal całkiem łysy. Salter wyszedł zza biurka i uśmiechnął się.

* Dobrze znów cię widzieć, Łysy. Co masz dla mnie tym razem? Mam nadzieję, że coś ciekawego.

* Dwie czterdziestogalonowe beczki benzyny, tuzin butelek najlepszego elareta i cztery półtusze.

* Kogo zamordowałeś, żeby je zdobyć? Reed zaśmiał się.

* Człowiek musi jakoś żyć. Jesteś zainteresowany?

* Ile?

* Czterdzieści.

* Jesteś większym złodziejem ode mnie. Trzydzieści i ani pensa więcej * oświadczył Salter. * Na osłode dorzucę ci jeszcze butelkę szkockiej.

* Stoi. Chcesz, żebym podrzucił wszystko na zwykłe miejsce?

* Byłbym wdzięczny. * Salter klepnął sierżanta w ramię i odprowadził go do drzwi. * I zrób to po północy, jak zawsze. Przyjemnie robić z tobą interesy, Łysy.

W dniu, kiedy Reggie Salter zdezerterował z Ósmej Armii, jego życie zdecydowanie zmieniło się na lepsze. Stał się poszukiwanym, ale też bardzo bogatym człowiekiem. Gdy oddziały Rommla rozpoczęły ofensywę w Afryce Północnej, tysiące przerażonych młodych żołnierzy uciekło z jednostek i ukryło się w delcie Nilu i egipskich miastach, obawiając się niemieckich kul. W przypadku Saltera to nie strach, lecz

zdrowy rozsądek kazał mu się wymknąć nocą z okopów.

Chociaż armia niechętnie ujawniłaby ten fakt, podczas wojny w Egipcie przebywało około dwudziestu tysięcy dezertersów. Najniebezpieczniejsi z nich, w liczbie około setki, prowadzili bardzo lukratywny interes, wykorzystując zorganizowane grupki renegatów, którzy rabowali cywilne magazyny i składy wojskowe. Salter był jednym z takich gangsterów i odnosił spore sukcesy w tej branży, czemu trudno się dziwić, jeśli wziąć pod uwagę, że jeszcze zanim został powołany do wojska, dokonywał drobnych przestępstw w Londynie. Teraz kierował gangiem złożonym z dwudziestu uzbrojonych dezertersów, Anglików i Amerykanów, którym kilku Arabów pomagało przeprowadzać najbardziej zuchwałe i zyskowne czarnogieldowe operacje w Egipcie.

Kiedy Salter usiadł na brzegu biurka, drzwi się otworzyły i wszedł śniadoskóry, wąsaty mężczyzna. Costas Demiris był synem greckiego kupca i * podobnie jak jego współnik Salter * dezerters. Jego ruchliwe, czarne oczy nigdy niczego nie przeoczyły. Salter wyjął cygaretkę i zapalił.

* Jest tu Deacon. Costas uśmiechnął się.

* A więc kury w końcu przysły do koguta. Zamierzasz mu oddać te dwieście funtów, które straciłeś przy jego stole do ruletki? Minął już miesiąc.

Salter splótł palce, aż trzasnęły stawy. Na jego twarzy pojawił się szydery grymas.

* Diabła tam. Te jego stoły są krzywe. Jak mnie wkurzy, to urwę mu jaja.

Costas uśmiechnął się jeszcze szerzej na samą myśl o tym,

a w następnej chwili goryl wpuścił do pokoju Deacona i Hassana. Salter wyszedł im naprzeciw i wyciągnął rękę.

* Dobrze znów cię widzieć, Harvey. Drinka? Mam dziesięcioletnią szkocką, dla której warto umrzeć.

* Dlaczego nie? * wzruszył ramionami Deacon.

* Nalej Harveyowi, Costas. * Grek wyjął butelkę z szuflady biurka, wytarł koszulą szklaneczkę, napełnił je i przyniósł. Salter stuknął swoją w szklaneczkę Deacona. * No, co mogę dla ciebie zrobić, stary? * Wskazał na Hassana. * Twój chłopiec mówił, że to pilne.

* Nie jestem jego chłopcem * warknął Hassan.

* Nie mówiłem do ciebie, może więc się zamkniesz? * Salter obrzucił Araba groźnym spojrzeniem i znów zwrócił się do Deacona: * W czym problem, Harvey?

* W niczym. Mam sprawę... Jeśli jesteś zainteresowany?

* Zawsze jestem. No, słucham. Czego ci potrzeba, paru skrzynek czarnorynkowej szkockiej?

* Nie tym razem. * Deacon usiadł na jednym z krzeseł. W magazynie było potwornie duszno. Rozluźnił

palcem kołnierzyk, a potem z ponurym rozbawieniem popatrzył na piętrzące się aż pod sam sufit worki i skrzynie z deficytowymi towarami. * Wiesz co, wciąż się dziwię, że wywiad wojskowy jeszcze cię nie złapał. Chodzisz sobie spokojnie po mieście, chociaż wyznaczono nagrodę za twoją głowę. Chyba masz mosiężne jaja, Reggie. Albo dobrego anioła stróża.

Salter uśmiechnął się i podniósł swojego drinka.

* Wprawdzie to tajemnica, stary, ale wojsko łapie większe ryby niż Reggie Salter. Na przykład wuja Adolfa.

W rzeczywistości ten magazyn był jednym z kilku, jakie Salter miał w Kairze, a prawie wszystkie posiadały system podziemnych tuneli i były pilnie strzeżone przez czujki rozstawione w promieniu trzech przecznic. Salter rzadko sypiał dwie noce pod rząd w tym samym łóżku. Poza tym miał siatkę informatorów, której macki sięgały aż do dowództwa żandarmerii wojskowej. Te usługi drogo go kosztowały, ale płacił za nie chętnie, gdyż dzięki temu już od osiemnastu miesięcy unikał aresztowania i plutonu egzekucyjnego.

Deacon powiedział:

* Masz u mnie dług hazardowy. Chciałbyś zatrzymać te pieniądze i jeszcze zarobić?

Salter spojrzał na Costasa, uśmiechnął się i uniósł brwi.

* Bardzo chciałbym, kochasiu. Tylko w czym tkwi haczyk, jak zwykł mawiać mój dziadek?

* Potrzebny mi dżip. Amerykański, wojskowy, z oznakowaniem żandarmerii.

Salter wciąż się uśmiechał.

* To wszystko?

* Nie. Potrzebny mi też mundur amerykańskiego kapitana piechoty, dwa mundury żandarmów, broń krótką i dwa pistolety maszynowe M3 i trzy wojskowe ciężarówki, amerykańskie, w dobrym stanie technicznym. Plus dokumenty wozów.

Salter roześmiał się.

* Co chcesz zrobić, Harvey? Rozpocząć następną cholerną wojnę?

Deacon wyjął z kieszeni na piersi kopertę i rzucił mu ją.

* Tu jest tysiąc funtów zaliczki. Szterlingów. Żebyś wiedział, że nie gadam po próżnicy.

Rozbawienie zniknęło z twarzy Saltera. Skinął na Costasa, który podniósł kopertę i przejrzał jej zawartość.

* Wyglądają w porządku, Reggie. Funty szterlingi, jak powiedział.

Salter popatrzył na pieniądze, a potem na Deacona.

* Po co ci to? Przecież nie dla siebie? Chyba trochę za późno na zabawę w żołnierza.

* To dla moich klientów, którzy wolą pozostać anonimowi * odparł Deacon.

* Zostałeś pośrednikiem?

* Można tak powiedzieć. Dasz radę dostarczyć ten towar?

* Znasz mnie, załatwię wszystko, czego zapragniesz. Ale to będzie kosztować.

* Ile?

* Znacznie więcej niż tysiąc. Dżip, trzy ciężarówki, mundury i broń? To kupa gratów. Trzy tysiące funtów szterlingów za wszystko.

* Spora sumka.

* Za mniej nie mogę * wzruszył ramionami Salter. * Moi ludzie mogą zginąć przy organizowaniu tego towaru. Muszę zadbać o wdowy i sieroty, wiesz.

* Jest jeden problem. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin, najdalej w piątek wieczorem muszę wiedzieć, że masz tego dżipa, mundury i broń. Ciężarówki mogą poczekać dzień dłużej.

Salter gwizdnął.

* Ekspresowe tempo, Harvey.

* Możesz to załatwić?

Salter wzruszył ramionami, a potem odparł:

* Nie widzę przeszkód.

* Chcę, żebyś przechował ten towar dla mnie, dopóki go nie odbiorę.

Salter zmarszczył brwi.

* Jak długo?

* Prawdopodobnie nie dłużej niż dzień.

* Jeśli zapłacisz za przechowanie, czemu nie. Powiedzmy sto funtów dziennie, za wszystko.

Deacon wstał.

* Dobrze. Umowa stoi. Wyciągnął rękę, a Salter uścisnął ją.

* Nie musisz najpierw skonsultować ceny z twoimi przyjaciółmi?

* Nie ma potrzeby. Wierzą mi.

* To dobrze. Kiedy będę miał dżipa, mundury i broń, chcę dostać kolejne pięćset. Reszta po dostarczeniu ciężarówek. Za przechowanie zapłacisz przy odbiorze. Kiedy to będzie?

* Umówimy się później.

* Nie ma sprawy.

Salter wepchnął pieniądze do kieszeni. Deacon spojrzał mu w oczy.

* Liczę na ciebie, Reggie. Nie zawieź mnie.

Salter poklepał go po plecach, odprowadzając do drzwi.

* Nie martw się, wszystkiego dopilnuję. Postaraj się przynieść w piątek forszę, a wszystko będzie na sto dwa, stary.

Reggie Salter nalał sobie szkockiej i stał, patrząc przez brudne okno magazynu, jak Deacon z Arabem opuszczają budynek i znikają w mroku. Potarł szczękę.

* Zastanawiam się, co też Harvey szykuje? Costas dołączył do niego.

* Myślisz, że mówił prawdę?

Salter upił łyk, wzruszył ramionami i otarł pot z czoła.

* Może. Ale o ile wiem, on nie jest z tych, którzy pakują się w śliskie interesy. Owszem, przychodzi do nas po parę skrzynek kradzionej gorzały, kiedy mu braknie, jednak nic poza tym.

* Mundury, dżip, broń i trzy ciężarówki. To duże zamówienie, Reggie.

* A trzy kawałki to kupa szekli. Taka forsa musi się zwrócić. Z nawiązką. Dlatego zadaję sobie pytanie, co szykują ci jego kolesie?

* I co wymyśliłeś? Salter odstawił kieliszek.

* Chcą zgarnąć jakąś wypłatę, ukraść zabytki, zrabować klejnoty króla Faruka, kto to wie? Pamiętasz, jak trzy miesiące temu paru bystrzaków obrobiło biuro płatnika w Port Saidzie i dało nogę z dziesięcioma kawałkami? Dezerterzy w marynarskich mundurach i skradzionych wojskowych ciężarówkach. Czuję, że tu może chodzić o coś podobnego.

Costas zmarszczył brwi i przygładził wąs.

* Nigdy nie przypuszczałem, że Deacon może wplątać się w coś takiego.

Salter obejrzał się.

* I o to chodzi. W tym musi być coś więcej, niż się zdaje. Pewnie ktoś poprosił Deacona, żeby zrobił zakupy. Raczej nie są to doświadczeni przestępcy, bo tacy trafiliby bezpośrednio do mnie. Ale cokolwiek

szykują, musi to być coś dużego, skoro potrzebny im taki sprzęt.

W oczach Saltera pojawił się dziwny błysk i Costas zauważył z krzywym uśmiechem:

* Znam tę minę, Reggie. Coś knujesz. Salter mrugnął do niego i strzelił palcami.

* Jeszcze nie, stary. Mam jednak dziwne przeczucie, że może wpadliśmy na coś ciekawego. I że może to być warte znacznie więcej niż trzy kawałki.

Rozdział 18

Kair,

godzina 23.45

Weaver przyjrzał się dwóm stojącym przed nim Arabom. Tego wieczoru zostali zatrzymani przez egipską policję i dostarczeni do dowództwa żandarmerii polowej w koszarach Kasr*el*Nil. Jeden z nich był gładko ogolony, drugi miał wystrzępioną brodę, ale obaj wyglądali żałośnie w kajdankach. W końcu Weaver obrócił się do Sansona i pokręcił głową.

* Jesteś pewny?

* Zdecydowanie.

Sanson skinął na dwóch sierżantów, którzy stali przy drzwiach.

* No dobrze, na razie możecie ich zabrać.

Gdy tylko wprowadzono podejrzanych, Weaver wiedział, że żaden z nich nie jest tym, który zranił go nożem. Na ich twarzach nie dostrzegł siniaków, ale mimo to uważnie im się przyjrzał, szczególnie brodatemu, żeby mieć całkowitą pewność. Kiedy sierżanci ich wyprowadzili, Sanson usiadł z westchnieniem, zdjął czapkę i otworzył teczkę.

* Z pozostałych czterech podejrzanych, których wybrałeś z listy sympatyków, jeden prawie rok temu wrócił do Stambułu, drugi odsiaduje w Luksorze wyrok za kradzież, a trzeci ma murowane alibi.

* Jakie?

* Jest martwy i pogrzebany. Przed trzema miesiącami został zakłuty nożem w czasie bójki z brytyjskim marynarzem.

* A ostatni?

Sanson zajrzał do teczki, zanim odpowiedział.

* Nie wstrzymuj oddechu. Policja już od pięciu miesięcy

usiłuje go aresztować. To ekstremista z Bractwa Muzułmańskiego, poszukiwany za próbę morderstwa i podpalenie. Postrzelił jednego oficera gwardii i pchnął nożem drugiego, podłożył ogień pod kolumnę wojskowych ciężarówek i znikł. Policja obserwuje jego dom, ale podejrzewa, że ten człowiek ukrywa się gdzieś na południu, w Asuanie lub Luksorze. Oczywiście mogą się mylić.

* Czy on może być tym, którego szukamy?

* Trudno powiedzieć. Zdecydowanie jest sympatykiem na*zistów i chętnie posługuje się nożem. Jednak kairski Wydział Specjalny wątpi, aby był niemieckim szpiegiem.

Weaver opadł na krzesło.

* A więc wracamy do punktu wyjścia.

* Na to wygląda * mruknął ze zniechęceniem Sanson i rzucił teczkę na stół.

Weaver poczuł, że ogarnia go rozpacz. Minęły już trzy dni, a oni jeszcze nie wpadli na żaden ślad. Był zmęczony i szyja bolała go jak diabli. Próbował ignorować ból i wykrzesać z siebie trochę entuzjazmu, ale wiedział, że zabrnęli w ślepią uliczkę.

Przesłuchany właściciel domu powiedział im, że wynajmujący to mieszkanie lokator przedstawił się jako Farid Gabar i wprowadził się prawie dziewięć miesięcy temu. Zawsze punktualnie płacił czynsz, ale o sobie powiedział tylko tyle, że pracuje dla dobrze znanego kupca bawełny w Starym Mieście i przyjechał z Luksoru, chociaż właścicielowi wydawało się, że mówił z kairskim akcentem. Przesłuchiwany kupiec i jego personel zgodnie twierdzili, że nigdy nie słyszeli o żadnym Faridzie Gabarze. Na wypadek, gdyby Arab miał się tam zjawić, pilnie obserwowano skład, policja przepytła wszystkich handlarzy bawełną w mieście, a rysopis Gabara przekazano władzom w Luksorze.

* Nie możemy liczyć na to, że to coś da * stwierdził Sanson. * To pewnie wymyślone nazwisko i mało prawdopodobne, żeby mówił prawdę o Luksorze.

Razem przejrzyli wszystkie zeznania sąsiadów Gabara. Nieliczni, którzy go widzieli, twierdzili, że stronił od ludzi i z nikim nie rozmawiał. Nikt nie pamiętał numeru jego motocykla. W pozostałych dokumentach niemieckiego wywiadu nie znaleźli już niczego ciekawego, ale zauważyli, że Arab wprowadził się do mieszkania sześć dni po dacie na notatce Bergera.

* Nie mamy dowodu, że to len sani człowiek, agent o pseudonimie „Feniks”, ale to możliwe powiedział Sanson. * Zwróciłem się do sekcji "Y" z żądaniem, aby spróbowali go namierzyć, gdyby znów się odezwał. Przez całą dobę prowadzą nasłuch na częstotliwościach, jakich „Feniks” używał w przeszłości.

Usłyszeli pukanie do drzwi, po czym do pokoju zajrzał porucznik i rzekł do Sansona:

* Telefon, panie pułkowniku.

Po wyjściu Sansona Weaver podszedł do okna i stał tam przez kilka minut, obserwując pluton żołnierzy maszerujących przez bramę koszar. W obozie panował ożywiony ruch. W koszarach Kasr*el*Nil i amerykańskiej bazie Camp Huckstep było mnóstwo nowych oddziałów, ściągniętych dla wzmocnienia sił zabezpieczających konferencję. Weaver wiedział, że pozostawała im już tylko nadzieja, że „Beszeba” znów zacznie nadawać i zdążą zlokalizować sygnał. To jednak zależało od tego, czy długo pozostanie w eterze, co * sądząc po jego dotychczasowym zachowaniu * było mało prawdopodobne.

Weaver spojrzął na ścienny zegar. Północ.

Potał oczy. Przez ostatnie dwa dni prawie nie widywał Helen, jeśli nie liczyć przelotnych spotkań w biurze. Tego wieczoru znów zaprosiła go do swojego mieszkania i pomimo zmęczenia oraz oszołomienia wywołanego bólem szyi czekał na to z niecierpliwością. Znalazł słoiczek z tabletkami i już miał włożyć jedną do ust, kiedy wrócił Sanson, bardzo zadowolony.

* W końcu jakieś dobre wieści. Chyba mamy autora naszej notatki. Według wykazu jeńców wojennych kapitan Manfred Berger z niemieckiego wywiadu wojskowego został wzięty do niewoli sześć miesięcy temu, w Tunisie.

* A gdzie przebywa teraz?

* W Gorzkich Jeziorach. Właśnie tam dzwoniłem. Według komendanta obozu na pewno go mają.

Gorzkie Jeziora znajdowały się o dwie godziny jazdy na południowy wschód od Kairu i były grupką słonych jezior w pobliżu Suezu, królestwem skwaru i komarów. W znajdującym się tam obozie internowano tysiące obywateli państw Osi, Niemców i Włochów oraz jeńców wojennych.

Weaver zupełnie zapomniał o bólu.

* Kiedy będziemy mogli z nim porozmawiać? Sanson podniósł czapkę.

* Gdy tylko tam dojedziemy.

Łysy Reed był pijany. Nie aż tak, by nie trafić do koszar z burdelu, który właśnie opuścił, ale nie zauważył jadącego za nim oliwkowego samochodu, dopóki pojazd nie podjechał do krawężnika. Wskoczył z niego krzepki mężczyzna w mundurze.

* Reggie chce zamienić z panem słówko.

Reed przełknął ślinę i wsiadł do samochodu. W środku siedział Salter w narzuconej na ramiona kurtce brytyjskiego majora. Samochód ruszył.

* Łysy, przepraszam, że tak dramatycznie, ale coś mi niespodziewanie wyskoczyło i potrzebuję twojej pomocy.

Reed otarł pot z czoła.

* Przez jedną przekłątą chwilę myślałem, że wpadłem. Salter zaśmiał się.

* To ci nie grozi, stary. Jesteś zbyt ostrożny. * Podał mu zwitek banknotów. * Oto pięćset zaliczki. Kolejne pięćset po wykonaniu roboty.

* Jakiej roboty? * zmarszczył brwi Reed, a kiedy Salter powiedział mu, czego potrzebuje, Reed pobladł, nagle otrzeźwiał i próbował oddać mu pieniądze. * Jezu, Reggie. Wojskowe pojazdy, broń i mundury? Wpakuję się w bagno, naprawdę. Za coś takiego...

Salter przerwał mu.

* Zrobisz, co mówię, koleś. I chcę mieć to wszystko w ciągu czterdziestu ośmiu godzin.

* Reggie, miej serce...

Samochód stanął, Salter wepchnął pieniądze do kieszeni Reeda, poklepał go po ramieniu i pokazał mu drzwi.

* To poważny interes, stary. Dlatego rób, co mówię. Inaczej twoje jaja zadyndają na końcu arabskiego różańca.

Rozdział 19

Berlin,

17 listopada

W środę rano, tuż po siódmej, Schellenberg wszedł z Rachel do koszarowego baraku. Na zewnątrz było zimno i ciemno, a kaflowy piec w rogu aż huczał, lecz nie zdołał ogrzać pomieszczenia.

* Panowie, już czas, abyście poznali ostatniego członka waszej grupy * oznajmił Schellenberg, energicznie zacierając ręce. * Pozwólcie mi przedstawić sobie pannę Stern. Od tej pory będzie dla was Marią Tauber, Niemką pochodzenia żydowskiego i specjalistką w dziedzinie archeologii. * Odwrócił się do niej. * Majora Haldera już pani zna. Podczas tej misji będzie Paulem Mallorym, amerykańskim profesorem archeologii. Nawiasem mówiąc, jego dokumenty nie są sfałszowane. Prawdziwy Mallory został schwytany przez nasze oddziały przed trzema miesiącami, na Sycylii. Był lektorem amerykańskiego uniwersytetu w Kairze i pomagał armii USA identyfikować cenne zabytki sztuki rzymskiej, które nasze oddziały zdobyły w Afryce Północnej. * Schellenberg wskazał na Kleista i Doringa. * A to ci dwaj dżentelmeni, o których mówiłem. Będą występować jako Karl Uder i Peter Farnback, obaj z Afryki Południowej.

Kleist trzasnął obcasami i uśmiechnął się.

* To dla mnie prawdziwa przyjemność, panienko. Rachel zignorowała go i zapytała Schellenberga:

* Jeśli major Halder ma być Amerykaninem, dlaczego nie nosi munduru?

Schellenberg uśmiechnął się.

* Trafna uwaga i cieszę się, że wczuwa się pani w sytuację,

ale już się tym zajęto. W papierach profesora znajduje się odpowiednia adnotacja o jego stanie zdrowia, nie pozwalającym mu na pełnienie służby wojskowej. A teraz bierzmy się do pracy. Na stole leżały cztery worki podróżne i Schellenberg rozdał je członkom grupy. Potem wręczył Rachel plik papierów.

* Oto pani rzeczy osobiste i niezbędne dokumenty. Radzę jeszcze raz zapoznać się z życiorysem, jaki pani sprokurowaliś*my. W razie zatrzymania i przesłuchania najdrobniejszy błąd może pani przypłacić życiem i narazić pozostałych. Teraz wszyscy przejrzyjcie ekwipunek.

Otworzyli worki, w których znaleźli ubrania i rzeczy osobiste. Cywilne zestawy pustynne z manierkami na wodę, ubrania safari i kapelusze o szerokich rondach oraz bardziej konwencjonalne nakrycia głowy. Wszystkie ubrania wyglądały na używane.

* Sądzę, że przekonacie się, iż krawcy doskonale się spisali, dokonując odpowiednich poprawek. Ubrania i rzeczy osobiste zostały odebrane jeńcom i uchodźcom w Afryce Północnej, tak więc w razie rewizji nie wzbudzą żadnych podejrzeń. Przed odlotem dostaniecie wystarczającą sumę pieniędzy.

Halder pokazał karton lucky strike'ów, który wyjął ze swojego worka.

* Wygląda na to, że pomyśleliście o wszystkim. Bardzo przezornie.

Schellenberg uśmiechnął się.

* Niemieckie papierosy zdradziłyby was, więc lepiej przyzwyczajaj się do tych. Jak wiesz, egipskie raczej trudno byłoby dostać w Berlinie. Te są równie dobre.

Poczęstował się papierosem, postukał nim w pudełko i zapalił, a potem oparł ręce na biodrach i powiedział:

* Teraz powtórzmy wszystko jeszcze raz. Same najważniejsze fakty, jakie musi znać panna Tauber. Potem zostawię was samych, żebyście przymierzyli ubrania, zaznajomili się z mapami i trasami, a także lepiej poznali się nawzajem.

Gdy Halder studiował plan Kairu, a Rachel stała obok niego, Kleist podszedł do nich i wskazał na mapę.

* Minęło sporo czasu, od kiedy ostatni raz byłem w tej śmierdzącej dziurze. I wcale za nią nie tęskniłem. To parszywe miasto.

* Szkoda, że tylko tak je widzisz odparł sucho Hal*der. * Najwyraźniej przeoczyłeś ponad sześć tysięcy lat jego historii. Może byś się czegoś nauczył.

* Po co? Prawdziwa historia dzieje się tutaj, w Vaterlan*dzie * zaśmiał się Kleist. * Chociaż przyznaję, że egipskie kobiety są w porządku. Kilka z najlepszych burdeli, w jakich miałem przyjemność bywać, znajduje się w Kairze i Aleksandrii. Z doświadczenia wiem, że najlepsze są te kobiety, którym się płaci.

* Niewątpliwie jesteś ekspertem w tych sprawach. Kleist zaśmiał się.

* Myślę, że można tak powiedzieć. * Zerknął na Ra*chel. * Schellenberg mówi, że pan i ta kobieta dobrze się znacie.

* I co z tego?

Tym razem Kleist otwarcie zmierzył Rachel taksującym spojrzeniem i uśmiechnął się obleśnie.

* Nie mogę się doczekać, kiedy lepiej poznamy się z Frau*lein. Przyznam nawet, że jest dość pociągająca, jak na Żydówkę.

Halder zmierzył go ostrym spojrzeniem.

* Postawmy sprawę jasno. Jeśli spróbujesz zleją traktować, osobiście wpakuję ci kulę w łeb.

* Grozisz mi, Halder?

* Uważaj to za dobrą radę. Na twoim miejscu usłuchałbym jej*

Kiedy Halder odwrócił się, żeby odprowadzić Rachel, Kleist nagle złapał go za ramię, obrócił szarpnięciem, przysunął się do niego i spojrział mu w oczy.

* I co teraz? * Olbrzymi esesman uśmiechał się, ale patrzył twardo i groźnie. * Jesteś pewien, że zdołasz spełnić obietnicę?

Halder błyskawicznie poderwał kolano, trafiając Kleista w krocze. Esesman zgiął się wpół, a Halder chwycił go za rękę i boleśnie ją wykręcił, przyciskając go do ściany.

* Rany boskie, puść! Złamiesz mi rękę!

* Następnym razem rozwalę ci łeb. Może jesteśmy równi stopniem, Kleist, ale lepiej pamiętaj, kto dowodzi tą operacją. W przyszłości zwracaj się do mnie z szacunkiem należnym oficerowi i mów do mnie „panie majorze”. Zrozumiano?

Kleist zbladł z bólu.

* Tak... Tak, majorze. Rozkaz, panie majorze.

Halder puścił go i odepchnął, a widząc wściekłość w jego oczach, dodał jeszcze:

* Na twoim miejscu nie przeciągałbym struny. Chyba że szukasz kłopotów. Jeszcze jedno takie zajście i będziesz miał do czynienia nie tylko ze mną, ale i z Schellenbergiem. A teraz wracaj do roboty.

Kleist przełknął gniew i wrócił do Doringa. Halder wziął Rachel pod rękę i poprowadził do drzwi. Kiedy szli przez podwórze, powiedział".

* Przepraszam. Ten człowiek to brutal i nie umie utrzymać języka na wodzy. Będę musiał porozmawiać z Schellenbergiem, zanim ten dureń narobi sobie kłopotów. Na razie uważaj na niego. To niebezpieczne zwierzę i może cię zabić, jeśli wejdiesz mu w drogę. Gdybym mógł, pozbyłbym się go, ale * niestety * nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia.

* Nie musiałeś ujmować się za mną.

W jej głosie usłyszał twarde nutki. Przystanął, delikatnie ujął jej ramię i obrócił do siebie.

* Ten obóz bardzo cię zmienił, prawda? * Podniósł dłoń do jej twarzy. * Moja biedna Rachel.

Odsunęła się.

* Już ci mówiłam... nie dotykaj mnie. I nie potrzebuję, żebyś mnie bronił. Potrafię zadbać o siebie.

Z tymi słowami odwróciła się na pięcie i odeszła.

Kleist stał w oknie baraku, przyciskając dłonie do krocza. Patrzył na Haldera i kobietę, idących przez dziedziniec. Jego oczy płonęły żądzą mordy i na chwilę dał się porwać niepohamowanej fali nienawiści.

Po chwili podszedł do niego Doring i obaj widzieli, jak Rachel Stern odeszła, zostawiając Haldera.

* Zimny drań, co? Jednak ta kobieta wcale nie była zadowolona z tego, co zrobił. A można by sądzić, że powinna się cieszyć z przybycia rycerza w lśniącej zbroi.

Kleist splunął na podłogę.

* Może ona ma więcej zdrowego rozsądku, niż myślisz. Halder to jeden z tych bogatych, pieprzonych pruskich arystokratów. W dodatku obnosi się z tym.

* A więc to tak?

* A jakże. To jeden z tych nadętych bubków, którzy doili ten kraj przez całe pieprzone wieki i trzymali wieśniaków pod butem. Mój stary zaharowywał się dla takich jak on... i za co?

Skromna emeryturka i do piachu. Gdybyś mnie zapytał, to Fihrer powinien zrobić z nimi to samo, co z Żydami. Mdli mnie na widok takich jak Halder. Doring uśmiechnął się.

* Miałem wrażenie, że chodzi o coś osobistego. Mimo wszystko trzeba mu przyznać, że potrafi zadbać o siebie. Po raz pierwszy widziałem, żeby ktoś kopnął cię w jaja i uszedł z życiem.

Kleist wściekł się.

* Przestań się śmiać, bo zetrę ci ten pieprzony uśmiech z twarzy!

Doring natychmiast spoważniał.

* Przepraszam, panie majorze.

* Nie wiem, co cię tak śmieszy. Halderowie tego świata uważają, że są ponad takimi jak ty i ja, ale za długo nas gnębili. Temu typkowi należy się nauczka. Nie wstąpiłem do SS po to, żeby jakiś arogancki pruski drań traktował mnie jak śmiecia.

* Czyżby zamierzał pan się zemścić, majorze?

* Nie ma obawy, coś wymyślę. * Usta Kleista rozciągnęły się w złowrogim uśmiechu. * Zapamiętaj moje słowa: przyjdzie czas, że Halder dostanie za swoje.

Rozdział 20

Gorzkie Jeziora

O świcie szosa była pusta, powietrze mroźne. Nie napotkali ani jednego pojazdu. Weaver co chwila zapadał w sen, podrze* mując na fotelu pasażera aż do czwartej nad ranem. Sanson zjechał z głównej drogi i przejechał jeszcze trzy kilometry, po czym powiedział:

* Obudź się. Jesteśmy na miejscu.

Weaver przetarł oczy i zobaczył tablicę z napisem po angielsku i arabsku: „Teren wojskowy, nieupoważnionym wstęp surowo wzbroniony”. Znajdowali się w płytkiej dolinie, pierwsze promienie słońca ledwie rozjaśniły horyzont i obóz wyglądał dość niesamowicie. Weaver dostrzegł szereg baraków z drewna i zardzewiałej blachy, otoczonych płotem z drutu kolczastego, oraz sterczące przed nimi wieżyczki strażnicze.

Podjechali do głównej bramy i zatrzymali się. Dwaj uzbrojeni wartownicy sprawdzili ich dokumenty, zadzwonili do dyżurnego oficera i dopiero potem pozwolili im przejechać. Przed budynkiem administracji spotkali zmęczonego brytyjskiego majora, który zaprowadził ich do swojego biura.

* Jak sądzę, przyjechaliście tu przesłuchać Bergera, panie pułkowniku? * rzekł do Sansona. * Trochę dziwną wybraliście sobie porę, jeśli wolno zauważyć.

* To sprawa bezpieczeństwa * odparł krótko Sanson. * Chcielibyśmy spojrzeć na akta jeńca.

Major nie pytał dalej.

* Jak pan sobie życzę.

Wyszedł i po chwili wrócił z brązową kopertą, którą podał Sansonowi.

* Czy zna pan Bergera osobiście? zapytał Weaver.

* Myślę, że można tak powiedzieć.

* Jaki on jest?

* To bardzo porządny Niemiec. Można by rzec, wzorowy więzień. * Major uśmiechnął się. * A także doskonały szachista. Wygrywa ze mną za każdym razem.

Wzruszył ramionami, jakby przepaszając za spoufalanie się z wrogiem. Brytyjczycy zwykle bardzo dobrze traktowali jeńców, co dziwiło większość Amerykanów.

* Obawiam się, że nie ma tu nic innego do roboty. Można zastrzelić się z nudów. Dam panom kilka minut na przejrzanie akt, zanim go zbudzimy. Nie będziecie potrzebowali tłumacza, bo Berger bardzo dobrze mówi po angielsku.

Poprowadził ich korytarzem do pustego pokoju, w którym był tylko stół i kilka krzeseł. Kiedy wyszedł, Sanson i Weaver przejrzyli akta Bergera. Oprócz nazwiska, stopnia i numeru identyfikacyjnego znaleźli tam szereg notatek sporządzonych przez personel obozu * brytyjskich oficerów i ludzi, z którymi Berger najwyraźniej zaprzyjaźnił się i rozmawiał na osobiste tematy. Lat dwadzieścia pięć, zawodowy oficer wywiadu, żonaty, miał małą córeczkę; dyplom magistra matematyki uzyskał na Uniwersytecie Drezdeńskim. Po krótkiej służbie w Rosji, gdzie został ciężko ranny i stracił lewą stopę, otrzymał przydział biurowy w Afryce Północnej. Weaver rzekł z powątpiewaniem:

* Nawet jeśli Berger przyzna, że słyszał o „Beszebie” i „Feniksie”, mało prawdopodobne, aby wiedział, kim są i co robią. Jako niższy oficer wywiadu nie miał dostępu do takich informacji, po prostu wykonywał rozkazy.

* Być może. Na pewno jednak wie więcej niż my.

Po krótkiej chwili dwaj strażnicy przyprowadzili więźnia. Berger był wysoki i blady, miał chłopięcy wygląd, miłą twarz i niespokojne, inteligentne oczy. Utykał, lekko powłócząc jedną nogą, i nosił postrzępiony niemiecki mundur, o jeden numer za duży. Był rozczochrany, zmieszany i zaspany.

* Hauptmann Manfred Berger? Młody Niemiec zamrugał oczami.

* Ja.

* Jestem podpułkownik Sanson z wywiadu wojskowego. A to podpułkownik Weaver. O ile wiem, mówi pan po angielsku?

* Tak, płynnie. Mogę spytać, o co chodzi?

* Niech pan siada.

Berger przetarł oczy i usiadł naprzeciw nich. Bez żadnych wstępów Sanson pokazał mu notatkę.

* Pąn to napisał?

Berger obejrzał kartkę papieru i w jego oczach pojawiła się czujność.

* Być może. Na wojnie dziewięć miesięcy to szmat czasu.

* Pan to napisał? * powtórzył Sanson.

* Obawiam się, że nie pamiętam.

* Ten dokument jest podpisany pana nazwiskiem. Haupt*mann Manfred Berger.

Niemiec wzruszył ramionami.

* Tak, widzę. Pełniąc obowiązki, podpisywałem wiele dokumentów i musiałem wysyłać wielu agentów za linię frontu. Nie mogę każdego pamiętać.

* Ten agent w Kairze, pseudonim „Beszeba”, i ten drugi, „Feniks”. Co może mi pan o nich powiedzieć?

* Nic nie wiem o tych ludziach.

* Notatka świadczy o czymś wręcz przeciwnym, Berger * naciskał Sanson. * Dobrze wiedziałeś, o czym piszesz, więc lepiej nie kłam.

Niemiec poczerwieniał.

* Mogę coś powiedzieć? * zapytał.

* Możesz.

* Dla Niemiec wojna w Afryce Północnej już się skończyła. Agenci, jakich tu mieliśmy, stracili jakiekolwiek znaczenie. * Popatrzył na nich ze zdziwieniem. * Tymczasem dwaj wyżsi oficerowie wywiadu przyjeżdżają tu o czwartej rano, żeby mnie przesłuchać. Wolno spytać dlaczego?

Sanson zignorował to pytanie.

* Co wiesz o tych agentach?

* Pozwolę sobie przypomnieć, że zgodnie z konwencją genewską jestem zobowiązany podać jedynie nazwisko, stopień i numer. Nic więcej. Obaj jesteście żołnierzami, więc doskonale o tym wiecie.

Sanson rąbnął pięścią o blat stołu.

* Gównu mnie obchodzi konwencja genewska, Berger. Odpowiedz na moje pytanie.

Berger był lekko wstrząśnięty wrogością Sansona, ale odparł spokojnie:

* Przykro mi, naprawdę nie mogę wam pomóc, Powinniście wiedzieć, że tacy niżsi oficerowie jak ja nie znają tożsamości agentów operacyjnych. Informacje tego rodzaju są zastrzeżone dla głównej kwatery w Berlinie.

* Przeważnie, ale nie zawsze, Bergcr. A o pracujących dla was agentów zawsze krążą koszarowe plotki. Obojętnie jak mało ważne mogą ci się wydawać, są nam potrzebne. I jestem przekonany, że wiesz coś o tej operacji w Kairze. W jaki sposób „Feniks” przedostał się przez linię frontu? Został przetransportowany czy przeszedł sam? Gdzie zatrzymał się w Kairze? Jak nawiązał kontakt z „Beszebą”? Odpowiadaj.

Berger milczał. Sanson otworzył teczkę z jego aktami.

* Zostałeś aresztowany w Tunisie, w cywilnym ubraniu.

* Próbowałem uniknąć pojmania...

* Żołnierz, który na terytorium wroga przebiera się w cywilne ubranie, staje się szpiegiem. A szpiegów czeka pluton egzekucyjny, Berger. Tak mówi prawo. Zgodnie z konwencją genewską.

Niemiec pobladł.

* Ja szpiegiem? Chyba pan żartuje?

Sanson bez mrugnięcia oka wytrzymał jego spojrzenie.

* Czyżby? W dodatku jest pan oficerem wywiadu, co tylko potwierdza nasze podejrzenia.

* Nie jestem szpiegiem * odparł nerwowo Berger. * I nawet gdybym coś wiedział o tej sprawie, nie mógłbym wam pomóc. * W jego głosie pobrzmiwała duma, gdy oświadczył: * Jestem niemieckim oficerem. Honor nigdy nie pozwoliłby mi zdradzić tajemnic służbowych wrogom. Nigdy.

Sanson z hałasem odepchnął krzesło i wstał.

* Zostawię cię samego na pięć minut, żebyś zastanowił się nad tym i odzyskał pamięć. Potem chcę usłyszeć odpowiedzi, a nie takie pieprzenie, inaczej poniesiesz konsekwencje. Na twoim miejscu poważnie zastanowiłbym się nad tym plutonem egzekucyjnym.

Sanson gniewnie przechadzał się po korytarzu.

* Myślisz, że on wie więcej, niż nam mówi?

* Jestem tego cholernie pewny. To on sporządził tę notatkę. * Sanson przystanął. * Nie jesteśmy gestapowcami, ale w takich sytuacjach czasem trzeba zapomnieć o przepisach.

* Co masz na myśli?

Sanson wyjął z kieszeni skórzaną pałkę.

* To. I gorsze rzeczy, jeśli będzie trzeba. Weaver ujrzał w jego oczach zimną determinację.

* Bicie więźniów jest uważane za torturowanie. To nielegalne, Sanson.

* Nie obchodzą mnie takie niuanse, Weaver. Ani to, że Berger to taki miły gość. To wojna, a nie jakiś cholerny mecz krykieta. Przyparto nas do muru. Gdybyśmy mieli czas, moglibyśmy się bawić i powoli wyciągnąć to z niego. Ale nie mamy czasu.

* Co proponujesz?

* Jeśli nadal nie będzie chciał gadać, zabierzemy go na dalsze przesłuchanie do Kairu. * Sanson uderzył pałką w otwartą dłoń. * Tak czy owak, jeśli tylko coś wie, wyduszę to z niego.

Kiedy wrócili do pokoju, Sanson demonstracyjnie położył pałkę na stole. Berger spojrzał na nią z niepokojem.

* No, zastanowiłeś się?

Gdy Niemiec zawahał się, Sanson chwycił pałkę i zadał mu szybki, bolesny cios w twarz. Berger krzyknął i zasłonił się rękami.

* Ja... ja nic nie wiem o tej operacji w Kairze.

* Ustaliliśmy, że to ty napisałeś notatkę. Co dowodzi, że wiedziałeś coś o tych ludziach. Pozwól, że przypomnę ci treść pisma... * Sanson wyjął z teczki zapisaną po niemiecku kartkę i przeczytał: „Rommel stanowczo domaga się szczegółów: liczby oddziałów, uzbrojenia i ruchów artylerii. Berlin rozkazuje Feniksowi natychmiast przenieść się do Kairu. Kontakt z Be*szebą. Może połączone wysiłki dadzą lepsze wyniki”. * Sanson podniósł głowę i dodał: * Ostatnie zdanie jest najbardziej interesujące, Berger. „Może połączone wysiłki dadzą lepsze wyniki”. Na jakie dokładnie wyniki liczyłeś? Musiałeś coś wiedzieć o tych agentach. Mów.

Niemiec milczał.

* No, Berger, czekam.

* Mam obowiązek podać moje nazwisko, stopień i...

* To bez sensu * rzekł zniechęcony Sanson. * Sam przyznałeś, że dla Niemców wojna w Afryce Północnej już się skończyła. Co chcesz osiągnąć, odmawiając odpowiedzi na moje pytania?

* Już mówiłem. Nic nie wiem. Ile razy mam to powtarzać?

* Możesz powtarzać tyle razy, ile chcesz, ale ja wiem, że kłamiesz. I tracę do ciebie cierpliwość. Możesz zostać rozstrzelany jako szpieg, rozumiesz?

* Ich bin Manfred Berger, Hauptmann, nummer,.., Sanson zerwał się z krzesła, chwycił pałkę i mocno uderzył

Niemca w głowę. Berger wrzasnął z bólu i runął na podłogę. Weaver nie mógł już tego znieść. Zaczynał

wątpić, czy Berger naprawdę może powiedzieć im coś użytecznego. Podszedł i pomógł Niemcowi wstać.

* Co ty robisz, do jasnej cholery! * ryknął Sanson. * Zostaw go!

* Niech cię diabli porwą. On jest kaleką!

* Powiedziałem, zostaw go.

Przez chwilę Weaver myślał, że Sanson spróbuje go uderzyć, ale Anglik tylko spopielił go wzrokiem. Weaver cofnął się. Sanson stanął nad Niemcem i wziął się pod boki.

* No już, Berger. Gadaj prawdę!

Niemiec leżał, pojękując, z twarzą zalaną potem i groteskowo wykręconą sztuczną stopą.

* Proszę...

* Pomyśl, Berger. Dobrze pomyśl. Przecież musisz coś wiedzieć. Czy warto zarobić kulę, jeśli wasz kraj i tak już przegrał wojnę? Pomyśl o waszym dziecku. Chciałbyś je jeszcze zobaczyć, prawda? A może wolisz, żeby żona i córka otrzymały telegram z wiadomością o twojej śmierci?

Berger był bliski załamania. Wargi mu drżały, a do oczu nabiegły łzy. Ostonił głowę ramieniem, gdy Sanson znów podniósł pałkę.

* Nie, proszę! Powiem wszystko, co wiem.

Berlin,

19 listopada,

godzina 16.00

Heinrich Himmler, szef SS i gestapo, był surowym i okrutnym człowiekiem. Dawny bawarski hodowca kur, bez wahania posyłający miliony ludzi do obozów śmierci, miał ponurą, wypraną z uczuć twarz biurokraty.

Kiedy tego popołudnia Schellenberga wprowadzono do jego

gabinetu przy Prinz Albrecht Strasse, był brzydki dzień: deszcz tłukł o szyby i wiał lodowaty wiatr, jaki nadlatuje tylko znad Bałtyku.

Himmler miał na sobie czarny mundur Reichsführera i pince**nez na nosie. Trzymając w dłoni pióro, siedział za biurkiem i przeglądał stertę papierów. W gabinecie zalegał półmrok i wszystko wyglądało zimno i bezosobowo. Jedynym źródłem ciepła była sypiąca skrami kłoda, paląca się na kominku.

Schellenberg uniósł ramię w hitlerowskim salucie.

* Wzywał mnie pan, Herr Reichsführer?

Himmler odłożył pióro, w milczeniu wskazał gościowi krzesło i powoli odsunął papiery na bok, jakby przygotowując sobie teren. Pozostawił tylko garść raportów i z lekkim niesmakiem wskazał je Schellenbergowi.

* To ostatnie szyfrogramy od naszych agentów w Afryce Północnej oraz raporty Luftwaffe i Kriegsmarine. Myślę, że powinieneś je przeczytać.

Kiedy Schellenberg zaczął przeglądać papiery, Himmler wstał i wyszedł zza biurka. Przez chwilę zatrzymał się przy kominku, grzejąc dłonie, a potem obcasem błyszczącego buta kopnął wystającą kłodę, aż posypały się iskry.

* I co? * zapytał. Schellenberg odłożył raporty.

* Rozczarowujące, Herr Reichsführer.

* Rozczarowujące? * wybuchnął Himmler. * To katastrofa. Nasze U*booty na Atlantyku nie zdołały zlokalizować konwoju Roosevelta. Wysłaliśmy naszych najlepszych kapitanów, a oni zawiedli. Najnowsze raporty Luftwaffe donoszą

o dużym zgrupowaniu okrętów wokół krążownika „Iowa”, na którym prawdopodobnie płynie amerykański prezydent. Wczoraj w południe dostrzeżono je z powietrza, jakieś sześćset kilometrów od marokańskiego wybrzeża. Göring mówi, że to za daleko, żebyśmy mogli przeprowadzić atak lotniczy. Samolot zwiadowczy został ostrzelany przez obronę przeciwlotniczą niszczycieli wroga i ledwie zdołał uciec. A Kriegsmarine twierdzi, że nie jest w stanie przedrzeć się przez osłonę konwoju.

* Wyobrażam sobie, Herr Reichsführer.

* Jakby tego było mało, nasi agenci mają poważne problemy z ustaleniem portu przeznaczenia Roosevelta, tak więc konwój może przybić w dowolnym punkcie wybrzeża Afryki

Północnej, które ma ponad półtora tysiąca kilometrów długości.

Bez dokładnych informacji nie zdołamy przeprowadzić skutecznego ataku z lądu ani z powietrza. A kiedy Roosevelt znajdzie się na brzegu, trudno będzie nam ustalić, jaką trasą ruszy do Kairu. * Himmler westchnął z rezygnacją, zdjął szklę i metodycznie wytarł je chusteczką. * Tak więc, Walterze, wygląda na to, że jednak wszystko zależy od ciebie. Opowiedz mi, jak postępują przygotowania.

* Z przyjemnością stwierdzam, że wszystko przebiega zgodnie z planem, Herr Reichsführer * uśmiechnął się promiennie Schellenberg.

* Jesteś pewny siebie. Uważasz, że ta kobieta dokona tego, czego od niej oczekujemy?

* Jestem pewny, że skoro stawką jest życie jej ojca, da z siebie wszystko.

* Lepiej, żebyś miał rację. A Halder?

* Dobrze się spisuje * odparł Schellenberg. * Miał drobne nieporozumienia z Kleistem, ale to było do przewidzenia.

Himmler ponownie umocował okulary na nosie.

* Ach tak, Kleist... Brutal, jednak można na nim polegać. Bardziej przewidywalny niż ten cały Halder. A co z Deaconem? Jak mu idzie w Kairze?

* W ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin spodziewam się otrzymać od niego sygnał gotowości.

* Czy po wykryciu tamtej kryjówki nie miał już żadnych problemów?

* Według jego ostatniego raportu, nie. Gdyby było inaczej, na pewno dałby nam znać.

* Czy Halder o tym wie? Schellenberg uśmiechnął się.

* Nie uznałem za konieczne poinformować go o tym, Herr Reichsfuhrer. Ma dość spraw na głowie.

Himmler przytaknął.

* Może masz rację. A co będzie, jeżeli Deacon w tak krótkim czasie nie zdoła zorganizować wszystkich środków transportu i wyposażenia?

* Jestem przekonany, że i tak możemy zrealizować nasz plan. Halder i pozostali będą musieli jakoś uporać się z tym problemem po wylądowaniu. Jestem pewien, że sobie poradzą.

Himmler przez dłuższą chwilę spoglądał w ogień, pogrążony w myślach.

* No cóż * rzekł wreszcie. * Zważywszy na pesymistyczny

ton tych raportów, masz moją zgodę na przeprowadzenie operacji „Sfinks”, a także aprobatę Hitlera. Schellenberg wstał.

* Rozkaz, Herr Reichsfuhrer.

* Jutro odleci z Halderem i pozostałymi z Gatow do Rzymu, skąd cała grupa zostanie przewieziona do Egiptu. * Himmler wrócił za biurko, usiadł i ostrożnie przesunął stertę papierów na miejsce, dając znać, że spotkanie się skończyło. * Jak zawsze, informuj mnie na bieżąco o dalszym rozwoju wydarzeń.

Gorzkie Jeziora

* Nie jest to wiele, ale zawsze coś * mruknął Sanson i zapalił papierosa, kiedy strażnicy zabrali Bergera. * Teraz wiemy na pewno, że ten „Feniks” przybył do Kairu dziewięć miesięcy temu, aby pomóc zbierać informacje dla niemieckiego wywiadu. Z opisu Bergera wynika też, że jego rysopis pasuje do naszego przyjaciela, Farida Gabara. I wiemy, że po przedarciu się przez linię frontu i przed nawiązaniem kontaktu z „Beszebą” prawdopodobnie spędził jedną noc w kryjówce w Ezbekii, w hotelu należącym do Araba,

będącego sympatykiem Niemców i pracującego dla niemieckiego wywiadu.

Berger udzielił im dość skąpych, ale istotnych informacji. Tylko przepisał notatkę sporządzoną przez zwierzchnika, ale przyznał, że dwukrotnie widział opisanego przez Sansona Araba, podczas odpraw w głównej kwaterze Wehrmachtu w Tunisie. Ale tak jak przypuszczał Weaver, nie miał pojęcia, jak nazywają się i co robią obaj agenci, a o „Beszebie” nie wiedział nic poza tym, że to najlepszy hitlerowski szpieg w Kairze.

* Wobec tego musimy znaleźć ten hotel * mruknął Wea*ver. * Chociaż upłynęło już dziewięć miesięcy od czasu, kiedy Gabar się w nim zatrzymał...

* Zawsze to jakiś ślad, a na razie niczego innego nie mamy. Porozmawiam z moimi informatorami i ponownie przejrzymy listę sympatyków. Może trafimy na podejrzanego. W przeciwnym razie będziemy przeszukiwać hotel po hotelu, aż go znajdziemy.

Weaver wstał.

Dokąd idziesz? * zapytał Sanson.

* Sprawdzę, jak się ma Berger. Był wstrząśnięty.

* Daj sobie spokój, Weaver. Nie powinieneś okazywać wątpliwości ani słabości podczas przesłuchiwania więźnia. Głupio postąpiłeś, próbując mu pomóc. Naraziłeś na szwank mój autorytet.

* To nie było przesłuchanie, Sanson, tylko tortury. Coś, czego spodziewałbym się po gestapo.

Sanson zerwał się na równe nogi i wepchnął notes do kieszeni na piersi.

* Mówiłem ci, jest wojna! A może tego nic rozumiesz? Jeśli chcesz złożyć na mnie skargę, zrób to. Jednak w jakiej sytuacji jak ta liczy się tylko wynik. A teraz wracajmy do Kairu. Jeżeli mamy szybko odnaleźć Gabara, musimy się spieszyć.

Rozdział 21

Berlin

Trzy tysiące kilometrów dalej, tego samego dnia, tuż po ósmej wieczorem, admirał Wilhelm Canaris wciąż zmagał się z sumieniem, schodząc do piwiarni. Lokal był zadymiony, wypełniony żołnierzami oraz ponurymi berlińczykami, a grająca na podium orkiestra wyglądała jak gromada skazańców. Tak jak wszyscy pozostali, muzycy również mieli nerwy w strzępach, a aroganckie marsze, jakie grali obojętnemu tłumowi gości, nie odzwierciedlały panującego w mieście nastroju przygnębienia.

Canaris zajął pusty stolik i zamówił kufel piwa. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze wiszącym na pobliskiej ścianie. Był spięty i wyczerpany, od ostatniego spotkania z Schellenbergiem prawie wcale nie spał. „Jakże gęsta intrygi nić, kiedy raz zaczniesz ją wić”. Nic dziwnego, że był zdenerwowany. Od paru lat skrywał pewien bardzo niebezpieczny sekret. Był zdrajcą swojego kraju, jednym ze spiskowców planujących zamach na Hitlera, co miał niebawem przypłacić życiem, powieszony na strunie fortepianowej na rzeźnickim haku w obozie koncentracyjnym we Flossenbiirgu.

Jednak tego wieczoru jeszcze nie wiedział o tym, że ma przed sobą zaledwie kilka miesięcy życia. Ubrany w cywilny garnitur, płaszcz i kapelusz, bez trudu zgubił gestapowski ogon, ciągnący się za nim, odkąd wyszedł z domu na wieczorny spacer.

Pociągnął łyk piwa ze stojącego przed nim kufła i spojrzał na zegarek. Młoda kobieta, która dwie minuty później weszła do piwiarni, była szczupła i jasnowłosa, miała piękną twarz i jeszcze piękniejsze ciało, teraz wprawnie zamaskowane nadmiernym makijażem oraz burym, źle dopasowanym ubraniem. Zauwa

żyła Canarisa. Położył kapelusz na skraju stołu, dając w ten sposób sygnał, że są bezpieczni. Usiadła naprzeciw niego i uśmiechnęła się.

* Witaj, Wilhelmie.

* Moja droga Sylwio * powiedział czule Canaris. Gdyby nie był wiernym małżonkiem, natychmiast zakochałby się w tej pięknej kobiecie. Księżniczka Sylwia Kónigsberg była żoną szwedzkiego dyplomaty i dobrą przyjaciółką admirała. * Dotarłaś tu bez problemów?

* Najmniejszych. * W jej oczach pojawił się łobuzerski błysk. * Zgubiłam gestapowski ogon w metrze. Biedaczysko

chyba dostał zawału.

Canaris zamówił jej piwo i czekał, aż kelnerka odejdzie.

* A więc w nocy odlatujesz do Sztokholmu.

* O północy. Z pocztą dyplomatyczną. W jakiej to strasznie ważnej sprawie chciałeś się ze mną widzieć?

Canaris odchrząknął. Nie mógł sporządzić notatki, ponieważ w razie wpadki byłaby obciążającym go dowodem. Sylwię chronił immunitet dyplomatyczny i wpływowi przyjaciele, włącznie z królem Szwecji. Nawet gdyby została złapana, brutalne przesłuchanie nie wchodziło w grę. Jednak to wcale nie oznaczało, że nie ryzykowała życia. Gestapo potrafiło aranżować nieszczęśliwe wypadki.

* Moja droga, muszę powierzyć ci niezwykle ważną, pilną wiadomość. Tak istotną, że może zaważyć na losach wojny. Jesteś gotowa ją zapamiętać?

Sylwia nawet nie mrugnęła okiem. Dzielna kobieta, pomyślał Canaris, potrafi zachować spokój nawet w najgorszej sytuacji.

* Mów * powiedziała.

Canaris wahał się przez chwilę. Wiedział, że skazuje Haldera oraz tamtą kobietę na porażkę, a nawet śmierć, co obudziło w nim na nowo wyrzuty sumienia, męczące go od pięciu ostatnich dni. Jednak alternatywa była zbyt straszna.

* Schellenberg i Himmler opracowali plan zamachu na amerykańskiego prezydenta i brytyjskiego premiera * oświadczył. * Wiedzą, że Roosevelt ma spotkać się z Churchilllem w Kairze około dwudziestego drugiego, czyli za trzy dni. Zamierzają zabić ich obu.

Szwedka pobladła i otworzyła usta, gwałtownie wciągając powietrze.

Canaris dodał:

* Musisz przekazać tę wiadomość zwykłymi kanałami. Oboje wiemy, co będzie, jeśli ten szalony plan się powiedzie.

* Jak... jak chcą to zrobić?

* W ciągu czterdziestu ośmiu godzin do Egiptu odleci grupka ludzi, którzy mają przygotować teren dla zamachowców. Może prędeej...

W tym momencie usłyszeli wycie syreny przeciwlotniczej. Orkiestra przestała grać, goście w panice przewracali krzesła, a personel piwiarni zaczął kierować ludzi do piwnicznego schronu.

* Mój Boże, znów się zaczyna * mruknął Canaris. * Niedługo zamienią ten kraj w stertę gruzów. * Położył dłoń na ramieniu Sylwii. * Jesteś pewna, że polecisz tym samolotem?

Skinęła głową.

* Obowiązki dyplomatyczne pilnie wzywają mojego męża do Sztokholmu. Lecąc korytarzem, będziemy mieli eskortę, jak zwykle.

Canaris wiedział, że za zgodą aliantów i Rzeszy nad Bałtykiem przebiegał korytarz lotniczy, którym pasażerowie bezpiecznie latali do neutralnej Szwecji.

Na zewnątrz rozległ się huk eksplozji, z sufitu posypał się tynk i wszystkie światła przygasły. Sylwia wstała.

* Lepiej już pójść. Jeśli tu utknę, mogę nie zdążyć na samolot.

* Bóg z tobą, Sylwio * powiedział Canaris. * Uważaj na siebie i nie zawieź mnie.

Gdzieś w pobliżu spadła kolejna bomba. Żołnierze na przepustce oraz personel piwiarni wzywali gości do zejścia do schronu.

* Nasz przyjaciel w Sztokholmie powinien wiedzieć... * zaczął pospiesznie Canaris.

* Nie ma czasu, Wilhelmie. * Szwedka ruszyła do drzwi.

* Muszę podać ci szczegóły...

Wziął Sylwię za rękę i poprowadził w kierunku wyjścia, ale gdy następny wybuch wstrząsnął budynkiem, doskoczył do nich krępy feldfebel, niemal zbijając admirała z nóg.

* Jesteście głusi? Na dół, szybko! * wrzasnął.

Gdy zaczął popychać ich w kierunku piwnicy, Sylwia Kó*nigsberg bez słowa przemknęła obok niego, przez drzwi i na schody.

* Ty głupia suko, zwariowałaś? * krzyknął żołnierz i rzucił się za nią.

Canaris złapał go za rękę.

* Nie, zostaw ją!

* Jak uważasz, dziadku, ale jeśli chcesz dożyć pieprzonej emerytury, to lepiej zejść na dół. Rusz dupę!

Gdy budynek znów zadrżał w posadach i gęsta chmura kurzu wypełniła piwiarnię, admirał zdążył jeszcze dostrzec znikającą na schodach Sylwię. Zakrył usta ręką, powstrzymując kaszel. Mój Boże, westchnął. A jeśli ona zginie podczas nalotu i nie zdoła przekazać wiadomości? Rozpaczliwie chciał podać jej więcej szczegółów, aby brytyjski wywiad w Sztokholmie wiedział, że Halder i kobieta są tylko niewinnymi pionkami w tej śmiertelnej grze, ale było już za późno. Sylwia zniknęła, a żołnierz popychał go w kierunku piwnicy.

W tym samym czasie na odległym o dwa kilometry przedmieściu Berlina generał Walter Schellenberg zmierzał w kierunku zupełnie innej piwnicy. Wizyty w podziemnym więzieniu głównej kwatery gestapo zawsze go przygnębiały. Było to makabryczne miejsce, cuchnące strachem i wrzaskami torturowanych, ale tego popołudnia Schellenberg był w znakomitym humorze, kiedy krępy strażnik prowadził go po schodach. Poszli na koniec zimnego, słabo oświetlonego korytarza, mijając po drodze szeregi żelaznych drzwi. Dozorca przystanął przed jednymi z nich i włożył klucz do zamka. Schellenberg zapalił papierosa.

* Jak on się czuje?

* Lepiej niż inni, panie generale. Trzy dobre posiłki dziennie i żadnych tortur czy bicia. Nadal jednak uważam, że ma źle w głowie. Prawie na nic nie reaguje.

* Czy mówił coś o córce?

* Nic o tym nie wiem. Ale wciąż płacze.

W tym momencie Schellenberg usłyszał łkanie i spojrzął na drzwi sąsiedniej celi, z której dobiegało.

* Chwileczkę * powiedział.

Podszedł do drzwi, nacisnął włącznik w ścianie i odsunął metalową kłapkę judasza. Zobaczył dwóch

chłopców, jednego kilkunasto*, a drugiego najwyżej czternastoletniego, o opuchniętych twarzach, skulonych w kącie celi. Młodszy zanosił się

płaczem. Mrugając oczami w ostrym świetle, wyglądali jak przestraszone zwierzątka.

* A co z tymi dwoma? * rzucił przez ramię do dozorky.

* To bracia, zdrajcy, spiskowali przeciw Fuhrerowi, panie generale. Jeszcze się nie przyznali, ale na pewno to zrobią. I niewątpliwie dostaną to, na co sobie zasłużyli.

Schellenberg wzdygnął się, słysząc dobiegający gdzieś z głębi więzienia kobiecy krzyk. Zamknął judasz, odwrócił się do dozorky i ruchem głowy wskazał następne drzwi.

* Możesz otworzyć.

Dozorca wykonał polecenie, włączywszy uprzednio światło. Schellenberg wszedł do śmierdzącej celi. Zobaczył metalową pryzkę z brudnymi szarymi kocami, poobijane wiadro i gołą żarówkę pod sufitem. Siwowłosa, niegdyś dystyngowany mężczyzna kulił się w rogu, zasłaniając rękami głowę i twarz i płacząc jak dziecko.

* Podobno dobrze cię traktują * powiedział cicho Schellenberg.

Mężczyzna nie odpowiedział i nawet nie podniósł głowy. Dozorca wrzasnął:

* Odpowiadaj panu generałowi, kiedy cię pyta! Schellenberg niecierpliwie pstryknął palcami.

* Zostaw nas!

Dozorca strzelił obcasami i natychmiast wyszedł. Schellenberg zaciągnął się papierosem, spoglądając na więźnia.

* Obawiam się, że musisz wybaczyć tym ludziom. Niektórzy z nich są gorsi od zwierząt. Mam jednak dobre wieści, które powinny cię pocieszyć. Twoja córka zgodziła się na moją propozycję. Jeżeli zrobi to, czego od niej oczekujemy, i przeżyje, ta nieprzyjemna historia wkrótce się skończy. No, co na to powiesz?

Mężczyzna jęknął i nerwowo poderwał głowę. Jego brodata twarz była posiniaczona i poznaczona purpurowymi bliznami. Obrzucił Schellenberga udręczonym spojrzeniem, po czym znów ukrył twarz w dłoniach i zaczął płakać, kołyszając się tam i z powrotem.

Schellenberg westchnął, rzucił niedopałek papierosa na posadzkę i zgniótł go obcasem.

* Mam wrażenie, że już nic ci nie pomoże, przyjacielu. Te tępaki zrobiły z ciebie wariata.

Wyszedł na korytarz i rzekł do strażnika:

* Sprowadźcie mu lekarza. Nic waszego konowała. Prawdziwego lekarza. I chcę dostać jego raport.

* Tak jest, panie generale.

Drzwi celi zamknęły się z hukiem i Schellenberg poszedł z powrotem ciemnym korytarzem.

Kair,

18 listopada

Reggie Salter był tego czwartkowego popołudnia w kiepskim humorze i miał po temu powód. Poprzedniej nocy przeprowadzono nalot na jeden z jego składów. Nie zrobiła tego policja, lecz dobrze zorganizowany gang arabskich złodziei. Poderżnęli gardło jednemu ze strażników i umknęli z ponad pięcioma tysiącami funtów w towarze.

Ludzie Saltera zakopali ciało strażnika na pustyni. Niebawem paru tych chciwych skurwieli będzie obok kopać groby dla siebie. Ktokolwiek obrobił jego magazyn, drogo za to zapłaci, ale Salter dostatecznie dobrze znał arabskie gangi, aby wiedzieć, że już nigdy nie ujrzy swojego towaru.

Nadal pieniał się z powodu straty pięciu tysięcy funtów szter*lingów, kiedy z magazynu na dole przyszedł Costas, wycierając ręce w zatłuszczoną szmatę.

* Właśnie przyszedł Deacon, Reggie. Mam go tu przysłać na górę?

* Nie, zejdę do niego. Co z tym pieprzonym dżipem?

* Stoi na podwórku. Chłopcy sprawdzają go.

* No dobra, zobaczmy tę forszę Deacona.

Salter zszedł po schodkach do magazynu, a Costas za nim. Ujrzeni Deacona i Araba, czekających obok stosu skrzyń.

* Harvey, dobrze cię znów widzieć * powiedział Salter.

* Masz dżipa i mundury?

* Od razu do interesów, tak? Obiecałem, że to załatwię, i załatwiłem. Zorganizowałem ten towar wcześniej, niż się spodziewałem * odparł Salter. * Chodź za mną.

Wyprowadził ich na zadaszone podwórko na tyłach magazynu. Dwaj jego ludzie majstrowali przy stojącym z podniesioną maską dżipie, a trzeci ścierał kurz z policyjnych oznakowań na bokach.

* Costas mówi, że silnik jest dobry, prawie nowy * oświadczył Salter.

* Nie zajeżdżony, jak w większości tych maszyn po kilku miesiącach używania na pustyni.

Deacon spojrział na pojazd.

* Skąd go wzięłeś?

Salter z uśmiechem przycisnął palec do nosa.

* Im mniej wiesz, tym lepiej.

* Jesteś pewny, że papiery są w porządku i nikt nie przyjdzie go szukać?

Salter zaśmiał się.

* Opuść sobie, Harvey. Oczywiście, że jestem pewny. Gdybym inaczej prowadził interesy, już dawno by mnie pochowali.

Kiedy Deacon przesunął dłonią po lakierze, Salter powiedział:

* Możesz sprawdzić towar. Ty płacisz.

Deacon usiadł za kierownicą i przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik gładko zapalił. Deacon wysiadł i razem z Hassanem zajrzeli pod maskę.

* Wygląda nieźle * orzekł Deacon, otrzepując ręce.

* Czy wetknąłbym ci chłam? * Salter wręczył mu papiery wozu. * Sam zobacz, wszystko w najlepszym porządku.

Deacon przejrzał dokumenty.

* Na oko szafa gra. A co z mundurami? Salter skinął na jednego ze swoich ludzi.

* Przynies tu resztę, Joey.

Mężczyzna poszedł do magazynu i wrócił, niosąc na ramieniu dwa wypchane wojskowe worki. Salter otworzył jeden z nich i wysypał zawartość na ziemię. Mundur amerykańskiego kapitana i sierżanta żandarmerii polowej, ze wszystkimi dodatkami, włącznie z dwoma coltami kalibru 45 w kaburach i pistoletami maszynowymi M3, z zapasowymi magazynkami.

* Wszystko zgodnie z zamówieniem. Ale lepiej sprawdź, żebyś miał pewność.

Kiedy Deacon przejrzał zawartość drugiego worka, Salter spytał:

* Zadowolony?

* Towar wygląda nieźle. Mundury i broń dostarczycie dziś wieczorem do klubu. Skorzystajcie z tylnego wyjścia i zróbcie to dyskretnie.

* To moje drugie imię.

* Na pewno nie będziesz miał problemu z przechowaniem tu dżipa przez kilka dni, dopóki go nie odbiorę?

* Dopóki płacisz za parkowanie...

Deacon wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Salterowi. Ten przeliczył banknoty i schował kopertę do kieszeni.

* Przyjemnie robić z tobą interesy, Harvey * powiedział.

* Jeszcze nie skończyliśmy. Co z ciężarówkami? Salter zapalił cygaretkę i podrapał się po szczęce.

* Obawiam się, że chwilowo mamy z tym kłopoty, no nie, Costas?

Grek wzruszył ramionami.

* Zdaje się, że armia rekwiruje teraz każdy pojazd, Harvey. Bóg wie dlaczego, nie ma wolnych ciężarówek. Ale bez obawy, postaramy się.

* Starania to za mało * odparł zaniepokojony Deacon. * Muszę mieć pewność, że w ciągu następnych dwóch dni dostanę te wozy.

W jego głosie zabrzmiała nuta desperacji. Salter natychmiast to zauważył i rzekł uspokajająco:

* Zajmę się tym osobiście, Harvey. Dostaniesz je na czas, nawet gdybym sam miał je zwinąć. Obiecuję.

* Dobrze. * Deacon skinął na Hassana i odwrócił się, żeby odejść. * Będziemy w kontakcie?

* Jak tylko będę miał towar, odezwę się * obiecał Salter. Odprowadził ich wzrokiem, a kiedy poszli, zawołał dwóch

swoich ludzi. * Wiecie, co macie robić. Chcę wiedzieć, gdzie Deacon chodzi, z kim się widuje. Jak to speprzycie, pójdziecie na żer dla krokodyli, rozumiano?

* Jasne, Reggie.

Mężczyźni wyszli. Costas dołączył do Saltera i uśmiechnął się krzywo.

* Myślisz, że się uda? Salter strzelił stawami palców.

* Lepiej, żeby się udało, Costas. Zeszłej nocy ci arabscy złodzieje kosztowali nas pięć kawałków i zamierzam wyrównać nasze straty. Cokolwiek się dzieje, dostaniemy naszą dolę, czy to się spodoba Deaconowi i jego koleśiom, czy nie.

Berlin,

20 listopada

Na lotnisku Luftwaffe w Gatow panował ożywiony ruch, gdy mercedes Schellenberga przejeżdżał tego popołudnia przez bramę. Halder i pozostali jechali za nim w nakrytej plandeką ciężarówce. Zatrzymali się przed zamkniętym hangarem i Schellenberg wprowadził ich do środka przez boczne drzwi. W hangarze stał samolot, pomalowany na maskujący piaskowy kolor, bez żadnych oznakowań. Pół tuzina mechaników uwijało się wokół, a dwaj piloci siedzieli w kabinie.

* Vito! * zawołał Schellenberg i mężczyzna siedzący na fotelu pierwszego pilota pomachał mu ręką i po chwili zszedł po metalowych stopniach.

* Dzień dobry, panie generale.

* Jak wygląda nasz środek transportu?

Vito Falconi był wysokim, przystojnym Włochem, o czarnych kręconych włosach i rzymskim profilu. Był raczej stary jak na pilota wojskowego, bo miał już prawie czterdzieści lat. Nosił skórzaną kurtkę lotniczą Luftwaffe i białą apaszkę na szyi, a jego oczy tryskały energią.

* Bene. Dziś rano poderwałem go dwa razy i dobrze się spisał. * Falconi obrócił się do Haldera i uściśnął jego dłoń. * Jack, widzę, że jeszcze żyjesz.

* Cześć, Vito. Kopę lat. Falconi uśmiechnął się.

* Sam nie wiem, czy się cieszę, że znów cię widzę. Słyszałem, że mój udział w tej operacji to twój pomysł. Chcesz mojej śmierci? Jak się masz, stary przyjacielu?

* Tak sobie.

* Jak wszyscy * zaśmiał się Falconi. Ta przeklęta wojna działa wszystkim na nerwy. Co szykujesz tym razem? Coś tak ściśle tajnego, że zależą od tego losy wojny?

* O to musisz zapytać generała.

* Obawiam się, że to nie twoja sprawa, Vito * rzucił Schellenberg i dokonał prezentacji: * Poznajcie Gruppenkommandanta Falconiego, waszego pilota. To on przewiezie was do Egiptu.

Vito ujął dłoń Rachel i ucałował.

* Co za przyjemność, bella signorina. Pragnę powiedzieć, że jest pani najładniejszym pasażerem z tych, których ostatnio przewoziłem.

* Proszę nie zwracać uwagi na Vita * powiedział Schellenberg. * To znany czaruś.

Kleist zapytał z kwaśną miną:

* Panie generale, dlaczego pilot jest Włochem? Czemu nie Niemiec? Ci tchórzliwi dranie poddali się wrogowi. Zawsze mieliśmy z nimi tylko kłopoty. A każdy wie, że ich piloci są do niczego. Równie dobrze mógłby pan wystawić nam od razu świadectwa zgonu.

Falconi obrzucił Kleista zimnym wzrokiem.

* Gdyby pan o tym nie słyszał, to przypominam, że tysiące Włochów poległy na Wschodzie, na przedmieściach Moskwy i w ruinach Stalingradu. Myślę, że to o czymś świadczy, prawda?

Schellenberg gniewnie spojrzał na Kleista.

* Właśnie. I nie martwiłbym się o umiejętności Gruppen*kommandanta. Od tysiąc dziewięćset czterdziestego jest instruktorem Luftwaffe, w dodatku jednym z najlepszych. Ponadto ma ogromne doświadczenie w lotach nad Afryką. Latał tam jeszcze przed wojną, więc będziecie w dobrych rękach.

* Z całym szacunkiem, panie generale, ale chyba ostatnio ma pan kłopoty kadrowe * powiedział Falconi.

* Ten pana przyjaciel powinien popracować nad swoimi manierami. Po dwóch minutach w jego towarzystwie mam go już dość.

Schellenberg zwrócił się do Kleista:

* Trzymaj język za zębami i zachowuj się. Major Halder też wspominał, że zaczynasz trochę przesadzać. Pamiętaj, że to on dowodzi tą operacją, więc masz mu okazywać należyty szacunek. To rozkaz.

Kleist skrzywił się, ale natychmiast stanął na baczność.

* Tak jest, panie generale.

* A teraz, Vito, opowiedz nam o naszym środku transportu.

Kiedy Falconi doprowadził ich do pomalowanego na piaszkowy kolor samolotu, Halder zdziwił się:

* Na Boga, a cóż to takiego?

* Amerykański transportowy C*47, inaczej zwany Dakotą, a mniej czule „głupią gęsią”. To najlepszy samolot tego typu, jakim dysponują alianci. Temu akurat zabrakło paliwa i wylądował awaryjnie na polu w północnych Włoszech, na szczęście doznając jedynie lekkich uszkodzeń podwozia. Patrol SS był w okolicy i zdołał przejąć maszynę, zanim pilot zdążył wysadzić ją w powietrze. Naprawiono ją i przetransportowano tutaj.

* Czemu właśnie nią mamy lecieć?

* Dakota to bardzo popularna maszyna. Dlatego, z naszego punktu widzenia, idealna do tego zadania.

* Mówisz o oszukaniu nieprzyjacielskiej obrony przeciwlotniczej?

Falconi uśmiechnął się szeroko.

* Właśnie.

* To był pomysł Vita * wyjaśnił Schellenberg. * Mamy jeszcze dwie takie maszyny dla pułkownika Skorzeny'ego. W ten sposób możemy przewieźć was do celu, nie budząc podejrzeń obrony wybrzeża.

* A z tego, co słyszę, ta jest teraz bardzo szczelna * dodał Falconi. * Ich spitfire'y i tomahawki latają dzień i noc. W ciągu kilku ostatnich tygodni stacjonujące we Włoszech eskadry Luftwaffe próbowały zaatakować Sycylię, ale poniosły dotkliwe s i raty. Większość tych biedaków zestrzelono, zanim zdążyli dolecieć do celu.

* To ostrzeżenie dla nas * zauważył Halder. * Czy nie powinniśmy mieć alianckich oznakowań? Inaczej ryzykujemy, że strąci nas jeden z ich patroli.

* Kiedy wylądujemy w Rzymie, żeby zatankować paliwo, na skrzydłach zostanie namalowane amerykańskie oznakowanie. Wykorzystując Włochy jako punkt przelotowy, mamy pewną przewagę, bo alianci skupiają całą uwagę na ruchu powietrznym między niemieckimi lotniskami polowymi na Kudos i w Atenach, które znajdują się bliżej Afryki. Kiedy nasz

samolot znajdzie się w powietrzu, będzie wyglądał jak zwyczajna

maszyna USA. * Falconi uśmiechnął się. * Poza tym dowództwo Luftwaffe w południowych Włoszech będzie powiadomione o naszym przelocie, więc nie grozi nam zestrzelenie przez swoich.

* A co potem? * spytał Halder:

* Przelecimy nad morzem do brzegu Afryki Północnej. Kiedy dotrzemy do lotniska, wyląduję, wysadzę was i natychmiast odleczę. Dakotę zaopatrzone w dodatkowy zbiornik, więc powinno mi wystarczyć paliwa na powrót do Rzymu.

* A co będzie, jeśli aliancka obrona powietrzna zauważy nas i wezwie przez radio?

Falconi wzruszył ramionami.

* Oczywiście, jest taka możliwość. Jeśli tak się stanie, będziemy musieli jakoś się z tego wywinąć. Ale najgorsze jest to, że nawet nie wiedzielibyśmy, że nas wywołują.

* Dlaczego?

* Ze względów bezpieczeństwa codziennie zmieniają częstotliwość, czasem nawet dla każdego patrolu, więc nie będziemy wiedzieli, na jakiej nadają.

* Jeśli jednak nie odpowiemy, ich samoloty spróbują nawiązać kontakt?

Falconi skinął głową.

* Jeżeli nie uda im się porozumieć z nami w normalny sposób, spróbują kodu sygnałowego, migając

podłączonymi do klucza Morse'a światłami, jakie alianckie maszyny mają zamocowane pod kadłubem, albo wystrzeliwując rakiety. Mogą też nie bawić się w sygnalizację, tylko od razu nas zestrzelić.

* Naprawdę poprawiasz mi humor, Vito. Masz jeszcze jakieś dobre wieści?

Falconi zaśmiał się.

* Na naszą korzyść działa to, że polecimy ich samolotem. Będą mniej skłonni najpierw strzelać, a potem zadawać pytania. Dzięki temu w razie potrzeby będziemy mieli szansę wyłączyć się awarią radia lub zasilania albo uciec.

* Przy spotkaniu z nocnym myśliwcem nie mielibyśmy szans. Górowałby nad nami prędkością.

* Jak już mówiłem, Jack * wtrącił Schellenberg * istnieje pewne ryzyko. Ale wiesz przecież, że Vito latał już nad terytorium wroga. Jesteście w doskonałych rękach.

* Bardziej niepokoi mnie pogoda * stwierdził Falconi. * Prognozy przewidują paskudny front burzowy, przesuający się nad Morzem Śródziemnym. Wygląda na to, że w ciągu

następnych dwudziestu czterech godzin w okolicach Aleksandrii przejdą ulewne deszcze, a na całym północnym wybrzeżu Egiptu burze piaskowe.

* Wspaniale * mruknął Halder.

* Dobra wiadomość to ta, że w taką pogodę samoloty patrolowe wroga powinny zostać na ziemi.

* Naprawdę uważa pan, że będziemy bezpieczni? * zapytała Rachel.

Falconi uśmiechnął się.

* Jest wojna, bella signorina. Nikt nie jest bezpieczny, szczególnie w takiej sytuacji. Jednak nawet diabeł miewa dobre dni, a skoro żyję tak długo, to najwidoczniej jeszcze mnie nie opuścił.

* Aby was uspokoić, dodam, że w Rzymie będzie czekał na nas zespół najlepszych mechaników Luftwaffe, którzy dokonają przeglądu maszyny * wtrącił Schellenberg. * Nie chcemy żadnych kłopotów technicznych podczas lotu. Miałoby to opłakane skutki. Jesteśmy gotowi, Vito?

* Właśnie kończyliśmy przegląd. Schellenberg popatrzył na otaczających go ludzi.

* Nie ma dalszych pytań? W porządku. Wejdźcie na pokład i załadujcie sprzęt. Niebawem startujemy.

Dochodziła pierwsza, kiedy dakota w końcu oderwała się od pasa startowego Gatow. Falconi wzbił się na wysokość pięciu tysięcy metrów, a potem oddał stery młodemu drugiemu pilotowi Luftwaffe, Remerowi, i sam zaczął sprawdzać mapy.

Halder siedział z tyłu samolotu na podłodze obok Rachel, a Kleist i Doring naprzeciw nich. Schellenberg zajął miejsce bardziej z przodu, przyciskając teczkę do piersi i usiłując zasnąć. C*47 był zupełnie pusty w środku, bez siedzeń i brezentowych pasów do zabezpieczania ładunku. Kiedy osiągnęli wysokość

kursową, Halder poczuł, że robi się zimno. Zauważył, że Rachel jest blada i przygnębiona.

* Jak się czujesz? * zapytał.

* Zmęczona i zziębnięta.

* To długi lot. Zobaczę, czy uda mi się znaleźć coś do przykrycia.

W jednym ze schowków bagażowych znalazł parę koców, ale

kiedy z nimi wrócił, Rachel już mocno spała, skulona jak dziecko, z głową odchyloną na bok.

Okrył ją kocem, a potem pod wpływem nagłego impulsu pochylił się i pocałował ją w kark. Zauważył, że obserwujący to Kleist mruknął coś pod nosem do Doringa i obaj esesmani wyszczerzyli zęby w uśmiechu. Kleist spoglądał na Haldera wyzywająco, w oczach miał nienawiść. Halder zignorował zaczepkę, okrył się kocem i nasunął kapelusz na oczy. Warkot silników dakoty szybko ukołysał go do snu.

Rozdział 23

Kair,

godzina 13.45

* Nazywa się „Imperia” * powiedział Reeves. * Tylko dwadzieścia pokoi, obrzydliwa nora. Osobiście wolałbym spać w kanale ze szczurami.

Weaver właśnie usiadł na tylnym siedzeniu nieoznakowanego samochodu, obok Sansona. Obaj byli uzbrojeni i ubrani po cywilnemu. Przejechali taksówką po skwarnych, zatłoczonych ulicach Ezbekii, po czym dołączyli do dwóch ludzi Sansona, którzy obserwowali hotel. Jeden z nich, Reeves, młodszy oficer z rzadkim wąsikiem, siedział teraz za kierownicą wozu.

Stojący po drugiej stronie ulicy hotel „Imperia” bynajmniej nie zasługiwał na taką nazwę: była to tania, zaniedbana buda z obłazącą farbą okiennic i popękkanymi ścianami grożącymi rychłym zawaleniem. Jego cztery zapuszczone piętra były wciśnięte między kolejny, równie zaniedbany tani hotelik i rozsypującą się czynszówkę. Namalowany nad wejściem szyld mocno spleśniał.

* Co wiemy o właścicielu? * zapytał Weaver. Sanson miał na kolanach otwarty notes.

* Tarik Nasser jest drobnym biznesmenem bez żadnych znanych nam powiązań. Miejskowa policja trzy dni temu sprawdziła ten hotel i twierdzi, że książka gości była w porządku, a recepcjonista powiedział im, że żaden człowiek odpowiadający rysopisowi Farida Gabara nie szukał tu wolnego pokoju. Ale uważamy Tarika Nassera za sympatyka nazistów, bo podczas ofensywy Afriki Korps słyszano, jak głośno

przechwalał się, że powita Niemców z szeroko otwartymi ramionami, kiedy dotrą do Kairu. Okazało się, że ma po temu dobry powód: kilka lat

wcześniej jego młodszy brat został zastrzelony podczas plądrowania brytyjskich magazynów wojskowych. W tej chwili jest naszym jedynym podejrzanym.

Obserwowano również trzy inne hotele w tej dzielnicy i Sanson niecierpliwie oczekiwał jakichś postępów w śledztwie.

* Co jeszcze? * zapytał Reevesa.

* Zapytałem o pokój i recepcjonista powiedział, że w tej chwili nie mają wolnych miejsc * odparł oficer. * Wszystkie pokoje są zajęte i nie ma nadziei, żeby któryś zwolnił się przez najbliższe dwa miesiące. Tak samo jest we wszystkich okolicznych hotelach. Za żadne pieniądze nie można dostać pokoju.

Sanson westchnął. Chciał umieścić w hotelu jednego ze swoich ludzi, żeby sprawdził, czy któryś z gości nie jest podobny do

Gabara.

* Wobec tego chyba nie mamy innego wyjścia, jak przeszukać hotel i przesłuchać Nassera. A co z gośćmi?

* Widziałem głównie uchodźców z Europy, ale też paru

Arabów.

* Zajrzałeś do rejestru?

* Nie, panie pułkowniku. Nie mogłem.

* Czy zauważyłeś kogoś podobnego do Gabara?

* Nie, panie pułkowniku.

* A co z Nasserem?

* Kiedy nie udało mi się wynająć pokoju, poprosiłem, żeby zawołali właściciela. Chciałem mu się przyjrzeć. Gdy przyszedł, sprzedałem mu bajeczkę, że bardzo potrzebny mi pokój i dobrze zapłacę, ale to nic nie dało. Powiedział, że mają komplet. Wyszedł godzinę temu i do tej pory nie wrócił. Briggs poszedł za nim, panie pułkowniku. * Reeves spojrział przez okno. * Chwileczkę, już wraca.

Do samochodu podszedł mężczyzna w cywilnym ubraniu

i kapeluszu i wszedł.

* Gdzie Nasser? * zapytał go Sanson. Briggs ruchem głowy wskazał na ulicę.

* To właśnie on, panie pułkowniku. Poszedł na lunch do greckiej restauracji dwie przecznice dalej, a potem zrobił zakupy w sklepie spożywczym za rogiem.

Chodnikiem po przeciwnej stronie ulicy szedł otyły mężczyzna. Miał na głowie fez, a w ręku torbę z zakupami. Tłuste podbródki trzęsły mu się, gdy gryzł jabłko. Skręcił do hotelu i z trudem pokonał schody, posapując z wysiłku.

Sanson otworzył drzwi samochodu.

* Dobra, zgarnijmy go, póki możemy. Reeves, pójdziesz z nami. Briggs, przejdź do tylnego wyjścia. Jeśli ktoś spróbuje tamtędy uciekać, zatrzymaj go, ale nie zabijaj. Ten, kto ucieka, ma coś do ukrycia, a ja chcę wiedzieć co.

Hassan leżał na łóżku, czyszcząc swojego walthera naoliwioną szmatą. Ciasne pomieszczenie doprowadzało go do szału i czuł się jak zwierzę w klatce. Na podłodze leżała sterta arabskich gazet, które przeczytał co najmniej tuzin razy. Był niespokojny, potrzebował spaceru. Burczało mu w brzuchu. Była pora lunchu, a w greckiej restauracji dwie przecznice dalej podawano doskonałe dania. W garniturze i ze zgoloną brodą czuł się stosunkowo bezpiecznie.

Odłożył pistolet, wstał z łóżka, z wieszaka na drzwiach zdjął krawat i marynarkę, po czym zaczął się ubierać.

Weaver wszedł z Sansonem do holu, Reeves za nimi. Hotel w środku wyglądał równie nędznie, śmierdział zepsutym jedzeniem i papierosowym dymem. Na lewo zobaczyli drewniany kontuar, a za nim młodego Araba, niespokojnie przesuwającego paciorki różańca. Sanson zapytał:

* Gdzie jest Tarik Nasser? Recepcjonista zamrugnął oczami.

* Nie... nie wiem, proszę pana.

* Nie kłam. Widziałem, jak przed chwilą tu wchodził. Młodzieniec nerwowo wskazał na drzwi.

* Gabinet pana Nassera jest tam, może znajdziecie go w środku...

Sanson zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi i pchnął je, Weaver i Reeves weszli za nim. Znaleźli się w małym pokoi*ku. Tarik Nasser siedział za biurkiem, przeglądając korespondencję. Na widok nieproszonych gości z trudem dźwignął się z krzesła.

* Tak?

Tarik Nasser?

* Owszem, to ja.

Jestem podpułkownik Sanson z wywiadu. A to podpułkownik Weaver.

Nasser usiłował zachować spokój, ale ścisnęło go w gardle, a nogi zaczęły pod nim drżeć, jakby nie mogły

utrzymać ciężaru

jego ciała.

* Czemu zawdzięczam tę przyjemność? Sanson skinął na Reevesa.

* Sprawdź rejestr gości.

* Co się dzieje? * zapytał Nasser. Kiedy Reeves wyszedł, Sanson powiedział:

* Niech pan siada, panie Nasser.

Nasser usłuchał. Pot spływał mu po karku, a serce waliło jak młotem. Chciał nacisnąć przycisk pod blatem biurka, ale bał się.

* Nie powiedzieliście, o co chodzi.

* Przejdę bezpośrednio do rzeczy. Jest pan podejrzany

o ukrywanie niemieckich szpiegów, panie Nasser. I o to, że sam pan jest niemieckim agentem.

Nasser poczuł ostry ból w piersi i na jego czole pojawiły się krople potu, ale zaśmiał się nerwowo.

* Czy... czy to jakiś żart?

* Dość udawania, Nasser. Mamy zeznania schwytanego oficera niemieckiego wywiadu.

Nasser przełknął ślinę, podniósł leżącą na biurku chusteczkę

i otarł nią pot z czoła.

* To na pewno jakaś pomyłka. Jestem uczciwym biznesmenem.

Po chwili wrócił Reeves z książką gości.

* W ciągu ostatnich sześciu miesięcy nie mieszkał tu żaden Gabar, panie pułkowniku * powiedział. * Teraz też tu takiego

nie ma.

Nasser poczuł jeszcze dotkliwszy ból w piersi. Wyciągnął drżącą rękę w kierunku dzwonka, jednak zaraz ją cofnął, widząc czujne spojrzenie Sansona.

* Przeszukamy hotel. Rozbierzemy go cegła po cegle, jeśli będziemy musieli. Sprawdzimy gości we wszystkich pokojach, jednego po drugim. A potem zabierzemy cię na przesłuchanie. Ale dam ci jeszcze jedną szansę...

Nasser podjął decyzję. Trzęsąc się i wciąż trzymając chusteczkę w jednej ręce, drugą sięgnął pod biurko i dwukrotnie nacisnął przycisk. Sanson błyskawicznie złapał go za ramię i wykręcił je.

* W co ty pogrywasz, do diabła? Nasser wrzasnął z bólu.

Sanson odepchnął go, zajrzał pod biurko i zobaczył przycisk.

* Ten sprytny drań ostrzegł kogoś. * Wyjął rewolwer. * Funt przeciw pensowi, że Gabar jest tutaj. Pilnuj go, Reeves, i uważaj na hol. Za mną, Weaver, szybko!

Hassan włożył marynarkę i przejrzał się w pękniętym lustrze, gotowy do wyjścia. Nagle usłyszał brzęczenie dzwonka * ostry, gwałtowny dźwięk, przypominający wściekłe brzęczenie gigantycznego komara. Serce uderzyło mu mocniej. Spojrzał na dzwonek, który na sekundę umilkł, po czym znów ożył.

Raz * uważaj. Dwa * uciekaj.

Błyskawicznie złapał walthera, obrzucił spojrzeniem pokój, upewniając się, że niczego nie zostawił, a potem ostrożnie podszedł do drzwi.

Wybiegając za Sansonem do holu, Weaver wyjął automatycznego colta.

* Przeszukamy kolejno wszystkie piętra * powiedział Sanson, ściskając w dłoni smith & wessona. * Ja sprawdzę pierwsze, ty drugie, a potem następne. Tylko uważaj, na Boga.

Obaj zaczęli wchodzić po schodach, Sanson szedł przodem. Na podeście pierwszego piętra rozdzielili się i Weaver wbiegł na drugie. Znalazł się w krótkim przejściu z oknem na drugim końcu i trzema parami drzwi po obu stronach. W korytarzu unosił się ten sam zapach, co w holu, i leżał tam taki sam wytarty czerwony dywan.

Żadne drzwi nie były uchylone. Weaver nacisnął klamkę pierwszych z prawej. Zamknięte. Oparł się o nie ramieniem, pchnął i nagle w drzwiach pojawił się Europejczyk w średnim wieku, z tekturową walizeczką w ręku. Miał przerażoną minę.

* Ręce do góry! * Weaver wycelował w niego pistolet i wepchnął go do pokoju.

* Ja... ja mam dokumenty * wykrztusił mężczyzna. * Na... nazywam się Josef Esher. Jestem węgierskim uchodźcą...

Na pewno nie był Gabarem, a w pokoju nie było nikogo innego.

* Szukam pewnego Araba * wyjaśnił Weaver i opisał Gabara. * Widział go pan?

Mężczyzna pokręcił głową.

* Nie widziałem nikogo takiego.

* Proszę zostać w pokoju i zamknąć drzwi * rozkazał Weaver, po czym wyszedł na korytarz. Drzwi pokoju natychmiast zatrzasnęły się za nim.

Spróbował otworzyć następne drzwi. Były zamknięte. Szybko podszedł do drzwi naprzeciwko i nacisnął klamkę. Otworzyły się. Zobaczył mały, pojedynczy pokój. Łóżko było pościelone, ale wgłębienie w

postaniu świadczyło, że przed chwilą ktoś na nim leżał. Na podłodze walały się porzucane gazety. Wyglądało na to, że ktoś w pośpiechu opuścił ten pokój. Weaver podszedł do okna na końcu korytarza. Było uchylone. Wyrzał na zewnątrz. Zardzewiała drabinka wiodła na dół, na wąską uliczkę na tyłach hotelu, ale nikogo na niej nie dostrzegł.

Do licha! * zaklął w myśli.

Nagle usłyszał dwa szybko następujące po sobie strzały, a potem jeszcze dwa, które wydawały się odbijać echem w wąskiej uliczce. Biegiem wrócił na podest i zaczął zbiegać po schodach.

* Nie żyje, panie pułkowniku. Próbowałem uciec. Oddałem dwa strzały ostrzegawcze, żeby go powstrzymać, a wtedy on upadł, trzymając się za pierś. Widocznie ze strachu dostał ataku serca. Reanimowałem go, jednak bez skutku. Recepcjonista wezwał karetkę, ale to niewiele pomoże.

Gdy Reeves składał raport, Weaver spoglądał na Tarika Nassera, leżącego na dywanie w holu. Rumiana twarz hotelarza zsiniała. Sanson przyklęknął i sprawdził mu puls.

* Niech to cholera. Chcieliśmy przesłuchać tego drania. Zauważyłeś coś, Weaver?

* Na drugim piętrze jest otwarte okno. Myślę, że ktoś mógł uciec po drabince przeciwpożarowej, ale nikogo nie widziałem. * Weaver spojrzał na Reevesa. * Słyszałem jeszcze dwa strzały. Gdzie Briggs?

* Powinien pilnować na tyłach hotelu, panie pułkowniku. Sanson zbladł i zerwał się z podłogi.

* Chodźmy tam!

Kiedy ruszyli do drzwi, wpadł przez nie zaspany Briggs, wciąż trzymając w ręce rewolwer. Sanson zapytał gorączkowo:

* Dostałeś tego Araba?

* Uciekł, panie pułkowniku.

* Niech to jasna cholera!

Godzina 14.45

Deacon tyłem wprowadził packarda w pusty zaułek niedaleko Ramses Station. Był wściekły. Miał tyle ważnych rzeczy do zrobienia, zanim prześle sygnał do Berlina, a ta nieoczekiwana katastrofa pomieszała mu szyki. Mogła nawet pokrzyżować cały plan.

Zatrzymał samochód, zaciągnął ręczny hamulec i opuścił szybę. Zaułek był brudny i cuchnący, wokół nie było widać żywego ducha. Zapalił cygaro, żeby zagłuszyć smród, a potem wyszedł z wozu i powiedział głośno:

* Możesz wyjść. Teren czysty.

Po chwili z ciemnej bramy wyłonił się Hassan, trzymając w dłoni walthera. Wsunął go za pasek.

* Co tak długo? Dzwoniłem pół godziny temu.

* Przyjechałem najszybciej, jak mogłem * warknął Deacon. * Co się stało, do kurwy nędzy?

Hassan powiedział mu i dodał:

* Nie rozumiem. Zachowałem ostrożność, na pewno nikt nie widział, jak wchodziłem do hotelu. Skąd wojsko wiedziało, że tam jestem? Tarik mówił mi, że policja przeszukuje wszystkie hotele w mieście. Zajrzeli do niego przed kilkoma dniami, ale twierdził, że niczego nie podejrzewali. A może tylko to ukrywali? Może przez cały czas obserwowali hotel?

* W tym musi być coś więcej * stwierdził Deacon. * Inaczej zgarnęliby cię już kilka dni temu. Jesteś pewny, że Tarik nie doniósł na ciebie?

Hassan obruszył się.

* Nigdy. To mój kuzyn. Uratował mi życie.

Deacon jednak miał paskudne przeczucie, że szykują się kłopoty.

* Czy ktoś ci się przyglądał, kiedy opuszczałeś hotel? * zapytał.

Hassan przecząco pokręcił głową. * Uciekłem tylnym wyjściem, po dachach domów. * To wcale nie znaczy, że nikt cię nie zauważył. Niektórzy

z gości Tarika na pewno cię widzieli. Mówiłeś, że była strzelanina?

* Mieli na tyłach swojego człowieka. Chyba zobaczył, jak wchodziłem na dach, i oddał dwa strzały. Słyszałem też dwa strzały wewnątrz hotelu. I widziałem tego amerykańskiego oficera, Weavera.

* Co takiego?

* Kiedy czaiłem się na dachu, widziałem, jak spoglądał z okna na drabinkę przeciwpożarową. * W oczach Hassana płonął gniew. * Jeśli coś się stało Tarikowi, zabiję tego Amerykanina.

Deacon zgrzytnął zębami i otworzył bagażnik. Nie powiedział Hassanowi, że po drodze przejechał obok hotelu. Widział stojącą tam karetkę i sanitariuszy wynoszących nakryte prześcieradłem ciało. Powie mu o tym później, kiedy dowie się, co

zaszło.

* Nikogo nie zabijesz. Właź do bagażnika. Nie możesz jechać obok mnie, to zbyt ryzykowne. Nie martw się, będziesz miał czym oddychać.

Hassan niechętnie wgramolił się do bagażnika.

* Dokąd mnie zabierasz?

* Do willi. To jedyna kryjówka, jaka nam pozostała. Od tej pory zostaniesz tam, dopóki ci nie powiem, że możesz znów bezpiecznie chodzić po ulicach. Rozumiesz? I módl się, żeby na którymś posterunku kontrolnym nie zechcieli przeszukać tego cholernego samochodu!

Rozdział 24

Kair, godzina 16.00

Weaver siedział obok Helen Kane, która prowadziła dżipa, jadąc w kierunku Gizy.

* Czy Sanson powiedział, o co chodzi?

* Tylko to, że on i generał Clayton chcą cię natychmiast widzieć w hotelu „Mena House”.

Kiedy przejechali przez most, miejskie dzielnice ustąpiły wiejskim chatom z suszonej na słońcu cegły oraz polom trzciny cukrowej. Po chwili znaleźli się na skraju pustyni, osiem kilometrów od Kairu. Szosą mknęły amerykańskie i brytyjskie pojazdy wojskowe, a gońcy na motocyklach pędzili w obu kierunkach. Weaver miał wrażenie, że postąpił zbyt pochopnie, idąc z Helen do łóżka.

* Słuchaj, przykro mi z powodu tego, co zaszło tamtej nocy... * zaczął.

* A mnie nie.

* Naprawdę?

* Oczywiście. Chciałabym tylko, żebyś tak się tym nie przejmował. * Spojrzała na niego. * Mój biedny Harry, czyżbym aż tak wstrząsnęła podstawami twojej uporządkowanej egzystencji?

* Coś w tym rodzaju. Uśmiechnęła się.

* Powinieneś już wiedzieć, że kobiety mają diabła za skórą.

* Nie uważasz, że to może wszystko skomplikować?

* Tylko wtedy, jeśli na to pozwolisz. Jesteśmy ludźmi, jest wojna, i wszyscy to robią, nie oglądając się na regulaminy. Sądzę, iż nadal możemy pełnić nasze obowiązki, prawda?

Nachylił się i pocałował ją w policzek.

* Jesteś niesamowitą dziewczyną, wiesz?

* Uważaj, bo mogę wziąć cię za słowo * odparła z uśmiechem. * Jeśli będziesz miał czas, może pójdziemy dziś na

kolację?

* To najmiłsze słowa, jakie ostatnio słyszałem, ale lepiej najpierw dowiedzmy się, co ma do powiedzenia generał Clayton. Po tym, co stało się w „Imperialu”, pewnie nie będzie w najlepszym humorze.

Gliniane chaty biedaków zniknęły, zamiast nich pojawiły się luksusowe wiejskie posiadłości bogatych kairczyków, a potem dżip wjechał do małej wioski Nazlat as*Saman u stóp Sfinksa i trzech piramid w Gizie. Kawałek za wioską, na końcu szerokiej, obramowanej rzędami palm alei, wznosił się imponujący biały budynek, otoczony bungalowami i rozległym

ogrodem.

„Mena House”, który w ubiegłym stuleciu był pałacem myśliwskim otomańskich władców, został kupiony przez małżeństwo Anglików i przekształcony w światowej sławy hotel, ulubione miejsce pobytu arystokratów i bogaczy. Miał tarasy z widokiem na piramidy, baseny i kwitnące ogrody, wszystko urządzone z przepychem, w kolonialnym stylu.

* Co musi zrobić dziewczyna, żeby zasłużyć na weekend w tym raj? * zapytała Helen.

* Na pewno coś wymyślę. Roześmiała się.

* Z pewnością razem coś wymyślimy.

* Zobaczmy, jak sprawna jest ochrona. Lepiej przygotuj swoją specjalną przepustkę.

Helen skręciła dżipem w kierunku hotelu. Na obu końcach długiej alei wiodącej do budynku znajdowały się dwa silnie obsadzone posterunki kontrolne. Samą drogę przegradzały czerwono*białe bariery, a po obu jej stronach ustawiono zasieki i stanowiska karabinów maszynowych. Tablica ostrzegała: WSTĘP SUROWO WZBRONIONY!

Na pierwszym posterunku kontrolnym podszedł do nich krępy kapitan amerykańskiej piechoty i kazał zgasić silnik. Dokładnie sprawdził dokumenty, włącznie ze specjalną przepustką, jaką generał kazał im wystawić przez główną kwaterę żandarmerii. Potem poszedł do budki wartowniczej i porozmawiał przez telefon, podczas gdy pół tuzina żołnierzy starannie

sprawdzało dżipa, używając lusterka na kiju do obejrzenia podwozia pojazdu.

W końcu oficer wrócił, oddał im dokumenty i zasalutował.

* Wszystko w porządku, panie pułkowniku. Jeden z moich ludzi odeskortuje was do hotelu.

* To nie będzie konieczne, kapitanie. Oficer uśmiechnął się.

* Taki mam rozkaz, panie pułkowniku. Jeśli pojedziecie bez eskorty, żołnierze z następnego posterunku

nie zapytają o nic, tylko odstrzelą wam głowy.

Podjechali do drugiego punktu kontrolnego. Na tylnym siedzeniu ich dżipa siedział sierżant z pistoletem maszynowym M3. Ponownie powtórzono kontrolę, zanim przepuszczono ich na podjazd hotelu, gdzie zaparkowali na miejscu dla gości, naprzeciw głównego wejścia.

Przed budynkiem stało pół tuzina czołgów typu Sherman i transporterów opancerzonych, a wokół hotelu i na dachu znajdowały się obłożone workami z piaskiem stanowiska karabinów maszynowych i działek przeciwlotniczych. Wszędzie panował ożywiony ruch, co chwila odjeżdżali lub przyjeżdżali kurierzy na motocyklach. W holu, przy recepcji, był kolejny posterunek kontrolny, obsadzony przez amerykańską i brytyjską żandarmerię polową. Przed głównym wejściem do hotelu grupka saperów i cieśli sprawdzała ruchomą platformę z drewna i metalu. Weaver domyślił się, że miała ona służyć do szybkiego przewiezienia wózka inwalidzkiego po schodach.

* Robi wrażenie * mruknął do sierżanta, kiedy wysiadali. * Zdecydowanie nie jest to miejsce, gdzie można by o czwartej rano przemknąć się obok dozorczyńni.

* Nie widział pan nawet połowy, panie pułkowniku. Otoczyliśmy cały teren stalowym pierścieniem.

Generał Clayton z ponurą miną zszedł po schodach. Sanson podążał za nim, razem z wąsatym brytyjskim majorem. Weaver oddał honory.

* Chciał mnie pan widzieć, panie generale?

* Wracaj do dżipa, Harry. Musimy porozmawiać * rzucił Kzorstko Clayton i usiadł z tyłu, a Sanson ze swoim towarzyszem wcisnęli się obok niego. Generał przedstawił majora: * To major Blake z SIS.

Blake uścisnął dłoń Weavera.

* Miło mi pana poznać, panie pułkowniku. Sanson powiedział:

* Chyba nadeszła pora na krótką wycieczkę, Weaver. Porozmawiamy po drodze. * Skinął na Helen Kane.

* Poprowadź wóz, Helen. I uważaj, bo niektóre miejsca są tu zaminowane.

W dwadzieścia minut objechali cały teren. Weaver stwierdził, że hotel i prawie pół kilometra kwadratowej otaczającej go pustyni jest otoczone drutem kolczastym, gniazdami karabinów maszynowych i pilnowane przez liczne patrole. Saperzy nadal ustawiali w ogrodach „Mena House” namioty mające pomieścić kolejne oddziały, a nieco dalej wznosiły się majestatyczne piramidy i Sfinks.

* Ponad tysiąc naszych ludzi pilnuje tego terenu * wyjaśnił Clayton. * Kiedy przybędzie tu prezydent, to miejsce będzie lepiej strzeżone niż Fort Knox. Każdy z uczestników spotkania będzie miał osobną kwaterę. A prezydenta przez całą dobę będzie chronić dwudziestu agentów Secret Service, zmieniających się co kilka godzin. I nikt, absolutnie nikt, nie dostanie się do środka bez przepustki. Od dzisiejszego ranka cały obszar w promieniu dwudziestu kilometrów jest patrolowany przez RAF i naszych chłopców z bazy USA w Kairze, a baterie przeciwlotnicze wystarczą, żeby zniszczyć połowę Luftwaf*fe. Jeśli jakiś ich samolot odważy się wlecieć w ten obszar, zostanie natychmiast zestrzelony.

* Czy mogę spytać, gdzie będzie kwaterował prezydent?

* W jednym z apartamentów hotelowych. Jeśli ze względów bezpieczeństwa będziemy musieli go przenieść, ulokujemy go w prywatnej willi ambasadora, dwa kilometry stąd. Będzie równie dobrze strzeżona, jak „Mena House”. Co do hotelu, to cały jego personel, oprócz dyrektora, zastąpiliśmy żołnierzami. Wszystkim Arabom udzielono płatnego urlopu. Na czas trwania konferencji usunęliśmy nawet z okolicy kilka beduińskich rodzin. Pozostaje jednak wasz arabski przyjaciel...

Generał był wyraźnie niezadowolony.

* To, co się stało, to katastrofa. Stać was na coś więcej, Harry.

Zatoczyli krąg i Helen zatrzymała wóz na parkingu hotelowym. Weaver zauważył, że saperzy skończyli pracę nad platformą i dwóch z nich odtoczyło ją na bok. Clayton westchnął i wysiadł z dżipa.

* Mamy też bardzo niepokojące wiadomości. Majorze Blake, proszę wyjaśnić, o co chodzi.

Major zwrócił się do Weavera:

* Tej nocy agent naszego wywiadu w Sztokholmie otrzymał ważną informację, przekazaną za pośrednictwem szwedzkiego łącznika z najwyższych kręgów niemieckiego dowództwa. Według tej informacji Niemcy zamierzają zabić prezydenta USA i premiera Wielkiej Brytanii.

Weaver zmarszczył brwi.

* W jaki sposób?

* Nie podano szczegółów, ale wygląda na to, że ich wywiad już wie, że obaj przywódcy przybędą do Kairu około dwudziestego drugiego. Opracowali plan zamachu. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin mieli wystać do Egiptu grupę agentów, którzy przygotowują teren. Nasz człowiek w Szwecji otrzymał tę wiadomość wczoraj, późnym wieczorem. Tak więc mogą zjawić się w każdej chwili, najdalej jutro w nocy. * Po krótkiej przerwie lilake dodał: * To wszystko, co wiemy, panie pułkowniku.

Weaver zbladł.

* Rozumiem.

* Sądzę, iż to stawia wszystko w całkiem innym świetle * powiedział Clayton. * Najwidoczniej wasze obawy w związku z tym Arabem były całkowicie słuszne. Jeszcze dzisiaj wyślemy w powietrze dodatkowe samoloty patrolujące wybrzeże i obszar wokół hotelu. Na kilka następnych nocy zapowiedziano bardzo kiepską pogodę w północnym rejonie Morza Śródziemnego, aż po Sycylię, co utrudni Niemcom sprawę, ale musimy być ostrożni. Szkopy znajdują się w rozpaczliwej sytuacji i są dostatecznie bezwzględni, żeby podjąć taką akcję.

* I nie należy się z nimi ceregielić * mruknął Sanson. * A może się z tym nie zgadzasz, Weayer?

Kiedy Weaver nie odpowiedział, Clayton rzekł:

* Zdaje się, że masz coś na wątrobie, synu. Wykrztuś to.

* Nie, panie generale * odparł Weaver.

* Wybaczycie nam, panowie? * zwrócił się Clayton do pozostałych. * Przejdźmy się, Harry. Zaprowadził Weavera kawałek dalej, do ogrodu.

* Nie będę owijał w bawełnę, synu. Mam wrażenie, że niezbyt zgadzacie się z Sansonem. Powiedział mi, co było z Bergerem. Bicie więźnia to nie w twoim stylu, Harry, ale mamy wojnę i wszyscy jesteśmy nią zmęczeni. Jak już powiedziałem, Sanson ma w tych sprawach więcej doświadczenia. I wyniki. Dlatego od tej pory zdaj się na jego ocenę sytuacji. On kieruje śledztwem. Zrozumiałeś?

* Tak jest, panie generale.

* Jeśli szkopy zamierzają coś zrobić, to stawiam ostatniego dolara, że wkrótce to się zdarzy. Gabar, czy jak mu tam, musi być w to zamieszany, więc oczekuję, że ty i Sanson powstrzymacie go. Dostaniecie wszystko, czego będziecie potrzebować. Jeżeli ta grupka szkopów nie zostanie najpierw zestrzelona z nieba, chcę, żeby cała ta paskudna sprawa została zamknięta i elegancko pogrzebana.

* Rozumiem, panie generale.

* Mam nadzieję, Harry. Prezydent przybędzie za trzydzieści sześć godzin. Chcę widzieć jakieś postępy. Znajdźcie tego Araba i zróbcie to szybko.

Rozdział 25

Giza, godzina 16.00

Wioska Naziat as*Saman była zaledwie zbiorowiskiem chałup z suszonej na słońcu cegły i nędznych sklepików, ciągnących się po obu stronach zakurzonej głównej ulicy. Kilkaset metrów dalej wznosiły się piramidy i wioska egzystowała jedynie dzięki sprzedaży pamiątek i rozmaitej skórzanej tandety, wciskanej turystom.

Samochód Harveya Deacona pokrywała gruba warstwa kurzu. Gdy tylko się zatrzymał, pół tuzina obszarpanych, boso*nogich dzieci otoczyło packarda. Deacon przywołał najstarszego chłopca i dał mu dziesięć piastrów.

* Kiedy wrócę, dostaniesz drugie tyle. Jeśli pozwolisz komuś dotknąć mojego samochodu, obetnę ci uszy.

Poklepał dzieciaka po policzku i wszedł na brukowany plac, na którym rośło kilka drzew figowych. Po chwili pozostawił wioskę za sobą i ruszył ścieżką w kierunku piramid. Starożytne budowle wznosiły się na

płaskowyżu, z którego rozpościerał się widok na całą dolinę Nilu. Deacon poszedł w górę, mijając rozproszone stadko kóz, skubiących rzadką trawę na skraju pustyni. Zauważył, że Sfinks wciąż jest zasłonięty położonymi przez Brytyjczyków workami z piaskiem, chroniącymi ludzką i warz starożytnego boga śmierci przed niemieckimi bombami lotniczymi.

Wokół panował ożywiony ruch. W pobliżu stało kilka wojskowych samochodów i co najmniej tuzin zaprzężonych w konie bryczek. Grupki amerykańskich i brytyjskich żołnierzy, którzy przyjechali z miasta w wynajętych powozach, fotografowały lię na beduińskich wielbłądach, a oficerowie i cywile prze*rh;idzali się między mastabami, których wielkie prostokątne

głazy znaczyły groby faraonów i królowych. Zwiedzający byli nieustannie molestowani przez wieśniaków, usiłujących sprzedać im pamiątki lub papierowe wachlarze, albo oferujących swoje usługi w charakterze przewodników. Większość grobów pochodziła z czasów czwartej lub piątej dynastii, trzysta lat przed Chrystusem. Deacon wiedział, że wiele grobowców już odkopano, lecz była to żmudna i powolna praca. Grupki arabskich studentów i archeologów nadal pracowały w ruinach kilku grobowców.

Wojsko nie pilnowało terenu wykopalisk, przyjeżdżali tu jedynie żołnierze na przepustkach. Deacon wszedł jeszcze wyżej i stanął w pobliżu szczytu. Dalej, na południu, mógł dostrzec odległy zarys piramid Sakkary. Osłonił oczy przed oślepiającym słońcem i stał, udając, że podziwia Nil. Kiedy nabrał pewności, że nikt go nie obserwuje, popatrzył na północ.

W dole, niecałe pół kilometra dalej, leżał kompleks hotelowy „Mena House”. Deacon przyjrzał mu się uważnie, notując wszystko w pamięci: wygląd otoczenia, rozlokowanie gniazd karabinów maszynowych, groźne sylwetki kilku czołgów i transporterów opancerzonych, stojących przed wejściem do hotelu. Wszelkie zauważone różnice odnotuje w raporcie, który sporządzał przez parę ostatnich dni, a w nocy wyśle sygnał, zawiadamiając Berlin, że wszystko gotowe.

Nadal niepokoił go incydent w hotelu „Imperial”, ale uznał, że nie pokrzyżuje mu planów. Wciąż nie mógł zrozumieć, w jaki sposób wojsko wytropiło Hassana * z pewnością stało się to przypadkiem * ale był przekonany, że teraz na dobre stracą ślad. W żaden sposób nie zdołają powiązać Tarika Nassera ani z nim, ani z Hassanem. Poza tym Tarik w niczym im już nie zagrażał * umarł na atak serca. Telefon do hotelu pod pretekstem rezerwowania pokoju i kilka dyskretnych pytań zadanych rozmownemu recepcjoniście pozwoliły Deaconowi domyślić się, co zaszło. Zadowolony z siebie wrócił do wioski.

Chłopiec czekał tam, siedząc w słońcu i pilnując packar*da. Deacon rzucił mu następane dziesięć piastrów, wsiadł, zapuścił silnik i pojechał na południe, w kierunku lotniska Shabramant.

Godzina 17.00

Kiedy Weaver wrócił do głównej kwatery, poszedł do swojego biura i usiadł za biurkiem. Nie miał pojęcia, co robić. Prze

słuchano personel hotelu „Imperial”, ale nie ulegało wątpliwości, że nic nie wiedzieli o Gabarze.

Przeszukano jego pokój, lecz nie znaleziono żadnych rzeczy osobistych. Żadnych śladów, niczego, co mogłoby im pomóc. Briggs ledwie zdążył dostrzec Araba, wchodzącego po drabince przeciwpożarowej na dach * a przynajmniej wydawało mu się, że to był Arab w garniturze. Nawet nie widział jego twarzy, zanim wezwał go do zatrzymania i oddał dwa strzały ostrzegawcze. Żaden z przesłuchiwanym gości hotelowych nie widział nikogo, kto przypominałby Gabara. Weaver jednak był przekonany, że to musiał być on.

Policja odwiedziła wszystkie burdele i przytułki, a wojsko ustawiło ruchome punkty kontrolne we wszystkich dzielnicach, ale czas szybko uciekał. Weaver spojrzął na biurko, na stos czekających papierów, które nagromadziły się przez pięć ostatnich dni. Jego spojrzenie padło na fotografię zrobioną w Sak*karze i bez szczególnego powodu podniósł ją, patrząc na twarze Rachel Stern i Jacka Haldera. Wydawało się, że to było tak dawno, w innych, szczęśliwszych czasach.

* Otrząśnij się z tych ponurych myśli, Harry * skarcił sam siebie. Odstawił zdjęcie na biurko, nacisnął interkom i weszła Helen Kane. * Jak przebiegają poszukiwania w hotelach? * zapytał.

* Zakończono je dziś po południu.

* I co?

* Obawiam się, że nic. Bez rezultatu.

Weaver westchnął. Był wyczerpany, bo prawie nie spał i nic nie jadł, od kiedy wrócił z Gorzkich Jezior.

* Gdzie jest pułkownik Sanson?

* Zostawił wiadomość, że pojechał do głównej kwatery RAF*u. Ma to coś wspólnego z patrolami powietrznymi, o których mówił generał. Powiedział, że niedługo wróci.

Weavera bolała szyja, ale nie chciał brać następnej tabletki morfiny. Był po niej senny i z trudem zbierał myśli.

* Muszę jeszcze raz przejrzeć te akta arabskich sympatyków nazistów * powiedział. * Podejrzewam, że nic nie będzie z naszej kolacji. Chyba że pójdziemy do „Kalafy”, a potem wrócimy tu i razem przejrzymy akta.

„Kalafa” znajdowała się zaledwie przecznicę dalej, była to tania restauracja zazwyczaj pełna wojskowych i oferująca kiepskie jedzenie, ale Helen Kane uśmiechnęła się.

* Zostawię dyżurnemu oficerowi wiadomość, gdzie jesteśmy, na wypadek, gdyby ktoś nas szukał.

Godzina 16.45

Przejeżdżając opodal, Deacon obserwował lotnisko. Nie było otoczone płotem, tylko ogrodzeniem z drutu kolczastego, wysokim najwyżej na półtora metra. Dalej widział nieutwardzony pas startowy, kilka

baraków i dwa hangary oraz stojące przed nimi dwa stare samoloty Gloster Gladiator i jeden dwupłatowiec.

W ciągu minionych dwóch dni była to jego druga wizyta w Shabramant i nic się nie zmieniło. W dwóch budkach wartowniczych przy wjeździe nadal pełnili wartę dwaj szeregowcy Królewskich Sił Zbrojnych Egiptu, siedząc w cieniu i oganiając się papierowymi wachlarzami od much. Ospale spojrzeli na przejeżdżający samochód, nie okazując większego zainteresowania.

Oprócz kilku mechaników kręcących się przy jednym z samolotów, na lotnisku nie było nikogo. Deacon dowiedział się od kapitana Rahmana, że było ono używane głównie do lotów szkoleniowych, nie miało żadnych urządzeń nawigacyjnych i w dzień przebywało na nim najwyżej kilkunastu ludzi, a w nocy jeszcze mniej. O szóstej wieczorem, często nawet wcześniej, wszyscy oficerowie wracali do Kairu, pozostawiając najwyżej pół tuzina wartowników. Ale z relacji Rahmana wynikało, że niektórzy wartownicy mieli zwyczaj wymykać się wieczorem do miasteczka albo po prostu jechali na rowerach do domów.

Lotnisko w Shabramant było idealne * w pobliżu Gizy i „Mena House”, oddalonych najwyżej o osiem kilometrów. Pytanie tylko, czy da się je opanować i utrzymać, nie wywołując alarmu, do czasu lądowania spadochroniarzy z SS?

Deacon minął je i przejechał jeszcze trzy kilometry pylistą drogą, do miasteczka Shabramant, gdzie stracił dwadzieścia minut, kupując świeże warzywa na rynku, a potem zawrócił i pojechał z powrotem, kierując się w zachodzącym słońcu w stronę Kairu.

Kiedy już prawie minął lotnisko, musiał zatrzymać się na kilka minut, czekając, aż chudy starzec przeprowadzi przez drogę stado kóz i popędzi je do ukrytego między łągodnymi

pagórkami obozu. Wykorzystał ten czas, żeby zapamiętać wszystkie szczegóły i porównać je w myślach ze szkicami i notatkami, które dotychczas sporządził: odległość między budkami wartowników a barakami, hangarem i pasem startowym, przeciągnięta z wioski linia telefoniczna, antena radiowa na dachu jednego z budynków.

Nie zauważył jednak motocyklisty, który w sporej odległości jechał za nim z Kairu, a teraz zatrzymał się prawie trzysta metrów dalej, obserwując packarda przez wojskową lornetkę polową.

Godzina 17.30

W „Kalafie” był tłok, ale znaleźli stolik w pobliżu drzwi. Jedzenie było paskudne, tłuste i rozgotowane. Kiedy dopijali kawę, Weaver powiedział:

* Zdaje się, że przez kilka ostatnich dni nie widywaliśmy się zbyt często. Przepraszam, Helen.

* Nie musisz. * Położyła rękę na jego dłoni. * Nadrobimy to, kiedy będzie po wszystkim.

Drzwi restauracji otworzyły się i wszedł Sanson.

* A, tu jesteś, Weaver. Mogłabyś zostawić nas na chwilę samych, Helen? Musimy porozmawiać w cztery oczy.

Zaczerwieniła się i cofnęła rękę.

* Oczywiście. I tak miałam już wracać do biura. * Zmieszana, spojrzała na Weavera. * Przygotuję panu te akta, panie pułkowniku.

Kiedy odeszła, Sanson zdjął czapkę, położył ją na stole i zajął k rzesło Helen.

* Bardzo ładnie. Dziwię się, że w takiej sytuacji masz czas na takie rzeczy.

* Przyszliśmy tu coś zjeść. O co chodzi?

* Rozmawiałem z dowództwem RAF*u. W razie czego, dadzą nam natychmiast znać. Jeden z nas powinien zostać na noc w biurze, na wszelki wypadek. Pomyślałem, że tobie pozo*stawie ten zaszczyt.

* Co z Gabarem?

* Na razie możemy tylko mieć nadzieję, że kontrola burdeli i przytułków da jakiś wynik. * Sanson był zakłopotany. * I jeszcze jedno... Rozumiem, że rozmawiałeś z generałem?

* Zgadza się.

* To dobrze. Zatem teraz powinieneś w pełni zdawać sobie sprawę, jaka jest twoja rola w tej operacji. To okrutna wojna, Weaver, i ja decyduję, jaką zastosować taktykę. Jeśli ci się to nie podoba, możesz zameldować o tym przełożonym, ale nigdy więcej nie kwestionuj moich działań, szczególnie w obecności więźnia. Czy to jasne?

* Bardziej nie mogłoby być. Sanson podniósł czapkę.

* Gdybyś mnie potrzebował, będę w swoim mieszkaniu, spróbuję się trochę przespać. Jeśli nie, zobaczysz mnie wcześniej rano. * Popatrzył mu w oczy. * Naprawdę mam nadzieję, że wszystko jest już jasne, Weaver. Jeśli Niemcom jakimś cudem uda się przedostać przez naszą obronę powietrzną, będziemy musieli ich wytropić. I zabić, jeżeli będzie trzeba. Nie chcę mieć przy sobie oficera, który nie potrafi wykonać rozkazu.

Rozdział 26

Rzym,

20 listopada

Tuż po siódmej wieczorem dakota przeleciała nad morzem i wylądowała na nadbrzeżnym wojskowym lotnisku Practica di Mare. Wykręciła na końcu pasa i podkołowała do dużego hangaru. Jego drzwi były otwarte, a wewnątrz oświetlone silnymi lampami Kliega. Wokół rozstawiono pół tuzina transporterów opancerzonych z doborowymi żołnierzami SS.

Kiedy samolot wjechał do środka, Falconi wyłączył silniki i personel naziemny natychmiast zamknął drzwi hangaru. Mechanicy z Luftwaffe od razu zabrali się do przeglądu, a paru żołnierzy podstawiło metalowe rusztowania i zaczęło malować amerykańskie oznakowania na kadłubie i skrzydłach. Halder zauważył dwie inne, identyczne dakoty, zaparkowane w hangarze, również pomalowane na maskujący piaskowy kolor, ze znakami USA.

Schellenberg zszedł pierwszy po metalowych schodkach i zaprowadził wszystkich do biura na drugim końcu hangaru. Stał tam stół, kilka foteli i pół tuzina prycz, była też taca z kanapkami oraz prawdziwa, świeżo zaparzona kawa. Drugi pilot i Falconi dołączyli do grupy. Włoch rozpromienił się, czując aromatyczny zapach.

* Nie wierzę, prawdziwa kawa! Przechodzisz sam siebie, Walterze. Czyba to nie jest ostatnia wieczerza?

* Miejmy nadzieję, że nie, ale ciesz się, dopóki możesz. Falconi napełnił sobie kubek i upił łyk.

* Mój Boże, naprawdę wspaniała! Możecie sobie zatrzymać ten paskudny erzac, jaki podają w Berlinie * powiedział do Schellenberga. * Pewnie nie ma mowy o tym, żeby wpaść na kilka godzin do Wiecznego Miasta?

* Zdecydowanie nie. Musicie pozostać w bazie.

* Szkoda * mruknął Falconi. * Jest tam pewna młoda dama, którą chętnie znowu bym zobaczył. * Wziął kilka kanapek i razem z drugim pilotem ruszyli w kierunku drzwi. * Postarajcie się zostawić jeszcze trochę kawy dla Remera i dla mnie. Idziemy sprawdzić ostatnią prognozę pogody.

Kiedy wyszli, nadszedł adiutant z SS i zasalutował.

* Wiadomość dla pana, panie generale. Schellenberg wetknął szpicrutę pod pachę, rozdarł cienką

kopertę, przeczytał pismo i zwrócił się do adiutanta:

* Możesz odejść, nie będzie odpowiedzi. Znajdź pułkownika Skorzeny'ego i powiedz mu, że przybyliśmy.

* Sądzę, że pułkownik już tu jedzie, panie generale.

* Wspaniale. * Schellenberg skinął na Haldera i rzekł do pozostałych: * Teraz jedźcie i odpoczywajcie, a ja tymczasem zamienię kilka słów z majorem.

Zaprowadził Haldera do małego pokoju na samym końcu hangaru, skąd widać było pogrążone w mroku morze, zamknął drzwi i postawił teczkę na biurku.

* O co chodzi? * spytał Halder.

* Myślałem, że będę mógł przekazać ci lepsze wiadomości, ale nasze U*booty nadal nie zdołały wytropić okrętu Roosevelt*ta. Według ostatnich doniesień wczoraj wieczorem przepłynął przez Cieśninę Gibraltarską, ale ma bardzo silną eskortę i tak często zmienia kurs, że nie udało się podejść dostatecznie blisko, żeby go storpedować. Prawdopodobnie prezydent dotrze do Kairu w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, nawet jeśli zatrzyma się gdzieś po drodze.

* A więc musimy lecieć. Schellenberg kiwnął głową.

* Teraz czekamy tylko na sygnał potwierdzający, że wszystko jest przygotowane. Sądzę, że wkrótce go otrzymamy. * Otworzył teczkę. * Mówiłem ci, że jest jeszcze inny ważny powód włączenia Rachel Stern do tej akcji... Teraz nadszedł czas, żebyś go poznał. Jak zapewne wiesz, starożytni Egipcjanie uwielbiali sekretne przejścia. Podobno zostało im to do dziś. Powiadają, że Kair to labirynt podziemnych korytarzy.

* I co z tego?

* Kiedy w trzydziestym dziewiątym byłeś w Egipcie, w po

bliżu piramid w Gizie dokonano interesującego i ważnego odkrycia. Niedaleko hotelu „Mena House” znaleziono ukryte przejście wiodące do piramidy Cheopsa. Częściowo jest to naturalna jaskinia, a resztę wykopali starożytni rabusie grobów. Halder zmarszczył brwi.

* Nic o tym nie słyszałem.

* Zaraz wszystko wyjaśnię. Pamiętasz wykopaliska w Sak*karze?

* Oczywiście. Dlaczego pytasz?

* Tunel, o którym mówię, odkrył profesor Stern. Żona i córka pomogły mu kopać. To odkrycie pozostało ich rodzinnym sekretem.

Halder zdziwił się.

* Skąd o tym wiesz?

* Mówiłem ci, Jack, że zawsze starannie odrabiam moje prace domowe. Kiedy Kriegsmarine uratowała profesora, znaleziono przy nim notatki i mapy. Podczas przesłuchania prawda wyszła na jaw.

* Jesteś pewny, że Rachel brała w tym udział?

* Zdecydowanie. Profesor zamierzał wrócić po wojnie do Egiptu i kontynuować prace w Gizie. Sprytnie z jego strony, nie uważasz?

* I w czym ma nam pomóc ten tunel? Schellenberg wyprostował się.

* Sam o tym zadecydujesz, gdy go zobaczysz, ale z pewnością stwarza ciekawe możliwości. Może ludzie Skorzeny'ego mogliby przeprowadzić stamtąd atak, uzyskując przewagę wynikającą z zaskoczenia?

* Skorzeny wie o tym tunelu?

* Oczywiście. Musiał wiedzieć o wszystkim, z czym może się tam spotkać. * Schellenberg wyjął postrzępioną mapę i rozpostarł ją na stole. Przedstawiała piramidy w Gizie oraz otaczający je obszar. * Ta mapa należała do profesora. Wejście do tunelu znajduje się gdzieś tutaj, około dwustu metrów od piramidy Cheopsa. Kończy się przed grobowcem jakiegoś nieznanego egipskiego dostojnika, ale z niewiadomego powodu profesor znalazł ten grób nienaruszony. Zamierzał otworzyć grobowiec i uważał, że może to prowadzić do interesujących cni kryć, jednak wybuchła wojna i nie zdążył dokończyć pracy.

* Nadal nie odpowiedziałeś mi, do czego to wszystko prowadzi.

* Według profesora Sterna hotel „Mena House” był kiedyś pałacem myśliwskim. Tysiące lat wcześniej być może znajdował się tam obóz kamieniarzy i robotników pracujących przy budowie piramid. Stern sądził, iż paru robotników odkryło jaskinię i próbowało wykorzystać ją, aby dokopać się do grobowca faraona i zrabować znajdujące się tam nieprzebrane bogactwa, albo wynajęło w tym celu złodziei. Oczywiście to bez znaczenia, ale podążając tunelem w przeciwnym kierunku, być może przedostaniecie się za linię wart albo nawet w pobliże hotelu. Nie będziemy mieć pewności, dopóki tego nie sprawdzicie. „Beszeba” w swoim ostatnim raporcie doniósł, że w Gizie nadal prowadzone są prace wykopaliskowe, co oznacza, że może uda się wam, podając się za archeologów, odnaleźć wejście do tunelu. * Schellenberg popatrzył na Haldera. * O co chodzi? Widzę, że coś cię niepokoi.

* Teraz, kiedy o tym mówisz, przypomniałem sobie, że profesor i jego żona lubili czasem znikać gdzieś nocami.

Schellenberg uśmiechnął się.

* No właśnie. Powinieneś już wiedzieć, że nikomu nie można ufać. Lepiej jednak na razie nie mów o tym pannie Stern. Przynajmniej dopóki nie doleciecie do Kairu. Co o tym sądzisz?

Halder wzruszył ramionami.

* To może się przydać. Wiele jednak zależy od tego, jak dobrze pilnowany jest ten teren, a także od stanu tunelu.

* Więcej optymizmu, Jack. Mówiłem ci, to się musi udać. Musimy wiedzieć, na czym stoimy, zanim wylądują spadochroniarze Skorzeny'ego. Zapamiętaj tę mapę najlepiej, jak potrafisz. Z oczywistych względów nie możesz jej zabrać ze sobą, ale panna Stern z pewnością doskonale pamięta wszystkie szczegóły.

Kiedy Halder studiował mapę, rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Otto Skorzeny. Pułkownik trzymał pod pachą szpicrutę, a na esesmański mundur miał narzuconą panterkę. Podniósł rękę w hitlerowskim pozdrowieniu.

* Widzę, że doleciał pan bez przeszkód, panie generale * powiedział.

* Ach, to ty, Otto. To powinno cię zainteresować. Schellenberg wręczył mu depeszę, a Skorzeny uważnie ją

przeczytał.

* Tak więc wszystko zależy od nas * oświadczył w końcu, podnosząc głowę z uśmiechem.

* Na to wygląda. Właśnie mówiłem Halderowi o tunelu.

* Ciekawa możliwość. * Skorzeny postukał szpicrutą w mapę profesora. * Miejmy nadzieję, że da się jakoś wykorzystać. * Obrzucił Haldera przeciągłym, groźnym spojrzeniem. * Niech pan postara się nie zawieść mnie i moich żołnierzy. Wejdziemy do jaskini lwa. Wiele zależy od pana. Ma pan dwóch moich najlepszych ludzi, którzy spełnią swój obowiązek bez względu na okoliczności. Niech pan też spełni swój, Halder.

* Mam pytanie, pułkowniku. Aliancka obrona niewątpliwie obejmuje całą ochronną strefę powietrzną wokół Kairu. Jak zdoła się pan tam przedrzeć, unikając namierzenia przez radar i zestrzelenia?

Skorzeny uśmiechnął się szeroko.

* Bez trudu. Polecimy dwiema dakotami, które stoją w tym hangarze. Na szczęście dla nas, pustynia na trasie przelotu jest stosunkowo płaska. Kiedy znajdziemy się pięćdziesiąt kilometrów od lotniska, zejdziemy na jakieś dwieście metrów. Na tak niskim pułapie nie wykryje nas żaden radar. A jeśli nawet zauważą nasz samolot, na widok alianckiego oznakowania wezmą nas za swoich.

* Mówiłem ci, Jack * wtrącił Schellenberg z uśmiechem. * Na wszystko znajdzie się sposób.

* Jest jeszcze jeden problem * oświadczył Halder. * I musimy go rozwiązać. Chodzi o bezpieczne przetransportowanie ludzi pułkownika z lotniska do Gizy. A jeśli samochody zostaną po drodze zatrzymane i skontrolowane? Wtedy wszystko się wyda.

* Wyjaśnij mi, Otto * rzekł Schellenberg.

* Z przyjemnością, panie generale. * Skorzeny podszedł do drzwi, otworzył je i powiedział: * Poruczniku Eberhard, jest nam pan potrzebny.

Halder ze zdziwieniem ujrzał jasnowłosego dwudziestolatka o chłopięcej twarzy, który najwyraźniej czekał na zewnątrz. Porucznik miał na sobie letni mundur piechoty morskiej USA, na głowie czapkę z daszkiem, a u boku skórzaną kaburę z col*tem czterdziestkąpiątką. Zasalutował sprężysto i stanął na baczność.

* W porządku, Eberhard * rzekł Skorzeny. * Powiedz nam coś o twoim życiu w Ameryce.

* Przez dwanaście lat mieszkałem w Filadelfii, panie puł

kownika * odparł Eberhard doskonałą angielszczyznę z amerykańskim akcentem. * Moi rodzice wyemigrowali tam, kiedy byłem dzieckiem. Mój ojciec pracował jako brygadzysta w fabryce, ale w trzydziestym czwartym postanowili z mamą wracać do Niemiec.

* Rozepnij bluzę, Eberhard * rozkazał Skorzeny.

* Tak jest, panie pułkowniku. * Eberhard rozpiął bluzę munduru, ukazując czarną koszulę oficera SS.

* Zapnij się, Eberhard. Możesz odejść.

Porucznik zapiął bluzę, a kiedy opuścił pokój, Skorzeny z uśmiechem zwrócił się do Haldera:

* Jak pan słyszał, Eberhard płynnie mówi po angielsku. W dodatku z nienagannym amerykańskim akcentem. Czyściutki amerykański chłopiec, zgodzisz się, Halder?

* Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, jeden człowiek na stu, obojętnie jak dobry jest jego akcent i mundur, nie wystarczy, jeśli ciężarówki zostaną zatrzymane i poddane kontroli.

* Chyba nie rozumiesz, .Tack * przerwał mu Schellen*berg. * Kiedy pułkownik poleci do Kairu, wszyscy jego ludzie będą nosili mundury piechoty morskiej USA.

* Rozumiem. Widzę, że rzeczywiście pomyślałeś o wszystkim.

* Kiedy dotrą do hotelu, zdejmą amerykańskie mundury i włożą bluzy spadochroniarzy SS, które będą mieli w workach, razem z hełmami i bronią. Do tego czasu przebranie powinno umożliwić im wejście do budynku. Przynajmniej tuzin z nich mówi po angielsku z niezłym amerykańskim akcentem. * Schellenberg zwrócił się do Skorzeny'ego: * Czy twoi ludzie są przygotowani, Otto?

* Oczywiście, panie generale. Tak jak ja, będą niecierpliwie oczekiwali na sygnał Haldera. Może zechce pan uczynić mi ten zaszczyt i przeprowadzić inspekcję?

* Oczywiście, z przyjemnością, ale trochę później. Znowu ktoś zapukał do drzwi i Schellenberg powiedział:

* Wejść. Wrócił adiutant.

* Pilna wiadomość, panie generale.

Podał mu zalakowaną kopertę. Schellenberg rozdarł ją, wyjął dwie depesze i przeczytał je, a potem odprawił adiutanta.

* Jakiś problem? * zapytał Halder.

Schellenberg potrząsnął głową.

* Wprost przeciwnie. Wasz kontakt będzie czekał na lotnisku opodal Abu Sammar, tak jak się spodziewałem. W Kairze wszystko zostało przygotowane na wasze przyjęcie. * Triumfalnie uśmiechnął się do Skorzeny'ego, a potem ponownie spojrzął na Haldera. * No cóż, Jack, wygląda na to, że wkrótce odlatujecie.

Zanim wrócił Falconi z drugim pilotem, przebrali się w cywilne ubrania. Włoch miał na sobie lotniczą kurtkę z baraním kołnierzem, narzuconą na mundur kapitana US Army Air Corps. Pilot był podobnie ubrany, tylko miał stopień porucznika, a obaj byli uzbrojeni w pistolety Colt.

* Mam wrażenie, że lecę na bal maskowy * zauważył Falconi.

Rachel, tak jak pozostali, włożyła strój koloru khaki, a na szyi zawiązała białą bawełnianą apaszkę. Falconi roześmiał się na widok sfatygowanego kapelusza, szortów i koszuli khaki oraz wysokich, sznurowanych butów Haldera.

* Wyglądasz jak statysta z hollywoodzkiego planu, Jack. Powiedz, ruszasz na poszukiwanie kopalni króla Salomona?

* Nie śmieję się, Vito. Usiłuję się dostosować.

* Jestem pewny, że Cecil B. De Mille byłby pod wrażeniem. Schellenberg po raz ostatni sprawdził ich stroje i wyposażenie,

przeglądając zawartość worków.

* Wszystko w porządku * oznajmił, kończąc przegląd. * Lepiej upewnić się, że nikt z was nie zabierze ze sobą niczego zbędnego. Takie drobiazgi mają paskudny zwyczaj doprowadzać do wpadki. Kiedyś straciłem bardzo dobrego agenta tylko dlatego, że zapomniał zdjąć swój niemiecki zegarek. Ten błąd przypłacił życiem. Jaka prognoza pogody? * zapytał Falco * nicgo.

* Wygląda na to, że nad Afryką Północną będzie naprawdę kiepska.

* To znaczy? Falconi uśmiechnął się.

* Burze, błyskawice, porywiste wiatry. Na ziemi prawdopodobnie burze piaskowe. Niezbyt przyjemne połączenie. Jedyną zaletą takiej pogody jest to, że zatrzyma na ziemi samoloty aliantów.

Schellenberg zaniepokoił się.

* I co o tym sądzisz?

* Często latałem w taką pogodę * wzruszył ramionami Falconi. * Tylko trochę potrząsie pasażerami.

* A więc lecicie * stwierdził Schellenberg.

* Ja jestem gotowy.

Schellenberg zwrócił się do Haldera, Kleista i Doringa.

* Wobec tego w drogę. Życzę wam szczęścia. * Jeszcze raz rzucił okiem na ich sprzęt, ucisnął im ręce, a potem Kleist i Doring weszli na pokład. Gdy Falconi z pilotem szli po metalowych schodkach, Schellenberg powiedział: * Dobrze zaopiekuj się pasażerami, Vito. Są cennym ładunkiem i wiele od nich zależy.

* Oczywiście, panie generale.

Gdy Rachel weszła na schody, Halder ruszył za nią. Schellenberg chwycił go za ramię i rzekł

podekscytowany:

* A więc zaczynamy.

* Miejmy nadzieję, że wszystko dobrze się skończy. Schellenberg dotknął szpicrutą czapki.

* To zależy wyłącznie od ciebie, Jack. Pamiętaj, akcja musi zakończyć się stuprocentowym sukcesem. Czy muszę to mówić? W tej chwili przyszłość Rzeszy i losy wojny spoczywają w twoich rękach.

Halder spojrzał na niego ponuro, po czym wszedł do samolotu.

CZĘŚĆ TRZECIA

21 * 22 listopada 1943

Rozdział 27

Abu Sammar, 21 listopada

Achmed Farnad obudził się i zaklął w ciemnościach.

Wyciągnął rękę i wyłączył źródło hałasu * stary budzik wyprodukowany w Anglii * a potem wyteżył wzrok i sprawdził godzinę.

Trzecia rano.

Usiadł na łóżku, podrapał się i spojrzał na pochrapującą żonę. Ta leniwa suka przespałaby nawet trzęsienie ziemi. Wszedł z łóżka i zadrżał, stając na zimnej podłodze, gdy pustynny ziąb przeszył go do szpiku kości. Wiedział, że tego ranka czeka go niezwykle niebezpieczne zadanie, i z nerwów ścisnęło go w dołku. Był pewien, że o tak wczesnej godzinie wszyscy mieszkańcy Abu Sammar * w liczbie zaledwie dwustu dusz * są pogrążeni w głębokim śnie, aie słysząc wycie samotnego psa, niespokojnie podszedł do okna i zerknął przez szparę w drewnianej okiennicy.

Wioskę spowijał mrok, a na tle cienkiego księżyca przemykały kłęby czarnych obłoków. Wiatr wył, przetaczając po ulicy chmury piasku i kule „wielbłądzich cierni”. Nie najlepsza pogoda na to, co zamierzał zrobić. Pies przestał wyć i znów zapadła cisza, przerywana jedynie potępieńczym jękiem wiatru. Achmed

ubrał się szybko i szedł na dół, czując narastające podniecenie.

Hotel „Seti” był podupadłą gospodą o sześciu pokojach, jednak w porównaniu z nędznymi budynkami wioski sprawiał wrażenie pałacu. Niegdyś cieszył się powodzeniem u arabskich kupców zmierzających z Tunezji do Egiptu, ostatnio był sporadycznie odwiedzany przez podróżujących do Kairu biznesmenów. Ale kiedy Niemcy podeszli pod Aleksandrię, sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

Wtedy u Achmeda roilo się od brytyjskich oficerów, a raz nawet w jego hotelu ulokowano punkt dowodzenia. Achmed wychodził z siebie, żeby zadowolić oficerów, łasząc się do nich jak pies, a ci głupcy brali jego nadszkarpienie za lojalność. Zwierali mu się, opowiadali o sukcesach i klęskach, więc wiele dowiedział się o brytyjskim wojsku. Ci oficerowie nie mieli pojęcia, że w komórce na tyłach hotelu ma ukrytą radiostację i pistolet.

Niemcy dobrze mu płacili za informacje, ale chętnie dostarczałby je im nawet za darmo. Głęboko nienawidził Brytyjczyków i uważał, że im prędzej wykopie się ich z Egiptu, tym lepiej. Mijając nędzną recepcję, wyjął zza kontuaru płócienny worek. Czas zabrać się do pracy.

Otoczony murem dziedziniec i komórka z zardzewiałej blachy falistej służyły jako skład, wybieg dla kur i kóz, a także parking dla furgonetki Fiat. Pewien brytyjski kapitan odwdzińczył mu się za gościnę zdobycznym włoskim pojazdem, który Achmed utrzymywał w idealnym stanie.

Zanim wsiadł do szoferki, otworzył worek. Miał w nim wszystko, czego potrzebował: pochodnie i zapasowe baterie. Potem na wszelki wypadek sprawdził jeszcze opony furgonetki i upewnił się, że ma kanister z zapasem paliwa. Zadowolony, przeszedł przez podwórze i otworzył tylną bramę. Podmuch wiatru wtargnął do środka, budząc kury i kozy. Czyżby mu się zdawało, czy też pogoda zmieniała się na jeszcze gorszą? Wczoraj wieczorem czuł, że się zmieni, ale nie sądził, że będzie aż tak zła. Usiadł za kierownicą, przekręcił klucz w stacyjce i włączył silnik. Oczywiście wiatr stłumi warkot, ale na pewno usłyszy go któryś z sąsiadów. Achmed nic nie mógł na to poradzić. Wyjechał furgonetką na nieutwardzoną ulicę, wysiadł i zamknął bramę, a potem wyjechał na główną drogę i opuścił wioskę. Droga biegła przez pustynię na północny wschód, do oddalonej o ponad trzydzieści kilometrów Aleksandrii, lecz po przejechaniu ośmiu kilometrów Achmed skręcił w niepozorną boczną dróżkę.

Zatrzymał wóz przed stalową bramą, po której po obu stronach biegło ogrodzenie z drutu kolczastego. Wiatr bił piaskiem o przednią szybę, lecz Achmed widział w ciemności pas startowy

lotniska. Po zakończeniu pustynnej wojny nie korzystano z niego, a pół tuzina baraków i dwa hangary o przerdzewiałych dachach stały puste. Nikt tu już nie zaglądał, oprócz wędrownych Beduinów, którzy przetrząsali pogieęte beczki po oleju i sterty wojskowego złomu. Achmed wysiadł, otworzył bramę, podjechał do jednego z baraków i znów zatrzymał pojazd. Osłaniając twarz przed siekącym piaskiem, wysiadł i wszedł do środka. Barak cuchnął spróchniałym drewnem i odchodami, a jego ściany były zabazgrane napisami w rodzaju „Uciekaj, Rommel!” lub „Byłem tu. Bert”. Achmed usłyszał meczenie i zawołał:

* Mafouz? Jesteś tam?

Z mroku wyłonił się dwunastoletni chłopiec, przecierając oczy ze snu.

* Tak, ojcze.

Achmed dostrzegł w kącie koc i paczuszkę z żywnością, którą dał synowi. Obok leżało kilka kóz. Meczady i kręciły się, ale nie ruszały się z miejsca.

* Czy ktoś tu był?

* Nie, ojcze. Nikogo nie widziałem.

* Dobra robota, Mafouz. * Achmed rozpromienił się i poklepał syna po ramieniu. Poprzedniego wieczoru zostawił go tutaj, żeby udawał pasterza kóz. Musiał mieć pewność, że żaden Beduin nie przywlecze się tu i nie schroni w jednym z baraków, co czasem robili podczas kiepskiej pogody. To pokrzyżowałoby mu plany. Mafouz był inteligentnym i godnym zaufania chłopcem, dlatego Achmed powierzył mu to zadanie.

* Pomóż mi.

Przykucnął na brudnej cementowej podłodze, otworzył worek i wyjął cztery elektryczne latarki. Mafouz pomógł mu je sprawdzić: wszystkie działały. Jedną z nich Achmed da nadlatującym sygnał, że lotnisko jest puste i mogą bezpiecznie lądować. Pozostałe trzy rozmieścił przy pasie startowym, mocując je na długich tyczkach, które przywiózł na pace furgonetki. Rozstawione w kształcie litery „L”, oznaczają długość i szerokość pasa.

Dopiero kiedy samolot odpowie na sygnał, Achmed zapali pozostałe latarki. Spojrzał na zegarek. Czwartą. Niemcy powinni przylecieć za godzinę. Nie wiedział po co * to nie jego interes * ale domyślał się, że chodzi o coś ważnego. Bez powodu nie podejmowałoby akcji tak daleko za linią frontu. Miał tylko nadzieję, że wiatr trochę przycichnie, inaczej będą

kłopoty. Gwałtowny podmuch zagrzechotał blachą dachu i Ma*fouz spojrzął na ojca.

* Naprawdę przyleci tu samolot, ojcze?

* Jeśli Allah pozwoli, synu.

Achmed też był podekscytowany, ale miał poważne obawy. Kiedyś widział, jak podczas chamsinu, na tym samym lotnisku, rozbił się bombowiec Wellington. Porywisty wiatr poderwał maszynę w chwili, gdy już prawie dotykała kołami ziemi. Koniec skrzydła zawadził o ziemię, samolot gwałtownie skręcił i znikł w ognistej eksplozji, która zabiła całą załogę. Teraz wprawdzie nie wiał chamsin, lecz wyglądało na to, że nadciąga gwałtowna burza piaskowa.

Achmed wsłuchiwał się w grzechot blaszanego dachu, przesuwając między palcami paciorki różańca i rozmyślał o konsekwencjach ewentualnej katastrofy.

* Miejmy nadzieję, przyjaciele, że się wam uda.

Godzina 4.20

W dakocie było zimno i Halder obudził się po krótkiej drzemce. Ze zdziwieniem zobaczył, że Rachel mocno śpi, więc poszedł do ciemnego kokpitu, gdzie zastał Falconiego i Remera, pijących kawę z termosu.

* Nie możesz zasnąć? * zapytał Falconi, przekrzykując warkot silników.

* Na to wygląda. Pewnie z nerwów.

* Każdemu się zdarza. Masz, napij się kawy.

Halder wziął od Falconiego metalowy kubek i usiadł na wolnym fotelu radiotelegrafisty. Spojrzał na nocne niebo. W słabym świetle, rzucanym przez cienki sierp księżyca, ledwie mógł coś dostrzec. Kłaczki czarnych chmur przemykały za oknem, strugi deszczu omywały kabinę, a w mroku migotały jasne gwiazdy.

* Gdzie jesteśmy?

Remer pokazał mu mapę, którą trzymał na kolanach.

* W połowie drogi między Sycylią a Egiptem, na zachód od Krety. Za niecałą godzinę powinniśmy minąć Aleksandrię. Na razie jest spokojnie: żadnej aktywności radiowej.

* Miejmy nadzieję, że tak pozostanie. Co z pogodą, Vito? Falconi wskazał na złowrogą wał gęstych, czarnych chmur

na horyzoncie, a Halder dostrzegł przelatujące pośród nich zygzaki błyskawic, rozświetlających niebo.

* Chryste, kiepsko to wygląda.

* Dostyc. Spróbujemy je ominąć, ale trochę może nas pokiwać. Przykro mi, nic na to nie poradzę.

Halder poczęstował ich papierosami i podając Falconiemu ogień, powiedział:

* Myślałem, że już skończyłeś z tą przeklętą wojaczką. Nie mów mi, że to polubiłeś.

Falconi uśmiechnął się.

* Skądże. Miałem do wyboru latać dla Luftwaffe albo zanudzić się na śmierć w obozie jenieckim. Albo jeszcze gorzej: skończyć w karnym batalionie na wschodnim froncie.

* Mógłbyś w powrotnej drodze wylądować na Sycylii i poddać się.

* Nie myśl, że się nad tym nie zastanawiałem. Chociaż Remer mógłby mieć zastrzeżenia. Poza tym mój brat od dwóch miesięcy siedzi w obozie jenieckim w Mediolanie. Wątpię, czy Schellenberg byłby zachwycony, gdybym zdezerterował.

* Wygląda na to, że Walter ma nas wszystkich w garści.

* Ciebie też?

* Obawiam się, że tak.

* Parszywy drań. * Falconi ze współczuciem spojrział na Haldera. * Powiedział mi o twoim ojcu i synku, Jack. Okropna historia. Naprawdę mi przykro, przyjacielu.

Halder kiwnął głową, zacisnął usta i ruszył na tył samolotu.

* Zobaczę, jak mają się pozostali.

* Jest jeszcze trochę kawy w termosie. Może twoja znajoma ma ochotę?

* Dzięki. * Halder cofnął się. * Miej oczy szeroko otwarte i nie zapominaj o nieprzyjacielskich samolotach.

* To bułka z masłem, Jack * zapewnił go Falconi. * W taką pogodę na niebie jest spokojnie jak w grobie. Bardziej martwię się o lądowanie. Trzymaj kciuki za to, żebyśmy dociągnęli tym pudłem do celu i zdołali wystartować.

Godzina 4.35

Porucznik Chuck Carlton, pochodzący z Dallas, śpiewał The Yellow Rose of Texas, siedząc w ciemnym kokpicie myśliwca

Bristol Beaufighter i usiłując nie zasnąć. Za nim, w fotelu nawigatora, sierżant Bert Higgins nie mógł już tego znieść. Carlton nie znał żadnej innej piosenki, a jego głos przypominał dźwięki wydawane przez piłę łańcuchową.

* Nie zna pan innych piosenek, panie poruczniku? * zapytał przez interkom.

Carlton uśmiechnął się.

* Chłopie, ta jest najładniejsza. Do licha, wy, Brytyjczycy, nie znacie się na muzyce.

* Z całym szacunkiem, panie poruczniku, słyszałem ją już dziś ze sto razy.

Carlton roześmiał się. Był krępyim mężczyzną po trzydziestce,

o niespokojnych niebieskich oczach, jakby życie biegło dla niego zbyt wolno. Szlify pilota zdobył jeszcze na długo przed wojną, jako siedemnastoletni chłopak, w prywatnej firmie przewożącej pocztę, latając z jednego krańca Ameryki na drugi, w każdą pogodę. Później były dwa lata opryskiwania upraw w Atlantcie

i rok niebezpiecznej pracy w cyrku lotniczym. Teraz latał w 201 dywizjonie RAF*u, stacjonującym w

Aleksandrii. Jak wielu Amerykanów, zgłosił się na ochotnika, aby walczyć za Wielką Brytanię, gnany żądzą przygód.

* W porządku, już prawie skończyliśmy. * Lekko pchnął wolant i delikatnie pociągnął manetkę przepustnic, zaczynając schodzić z pięciu tysięcy metrów. * Podaj mi pozycję. Kiedy dolecimy do domu, twoje zatkałe brytyjskie uszy będą mogły wreszcie odpocząć.

Beaufighter odbywał nocny lot patrolowy, mknąc z szybkością ponad trzystu kilometrów na godzinę. Higgins sprawdził kompas i ustalił kurs na Aleksandrię. Znajdowali się na północny zachód od tego egipskiego portu i wyliczył, że za pół godziny powinni wylądować i wrócić do kwatery. Spojrzał na wał paskudnych czarnych chmur po lewej, prawie zasłaniających światła Aleksandrii. Nad lądem szalała burza piaskowa i jej pomarańczowobrązowe wiry widać było nawet z odległości kilkudziesięciu kilometrów. Prognozy meteo ostrzegały o nadchodzącej burzy, ale Higgins co pół godziny łączył się z wieżą kontrolną w Aleksandrii i wiedział, że burza jeszcze nie dotarła do miasta i na lotnisku nadal można było bezpiecznie lądować. Właśnie skończył wyliczać pozycję, gdy beaufighter zszedł na cztery tysiące metrów i wyleciał z chmur. Higgins drgnął, zauważywszy ciemny kształt samolotu, lecącego po prawej, dwa kilometry od nich.

* Cel na godzinie drugiej!

Carlton zmrużył oczy i spojrzał we wskazanym kierunku. Księżyc świecił słabo, na horyzoncie ledwie pojawił się pierwszy odblask świtu, ale po prawie trzech godzinach lotu oczy porucznika przyzwyczyły się do ciemności i bez trudu dostrzegł lecący tysiąc metrów niżej samolot.

* Masz rację, kolego * mruknął. * Dobra, podejźmy i rzucimy okiem.

Pchnął wolant w dół i w prawo, jednocześnie otwierając przepustnice. Samolot pomknął w dół, zwiększając szybkość. Carlton uwielbiał latać beaufighterem. Ten dwumiejscowy myśliwiec był najszybszą maszyną w swojej klasie. Teraz miał przewagę wysokości, cel przed sobą i w dole, a poza tym przewagę wynikającą z zaskoczenia. Po dwóch minutach Carlton znalazł się pół kilometra za samolotem i rozpoznał charakterystyczny kształt pomalowanej na ochronną barwę Dakoty C*47, z gwiazdami i literami USAAC na skrzydłach. Uspokoił się.

* To głupia gęś, jedna z naszych * powiedział do in*terkomu.

* Widzę, panie poruczniku.

* Pytanie tylko, co tutaj robi?

Zaledwie dziesięć minut wcześniej Carlton zapytał wieżę o aktualną sytuację w powietrzu i nie zgłoszono mu obecności żadnych samolotów w pobliżu.

* W porządku, zapytam go. * Nacisnął włącznik nadawania. * C*47, tu ochrona wybrzeża. Siedzę wam na ogonie, zgłoś się. Odbiór.

Żadnej odpowiedzi. Carlton spróbował ponownie.

* C*47, zgłoś się. Jestem za tobą, w górze, godzina piąta. Odbiór.

Kiedy nadal nie otrzymał odpowiedzi, spróbował na pozostałych trzech kanałach. Jeden służył do łączności z wieżą i bazą, dwa pozostałe były częstotliwościami awaryjnymi, używanymi wyłącznie wtedy, gdy maszyna miała kłopoty. Sprawdził wszystkie na wypadek, gdyby C*47 nadawał na nich. Na wszystkich panowała głucha cisza.

* Może mają zepsute radio? * powiedział do Higginsa.

* Co chce pan zrobić, panie poruczniku? Pokazać mu światła dnia?

W kadłubie beaufightera umieszczono trzy lampki: czerwoną, zieloną i białą. Można je było zapalać na przemian, przekazując

zakodowany sygnał identyfikacyjny, który codziennie zmieniano. Nieprzyjacielskie jednostki nie mogły znać tego kodu i udzielić prawidłowej odpowiedzi. W ten prosty sposób alianckie maszyny mogły porozumiewać się ze sobą nawet w przypadku uszkodzenia radiostacji.

Carlton zawahał się. Ta dakota mogła mieć kłopoty techniczne, a ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było zestrzelenie jednej ze swoich maszyn. Ale podczas odprawy przed lotem otrzymał wyraźne rozkazy. Raporty wywiadu zapowiadały, że Niemcy spróbują przedrzeć się przez obronę powietrzną północnoafrykańskiego wybrzeża i patrole mają sprawdzać każdy napotkany samolot. Carlton zamierzał zamigotać światłami do dakoty, ale najpierw sprawdzi, czy w okolicy nie przebywa żadna zabłąkana maszyna.

* Na razie zaczekaj ze światełkami * powiedział przez interkom do Higginsa. * Wywołaj wieżę i dowiedz się, czy w pobliżu kręci się jakaś C*47.

Usłyszał, jak Higgins wzywa wieżę kontrolną i po chwili otrzymał odpowiedź:

* Modrzew, tu wieża do patrolu ochrony wybrzeża. Żadnych zgłoszonych C*47 w pobliżu. * Po krótkiej przerwie kontroler dorzucił: * Lepiej sprowadź go do nas.

Carlton ucieszył się. Przez ostatnie trzy miesiące cholernie mało się działo, a teraz nudny patrol zmienił się w ekscytujące zadanie. Ten C*47 mógł być swój, ale Carlton wiedział, że Niemcy czasem używali zdobycznych alianckich maszyn. Zaraz to sprawdzi. Dakota była nieuzbrojona i powolna. Beaufighter miał nad nią przewagę szybkości, cztery dwudziestomilimetrowe działka Hispano pod skrzydłami, a do tego dwa karabiny maszynowe kalibru .303. W razie potrzeby bez trudu dopędzi go i zestrzeli.

Podniósł czerwoną klapkę na spuście karabinów maszynowych.

* No dobrze. Zamrugajmy naszemu przyjacielowi światełkami. Jeśli nie otrzymamy odpowiedzi, puszcza serię ostrzegawczą, a potem zobaczymy.

Dakota wpadła w niewielki obszar turbulencji, ale zaraz wyrównała. Rachel obudziła się w zimnym blasku umieszczonej pod sufitem lampki. Zobaczyła naprzeciw siebie dwóch śpiących

esesmanów i w tej samej chwili do kabiny wszedł Halder, niosąc termos z kawą.

* Pomyślałem, że dobrze ci zrobi. Rozgrzejesz się. Bez słowa wzięła termos, a Halder zapytał:

* Naprawdę jestem taki odpychający?

* Może to ten mundur. Co do jego właściciela, to sama nie wiem.

Halder uśmiechnął się.

* Zawsze to jakiś postęp. * Zauważył, że Rachel drży. * Zimno ci?

* Trochę.

Uklęknął i okrył ją kocem.

* Boisz się?

* Nie wiem.

* To dziwne, że spotkaliśmy się znowu w takich okolicznościach. Nie mogę w to uwierzyć.

* Opowiedz mi o twojej żonie * poprosiła cicho. * Bardzo ją kochałeś?

W oczach Haldera pojawił się ból. Lekko dotknęła jego ramienia czubkami palców.

* Mówiłam szczerze, kiedy powiedziałam, że mi przykro. Nagle usłyszeli terkot karabinów maszynowych

* długą,

ogłuszającą serię. Samolot gwałtownie podskoczył.

* Co do diabła...! * zawołał Halder.

Następna seria i dakota ponownie się zakotłosała, rzucając Haldera na Kleista i Doringa.

* Co jest, cholera?! * wrzasnął obudzony Kleist.

* Nie ruszajcie się z miejsc * rozkazał Halder, podniósł się i szybko ruszył do kabiny pilotów.

Rozdział 28

Kiedy Halder wpadł do kokpitu, Falconi rzucił mu zaniepokojone spojrzenie.

* Co się stało?

* Mamy na ogonie beaufightera RAF*u! * zawołał Falconi, przekrzykując warkot silników. * Zjawił się

niespodziewanie i zamigotał światłami. Kiedy nie odpowiedziałem, posłał mi przed nos dwie serie smugowych pocisków i obleciał dookoła. Zaraz powinieneś zobaczyć go na prawym skrzydle.

Halder spojrział we wskazanym kierunku i ujrzał lecący równolegle myśliwiec. Pilot i nawigator byli dobrze widoczni w jasnym świetle kabiny. Samolot zakołysał skrzydłami i po chwili wypuścił podwozie.

* Co on robi? * zapytał Halder.

* Uprzejmie zachęca nas, żebyśmy polecieeli za nim do Aleksandrii i wylądowali tam. Jeśli tego nie zrobimy, rozwali nas.

* Fatalnie. Możesz coś na to poradzić?

* Beaufighter ma sporą przewagę szybkości, Jack. W żaden sposób nie zdołam mu uciec.

* Może pomrużyć mu lampkami?

* To bezcelowe, Jack. Nie mamy pojęcia, jaka jest prawidłowa sekwencja kolorów. Pilot tego myśliwca może podejrzewać, że mamy kłopoty techniczne, ale moim zdaniem już wyczuł, że coś tu śmierdzi.

* Jak daleko mamy do brzegu?

* Około pięćdziesięciu kilometrów. Niecałe dziesięć minut lotu.

* Musimy mu uciec, Vito! * zawołał Halder. * Rób, co możesz.

* Łatwo ci mówić. * Falconi otarł pot z czoła i zacisnął pasy. * Zobaczę, co się da zrobić. Lepiej jednak ostrzeż pozostałych. Powiedz, żeby złapali się czegoś i oczekiwali kłopotów. Potem wróć tu i zapnij pasy. Może być gorąco.

Carlton zobaczył, że dakota wypuszcza podwozie, lekko pochyła nos i zaczyna zmniejszać pułap. Jej kabina pilotów była pogrążona w ciemnościach, ale widział niewyraźne cienie załogi.

* W porządku, usłuchał rozkazu * powiedział do Higgin*sa. * Uważaj na tego sukinsyna, nie zgub go.

* Jasne, panie poruczniku.

Carlton schował podwozie i podniósł klapy hamulcowe, po czym zwiększył ciąg, aż wyprzedził C*47 o kilometr.

* Widzisz go jeszcze?

Higgins obrócił się na fotelu nawigatora i spojrział przez pleksiglasową szybę.

* Tak jest.

Carlton spojrział na instrumenty, pchnął wolant i zaczął schodzić.

* Dobra. Odprowadźmy tego gościa do Aleksandrii i zobaczymy, co to za jeden.

Kiedy Halder wrócił do kabiny pilotów i przypiął się do fotela radiooperatora, Falconi ociekał potem.

* Ostrzegłeś pozostałych?

* Tak jak kazałeś.

* Co z nimi?

* Zaniepokojeni jak diabli. Co teraz? Falconi wskazał na brzeg.

* Widzisz to?

W słabym blasku przedświt Halder dostrzegł kłęby pomarańczowobrazowego pyłu wzbijanego przez burzę piaskową, unoszącego się w niebo wzdłuż całej linii brzegowej.

* Jesteśmy piętnaście kilometrów od brzegu * wyjaśnił

Falconi. * Naszą jedyną szansą ucieczki jest wlecieć prosto w burzę. Jeżeli zrobimy to szybko i polecimy nisko, może zgubimy tego myśliwca.

* Czy to nie jest niebezpieczne?

* Śmiertelnie * odparł ponuro Falconi. * Silna burza może uszkodzić maszynę. Piasek może zatkać silniki i runiemy na ziemię, zanim się obejrzymy. A ta burza wygląda mi na bardzo silną.

* Masz jeszcze jakieś dobre wieści?

* Widoczność może zmniejszyć się do zera. Lecąc zbyt nisko, ryzykujemy zderzenie z wydmą. Jednak nie mamy innego wyjścia, chyba że chcesz usłuchać rozkazu i ponieść konsekwencje.

* Nie ma mowy, Vito. Czy nasz samolot wytrzyma? Falconi wzruszył ramionami.

* Dakota to mocna maszyna, prawdziwy koń pociągowy, ale w tych okolicznościach niczego nie mogę gwarantować.

Byli już całkiem blisko lądu, na trzech tysiącach metrów, w dole widzieli ciemne wody Morza Śródziemnego, usiane białymi grzywami spienionych fal. Wiatr z przerażającą siłą smagał pustynię, wzbijając chmury pomarańczowobrazowego pyłu. Beaufighter nadal leciał kilometr przed dakotą, z zapalonymi światełkami nawigacyjnymi. Po chwili skręcił w lewo, równoległe do brzegu, oddalając się od burzy i lecąc w kierunku Aleksandrii.

* W porządku, rozpoczyna podejście. Spodziewa się, że polecimy za nim, a tymczasem my spróbujemy zwać. * Falconi pokiwał skrzydłami beaufighterowi. * Arrivederci, amico! * Ponuro popatrzył na Haldera. * Trzymaj się czegoś. A gdyby nam się nie udało, to miło było cię poznać, Jack. Wciągaj! * zawołał do Remera.

Drugi pilot wciągnął podwozie, Falconi natychmiast otworzył przepustnice i maszyna z ogromną szybkością zanurkowała w kierunku burzowych chmur. Halder zobaczył, że beaufighter "wciąż leci w

kierunku Aleksandrii, ale nagle wykonał ciasny skręt i pomknął za dakotą.

* Niech to szlag, zauważył! * zawołał Falconi. * Teraz naprawdę mamy kłopoty.

Spod skrzydeł myśliwca trysnęły strugi ognia i seria smugowych pocisków przeszła niebo przy lewym skrzydle C*47. Falconi zmniejszył pułap o kolejne pięćset metrów, szybko

wyrównał i wleciał prosto w chmurę pyłu. Beaufighter siedział im na ogonie, bez przerwy strzelając.

Lecieli jakby w gęstym żółtym dymie. Widoczność spadła do kilkuset metrów, a piasek z trzaskiem bębnił o szyby * był to dźwięk przypominający wyładowania elektrostatyczne. Dakota dygotała pod tymi uderzeniami i Falconi z najwyższym trudem utrzymywał ją na kursie. Halder zobaczył czerwoną smugę, przelatującą po lewej.

* Drań wciąż siedzi nam na ogonie.

* I chyba ma złe zamiary.

Po kolejnej serii w lewym skrzydle pojawiło się kilka postrzępionych otworów.

Falconi skrzywił się. Twarz miał zalaną potem.

* Do licha! Nie popuści. Będziemy musieli spróbować bardzo niebezpiecznej sztuczki. Jeśli to nic nie da, przepadliśmy.

Chuck Carlton pocił się. Beaufighter podskakiwał jak szalony w porywach wiatru i pilot wiedział, że silniki mogą nie wytrzymać. Nie spodziewał się, że cel zacznie uciekać w kierunku lądu, gdzie nie miał żadnych szans, a już na pewno nie przy takiej pogodzie. Teraz był pewny, że to maszyna wroga, i poczuł przyływ adrenaliny, szykując się do zestrzelenia dakoty. C*47 miała pewną przewagę: jej dwa silniki Wasp 1200 prawdopodobnie lepiej znosiły burzę piaskową niż silniki Hercules 1500, których gaźniki i olejowy system chłodzenia łatwiej mógł się zatkać. Mimo to pilot C*47 podjął ogromne ryzyko, lecąc tak nisko w takich warunkach. Carlton postanowił, że nie da mu się wymknąć. Latał już w prawie równie ciężkich warunkach w Ameryce i uważał, że da sobie radę, jeśli tylko jego maszyna to wytrzyma.

* Wybrał sobie niewłaściwego faceta do robienia w konia! * wrzasnął do nawigatora.

Siedzący za nim Higgins pobladł, patrząc na żółty piach bębniący o szyby, prawie przestaniający ogon lecącej dwieście metrów przed nimi dakoty. Nerwy miał napięte jak postronki. Gdyby C*47 zmniejszył prędkość, zderzyliby się z nim.

* Może powinniśmy odpuścić, panie poruczniku! * zawołał niespokojnie do interkomu.

* Nie ma mowy! * krzyknął Carlton przez warkot silników. Miał C*47 na linii strzału. * Prawie mamy sukinsyna i zaraz pošlę go do królestwa niebieskiego.

Mówiąc to, ponownie nacisnął spust karabinów maszynowych i sześć luf plunęło ogniem, posyłając w kierunku celu smugi pocisków.

Pocisk uderzył w lewą burtę kadłuba i wpadł do kokpitu. Trafił Remera w bok, obracając go na fotelu. Pilot krzyknął, przyciskając dłoń do rany, ale kiedy Halder chciał mu pospieszyć z pomocą, Falconi zawołał:

* Zostaw go! Nie przeszkadzaj!

Remer jęczał z bólu, szkarłatna krew tryskała mu z rany w boku.

* Rany boskie, Vito! * wrzasnął Halder. * Wyciągnij nas stąd!

Falconi nie odpowiedział, wpatrując się przed siebie, jakby szukał czegoś w szalejącej burzy. Kolejna seria czerwonych smug przeleciała obok lewego skrzydła dakoty. Falconi gwałtownie skierował maszynę w dół, aż wysokościomierz pokazał pięćdziesiąt metrów. Lecieli tuż nad ziemią, pod nimi migwały fale żółtych wydm. Nagle Halder ujrzał ogromną piaszczystą skarpe, wznoszącą się na kilkaset metrów.

* Vi to! Uważaj!

Ale Falconi właśnie czekał na coś takiego. W mgnieniu oka pchnął manetkę przepustnic, pociągnął wolant i opuścił klapy. Nos C*47 uniósł się w górę. Rozległ się ostry, metaliczny dźwięk, gdy samolot otarł się o szczyt wydmy, ale jakimś cudem nadal nabierał wysokości.

* Chryste, Vito, mało brakowało!

Po bladej twarzy Falconiego spływały krople potu.

* Rzeczywiście. Teraz módlmy się, żeby nasz przyjaciel nie spostrzegł jej w porę.

Carlton starał się nie stracić z oczu C*47 i szykował się do strzału, gdy nagle zobaczył, że przeciwnik ostro wrywa w górę.

* Leć prosto, sukinsynu. Co u...

W następnej sekundzie ujrzał wznoszącą się przed nim wydmy.

* Jezu Chryste!

Rozpaczliwie ściągnął wolant.

Higgins wrzasnął. Był to ostatni dźwięk, jaki Carlton usłyszał w słuchawkach, zanim beaufighter wbił się nosem w piasek i eksplodował.

* Myślę, że załatwiliśmy go. * Falconi wyskoczył z gęstej chmury na wysokości pięciuset metrów, podniósł klapy, obejrzał się i zobaczył grzyb jasnych płomieni, wznoszący się nad wydmy. W jego głosie nie było słyhać triumfu. * Biedni dranie. Niech ich Bóg ma w swojej opiece. * Otarł pot z czoła i wyrównał kurs. * Mamma mia!

* Co zrobisz, Vito?

* To taka gra, w którą bawiliśmy się, kiedy przewoziłem pocztę do Addis Abeby. Lataliśmy nisko, tuż nad wydmami, żeby zabić nudę latania nad pustynią. W pogodne dni jest to nawet przyjemne, ale podczas burzy piaskowej bardzo niebezpieczne. Lepiej zajmij się Remerem.

Halder sprawdził puls pilota. Tętno było bardzo słabe, oddech płytki, a rana wciąż obficie krwawiła.

* Żyje, ale ledwo, ledwo.

* Przynies z kabiny zestaw pierwszej pomocy i spróbuj powstrzymać krwawienie. I sprawdź, co z pozostałymi. Pospiesz się, Jack. Remer kiepsko wygląda.

Halder poszedł do kabiny i zobaczył wystraszoną i bladą Rachel, mocno trzymającą się pasa. Kleist i Doring też wyglądali na wstrząśniętych, a w kadłubie ziało kilka przestrzelin, ale nikt oprócz Remera nie został ranny.

* Czy najgorsze minęło, czy dopiero się zacznie? * zapytał słabym głosem Kleist.

* Wygląda na to, że na razie nam się upiekło. Znajdźcie mi apteczkę, drugi pilot jest ciężko ranny. * Kiedy Kleist poszedł szukać zestawu medycznego, Halder zapytał Rachel: * Nic ci się nie stało?

* N*nie wiem. Jeszcze nie doszłam do siebie. To były jedne z najgorszych chwil w moim życiu.

* Wciąż żyjemy, i tylko to się liczy.

Kleist wrócił z apteczką i podał ją Halderowi. Kiedy ten szedł do kokpitu, Rachel zawołała:

* Mam ci pomóc?

* Na razie nie, ale poproszę cię, jeśli będzie trzeba. Nagle żołądki podeszły im do gardeł, bo samolot zaczął

gwałtownie tracić wysokość. Wszyscy słyszeli ryk silników, gdy Falconi zwiększył moc, ale dakota nie zareagowała.

* Nie wstawać! * krzyknął Halder, wrócił do kabiny pilotów i zobaczył mocno zaniepokojoną minę Falconiego. * Co się stało?

* Kłopoty z silnikami. Prawdopodobnie dostał się do nich piasek. Poza tym tracimy paliwo. Pociski z karabinów maszynowych uszkodziły przewody paliwowe.

Halder przycisnął opatrunek do rany Remera. Mimo że nawigator był nieprzytomny, jęknął z bólu.

* Dolecimy do lądowiska? * zapytał Halder.

* Jesteśmy blisko, jakieś dziesięć kilometrów lub mniej, ale nie mamy szans * odparł ponuro Falconi. * Będę musiał lądować awaryjnie.

* Tylko tego nam brakowało.

Halder spojrział za okno, jednak niczego nie widział. Zeszli już na dwieście metrów i znów znaleźli się w samym środku burzy. Falconi dał pełną moc, ale silniki prawie nie dawały ciągu.

* To na nic! * zawołał. * Nie reaguje.

W tym momencie silniki zgasły. Zapadła przerażająca cisza, przerywana tylko świstem przecinanego skrzydłami powietrza, a potem dakota runęła w dół.

* Silniki wysiadły! * wrzasnął Falconi. * Zapnij pasy, Jack. Szybko!

* Co z tamtymi?

* Nie ma czasu. Przygotuj się!

Halder wgramolił się na fotel radiooperatora i zapiął pasy. Żołądek podszedł mu do gardła, gdy gęsta chmura pyłu nagle zrzędnęła i pustynia wybiegła im na spotkanie. Napiął wszystkie mięśnie, szykując się na nieuchronne zderzenie.

Falconi w ostatniej chwili ściągnął wolant do siebie i nos dakoty uniósł się w górę, ale natychmiast znów opadł. Z potworną siłą uderzyli o ziemię i z trzaskiem przeorali piach, a potem lewe skrzydło zahaczyło o coś i samolot przekoziółkował ze zgrzytem rozdieranego metalu.

Rozdział 29

Berlin,

21 listopada

Było jeszcze ciemno, gdy Canaris tuż przed ósmą rano przyjechał do szpitala w Charlottenburgu. Ujrzał obraz śmierci i zniszczenia, na widok którego chciało mu się płakać. Na ziemi leżał długi rząd ciał, nakrytych zakrwawionymi białymi prześcieradłami. W siąpiącym deszczu wyglądały jak kolumna duchów. Straż ogniowa z Berlina nadal prowadziła akcję gaśniczą, a połowa budynku zmieniła się w dymiące zgliszczka. W powietrzu wisiał kwaśny odór spaleniowy.

Kiedy mercedes stanął na zwirowym podjeździe i Canaris wysiadł, podszedł do niego lekarz w zakrwawionym białym kitlu.

* Panie admirale, jestem doktor Schumacher.

* Niewesoły widok, panie doktorze. Ilu zabitych?

* Pięćdziesięciu siedmiu pacjentów i cztery osoby personelu. Canaris zacisnął szczękę, ale nie zdziwił się.

Po ostatnim

nocnym nalocie część Berlina także zmieniła się w sterty ruin.

* Mój Boże, jest coraz gorzej. Co z chłopcem?

* Bardzo źle. Jest ledwie żywy. Oczywiście od początku nie było z nim najlepiej, ale teraz... * Lekarz bezradnie rozłożył ręce. * Kazał pan, żeby pan zawiadomił, gdyby coś się stało...

* No tak. * Canaris westchnął. * Proszę mnie zaprowadzić do niego.

Jeden z nietkniętych przez nalot piwnicznych magazynów zamieniono w prowizoryczny oddział intensywnej terapii. Ma

leńkie awaryjne lampki dawały słabiutkie światło, a wokół uwijały się pielęgniarki i sanitariusze, usiłując zająć się wszystkimi chorymi i rannymi. Lekarz zaprowadził admirała do odgradzonego parawanem kąta. Przy chłopcu był już inny lekarz i pielęgniarka.

* Co z nim? * zapytał Canaris.

* Niezbyt dobrze.

Canaris spojrzał na twarzyczkę dziecka i ścisnęło go w gardle. Malec miał zamknięte oczy, a głowę i biodro owinięte zakrwawionym bandażem. Z trudem oddychał.

* Pauli, słyszysz mnie?

Chłopiec nie odpowiedział, a jeden z lekarzy rzekł:

* Traci pan czas. Jest w szoku.

* Co się stało?

* Bombardo...

* Wiem o tym przeklętym bombardowaniu! * wybuchnął Canaris. * Nie ustaje od tygodnia. Co się stało chłopcu?

* Bomba przebiła sufit sąsiedniego oddziału. Wybuch zwałił ściany. Spadające cegły zmiażdżyły mu biodro i spowodowały poważne obrażenia głowy.

Canaris przygryzł wargi.

* Jakże ma szansę?

Lekarze wymienili spojrzenia, a potem jeden z nich pokręcił głową.

* Nie możecie nic zrobić? * błagał Canaris.

* Obawiam się, że nic. Dziwię się, że jeszcze żyje. W tym momencie pielęgniarka powiedziała:

* Chyba tracimy go, panie doktorze.

Po chwili chłopczyk jęknął i westchnął przeciągle, po czym znieruchomiał. Lekarze usiłowali go reanimować, ale nadaremnie. Główka chłopca opadła na bok i było po wszystkim.

* Odszedł * rzekł w końcu lekarz.

Canaris już wielokrotnie widywał konających, ale śmierć tego malca wywarła na nim wstrząsające wrażenie. Z przygnębieniem spojrzał na bladą twarzyczkę.

* Biedne dziecko * powiedział bliski też.

Godzinę później siedział w swoim biurze, pisząc raport, kiedy adiutant wprowadził zmęczonego Schellenberga. Admirat nie wstał, tylko odłożył pióro i wskazał gościowi krzesło.

* Usiądź. * Powiedział to szorstkim tonem, a gdy Schellenberg usiadł, Canaris zapytał go: * No cóż, otrzymałeś moją wiadomość?

Schellenberg zrobił zbolowaną minę.

* Tak. To okropne. Tylko czego można się spodziewać po Rooseveltcie i Churchillu? Wysyłają bombowce, aby niszczyły nasze miasta, zabijały i raniły naszych...

* Zamknij się, Schellenberg. Nie jestem w nastroju do wysłuchiwania goebbelsowskiej propagandy. Obiecałeś Halderowi, że przeniesiesz jego syna do szpitala poza Berlinem. Bardzo na to nalegał, więc czemu tego nie zrobiłeś?

Schellenberg najeżył się, słysząc oskarżycielską nutę w głosie Canarisa.

* Nie podoba mi się ten ton.

* Odpowiedz na pytanie, do diabła. Dlaczego?

* Zaledwie przed godziną wróciłem z Rzymu. Nie miałem czasu.

* Miałeś czas przed odlotem.

* Wcale nie.

* Niech cię szlag, Schellenberg! Gdybyś zrobił, co obiecałeś, chłopiec by teraz żył.

Schellenberg wstał i odsunął krzesło.

* Nie będę tego słuchać.

* Siadaj, jeszcze nie skończyłem. Okłamałeś też Rachel Stern.

Schellenberg zmarszczył brwi.

* W jakiej sprawie?

* Jej ojca. Sprawdziłem to w Dachau. Według ich kartotek profesor Stern wcale nie trafił tam po tym, jak aresztowano go cztery lata temu. Co się dzieje, Schellenberg? Czy twoi przyjaciele z gestapo załatwili go po aresztowaniu? Pewnie zastrzelili go lub zatłukli w tych waszych kazamatach. A może wciąż tam gnije? Okłamałeś mnie, tak?

Schellenberg obojętnie wzruszył ramionami.

* Kłamstwa i intrygi są częścią tej gry, o czym wiesz równie dobrze jak ja. To prawda, nie powiedziałem ci wszystkiego. I co z tego?

* Teraz wszystko wyszło na jaw. Oszukałeś tę kobietę i nie dotrzymałeś obietnicy złożonej Halderowi, chociaż bardzo cię prosił. Chciał tylko, żeby jego syn miał dobrą opiekę, bo tak bardzo go kochał. Jesteś godny pogardy, Schellenberg, ty i ci

twoi przekłęci przyjaciele z gestapo i SS. Wepchnęliście ten kraj w przepaść. * Canaris poczerwieniał z wściekłości. * A wiesz, co najbardziej doprowadza mnie do szału? Świadomość, że razem pójdziemy do piekła.

Schellenberg zignorował ten wybuch.

* Chcesz się dowiedzieć, jak przebiega operacja?

* Dziwne, ale w tym momencie mało mnie to obchodzi. * Oczywiście Canaris kłamał, usiłując ukryć dręczącą go ciekawość. Wciąż odczuwał wyrzuty sumienia, że musiał zdradzić Haldera i Rachel Stern. Chociaż uważał tę zdradę za konieczną, bardzo ciążyła mu na sercu.

* Dakota zniknęła. Być może miała awarię i musiała lądować na terytorium wroga lub została zestrzelona. Twój agent z Abu Sammar, którego wykorzystałem, przed godziną przesłał przez Rzym wiadomość, że samolot nie zjawił się w umówionym miejscu spotkania. I na pewno nie wrócił do Włoch.

Canaris zbladł. Więc jednak Sylwii udało się przekazać informację? Świadomość, że prawdopodobnie przyczynił się do śmierci Haldera i tej kobiety, wywołała bolesny skurcz żalu.

* Rozumiem. * Był zaszokowany i zasmucony. * A więc już po wszystkim? Zginęli albo zostali schwytani?

* Obawiam się, że tak.

Kair,

godzina 7.00

Nawoływanie muezina obudziło Weavera. Przez pół nocy męczył się na pożyczonej pryczy, którą

rozstawił w swoim biurze. Kiedy wstał, był cały obolały. Żaluzje były zamknięte i bolała go głowa od czytania akt arabskich sympatyków nazistów.

Przetarł oczy i otworzył okna. Nad Kairem wstawał świt, odsłaniając kontury dachów i starożytnej, wybudowanej przez Turków cytadeli. Tuż po północy natrafił na coś, co obudziło jego zainteresowanie. Pewien Arab w tym samym wieku co Gabar pracował przed wojną jako służący w niemieckiej ambasadzie. Później był zatrudniony w sklepie radiofonicznym na Starym Mieście, co dało Weaverowi do myślenia. Zastanawiał się, jak mógł go przeoczyć za pierwszym razem. W aktach znalazł adres. Zapisał dane w notesie, żeby je rano sprawdzić.

Najpierw chciał wziąć prysznic i ogolić się, ale kiedy podniósł czapkę i zamierzał wyjść, drzwi otworzyły się i weszła Helen Kane, niosąc parującą kawę i talerz z kanapkami.

* Pomyślałam, że masz ochotę na śniadanie.

* Wcześniej przyszłaś.

* To się nazywa oddanie * odparła z uśmiechem. * Dobrze spałeś?

* Obawiam się, że przez większą część nocy nie zmrzyłem oka.

* Szkoda, że nie mogłam dotrzymać ci towarzystwa.

* Pani porucznik, proszę mnie nie kusić * uśmiechnął się Weaver.

Kiedy postawiła tacę na biurku, upił tylko łyk kawy i sięgnął po czapkę.

* Nie mogę zostać, Helen. Kiedy przyjdzie Sanson, powiedz mu, że powinienem wrócić za kilka godzin. Sprawdzę jednego z sympatyków. Jego akta leżą na moim biurku.

* Właśnie przyszedł raport, który powinieneś przeczytać. Zaraz przyniosę.

* Nie, streść go, będzie szybciej.

* Przed kilkoma minutami otrzymaliśmy teleks z dowództwa RAF*u. Podobno koło Aleksandrii miał miejsce dziwny incydent.

* Jaki?

* Myśliwiec ochrony wybrzeża, beaufighter Dwieście Pierwszego Dywizjonu RAF*u, zgłosił niezidentyfikowaną amerykańską dakotę, lecącą na północny wschód od Aleksandrii. Pilot beaufightera usiłował ją przechwycić, ale wieża straciła z nim kontakt. Szalała silna burza piaskowa.

* A co z tą dakotą? Helen Kane pokręciła głową.

* Nie wiedzą, co się z nią stało. Dowództwo ochrony wybrzeża sugeruje, że dakota mogła być maszyną wroga. Poprosili główną kwaterę RAF*u w Kairze o rozpoczęcie poszukiwań obu maszyn lub ich wraków, podejrzewając, że rozbiły się lub wylądowały awaryjnie podczas burzy. Uznali, że powinniśmy o tym

wiedzieć.

Weaver podszedł do wiszącej na ścianie mapy. Przez chwilę studiował ją w zadumie, po czym spojrzał na Helen.

* Skontaktuj się z główną kwaterą RAF* u i sprawdź, czy mają coś nowego o tej dakocie.

* A jeśli nie mają?

* Zapytaj, w jakim kierunku zmierzała, kiedy zauważył ją pilot beaufightera, a także, czy mają dla nas jakiegokolwiek inne informacje.

* Zaraz się tym zajmę.

Weaver odłożył czapkę. Później sprawdzi tego Araba.

* Zadzwoń do Sansona i powiedz mu, żeby przyszedł tu jak najszybciej.

Rozdział 30

33 kilometry na południowy zachód od Aleksandrii, godzina 5.30

Halder ocknął się z okropnym bólem głowy. Silny wiatr sypał mu piaskiem w twarz. Szyba kokpitu rozsypała się na kawałki, samolot leżał wywrócony na lewym boku, a on nadal był przypięty pasami do fotela radiooperatora. Głowa bolała go od uderzenia o sufit. Remer bezwładnie zwiślał z fotela. Krew ciekła mu z ust, jego oczy były szkliste, nieruchome. Skulony na fotelu Falconi jęczał z bólu.

Halder osłonił twarz przed siekącym piaskiem i zawołał:

* Jesteś ranny, Vito?

* Przygniotło mi stopę. Nie mogę się ruszyć.

Halder rozpiął pasy i próbował mu pomóc. Prawa stopa Falconiego uwięzła pod jednym z pedałów sterów, który zmienił się w płataninę pogiętego metalu. Pod kolanem pilota ziała głęboka, krwawiąca rana. Halder szybko zdjął pasek i mocno obwiązał nim nogę Włocha powyżej rany, żeby powstrzymać krwawienie. Potem spróbował uwolnić jego stopę, ale nie zdołał.

* Za mocno uwięzła. Potrzebuję pomocy. Falconi spojrzał na ciało pilota.

* Biedak. Miał dopiero dwadzieścia dwa lata.

* W tych okolicznościach to nie twoja wina. Dobrze się spisałeś.

* Nawet diabeł miewa złe dni. Zdaje się, że kiedy dotknęliśmy kołami ziemi, zahaczyliśmy o nią lewym skrzydłem.

Na zewnątrz szalała burza i Halder niespokojnie spojrzął na drzwi, nie mogąc teraz myśleć o niczym innym, tylko o Rachel.

* Staraj się nie ruszać. Sprawdzę, co z pozostałymi.

Wrócił do głównej kabiny. Była w lepszym stanie od kokpi*tu * miejscami kadłub był pogięty, ale niezbyt podziurawiony, Kleist pomagał Doringowi wstać, a Rachel miała krwawiące skaleczenie na głowie. Była zszokowana.

* Jesteś cała? * zapytał Halder.

* Trzymałam się z całych sił uchwytu, ale puściłam go przy zderzeniu. Co się stało?

Kiedy jej powiedział, zmarszczyła brwi.

* Nie rozumiem, dlaczego samolot się nie zapalił?

* Przewody paliwowe zostały przestrzelone i zbiorniki opróżniły się. Można za to podziękować RAF*owi. Pozwól, że spojrzę na twoją głowę. * Obejrzał ranę. * Nie wygląda najgorzej. Jak się czujesz?

* Jakby ktoś rąbnął mnie młotkiem.

Zdjął jej z szyi bawełnianą chustkę, przycisnął ją do rany i położył na niej dłoń Rachel.

* Trzymaj tak, aż przestanie krwawić. * Pomógł jej wstać, a potem spytał Kleista i Doringa: * Czy któryś z was jest ranny?

* Mamy kilka siniaków, ale żyjemy * rzekł ponuro Kleist. * Miałem rację co do tych włoskich pilotów. Są do niczego.

* Mogło być znacznie gorzej, więc powinniście im być wdzięczni. Chodźcie na dziób i pomóżcie mi. Drugi pilot nie żyje, a Falconi jest uwięziony.

Przeszli do kokpitu i Halder z pomocą Kleista usiłował uwolnić nogę Włocha spod zgiętego pedału, ale ledwie mogli się ruszać w ciasnej przestrzeni. Falconi miał twarz zlaną potem i wykrzywioną z bólu.

* To na nic, Jack. Potrzebujecie dźwigni.

* Zobaczę, czy coś nie znajdzie się we wraku.

* Nie możemy tu zostać przez cały dzień * zaprotestował Kleist. * Kiedy burza ucichnie, może zjawić się jakiś patrol.

* Później będziemy się o to martwić. * Halder odwrócił się do Falco niego. * Gdzie my do diabła jesteśmy, Vi to?

* Jakieś dziesięć kilometrów na północ od planowanego miejsca lądowania.

* Nie dotrzemy tam na czas, to pewne. Próba przejścia przez pustynię w taką pogodę byłaby szukaniem kłopotów.

* Około dwunastu kilometrów stąd znajduje się arabska

wioska. Znam to miejsce sprzed wojny. Moglibyście spróbować tam dojść. Potem... Bóg wie. Lepiej zostaw mnie, Jack. Tylko opóźnię wasz marsz.

Halder potrząsnął głową.

* Najpierw cię uwolnimy, a potem zobaczę. * A do Kleista rzekł: * Zaczekaj tu, ja pójdę do kabiny.

Ruszył na tył samolotu, ale Kleist poszedł za nim i złapał go za ramię.

* Słuchaj, Halder, pilot będzie nam tylko przeszkadzał. Na pewno ma złamaną nogę i mocno krwawi.

* Co proponujesz?

* Zostawmy go. Sam tego chciał. Lepiej jednak byłoby go dobić. Mówiłem ci, nie ufam tym Włochom. Pewnie zamierza nas zdradzić, kiedy znajdą go alianci. Powiedz tylko słowo, a sam to zrobię.

Kleist przeciągnął palcem po szyi. Halder wyrwał mu się.

* Jesteś nieczułym draniem, Kleist.

* Pozostając tutaj, ryzykujemy życie * nalegał Kleist. * Im prędzej wyruszymy, tym lepiej. Tamten myśliwiec na pewno podał wieży nasz kurs, zanim się rozbił. Kiedy pogoda się poprawi, rozpoczną poszukiwania z powietrza. Jeżeli znajdą wrak samolotu, natychmiast zaroi się tu od żołnierzy. Pamiętaj, że jesteśmy niemieckimi agentami. Alianci rozstrzelują takich jak my, nie wiesz o tym?

* Nadal wykonujesz moje rozkazy * odparł krótko Halder. * Nie chcę więcej słyszeć o zabijaniu. I nie ruszymy się stąd, dopóki nie uznam, że burza cichnie i mamy jakąś szansę. Teraz zaczekaj tu. To rozkaz.

Przeszedł przezabinę, mijając Rachel i Doringa, z trudem otworzył drzwi, zakrył ramieniem usta i nos, po czym skoczył. Na zewnątrz wiał tak silny wiatr, że Halder ledwo mógł się poruszać, ale kadłub samolotu zapewniał częściową osłonę. W powietrzu unosił się zapach oleju i benzyny. Dakota leżała przechylona na bok. Połowa lewego skrzydła była całkiem oderwana, a pozostałość zmieniła się w stertę pogiętego metalu. Znalazł kawałek pręta, pospiesznie wrócił do kabiny i zamknął za sobą drzwi. Kleist czekał na niego z nieszczęśliwą miną.

* No, jaki werdykt?

* W tych warunkach nie mielibyśmy żadnych szans. Lepiej zaczekać, aż burza przycichnie. Teraz pomóż mi uwolnić Falconiego.

Zajął im to ponad pół godziny. Stopa Falconiego była paskudnie posiniaczona i spuchnięta. Krwawienie

z rany pod kolanem nie ustało i kiedy Halder pomagał mu podnieść się z fotela, Włoch krzyknął z bólu.

* Na miłość boską, uważaj, Jack!

Przenieśli go na tył samolotu, gdzie Halder mocniej zacisnął pasek na nodze i obmacał ją.

* Oprócz głębokiej rany masz chyba pęknięcie lub złamanie.

* Cokolwiek to jest, amico, boli jak wszyscy diabli. Burza jakby odrobinę przycichła. Kleist stanął w drzwiach

kabiny i wyrztał na zewnątrz. Zawołał do Haldera:

* Kiedy ruszamy?

* Jak tylko zdołamy sporządzić prowizoryczne nosze. * Wskazał na taśmy służące do mocowania ładunku do ścian kadłuba. * Zobaczcie, co da się z tego zrobić.

* Rany boskie, Halder! Mówiłem ci, on spowolni nasz marsz.

* On ma rację, Jack * przytaknął Falconi. * Będziecie mieli większe szansę, nie mając na karku inwalidy.

Halder zignorował jego słowa i warknął do Kleista:

* Wykonaj rozkaz. A ty pomóż mu * dorzucił, wskazując palcem na Doringa.

Kleist gniewnie odwrócił się i razem z Doringiem zaczęli odczepiać pasy. Rachel znalazła w apteczce opatrunki oraz drewniane łubki i opatrzyła nogę Falconiego.

* Grazie, signorina.

* Staraj się nie ruszać, inaczej jeszcze pogorszysz sprawę.

* Jest pani pielęgniarką?

* Obawiam się, że nie.

* Nieważne, i tak jest pani aniołem.

* Czy wy, Włosi, zawsze jesteście tacy czarujący?

* Sądzę, że mamy to we krwi. * Falconi zdobył się na słaby uśmiech. * Od kołyski uczymy się uwodzić kobiety.

Rachel podeszła do Haldera.

* I co teraz?

* Vito twierdzi, że dwanaście kilometrów na zachód stąd znajduje się wioska. Nie wiadomo, ile czasu

potrwa, zanim tam dotrzemy, niosąc go na noszach. Lepiej byłoby najpierw spróbować dotrzeć do lądowiska, może nasz kontakt nadal na nas czeka i może mógłby sprowadzić lekarza. Jednak musielibyśmy

mieć jakiś środek transportu, więc musimy zrezygnować z tego wariantu.

* A jeżeli w wiosce jest wojsko?

* Mało prawdopodobne, ale musimy zaryzykować.

* A jeżeli zostaniemy zatrzymani i zaczną nas wypytywać?

* Będziemy się trzymać naszej bajeczki.

* Nie uważasz, że to nadmierny optymizm? Na przykład, jak wyjaśnimy awaryjne lądowanie na pustyni?

Halder uśmiechnął się.

* To dobre pytanie. Spróbuję coś wymyślić. Tymczasem zajmę się Vitem.

Kleist i Doring wrócili z prowizorycznymi noszami, podobnymi do hamaka.

* To najlepsze, co mogliśmy zrobić * burknął Kleist.

* Będziemy się zmieniać. Co z burzą?

* Cichnie.

* W kokpicie jest zamocowany kompas * powiedział Halder do Doringa. * Jeśli nadal działa, może nam się przydać. Sprawdź, czy uda ci się go wymontować. Jeżeli nie, będziemy kierować się słońcem.

Doring wszedł do kokpitu, a Halder skinął na Kleista, żeby pomógł mu wynieść Falconiego przez drzwi w kadłubie. Rozłożyli nosze na piasku i umieścili na nich Włocha. Wiatr ucichł, wzeszło słońce i widoczność znacznie się poprawiła. Halder obszedł samolot. Wszędzie wokół rozpościerała się pustynia, wydawało mu się jednak, że niecałe dwa kilometry dalej dostrzeża kilka daktylowych palm na tle porannego nieba. Wrócił, a po chwili zjawił się Doring, trzymając mały, bańkowaty kompas.

* I co?

* Wydaje się, że wciąż działa, ale nie można mieć co do tego pewności.

* Musimy zaryzykować. * Halder powiedział pozostałym

o oazie. * Jeśli dopisze nam szczęście, znajdziemy tam wodę, napełnimy manierki i pójdziemy na zachód. Sprawdźcie, czy wszystko zabraliście, a potem ruszamy.

Halder i Kleist jako pierwsza zmiana nieśli nosze. Bez drewnianych wsporników były zbyt elastyczne i zraniona noga Falconiego zwiślała z nich z jednej strony. Dopiero po godzinie dotarli do oazy. Rosło tam

zaledwie kilka daktylowych palm

i ciernistych krzewów „wielbłądzich cierni” oraz parę kępek zbrązowiałej trawy, ale znaleźli małe, czyste jeziorko.

Napili się wody i nabrali jej do manierek. Upał wzmagał się. Halder otarł czoło i spojrzął na zegarek: dochodziła 7.30. Falconi raz po raz tracił i odzyskiwał przytomność. Nie wyglądał najlepiej. Rachel przyłożyła mu dłoń do czoła.

* Jest zimne.

* To skutek upływu krwi. Lepiej, żeby nie stracił jej więcej. * Za pomocą kompasu Halder ustalił kierunek dalszego marszu, a potem rzekł do pozostałych: * Ruszamy.

Ledwie uszli dwadzieścia kroków, Doring zawołał:

* Panie majorze, mamy towarzystwo!

Halder zamarł na widok nadjeżdżającego pojazdu, za którym ciągnęła się gęsta chmura kurzu. Kiedy położyli Falconiego na ziemi i wyprostowali się, zobaczyli pędzącego ku nim dżipa z topoczącym proporczykiem Wielkiej Brytanii. W samochodzie jechali dwaj oficerowie w mundurach. Jeden z nich stał, trzymając się owiewki, i mierzył do nich z rewolweru.

* Pieprzona sprawa * mruknął Kleist. * No i co teraz, majorze? Ma pan jakieś błyskotliwe pomysły?

Halder otarł pot z czoła.

* Nie traćcie głów * powiedział i klęknął obok Falconiego. Włoch był półprzytomny. Halder poklepał go po policzku. * Vito, mamy problem. Jedzie tu dżip z dwoma brytyjskimi oficerami. Rozumiesz mnie?

Falconi zamrugał oczami i szepnął:

* Si.

* Zamknij oczy i udawaj nieprzytomnego. Jęcz, jeśli będziesz musiał, ale nic nie mów.

Falconi odpowiedział słabym głosem:

* To nie będzie trudne, amico.

* Wy też się nie odzywajcie * polecił Halder pozostałym. * Ja z nimi porozmawiam.

Rozdział 31

Godzina 7.35

Dżip zatrzymał się i wysiadł z niego angielski oficer w randze kapitana. Miał zakurzony mundur, a w ręku trzymał rewolwer smith & wesson. Halder ruszył ku niemu, ale oficer powstrzymał go.

* Zostańcie w miejscu i nie ruszajcie się. Ręce do góry, wszyscy.

Kiedy usłuchali, kapitan podszedł bliżej i podejrzliwie im się przyjrzał.

* Kim jesteście, do diabła? * zapytał.

* Dzięki Bogu, że nas znaleźliście! * wykrzyknął Halder. * Jestem profesor Paul Mallory, a to są członkowie mojej ekipy archeologicznej. Nasz samolot się rozbił.

Kapitan był wciąż czujny.

* Naprawdę? * Zerknął na swojego towarzysza. * Lepiej obszukaj ich, Hugo. Sprawdź, czy nie mają broni.

* Dajcie spokój * zaprotestował Halder. * Właśnie przeżyliśmy najgorsze chwile...

* Proszę, niech się pan zamknie. Równie dobrze możecie być agentami wroga. Wciąż trwa wojna.

Drugi z oficerów był młodym porucznikiem o chłopięcej twarzy. Podczas gdy kapitan celował w nich z rewolweru, porucznik wysiadł z dżipa i zrewidował wszystkich, włącznie z Falconim, któremu odebrał automatycznego colta. Pozbierał też portfele i przejrzał ich dokumenty. W końcu doszedł do Rachel i niepewnie spojrzął na kapitana.

* Damę też, Hugo. Przepraszam panią. Porucznik obszukał Rachel i sprawdził jej bagaż.

* Wszyscy są nieuzbrojeni, oprócz pilota. Ich papiery wydają się w porządku, tylko pilot nie ma żadnych.

* Pokaż mi je.

* Czy możemy przynajmniej opuścić ręce? * zapytał Halder.

* Możecie, ale stójcie spokojnie. * Porucznik podał dokumenty kapitanowi, który przejrzał je. * A więc pan jest Amerykaninem, ci dwaj są z Afryki Południowej, a dama jest Niemką żydowskiego pochodzenia?

* Zgadza się.

* Niezła mieszanka. * Kapitan spojrzął na Falconiego, który wyglądał na nieprzytomnego. * A co z waszym pilotem? On nie ma żadnych dokumentów.

* Pewnie zostały w samolocie. Pilot jest ciężko ranny. Mieliśmy apteczkę i zrobiliśmy, co mogliśmy, ale stracił przytomność * odparł niecierpliwie Halder. * A teraz, jeśli pan pozwoli, chcielibyśmy zabrać go do lekarza.

* Czy ktoś jeszcze został ranny podczas katastrofy?

* Drugi pilot zginął. Gdyby pan mógł...

* Chwileczkę, profesorze, jeszcze nie skończyłem. * Kapitan nadal celował do nich z rewolweru. * Dokąd lecieliście?

* Do Kairu, a potem do Luksoru.

* Ekipa archeologów, mówił pan?

* Zgadza się.

* I co tam robicie?

* Mamy stanowisko wykopaliskowe w Dolinie Królów. Kapitan zmarszczył brwi.

* Więc co, do diabła, robiliście w samolocie na południowy zachód od Aleksandrii?

Halder udał zirytowanego tymi pytaniami.

* Jeśli już musi pan wiedzieć, to wracaliśmy z Sycylii. Trafiliśmy na złą pogodę i mieliśmy problemy z silnikami. Pilot wylądował awaryjnie podczas burzy piaskowej.

* A co robiliście na Sycylii?

* Poproszono nas o zbadanie starożytnych przedmiotów przejętych przez amerykańskie oddziały. Niemcy zrabowali w Afryce Północnej wiele zabytków i niektóre próbowali zabrać ze sobą, ale musieli je zostawić. Znaleździło się bardzo cenne. Rzymskie, z drugiego wieku naszej ery.

Oficer zastanawiał się przez chwilę, a potem niezdecydowanie zmarszczył brwi.

* No cóż, wasze papiery wydają się w porządku. Mimo to muszę wrócić do naszej bazy i sprawdzić to.

* A gdzie znajduje się ta baza?

* W El Amirija, około trzydziestu kilometrów stąd. Kiedy się rozbiliście?

* Mniej więcej przed godziną.

* Prawdę mówiąc, najpierw zauważyłem przez lornetkę wrak samolotu, a dopiero potem was. Dlatego postanowiliśmy zjechać z drogi i sprawdzić, co się stało. * Kapitan zerknął na Falconiego. * Wygląda na to, że źle z nim. Czy zdołał wezwać pomoc?

** Nie zdążył. Muszę skontaktować się z Kairem i powiedzieć im, co się stało.

* Możemy to zrobić w Amirii. Mamy tam lekarza, który zajmie się rannym. * Kapitan zdjął czapkę i otarł czoło. Schował rewolwer, ale nadal nie oddawał im dokumentów. * Lepiej zatrzymam je, dopóki wszystko się nie wyjaśni * dodał. * Pewnie mówicie prawdę, ale, jak już wspomniałem, jest wojna. Na pewno to rozumiecie. * Kapitan zawołał do porucznika: * Bierzymy tych ludzi na pokład, Hugo!

* Tak jest, panie kapitanie.

Porucznik pomógł Kleistowi i Doringowi zanieść Falconiego do dżipa. Pilot wciąż był nieprzytomny i jęczał, kiedy go nieśli. Halder nagle przestraszył się, że Falconi naprawdę stracił przytomność i może powiedzieć coś po włosku. Kapitan wyjął papierośnicę.

* Zapali pan, profesorze?

* Dziękuję.

* A pani?

Kiedy Rachel odmówiła, kapitan zapalił papierosa i powiedział:

* Mieliście pecha, zwłaszcza wasz drugi pilot.

* Tak, owszem.

* Studiowałem literaturę klasyczną w Cambridge i zawsze bardzo interesowała mnie archeologia. Nad czym pracujecie w Luksorze?

* To grobowiec z czasów drugiej dynastii.

* Nie przerwano prac na czas wojny?

* Tylko chwilowo. Kiedy wyglądało na to, że Rommel zdobędzie Kair * uśmiechnęła się słabo Rachel. * Obawiam się, że my, archeolodzy, nigdy nie odpoczywamy.

* Na to wygląda.

* Mieliśmy szczęście, że się zjawiliście * wtrącił Halder. * Byliście na patrolu?

* Dobry Boże, nie. Wracaliśmy do bazy z partii pokera z przyjaciółmi w Hammam i zgubiliśmy drogę w tej przeklętej burzy. Musieliśmy ją przeczekać wśród skał, jakieś osiem kilometrów na zachód stąd. Teraz już wiemy, gdzie jesteśmy, i zaraz wracamy do bazy. Podjedziemy tylko i rzucimy okiem na wasz samolot.

* Kapitanie, nasz pilot jest ciężko ranny...

* Zdaję sobie z tego sprawę, skoro jednak już tu jesteśmy, lepiej sprawdzić waszą historię. To oszczędzi nam później wiele czasu i kłopotów. W dżipie będzie trochę ciasno, ale jakoś się pomieścimy.

Zanim Halder zdążył zaprotestować, kapitan rzucił papierosa i pomaszerował do samochodu. Halder obrócił się do Rachel i powiedział z nikłym uśmiechem:

* Dobrze się spisałaś. Z początku słyszałem lekkie drżenie głosu, ale potem byłaś lepsza od Marleny Dietrich.

* A co miałam zrobić? * szepnęła. * I co teraz?

* Bóg jeden wie. Będę musiał coś wymyślić. Jak tylko ci dwaj zobaczą postrzelaną dakotę, naszą bajeczkę

diabli wezmą.

Kapitan już wszedł na tył dżipa, obok niego ulokował się Doring i Falconi, a Kleist zajął miejsce obok kierowcy.

* Profesorze, jesteście gotowi? * zawołał kapitan. Halder odrzucił papierosa, wziął Rachel pod rękę i pomógł

jej wsiąść do zatłoczonego dżipa. Potem usiadł obok niej i pojechali.

Kair,

godzina 7.40

* Jesteś pewny, że to była dakota? Weaver kiwnął głową.

* Tak powiedzieli mi przez telefon ci z dowództwa ochrony wybrzeża. Pilot beaufightera potwierdził to jakieś dziesięć minut przed tym, zanim stracili z nim kontakt radiowy, tuż po czwartej trzydzieści. Pytał wieżę kontrolną w Aleksandrii, czy w pobliżu zgłoszono jakieś przeloty, ale otrzymał przeczącą odpowiedź.

Kazali mu sprowadzić tamtą maszynę na lotnisko. Jednak nie zobaczyli żadnej z tych dwóch maszyn, a kiedy o czwartej czterdzieści wieża spróbowała ponownie nawiązać łączność z beaufighterem, nie odpowiedział. Z początku nie zaniepokoiili się, bo burza powodowała zakłócenia łączności, ale później nabrali podejrzeń.

Sanson spojrzął na mapę. Humor nie poprawił mu się od czasu ich rozmowy w restauracji. Zapytał chłodnym tonem:

* Jeszcze coś, Weaver?

* Później nikt nie widział żadnej z tych dwóch maszyn. Dowództwo obrony wybrzeża przypomniało, że dakota zazwyczaj nie jest uzbrojona i beaufighter powinien bez problemów sprowadzić ją na lotnisko. Twierdzą, że być może oba samoloty musiały lądować awaryjnie z powodu burzy albo zderzyły się w powietrzu.

* Czy szukają wraków?

* Wysłali parę samolotów zwiadowczych, aby przeszukały brzeg i pustynię na południe od wybrzeża. Prosilili też, by załogi wszystkich przelatujących tamtędy samolotów miały oczy szeroko otwarte.

Sanson zastanawiał się chwilę.

* Te burze piaskowe bywają niebezpieczne. Szczególnie dla samolotów. Bardzo możliwe, że obie

maszyny wpadły w kłopoty i rozbiły się.

Weaver również podszedł do mapy.

* Ale co ta dakota robiła tam o tej porze? Sprawdziłem w kwaterze głównej RAF* u. W ciągu ostatnich ośmiu godzin bazy w Egipcie, na Sycylii i we Włoszech nie zgłaszały zaginięcia żadnej maszyny, brytyjskiej czy amerykańskiej.

* A jeśli przyleciała z zachodu, z Tunezji lub Algierii? Może jakiś pechowy pilot zboczył z kursu?

Weaver przecząco pokręcił głową.

* Oprócz patroli, kontroli powietrznej w Aleksandrii i Kairze nie zgłoszono żadnych przelotów w nocy ani wczesnym rankiem, ze względu na kiepską prognozę pogody. * Wskazał na mapie pustynne obszary na południe i zachód od Aleksandrii. * Przyszło mi do głowy, że jest tam kilka zapomnianych, nieużywanych lotnisk, które doskonale nadają się do wysadzenia agentów. Ta pojawiająca się i znikająca dakota wydaje mi się podejrzana. Uważam, że powinniśmy to sprawdzić.

Sanson odwrócił się.

* Skontaktuj się ponownie z Aleksandrią. Poproś, żeby jeszcze raz sprawdzili wykaz lotów w nocy i rano, żeby mieć pewność, że nie zgłoszono zaginięcia żadnego samolotu poza beaufighterem. Sprawdź, czy nie mają jakichś nowych wiadomości, i powiedz, żeby informowali nas na bieżąco o rozwoju wydarzeń. Powiedz im też, że jeśli znajdą wrak którejś z tych maszyn, chcemy go obejrzeć. Do roboty, Weaver.

Rozdział 32

Godzina 7.50

Halder doskonale wiedział, że gdy tylko oficerowie zobaczą ślady po kulach, prawda wyjdzie na jaw. Prawie już dojeżdżali do wraku. Spojrzał na Doringa. Esesman nieznacznie przeciągnął palcem po gardle i wymownie zerknął na kapitana. Halder nie zdążył zareagować, ponieważ w tym momencie Falconi jęknął głośno.

Halder położył dłoń na jego czole. Było rozpalone. Zrozumiał, że Włoch wcale nie udaje. Dostrzegł wilgotną plamę krwi na bandażu: znów zaczęło się krwawienie.

* Kapitanie, musimy natychmiast zawieźć tego człowieka do lekarza. Bóg wie, jakich doznał wewnętrznych obrażeń.

Kapitan pochylił się i uniósł powiekę rannego, a potem sprawdził mu puls.

- * Serce bije trochę za wolno. To z pewnością wstrząs.
- * Jeśli umrze, będzie pan za to osobiście odpowiedzialny.
- * Spokojnie, profesorze. Muszę robić swoje.
- * Życie tego człowieka jest w niebezpieczeństwie. Kapitan niezdecydowanie przygryzł wargę.
- * Jakiś kilometr stąd jest wioska. Znajduje się bliżej niż nasza baza i chyba znajdziemy tam lekarza.
- * Więc proponuję, żebyśmy pojechali tam jak najszybciej.
- * Oczywiście. Gdy tylko obejrzę wrak.

Hader chciał ponownie zaprotestować, lecz kapitan osłonił dłonią oczy i spojrzał na rozbitą dakotę.

- * Chryste, paskudnie to wygląda. Mieliście szczęście, że uszliście z życiem.

Porucznik podjechał do wraku i kapitan wysiadł.

- * Zaraz wracam. Nie gaś silnika, Hugo.

- * Tak jest, panie kapitanie.

Halder napiął mięśnie, gdy Brytyjczyk ruszył w kierunku dakoty. W plątaniu metalu trudno było dostrzec otwory przestrzelin, jednak kiedy kapitan podszedł bliżej, nagle odwrócił się, błąd jak ściana.

- * Ten samolot został zestrzelony...

Sięgnął po broń, ale Kleist wyrwał rewolwer, który porucznik miał w kaburze u pasa. Halder chwycił młodego Anglika za gardło, a esesman przyłożył mu lufę do skroni.

- * Niech pan rzuci mi swój rewolwer, szybko! * polecił kapitanowi Halder.

Godzina 9.20

Lancaster Avro był doskonałym brytyjskim bombowcem, jedną z najlepszych alianckich maszyn drugiej wojny światowej. Ten, którym tego ranka lecieli Weaver i Sanson, był transportowcem przewożącym pilnie potrzebną amunicję do Włoch, z krótkim międzylądowaniem w Aleksandrii. Samolot wyraźnie pamiętał lepsze czasy. Część przestrzelin w kadłubie nie została załata, więc w środku panował lodowaty chłód, a warkot czterech silników Merlin przypominał odgłos miliona rozwścieczonych os. Weaver, siedząc z Sansonem na ustawionych w pobliżu kokpitu skrzynkach z amunicją, usiłował nie zwracać uwagi na hałas i niewygodę. Znajdowali się trzydzieści kilometrów na południe od Aleksandrii i z wysokości trzech i pół tysiąca metrów widzieli jej przedmieścia * białe skupiska niskich domów z wysuszonej na słońcu cegły.

* Nie mogłeś znaleźć dla nas samolotu z bezpieczniejszym ładunkiem? * zapytał Sanson.

* Tylko ten leciał dziś rano do Aleksandrii. Mieliśmy szczęście, że udało nam się zabrać.

* Miejmy nadzieję, że warto było się fatygować, Weaver. Startując z Kairu, zahaczyli o front burzowy i weszli w obszar

zwiększonych turbulencji. Sanson siedział z kamiennym wyrazem twarzy, ale Weaverowi zbierało się na mdłości.

Pół godziny po tym, jak połączył się z kwaterą główną RAF* u w Aleksandrii, zadzwonili do niego. Okazało się, że nie zgłoszono zaginięcia żadnego samolotu nad Morzem Śródziemnym

ani w północnym Egipcie, żaden też nie znajdował się w tym czasie w powietrzu, oprócz zaginionego beaufightera i trzech patrolujących brzeg tomahawków, które bezpiecznie wróciły do bazy. Ale pilot nisko lecącego lysandera, przelatującego z Mersa Maruth do Aleksandrii, zauważył wraki dwóch samolotów na pustyni, jakieś trzydzieści kilometrów na południowy zachód od miasta. Jedna z maszyn jeszcze dymiła.

* Dziesięć minut do lądowania! * zawołał przez ramię pilot i obejrzał się na Weavera, który wciąż był błądy jak ściana. * Co się stało, panie pułkowniku? Nie lubi pan latać?

* Uwielbiam * odparł Weaver, gdy maszyna znów wpadła w turbulencje. * Szczególnie samolotem wyglądającym jak sito i napchanym materiałami wybuchowymi. To zdecydowanie najprzyjemniejszy sposób podróżowania.

Pilot roześmiał się i rozpoczął przygotowania do lądowania.

Godzina 7.55

Halder kazał obydwu oficerom wejść do dakoty.

* Zdejmijcie mundury, obaj. * Zwrócił się do Kleista i Doringa: * Kiedy skończą, zwiążcie ich. Użyjcie pasów do mocowania ładunku.

Oficerowie spełnili jego polecenie i zdjęli mundury. Kapitan był zdumiony i przestraszony.

* Jesteście Niemcami, prawda? * zapytał Haldera. * Może powie mi pan, co się dzieje?

* Te pytania, kapitanie, do niczego nie prowadzą. Proszę milczeć.

Kleist z Doringiem spętali Brytyjczyków i przywiązali ich do wraku.

* Na co nam te mundury? * zapytał Kleist. Halder ocenił ich rozmiary.

* Ten kapitana jest akurat na mnie * powiedział, po czym rzucił Doringowi papiery i mundur porucznika.

* Przymierz go, zobaczymy, czy pasuje.

Okazało się, że pasuje doskonale. Esesman uśmiechnął się do porucznika, który został w samych gatkach i podkoszulku. Trącił go w żebra czubkiem buta.

* No i co, czy wyglądam jak Engländer? Porucznik nic nie odrzekł, zdrętwiały ze strachu.

* Zostaw go * powiedział Halder do Doringa.

* W porządku, Hugo. Nie zrobią nam krzywdy * rzekł kapitan, spoglądając na Haldera, jakby oczekiwał, że to potwierdzi. * Konwencja genewska...

* Znam ją i nie macie powodów do obaw. Chociaż obawiam się, że będziemy musieli zostawić was tutaj.

* Zanim nas znajdą, możemy umrzeć z pragnienia.

* Dostaniecie manierkę z wodą. Przykro mi, ale nic więcej nie mogę zrobić. Z pewnością wkrótce jeden z waszych patroli odnajdzie wrak * oświadczył Halder.

Skinął na Kleista i Doringa. Kiedy wyszli za nim na zewnątrz, powiedział:

* Doring, zobacz, czy w dziuple jest mapa. A ty, Kleist, daj im trochę wody z naszych zapasów. Pospiesz się, bo zaraz ruszamy.

* Zwariowałeś? Chcesz ich zostawić przy życiu? * zdziwił się Kleist.

* A co ty byś zrobił?

* Zastrzelił ich.

* Zapomnij o tym, Kleist. To niewinni ludzie.

* To wrogowie, a ty popełniasz poważny błąd. Mogą podać nasze rysopisy. Żywi, stanowią dla nas śmiertelne zagrożenie. Martwi, niczego nie powiedzą.

* Nie będę nikogo mordował z zimną krwią. I tak mamy dość kłopotów. Teraz rób, co mówię * polecił mu Halder. * Daj im wodę i wracaj tu.

Kleist zamierzał zaprotestować, ale zrezygnował. Pospieszył do wraku, zabierając po drodze manierki. W tej samej chwili wrócił Doring.

* Nie ma mapy, panie majorze.

* Niech to szlag. * Halder obrócił się do Rachel. * Paskudna sytuacja, prawda? Mimo to widzę jeden plus: mamy przynajmniej środek transportu. * Zdjął bluzę i spodnie, włożył mundur kapitana, zapiął pas i wsunął rewolwer do kabury. Potem przymierzył buty. * Trochę ciasne, ale trudno.

* Może i jesteś trochę podobny do kapitana, jednak przy dokładniejszej kontroli natychmiast zostałbyś

zdemaskowany.

* Zdaję sobie z tego sprawę, ale na razie nie będę się tym martwił.

* Co teraz? * zapytała niespokojnie Rachel.

Halder nałożył czapkę, przekrzywił ją i żartobliwie przyłożył dłoń do daszka.

* Tylko dobry Bóg wie, moja droga, ale zrobimy, co będzie w naszej mocy * powiedział z przesadnym brytyjskim akcentem.

* Oszalałeś. Nie wyjdziemy z tego żywi.

* Och, trudno powiedzieć. Powiadają, że nie wolno tracić nadziei.

Nagle Falconi cicho jęknął, a Doring rzekł:

* Może lepiej niech pan na niego spojrzy, panie majorze. Halder klęknął przy Włochu. Falconi miał skórę szarą jak

popiół, krew powoli sączyła mu się przez bandaż. Halder poluzował opaskę uciskową i po chwili ponownie ją zawiązał.

* Źle z nim. Za godzinę upał stanie się nie do zniesienia i będzie jeszcze gorzej. Bez pomocy lekarskiej wykrwawi się na śmierć. Chyba powinniśmy pojechać na lądowisko, może nasz kontakt nadal tam czeka i znajdzie jakiegoś zaufanego lekarza. * Odwrócił się do Doringa. * Powiedz Kleistowi, że ruszamy.

Nagle w środku dakoty padły dwa strzały. Halder zbladł i spojrzał na wrak. Natychmiast zrozumiał, co się stało.

* Kleist, ty cholerny bydlaku!

Kiedy dobiegł do drzwi, Kleist już wychodził, trzymając w dłoni rewolwer, z którego lufy unosiła się cienka smużka dymu. Halder spojrzał do środka i zobaczył ciała obu młodych oficerów, zabitych strzałami w głowę. Rozwścieczony, złapał esesmana za klapy.

* Ty parszywy draniu, zabiłeś ich z zimną krwią!

* Skoro ty nie potrafiłeś, sam musiałem to zrobić * odparł niewzruszony Kleist. * To wojna, człowieku...

Halder rąbnął go pięścią w twarz. Kleist poleciał na burtę samolotu, upuszczając rewolwer. Z trudem podniósł się z ziemi. Krew ciekła mu z nosa, a w oczach paliła się nienawiść.

* Już nie żyjesz, ty skurwielu! * wrzasnął.

Szeroko rozkładając ręce, całym ciężarem ciała wpadł na Haldera i zbił go z nóg. Przycisnął go do ziemi i zaczął okładać pięściami po twarzy. Halder mocnym ciosem zrzucił go z siebie i przetoczył się na bok, ale kiedy próbował wyjąć broń, esesman znów się na niego rzucił. Tym razem Halder był na to przygotowany

i błyskawicznym kopniakiem trafił Kleista w krocze.

Esesman ryknął z bólu i zatoczył się, chwytając za podbrzusze. Halder zerwał się z ziemi i zadał mu kilka szybkich ciosów. Oszołomiony przeciwnik zachwiał się, a wtedy Halder objął ramieniem jego szyję i zaczął go dusić. Kleist wyprostował się i złapał go za włosy, próbując rozerwać chwyt. Halder nacisnął mocniej.

* Dość tego, Kleist, albo skręcę ci ten cholerny kark! Esesman zdołał wycharczeć:

* Doring... rewolwer!

Doring zawahał się, a potem rzucił się w kierunku leżącego na piasku rewolweru, ale Rachel podstawiła mu nogę. Upadł, a ona podniosła broń. Kiedy Doring podniósł się, wycelowała mu między oczy.

* Ty suko! * warknął i ruszył na nią.

* Jeszcze krok, a umrzesz.

Doring stanął jak wryty. Rachel nadal trzymała go na muszce.

* Jeśli nie chcesz, żeby twój kompan zginął, rób, co ci mówi Halder * oświadczyła.

Kleist zrozumiał, że został pokonany. Halder odepchnął go i wyjął rewolwer, a Doring wyjąkał:

* Majorze, ja...

* Ty głupcze! Mógłbym zastrzelić cię za niesubordynację.

* Popełniłem błąd, majorze. Ja... ja...

* Zamknij się i stań obok Kleista.

Doring usłuchał, a Halder skierował na nich lufę rewolweru.

* Powinienem zakończyć to tu i teraz. Jesteś godny pogardy, Kleist. Zaslugujesz na kulę.

Olbrzymi esesman otarł ciekącą mu z nosa krew.

* Zrozum, Halder, nie mieliśmy innego wyjścia. * Ruchem głowy wskazał dakotę. * Gdyby znaleźli ich żywych, natychmiast by nas schwytali. W ten sposób przynajmniej mamy szansę.

Halder wiedział, że w tym rozumowaniu jest okrutna logika, ale krwiożerczość Kleista budziła w nim odrazę.

* Tyle że teraz jesteśmy odpowiedzialni za zamordowanie dwóch brytyjskich oficerów. Jestem pewny, że ich koledzy nie spoczną, dopóki nas nie złapią. Naraziłeś nas na jeszcze większe niebezpieczeństwo, ty idioto!

Kleist nie znalazł na to odpowiedzi.

* Zapomniałeś także, że mamy zadanie do wykonania * przypomniał mu Halder. * To wojskowa operacja i nadal ja

nią dowodzę. Dopóki nie zostaniemy schwytani lub zabici. Zrozumiano?

* Tak jest, »majorze.

* Teraz obaj wsiadajcie do dżipa. Z przodu, żebyśmy mogli was mieć na oku.

Esesmani wsiedli, a Halder podszedł do Rachel i zabrał jej rewolwer.

* Sądząc po twojej minie, byłaś gotowa się nim postłużyć. * Spojrzał jej w oczy. * Wojna zmienia ludzi. Myślisz, że mogłabyś nacisnąć spust?

* Nie wiem * odparła z nikłym uśmiechem. * Ale zdołałam przestraszyć Doringa. Jak się czujesz?

Halder rozmasował szczękę.

* Bywało gorzej. Jednak Kleist bynajmniej nie poprawił naszej sytuacji. * Spojrzał na wrak i rzekł gniewnie: * Żałuję, że do tego doszło. Ci ludzie nie zasługiwali na śmierć. * Ponownie odwrócił się do Rachel. * Patrole wroga na pewno wkrótce zaczną nas szukać. Jeśli dopisze nam szczęście i nasz kompas działa, za dwadzieścia minut powinniśmy dojechać na lotnisko. Możemy tylko modlić się, żeby nasz kontakt jeszcze tam był.

Godzina 9.35

Kiedy wylądowali, na lotnisku czekał na nich policyjny dżip z brezentową plandeką. Na przednich siedzeniach siedzieli dwaj angielscy żandarmi * porucznik i kierowca. Gdy Weaver z Sansonem wysiedli z lancastera, oficer podszedł do nich.

* Pułkownik Sanson? Jestem porucznik Lucas, z żandarmerii wojskowej * przedstawił się. * Mam rozkaz zawieźć panów do kapitana Myersa, do kwatery głównej w Aleksandrii. Przeprasza, że nie mógł przybyć osobiście, ale właśnie ma odprawę.

Sanson zasalutował.

* To pułkownik Weaver z wywiadu wojskowego USA. Pojedzie z nami.

* Miło mi pana poznać, panie pułkowniku. * Porucznik znów zwrócił się do Sansona: * Kapitan Myers powiedział, że dakota, która panów tak interesuje, mogła być niemiecką maszyną.

* Czy wiecie już, co się z nią stało?

* Jakieś dziesięć minut temu otrzymaliśmy informację, że jeden z naszych samolotów zwiadowczych zauważył na pustyni wrak dakoty z amerykańskim oznakowaniem, mniej więcej trzydzieści kilometrów na południowy zachód stąd. Pilot twierdzi, że znalazł także szczątki beaufightera, jakieś sześć kilometrów

dalej na północ.

* Czy ktoś się uratował? Porucznik pokręcił przecząco głową.

* Na pewno nie z beaufightera. Jest zupełnie rozbity. Wpadł na wydmy. A dakota ma urwane jedno skrzydło. Jednak pilot samolotu zwiadowczego mówi, że kadłub wygląda na nietknięty, więc może pasażerowie się uratowali.

* Posłaliście tam kogoś, żeby to sprawdził? * zapytał Weaver.

Porucznik wskazał na antenę polowej radiostacji, która leżała na tylnym siedzeniu dżipa.

* Pięć minut temu wysłałem tam patrol. Są z nami w kontakcie. Na tym terenie mamy niewielu ludzi, ale zawiadomiłem wszystkich, żeby wypatrywali rozbitków.

* Jak szybko dotrzemy na miejsce katastrofy?

* Jeśli się pospieszymy, za niecałą godzinę.

Rozdział 33

Abu Sammar, godzina 8.55

Na tyłach hotelu Achmed Farnad wystrzępioną irchową szmatą czyścił przednią szybę swojego fiata. Po porannej jeździe na lotnisko była oblepiona kurzem i owadami. Nie wiedział, co ma myśleć o całej tej historii. Czekał ponad dwie godziny, ale Niemcy nie zjawili się. Ponieważ jednak szalała burza piaskowa, podejrzewał, że musieli zrezygnować z wykonania misji, rozbili się lub zostali zestrzeleni po drodze.

Jeśli tak rzeczywiście było, to miał nadzieję, że nikt nie ocalał. Gdyby ich schwytano i przesłuchano, zawsze istniało niebezpieczeństwo, że mogli go wydać. Dręczyła go niepewność. Skończył przecierać szybę, przepłukał szmatę i wylał brudną wodę z wiadra, a potem poszedł do szopy, rozganiając po drodze kury.

Wszedł do pustej obory dla kóz i kopnięciem rozrzucił pokrywającą podłogę warstwę trzciny cukrowej. Pod spodem była drewniana kłapa, którą podniósł, odsłaniając skrytkę. Pod brudnymi szmatami znajdowała się radiostacja, a obok niej leżał pistolet. Dwie godziny wcześniej Achmed nadał zaszyf*rowaną wiadomość, pytając, dlaczego samolot nie przyleciał. Potwierdzono przyjęcie transmisji, jednak odpowiedź mógł odebrać dopiero późnym wieczorem, kiedy będzie prowadził nasłuch. Wtedy wszystko się wyjaśni, ale na razie musiał się upewnić, czy baterie radiostacji są nadal sprawne. Kiedy pochylił się, żeby ją wyjąć ze skrytki, do szopy weszła jego żona, blada i nerwowo mnąca w dłoniach fartuch.

* Achmed, przyjechali żołnierze i wchodzą do hotelu. Zdaje się, że aresztowali Mafouza!

Achmed natychmiast schował radiostację, zamknął klapę i narzucił na nią warstwę trzciny.

* Zostań tu, kobieto * polecił żonie zaniepokojony. * Udawaj, że karmisz kury. I staraj się zachować spokój.

Halder i Rachel czekali w pomieszczeniu pełniącym rolę recepcji, przy drewnianym biurku i krzywej desce, na której wisiał tuzin kluczy. Kleist i Doring zostali w dżipie, pilnując Falconiego. Grupa dzieciaków otoczyła samochód, gdy tylko wjechali do wioski. Kleist i Doring mieli niewyraźne miny.

* Cyrk przyjechał * skomentował to Halder. * Już cała przeklęta wioska wie, że tu jesteśmy. Ale nic nie można na to poradzić.

Abu Sammar było małym skupiskiem chat z drewna i gliny, stojących przy nieutwardzonych ulicach i wąskich zaułkach. Wśród stert gnijących odpadków wałęsały się chude dzieciaki i kozy, a wszyscy mieszkańcy wioski z ciekawością przyglądali się obcym, podjeżdżającym pod hotel „Seti”. Sam hotelik był nędznym dwupiętrowym budyneczkiem z otoczonym murem dziedzińcem, niegdyś białymi ścianami i holem wyłożonym wytartym dywanem.

* „Ritz” to nie jest * mruknął Halder do Rachel.

Na piętra wiodły stare marmurowe schody z pogiętymi metalowymi poręczami, a w budynku unosił się zapach pleśni i kurzu. Na biurku stał dzwonek i Halder ponownie weń uderzył, tym razem znacznie mocniej. Brzęk odbił się echem od ścian. Halder spojrzał na Mafouza.

* Jesteś pewny, że twój ojciec jest tutaj?

Zastali chłopca na lotnisku, siedzącego wraz ze stadem kóz w jednym z opuszczonych baraków. Halder szybko odkrył, co mały naprawdę tam robił.

* Znajdę go, proszę pana.

* Grzeczny chłopiec.

Halder pogłaskał małego po głowie, ale w tejże chwili do recepcji wszedł chudy mężczyzna w galabii i fezie. Jego nieogolona twarz była blada ze strachu, który na widok brytyjskiego munduru zmienił się w paniczne przerażenie.

* W czym... w czym mogę pomóc, panie?

* Szukam właściciela, Achmeda Farnada * powiedział Halder po arabsku.

* To ja... Ja jestem Achmed.

* Nasz znajomy z Berlina zarezerwował dla nas pokój, ale przybyliśmy trochę później, niż planowaliśmy.

Achmed słyszał słowa, jednak nie był w stanie ich pojąć. Niespokojnie spoglądał na dżipa.

* Słucham?

* Nie rozumiesz, człowieku? * rzucił niecierpliwie Hal*der. * Na lotnisku spotkaliśmy twojego syna.

Achmed zrozumiał go dopiero teraz. Odetchnął z ulgą i otarł pot z czoła, zapominając o wszelkiej ostrożności. Ani na moment nie wątpił, że przybysze są tymi, za których się podają. Kazał Mafouzowi czekać na lotnisku, gdyby jakimś cudem Niemcy jednak się tam pokazali.

* Kiedy... moja żona powiedziała, że przyjechali żołnierze, myślałem, że przyjechali mnie aresztować.

* Później wszystko wyjaśnię. Teraz pilnie potrzebujemy twojej pomocy.

W drzwiach pojawiła się gromadka dzieci. Zachichotały na widok gości, ale Achmed przegonił je machnięciem ręki.

* Wynocha! * zawołał, a potem powiedział do Mafou*za: * Przynies jedzenie i picie dla naszych gości.

* Nie teraz * rzekł Halder. * Mamy kłopoty.

* Kłopoty? * Achmed znów pobladł i pospiesznie wskazał Halderowi i Rachel drogę do pokoju na zapleczu. * Proszę tędy. Musimy porozmawiać.

Brudne, pomalowane na niebiesko pomieszczenie z kilkoma niskimi stolikami i porozrzucanymi wokół nich poduszkami najwidoczniej pełniło rolę salonu. Achmed wprowadził ich do środka i otarł czoło brudną chusteczką, próbując wziąć się w garść.

* Jakie kłopoty? Czekałem dwie godziny. Co się stało?

* Nasz samolot rozbił się osiem kilometrów stąd.

Arab zmarszczył brwi i ponownie popatrzył na mundur Haldera.

* Skąd macie te mundury i dżipa?

* To inny problem, jaki napotkaliśmy. Dwaj brytyjscy oficerowie znaleźli wrak samolotu.

* Brytyjscy oficerowie? * wytrzeszczył oczy Achmed. * Gdzie oni są?

* Nie żyją.

Achmed przeraził się i przycisnął dłoń do skroni.

* Coraz gorzej. To z pewnością nie ułatwi nam zadania.

* Nasz pilot jest ciężko ranny. Nie mieliśmy innego wyjścia... musieliśmy tu przyjechać.

* W biały dzień! Cała wioska będzie o tym gadać.

* To nieuniknione. Teraz jednak przede wszystkim potrzebny nam lekarz. Czy w wiosce jest jakiś?

* Najbliższy mieszka dwadzieścia kilometrów stąd. Ale nie ufam mu: to przyjaciel Anglików.

* Więc będziemy musieli się obejść bez niego. Zorganizuj nam trochę gorącej wody i czyste ręczniki.

Achmed skinął głową.

* Każę żonie przygotować.

* I lepiej znajdź dla nas jakiś pokój. Musimy opatrzyć naszego towarzysza. Czy masz innych gości?

Achmed zaprzeczył.

* W hotelu nie ma nikogo oprócz mojej żony i syna. Halder obrócił się do Rachel.

* Powiedz tamtym, żeby postawili dżipa na podwórku i jak najszybciej wnieśli Falconiego.

Kiedy Rachel wyszła, Achmed załamał ręce.

* To katastrofa! Wojsko wyśle patrole. Zanim się obejrzyicie, zaczną przetrząsać wioskę. Nie możecie tu długo zostać.

* Zdaję sobie z tego sprawę. Na razie jednak rób, co mówię. Achmed niechętnie zdjął z gwoździa klucz.

* Ryzykuję życie nie tylko swoje, ale i mojej rodziny...

* My też ryzykujemy. A teraz szybko prowadź nas do pokoju i przynieś te ręczniki oraz wodę.

Rozdział 34

Godzina 11.00

Weaver pocił się pod brezentowym dachem dżipa. Byli dwadzieścia sześć kilometrów od Aleksandrii i jechali w prażącym słońcu. Na bezkresnej pustyni po obu stronach szosy od czasu do czasu pojawiały się grupki skał lub wypalone wraki wojskowych pojazdów i czołgów * rdzewiejące pozostałości bitew i odwrotów.

Porucznik trzymał na kolanach rozłożoną mapę, a w ręku kompas.

* Skręć w lewo, na pustynię * polecił kierowcy, po czym odwrócił się do p*asażerów. * Według współrzędnych podanych przez pilota samolotu zwiadowczego dakota powinna leżeć jakieś pięć kilometrów na południe.

Już obejrzeni szczątki beaufightera. Wysłany przez porucznika patrol zlokalizował jego położenie i podał

dane przez radio. Kiedy Weaver i Sanson przybyli na miejsce, żołnierze nadal przeszukiwali miejsce katastrofy, ale z maszyny niewiele zostało.

Wbiła się nosem w wydmgę i widocznie zbiornik paliwa eksplodował przy uderzeniu, bo samolot rozleciał się na kawałki. Odłamki aluminiowego kadłuba i resztki silników leżały rozrzucone w promieniu kilkuset metrów, a z niektórych wciąż unosiły się smużki dymu. Trzydzieści metrów od miejsca katastrofy jeden z żołnierzy znalazł zwęglone ludzkie ramię, było to jednak wszystko, co pozostało z obu członków załogi.

* Niezbyt przyjemna śmierć, ale przynajmniej szybka * zauważył Sanson.

Postanowili jechać dalej i po dwudziestu minutach zobaczyli przed sobą wrak dakoty. Weaver wziął lornetkę, którą podał mu porucznik. Oprócz oderwanego skrzydła maszyna wyglądała na nietkniętą, ale śmigło prawego silnika całkiem pogięło się przy zderzeniu z ziemią. Weaver dostrzegł charakterystyczną gwiazdę na kadłubie.

* I co? * zapytał Sanson.

Weaver przekazał mu lornetkę. Kiedy podjeżdżali bliżej, zauważył słabe ślady opon, prowadzące do wraku.

* Sam zobacz. Na razie nie dostrzegłem tam śladu życia.

* Lepiej nie ryzykować. * Sanson wyjął pistolet i powiedział do kierowcy: * Zatrzymaj się trzydzieści metrów od wraku. Resztę przejdziemy pieszo.

Godzina 9.00

Pokój na drugim piętrze hoteliku „Seti” był ciemny i ponury. Stało w nim jedno metalowe łóżko z brudną pościelą, a obłazące z farby ściany były żółte od dymu z papierosów. Położyli Falconiego na łóżku i Halder niezwłocznie zabrał się do roboty. Rozciął lotniczy kombinezon i zdjął nasiąknięte krwią bandaże. Rana wyglądała gorzej, niż przypuszczał. Z ciała wystawała kość, poza tym Falconi stracił sporo krwi.

Sprawdził puls Włocha, a potem po kolei podniósł obie powieki i obejrzał źrenice. Klepnął Falconiego w twarz, lecz ranny nie zareagował. Halder popatrzył na Rachel, zajęętą oczyszczaniem rany.

* Nie wygląda to dobrze. Stracił przytomność i ma słaby puls.

* Czy możemy coś zrobić?

Halder skinął na Achmeda, który stał przy łóżku z Kleistem i Doringiem.

* Chyba macie w wiosce kogoś, kto zna się na leczeniu? Achmed wzruszył ramionami.

* Jest tu taka starucha, która robi za akuszerkę i ma czelność nazywać siebie pielęgniarką. Moim zdaniem jest beznadziejna. Poza tym ma jęzor jak stąd do Kairu. Zanim się obejrzy, cała wioska dowie

się, kim jesteście.

* Ile czasu potrwa sprowadzenie lekarza?

* Parę godzin, o ile nie pojechał na wezwanie. Ale nawet jeśli nie, nie możecie go tu przywieźć. To byłoby zbyt niebezpieczne, a w dodatku na pewno poinformowałby wojsko.

* On ma rację * wtrącił Kleist. * Nasze szansę i tak są małe. Dlaczego je zmniejszać?

* Lepiej pogadaj z tą akuszerką * zwrócił się Halder do Achmeda. * Powiedz jej, że jesteśmy obcymi, którzy poprosili cię o pomoc, bo ich przyjaciel miał wypadek samochodowy. Czy ona mówi po angielsku?

* Nie.

* Zatem powiedz jej, że jestem brytyjskim oficerem.

* Ostrzegam was, że ta stara jest beznadziejna * mruknął Achmed. * Wolałbym zwrócić się do miejscowego rzeźnika.

* Żebracy nie mają wyboru. Sprowadź ją jak najszybciej.

Godzina 9.15

Starucha była bezzębna i miała co najmniej osiemdziesiąt lat. Była od stóp do głów odziana w czarne szaty, mocno zgarbiona, kuśtykała o lasce i rozdymało ją poczucie własnej ważności. Kiedy Achmed i jego żona pomogli jej wejść po schodach i znalazła się w pokoju, czujnie popatrzyła na przybyszów.

* Nazywa się Wafa * rzekł po angielsku Achmed. * Powiedziałem jej to, co kazałeś. Mówi, że postara się pomóc.

Kobieta niosła starą lekarską torbę. Pod czarną zasłoną Halder dostrzegł brązową twarz, pomarszczoną jak włoski orzech. Zauważył też, że starucha ma brudne paznokcie. Podeszła do leżącego na łóżku Falconiego, przy którym stała miska z wodą i leżały czyste ręczniki. Podwinęła rękawy i zaczęła myć ręce, jednocześnie mówiąc coś do Achmeda w dialekcie, którego Halder nie rozumiał.

* Co powiedziała?

* Nie może pracować, kiedy ktoś zagląda jej przez ramię. Chce, żeby została przy niej tylko kobieta, a pozostali mają wyjść z pokoju.

* Nie, ja zostanę * powiedział po arabsku Halder. Akuszerką wskazała mu palcem drzwi i tym razem zrozumiał,

co powiedziała:

* Mężczyźni wyjść! Wyjść!

Achmed wzruszył ramionami i rzekł po angielsku:

- * To paskudna stara wiedźma. Lepiej róbcie, co mówi.
- * Myślisz, że mogłabyś jej pomóc? * zapytał Halder Rachel.
- * Zrobię, co będę mogła.
- * Zawołaj, gdybyś potrzebowała pomocy.

Halder skinął na pozostałych i opuścili pokój. Wychodząc, zapytał akuszerkę po arabsku:

- * Zdołasz go uratować? Stara nadeła się.
- * Wafa pomagała przy narodzinach wielu dzieci z wioski i wie tyle samo, co doktor. Teraz idź. Twój przyjaciel jest w dobrych rękach.

Godzina 9.30

Achmed zaprowadził ich do brudnej kuchni na tyłach hotelu. Na stole czekał talerz ze świeżym chlebem i daktylami, nieprzyjemnie pachnący kozi ser oraz srebrny czajnik z kawą. Arab nalał każdemu filiżankę czarnego, gęstego płynu.

- * Częstujcie się. Teraz można się tylko modlić.

Halder wziął kawę, ale nie tknął jedzenia, a kiedy obaj esesmani posilali się, powiedział do Achmeda:

- * Z powodu tych kłopotów będziemy musieli zrezygnować z pierwotnego planu, zgodnie z którym miałeś zawieźć nas, jako ekipę archeologów, do Kairu. Musimy wymyślić coś innego. Masz jakieś mapy okolic Aleksandrii?

Achmed zaprzeczył.

- * Mam tylko starego bedekera, pozostawionego przez jakiegoś turystę. Ale ten przewodnik ma już ze dwadzieścia lat i mapy są niezbyt dokładne.
- * Nieważne, przynieś go.

Kiedy Achmed wyszedł, Kleist przełknął kęs chleba z serem i otarł dłonią usta.

- * Rozmawialiśmy o tym z Doringiem. Nie powinniśmy tu długo zostawać. W każdej chwili może się zaroić od patroli. Lepiej rozdzielmy się na dwie grupy i spróbujmy osobno dotrzeć do Kairu. W ten sposób zwiększymy nasze szanse. Pozostanie razem byłoby samobójstwem.
- * Co proponujesz?
- * Ty z dziewczyną, a ja z Doringiem * odparł Kleist. * Chyba że wybierzesz inny skład.

Halder namyślał się przez chwilę.

* A co z Falconim?

* Nadal twierdzą, że zabieranie go ze sobą byłoby błędem. Zostawmy go tutaj. Jeśli Anglicy go tu znajdą, przynajmniej będzie miał dobrą opiekę lekarską.

Halder pokręcił głową.

* Najpierw zobaczymy, co zdołała ta stara. Na razie chcę zobaczyć mapę i porozmawiać z Achmedem. On zna ten teren lepiej niż my.

Achmed wrócił z postrzępionym przewodnikiem. Rozłożył go na stole i pokazał palcem miejsce na jednej z map.

* Jesteśmy tutaj. Stąd jest jakieś trzydzieści kilometrów do Aleksandrii, jeśli wybieriecie drogę lądem. Do miasta prowadzi kilka podrzędnych dróg, możecie też pojechać wzdłuż brzegu i dotrzeć tam od strony morza, ale to dłuższa trasa. Jadąc główną drogą samochodem, będziecie w Aleksandrii za niecałą godzinę.

Halder studiował mapę.

* Czy w najbliższej okolicy stacjonują jakieś oddziały wojska?

* Od czasu, gdy ustały walki * nie. Najbliższy obóz znajduje się w Amirii, jakieś dwadzieścia kilometrów stąd.

* Ilu jest w nim żołnierzy?

* Co najmniej kilkuset. To dość duża baza.

* Czy zagląдают czasem do wioski? Achmed wzruszył ramionami.

* Od czasu do czasu przejeżdżają tędy. Kiedy jednak dowiedzą się, co zrobiliście z ich towarzyszami, rzucą się w pogoń jak sfora ogarów.

* Dlatego jak najszybciej musimy stąd odjechać. Może już rozpoczęli poszukiwania.

Achmed poskrobał się po szczęce.

* Wygląda na to, że macie dwa wyjścia. Oto pierwsze. Siedem kilometrów od wioski biegnie stary szlak, używany kiedyś przez arabskie karawany kupieckie. Dżipem byłaby to powolna, męcząca jazda po nierównym terenie i moglibyście ugrzęznąć w piasku, ale po drodze jest kilka oaz, gdyby zabrakło wam wody. Po dziesięciu godzinach dotarlibyście do Kairu.

* A drugie wyjście?

* Mogliście dojechać tam pociągiem, który kursuje cztery razy dziennie. Jest też linia kolejowa biegnąca

wzdłuż wybrzeża, na północy. Najbliższą stacją jest El Hauwarija, jakieś piętnaście kilometrów stąd. Jeśli pytacie mnie o radę, to chyba najlepszy sposób, żeby dostać się do Aleksandrii. Wojsko na pewno ustawi blokady na głównych drogach. Pociągi jeżdżą dość często i zawiozą was na dworzec główny, gdzie złapiecie połączenie do Kairu. Może wojsko już was szuka. Jeżeli nie, powinniście dotrzeć tam bez problemów. W przeciwnym razie niech Allah ma was w opiece.

Kleist miał wątpliwości.

* Jeśli mamy się rozdzielić, to Doring i ja wolelibyśmy pojechać przez pustynię. Firma wiertnicza, dla której pracowałem, działała na południe stąd, więc dość dobrze znam tę okolicę. To rzeczywiście trudny teren, ale przy odrobinie szczęścia i mając dobry samochód, powinniśmy dojechać do celu.

Halder pokręcił głową.

* Na pustyni będziecie zbyt odsłonięci. Z pewnością wypatrzą was z powietrza.

* Możliwe, ale musimy wziąć pod uwagę jeszcze coś. Mówisz po angielsku lepiej od nas. Masz szansę się wyłgać, jeśli napotkasz posterunek kontrolny. Ja i Doring nie. Wolałbym spróbować szczęścia na pustyni.

* Na pewno chcecie podjąć takie ryzyko?

* Bądźmy szczerzy. Bez nas, tylko z dziewczyną, będziesz miał większe szansę, my sami też. Dwoje to para, czworo to tłum.

* Chyba masz rację. A co ty o tym sądzisz, Doring? Na pewno tego chcesz?

* Tak czy siak, możemy mieć kłopoty. Z całym szacunkiem wolę jechać z majorem Kleistem.

* Doskonale. Frdulein i ja spróbujemy dojechać pociągiem do Aleksandrii, a potem do Kairu. * Halder zwrócił się do Achmeda: * Wygląda na to, że rozdzielimy się na dwie grupy. Będziemy potrzebowali dodatkowego środka transportu.

Achmed już opłakiwał w duchu utratę ukochanego fiata. Westchnął.

* Trudno, weźcie moją furgonetkę. Gdyby ktoś o nią pytał, zawsze mogę powiedzieć, że mi ją skradziono.

* Wyglądałoby podejrzanie, gdybyśmy wyjechali nią z wioski * stwierdził Kleist. * Lepiej podwieź nas i pokaż drogę.

* To siedem kilometrów stąd. Jak mam tu wrócić?

* Na nogach * rzucił szorstko Kleist.

Achmedowi wcale nie podobał się ten pomysł, ale wiedział, że w ten sposób najszybciej pozbędzie się tych dwóch Niemców.

* No? * zapytał Halder. Achmed niechętnie skinął głową.

* Jeśli trzeba...

Kleist oddał Halderowi kluczyki od dżipa.

* Nic tu po nas, a im dłużej będziemy zwlekać, tym mniejsze mamy szansę. Ruszamy natychmiast.

Halder skinął na Doringa.

* Idź z Achmedem. Przenieście wasze rzeczy z dżipa i przygotujcie furgonetkę. I pamiętajcie, żeby zabrać zapas wody.

Tamci wyszli, pozostawiając Haldera i Kleista.

* Jeśli dotrzecie do Kairu, wiecie, jak i gdzie skontaktować się z naszym człowiekiem * rzekł Halder. * Gdybyśmy zostali schwytani, nie wolno nam powiedzieć niczego, co zagroziłoby powodzeniu naszej misji. Słyszałeś, co powiedział Schellenberg: wszystko zależy od nas. Nie zrezygnujemy, chyba że zostaniemy schwytani lub zabici. Życzę wam powodzenia.

* Ja wam też. Chociaż nigdy nie przypuszczałem, że to powiem, Halder. Wydaje się jednak, że nam wszystkim będzie potrzeba sporo szczęścia.

* Nadal uważam cię za parszywego drania, Kleist. Esesman uśmiechnął się.

* Może następnym razem spotkamy się w piekle. Dopilnuję, żeby kotlet ze smolą był przygotowany i dobrze podgrzany.

Wrócił Achmed.

* Mój syn pomaga twojemu przyjacielowi załadować furgonetkę * powiedział do Kleista. * Jeśli pójdziesz ze mną, dam ci kilka kanistrów z wodą i trochę żywności.

* Czy zawiadomiłeś Berlin, że nie przybyliśmy na miejsce spotkania? * zapytał Halder.

Achmed skinął głową.

* Zaraz po powrocie z lotniska. Powiedziałem im, że nie zjawiliście się.

* Zanim odjedziecie, wyślij następną wiadomość. Wyjaśnij, co się stało, ale przekaż tylko najważniejsze fakty oraz że staramy się wykonać zadanie. * Halder wsunął przewodnik do kieszeni. * Zatrzymam bedekera, jeśli można.

* Jeśli chcesz.

W tym momencie drzwi do kuchni otworzyły się na oścież i stanęła w nich Rachel. Miała ponurą minę.

* Lepiej chodźcie na górę.

Rozdział 35

Godzina 11.10

Na widok trupów Weaverowi zebrało się na mdłości. Sanson wszedł za nim do kabiny.

* Jezu Chryste!

Kiedy Weaver doszedł do siebie, uklęknął i obejrzał zwłoki.

* Ciała są jeszcze ciepłe.

W kabinie panował bałagan, podłogę pokrywała warstwa śmieci. Poszli z Sansonem do kokpitu. Drugi pilot nadal przypięty był pasami do fotela. Twarz miał wykrzywioną groteskowym grymasem agonii, a wokół wielkiej rany w jego boku brzęczały muchy. Sanson przeszukał kieszenie kombinezону, znalazł dokumenty i dwa identyfikatory, zawieszane na łańcuszku na szyi.

* Według tych dokumentów to porucznik amerykańskich sił powietrznych.

Weaver obejrzał papiery. Wyglądały na prawdziwe. Zauważył ślady krwi, ciągnące się od fotela pierwszego pilota do drzwi.

* Wygląda na to, że ktoś był ciężko ranny.

Wyszli na zewnątrz. Porucznik z kierowcą wysiedli z dżipa i podeszli do nich.

* Czy coś się stało, panie pułkowniku? Sanson z ponurą miną wskazał na samolot.

* Zajrzyjcie do środka.

Gdy po chwili wyszli z kabiny, porucznik powiedział:

* Ci dwaj w kabinie to chyba nasi, panie pułkowniku. Mają na sobie wojskową bieliznę.

* Zauważyłem * odparł kwaśnym tonem Sanson. * Przeszukajcie samolot, może uda wam się coś znaleźć.

* Tak jest, panie pułkowniku.

Kiedy porucznik przeszukiwał wrak, Sanson zapalił papierosa.

* Ci, którzy zastrzelili tych chłopców, to zimni dranie! * rzucił gniewnie. * Nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z niemieckimi agentami. Papiery drugiego pilota może wydają się prawdziwe, ale założę się, że są doskonale podrobione. No cóż, nie stój tak, Weaver, rozejrzyj się lepiej wokół.

Wściekle kopnął kawałek skrzydła, a Weaver poszedł obejrzeć ślady na piasku, które zauważył wcześniej. Prowadziły do samolotu i wydawało się, że pozostawił je jeden pojazd, lecz piasek był zbyt suchy i pylisty, aby zostały na nim odciski stóp. Kiedy Sanson podszedł do niego, Weaver pokazał mu koleiny.

* Spróbuję zgadnąć, co się stało. Ci dwaj w środku zauważyli wrak i podjechali go sprawdzić. Zastrzelono ich i skradziono im mundury oraz samochód.

Sanson skinął głową.

* Co oznacza, że mamy do czynienia co najmniej z dwoma ludźmi. Jeden z nich jest ranny... prawdopodobnie pilot.

Zawołał porucznika i razem zaczęli studiować mapę.

* W promieniu trzydziestu kilometrów jest niewiele wiosek * powiedział porucznik. * Najwyżej tuzin.

* Czy w którejś z nich jest lekarz albo szpital?

* Najbliższy szpital znajduje się w Aleksandrii. Ale w wojskowym obozie w Amirii chyba powinien być lekarz. I chyba jest tu jeszcze jeden, który opiekuje się mieszkańcami tych wiosek.

* Jak daleko stąd do Amirii?

* Około trzydziestu kilometrów, może mniej.

* Proszę nawiązać z nimi łączność i wyjaśnić im sytuację. Niech sprawdzą, czy w ciągu ostatnich kilku godzin ktoś wzywał lekarza, wojskowego lub cywilnego. Poza tym potrzebujemy ludzi, żeby przetrząsnąć wszystkie okoliczne wioski. Chcę wiedzieć, czy jakiś lekarz lub ktoś znający się na medycynie opatrywał dziś rano rannego, zwłaszcza noszącego mundur. Potem niech się pan połączy z dowództwem. Chcę rozstawić posterunki kontrolne na wszystkich drogach prowadzących do Aleksandrii. Szukamy skradzionego pojazdu, prawdopodobnie wojskowego dżipa, wiozącego rannego. Nie wiemy, ile osób nim jedzie, ale co najmniej dwie, przypuszczalnie w skradzionych mundurach. To agenci wroga, uzbrojeni i bardzo niebezpieczni.

* Tak jest, panie pułkowniku.

* I niech pan sprawdzi, czy zgłoszono zaginięcie jakiegoś patrolu.

Porucznik pobiegł do dżipa.

* Sami zaczniemy poszukiwania w najbliższej wiosce * powiedział Sanson do Weavera. * Na takim terenie nie ma wielu miejsc, w których można się ukryć. Powinniśmy szybko ich znaleźć. Chyba że już dotarli do Aleksandrii. Jak się nazywa dowódca porucznika w głównej kwaterze w Aleksandrii?

* Kapitan Myers.

* Jeden z nas powinien wrócić i kierować poszukiwaniami w mieście, na wypadek gdyby tu nie dopisało

nam szczęście. * Sanson spojrział na kadłub samolotu. * Rozejrzyjmy się tam jeszcze raz, żebyśmy czegoś nie przeoczyli.

Ponownie weszli do kokpitu. Tym razem Weaver zauważył brak apteczki, kałuże krwi pod fotelem pierwszego pilota i wygięty pedał sterów. Kiedy wrócił do kabiny, zobaczył zgniecioną białą apaszkę, leżącą na podłodze. Podniósł ją i ujrzał plamy krwi na bawełnie.

Sanson podszedł do niego.

* Znalazłeś coś? * zapytał. Weaver pokazał mu apaszkę.

Godzina 9.45

Kiedy weszli do sypialni, Halder zobaczył zakrwawione prześcieradła i stojącą nad Falconim staruchę, która rozpaczliwie i bezskutecznie usiłowała zatamować ciekący z rany strumyk krwi.

* Co tu się dzieje, do diabła? * zawołał Halder.

* Ona sama nie wie, co robi * powiedziała Rachel. * Spowodowała jeszcze większy krwotok, a teraz nie może go zatamować.

* Zostaw go * rozkazał Halder po arabsku.

* To nie moja wina * zaprotestowała stara, oskarżycielsko pokazując palcem na Rachel. * Nie zrobiła tego, co jej mówiłam. Jeśli on umrze, to będzie jej wina.

* Nie mówcie, że was nie ostrzegałem * wtrącił Ach*med. * Ta stara wrona to idiotka. Możecie być pewni, że to jej wina. * Skinął na żonę. * Zabierz tę głupią sukę na dół.

W tym momencie Falconi odzyskał przytomność. Szeroko otworzył oczy i cicho jęknął. Halder z przerażeniem spostrzegł, że tętnica w nodze znów się otworzyła.

* Dajcie mi ręcznik, szybko! * zawołał.

Rachel podała mu ręcznik i sprawdziła puls Włocha, podczas gdy Halder ponownie założył mu opaskę uciskową powyżej kolana. Krwawienie ustało.

* Lepiej wezwij tego lekarza * powiedział w końcu Halder do Achmeda. * Później będziemy martwić się o konsekwencje.

* Przecież pańscy koledzy...

* Ruszaj się, już!

* Jack...

Halder odwrócił się i zobaczył, że Rachel puściła rękę Włocha. Głowa Falconiego opadła na bok.

* Obawiam się, że już za późno. Nie żyje.

Godzina 10.20

Kiedy siedzieli sami w kuchni, Halder zapalił papierosa i powiedział:

* Vito był dobrym człowiekiem. Jednym z najlepszych, jakich znałem. Ta cała przeklęta wojna to czyste szaleństwo. Śmierć za śmiercią... i po co?

* Przykro mi. Robiłam tylko to, co kazała mi stara. Zupełnie się pogubiła.

* Nie obwiniam cię. Na pewno robiłaś, co mogłaś. * Powiedział jej o zmianie planu. * Pojedziemy do Aleksandrii sami, tylko we dwoje. Módl się, żebyśmy zdążyli tam dotrzeć, zanim zaczną nas szukać.

Do kuchni wszedł Achmed, a za nim Kleist z Doringiem.

* Stara wrona poszła sobie, oskarżając wszystkich oprócz siebie. Jest w takim nastroju, że zaraz rozgada o tym całej wiosce.

* Może to i lepiej, że Włoch nie żyje * zauważył Kleist. * Bardzo komplikował sytuację.

Halder obrzucił go ponurym spojrzeniem, ale zignorował ten komentarz i zapytał Achmeda:

* Wysłałeś wiadomość?

* Przed chwilą. Jednak za dnia sygnał może nie dojść. Miejmy nadzieję, że Berlin otrzyma wiadomość.

* Powtórz nadawanie po powrocie i jeszcze raz w nocy, aby mieć całkowitą pewność. Co zrobimy z ciałem naszego kolegi?

* Po drodze pochowamy go na pustyni.

* Zróbcie to porządnie * przykazał Halder Kleistowi. * Nie zostawiajcie go sępom, słyszysz? * Zdusił papierosa i dodał: * Lepiej już ruszajmy.

Poszli na górę po ciało Falconiego, zawinęli je w brudne prześcieradła, a potem Achmed zaprowadził ich na podwórze z tyłu hotelu. Kiedy umieścili zwłoki na pace furgonetki, pojawił się syn Achmeda i otworzył bramę. Halder i Rachel wsiedli do dżipa.

Arab usiadł za kierownicą fiata, obok Kleista i Doringa, a potem wychylił się przez okienko i pomachał Halderowi.

* Allach z wami, przyjaciele!

Halder również mu pomachał, uruchomił dżipa i wyjechali za bramę.

Achmed patrzył, jak znikają w tumanie kurzu. Splunął przez okno. Biedni głupcy, pomyślał. Nie macie żadnych szans.

* No, na co czekasz? * szturchnął go łokciem w żebra Kleist. * Ruszaj!

Achmed zapuścił silnik i ruszył.

Rozdział 36

Berchtesgaden, 21 listopada, godzina 16.30

Po południu tego samego dnia, trzy tysiące kilometrów dalej, wśród porośniętych lasami szczytów austriackich Alp, w Orlim Gnieździe, będącym górską kwaterą Hitlera, odbywała się ożywiona narada. Uczestniczyli w niej marszałkowie polni Wehrmachtu, dwaj admirałowie Kriegsmarine i Herman Göring, dowódca Luftwaffe. Wszyscy przybyli specjalnie z Berlina z nieprzyjemnym zadaniem przekazania złych wiadomości.

Stali w wielkiej, wyłożonej drewnianą boazerią sali przeznaczonej do takich spotkań. Za oknami było widać piękny krajobraz Tyrolu, czyste niebo i pogodny jesienny dzień, ale nikt nie miał głowy do podziwiania widoków. Marszałek polny Gerd von Rundstedt, głównodowodzący niemieckich wojsk na Zachodzie, przemawiał jako ostatni i podsumowując wszystkie raporty sytuacyjne Wehrmachtu, unikał wzroku Hitlera.

* Przypomnę główne punkty. Nasze armie prowadzą energiczne działania opóźniające na froncie wschodnim, na zachód od Dniepru, a także na południe od Rzymu. * Postukał wskaźnikiem w mapę, rozłożoną na wielkim, nakrytym suknem stole. * Stwierdzam również, że aktywność ruchu oporu we Francji, Norwegii, Holandii i na Bałkanach sprawia nam coraz większe problemy. * Spojrzał na stojącego po przeciwnej stronie gniewnie skrzywionego Hitlera. * Oczywiście, mein Führer, przezwyciężymy te chwilowe trudności * dodał szybko. * Jednak zależy to od posiłków i dostaw. Alianci coraz częściej przerywają nasze linie zaopatrzenia na morzu i w powietrzu. Kończą nam się zapasy.

* Mówi pan o działaniach opóźniających, a myśli o odwrocie. Nasze armie wycofują się.

Von Rundstedt zobaczył kosę spojrzenie Hitlera i spieszył się.

* No cóż, mein Führer, właściwie tak, ale...

Hitler uciszył go gestem, a potem gniewnym wzrokiem zmierzył admirałów Kriegsmarine i powiedział oskarżycielskim tonem:

* W ciągu ostatnich czterech miesięcy straciliśmy sześćdziesiąt U*bootów. Zdaje się, że dobrze

pamiętam?

* To również kwestia dostaw i uzupełnień, mein Fuhrer * odparł nerwowo jeden z admirałów. * Od kiedy Ameryka przystąpiła do wojny, alianci mają przewagę liczebną. Bombardują nawet te nasze okręty, które naprawiamy w dokach.

Hitler stał z założonymi rękami i z pogardliwą miną popatrzył na Göringa.

* A co na to powie pan marszałek? Gdzie te śmiałe naloty, które obiecał poprowadzić na Londyn? Ten stalowy pierścień, jakim miał otoczyć Niemcy? A może Luftwaffe boi się ostatnio latać?

Goring, którego opasłe cielsko wyglądało groteskowo w białym mundurze, odchrząknął.

* Robimy, co możemy, mein Fuhrer, ale admirał ma rację. Przeciwnik ma przytłaczającą przewagę. Nasze rezerwy są tak skromne, że nie możemy utrzymać panowania w powietrzu. * Goring rozpaczliwie silił się na optymistyczny ton: * Jednak wkrótce otrzymamy nowe rakiety V*1 i myśliwce z silnikami odrzutowymi. Jestem przekonany, że dzięki nim uzyskamy przewagę.

* Interesuje nas dzień dzisiejszy, a nie to, co będzie za sześć miesięcy * prychnął Hitler, wzgardliwym gestem zbywając odpowiedź Göringa. * Wymówki. Stać was tylko na wymówki. Mówicie, że robicie, co możecie, ale to za mało. * Jego głos przeszedł w histeryczny wrzask: * Głupcy! Wobec takiej niekompetencji jaką możemy mieć nadzieję, gdy alianci rozpoczną inwazję na zachodzie? Kiedy przyjdziecie tu następnym razem, nie chcę słyszeć wymówek, tylko rozwiązania, czy to jasne? Teraz idźcie! Możecie odejść, wszyscy!

Gdy upokorzeni oficerowie opuścili pokój, Hitler osunął się na obity skórą fotel. Po chwili do sali wszedł adiutant i trzasnął obcasami.

* Reichsfiihrer Himmler i generał Schellenberg pilnie chcą się z panem widzieć, mein Fuhrer.

Hitler pobałdł z wściekłości.

* Pewnie kolejne złe wiadomości. * Wstał i otarł ślinę z ust. * Bardzo dobrze, wprowadź ich.

Wszedł Himmler, a za nim Schellenberg. Obaj unieśli ramiona w hitlerowskim pozdrowieniu, ale Hitler machnięciem ręki kazał im usiąść.

* Widzę, że uśmiech nadal nie schodzi ci z twarzy, Walterze * zauważył. * Nigdy nie wiem, czy przynosisz dobre wieści, czy złe.

* To moja okropna wada, mein Fiihrer * uśmiechnął się Schellenberg. * Jednak panie uważają ją za atrakcyjną.

Nie zdołał jednak rozbawić Hitlera, który z ponurą miną spojrzął na Himmlera i zapytał:

* No, o czym chcieliście ze mną mówić?

* Mein Fiihrer, mamy wiadomości o operacji „Sfinks”. Hitler ożywił się, na chwilę zapominając o zbierających się

nad Rzeszą czarnych chmurach.

* To nasza jedyna nadzieja. No co, przynosicie dobre wieści, czy też, tak jak wszyscy moi generałowie, przysłiście tylko biadolić? Ostrzegam was, że tego nie zniosę.

Himmler ostrożnie poprawił pince*nez na nosie.

* Samolot przewożący naszych agentów został dziś rano zauważony i zaatakowany przez aliancki myśliwiec, po czym rozbił się na egipskiej ziemi.

Hitler spochmurniał, ale Himmler dorzucił pośpiesznie, chcąc poprawić mu humor:

* Kiedy jednak szykowaliśmy się do wyjazdu z Berlina, otrzymaliśmy kolejną wiadomość od naszego agenta w Abu Sammar. Najwidoczniej piloci zginęli, ale Halder i troje pozostałych wyszli z katastrofy bez szwanku i zdołali nawiązać kontakt.

Hitler zerwał się z fotela i zaczął gniewnym krokiem przechadzać się po sali.

* Kolejne niepowodzenie! Czy to nigdy się nie skończy?

* Może niezupełnie niepowodzenie, mein Fiihrer * powiedział Himmler. * Wydaje się, że Halder zamierza wykonać zadanie.

Hitler natychmiast go zaatakował.

* A co z aliantami? Przecież to nie są głupcy. Jeżeli odkryją, co się stało, na pewno postarają się wytropić naszych ludzi.

* Tylko wtedy * próbował uspokoić go Himmler * gdyby zdawali sobie sprawę z naszych zamiarów, co jest raczej nieprawdopodobne. Użyliśmy amerykańskiej dakoty i to powinno na jakiś czas zbić ich z tropu, bo, podobnie jak nam, aliantom również zdarza się omyłkowo strącać własne samoloty. A skoro Halder zamierza wykonać swoje zadanie, najwidoczniej jest przekonany, że ma jeszcze szansę dotrzeć do Kairu.

Hitler westchnął i podszedł do okna.

* Taki początek źle wróży i to mi się nie podoba. Poinformowaliście o tym wszystkim Canarisa?

* Wie o strąceniu samolotu, ale nie zna ostatnich wiadomości. Walter zawiadomi go, kiedy wrócimy do Berlina.

Hitler skrzywił się pogardliwie.

* Nie ufam temu człowiekowi. Jestem przekonany, że za moimi plecami rozpowszechnia pogłoski, że wojna jest przegrana, a ja jestem szaleńcem. Jeśli mu to udowodnię, drogo mi za to zapłaci. * Spojrzał na Schellenberga. * Mimo wszystko ten jego Halder wygląda na zdolnego człowieka.

* To jeden z najlepszych ludzi Abwehry i doskonale nadaje się do tego zadania. Jeżeli ktoś może je wykonać, to tylko on.

* A co z tym Żydem, Rooseveltem?

* Prawdopodobnie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin przybędzie do Kairu. Nasz agent w Oranie donosi, że wczoraj o siódmej rano „Iowa” wypłynął z algierskiego portu.

* I nasze U*booty nie zdołały go zatopić * stwierdził z goryczą Hitler, którego Himmler już poprzedniego wieczoru zawiadomił o tym niepowodzeniu.

* Nasze wilcze stada wielokrotnie usiłowały podejść do krążownika, mein Fiihrer, ale „Iowa” miał tak silną osłonę i tak często zmieniał kurs, że nie było to możliwe.

Hitler przez dłuższą chwilę stał przy oknie z założonymi rękami, patrząc na góry i kotysząc się na palcach, jakby rozważał sytuację. Po chwili odwrócił się do Himmlera.

* Więc „Sfinks” jest naszą ostatnią nadzieją * powiedział.

* Taka misja zawsze napotyka jakieś trudności * odparł Schellenberg. * A nasze ostatnie problemy nie poprawiają sytuacji. Jestem jednak przekonany, że są duże szanse na to, iż Halder wykona zadanie.

Hitler uderzył pięścią w otwartą dłoń i podniósł głos do krzyku.

* Duże szanse to za mało! Jeśli alianci uzgodnią termin

inwazji, wojna będzie przegrana. Śmierć Roosevelta dałaby Niemcom najcenniejszą rzecz: czas. Nasz przemysł miałby cały rok. Ten rok pozwoliłby nam wygrać wojnę. Dlatego ta misja musi się powieść. Od tej chwili macie mnie informować natychmiast o wszystkim, co dotyczy operacji „Sfinks”. Natychmiast!

* Z całym szacunkiem, mein Fuhrer * przerwał mu spokojnie Schellenberg. * Nawet jeśli Halder nas zawiedzie, mamy jeszcze jednego asa w rękawie.

Hitler otarł ślinę z ust i spojrzał na niego groźnie.

* Lepiej módlcie się, żeby ten wasz as zrobił swoje. Od*maszerować.

El Hauwarija,

30 kilometrów na zachód od Aleksandrii,

godzina 11.25

Halder zatrzymał dżipa pod białym murem stacji kolejowej. Podczas prawie godzinnej jazdy przez

pustynię nie napotkali żadnych posterunków kontrolnych, a kiedy wjechali do El Hauwarii, nikt nie zwrócił na nich większej uwagi. Z trzech stron rozciągała się płaska, pustynna równina, z czwartej widzieli turkusową toń odległego Morza Śródziemnego. Ta wioska była większa i bardziej gwarna od Abu Sammar, ale równie nędzna, z kiepsko wybrukowanymi uliczkami, podłymi hotelikami oraz wielbłądzim targiem, odbywającym się na zatłoczonym głównym placu, który minęli po drodze.

Na stacji panował spokój, ale Halder zauważył dżipa żandarmerii polowej, zaparkowanego przy krawężniku.

* Niezbyt to obiecujące. Zaczekaj tu, a ja pójdę się rozejrzeć.

* Nie mogłabym pójść z tobą?

* Lepiej nie. Mogą być kłopoty. Samotny oficer nie zwróci niczyjej uwagi, ale piękna kobieta u jego boku na pewno przyciągnie wiele spojrzeń. * Uśmiechnął się i wysiadł z dżipa, po czym poprawił pas z rewolwerem. * Nie rób takiej zmartwionej miny. A gdyby ktoś pytał, powiedz, że czekasz na swojego przyjaciela, który wszedł do środka.

Na dworcu było pełno czekających na peronach podróżnych, głównie arabskich wieśniaków w znoszonych galabijach, lecz

kiedy Halder podszedł do kasy biletowej, dostrzegł stojących z boku dwóch uzbrojonych brytyjskich żandarmów, z czerwonymi opaskami na kapeluszach i w białych podkołanówkach. Jeden z nich, kapral, miał pistolet maszynowy Steń. Towarzyszący mu sierżant uważnie przyglądał się przechodzącym obok pasażerom. Halder udał, że sprawdza wiszący na ścianie rozkład jazdy, ale zanim zdążył odejść, sierżant podszedł do niego i zasalutował.

* Dzień dobry, panie kapitanie. Wolno zapytać, dokąd pan jedzie?

Halder zmarszczył brwi, oddał honory i powiedział z wyraźnym akcentem angielskich wyższych sfer:

* Z jakiego powodu, sierżancie? Co się stało? Tamten spojrzał na niego, ociągając się z odpowiedzią.

* No, sierżancie, zadałem wam pytanie * naciskał Halder.

* Niedaleko stąd miał miejsce przykry incydent * odparł sierżant. * Dwaj brytyjscy żołnierze zostali zamordowani przez agentów wroga.

* Wielki Boże!

Halder zauważył, że drugi żandarm zerknął na niego, sprawdzając dokumenty wchodzącej na peron pary.

* Nadal jednak nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie kapitanie * stwierdził sierżant. * Wyjeżdża pan?

Halder zaprzeczył.

* Raczej nie, mam się z kimś spotkać. Chyba jednak pomyliłem godziny. Pewnie przyjedzie następnym pociągiem.

* Przykro mi, panie kapitanie, ale muszę pana prosić o okazanie dokumentów.

* Oczywiście, to zrozumiałe. * Halder zaczął grzebać w kieszeni, udając, że szuka papierów, i gorączkowo zastanawiając się, czy w razie potrzeby zdoła zastrzelić obu żandarmów. * Znacie nazwiska tych dwóch zabitych? Może to moi znajomi.

* Jeszcze nie, panie kapitanie. Jednak na pewno nam je podadzą.

Halder okazał dokumenty i wyciągnął rękę, żeby je zabrać, zanim sierżant zdąży spojrzeć na fotografię, ale żandarm wcale nie zamierzał oddać mu papierów. Spod daszka czapki spojrział na niego czujnymi oczami.

* Kapitan Jameson, tak?

* Oczywiście.

* Jest pewien problem z tym dokumentem. Serce zamarło Halderowi w piersi.

* Jakiego rodzaju?

* Tydzień temu stracił ważność * oświadczył sierżant. Halder natychmiast odebrał mu dokument i obejrzał go.

* Ma pan absolutną rację. Obawiam się, że przyłapał mnie pan. Zupełnie zapomniałem.

* Można spytać, gdzie pan stacjonuje, panie kapitanie?

* W Amirii * odparł z irytacją Halder. * Niech pan posłucha, czy to naprawdę konieczne? Rozumiem, że to pańska praca, a mój dokument jest nieznacznie przedatowany, ale chyba widać, że jestem Anglikiem, a nie jakimś cholernym niemieckim agentem. Jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty, proszę zadzwonić do Amirii i porozmawiać z moim dowódcą. Jeśli stary będzie w dobrym humorze, może się za mną wstawi. Tymczasem ja zaczekam tu z kapralem.

Sierżant zawahał się, niezdecydowanie wydymając usta, ale słowa Haldera uspokoiły go.

* To nie będzie konieczne, panie kapitanie. Jednak na pańskim miejscu jak najszybciej podbiłbym książeczkę.

* Oczywiście. * Halder schował dokument do kieszeni. * To okropne, że tamci dwaj faceci zginęli. Chryste, można by sądzić, że od kiedy pogoniliśmy szkopów, jest tu całkiem bezpiecznie, ale najwidoczniej nie. Ta sprawa wygląda bardzo nieprzyjemnie.

* Nieprzyjemnie to oni się poczują, kiedy ich złapiemy.

* Z pewnością ma pan rację. * Halder spojrział na zegarek i westchnął. * No cóż, chyba znajdę sobie coś

do roboty do przyjazdu pociągu. Powodzenia, sierżancie.

* Na pewno ich znajdziemy, panie kapitanie. Otrzymaliśmy wiadomość zaledwie dziesięć minut temu, kiedy przejeżdżaliśmy przez miasto, ale słyszałem, że na wszystkich drogach do Aleksandrii ustawiono posterunki kontrolne. Za cholere nie uda im się uciec.

Przygnębiony Halder opuścił dworzec, wrócił do dżipa i usiadł obok Rachel. Zdjął czapkę i otarł pot z czoła.

* Jakiś problem? * zapytała Rachel.

* Chyba można tak powiedzieć. Wygląda na to, że już nas szukają. * Przedstawił jej sytuację, a potem wyciągnął rękę

i dotknął jej dłoni. *Wszystko się pogmatwało. Nawet gdybym puścił cię samą, byłabyś w niebezpieczeństwie.

* Nie jestem tak naiwna, by sądzić, że jeśli mnie schwytają, obejdą się ze mną łagodnie. Wolę zaryzykować razem z tobą. Jesteś pewny, że w żaden inny sposób nie dostaniemy się do Aleksandrii?

* Nie. Drogi będą dokładnie kontrolowane. Jakąkolwiek z nich wybierzemy, wpadniemy prosto w pułapkę. * Wskazał na północ, w kierunku morza. * Moglibyśmy spróbować dotrzeć do wybrzeża i tam ukraść łódź, ale nie dołynęlibyśmy daleko, zanim zgłoszono by kradzież. A na wodzie stanowilibyśmy idealny cel.

* Więc musimy jakoś wsiąść do tego pociągu. Jeśli będziemy tu czekać, na pewno nas złapią.

* Moglibyśmy dogonić go dżipem i próbować wskoczyć, ale wtedy wszystko by się wydało. * Halder potrząsnął głową. * Nic innego nie przychodzi mi do głowy, chyba że pozbylibyśmy się tych dwóch facetów pilnujących wejścia...

* Jak im wytłumaczyłeś swoją wizytę na dworcu? Kiedy Halder jej to wyjaśnił, usłyszeli gwizd parowozu.

W oddali dostrzegli gęstą chmurę dymu.

* No i co, masz jakieś propozycje? Spojrzała na dżipa żandarmerii.

* Tylko jedną. Ale nie wiem, czy to się uda.

Rozdział 37

Rachel zauważyła obu żandarmów, gdy tylko weszła na dworzec. Sierżant podszedł do niej.

* Pani wybacz... Czy pani wyjeżdża?

* Tak, a dlaczego pan pyta?

* Dokąd?

* Do Aleksandrii.

* Czy mogę zobaczyć pani dokumenty? Rachel udała, że szuka ich w torebce.

* Przykro mi, ale chyba ich nie wzięłam. Widzi pan, wybiegłam dziś rano w takim pośpiechu, że zapomniałam papierów.

* Jest pani Angielką?

* Jestem z Afryki Południowej.

* A co pani robi w tym miasteczku? * zapytał sierżant.

* Przyjechałam wcześniejszym pociągiem i miałam się tu spotkać ze znajomym, ale nie zjawił się.

* Jak się nazywa? Rachel zmarszczyła brwi.

* Hm, może wyjaśniłby mi pan, o co tu chodzi?

* To nie pani sprawa.

* Owszem, moja, jeśli mnie zatrzymujecie * odpaliła Rachel i zerknęła na stojącego przy wejściu na perony kaprała. * Szukacie kogoś, prawda?

Sierżant uniósł brwi.

* Dlaczego pani pyta?

* Mój ojciec jest pułkownikiem, służy w Kairze. Łatwo

zauważyć, kiedy wojskowi biorą się do roboty... są tacy podnieceni. Kogo lub czego szukacie?

* To zastrzeżona informacja, panienko. Poza tym muszę sprawdzić pani tożsamość. Inaczej nie pozwolę pani odjechać.

* Nie mogę panu pomóc, chyba że zadzwoni pan do mojego ojca, do Kairu. Niech pan posłucha, i tak miałam dziś paskudny ranek... Przyjechałam tu spotkać się z moim przyjacielem, a on wystawił mnie do wiatru. Nazywa się kapitan Jameson i stacjonuje w Amirii. Może moglibyście połączyć się z obozem i sprawdzić, co się stało? Jeżeli tam jest, na pewno potwierdzi moją tożsamość.

* Jameson? * Sierżant zmarszczył brwi. * Był tu zaledwie pięć minut temu. Myślał, że pomyliły mu się pociągi. Powiedział, że jeszcze tu wróci.

* Naprawdę? * Rachel odetchnęła z udawaną ulgą. * No, dzięki Bogu, a już myślałam, że jechałam na darmo.

Na peronie podróżni przyciągali bagaże bliżej toru. Słysząc już było ciche dudnienie metalowych kół. Rachel powiedziała do sierżanta:

* Mam nadzieję, że nią weźmie mi pan tego za złe, ale był pan tak miły... Czy to wasz dżip stoi na zewnątrz?

* Dlaczego pani pyta?

* Kiedy tu wchodziłam, widziałam dwóch podejrzanie zachowujących się mężczyzn. Podjechali na stację dżipem, a kiedy zobaczyli wasz samochód, wpadli w panikę. Przesiedli się do zaparkowanego w pobliżu cywilnego auta i szybko odjechali. To było bardzo dziwne.

Sierżant ożywił się.

* Jak wyglądali?

* Wszystko wydarzyło się tak szybko... Nie zdążyłam im się przyjrzeć. Jeden z nich był w oficerskim mundurze, a drugi w cywilnym ubraniu. Tylko tyle pamiętam.

Sierżant wyjął pistolet z kabury. Za nim, w szczęku żelaza i chmurach pary, wtoczyła się na peron stara lokomotywa.

* Widziała pani, w którą stronę pojechali?

* Chyba na wschód. Mam nadzieję, że nie ma mi pan za złe, że zawracam tym panu głowę?

* Wcale nie, panienko, bardzo nam pani pomogła. * Sierżant skinął na kaprala. * Idź do dżipa, Charlie, jak najszybciej. Myślę, że coś mamy.

Kapral pobiegł do wyjścia, a sierżant przyłożył dłoń do daszka czapki, zanim ruszył za nim. * Dzięki, panienko. Wielkie dzięki.

W chwilę później Halder dołączył do niej przy wejściu na peron. Rachel kupiła dwa bilety i wsiedli. Wagony były stare i brudne, śmierdziały kwaśnym potem i dymem z papierosów i były pełne hałaśliwych wieśniaczych rodzin z poupychanymi na półkach bagażami: workami i koszami produktów rolniczych, przeznaczonych na bazy i targowiska Aleksandrii. Halder i Rachel musieli przejść na sam koniec składu, zanim znaleźli wolny przedział i usiedli na twardych drewnianych ławkach. W następnej chwili pociąg ruszył.

* Niewiele brakowało. Naprawdę nie sądziłem, że nam się uda * powiedział Halder. * Jedna przeszkoda z głowy, ale ile ich jeszcze zostało? Do tej pory wojsko nie znało naszych rysopisów, ale wkrótce je pozna, kiedy ci żandarmi nie znajdą podejrzanych osobników, za którymi ich posłałaś.

* Kiedy dotrzemy do Aleksandrii?

* Jeśli nie będzie żadnych problemów, to za jakieś pół godziny. Miejmy nadzieję, że nasi dwaj przyjaciele nie potapiają się wcześniej.

* A co będzie, jeżeli na dworcu Ramleh policja też będzie sprawdzać dokumenty?

* Myślałem już o tym. Wsiądziemy jedną stację wcześniej, a resztę drogi przejedziemy tramwajem lub taksówką. Według Achmeda pociąg do Kairu odchodzi o drugiej piętnaście, więc powinniśmy mieć dużo czasu, by rozejrzeć się i sprawdzić, czy policja obstawiła dworzec.

* A jeśli tak?

* Będziemy się tym martwić, kiedy dotrzemy do Aleksandrii. Tymczasem muszę pozbyć się tego munduru. Ty też powinnaś się przebrać. Pokazałaś sierżantowi dokumenty?

* Nie.

* Dobrze, to trochę ułatwia sprawę. Nie znają twojego nazwiska. Masz w torbie jakieś kosmetyki?

* Mam.

* Postaraj się zmienić wygląd. Ja pozbędę się mojej walizki i zapakuję swoje rzeczy do twojej. Nie możemy wyglądać jak

para uciekinierów. Przy okazji, dobrze się spisałaś. Byłaś bardzo przekonująca. Ci żandarmi ruszyli dżipem, jakby miał rakietowy silnik.

* Nadal nie wiem, skąd wzięłam tyle odwagi * przyznała Rachel.

* To proste * mruknął Halder. * Znałaś alternatywę.

Rozdział 38

Kair,

godzina 13.30

Kiedy zadzwonił telefon, Harvey Deacon był w swoim gabinecie. Szybko podniósł słuchawkę.

* Deacon.

Przez chwilę słuchał, a potem powiedział:

* Jestem ci wdzięczny za pomoc, Omarze. Wiem, że mogę polegać na twojej dyskrecji. Gdybyś miał jakieś nowe informacje, natychmiast zadzwoń.

Odłożył słuchawkę na widełki i usiadł, kręcąc głową. Otarł czoło chusteczką, a potem podszedł do

jednego z okien kabiny. Zapalił cygaro, żeby uspokoić nerwy. Zauważył, że lekko trzęsą mu się ręce. Grupa agentów z Niemiec powinna była wylądować przeszło osiem godzin temu, a od dwóch być już w Kairze.

O dziewiątej rano, z panamą na głowie i świeżą różą w butonierce, poszedł do „The Pharaoh's Garden” naprzeciw dworca. Czekał na pociąg, siedząc na tarasie, pijąc kawę i czytając „Egyptian Gazette”, ale nikt się nie zjawił. Wrócił tam trzy godziny później, przed przyjazdem drugiego pociągu, jednak z tym samym rezultatem. Następny pociąg miał przyjechać dopiero po czwartej i Deacon postanowił wrócić do klubu. Miał jak najgorsze przeczucia.

Przechadzał się po pokoju, coraz bardziej zaniepokojony. Coś poszło nie tak, a teraz, kiedy już wiedział, co się stało, denerwował się jeszcze bardziej. Zdesperowany, zadzwonił do głównej kwatery Królewskich Sił Powietrznych Egiptu i zapytał o kapitana Omara Rahmana. Kapitan miał kontakty we właściwych miejscach, w policji i armii. Po dziesięciu minutach oddzwonił z budki telefonicznej. Po następnej rozmowie, pół

godziny później, Deacon otrzymał wiadomość, której się obawiał. Wojsko i policja szukały kobiety i mężczyzny, prawdopodobnie będących niemieckimi szpiegami, których samolot rozbił się na południe od Aleksandrii. Rozpoczęto szeroko zakrojone poszukiwania.

* Przetrzęsają całą Aleksandrię * powiedział mu Omar. * Nic więcej nie wiem, przyjacielu, ale to poważna sprawa.

Deacon nie miał pojęcia, gdzie zniknęli dwaj pozostali Niemcy, i wolał się nad tym nie zastanawiać, ale ta wiadomość potwierdziła jego najgorsze podejrzenia. Od początku miał wrażenie, że Berlin zbyt pośpiesznie zmontował tę operację. Teraz powstało okropne zamieszanie. Kobieta i mężczyzna, powiedział Omar. Miało ich być czworo: trzech mężczyzn i kobieta. Co się stało z pozostałymi dwoma? Z pewnością mógłby im jakoś pomóc. Jeśli jednak rozdzielili się i ruszyli różnymi trasami, straciłby dużo czasu, a czas działał przeciwko niemu. Czy zdołałby odnaleźć ich szybciej niż policja i wojsko i wywieźć z Aleksandrii? Jeżeli nie dotrą do łodzi w Rashidzie, prawie na pewno zostaną schwytani.

Przez dłuższą chwilę stał przy oknie, gorączkowo rozmyślając, aż wreszcie podjął decyzję, podszedł do przeciwległej ściany i pociągnął za sznur. Pojawił się służący.

* Efendi?

Deacon włożył panamę i wziął kluczyki od packarda.

* Wróć za godzinę, może szybciej. Pilnuj telefonu. Gdyby ktoś do mnie dzwonił, odbierz wiadomość i powiedz, że od*dzwonię.

Aleksandria, godzina 12.40

* Wygląda na to, że mogli to być ci dwaj zaginieni brytyjscy oficerowie z bazy wojskowej w Amirii,

kapitan Jameson i porucznik Grey * powiedzial kapitan Myers do telefonu.

Kiedy odložyl słuchawkę, Weaver westchnął. Siedział w biurze Myersa w głównej kwaterze żandarmerii w Aleksandrii, a Sanson prowadził poszukiwania na pustyni.

* Właśnie rozmawiałem z ich dowódcą * wyjaśnił Myers. * Zgłosił ich zaginięcie przed godziną. Dziś rano nie stawili się na służbie i pomyślał, że mogli mieć kłopoty podczas burzy piaskowej.

* Czego jeszcze się pan dowiedział? Kapitan zerknął na zapiski w notesie.

* Porucznik miał dwadzieścia jeden lat. Został powołany i przydzielony do Egiptu zaledwie miesiąc temu. Wczoraj wieczorem pojechali z kapitanem na partyjkę pokera, zorganizowaną przez znajomych w Hammamie. * Spojrzał na Weave*ra. * Prawdopodobnie zahaczyła ich burza, a potem natknęli się na wrak. Biedacy, wpakowali się w kłopoty. * Myers zamilkł na chwilę. * Mam nadzieję, że porucznik Lucas okazał się pomocny? Przepraszam, że nie mogłem tam pojechać osobiście, ale musiałem wziąć udział w naradzie.

* Oczywiście * odparł machinalnie Weaver. Przyjrzał się mapie i odnalazł Amirię. Myers wyszedł z biurka. Był niskim, krępy męczyzną o szybkich ruchach, mówiącym z wyraźnym angielskim akcentem.

* Mówił pan, że chciałby pan wiedzieć, którędy ci szpiedzy mogą uciekać. Zakładając oczywiście, że nie spróbują się ukryć w Aleksandrii.

* Nie sądzę, abyśmy mogli zakładać cokolwiek oprócz tego, że są uzbrojeni i bardzo niebezpieczni. Na ich miejscu starałbym się zagubić w największym mieście, do jakiego zdołałbym dotrzeć, a więc tutaj lub w Kairze.

Myers wskazał na plan miasta.

* W samym centrum mamy dworzec główny i tramwajowy. Nazywa się Ramleh. Pociągi do Kairu odjeżdżają cztery razy dziennie: rano, po południu, wieczorem i ostatni o północy. Można też pojechać szosą, co zajmie trzy godziny jazdy samochodem lub autobusem. Kursy do Kairu również są cztery razy dziennie, spod dworca. Podobnie jest z autobusami do wszystkich innych większych miast: Port Saidu, Rashidu i tak dalej.

* A inne możliwości? Kapitan podrapał się po głowie.

* Oczywiście zawsze pozostaje jeszcze trasa wiodąca przez pustynię, ale próba przejechania przez nią byłaby samobójstwem. Jest tam zbyt wiele pól minowych, poza tym podróż byłaby zbyt powolna. Czy mogę spytać, o co chodzi tym szpiegom? Najbliższe niemieckie oddziały znajdują się we Włoszech, a tutaj wojna się skończyła już kilka miesięcy temu. Czego oni tu szukają?

* Nie wiemy * skłamał Weaver. * Jednak musimy ich złapać.

Myers wzruszył ramionami.

* Rzecz w tym, że nie mamy pojęcia, jak wyglądają i ilu ich jest. Mówił pan, że co najmniej dwóch, może więcej.

Weaver kiwnął głową.

* Prawdopodobnie to Niemcy, ale równie dobrze mogą być Egipcjanami albo udawać Arabów.

* Zbyt mało wiemy, a to utrudni poszukiwania. Każę jednak obserwować dworzec kolejowy i autobusowy oraz główne drogi. Poproszę też o pomoc miejscową policję.

* Proszę pamiętać, że są niebezpieczni i zdesperowani. Jeśli zobaczą, że wokół roi się od żołnierzy i policjantów, mogą być kłopoty. Dlatego wasi ludzie powinni być ubrani po cywilnemu i zachować szczególną uwagę. Nie chcę tu pojedynku w stylu O.K. Corral ani trupów na ulicach. A co z tą trasą przez pustynię? Jak możemy odciąć im tę drogę ucieczki?

* To zbyt rozległy obszar, aby go skutecznie przeczesać. Spróbuję posłać tam samolot zwiadowczy.

* Proszę to zrobić. Ile lotnisk jest w Aleksandrii?

* Dwa główne i dwa mniejsze przy drodze do Port Saidu. * Myers pokręcił głową. * Są przeznaczone wyłącznie do użytku wojskowego i dobrze strzeżone. Bez przepustki i dokumentów podróży nie zdołaliby przejść przez bramę, nie mówiąc już

o dostaniu się na pokład.

* Mimo wszystko proszę ich ostrzec, na wszelki wypadek. Czy z miasta można wydostać się jeszcze inną drogą?

Myers ponownie wskazał plan.

* Z portu. Nie jest to jednak najlepszy pomysł, nawet gdyby zdołali wejść na pokład jakiegoś statku. Rejs trwałby zbyt długo

i dokąd by dopłynęli? Nasza marynarka sprawdza wszystkie cywilne jednostki w tym rejonie Morza Śródziemnego.

* Lepiej jednak posłać kilku żołnierzy, żeby pilnowali portu. Kapitan w cichym proteście podniósł oczy ku niebu.

* Mamy mało ludzi, panie pułkowniku. Będę musiał sięgnąć po ostatnie rezerwy, żeby zabezpieczyć te wszystkie punkty.

* Proszę to zrobić, panie kapitanie. Poza tym potrzebny mi dżip z kierowcą. Dworzec to najbardziej prawdopodobna trasa ucieczki, więc chcę, żeby był szczególnie dobrze pilnowany. I chcę, żeby we wszystkich hotelach i pensjonatach sprawdzono gości, którzy zameldowali się w ciągu ostatnich trzech godzin.

* Wszystkich, panie pułkowniku?

* Co do jednego, panie kapitanie. Dużych i małych. Włącznie z przytułkami.

Myers zdenerwował się.

* Przecież w Aleksandrii są ich setki. To zajmie kilka dni!

* Musicie to zrobić szybciej. Im dłużej zwlekamy, tym większe ryzyko, że znów kogoś zabiją i wymkną się z sieci.

Kapitan westchnął.

* Tak jest.

W chwili gdy miał podnieść słuchawkę, telefon zadzwonił. Myers odebrał i słuchał przez chwilę.

* Dobrze, już jadę * powiedział, po czym odłożył słuchawkę. * Mamy szczęście * oświadczył. * Zdaje się, że zauważono dwoje ludzi, których pan szuka.

Rozdział 39

Godzina 12.45

Na Corniche, słynnej ulicy biegnącej nad brzegiem Aleksandrii, było mnóstwo hoteli i nocnych klubów, ustronnych kafejek i tanich domów noclegowych. Stojące nad morzem budynki miały już za sobą dni chwały, a niektóre z tańszych hotelików były w rzeczywistości burdelami zaspokajającymi potrzeby obu płci. Na kamiennych schodkach przed nimi wysiadali przystojni młodzi Arabowie i arabskie kobiety, czekając na klientów.

Halder zdjął mundur i zapakował go do walizki, którą ukrył pod ławką, a Rachel przebrała się i umalowała. Kiedy pociąg dojeżdżał do przedmieść Aleksandrii, zobaczyli przycupnięte przy drodze białe domy z czerwonymi dachami oraz greckie restauracje z cienistymi werandami. Po drugiej stronie widać było błękitne morze i kępy palm rosnących na nadmorskim piasku.

Kiedy wjechali na stację poprzedzającą Ramleh, nie dostrzegli na peronie żadnych żołnierzy, więc wysiedli i złapali taksówkę. Halder polecił kierowcy, żeby wysadził ich przy Corniche, i dziesięć minut później wysiedli na promenadzie.

* Trudno uwierzyć, że trwa wojna * zauważył Halder, zapalając papierosa i biorąc Rachel pod rękę. * W porównaniu z ponurym i szarym Berlinem to jak inny świat.

Po słonecznej promenadzie przechadzały się pary, przejeżdżały z brzękiem tramwaje, a w pomalowanych na jaskrawe kolory kioskach sprzedawano ciastka i przekąski. O toczącej się wojnie przypominały jedynie

tuziny okrętów alianckiej floty zakotwiczone przy moło oraz żołnierze i marynarze na przepustkach, odwiedzający burdele.

* Aleksandrię nazywano Paryżem Środkowego Wschodu. Cieszy się swoistą reputacją, nawet gorszą niż Kair. Mówią, że tutejsze domy publiczne zaspokajają najbardziej wyrafinowane upodobania. Już starożytni Rzymianie nazywali ją „miastem grzesznych przyjemności”.

Rachel zauważyła dwie piersiaste Egipcjanki, usiłujące zwabić dwóch młodych marynarzy do nędznego hoteliku.

* Wygląda na to, że od czasów Antoniusza i Kleopatry niewiele się tu zmieniło. Ale skąd tak dobrze znasz Aleksandrię?

* Nie mówiłem ci, że rodzice przywozili mnie tu, kiedy byłem dzieckiem? Ojciec zawsze podejrzewał, że legendarny pałac Kleopatry leży gdzieś tutaj, zasypany piaskiem. Ostatni raz byłem tu rok temu, przez miesiąc działałem na tyłach wroga. Nie było to takie niebezpieczne, jak się zdaje. I zdecydowanie przyjemniejsze niż siedzenie w libijskich okopach, ostrzeliwanych przez Brytyjczyków.

W tym momencie zza rogu wyjechały dwa wojskowe dżipy i zatrzymały się na środku ulicy. Z wozów wyskoczyło kilku żandarmów i zaczęło ustawiać blokadę, zatrzymując jadące w obu kierunkach samochody i sprawdzając dokumenty. Hal*der rzucił papierosa na ziemię.

* Może to rutynowa kontrola, a może szukają właśnie nas. Nie kuśmy losu. * Wziął Rachel za rękę, przeszli na drugą stronę ulicy i skręcili w boczną uliczkę, odchodzącą od promenady. Było tam mnóstwo domów publicznych i wokół roiło się od żołnierzy na przepustkach, a nad wszystkim unosiła się ciężka mieszanina nieprzyjemnych zapachów. * Wiem, że to ryzykowne, ale będziemy musieli spróbować odjechać pociągiem. Może jeszcze nie pilnują dworca. Tym razem okażemy nasze dokumenty.

* A co będzie, jeśli spróbują nas aresztować?

* Jakoś uciekniemy, ostrzeliwując się, jeśli będzie trzeba. * Zauważył, że Rachel uważnie mu się przygląda. * O co chodzi?

* Pewnie wiesz, że jesteś szalony, Jacku Halderze? Zawsze ożywasz się, kiedy robi się niebezpiecznie. Czyżby nikt ci o tym nie mówił?

Uśmiechnął się.

* To pewnie moja pruska krew * odparł. * Wiesz, co jest najdziwniejsze? Od miesięcy nie czułem się tak dobrze. * Wskazał na wylot następnej uliczki. * W ciągu dwudziestu

minut dojdziemy tędy do dworca. Lepiej trzymajmy się bocznych ulic i starajmy się nie wyglądać jak para zbiegłych kryminalistów.

Godzina 13.10

* Wyprowadzili mnie w pole, panie pułkowniku. Cholernie sprytna parka, muszę im to przyznać.

Weaver popatrzył na stojącego na baczność żandarma.

* Spocznij, sierżancie.

Sanson zdjął czapkę. Twarz i opaskę na oku miał pobrudzoną piaskiem. Usiadł na skraju biurka w pokoju Myersa.

* Proszę dokładnie mi opowiedzieć, co się stało.

Zaraz po otrzymaniu wiadomości od Myersa, Weaver wezwał przez radio Sansona, który pospieszył do kwatery głównej, pozostawiając przeszukiwanie wiosek patrolom. Weaver powiedział mu, co zaszło i kim byli dwaj zabici żołnierze. Żandarm czuł się nieswojo w towarzystwie wyższych oficerów.

* Mówcie, sierżancie * zachęcił go Weaver.

* Nie znaleźliśmy tych dwóch mężczyzn. Posłałem kilku naszych, żeby zablokowali wyjazdy z miasta, ale też ich nie zauważyli. I nie zgłoszono kradzieży żadnego wojskowego ani cywilnego samochodu. Kiedy wróciliśmy na stację, sprawdziłem stojącego tam dżipa. Okazało się, że należał do tych dwóch zaginionych oficerów.

* Jak wyglądała ta młoda kobieta?

* Bardzo atrakcyjna. Po dwudziestce. Jasnowłosa, niebieskooka. Szczupła, średniego wzrostu. I bardzo dobra aktorka.

* Twierdziła, że pochodzi z Afryki Południowej?

* Tak, panie pułkowniku. Mówiła, że jej ojciec jest pułkownikiem i służy w Aleksandrii.

* I nie sprawdziłeś jej dokumentów? * zapytał ze złością Sanson.

Żandarm zaczerwienił się.

* Powiedziała, że zapomniała ich, panie pułkowniku. Potem uznałem, że nie muszę, kiedy okazało się, że ten oficer może za nią poręczyć.

Sanson z trudem pohamował gniew.

* Mówisz, że przedstawił się jako kapitan Jameson? Żandarm kiwnął głową.

* To właśnie jest w tym wszystkim najbardziej przerażające. Był taki opanowany. Mówił po angielsku z doskonałym akcentem wyższych sfer... * Sierżant urwał i zerknął na Myersa. * Najmocniej przepraszam, panie kapitanie, chciałem...

Myers skinął głową.

* Wiem, co pan miał na myśli, sierżancie. Proszę dalej.

* Miał około trzydziestu lat. Wysoki, dość przystojny, ciemne włosy i oczy. Powiedziałbym, że wyglądał na wysportowanego. Potem, kiedy połączyłem się z Amiriją, powiedzieli mi, że kapitan Jameson i jeszcze jeden oficer, porucznik Grey, zaginęli. Później usłyszałem, że zostali...

* Wiemy, co pan słyszał.

* Rozpoznałby pan tych dwoje, gdyby pan znów ich zobaczył? * zapytał Weaver.

* Och, tak. Z całą pewnością.

* A co z dokumentami tego mężczyzny? * przerwał San*son. * Przecież nie mógł być podobny do Jamesona.

Sierżant znów się zaczerwienił.

* Czasem trudno kogoś rozpoznać na zdjęciu, panie pułkowniku, szczególnie w mundurze, a ten gość był nawet podobny. To chytra sztuka... radził mi porozmawiać z dowódcą, kiedy zauważyłem, że jego książeczka wojskowa tydzień temu straciła ważność. Był tak przekonujący, że mu uwierzyłem.

* Kimkolwiek jest, to bezwzględny, sprytny drań * stwierdził Sanson i podszedł do mapy ściennej. * Mówicie, że wsiedli do lokalnego pociągu, jadącego na zachód?

* Tak jest, panie pułkowniku * odparł żandarm. * Wypytałem zawiadowcę stacji. Widział, jak ten mężczyzna i kobieta wsiedli razem do pociągu, kiedy odjechałem. Natychmiast zawiadomiłem o tym dowództwo.

* Dokąd dojeżdża ten pociąg? * zapytał Sanson Myersa.

* Do Ramleh, na dworzec główny. Już dawno tam dotarli, bo pociąg jedzie tylko pół godziny. Oczywiście zakładając, że właśnie tam wysiedli, ponieważ po drodze jest kilka innych stacji.

* Poślijcie paru ludzi na te dworce, niech wypytają kolejarzy. Może ktoś widział taką wysiadającą parę. * Spojrzał na sierżanta, ledwie powstrzymując gniew. * To na razie wszystko. Zaczekajcie na zewnątrz.

Żandarm wyszedł, a Sanson rzekł:

* Mają tylko dwie możliwości. Wyjechać albo zostać w mieście.

i

ii

Myers spojrział na zegarek.

* Panie pułkowniku, za godzinę odjeżdża pociąg do Kairu.

o czternastej piętnaście. Godzinę później jest następny, do Port Saidu. Może warto obserwować dworzec, tak jak radził pułkownik Weaver, na wypadek gdyby chcieli wykorzystać dobrą passę.

Sanson skrzywił się.

* Może pan być pewny, że to zrobimy. W cywilnych ubraniach. Niech wasi ludzie nie wchodzą tam gromadą, tylko dwójkami i trójkami, przez główne i boczne drzwi. Mają zachować dyskrecję. Jeden błąd może zniweczyć wszelkie szansę na złapanie tych drani.

* Tak jest, panie pułkowniku.

* I postarajcie się o jakieś cywilne ubrania dla nas. Załatwcie z zawiadowcą stacji, żeby wszyscy pasażerowie musieli przechodzić przez jedno czy dwa przejścia, żebyśmy mogli je mieć na oku. I na wszelki wypadek przygotujcie ambulans.

* Trochę mało czasu na załatwienie tego wszystkiego, panie pułkowniku.

* Żadnych wymówek, kapitanie. * Sanson podniósł czapkę

i otrzepał ją z piasku. * Czy przychodzi ci jeszcze coś do głowy, Weaver?

* Chyba pomyślałeś o wszystkim. * Weaver wskazał w kierunku drzwi. * Myślę, że powinniśmy zabrać ze sobą sierżanta. Widział ich, więc może ich rozpoznać.

Godzina 13.45

Dojście do dworca Ramleh zajęło Halderowi i Rachel około pół godziny. Naprzeciw stacji, na rogu, znajdowała się kawiarenka „Petite Paris”. Zajęli miejsca przy stoliku i zawołali kelnera.

* Co się stało? * zapytała Rachel.

* Przyda się mały rekonesans. Napijmy się kawy. Polecam jcmęską, jest doskonała. I lepiej zjedzmy coś, skoro mamy okazję.

Zamówili kawę i ciastka. Halder przez cały czas obserwował wejście na dworzec. Grupki żołnierzy z workami na ramionach wchodziły i wychodziły wielkimi drzwiami, a na placu gawędzili dwaj egipscy policjanci z drogówki, nie zwracając uwagi na przechodniów. Nigdzie nie było żandarmów.

B

u

* Wygląda na to, że jest bezpiecznie. Ale mogli rozstawić policjantów w cywilu. Musimy jednak zaryzykować.

Jeszcze przez dziesięć minut obserwował dworzec, a potem dopił kawę.

* W razie jakichkolwiek kłopotów trzymaj się mnie. Rozumiesz?

Rachel kiwnęła głową. Halder pomacał kolbę rewolweru w kieszeni, spojrzął na Rachel i podał jej rękę.

* Pora ruszać. Jesteś gotowa? Wstała i wzięła go pod ramię.

Rozdział 40

Dworzec Ramleh, godzina 14.00

Dworzec Ramleh był masywnym budynkiem z kamienia,

o wysokich łukowatych sklepieniach. Opodal wejścia stało kilka brudnych straganów z żywnością, wokół których tłoczyli się podróżni, przeważnie arabscy wieśniacy. Wypełniali dworzec, ubrani w galabije i często bosy, otoczeni gromadkami żon

i dzieci, taszczący obwiązane sznurem pudła i drewniane skrzynki z kurami i gołębiami.

Weaver stał przy wyjściu na perony. Miał na sobie lniany garnitur, pożyczony od jednego z ludzi Myersa. Powietrze było gęste od przeróżnych zapachów i skwaru. Sierżant stał obok, ubrany w blezer i flanelowe spodnie, a krótko przystrzyżone włosy ukrył pod kapeluszem panama. Pociąg do Kairu odjeżdżał za piętnaście minut, skład do Port Saidu godzinę później. Wszyscy pasażerowie musieli przechodzić na perony przez jedyne czynne wyjście. Weaver z sierżantem stali niedaleko kontrolera biletów, dostatecznie blisko, aby widzieć twarze przechodzących.

Weaver zerknął na wiszący zegar. Wskazówki pokazywały drugą.

Przy wyjściu uformowała się już długa kolejka, co wywołało pomruki oburzenia ze strony niektórych europejskich pasażerów, ale Arabowie przyjęli to z niezmaconym spokojem, przyzwyczajeni do biurokratycznych idiotyzmów i opóźnień. Na razie sierżant nie zauważył nikogo podobnego do poszukiwanych. Nieco dalej ustawiono drugi posterunek kontrolny, niewidoczny dla stojących w holu. Dwaj żandarmi w cywilnych ubraniach sprawdzali tam dokumenty wszystkim, którzy weszli na peron.

Weaver był przekonany, że jeśli para szpiegów pojawi się na dworcu, nie zdoła go opuścić.

Z najwyższym trudem udało im się wszystko zorganizować.

Przyjechał tu zaledwie pięć minut wcześniej i wszedł tylnym

wejściem, przebrawszy się przedtem w pożyczone cywilne ubra

nie w jednej z wojskowych ciężarówek, zaparkowanych na tyłach dworca. Wokół dworca rozstawiono

dziesięciu uzbrojonych tajniaków, sześciu innych stało na peronach, a ponad dwudziestu mundurowych czekało w biurze zawiadowcy stacji.

Sanson oraz dwaj żandarmi w "cywilu zajęli stanowisko przy głównym wejściu, a na pobliskiej bocznej uliczce zaparkowano : patrole motocyklistów i ambulans z dwoma lekarzami, na wypadek gdyby wybuchła strzelanina.

Na dworcu był tłok, co jeszcze bardziej utrudniało im zadanie. Weaver dostrzegł Myersa i jeszcze jednego tajniaka. Oparci o kamienny filar, palili papierosy, stojąc opodal sterty podniszczonych walizek i udając podróżnych. Kiedy Myers spojrzął na niego, Weaver nieznacznie pokręcił głową. Na razie ani śladu podejrzanych.

Nagle sierżant dotknął ramienia Weavera.

* Panie pułkowniku, ta para dziesięć metrów od wejścia...

* Gdzie?

* Blondynka w niebieskiej sukience. Towarzyszy jej mężczyzna w jasnej marynarce.

Weaver ostrożnie spojrzął na kolejkę podróżnych. Zobaczył parę, o której mówił sierżant. Wyglądali na uchodźców z Europy. Żandarm powiedział:

* Stoją trochę za daleko, żeby mieć pewność, ale są podobni.

* Nie jest pan pewny?

* No... nie, panie pułkowniku. Z tak daleka trudno mieć pewność. A kobieta jest bardzo mocno umalowana.

Weaver wiedział, że jeśli to nie są poszukiwani przez nich ludzie, podchodząc do nich może spalić całą operację, bo wtedy prawdziwi szpiedzy zwietrzą kłopoty i wymkną się. Wprawdzie Myers i jego towarzysz czekali opodal przy filarze, lecz na dworcu był taki tłok, że Weaver wątpił, czy zdążą, interweniować. Ponownie spojrzął na tamtych dwoje. Przesunęli się o jakieś pięć metrów.

* Myślisz, że są podobni?

* Tak, panie pułkowniku * odparł sierżant.

* Kiedy podejdą bliżej, postaraj się im przyjrzeć. Najdysk*retniej, jak potrafisz.

Nieznacznie skinął głową czekającemu przy filarze Myersowi. Kapitan rzucił papierosa, powiedział coś do swojego towarzysza i obaj przygotowali się do interwencji. Dwie minuty później para prawie doszła do kontrolera. Kiedy Weaver zobaczył, że mężczyzna podaje kolejarzowi bilety, ścisnął rękojeść tkwiącego w

kieszoni colta.

* Teraz! * syknął do sierżanta.

Żandarm podszedł bliżej do stojącej przed kontrolerem pary. Kiedy przyglądał się im, kobieta popatrzyła na niego i uśmiechnęła się rozbajająco. Sierżant wrócił do Weavera i pokręcił głową.

* Przepraszam, panie pułkowniku. Wyglądali podobnie, ale to nie oni.

Weaver był rozczarowany. Spojrzał na Myersa i potrząsnął głową. Zobaczył, że kapitan odprężył się. Popatrzył na zegar. Druga pięć.

Dziesiątki pasażerów, a wśród nich wielu Europejczyków, wojskowych i cywilów, wciąż dołączały do długiej kolejki na peron. Weaver miał nerwy napięte jak postronki. Otarł pot z czoła. Popołudniowy skwar wdierał się do zatłoczonej sali dworca, a zdenerwowanie też robiło swoje. Podejrzał, że jeśli Niemcy tu są, to zaczekają z wejściem do ostatniej chwili, aż do podstawienia wagonów.

* Miej oczy szeroko otwarte * polecił sierżantowi. * Jeśli zechcą wsiąść, wkrótce to zrobią.

Godzina 14.00

Halder wszedł z Rachel na zatłoczony dworzec. Ostrożnie rozejrzał się wokół. Jedyni żołnierze, jakich spostrzegł, byli najwyraźniej na przepustce i czekali na pociąg: jedni pili piwo przy arabskich straganach, inni z workami na ramionach szli na peron.

Wszystko wygląda normalnie, ale nigdy nie wiadomo * powiedział i podprowadził Rachel do rozkładu jazdy, zawieszono na kamiennym filarze opodal kas. * Achmed miał rację. Druga piętnaście. Mamy kwadrans do odjazdu pociągu. Myślisz, że zdążysz kupić bilety?

* A jeśli nie będzie miejsc? Halder uśmiechnął się.

* Myślę, że w takim wypadku mały bakszysz może zdziałać cuda. * Dał jej pieniądze. * Kup w obie strony, to zawsze mniej podejrzane. I nie martw się, będę tu stał i pilnował cię.

Patrzył, jak Rachel zajmuje miejsce w kolejce. Zauważył młodego mężczyznę w cywilnym ubraniu, który stał niedaleko kas biletowych, przeglądając gazetę. Mężczyzna przez chwilę spoglądał na Rachel, a potem wrócił do przerwanej lektury. Halder poczuł niepokój. Ten cywil mógł być tajniakiem albo czekał tu na kogoś * trudno powiedzieć. Wprawdzie nie próbował podejść do Rachel ani do nikogo innego w kolejce, ale jego obecność zaniepokoiła Haldera. Perony znajdowały się za daleko, żeby mógł dostrzec, czy nie ma tam żandarmów, a nie chciał zostawiać swojej towarzyszki samej. Spojrzał na zegar. Było pięć po drugiej.

Kiedy Rachel wróciła z biletami, zapytał:

* Miałaś jakieś kłopoty?

* Nie. Dwa w obie strony, jak kazałeś.

* Dobrze, idziemy. Trzymaj kciuki.

Znów wziął ją pod rękę i poszli w kierunku peronu. Przed wyjściem ustawiła się długa kolejka, która natychmiast wzbudziła podejrzenia Haldera. Zauważył dwóch ubranych po cywilnemu mężczyzn, stojących z boku, opodal umundurowanego kontrolera. Kiedy jeden z nich zdjął kapelusz, żeby otrzeć pot z czoła, Halder zamarł. Poznał sierżanta, z którym rozmawiał rano na stacji.

Niech to szlag, pomyślał.

Już miał się odwrócić, gdy zobaczył twarz mężczyzny, który towarzyszył sierżantowi. Zmartwił.

* Co się stało? * zapytała Rachel.

Halder nie odpowiedział. Mocno chwycił Rachel za rękę, wyszedł z kolejki i wmieszał się w tłum.

Rozdział 41

Przecisnął się przez tłum w kierunku straganów z żywnością, otoczonych przez gromadę hałaśliwych Australijczyków, i kupił dwa piwa. Kiedy dopchali się do dwóch wysokich stolików, Rachel spytała:

* O co chodzi? Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.

* Nie odwracaj się * powiedział szorstko Halder. * Przy wyjściu stoi dwóch ludzi w cywilnych ubraniach. To wojskowi i czekają na nas.

* Skąd wiesz?

* Jeden z nich to sierżant, którego dziś wyprowadziliśmy w pole. I przygotuj się na następny wstrząs * dodał po chwili: * Ten drugi to Harry Weaver.

Przez chwilę siedziała nieruchomo, a potem odwróciła się i spojrzała w kierunku wyjścia na perony.

* Nie patrz tam. Zwrócisz na nas uwagę * ostrzegł ją Halder.

Jednak Rachel nie słuchała go. Zauważyła sierżanta, który stał obok kontrolera biletów, i natychmiast poznała Harry'ego Weavera * trochę starszego, ubranego w lekki lniany garnitur. Stał za daleko, by mógł ich zauważyć, zajęty obserwowaniem pasażerów.

* Rachel... * Głos Haldera sprowadził ją na ziemię. Była zupełnie ogłuszona.

* Nie mogę uwierzyć... Halder upił tyk piwa.

* Ten świat jest pełen niespodzianek. To coś w rodzaju przeznaczenia, w które wierzyli starożytni

Egipcjanie: ponowne spotkanie w innym życiu.

Rachel chciała znów się obejrzeć, ale Halder złapał ją za rękę.

I * Nie zdradz się. To Harry, nie ma co do tego wątpli*

t wości.

I * Ale... co on tu robi?

* Dobre pytanie. Sądzę, że to oczywiste. Nieźle mówi po arabsku, więc trudno się dziwić, że służy w Egipcie. Podejrzewam, że w żandarmerii albo w wywiadzie wojskowym. *

Zobaczył jej zmieszana minę. * Dobrze się czujesz?

* To wydaje się takie nierealne. Spotkać go w takich okolicznościach... Nie wiem, co o tym myśleć.

* No to jest nas dwoje. I jestem przekonany, że Harry też by się bardzo zdziwił, gdyby wiedział, że tu jesteśmy.

Rachel była wstrząśnięta.

* Myślisz, że on wie, że to właśnie nas szuka?

* Wątpię. Skąd miałby wiedzieć? Zawsze uwielbiałem Harry'ego, ale teraz raczej nie mam ochoty rozpoczynać z nim pogawędki. * Halder pokręcił głową. * I kto by to pomyślał? Harry i my po przeciwnych stronach. Nie wiem, czy to mi się podoba. Zaczynam podejrzewać, że ktoś tam w górze pociąga za sznurki i śmieje się z nas.

Domyślał się, że Rachel chciałaby jeszcze raz popatrzeć na Weavera, więc wyciągnął rękę nad stołem i ścisnął jej dłoń.

* Musimy iść. Lepiej wypij piwo, przyda ci się na odwagę. Skoro Harry i sierżant są w cywilnych ubraniach, pewnie w pobliżu są także inni i pilnują wyjścia. Wcześniej zauważyłem przy kasach podejrzenie wyglądającego faceta. To pewnie jeden z kolegów Harry'ego.

Rachel nawet nie tknęła piwa i Halder spostrzegł, że trzęsą jej się ręce.

* Na pewno dasz sobie radę?

* Tak myślę.

* Jeśli ktoś spróbuje nas zatrzymać, ja będę rozmawiał, a ty bądź gotowa do ucieczki, kiedy dam ci znać.

* Nie poddajesz się łatwo, co, Jack?

* Na razie jeszcze nie muszę * odparł z wymuszonym uśmiechem, zdjął marynarkę i poluzował krawat. Potem wyjął z kieszeni rewolwer i ukrył go pod marynarką.

* Co będzie, jeśli Harry i ten drugi zaczną nas gonić? Halder skrzywił się.

* Oszczędź mi takich pytań. Wystarczy, że uciekam przed

najlepszym przyjacielem, jakiego miałem w życiu. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnę, jest pojedynek rewolwerowy z Harrym.

Kiedy znów wmieszali się w tłum, ścisnął dłoń Rachel.

* Wyjdziemy z dworca i spróbujemy zawrócić w kierunku promenady.

* Zapomniałeś powiedzieć „jeżeli”.

* Pamiętasz to stare arabskie powiedzenie? Aby przetrwać, musisz śmiać się w twarz rozpacz. Jeśli będziemy przygnębieni, zginiemy. Dlatego staraj się być spokojna i opanowana, nawet gdyby nas zatrzymali. * Szybko obejrzał się przez ramię, ale nigdzie nie dostrzegł Harry'ego ani towarzyszącego mu sierżanta. Poprowadził Rachel w kierunku wyjścia, dobrze widocznego nad głowami tłumy podróżnych. *
Idziemy.

Wydawało mu się, że minęły wieki, zanim doszli do drzwi. Ludzie przeciskali się w obie strony i lawirujący między nimi Halder przez cały czas wypatrywał oznak niebezpieczeństwa, jednak dotarli do wyjścia i nikt ich nie zatrzymał. Przystanął w drzwiach, omiatając wzrokiem plac przed dworcem. Wzdłuż krawężnika stały autobusy, lecz nie dostrzegł żadnych wojskowych pojazdów. Na chodniku było zbyt tłoczno, aby przyjrzeć się wszystkim przechodniom, ale zauważył kogoś, kto wyglądał na żandarma lub policjanta w cywilu. Dwaj egipscy policjanci, których widział wcześniej, nadal stali w tym samym miejscu, gawędząc i paląc papierosy. Po drugiej stronie placu zaczynał się labirynt ciemnych zaułków, wiodących na gwarny bazar.

* Pójdziemy tędy * powiedział do Rachel. * Wydaje się, że wszystko w porządku. Jesteś gotowa?

* Tak.

Halder mocniej ścisnął zasłonięty marynarką rewolwer.

* Trzymaj kciuki. I pamiętaj, jeśli ktoś nas zatrzyma, zostaw to mnie.

Przecisnęli się przez tłum w ogromnych drzwiach dworca i wyszli na plac Ramleh. Kątem oka Halder dostrzegł wysokiego, dobrze zbudowanego mężczyznę w cywilnym ubraniu, stojącego po lewej, pod murem budynku. Mężczyzna miał opaskę na oku i paskudną bliznę na policzku. Halder instynktownie wyczuł, że ten człowiek obserwuje wchodzących i wy

chodzących podróżnych. Kiedy spojrział w ich stronę, serce uderzyło mu mocniej, ale musiał iść dalej.

Uszli zaledwie kilka kroków, gdy usłyszał głos za plecami:

* Przepraszam państwa...

Odwrócił się i zmarł. Przed nim stał człowiek z opaską na oku.

Godzina 14.15

Weaver zaczął się denerwować. Sierżant nie zauważył nikogo podobnego do poszukiwanych. Pociąg do Kairu stał gotowy do odjazdu, słychać było gwizdki kolejarzy i trzask zamykanych drzwi do przedziałów. Gdy kontroler biletów pospieszenie przepuszczał na peron ostatnich pasażerów, sierżant zauważył:

* Chyba nie dopisało nam szczęście, panie pułkowniku.

* Na to wygląda. * Weaver skinął na Myersa. * Ta para może jeszcze się pokazać. Lepiej niech ludzie zostaną na stanowiskach. Kiedy odjeżdża pociąg do Port Saidu?

* Za godzinę, panie pułkowniku. A następny do Kairu jest

o szóstej.

* Niech pan powie swoim ludziom, żeby zmieniali się na posterunkach, ale mają obstawiać wszystkie przyjeżdżające

i wyjeżdżające pociągi.

* Mam to przekazać pułkownikowi Sansonowi? Weaver zaprzeczył i rozluźnił krawat. Na stacji było duszno

i gorąco. Marzył o tym, by wyjść na świeże powietrze i na chwilę wyrwać się z tłumu.

* Nie, sam mu powiem.

Kiedy Halder zastanawiał się, czy zastrzelić człowieka z opaską na oku, nagle obok wyrósł drugi mocno zbudowany mężczyzna w cywilnym ubraniu. Obok wejścia stał jeszcze jeden cywil, który obserwował przechodzących, podczas gdy pucybut czyścił mu buty. Halder domyślił się, że ci ludzie są żandarmami lub pracownikami wywiadu wojskowego. Od bazaru po drugiej stronie placu dzieliło ich zaledwie pięćdziesiąt metrów * za daleko, żeby przebiec i nie zostać zastrzelonym.

* Czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty? * zapytał czło

wiek z opaską na oku. Jego towarzysz stał obok, trzymając rękę za pazuchą mocno wypchanej pod pachą marynarki. Halder zrobił urażoną minę.

* A kim pan jest, do diabła?

* Podpułkownik Sanson, z wywiadu wojskowego * oświadczył jednooki, pokazując legitymację.

* W takim razie proszę * odparł spokojnie Halder i podał mu dokumenty.

* Pani również, jeśli można prosić * powiedział Sanson. Rachel sięgnęła do torby i wręczyła mu papiery.
Sanson

obejrzał oba zestawy dokumentów, równie starannie jak kasjer bankowy oglądający sfalszowane banknoty, niespiesznie porównując zdjęcia i twarze i pocierając kciukiem pieczętki. W końcu podejrzliwie spojrzał na Haldera.

* Chciał pan gdzieś jechać?

* Dlaczego pan pyta? * prychnął z irytacją Halder.

* Widziałem, że dziesięć minut temu weszliście na dworzec. Teraz wychodzicie. Zastanawiałem się, z jakiego powodu zrezygnowaliście państwo z wyjazdu.

* Posłuchaj, kolego, niedawno przyjechaliśmy z Kairu i moja przyjaciółka zorientowała się, że brakuje jej jednej walizki. Teraz okazało się, że bagaż gdzieś zaginął i będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się go odzyskać. * Halder starał się wyglądać na zdenerwowanego. * To typowe dla egipskich kolei. Do niczego się nie nadają.

Sanson uśmiechnął się chłodno.

* Według tych dokumentów jest pan Amerykaninem i nazywa się Paul Mallory...

* I co z tego?

Anglik przez chwilę zastanawiał się nad czymś, mierząc go wzrokiem.

* Wolno spytać, dlaczego nie służy pan w wojsku?

* To nie pański interes.

* Może się okazać, że tak.

* Jeśli musi pan wiedzieć, to odrzucono mnie ze względów zdrowotnych. W moich dokumentach jest odpowiednie zaświadczenie. Może powie mi pan, o co właściwie chodzi?

Sanson znalazł zaświadczenie i obejrzał je. Potem znów obrzucił ich oboje podejrzliwym spojrzeniem.

* W jakim celu przyjechaliście do Aleksandrii?

* Jestem archeologiem, wykładam na uniwersytecie w Kairze.

* Nie o to pytałem.

* Kustosz muzeum w Aleksandrii poprosił nas, żebyśmy obejrzelili kilka przedmiotów, które ostatnio znaleziono w pobliżu Rashidu. * Halder uśmiechnął się. * Ale podejrzewam, że to tylko pretekst, aby zobaczyć starych znajomych.

Widział, że wciąż nie udało mu się przekonać Sansona. Zdesperowany, zagrał swoją ostatnią kartę:

* Prawdę mówiąc, przed chwilą wpadłem na znajomego. To Harry Weaver. Widzę, że jesteście z tej samej branży, więc może go pan zna?

Sanson zdziwił się.

* Jesteście znajomymi Harry'ego Weavera?

* Znamy się z nim od bardzo dawna. Sanson nagle odprężył się.

* Rozumiem. * Spojrzał na Rachel. * Jest pani Niemką żydowskiego pochodzenia, panno Tauber?

* Tak.

* Wolno spytać, co panią łączy z tym dżentelmenem?

* Jesteśmy kolegami. Ja też jestem archeologiem. Sanson oddał im dokumenty.

* Nie będę państwa dłużej zatrzymywał. Dziękuję pani. Panu również.

Halder schował papiery do kieszeni.

* Nie powiedział mi pan, co to za zamieszanie.

* To wojskowa operacja * odparł krótko Sanson. * Czy pułkownik Weaver nie powiedział wam o tym?

Halder uśmiechnął się.

* Ani słowa, ale to cały Harry. Zawsze trzyma karty przy orderach.

Uśmiech zgasł mu na twarzy, gdy spojrzał Sansonowi przez ramię i zobaczył wychodzącego z dworca Weavera. Szybko odwrócił wzrok.

* Coś się stało? * zapytał Sanson.

* Nie, nic * odparł Halder z wymuszonym uśmiechem. * Chyba jesteśmy już spóźnieni. Do widzenia. Tędy, moja droga.

Ujął Rachel pod rękę i ruszył przez plac w kierunku bazaru, ale wiedział, że jest już za późno. Kątem oka zauważył, że podchodzący do Sansona Harry Weaver stanął jak wryty. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie. Patrzył na nich z otwartymi ustami i zbladł jak kreda.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Sanson wyczuł,

że coś jest nie w porządku, ale w tym momencie Halder wyjął rewolwer. Jednooki cofnął się i również sięgnął po broń.

Halder strzelił i Anglik zatoczył się, przyciskając dłoń do zranionej ręki. Ludzie na placu zaczęli uciekać z

wrzaskiem i wokół natychmiast zrobiło się pusto. Towarzysz Sansona już wyjął broń, ale Halder znów strzelił pierwszy, trafiając go w ramię. Cywil wrzasnął i upadł. Gdy tajniak przy drzwiach próbował wycelować, Halder ponownie wystrzelił, rzucając go na ścianę.

Weaver nie ruszył się. Stał zaszokowany, wciąż patrząc na nich. Halder uniósł broń i wycelował, lecz Weaver nadal stał nieruchomo. Halder złapał Rachel za ramię.

* Biegnij! * krzyknął i ruszyli w kierunku bazaru.

Rozdział 42

Kiedy uciekali labiryntem wąskich uliczek bazaru, Halder gwałtownie odpychał stojących mu na drodze ludzi i przewracał stragany.

To był koszmar.

Na zapchanym targowisku kłębił się tłum, przez który przeciskali się z najwyższym trudem. Po dziesięciu minutach pozostawili za sobą kipiące życiem uliczki i wokół zrobiło się luźniej. Halder zwolnił kroku. Raz po raz oglądał się przez ramię. Nikt ich nie ścigał, ale wiedział, że to nie potrwa długo.

Po chwili jego obawy potwierdziły się.

Usłyszeli warkot nadjeżdżającego motocykla. Halder wciągnął Rachel do cuchnącej bramy.

* Stój spokojnie * powiedział.

Obok przemknął zmotoryzowany patrol żandarmerii i zaraz za nim drugi. Halder zaczekał, aż przejadą, a potem wyrzwał na ulicę. Otarł twarz z potu.

* Chyba ich zgubiliśmy, ale nie możemy tu zostać. Weź mnie pod ramię, jakbyśmy byli na spacerze.

Wyszli z bramy i ponownie weszli w labirynt uliczek, kierując się do brzegu morza. Dziesięć minut później wyszli na Corniche. Halder nie dostrzegł nigdzie stojącego tu przedtem posterunku kontrolnego, więc podprowadził Rachel do jednej z ławek na promenadzie. Zobaczył malujące się na jej twarzy napięcie.

* Nie możemy tu długo zostać. Im dłużej będziemy kręcić się po ulicach, tym pręcej nas złapią.

* A co możemy zrobić?

* Założę się, że po tym, co się stało, Harry i jego koledzy

zablokują każdy wyjazd z miasta, więc nawet nie ma sensu próbować dotrzeć do Rashidu. Kiedy zrobi się ciemno, spróbujemy wymknąć się z miasta na pustynię. To nasza jedyna nadzieja.

* Dlaczego mieliśmy dostać się do Rashidu?

* Zapomniałem, że o tym nie wiesz. * Wyjaśnił jej to i dodał: * Łódź miała być awaryjnym środkiem transportu, w razie jakichś kłopotów. Teraz na nic się nam nie przyda.

* Przecież mówiłeś, że próba przejścia przez pustynię byłaby samobójstwem.

* Obawiam się, że nie mamy innego wyboru. * Przestudiował mapę. * Gdybyśmy zdołali ukraść odpowiedni pojazd, na przykład ciężarówkę, i znaleźć lukę w kordonie, może dopisałoby nam szczęście. Nie mogli otoczyć całego miasta. Jest zbyt rozległe i nie starczyłoby im ludzi. Tak więc gdzieś musi być luka. Trzeba tylko ją znaleźć.

* A tymczasem?

* Musimy znaleźć bezpieczną kryjówkę na noc i obmyślić jakiś plan. * Halder wstał i spojrzał na nią. Nagle wydała mu się bezbronna i dziewczęca. * Przepraszam, Rachel. Przykro mi, że jesteś wplątana w to szaleństwo.

* Wciąż nie mogę w to uwierzyć... W to, co zdarzyło się na dworcu, z Harrym. To jak zły sen. Nadal jestem roztrzęsiona.

Delikatnie dotknął dłonią jej policzka, próbując ukryć swoje uczucia.

* Ja też. Ale nie mówmy teraz o tym, proszę.

Po drugiej stronie oblanej słońcem Corniche, wzdłuż brzegu morza, ciągnął się długi rząd hotelików, domów noclegowych i burdeli. Wszystkie budynki miały bardzo brytyjski, późnowiktoriański wygląd, jednak większość z nich była mocno zaniedbana i wymagała remontu. Rachel spojrzała na nie.

* Wojsko na pewno przeszuka hotele i pensjonaty. Tam nie będziemy bezpieczni.

Halder zdobył się na zuchwały uśmiech.

* Racja, ale mam pewien pomysł. Jest trochę desperacki, ale może się udać, chociaż będzie to dla nas trochę krępujące...

Trudno uwierzyć, że Gabrielle Pirou była kiedyś jedną z najbardziej pożądanych kobiet w Marsylii. Jej sześćdziesięcioletnią twarz znaczyły głębokie bruzdy zmarszczek, wargi i zęby ocie

kały czerwoną szminką, a chodząc, wyraźnie utykała. Jediną pamiątką po dawnej urodzie była szczupła sylwetka i zmysłowe oczy, lecz i one przygasły z wiekiem.

Przyściśnięty do jej obfitego biustu francuski pudel*miniaturka głośno ujadł, gdy Gabrielle pstryknęła palcami, ustawiając dziewczyny przed grupą mężczyzn, stojących w salonie burdelu.

* Cicho, Donny, mon cheri * skarciła pieska. * Nie widzisz, że dżentelmeni muszą się skupić?

Tymi dżentelmenami byli czterej alianccy oficerowie, którzy wpadli tu po pijatyce w pobliskim barze.

Dziewczyny, Europejki i Arabki, paradowały w haremowych strojach złożonych z głęboko wyciętych, naszywanych cekinami staników i przezroczystych szarawarów, albo w króciutkich spódniczkach i opiętych bluzkach. Wszystkie były bardzo ładne, dwie z nich były prawdziwymi pięknosciami, a każda emanowała seksem. Uśmiechały się i chichotały, prezentując swoje wdzięki w pozach zapowiadających rozkosze, jakie mogły zapewnić w sypialniach na piętrze.

* No cóż, panowie, nie cieszyście się, że do nas zaszliście? Damy są czarujące, n'est ce pas? * zapytała Gabrielle. Strzepnęła popiół z papierosa tkwiącego w cygarnicze z kości słoniowej. Trochę popiołu wylądowało na jej bluzce i na pudlu.

Stojący obok brytyjski oficer odchrząknął.

* Tak... tak, oczywiście.

* I wszystkie są zdrowe, zapewniam panów. Lekarz bywa u nas raz na miesiąc. * Gabrielle uśmiechnęła się filuternie. * To niezwykle obowiązkowy człowiek, ten nasz doktor. Jest fanatykiem higieny, więc tacy wymagający dżentelmeni mogą być spokojni.

Oficerowie uśmiechnęli się nerwowo. Byli lekko pijani, ale bardzo uprzejmi. Gabrielle wołała oficerów od zwykłych żołnierzy, bo nie upijali się zbyt mocno, nie targowali o cenę i nie bili dziewcząt, w przeciwieństwie do niektórych żołnierzy, którzy po pijanemu zmieniali się w dzikusów. Dlatego starała się zapewnić swoim gościom jak najlepszą obsługę, skłaniającą do powtórnej wizyty. Otyły Francuz w średnim wieku odchrząknął i zapytał szeptem:

* Czy madame miałaby dwie wolne panie?

Gabrielle uśmiechnęła się czarująco, zadowolona z podwójnego zysku. Zapewniała klientom wszystko, czego chcieli.

* Ależ oczywiście, cokolwiek monsieur sobie życzy. Madame Pirou zaspokaja wszystkie pragnienia.

Oficerowie zaczęli wybierać sobie dziewczyny i siadać na wygodnych, obitych czerwonym aksamitem fotelach, rozstawionych w ładnie umeblowanym salonie. Gabrielle odprężyła się.

Przyjechała do Aleksandrii przed dwudziestu laty i otworzyła własny salon, daleko od brutalnego francuskiego alfonsa, który ją okuliwił. Teraz była madame jednego z luksusowych nadmorskich burdeli, zaspokajających potrzeby wyrafinowanej klienteli. Interes okazał się nadzwyczaj zyskowny, szczególnie od chwili, gdy wybuchła wojna. Znużeni trudami walki żołnierze, którzy nagle znaleźli się daleko od swoich żon i przyjaciółek, pragnęli seksu i kobiecego towarzystwa. Interes kwitł.

Zadzwonił dzwonek w holu. Gabriele chwyciła pudła i skinęła dłonią jednej z dziewczyn.

* Sama otworzę drzwi, Suzette. Nalej panom coś do picia. Szampana, jeśli sobie zażyczą.. Dopilnuj, żeby potraktowano ich po królewsku, zanim damy zabiorą ich na górę.

Kiedy otworzyła frontowe drzwi, zdziwiła się. Pary nieczęsto przychodziły do jej salonu, chociaż i w tym

nie było niczego niezwykłego. Na schodach stał mężczyzna z kobietą. Byli przystojną parą i Gabrielle uśmiechnęła się uprzejmie.

* Qui? W czym mogę pomóc?

Mężczyzna wyglądał na lekko zdenerwowanego.

* Znajomy polecił nam pani lokal * powiedział.

Seks nigdy nie jest prostą sprawą, pomyślała Gabrielle. Czasem żadne przygód pary z towarzystwa lubiły zabawić się we troje z jedną z jej dziewczyn. Zazwyczaj mieli za dużo pieniędzy, mąż był znudzony, żona wykazywała lesbijskie skłonności albo ze wszystkich tych trzech powodów. Ta para nic wyglądała na bogatą, raczej na niespokojną, ale jeżeli zapłacą i nie będą krzywdzić dziewcząt, mogą sobie robić w łóżku, co chcą.

* Proszę wejść. Mamy dziś duży ruch, więc nie wiem, czy będziemy mogli zająć się państwem od razu.

Wprowadziła ich do holu, elegancko udekorowanego wazonami kwiatów i gustownymi arabskimi malowidłami erotycznymi. Przyjrzała się kobiecie. Bardzo ładna, ale za mocno

umalowana. Gabrielle uważała się za dobrą znawczynię ludzi i zazwyczaj na pierwszy rzut oka potrafiła stwierdzić, z kim ma do czynienia, ale ta kobieta pozostała dla niej zagadką. Jej oczy były nieprzeniknione. Z mężczyzną nie miała takich problemów: był otwarty i mimo cywilnego ubrania wyglądał na wojskowego.

* Proszę bez obawy powiedzieć madame Pirou, czego sobie życzy. * Uśmiechnęła się przyjaźnie, chcąc ich uspokoić. * Zaspokajamy wszelkie upodobania. Trzeba tylko zapłacić.

Nie było to stwierdzenie, lecz delikatne pytanie. Mężczyzna skinął głową.

* Oczywiście.

* Jak mogę państwu pomóc?

Mężczyzna zawahał się. Wciąż był niespokojny, ale próbował to ukryć.

* Chcielibyśmy spędzić tę noc z miłą damą. W osobnym pokoju, oczywiście.

* Ach, odrobina pikanterii dodająca smaku miłości? * Gabrielle uniosła brwi. * Jednak to dość długo...

* Pieniądze nie stanowią problemu.

Gabrielle rozpromieniła się na myśl o sporym zysku.

* A więc jestem pewna, że zdołamy znaleźć pokój dla madame i monsieur. Jedna z moich najmilszych dam wkrótce będzie wolna. Umie znaleźć się w takich sytuacjach: jest taktowna i bardzo piękna. A może państwo sami chcą wybrać sobie dziewczynę?

* Nie. Zdajemy się na panią.

* Ta dama bierze pięć egipskich funtów za godzinę.

* Jak długo możemy zostać?

Gabrielle z perlistym śmiechem machnęła ręką.

* Jak długo chcecie, cheri, o ile zapłacicie z góry. Proszę tędy. Zaraz dostaniecie pokój i butelkę szampana. Na koszt firmy oczywiście. Młoda dama dołączy do was niebawem i będziecie mogli spokojnie cieszyć się jej towarzystwem.

Rozdział 43

Główna kwatera brytyjskich wojsk lądowych,

Aleksandria,

godzina 16.00

Weaver stał sam pod oknem w biurze Myersa.

Był otępiały, jakby dopiero co ocknął się z narkozy. Zaschło mu w ustach, na jego czole lśniły krople potu. Na placu apelowym dziesiątki uzbrojonych żołnierzy szykowały się do odjazdu. Patrzył, jak Myers i kilku innych oficerów kieruje ich do czekających ciężarówek. Rozpoczynały się zakrojone na szeroką skalę poszukiwania, mające objąć całe miasto.

Weaver odszedł od okna, usiadł za biurkiem i objął głowę rękami, nagle poddając się przygnębieniu. Gdyby nie widział tego na własne oczy, nie uwierzyłby. Tą parą na dworcu byli Jack Halder oraz Rachel Stern. I nie miał cienia wątpliwości, że to oni oszukali sierżanta. Ale to nie miało żadnego sensu. Kompletne szaleństwo. Cały dygotał i wciąż nie mógł otrząsnąć się z szoku.

Martwi nie zmartwychwstają, a przecież widział ją.

Pamiętał wyraz zdziwienia na jej twarzy, kiedy go ujrzała, lei twarzy, którą widywał w myślach codziennie od czterech lat, którą opłakiwał i wspominał. W pierwszej chwili był przeziwiany, że śni lub ma przed sobą jej sobowtóra. Kiedy *cdnak zobaczył stojącego tam Jacka Haldera, który postrzelił .Sansona i dwóch żandarmów w cywilu, zrozumiał, że to nie halucynacja.

Teraz nieustannie zadawał sobie pytanie: Jak to możliwe?

Akcja na dworcu zakończyła się katastrofą. Oprócz Sansona mieli jeszcze dwóch rannych, jeden z nich

dostał kulę w pierś i Uraz operowano go we French Hospital. Halder i Rachel wykorzystali zamieszanie i uciekli. Przez prawie godzinę szukał

ich na zatłoczonych uliczkach, ale zniknęli jak duchy. Zwątpiłby, czy jest przy zdrowych zmysłach, gdyby nie świadkowie i ranni. To wszystko nie było wytworem jego wyobraźni. Potrząsnął głową, czując w żołądku straszliwą pustkę, od której zbierało mu się na wymioty. Ścisnęło go w dołku.

Ktoś zapukał do drzwi. Po chwili wszedł kapral i zaszalutował.

* Telefon do pana, panie pułkowniku.

* Przełącz. I powiedz kapitanowi Myersowi, że chcę się z nim widzieć, kiedy tam skończy.

Po krótkiej chwili zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

* Podpułkownik Weaver.

* Cześć, Harry. Możesz swobodnie mówić?

Była to Helen Kane. Ale Weaver, zamiast ucieszyć się, że do niego zadzwoniła, wpadł w jeszcze większe przygnębienie.

* Tak, Helen... * wymamrotał.

* Masz dziwny głos. Czy coś się stało?

* Nie. Wszystko w porządku * skłamał.

* Zadzwoniłam tylko po to, żeby ci powiedzieć „cześć”. Tęsknię za tobą. Czy poczyniliście jakieś postępy w sprawie dakpty?

Zapadła długa cisza. Weaver miał zamęt w myślach i nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa.

* Coś nie tak, Harry? * zapytała.

* Słuchaj, jestem teraz zajęty * uciął. * Możemy porozmawiać innym razem?

Odpowiedziała mu cisza. Był pewny, że zranił Helen, i poczuł się paskudnie. Jednak Rachel żyła i w tym momencie nie był w stanie myśleć o niczym innym.

* Przepraszam. Trafiłaś na kiepski moment * powiedział.

* Rozumiem. Do widzenia, Harry * odparła Helen i rozłączyła się.

Kiedy wszedł Myers, próbował wzięć się w garść.

* Jesteśmy gotowi, panie pułkowniku, i ściągamy kogo tylko się da do pomocy w poszukiwaniach. Policja sprawdza wszystkie hotele i pensjonaty w mieście. Ostrzeżliśmy ich, żeby zachowali nadzwyczajną ostrożność. Tamci nie mogli daleko uciec. Będziemy przetrząsać Aleksandrię, aż ich znajdziemy.

Weaver wiedział jednak, że to nie będzie takie proste. W drugim co do wielkości mieście Egiptu roiło się od uchodźców

wszelkich narodowości. Podobnie jak w Kairze, były tu setki łanich hotelików i noclegowni, w których nikt nie fatygował się prowadzeniem rejestru gości. Przeszukanie ich zajęłoby kilka dni.

* Czy są jakieś wiadomości o podpułkowniku Sansonie?

* Nadal przebywa w szpitalu. * Kapitan zerknął na plac, gdzie ostatni żołnierze wsiadali na ciężarówkę. * Lepiej już pójdę. Dołączy pan do nas, panie pułkowniku?

* Zaraz po powrocie ze szpitala. Gdybyście coś znaleźli, natychmiast zawiadomcie mnie przez radio.

Kapitan zasalutował i zamierzał odejść, lecz Weaver zali zymał go.

* Jeszcze jedno...

* Tak, panie pułkowniku?

* Postarajcie się wziąć ich żywcem. Proszę powiedzieć to swoim ludziom.

Kapitan zdziwił się.

* To może okazać się niemożliwe, a na pewno niemądre, szczególnie po tym, co się stało.

* Chcę ich mieć żywych, jeśli to będzie możliwe. Dajcie im szansę poddać się. To rozkaz.

Kapitan zmarszczył brwi.

* Wolno spytać dlaczego, panie pułkowniku?

* Mam swoje powody * uciął Weaver.

* Zrobię, co będę mógł * odparł ponuro Myers. * Ale oni już zabili dwóch oficerów i zranili trzech innych ludzi. Jeśli dojdzie do strzelaniny, nie będę ryzykował życia moich żołnierzy.

W izbie przyjęć we French Hospital jedynym pacjentem był Sanson, którym zajmował się lekarz i pielęgniarka. Weaver zaczekał, aż skończą i Sanson wyjdzie zza parawanu. Prawą dłoń miał zabandażowaną i był bardzo blady.

* Jak się czujesz?

Sanson wyjął paczkę papierosów i z trudem zapalił jednego lewą ręką.

* Jak Boris Karloff w roli mumii * mruknął. * Mimo wszystko nie straciłem żadnego palca, a to już coś. * Spojrzał na Weavera. * Musimy porozmawiać gdzieś na osobności.

Wskazał mu drewniane ławki na białej werandzie. Kiedy usiedli, znów spojrzał uważnie na Weavera.

* Znasz tę parę z dworca, prawda?

* Skąd wiesz?

Sanson zaciągnął się papierosem.

* Widziałem wasze twarze. Wszyscy troje wyglądaliście, jakbyście ujrzeli zmartwychwstającego Łazarza. Poza tym ten mężczyzna mówił, że cię zna.

* Jak to?

Sanson wyjaśnił mu i oświadczył:

* Chciałbym wiedzieć, co się tu, do diabła, dzieje. Weaver opowiedział mu, skąd zna Haldera i Rachel. Trwało

to kilka minut i Sanson siedział z nieprzeniknioną miną, dopóki Weaver nie skończył. Potem wstał i westchnął.

* Co za zbieg okoliczności. Chociaż łatwo zrozumieć, skąd wziął się tu Halder. Doskonale zna język arabski i Egipt. Poza tym mówi po angielsku jak rodowity Anglik i bez trudu potrafi udawać brytyjskiego oficera, a jego amerykański akcent również jest bez zarzutu. Prawdopodobnie pracuje dla Abwehry lub jednej z kilku innych niemieckich organizacji wywiadowczych, więc jego obecność tutaj mnie nie dziwi. Jednak nie mogę zrozumieć, co tu robi ta dziewczyna. Z tego, co mi powiedziała, wynika, że powinna nie żyć.

* Ja również tego nie rozumiem. * Weaver ze zdumieniem potrząsnął głową. * To nie ma sensu.

* Jak nazywał się ten statek, który zatonął?

* „Izmir”.

* Jesteś pewny, że to była ona?

* Oczywiście.

* Sprawdzę tę historię z „Izmirem”. To raczej nieprawdopodobne, aby ktoś żydowskiego pochodzenia pomagał Niemcom, chyba że pod przymusem. Zawsze pozostaje też inna możliwość...

* Jaka?

* Być może od początku nie była osobą, za którą się podawała. Niemiecko*żydowskie pochodzenie mogło być przykrywką i przez cały czas pracowała dla Niemców. Twój przyjaciel Halder pewnie także.

* Słuchaj, Sanson * rzekł gniewnie Weaver * nie wiem, co się tu dzieje ani w co oni są zamieszani, ale jednego jestem pewny: Rachel Stern i jej rodzice mieli zdecydowanie antyhitlerowskie poglądy. A rodzinę Halderów znam od dziecka. Nigdy nie byli nazistami.

Sanson rzucił papierosa i zdusił go obcasem.

* Pozwól, że coś ci powiem, Weaver. Przed wybuchem wojny wywiad wojskowy i egipska policja mieli na oku wszystkich podejrzanych o to, że są szpiegami albo agentami obcych mocarstw. Niemcy przysłali tu mnóstwo swoich wywiadowców, udających turystów, zagranicznych biznesmenów lub archeologów. Ci ludzie wyszukiwali wśród Egipcjan zwolenników faszystów i nawiązywali kontakty na przyszłość. Wiedzieli, że A Tryka Północna stanie się areną przyszłych walk, bo ze względu na jej położenie w pobliżu środkowowschodnich pól naftowych było to nieuniknione. Włosi również prowadzili tu tę samą grę. Nawet niektórzy Amerykanie działali tutaj na rzecz

departamentu Stanu.

Weaver pokręcił głową.

* Nie ma mowy, żeby Jack Halder lub Rachel Stern byli szpiegami. Dałbym za to głowę.

* Na twoim miejscu nie robiłbym tego. Przynajmniej dopóki nie sprawdzimy, czy policja wie coś o którymś z nich. A ten twój przyjaciel to bardzo zdolny gość. Dobrze posługuje się bronią, włada kilkoma językami i w dodatku jest mordercą. To diabelnie groźna kombinacja. Ale teraz przynajmniej wiemy, z kim mamy do czynienia.

* Nie wierzę, że Halder zamordował z zimną krwią tych oficerów.

* Ktoś to jednak zrobił. I zamierzam schwycić tego człowieka. Halder i ta kobieta mogli mieć towarzystwo, chociaż na razie nic na to nie wskazuje. Natomiast nie ma wątpliwości, że są* agentami wroga * oświadczył Sanson, wstał i zapytał: * Jak przebiegają poszukiwania?

Kiedy Weaver powiedział mu, Sanson zastanawiał się chwilę, po czym oświadczył:

* Powinniście sprawdzić każdy kościół, przytułek i burdel. Mogli schronić się w którymś z nich. Złapiemy ich, nawet gdybyśmy mieli przetrząsnąć całe miasto.

Weaver otarł pot z twarzy. Sanson podszedł do niego, położył

ręką na jego czole i spojrzał mu w oczy.

Poziom adrenaliny skoczył ci pod sufit. Potrzebny ci zastrzyk na uspokojenie.

Nic mi nie będzie.

Nie kłóć się ze mną, Weaver. Wyglądasz okropnie. * Sanson odwrócił się. * Sprowadzę lekarza.

* Co się stanie, kiedy ich znajdziemy? Sanson odwrócił się i oświadczył:

* Myślę, że już znasz odpowiedź na to pytanie. Może kiedyś byli twoimi przyjaciółmi, ale teraz są wrogami i mają krew na rękach. Lista zarzutów przeciw nim jest bardzo długa. Szpiegostwo, udawanie brytyjskiego oficera przez Haldera, nie mówiąc już o zamordowaniu dwóch ludzi, postrzeleniu trzech

innych i stawianiu oporu przy aresztowaniu. Jestem pewny, że sąd polowy postawi im znacznie więcej zarzutów. Bóg jeden wie, co zamierzali zrobić, zanim wpadliśmy na ich ślad. * Potrząsnął głową. * Spójrzmy prawdzie w oczy, Weaver. Nawet jeśli weźmiemy ich żywcem, oboje czeka stryczek. Zawisną tak wysoko, że nie doleczą do nich nawet sępy. Mogę ci to obiecać.

Rozdział 44

Aleksandria, godzina 15.00

Pokój znajdował się na najwyższym piętrze. Stało w nim podwójne mosiężne łóżko z czystą bawełnianą pościelą, a w przyległej łazience znaleźli świeże ręczniki. Wysokie, zasłonięte okiennicami okna wychodziły na tyły budynku, na dole znajdowało się niewielkie wybrukowane podwórkó. Rosło na nim kilka figowców, a łukowata furtka z kutego żelaza prowadziła na wąską uliczkę tanich hotelików i domów publicznych. Naprzeciwko znajdowała się kawiarenka z chybottliwymi trzciniowymi stoliczkami oraz fotelami ustawionymi na chodniku, gdzie kilku Arabów paliło nargile.

Po wyjściu madame Pirou Halder zamknął drzwi i otworzył okiennice. Jeszcze nie nadszedł wieczór, lecz na ulicach już zaczął się ruch: żołnierze i cywile ciągnęli chmarami do dzielnicy czerwonych latarni. Po przeciwnej stronie widział podjazdy kilku budynków, zobaczył też parę prostytutek prowadzących klientów do pokoi.

* Naprawdę uważasz, że jesteśmy tu bezpieczni? * zapytała Rachel.

* Względnie. Miejmy nadzieję, że Harry nie przyjdzie tu ze swoimi kolegami.

* Nie mogę przestać myśleć o tym, co się stało... że znów go zobaczyłam, i to w takich okolicznościach.

* Ja też, chociaż bardzo się staram. To trochę niepokojące, ile nie powinniśmy tracić hartu ducha.

Zamknął okiennice, otworzył butelkę taniego egipskiego | •Aimpana i napełnił trzy kieliszki, które madame postawiła na lacy. Z ponurym uśmiechem podał jeden Rachel.

* Nie najlepszej marki, ale cieszymy się tym, co mamy. Rachel wypita duszkiem i opadła na łóżko.

* Nigdy nie sądziłam, że tak mnie ucieszy pobyt w burdelu.

* Pytanie tylko, co zrobimy, kiedy przybędzie ta młoda „dama”?

Rachel uśmiechnęła się.

* Co cię tak śmieszy? * zapytał Halder.

* Jak ci się udało zwiędzić madamel Mówisz o mnie, że jestem dobrą aktorką, ale to ty minąłeś się z powołaniem. Nic dziwnego, że twój przyjaciel Schellenberg wybrał cię do tej misji.

* On nie jest moim przyjacielem i niczego mu nie zawdzięczam, ale cieszę się, że dostrzegasz zabawne strony tej sytuacji.

* Nie odpowiedziałeś mi, skąd wiedziałeś o tym miejscu.

* Udając przez miesiąc brytyjskiego oficera, słyszałem o różnych takich przybytkach, w tym także o lokalu madame Pirou. Ale zaraz pewnie przyjdzie ta dziewczyna...

* Jeśli to ma nas ocalić... Halder był zaszokowany.

* Nie mówisz poważnie.

* Zniosłabym gorsze rzeczy, byle tylko uniknąć schwytania. Jestem jednak przekonana, że coś wymyślisz.

* Rachel wstała z łóżka, przegarnęła ręką włosy i poszła do łazienki, mijając zdumionego Haldera. *
Muszę się wykąpać i przebrać w czyste ubranie. Proponuję, żebyś zrobił to samo, dopóki możesz.

Rozległo się pukanie do drzwi. Halder zamarł. Po kolejnym stuknięciu Rachel powiedziała:

* Lepiej otwórz.

Halder podszedł do drzwi, uchylił je i zobaczył ładną Arabkę o czekoladowej skórze, kruczoczarnych włosach i ciemnobrązowych oczach. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego, a potem spojrzała na Rachel.

* Monsieur, madame. Mam na imię Safa.

Halder nie bardzo wiedział, jak zareagować. Arabka weszła do środka i zamknęła drzwi. Miała na sobie szarawary i skąpy staniczek ukazujący obfity biust, a sposób, w jaki spoglądała na Rachel, nie pozostawiał żadnych wątpliwości co do jej upodobań.

* Jesteś pewna, że nikt nie będzie nas niepokoił? * zapytał Halder.

Safa błysnęła w uśmiechu białymi zębami.

* Oczywiście. Ten pokój jest wasz, jak długo chcecie. *

Przesunęła palcami po klapach jego marynarki, ale zerknęła przy tym pożądliwie na Rachel. * Madame mówi, że macie specjalne wymagania. Jestem tu, żeby zadowolić was oboje.

* To nie będzie konieczne * odparł Halder.

* Słucham...?

* Gdzie jest madamel

* W gabinecie, ucięła sobie drzemkę. Dlaczego pan pyta?

* Czy jest stąd tylne wyjście? Na wypadek, gdyby któryś z gości chciał wyjść niezauważony.

Dziewczyna była zdumiona.

* Tak, ale dlaczego pan o to pyta?

Halder otworzył portfel i wyjął gruby plik banknotów.

* Zgodziliśmy się na pięć funtów za godzinę. Dam ci sto, żebyś zniknęła do północy i nic nie mówiła madame ani innym dziewczynom.

Safa kompletnie oniemiała. Halder wyjaśnił:

* Przyszliśmy tutaj z prostego powodu. Próbuje ukryć się przed pewnym amerykańskim oficerem, wściekłym i zdolnym do wszystkiego, który nie może znieść myśli, że jego żona ma romans ze mną. Dziś po południu przyjechaliśmy z Kairu, ale musieliśmy uciekać z hotelu, ponieważ nas tam znalazł. z pewnością będzie nas szukał we wszystkich hotelach i pensjonatach w okolicy, więc musimy ukryć się gdzieś, zanim opuścimy miasto. * Uśmiechnął się czarująco. * Madame z pewnością źle nas zrozumiała, a my nie wyprowadziliśmy jej z błędu. W takich delikatnych sprawach najlepiej mówić jak najmniej. Na pewno to rozumiesz?

Rozumiała czy nie, nie miało to najmniejszego znaczenia. Chwyciła pieniądze, wepchnęła je za stanik i uśmiechnęła się.

* Jak pan sobie życzy, monsieur.

Kair, godzina 17.00

Deacon przełknął trzecią brandy w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Właśnie wrócił z „The Pharaoh's Garden”, gdzie na I a i asie nie zastał nikogo, kto byłby choć odrobinę podobny do tych, z którymi miał nawiązać kontakt.

* A więc już po wszystkim? * zapytał Hassan. * Miasto jest otoczone, nie mają szans.

* Wszystko diabli wzięli * stwierdził z goryczą Deacon. * To może być ostatni gwóźdź do trumny.

Odstawił szklanekę i wziął kartkę papieru, która leżała na biurku. Z Hassanem ukrytym w bagażniku packarda pojechał do willi i wrócił na statek. Na szczęście po drodze nikt ich nie zatrzymał. Potrzebował Hassana do tego, co zamierzał zrobić.

* Jeszcze nie wszystko stracone. Musimy... * zaczął Arab. W tym momencie usłyszeli pukanie do drzwi i wszedł służący.

Miał zmieszaną minę.

* Chyba powiedziałem, żeby mi nie przeszkadzano! * wybuchnął Deacon.

* Błagam o wybaczenie, efendi. Chce się z panem widzieć jakiś dżentelmen, nazywa się Salter. Przyplłynął łodzią z kilkoma mężczyznami.

Deacon wyjrzał przez okno. Na zewnątrz było już ciemno, ale zdołał dojrzeć zacumowaną nieco dalej motorówkę i paru goryli Saltera na pokładzie. Hassan podszedł do niego.

* Co on tu robi?

* Jeśli ten drań nie będzie uważał, ściągnie nam na kark policję * warknął Deacon.

Nagle drzwi otworzyły się na oścież i wszedł Salter, a za nim Costas Demiris.

* Cześć, Harvey * powiedział Salter, powoli przeszedł przez pokój, podniósł stojącą na biurku butelkę brandy i obejrzał nalepkę. * Hennessy rocznik trzydziesty szósty. Widzę, że nieźle ci się powodzi. Czy człowiek musi umrzeć z pragnienia, zanim zaproponuję mu tu drinka?

* Zostaw nas * rzucił Deacon do służącego, a kiedy ten wyszedł, gniewnie spojrzął na Saltera. * Co ty tu robisz?

* Nie denerwuj się. Chodzi o te ciężarówki, które zamówiłeś. I jest jeszcze parę spraw, które musimy omówić.

* Myślałem, że już to zrobiliśmy.

Salter uśmiechnął się, podszedł do barku, wziął sobie szklaneczkę, a potem wrócił do biurka i nalał sobie sporą porcję brandy.

* Niezupełnie, ale zaraz do tego dojdę. Mam trzy amerykańskie ciężarówki, jak obiecałem, oraz wszystkie potrzebne dokumenty. * Upił łyk i zmarszczył brwi. * Cóż to, nie jesteś pod wrażeniem?

* Byłbym wdzięczny, gdybyś powiedział swoje i poszedł

sobie. Nocna gra w ruletę w moim prywatnym mieszkaniu to jedno, ale jeśli ktoś widział, jak wchodzisz na pokład, może mnie odwiedzić policja.

* Odpręż się, jesteś bezpieczny. Postarałem się, żeby nikt mnic nie widział. * Salter ponownie napełnił sobie szklankę i zakręcił bursztynowym płynem. * Towar będzie jutro po południu w magazynie.

* To dobrze * odparł Deacon.

* Powinieneś okazać trochę więcej entuzjazmu. Chyba nie zamierzasz się wycofać, co, Harvey?

* Umowa stoi i zapłacę ci. O czym jeszcze chciałeś ze mną mówić?

Salter skinął na swojego towarzysza.

* Powiedz mu, Costas.

* Był pan bardzo zajęty, panie Deacon. Wycieczki do Gizy, .i potem na lotnisko... Nie wiedzieliśmy, co o tym myśleć.

Deacon poczuł, że krew odpływa mu z twarzy. W pośpiechu zapomniał o podstawowej zasadzie: zawsze pilnuj swoich ple*CÓw. Z trudem powstrzymując furię, spojrzał na Saltera.

* Śledziliście mnie.

* Szybko łapiesz, co, Harvey? Powiedz mu, czego jeszcze się dowiedzieliśmy, Costas.

* Lotnisko należy do Królewskich Sił Powietrznych Egiptu. Czasami korzysta z niego Ministerstwo Ochrony Zabytków, przewożąc do Kairu cenne znaleziska ze stanowisk archeologicznych na południu. Słyszałem, że ostatni transport do Muzeum Egipskiego odleciał trzy miesiące temu. Złoto i kosz*towności z grobowca w Dolinie Królów. Bezcenne.

Salter z krzywym uśmiechem odstawił pustą szklanekę i dodał:

* Ciekawe, nie uważasz, Harvey? Kiedy skończy się wojna, taki skarb może przynieść niezły grosz od prywatnych kolekcjonerów. Nie wiesz przypadkiem, kiedy odleci stamtąd następny transport? * Popatrzył na Deacona i wzruszył ramionami. * Na* rozumiem tylko, po co ci te amerykańskie ciężarówki. Lepsze chyba byłyby egipskiej armii lub lotnictwa. To i ta twoja wycieczka do Gizy to jedyne, co mi nie pasuje do układanki. Masz jakiś sprytny plan, tak?

Deacon przełknął ślinę.

Myślę, że popełniasz poważny błąd w ocenie sytuacji, Reggie. Naprawdę.

Nie sądzę, koleś, na pewno nie. Podejrzewam, że twoi

przyjaciele szykują jakiś brzydki numer... na przykład chcą zgarnąć bezcenny skarb z lotniska albo coś podobnego. I chciałbym dokładnie wiedzieć, o co chodzi.

* Nie powiedziałbym ci, nawet gdybym wiedział.

Salter podszedł bliżej i groźnie postukał palcem w pierś Deacona.

* Nie próbuj mnie robić w konia, Deacon. To nie popłaca. Cokolwiek szykujesz, na pewno jest to warte dużo więcej niż trzy kawałki. Tak więc mamy nową umowę. Chcę dziesięć procent. W zamian dostaniesz te pojazdy i mundury za darmo, a na dodatek pomocników, moich chłopców i mnie.

* Mówiłem ci... * zaczął Deacon. Salter uderzył go w twarz.

* Nie denerwuj mnie. Nie mam cierpliwości. Chcę wiedzieć, co szykują twoi kołesie.

Hassan zerwał się z fotela i wyjął nóż, ale Salter był szybszy. Wyrwał z kabury pod pachą browninga i wycelował go w głowę Araba.

* Tylko spróbuj, słoneczko, a wywalę ci w tym pieprzonym łbie dziurę wielkości wielbłąda. Rzuć nóż albo

twój szef będzie musiał zmienić dywan.

Hassan nawet nie drgnął.

* Nie będę powtarzał * ostrzegł Salter.

* Rzuć nóż * powiedział Deacon.

Hassan usłuchał. Salter zamachnął się i uderzył go pięścią w twarz. Arab runął na podłogę. Salter podniósł jego nóż.

* Spróbuj wyciągnąć go na mnie jeszcze raz, ty pieprzony brudasie, a potnę cię w plasterki.

Odrzucił nóż, odwrócił się i przytknął lufę pistoletu do nosa Deacona.

* Pogadaj ze swoimi przyjaciółmi. Wyjaśnij im sytuację. Przemów im do rozsądku. Mogę zdobyć wszystko, czego potrzebują do tego skoku... sprzęt, mundury, ludzi. Ale do jutrzejszego wieczoru chcę wiedzieć, na czym stoje. * Uśmiechnął się i opuścił broń. * Wierz mi, Harvey, to może być dobre dla nas wszystkich.

Deacon wyjął chusteczkę z kieszeni na piersi i wytarł nią twarz.

* Jesteś parszywym draniem, Salter.

* To najmilsza rzecz, jaką mi dziś powiedziano. * Salter schował browninga do kabury pod pachą, uśmiechnął się i po

klepał Deacona po policzku. * Bez urazy, Harvey, to tylko interes. Jeśli przekonasz swoich przyjaciół, żeby się zgodzili, obiecuję, że wszystko pójdzie gładko. Jeśli jednak spróbujesz mnie wyrolować, załatwię cię. A chyba twoi przyjaciele nie byliby zadowoleni, gdyby policja dostała anonimową wiadomość, że powinni pilnować tego lotniska. Kapujesz? To na razie.

Kiedy Salter i Grek wyszli, Hassan splunął i otarł krew z twarzy. Podniósł nóż i gniewnie spojrzął na Deacona.

* Następnym razem zabiję go. I tego Greka też. Deacon nalał sobie brandy, wypił i z traskiem postawił szklanekę na biurku.

* Zapomnij o tym. Mamy teraz poważniejsze problemy. Ale powinieneś uważać, komu pokazujesz tę swoją wykafaczkę. Salter nie lubi, jak mu grożą. * Wyrwał kartkę z leżącego na Nurku notatnika i napisał na niej adres. * Nie potrzebujemy już ciężarówek Saltera, a to mu się nie spodoba. Nawet gdybym mu zapłacił, pomyśli, że go oszukałem. Ale później będę się tym martwił. * Rzucił Arabowi kluczyki. * Weź mój samo*chód i jak najszybciej jedź do Aleksandrii.

Hassan zmarszczył brwi.

* Mówiłeś, że tam roi się od wojska i policji.

* Ciebie nikt nie będzie szukał. Poza tym nie powinni cię rozpoznać w tym przebraniu i bez brody, a sam mówiłeś, że nikt w hotelu dobrze ci się nie przyjrzał * powiedział Deacon i podał Arabowi skrawek papieru. * Jedź pod ten adres i porozmawiaj z inspektorem Sadekiem. Upewnij się, że nie jedzie za tobą żaden z ludzi Saltera.

I Ilassan popatrzył na Deacona ze zdziwieniem.

* Policjant...?

* Emerytowany policjant i sympatyk nazistów. Musimy dowiedzieć się, czy nasi przyjaciele zostali złapani. W nocy mam przekazać wiadomość do Berlina. Sadek powinien jakoś | u, tego dowiedzieć. Gdyby sytuacja wyglądała beznadziejnie, *cdź do Rashidu i powiedz temu twojemu kuzynowi, żeby pozbył się łodzi. I niech już nie kręci się koło rzeki. Nie chcę ustawiać żadnych dowodów, które mogłyby naprowadzić na Iliisz ślad, gdyby nasi przyjaciele zostali aresztowani i podczas przesłuchania powiedzieli o łódce.

Nie możesz zadzwonić do tego inspektora?

Od kiedy przeszedł na emeryturę, nie ma telefonu. Gdyby

Sadeka nie było w domu, zapytaj jego żonę, jak się z nim skontaktować, ale masz go znaleźć i powiedzieć, że to ja cię przysłałem. Jeżeli nie będzie chciał ci pomóc, niech zadzwoni do mnie, a ja to załatwię. Hassan zmarszczył brwi.

* A co ty będziesz robił?

* Jeszcze raz odwiedzę kawiarnię, na wypadek gdyby tamci mimo wszystko próbowali nawiązać kontakt.

Rozdział 45

A Aleksandria, godzina 16.00

Gabrielle Pirou usłyszała pukanie do drzwi znajdującego się na parterze pokoju, pełniącego rolę jej gabinetu. Z wysoko podciągniętymi nogami leżała na kanapie, na ramiona miała narzucony stary wełniany żakiet i zajadała się czekoladkami, których okruchy dawała pudełkowi.

* Wejść. Weszła Safa.

* Niektórym to dobrze * mruknęła.

Rzuciła na stolik plik banknotów. Gabrielle zmarszczyła brwi.

* Co to?

Safa wzięła z pudełka czekoladkę i włożyła ją sobie do ust.

* Twoja część. Ta para na górze nie chciała się w nic bawić. Okazuje się, że to nieporozumienie. Szkoda, kobieta wyglądała W porządku. * Wyjaśniła sytuację. * Mężczyzna dał mi pięćdziesiąt funtów, żebym się zmyła do północy. Oddaję ci twoją część i biorę wolne popołudnie, żeby zrobić zakupy.

Gabrielle usiadła.

* Myślisz, że są czyści?

* A co nas to obchodzi?

Gabrielle skrzywiła się, a potem wzruszyła ramionami.

* Coś mi tu nie gra, ale w końcu zapłacili. * Wepchnęła hanknoty do kieszeni żakietu i spojrzała na Safę. Ta chciała Huka pewnie dostała więcej, ale na razie zostawi to i zapyta i, miłych, zanim wyjdą. Zadzwoił telefon na biurku i Gabrielle powiedziała: * Bądź tak dobra i odbierz, cheri.

Safa podniosła słuchawkę.

* Salon madame Pirou. * Słuchała przez chwilę. * Proszę poczekać. * Zasłoniła dłonią mikrofon. * Ktoś szuka jednego z oficerów, którzy tutaj przyszli. Kapitana Greena. Twierdzi, że to pilne.

* Kto mówi?

* Z jego biura w dowództwie.

* Powiedz im, że zawiadomisz kapitana * westchnęła Gabrielle.

Safa rzuciła kilka słów do słuchawki i odłożyła ją.

* Teraz wychodzę * oświadczyła.

Kiedy poszła, Gabrielle siedziała na kanapie, rozmyślając o parze na górze. Od początku czuła, że coś jest z nimi nie tak. Po kilku minutach usłyszała kroki i pukanie do drzwi. Wszedł czerwony na twarzy mężczyzna, wpychając koszulę do spodni.

* Ach, capitaine. Był do pana pilny telefon. Zdaje się, że z dowództwa.

* Skąd wiedzieli, że tu jestem, do diabła? Gabrielle uśmiechnęła się.

* Tak jak wyroki boskie, niezbadane są drogi, jakimi rozchodzą się w wojsku wiadomości. Zostawię pana samego.

Kilka minut później kręciła się po holu, poprawiając kwiaty w wazonach. Kiedy oficer ze zirytowaną miną wyszedł z jej gabinetu, zapytała:

* Problemy, capitaine!

* Można tak powiedzieć. Zarządzono poszukiwania i muszę wrócić do koszar. Podobno szukają pary niemieckich agentów. Postrzelili trzech naszych ludzi przed dworcem Ramleh. I to właśnie teraz, kiedy człowiek chciał się trochę rozerwać. Ci Niemcy to cholerna banda.

Jego słowa dopiero po chwili dotarły do Gabrielle. Zmarszczyła brwi.

* Powiedział pan „Niemcy”?

* Kobieta i mężczyzna, prawdopodobnie bardzo niebezpieczni.

Godzina 16.15

Halder leżał na łóżku, paląc papierosa i studiując przewodnik, kiedy Rachel wyszła z łazienki. Miała wilgotne włosy i była owinięta ręcznikiem.

* Przynajmniej jest tu gorąca woda i mydło. Nie chcesz się wykąpać?

Halder spojrzał na jej długie nogi, smukłą szyję i łagodną wypukłość piersi pod ręcznikiem.

* Co się stało? * spytała Rachel. Popatrzył jej w oczy.

* Nic.

Odłożył przewodnik, wstał z łóżka, zgasił papierosa i poszedł do łazienki. Goląc się, napełnił wody do wanny, potem wykąpał się w gorącej wodzie i dziesięć minut później wyszedł z łazienki, i winiety ręcznikiem. Wyjął z paczki następnego papierosa, w milczeniu postukał nim o pudełko i oparł się o drzwi. Rachel siedziała na łóżku, susząc włosy. Zauważyła, że Halder się jej przygląda.

* Dlaczego tak na mnie patrzysz? Zapalił papierosa i powoli wciągnął dym.

* Jest w tobie coś innego. Coś, co od razu wyczułem, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy od czterech lat. Próbowałem zrozumieć, co to takiego. Teraz wiem.

Przestała wycierać głowę ręcznikiem.

* Co?

* Jakaś twardość, której nie pamiętam. Jesteś teraz inna. Odwróciła się, unikając jego spojrzenia. Skończyła suszyć

włosy i odłożyła ręcznik.

* Pewnie po czterech latach pobytu w obozie człowiek załamuje się albo staje się twardszy. * Zamilkł na chwilę. * Widziałem wyraz twojej twarzy, kiedy znów zobaczyłaś Har* i v ego. Z nas dwóch to właśnie

jego kochałaś, prawda? Tym razem spojrzała mu w oczy.

* Byłam zaskoczona. Nic więcej. To, co czułam do Harry'ego, nie ma żadnego znaczenia.

I Halder westchnął, podszedł do okna i wyjrzał zza zasłony.

Wszystkie okna po drugiej stronie ulicy były zamknięte i za*

lonięte, ale na dole, w kawiarni, nadal był ruch. Puścił zasłonkę.

* Pewnie masz trochę racji. Podczas wojny ludzkie życie przestaje się liczyć. To, czy my dwoje przeżyjemy, czy zginieemy, nikogo nie obchodzi. Oprócz mnie.

* Dlaczego?

* Ponieważ wciąż jestem w tobie zakochany. Zawsze byłem. Rachel nie odpowiedziała. Objęła się rękami, jakby było jej

zimno, po czym podeszła do łóżka i usiadła. Halder popatrzył na nią.

* Mogę ci coś powiedzieć? Kiedy umarła moja żona, jedynym, co mnie trzymało przy życiu w tym oszalałym świecie, był mój syn. Często jednak myślałem o tobie. Zastanawiałem się, co się z tobą stało, czy żyjesz, czy zginęłaś? Może tak naprawdę miałem nadzieję, że znów się spotkamy i będę miał odwagę powiedzieć ci, co czuję. * Zgasił papierosa i nagle sposepniał. * Nie wiem, czy jeszcze kiedyś zobaczę Pauliego. Być może już nie żyje...

Rachel wstała, podeszła do niego i położyła dłoń na jego ramieniu.

* Nie możesz się teraz poddawać, Jack. Po prostu nie możesz.

* Nic nie rozumiesz. To sytuacja bez wyjścia. Nie ma sensu udawać, że jest inaczej.

* Nie. Razem znajdziemy jakieś wyjście.

* Po tym, co się stało, nie mamy żadnych szans. Położyła obie ręce na jego ramionach.

* Spójrz na mnie, Jack. Uda nam się. Musisz w to wierzyć. Odetchnął i wziął się w garść.

* Masz rację. Przepraszam.

* Nadal zależy ci na Harrym, chociaż jesteście po przeciwnych stronach, prawda? Kiedy przed dworcem wycelowane w niego broń, czy choć przez moment przyszło ci do głowy, że może będziesz musiał go zastrzelić?

* Oczywiście. Ale wiedziałem, że nie mógłbym tego zrobić. * Halder wzdrygnął się. * Niepokoi mnie myśl, że możemy stanąć naprzeciw siebie z palcami na spustach. Ale wiem, że gdybym musiał zabić Harry'ego, długo bym się zastanawiał. Zastrzelić najlepszego przyjaciela, człowieka, który był mi jak brat... Nie chciałbym kiedykolwiek stawać przed takim wyborem.

Rachel popatrzyła mu w oczy.

* To, co powiedziałaś o naszym pierwszym spotkaniu, jest dla mnie jak grom z jasnego nieba. Naprawdę tak myślałaś?

* Naprawdę. Mówiłem ci, Harry też cię kochał. A za bardzo zależało mi na jego przyjaźni, abym ją zniszczył, mówiąc ci, co czuję. To właśnie dlatego zapytaliśmy cię tamtego wieczoru w ambasadzie, czy kochasz któregoś z nas. Chcieliśmy być w porządku wobec siebie i pozwolić ci dokonać wyboru. Ale wtedy wyjechałaś i wszystko przepadło. Tylko że dla mnie nic się nie zmieniło. Nadal cię Kocham. *
Spojrzał jej w oczy. *

A co z tobą? Czy kochałaś wtedy któregoś z nas? Powiesz mi prawdę?

Rachel była bliska łez. Położyła palec na jego ustach.

* Chociaż przez chwilę spróbujmy być szczęśliwi w tym zwariowanym świecie. Pocałuj mnie, Jack.

Spojrzał na nią. Łza spłynęła jej po policzku. Jego oczy roziskrzyły się gwałtownym pożądaniem i mocno pocałował ją w usta. Oddała mu pocałunek i ściągnęła ręcznik, odsłaniając ciało. Jego wargi muskały jej szyję, uszy, ramiona, a dłonie przesuwały się po piersiach, ku udom, między nogi. Odwzajemniła pieszczotę, dotykając palcami jego twardego, muskularnego brzucha, ściskając i gładząc jego męskość.

Halder podniósł ją i zaniósł na łóżko. Leżeli, dotykając się i całując, aż w końcu, wyczuwając jego gotowość, Rachel przetoczyła się na niego, rozchyliła uda i wprowadziła go w siebie.

Rozdział 46

Godzina 19.15

* Na razie złapaliśmy tylko paru dezertersów, arabskiego kryminalistę i dwóch Niemców * powiedział Myers.

Główna droga z Aleksandrii do Kairu była zupełnie zakorkowana i rozwścieczeni kierowcy raz po raz używali klaksonów. Z obu stron blokady stały długie sznury samochodów i ciężarówek. Weaver przyglądał się żołnierzom, kontrolującym każdy pojazd. Nie pomijali żadnego. Sprawdzano nawet przyjeżdżających, na wypadek gdyby Halder i Rachel mieli wspólników, którzy zdołali wymknąć się patrolom na pustyni i teraz próbowali wjechać do Aleksandrii.

Pięć minut wcześniej Weaver przyjechał na ten posterunek. Podczas ofensywy Afrika Korps wykorzystywano go do kontrolowania ruchu w mieście. Kierowcom kazano wychodzić z pojazdów, które dokładnie przeszukiwano, a pasażerom skrupulatnie sprawdzano dokumenty. Wokół barier paliły się neonowe lampy. Weaver zmarszczył brwi i zapytał:

* Jakich Niemców? Kapitan skrzywił się.

* Przed kapitulacją Rommla niektórzy jego żołnierze przebrali się w cywilne ciuchy i przekradli przez pierścień okrążenia. Albo mieli arabskie dziewczyny, których nie chcieli zostawić, albo woleli nie ryzykować życia, pozostając w mundurach. Jesteśmy pewni, że ukrywa się tu jeszcze wielu z nich.

* A ci dwaj aresztowani?

* Jeden to kilkunastoletni chłopak. Od kiedy zdezerterował

osiem miesięcy temu, ukrywał się w katolickim kościele. Drugi to kucharz, były sierżant Wehrmachtu. * Myers uśmiechnął się. * Okazało się, że pracował w arabskiej restauracji, chętnie odwiedzanej przez naszych wyższych oficerów. Drań mógł ich wyłuć, gdyby chciał. Ktoś za to odpowie.

* Jesteście pewni, że to dezerterzy, a nie szpiedzy?

* Tak. Sam ich przesłuchiwałem, panie pułkowniku. Mówią prawdę.

Weaver spojrzał na pogrążoną w mroku szosę. Korek miał prawie pół kilometra długości i samochody w ślimaczym tempie podążały w kierunku barier, przecinając ciemność strumieniami ulicktorów i gniewnie wyjąc klaksonami. Żołnierze na moto* i ach jeździli tam i z powrotem wzdłuż kolumn. Na wzgórzach wokół miasta migotały światła wiosek, a za plecami Weavera biegnąca przez pustynię droga do Kairu coraz bardziej pogrążała się w mroku. Dolatywały z niej sygnały klaksonów i gniewne okrzyki.

* Niecierpliwą się * zauważył Myers.

* Trudno. * Weaver ruszył w kierunku zapór. * Zobaczmy, jak idzie naszym ludziom.

Godzina 19.20

Na drodze panowało straszliwe zamieszanie. Hassan siedział w packardzie. Chociaż jechał najszybciej, jak mógł, dotarł do przedmieść Aleksandrii po ponad dwóch godzinach jazdy, u teraz utknął w długiej kolumnie poruszających się w żółtym tempie samochodów.

Wojsko przeszukiwało wszystkie pojazdy, co świadczyło, że jeszcze nie złapali Niemców * przynajmniej nie wszystkich. Stojąca przed nim ciężarówka z ładunkiem melonów powoli ruszyła naprzód. Wrzucił bieg i podjechał kawałek. Posterunek kontrolny był jasno oświetlony. Nagle Hassan zdrętwiał.

Zobaczył dwóch oficerów, Anglika i Amerykanina, masze*rujących w kierunku zapory. Idący przodem Amerykanin był tym samym oficerem wywiadu, na którego natknął się w mieszkaniu.

Weaver.

Hassan zaklął i rąbnął pięścią w kierownicę. Widzieli się

z tak bliskiej odległości, że Amerykanin na pewno nie zapomniał jego twarzy. Hassan potarł szczękę.

Siniak jeszcze nie zniknął i był kolejnym dowodem, gdyby Weaver miał jakieś wątpliwości, więc mógł go rozpoznać pomimo przebrania. Hassan gorączkowo szukał jakiegoś wyjścia z sytuacji. Wiedział, że ryzyko jest zbyt wielkie. Musi się stąd wydostać. Zaczął wyjeżdżać packardem z kolumny, chcąc zawrócić i pojechać z powrotem do Kairu. Nagle obok przemknął żandarm na ryczącym motocyklu i zahamował z piskiem opon.

* Hej, ty! Dokąd się wybierasz, koleś? Hassan wzruszył ramionami.

* Kolejka wolno się posuwa, a ja mam ważne spotkanie w interesach. Pojadę inną drogą.

* Nie ma mowy. Kontrolujemy wszystkich. Masz zostać w kolejce, zrozumiano?

* Tak jest. Oczywiście.

Żandarm obrzucił go gniewnym spojrzeniem i odjechał z rykiem silnika. Hassan siedział z mocno bijącym sercem, usiłując opanować narastający strach. Gdyby spróbował uciec, zastrzeliliby go, zanim ujechałby pięćdziesiąt metrów. Nie miał innego wyjścia, musiał czekać w kolejce. Jeżeli ten Amerykanin rozpozna go, będzie skończony.

Pocił się w dusznym wnętrzu samochodu. Po pięciu ciągnących się w nieskończoność minutach już tylko jeden wóz dzielił go od początku kolejki. Stojąca przed nim ciężarówka podjechała do barierki, a potem jeden z żołnierzy skinął na Hassana.

Zobaczył Weavera, który z rękami opartymi na biodrach nadal stał przy szlabanie i obserwował kręcących się wokół wozów żołnierzy. Kiedy ruszył naprzód, Amerykanin obejrzał się i popatrzył na packarda.

Hassan wcisnął się w fotel i zaklął pod nosem, podejrzewając, że został rozpoznany. Nie miał dokąd uciec. Sięgnął do schowka na rękawiczki i wyjął nóż z rękojeścią z kości słoniowej. Tarik nie żył i ten Amerykanin musi za to zapłacić. Hassan poczuł, że narasta w nim gniew. Postanowił, że jeśli będą chcieli go aresztować, zabije Weavera i spróbuje uciec. Jeśli zdoła staranować barierę i pomknąć w kierunku przedmieść Aleksandrii, powinno mu się udać. Packard był znacznie szybszy od wojskowych pojazdów, którymi mogliby go ścigać.

Żołnierz ponownie machnął ręką. * No już, kolego. Dalej, dalej! Hassan wrzucił bieg i powoli ruszył.

Godzina 19.20

Weaver był zmęczony i zniecierpliwiony. Patrzył, jak kapral sprawdza dokumenty egipskiemu kierowcy ciężarówki, podczas gdy drugi żandarm zagląda do szoferki. Trzeci oświetlał latarką podwozie, a dwaj następni wdrapali się na pakę, żeby obejrzeć ładunek.

Halder i Rachel musieli być gdzieś w mieście i najprawdopodobniej chcieli się z niego wydostać. Weaver był przekonany, że przy tyłu posterunkach i patrolach nie mogli się jeszcze wymknąć. Instynkt

podpowiadał mu, że są gdzieś tutaj, w tej długiej kolumnie wozów, zapewne z fałszywymi dokumentami. Dlatego czekał tu, żeby ich zidentyfikować.

Ale co wtedy? Wołał o tym nie myśleć.

Może jednak przynajmniej miałby szansę przekonać Hal*dcra, żeby się poddał, zanim komuś jeszcze stanie się krzywda. Westchnął i popatrzył na długą kolumnę wozów, czekających na wjazd do miasta. Następnym samochodem w kolejce był czarny amerykański packard. Szeregowiec skinieniem dał znać kierowcy, żeby podjechał do bariery i zajął miejsce cięża*irówki, ale ten ociągał się wyraźnie. Weaver usiłował dojrzeć jego twarz, lecz była skryta w cieniu. Szeregowiec znów machnął ręką.

* No już, kolego. Dalej, dalej!

Packard wreszcie powoli ruszył naprzód. Weaver wciąż nie widział twarzy kierowcy. Zrobił krok w stronę podejrzanego pojazdu.

Nagle usłyszał ryk silnika, odwrócił się i zobaczył pędzącego w kierunku zapory dżipa, nadjeżdżającego z miasta. Wóz mknął samym skrajem drogi, mocno przechylony, dwoma kołami mknąc po piaszczystym poboczu. Ktoś zamierzał staranować zaporę.

Weaver wyrwał z kabury pistolet, wycelował i w tym momencie poznał siedzącego obok kierowcy Sansona. Dżip zahamował z piskiem, wzbijając chmurę pyłu.

Chryste! O mało cię nie zastrzeliłem.

* Wsiadaj * powiedział Sanson i zawołał do Myersa: * Niech pan jedzie za nami i weźmie radiooperatora!

* Co się stało? * zapytał Weaver.

* Trafiliśmy wreszcie na ślad. Policja dostała anonimowy telefon. W burdelu na wybrzeżu zatrzymała się jakaś podejrzana para. Posłałem tam już dwie drużyny, żeby otoczyły budynek. Nie wymkną się. Jeśli się pospieszymy, będziemy tam za dziesięć minut.

Weaver wskoczył na tylne siedzenie dżipa, który zawrócił i pognął z powrotem.

Hassan odetchnął, widząc odjeżdżającego Weavera. Był pewny, że Amerykanin coś podejrzewał, ale uratowało go nieoczekiwane przybycie angielskiego oficera. Ten też wyglądał znajomo i po chwili Hassan przypomniał sobie, gdzie go widział. To jeden z tych, którzy przybiegli do mieszkania na odsiecz Wea*verowi.

Skoro obaj prowadzili pościg, jak dużo wiedzieli? Nagle zaniepokoiło go jeszcze coś: dlaczego odjechali w takim pośpiechu? Może znaleźli Niemców? Dotknął językiem dziur w szczęcie, pomyślał o Tariku i znów poczuł wściekłość na wspomnienie tego, co zrobił mu Amerykanin.

* Proszę wysiąść i pokazać dokumenty * rozkazał sierżant. Hassan wysiadł. Sierżant dokładnie obejrzał jego papiery,

a dwaj żołnierze szybko sprawdzili wnętrze wozu i otworzyli bagażnik.

* W jakim celu jedzie pan do Aleksandrii?

* Odwiedzić ojca. Jest bardzo chory.

Hassan wiedział, że gdyby zamiast garnituru miał na sobie galabiję i gdyby jechał wózkiem ciągniętym przez osiołka, a nie packardem, sierżant nie traktowałby go tak uprzejmie.

* Samochód jest czysty, panie sierżancie, ale znalazłem to... * zameldował kapral, podając mu nóż.

* Niebezpieczna broń * zauważył sierżant i unióśł brwi, czekając na wyjaśnienie.

Hassan wzruszył ramionami, wiedząc, że nic mu nie zrobią.

* Jestem biznesmenem. Na pewno pan wie, jak to jest, sierżancie. W Egipcie taki człowiek jak ja musi bronić się przed łazikami i złodziejami.

Sierżant nie miał powodu wątpić w jego słowa. Oddał mu nóż.

* Mogę spytać, po co ta kontrola?

* Nie, proszę pana, nie może pan. Proszę jechać.

Hassan wsiadł do samochodu i zapuścił silnik. Na pustynnej drodze dostrzegł tylne światła obu dżipów, które mknęły w kierunku miasta. Deacon kazał mu znaleźć policjanta, ale nagle Hassanowi przyszła do głowy nowa myśl.

Rozdział 47

Godzina 19.30

Jakiś hałas na ulicy obudził Haldera. Na zewnątrz było ciemno i tylko smuga księżycowego blasku sączyła się do pokoju przez szparę w okiennicach. Wyciągnął rękę, ale nie znalazł Rachel. Wyrwał spod poduszki rewolwer, wyskoczył z łóżka i już miał zapalić światło, kiedy dostrzegł ją siedzącą na trzcinowym fotelu pod oknem.

* Przestraszyłaś mnie. Przez chwilę myślałem, że gdzieś wysłałaś. * Uspokoił się i zauważył otwarty przewodnik leżący na jej kolanach. * Co robisz?

* Myślę. Pocałował ją w czoło.

* Sądziłem, że chciałaś się przespać?

* Postanowiłam zajrzeć do przewodnika. Jest kilka dróg, których nie wzięliśmy pod uwagę.

* Na przykład?

* Choćby port. Stamtąd moglibyśmy dostać się do Rashidu, a potem do Kairu. * Podała mu przewodnik.

* Sam zobacz.

Halder wsunął rewolwer za pasek spodni i zapalił światło. Rzucił okiem na przewodnik, a potem odłożył go, kręcąc głową.

* Możesz się założyć, że Harry i jego przyjaciele obstawili port. Poza tym płynie się długo, a na otwartym morzu nie ma dokąd uciec.

* W przewodniku była informacja, że jest tu lotnisko.

* Nawet dwa. Tylko jak minąć strażników?

* Masz wojskowe dokumenty. Jakoś tam wejdiesz i załatwisz nam przelot.

* To nie takie łatwe, Rachel. Nawet gdybyśmy dostali się

na lotnisko, nie byłby to koniec problemów. Prawdopodobnie chcieliby sprawdzić moją tożsamość przed wpuszczeniem na pokład, a z pewnością zostali już ostrzeżeni, że możemy spróbować wydostać się tą drogą.

* Przecież nie możemy siedzieć tu i czekać, aż nas złapią. Musimy coś zrobić * powiedziała z rozpaczą w głosie.

* Nadal najbezpieczniejszą trasą jest droga przez pustynię. I chyba jedyną.

A skąd weźmiemy środek transportu?

* Zostaw to mnie. * Ujął jej dłoń i posadził ją obok siebie, drugą ręką dotykając jej twarzy. * Żałujesz tego, co zdarzyło lic między nami?

Potrząsnęła głową. W jej oczach dostrzegł łzy.

* Chcesz znać prawdę?

* Mów.

Nigdy nie potrafiłam wybrać między tobą a Harrym. Kochałam was obu.

A teraz?

Przygryzła wargę, znów bliska łez, a potem zarzuciła mu ręce u i szyję i przyciągnęła go do siebie. Kiedy przestali się całować, położyła mu głowę na piersi.

* Jak tu cicho * powiedziała po chwili. Może zapomnieli o nas.

* Wydawało mi się, że słyszałam jakieś kroki na podjeździe. Może powinniśmy to sprawdzić?

* Miejmy nadzieję, że Safa dotrzymała umowy. Wolę nie myśleć, co może się stać, gdyby nie dochowała tajemnicy.

Nagle usłyszeli pisk opon. Halder zgasił światło i podszedł do okna. Przed budynkiem stało sześć wojskowych ciężarówek, z których wyskakiwali uzbrojeni w karabiny żołnierze. Makler odsunął się od okna ze ściągniętą twarzą.

Wygląda na to, że mamy towarzystwo. * Wyjął rewolwer. * Ubierz się, szybko!

Usłyszeli stukanie do drzwi i ktoś krzyknął:

Otwierać! Żandarmeria polowa.

Halder zamarł. Po chwili załomotano ponownie i inny głos zawołał:

Wychodzić z podniesionymi rękami! Jesteście otoczeni! Dopiero po chwili zorientowali się, że te odgłosy nie dochodzą zza ich drzwi, lecz z ulicy, z jednego ze stojących naprzeciwko budynków. Halder wyrzwał przez okno. Żołnierze i policjanci

nadchodzili ze wszystkich stron. Podjechał dżip, z którego wysiadł Weaver. Towarzyszył mu oficer brytyjskiego wywiadu, Sanson, którego Halder postrzelił przed dworcem. Miał prawą rękę owiniętą bandażem. Razem z Weaverem wbiegli po schodkach do budynku.

* Co się dzieje? * spytała Rachel.

* Albo podano im zły adres, albo nie chodzi im o nas.

Czekali w napięciu, a potem usłyszeli trzask łamanego drewna, jakby ktoś rozwalił kopniakiem drzwi. Po pięciu minutach Weaver i Sanson wyszli. Za nimi szło sześciu żandarmów, prowadząc wysokiego młodego blondyna i Arabkę. Aresztowani trzymali ręce w górze. Wepchnięto ich do jednej z ciężarówek, która natychmiast odjechała.

Weaver i Sanson stali jeszcze chwilę na schodach, rozmawiając, a potem Anglik wsiadł do dżipa i odjechał. Harry Weaver został przed budynkiem. Miał ponurą minę. Rozejrzał się wokół, przyglądając się szczególnie uważnie gwarnej kawiarence. Potem popatrzył na okna okolicznych domów, jakby zastanawiając się nad czymś, i podszedł do siedzącego w drugim dżipie oficera w brytyjskim mundurze.

Halder odszedł od okna i pociągnął za sobą Rachel. * Zdaje się, że Harry ma dziś ciężki dzień. I nie podoba mi się jego mina: coś wymyślił.

Nagle usłyszał warkot zapuszczanego silnika i znów wyrzwał przez okno. Zobaczył, że Weaver wsiadł do dżipa, który natychmiast ruszył i zniknął za rogami ulicy.

* Najwidoczniej aresztowali inną parę. Harry na razie odjechał, ale jeśli uznał, że należy przeszukać tę dzielnicę, to niedługo ktoś zapuka do naszych drzwi. * Spojrzał na Rachel. * Jak mówią na amerykańskich filmach: czas wynieść się z Dodge City.

* Do diabła, dlaczego nie przeszukano wszystkich burdeli? * spytał Weaver Myersa, kiedy jechali do centrum miasta.

Kapitan poczerwieniał.

* No cóż, panie pułkowniku, do niektórych z nich chodzą nasi wyżsi oficerowie. Nie możemy... Weaver przerwał mu:

* Ile takich jest?

* Nie wiem dokładnie, panie pułkowniku. Chyba nie więcej niż pół tuzina. Ale burdel nie wydaje się dobrą kryjówką dla pary...

Weaver zgrzytnął zębami. Sanson pojechał sprawdzić posterunki na drogach. Aresztowali niemieckiego dezertera, który uciekł z obozu jenieckiego, oraz prostytutkę, z którą się zszedł. Potem Weaver stał na ulicy, obserwując nędzne zabudowania. Dzielnica czerwonych latarni, pełna gnieźdzących się w podłych hotelikach i noclegowniach uchodźców z Europy, była idealną kryjówką. Właśnie dlatego zapytał Myersa, czy przeszukano wszystkie tutejsze hotele i burdele, a kiedy dowiedział się, że tego nie zrobiono, wpadł we wściekłość.

* Zatrzymaj ten przeklęty samochód * warknął do kierowcy. Kiedy dżip przystanął przy krawężniku, Weaver powiedział: * Myers, niech pan natychmiast sprawdzi, ile pominięto. Przez radio. Guzik mnie obchodzi, ilu generałów przytapiemy bez spodni.

* Tak jest, panie pułkowniku... * Kapitan włączył radiostację, podniósł mikrofon, przyłożył słuchawkę do ucha i rozmawiał przez kilka minut. * Nie przeszukano tylko pięciu, panie pułkowniku.

* Gdzie one są?

* Jeden w pobliżu portu, drugi przy Corniche, a pozostałe trzy na przedmieściach, w San Stefano i Sidi Bishr. * Myers zawahał się. * Jeśli wolno mi coś powiedzieć, lepiej byłoby nie wywalać drzwi kopniakiem. To może zdenerwować jakieś szarże i będą kłopoty.

* To już moje zmartwienie. Najpierw pojedziemy do portu i na Corniche, bo te są najbliżej * odparł Weaver i klepnął kierowcę w ramię. * Jedź.

Godzina 19.50

Hassan pocił się, jadąc packardem przez ciasne uliczki. Dwukrotnie zgubił Weavera, gdy dżip pędził przez centrum, na przedmieściu znalazł go znowu. Pięć minut później tamci wjechali do dzielnicy czerwonych latarni i skręcili w boczną uliczkę, na której stał rząd wojskowych ciężarówek i roito się od żołnierzy. Hassan pospiesznie zjechał na bok i zatrzymał samochód.

Najwidoczniej przeprowadzano jakąś akcję. Dziesiątki żoł

nierzy i policjantów otoczyły pobliski budynek. Weaver i oficer z opaską na oku zniknęli w środku i niebawem wyszli na czele grupki żandarmów, prowadzących młodego blondyna i ciemnoskórą kobietę. Aresztowanych wpakowano do ciężarówki, która szybko odjechała.

Hassan zaklął. Zobaczył, że Weaver wraca do dżipa i spiera się o coś z kapitanem. Kiedy usiłował domyślić się, o co chodzi, podszedł do niego egipski policjant.

* Musi pan stąd odjechać.

* Co tu się dzieje, panie władzo?

Widząc garnitur i amerykański samochód Hassana, policjant wziął go za jakąś ważną figurę i zsalutował.

* Złapaliśmy niemieckiego dezertera * oświadczył z dumą. Hassan zmarszczył brwi.

* Tyle zamieszania z powodu jednego dezertera? Policjant wzruszył ramionami.

* Obawiam się, że musi pan stąd odjechać.

Hassan zobaczył, że Weaver znów wsiada do dżipa i odjeżdża w przeciwnym kierunku niż ten, w którym pojechała ciężarówka. Nie mógł zrozumieć, co się stało. Skoro złapali Niemców, dlaczego Anglik nie pojechał za nimi? Zapуścił silnik i jeszcze raz spróbował pociągnąć policjanta za język.

* Kim była ta aresztowana kobieta?

* Przyjaciółką dezertera. To miejscowa sharmoota. Proszę jechać.

Prostytutka. Hassan uśmiechnął się. Nic dziwnego, że Weaver był wściekły. Widocznie żandarmi aresztowali nie tych, których szukali. Wycofał wóz, zmienił bieg i pojechał za dżipem Weavera.

Godzina 19.50

Gabrielle Pirou była coraz bardziej zaniepokojona.

Zerknęła na stojący na biurku telefon. Była już prawie pewna, że wojsko szuka pary, którą gościła na górze. Miała nadzieję, że tamci wyniosą się po cichu, oszczędzając jej fatygi wzywania żandarmerii, ale do tej pory tego nie zrobili. Kiedy zakradła się na górę, napotkała zamknięte od wewnątrz drzwi. Nalot byłby kłopotliwy dla jej klientów i katastrofalny dla interesów. Jednak ostatni klient wymknął się tylnymi drzwiami przeszło godzinę temu, a na resztę wieczoru dała dziewczynom wolne.

Nie mogła dłużej czekać, a bardzo nie chciała narazić się wojskowym. Drżącą ręką podniosła słuchawkę i wykręciła numer głównej kwatery żandarmerii. Usłyszała męski głos.

* Posterunek. Mówi starszy sierżant Squires.

* Ja... mam pewną informację, która może was zainteresować * wykrztusiła.

* Kto mówi? * zapytał. Podała mu nazwisko i adres, opowiedziała o podejrzanej parce i podała rysopisy. Przez chwilę panowała cisza, a potem żandarm rzekł: * Proszę jeszcze raz podać adres.

Gabrielle ponownie podała adres i spytała niespokojnie:

* Kiedy przyjedziecie?

* W ciągu dziesięciu minut, miła pani. Tylko proszę nie robić żadnych głupstw. Jeśli to ci, których szukamy, to są uzbrojeni i bardzo niebezpieczni. Proszę czekać przy telefonie, a ja zostanę na linii, dopóki nasi nie przyjadą.

Pudel u jej stóp nagle zaszczekał i serce podeszło Gabrielle do gardła.

* Donny, cicho! * zawołała.

* Czy wszystko w porządku? * zapytał sierżant.

* Tak, na razie tak.

Dziesięć minut. To cała wieczność. I wcale nie spodobała jej się ta uwaga o uzbrojonych i niebezpiecznych. Najlepiej zrobi, jeśli cicho wyjdzie tylnymi drzwiami i zostawi całą sprawę policji. Zaczęła mówić do słuchawki, chcąc zawiadomić o tym sierżanta, ale nagle usłyszała skrzyp otwieranych drzwi. Obejrzała się i zobaczyła stojącą w nich parę.

* Niegrzeczna z pani dziewczynka, madame * powiedział mężczyzna. * Proszę odłożyć słuchawkę i robić dokładnie to, co powiem.

Godzina 20.00

Kiedy jechali w kierunku nabrzeża, zatrzeszczała radiostacja na lylnym siedzeniu. Weaver odwrócił się i zobaczył, że radiooperator zakłada słuchawki. Po chwili popatrzył na niego i powiedział".

* Wiadomość z głównej kwatery, panie pułkowniku. Jakaś i obieta zadzwoniła i powiedziała, że tych dwoje przebywa w jej lokalu.

Weaver kazał kierowcy zatrzymać wóz.

* Gdzie to jest?

* To ekskluzywny dom publiczny przy Corniche, panie pułkowniku, często odwiedzany przez niektórych wyższych oficerów * odparł radiooperator. * Dowódca żandarmerii wysłał tam już dwa tuziny ludzi. Powinni być na miejscu za kilka minut. To tylko kilka przecznic stąd, możemy tam być

pierwsi.

* Przekaż, żeby nie zaczęli, dopóki tam nie przyjadę * rzucił pośpiesznie Weaver. * Chcę wziąć tych dwoje żywych.

Gdy radiooperator zaczął mówić do mikrofonu, Weaver

zawołał do kierowcy:

* Ruszaj, żołnierzu! I dobrze nadepnij na gaz.

Godzina 20.05

Halder odsunął nogą ujadającego pudła i powiedział do

Rachel:

* Zabierz stąd tego psa, a potem znajdź jakiś ręcznik i kilka prześcieradeł. I zgaś wszystkie światła na parterze.

Rachel podniosła protestujące zwierzę i wyniosła je do holu. Halder spojrzał na madame Pirou. Kobieta była sparaliżowana ze strachu, ale najwyraźniej już rozumiała, że jej nie zastrzeli.

* Co powiedziała pani żandarmom? Kiedy powtórzyła mu, Halder zapytał:

* Kto jeszcze jest w tym budynku?

* Nikt. Wszyscy wyszli. Ja... podejrzewałam, że mogą być kłopoty.

* Bardzo rozsądnie. Ma pani może przypadkiem samochód?

Nie odpowiedziała. Halder wycelował w nią rewolwer i powiedział łagodnie:

* Madame, proszę mi wierzyć, że przemoc nie leży w moim charakterze, ale tym razem nie żartuję.

* Mam citroena...

* Gdzie?

* W garażu na tyłach.

* Czy można stamtąd wyjechać na sąsiednią ulicę?

* Tak.

* Gdzie są klucze?

* W dolnej szufladzie mojego biurka. Halder zajrzał tam i znalazł klucze.

* Czy w baku jest paliwo?

Gabrielle skinęła głową. Dzięki kontaktom z wojskowymi zawsze miała dość benzyny. Nagle oboje usłyszeli głośnie stukanie. Ktoś dobijał się do frontowych drzwi.

* Kto to? * zapytał Halder. Francuzka przeraziła się jeszcze bardziej.

* Pewnie jakiś klient.

* Albo ktoś zareagował na telefon szybciej, niż oczekiwaliśmy * mruknął Halder i wyrwał przewód telefoniczny z gniazdka w ścianie. W tej samej chwili weszła Rachel, niosąc ręcznik i prześcieradła.

* Ktoś jest przy frontowych drzwiach * powiedziała.

* Słyszałem. * Halder odłożył broń, skręcił prześcieradła i przywiązał madame do jednego z krzeseł, po czym zakneblował jej usta ręcznikiem. * Mam nadzieję, że niedługo panią uwolnią * powiedział.

Gabrielle Pirou pisnęła coś przez knebel. Stukanie do drzwi było coraz głośniejsze. Halder podniósł rewolwer i skinął na Rachel.

* Chodźmy.

Godzina 20.05

Stojąc na schodkach, Weaver po raz trzeci zastukał do drzwi, a potem popatrzył na czteropiętrowy budynek. Dom był poci ażony w ciemnościach, w żadnym oknie nie paliło się światło. Weaver trzymał w ręku pistolet. Kierowca dżipa, kapral, stał uliok ze stenem w rękach, a Myers i radiooperator czekali na i hodniku. Ludzie spacerujący promenadą zauważyli ich i kilku u ickawionych przechodniów przystanęło.

* Każ im odejść * polecił Weaver kapralowi. Kiedy żandarm wykonał rozkaz, Weaver zszedł po schodach i zapytał Myersa:

Jest pan pewny, że to ten adres?

Tak jest, panie pułkowniku. To dobrze znany lokal. Prowadzi go Francuzka, niejaka madame Pirou. Chce pan, • bym sprawdził, czy jest tu tylne wyjście? Wydaje mi się, że i Rwałek dalej jest boczna uliczka prowadząca na tyły.

Weaver spojrzął na budynek. Jeśli ktoś był w środku, to już powinien usłyszeć pukanie, tymczasem w żadnym oknie nie zapaliło się światło, co uznał za bardzo podejrzane.

* Nie, sam to zrobię * powiedział. * Zostańcie tu i pilnujcie od frontu. Jeśli ktoś wyjdzie, najpierw go

okrzyknijcie, zanim zaczniecie strzelać. Kiedy przyjadą pozostali, przekażcie im to. Chcę ich wziąć żywych, jeśli to możliwe.

Parę metrów dalej Weaver dostrzegł wylot ciemnego zaułka.

* Czy tam jest przejście na tyły budynku?

* Tak sądzę, panie pułkowniku * odparł Myers. Weaver odbezpieczył pistolet i pobiegł w kierunku zaułka.

Rozdział 48

Halder wyszedł na podwórze z tyłu domu, a Rachel za nim. Zobaczył przybudówkę, którą zauważył wcześniej z okna, i domyślił się, że to garaż. Z boku były drzwi, które okazały się otwarte.

W środku było zupełnie ciemno i śmierdziało olejem. Macając po ścianach, znalazł włącznik i zapalił światło. Stał tam czarny przedwojenny citroen, błyszczący chromem i lakierem. Był skierowany przodem do dwuskrzydłowej drewnianej bramy wyjazdowej z osadzonymi w niej wąskimi drzwiami.

* Sprawdź, czy jest otwarta * powiedział Halder do Rachel.

Chwyił za klamkę drzwiczek citroena i wskoczył do środka. Rachel pchnęła bramę.

* Zamknięta.

Rzucił jej klucze, a ona znalazła właściwy i obróciła go w zamku.

* Na razie nie otwieraj, sam to zrobię, kiedy będę gotowy * powiedział Halder. * Oddaj mi klucze.

Kiedy mu je rzuciła, przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik parsknął i zgasł.

* Zmów modlitwę. * Spróbował ponownie, a potem jeszcze raz i za trzecim razem silnik zapalił. * Jednak opatrność nam sprzyja. Wskakuj.

Rachel usiadła na fotelu pasażera, a Halder podszedł do wąskich drzwiczek, uchylił je i spojrzał przez szparę. Na zewnątrz znajdowała się brukowana uliczka, rozjaśniona jedynie blaskiem padającym z okien budynków i kawiarni po drugiej

stronie. Przeszło nią kilku egipskich żołnierzy na przepustce. Już miał otworzyć bramę na oścież, kiedy nagle usłyszał zbliżające się kroki. Jakiś człowiek z pistoletem w ręku biegł wzdłuż muru w kierunku garażu. Przechodnie pośpiesznie schodzili mu z drogi. Halder natychmiast rozpoznał Harry'ego Weavera i szybko zamknął drzwi.

* Chyba za wcześnie się cieszyłem * powiedział.

* Co się stało? * spytała Rachel.

* Mamy towarzystwo: biegnie tu Harry. Widocznie sprowadził go telefon od madame.

* Nie mówisz poważnie...

* Wierz mi, to on. Wyłącz silnik, zostań w samochodzie i bądź cicho.

Rachel zrobiła, co kazał. Przekręciła kluczyk w stacyjce i w garażu zapadła głucha cisza. Halder zgasił światło i po omacku wsiadł do citroena. Po krótkiej chwili usłyszeli skrzypienie otwieranej gdzieś bramy, a potem znów zapanowała cisza. Rachel nie była już w stanie znieść napięcia i szepnęła:

* Dokąd poszedł?

* Sądzę, że szuka nas przy tylnym wyjściu.

* Czy nie powinniśmy uciekać, zanim będzie za późno? Halder otworzył drzwiczki samochodu.

* Chyba musimy zmienić plan. Zostań tu i nie ruszaj się.

* To szaleństwo. Harry...

* Rób, co mówię * uciął Halder, odbezpieczył rewolwer, wysiadł i zniknął w ciemnościach.

Weaver, biegnąc z pistoletem w ręku wzdłuż muru, liczył tylne wyjścia, nie zwracając uwagi na gapiących się na niego zaskoczonych przechodniów. Dotarł do łukowatej żelaznej furtki wiodącej na brukowany dziedziniec z kilkoma figowcami. Zobaczył drewnianą bramę w murze nieco dalej, ale nie zwrócił na nią uwagi. Pchnął furtkę, która otworzyła się, skrzypiąc. Wszedł na podwórze.

Na drugim końcu były tylne drzwi do budynku. Podeszedł do nich, nacisnął klamkę i wszedł do ciemnego korytarza. Po jednej stronie znajdowała się kuchnia, a dalej drzwi do pokojów.

Z bronią gotową do strzału skradał się po omacku korytarzem. Nagle zamarł. Gdzieś z pokoju dochodziło ujadanie psa. Podeszedł do drzwi i przystanął.

Pies znów zaczął szczekać. Weaver sprężył się, położył dłoń na klamce, powoli przekręcił ją i wszedł do pokoju.

Pudel złapał go za nogawkę. Harry o mało go nie zastrzelił, zanim zauważył kobietę przywiązaną prześcieradłami do krzesła i zakneblowaną ręcznikiem. Odłożył pistolet i poluzował knebel. Kobieta spazmatycznie wciągnęła powietrze.

* Merci! Dzięki Bogu, że pan przyszedł!

Kiedy Weaver rozwiązał ją, madame Pirou chwyciła pudła i przytuliła go do piersi.

* Ci przekłęci Niemcy... tak potraktowali mojego petite Donny'ego i mnie!

Wyrzuciła z siebie potok francuskich słów i Weaver z trudem zdołał go przerwać.

* Madame Pirou?

* Oui.

* Gdzie tych dwoje Niemców?

Weaver wyszedł na dziedziniec. Zobaczył garaż po drugiej stronie patio i ostrożnie ruszył w tym kierunku. Zawahał się, ale w końcu nacisnął klamkę. Wewnątrz było ciemno, dostrzegł jednak w głębi zarys samochodu. A więc Halder i Rahel nie odjechali nim. Wszedł do środka. Śmierzący wilgocią i smarem garaż wydawał się pusty, ale kiedy wodził dłonią po ścianie, szukając włącznika, ktoś nagle przystawił mu lufę do karku.

* Ani słowa, Harry. Nie ruszaj się albo będę musiał cię za bić. Upuść broń na ziemię.

Weaver usłuchał i pistolet ze szczękiem upadł na podłogę. Zaraz potem zapaliła się żarówka pod sufitem i w garażu zrobiło nic *asno. Weaver spojrział na samochód. Na przednim siedzeniu citroena siedziała Rachel. Odwróciła się, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, Halder stanął przed nim z rewolwerem w dłoni i podniósł jego colta.

* Znow się spotykamy, stary przyjacielu. W dodatku w niezbyt przyjemnych okolicznościach.

* Co się dzieje, do diabła?

* Pogawędzimy sobie później. Teraz podejdź do samochodu.

Weaver usłuchał.

Czy na zewnątrz są twoi ludzie? * zapytał Halder, a wi

dząc wahanie Weavera, dodał: . Nie próbuj kłamać, Harry,

bo ktoś może zginąć.

* Przed domem. Ja wszedłem tu od tyłu.

* Sam?

* Tak.

* Siadaj za kierownicą.

* Nie uda wam się uciec * oświadczył Weaver. * Dzielnica

jest otoczona.

* Może, ale przypadkiem mam asa w rękawie.

* Jakiego?

Halder uśmiechnął się.

* Powiem ci później, Harry. Teraz wsiadaj do samochodu i rób dokładnie to, co mówię. Wyjedziesz na ulicę, skręcisz w lewo i skierujesz się na wschód, za miasto. Będziesz jechać, dopóki nie powiem ci, żebyś stanął.

* Oszalałeś, Jack. Nie ujedziecie nawet pięćdziesięciu metrów. W całym mieście roi się od żandarmów i policjantów,

którzy was szukają.

* Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Wsiadaj. Weaver usiadł obok Rachel. Spojrzał na nią i poczuł przypływ

wzruszenia.

* Rachel...

* Cześć, Harry.

Zanim Weaver zdążył powiedzieć coś więcej, Halder usiadł

za nim i przytknął mu rewolwer do żeber.

* Zobacz, czy na ulicy jest czysto * polecił Rachel. * Jeśli ujrzysz mundury lub coś podejrzanego, daj mi znać.

Rachel zrobiła, co jej kazał. Podeszła do drzwi, wyjrzała

i wróciła do samochodu.

* Oprócz paru przechodniów na ulicy nie ma nikogo. Nie

zauważyłam żadnych żołnierzy.

* Zatem dziękujemy losowi. Wygląda na to, że wyprzedziliśmy pościg. Otwórz bramę i wróć tutaj.

Rachel pchnęła oba skrzydła drzwi, za którymi ukazała się uliczka, a potem wróciła i wsiadła do samochodu.

* Ruszaj, Harry * powiedział Halder.

* Jack, rany boskie, bądź rozsądny! Nie ujedziemy daleko. Halder mocniej wbił mu broń w żebra.

* Wolałbym, żebyś zrobił, co mówię. Nie zmuszaj mnie do czegoś, czego potem będę żałował. I nie zapalaj świateł, dopóki ci nie powiem.

Weaver przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik od razu zapalił.

* Jedź * rozkazał Halder. * Jeśli ktoś spróbuje nas zatrzymać albo stanie nam na drodze, dodaj gazu. I pamiętaj, nie stawaj, dopóki ci nie powiem.

Weaver zwiększył obroty silnika. Zaczekał, aż uliczką przejdzie kilku Arabów, po czym włączył bieg i puścił sprzęgło. Citroen ruszył i skręcił w lewo.

Rozdział 49

Godzina 20.05

Hassan zaparkował na nabrzeżu i wyłączył silnik. Zdawał sobie sprawę, że nie zdoła niepostrzeżenie jechać dalej za Wea*verem. Widział, jak Amerykanin zastukał do drzwi domu przy Corniche, a potem znikł w zaułku, pozostawiając swoich ludzi na chodniku. Najwidoczniej nadal szukał Niemców w dzielnicy

uciech.

Hassan zaczął się denerwować. Jeśli Niemcy byli w budynku, nie zdoła ich ostrzec, bo przed domem stoją uzbrojeni żołnierze. Jednak Weaver poszedł od tyłu, sam. Hassan wsunął nóż do kieszeni i wysiadł z samochodu.

Przeszedł przez ulicę i skręcił w jedną z bocznych uliczek, która wyprowadziła go na tyły nadbrzeżnych budynków, ale nigdzie nie dostrzegł Amerykanina. Kiedy szedł wzdłuż domów, licząc bramy, nieco dalej otworzyły się na oścież drzwi garażu i wyjechał z nich czarny citroen ze zgaszonymi światłami. Za kierownicą siedział Weaver, obok niego jakaś kobieta, a z tyłu drugi mężczyzna w cywilnym ubraniu. Samochód skręcił w lewo i odjechał, nabierając szybkości. Hassan przez chwilę stał nieruchomo, kompletnie zaskoczony, po czym pobiegł z powrotem

do packarda.

Kiedy znalazł się na nabrzeżu, zobaczył hamującą z piskiem wojskową ciężarówkę, a za nią kilka dżipów. Zwolnił, starając się nie zwracać na siebie uwagi. Budynek, do którego wszedł przedtem Weaver, został otoczony kordonem żołnierzy, który zamknął cały ten odcinek Corniche.

Powrót do packarda zajął Hassanowi niecałe dwie minuty, ale wiedział, że już jest za późno. Nie miał żadnych szans, aby

dogonić Weavera. Nie mógł ryzykować pospiesznego odjazdu spod domu, poza tym w labiryncie wąskich uliczek i tak nie zdoła odnaleźć citroena. Klnąc, wsiadł do samochodu.

Żołnierze zablokowali ulicę, a kilkusobowy oddział ruszył na tyły budynku. Ci głupcy nie wiedzieli, co się

stało. Ścigani Niemcy najwidoczniej uciekli i zabrali ze sobą Weavera jako zakładnika. Hassan siedział, gorączkowo rozmyślając i usiłując przewidzieć, co zrobią.

Może spróbują dotrzeć do Rashidu. To chyba ich jedyna szansa. Hassan uśmiechnął się krzywo. Gdy zapuszczał silnik, przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Jeśli pojedzie jedną z bocznych dróg wzdłuż wybrzeża, może dotrzeć tam przed nimi. I może wreszcie będzie mógł wyrównać rachunki z Amerykaninem.

Godzina 20.15

Kiedy oddalili się od domu madame Pirou, Halder kazał Weaverowi włączyć światła. Ze względu na obowiązujące zaciemnienie były zamalowane niebieską farbą, więc prawie nie rozpraszały ciemności. Halder wychylił się z tylnego siedzenia i rozejrzał na boki.

* Jedź w kierunku morza. Nie zwiększaj szybkości, dopóki ci nie powiem.

* Może byś mi powiedział, co się dzieje?

* Rozmowy zostawimy sobie na później. Skup się na pro*undzeniu.

Weaver skręcił w lewo i po chwili dotarł do skrzyżowania. Po drugiej stronie ulicy w blasku księżyca lśniło morze. Nagle bulwarem przemknęła wojskowa ciężarówka ze stojącymi na pice uzbrojonymi żołnierzami, a za nią kilka dżipów.

* Zdejmij nogę z gazu * rozkazał Halder.

Pojazdy zatrzymały się przed lokalem madame Pirou, żołnierze wyskoczyli i zajęli stanowiska na ulicy.

* Wygląda na to, że odjechaliśmy w samą porę. * Halder i iojrzał w lewo i w prawo. * W porządku, czysto. Jedź i skręć

W prawo.

k icdy Weaver zawahał się, Halder znów wepchnął mu lufę między żebra.

Słyszysz, Harry. Zrób to.

Weaver skręcił w prawo, na Corniche,

* Dokąd mam jechać?

* Wyjedź z miasta drogą na wschód.

W narastającym napięciu jechali wzdłuż brzegu. Weaver zerknął na Rachel, a ona na niego.

* Patrz na drogę * warknął Halder.

* Nigdy nie uda wam się wydostać z Aleksandrii. Poddaj się, Jack, to wasza jedyna szansa.

* Pamiętaj, że mamy asa w rękawie.

* Jakiego?

* Ciebie, Harry. Ty nas z tego wyciągniesz.

W oddali zobaczyli rozstawioną na drodze zaporę, obsadzoną przez kilku żandarmów i egipskich policjantów z karabinami i pistoletami maszynowymi. Na poboczu stał zaparkowany džip z siedzącym z tyłu radiooperatorem. Halder mocniej ścisnął broń.

* Zdaje się, że nadchodzi godzina próby. Kiedy podjedziemy bliżej, wyjaśnij im, kim jesteś, i pokaż swoje papiery. Powiedz, że sprawdzasz posterunki. Gdyby ktoś zapytał, jesteśmy z tobą i spieszymy się. Myślisz, że sobie poradzisz?

* A jeśli nie?

* Będzie strzelanina i wszyscy znajdziemy się w opałach. Nie sądzę, żebyś tego chciał.

Weaver spojrzał na Rachel. Dotknęła jego ręki.

* Proszę cię, Harry. Zrób, co mówię.

Po chwili znaleźli się przy blokadzie i zatrzymali się. Do wozu podszedł sierżant i zaświecił im w twarz latarką. Kiedy Weaver opuścił szybę, sierżant zasalutował.

* Przepraszam, panie pułkowniku, ale musimy sprawdzić samochód i dokumenty. * Spojrzał na pasażerów. * Pani również.

Weaver podał mu legitymację.

* Podpułkownik Weaver, wywiad wojskowy. To właśnie ja kieruję tą operacją. Macie dla mnie jakieś wiadomości?

Sierżant przy świetle latarki obejrzał legitymację, oddał mu ją i stanął na baczność.

* Niestety, panie pułkowniku. Żadnych.

* Zatrzymujecie każdy pojazd i legitymujecie wszystkich przechodniów?

* Tak, panie pułkowniku, cywilów i wojskowych, dokładnie tak, jak nam kazano.

Weaver wskazał kciukiem na Rachel i Haldera.

* Oni są ze mną, nie ma potrzeby sprawdzać ich dokumentów. Spieszymy się.

Sierżant zajrzał do środka. Wahał się przez sekundę czy dwie, jakby zastanawiając się nad czymś. Weaver ponaglił go:

- * Odsuńcie zaporę, sierżancie. Muszę jeszcze sprawdzić inne posterunki i nie mogę tu stać całą noc.
- * Przepraszam, panie pułkowniku, ale mam rozkaz sprawdzać dokumenty wszystkim pasażerom...
- * Oczywiście. To ja wydałem ten rozkaz. Teraz róbcie, co mówię.
- * Tak jest, panie pułkowniku. Rozkaz.

Sierżant zasalutował i rozkazał swoim ludziom odsunąć zaporę. Weaver przejechał. Kiedy spojrzął w boczne lusterko, zobaczył, że sierżant spogląda za nimi, drapie się po głowie, a potem idzie do radiooperatora w dżipie.

Halder odetchnął.

- * Dobrze się spisałeś, Harry. Miejmy nadzieję, że szczęście nadal będzie nam sprzyjać.
- * I co teraz? * zapytał ponuro Weaver.
- * Na następnym skrzyżowaniu skręć do Rashidu.

Godzina 20.10

Na nabrzeżu roіło się od żołnierzy. Sanson wyskoczył z dżipa i podszedł do kaprała ze stnem na ramieniu.

- * Sanson, wywiad * przedstawił się. * Co tu się dzieje?
 - * Dopiero co przyjechaliśmy, panie pułkowniku. Stukaliśmy do drzwi, ale nikt nie otwiera.
- Sanson spojrzął na budynek. W oknach było ciemno i dom Wyglądał na opuszczony.
- * Jesteście pewni, że to ten dom?
 - * Tak, panie pułkowniku. Gdzie jest pułkownik Weaver? Poszedł sprawdzić od tyłu. Kiedy?

Jakieś pięć minut temu. Sanson zawołał oficera i pokazał mu legitymację.

Przejmuję dowodzenie. Weźcie kilku ludzi i sprawdźcie tylne wejście. I zablokujcie boczne uliczki.

- * Kapitan Myers i paru ludzi poszli tam parę minut temu, panie pułkowniku. Szukają pułkownika Weavera.
- * Mają radio?
- * Nie, panie pułkowniku.
- * Zatem pošlijcie za nimi ludzi i sprawdźcie, co się tam dzieje, do licha. Upewnijcie się też, czy ulica jest

zablokowana z obu stron, z przodu i z tyłu. Nikt nie może wejść ani wyjść. I znajdźcie podpułkownika Weavera.

* Tak jest, panie pułkowniku.

Oficer już odwracał się, żeby odejść, kiedy w okienku nad frontowymi drzwiami zapaliło się światło.

* Coś się tam dzieje, panie pułkowniku * powiedział kapral.

* Każcie ludziom zająć pozycje, ale niech nikt nie strzela bez mojego rozkazu.

Oficer wydał rozkaz i żołnierze zajęli stanowiska, z bronią gotową do strzału. Sanson wbiegł po schodkach, wyciągając pistolet. Dwaj żołnierze skoczyli za nim i stanęli po obu stronach drzwi. Po chwili usłyszeli szcęk zamków.

* Czy to ty, Weaver? * zapytał Sanson. * Jesteś tam? W drzwiach stanęła starsza kobieta. Rozmazana szminka

i róż zmieniły jej twarz w maskę. Otworzyła usta na widok celujących w nią żołnierzy.

* O mój Boże! Proszę nie strzelać! * wrzasnęła.

* Podnieś ręce do góry, i żadnych sztuczek! * ryknął Sanson.

Zza pleców kobiety odezwał się męski głos:

* Rany boskie, nie strzelajcie!

W progu stanął Myers, a za nim kilku żołnierzy. Sanson schował pistolet i zapytał:

* Co tu się, kurwa, dzieje? Gdzie Weaver?

* Weszliśmy od tyłu, panie pułkowniku. Wygląda na to, że zniknął.

Godzina 20.15

Sanson wpadł jak burza do garażu i wybiegł przez otwartą bramę. Na ulicze stali żołnierze. Wrócił do garażu.

* Jest pani zupełnie pewna, że pułkownik Weaver tu był? Gabrielle Pirou kiwnęła głową.

* Kiedy usłyszała, że tamci zabrali mi klucze, pobiegł za nimi. Sanson wściekle kopnął w drzwi.

* Jaki numer rejestracyjny ma pani samochód?

Gdy powiedziała mu, rozwścieczony Sanson rozkazał stojącemu obok podoficerowi:

* Zaalarmuj wszystkie patrole i posterunki. Podaj im ten numer i powiedz, żeby szukali czarnego citroena z trojgiem pasażerów. Mają zatrzymać ten wóz, kiedy go znajdą.

Do garażu wpadł zaspany Myers i zsalutował.

* Przesłuchałem ludzi w kawiarni, tak jak pan kazał, panie pułkowniku.

* I co? Mów, człowieku!

* Właściciel twierdzi, że kilka minut temu widział odjeżdżający samochód madame. Wydawało mu się, że w środku było troje ludzi, kobieta i dwóch mężczyzn. Za kierownicą siedział oficer w mundurze. Opis pasuje do pułkownika Weavera.

Rozdział 50

Godzina 21.00

Stary port rybacki Rashid, zbudowany na bagnach delty Nilu, zajęty w XV wieku przez zwycięskich Turków i ostrzeliwany przez Francuzów podczas kampanii napoleońskiej, był ważnym punktem strategicznym już w czasach faraonów. Nil wpada tu do Morza Śródziemnego, tworząc naturalną arterię komunikacyjną prowadzącą do samego serca Egiptu.

Weaver jechał przez miasto w kompletnych ciemnościach.

* Na następnym skrzyżowaniu skręć na południe * polecił

mu Halder.

Gdy citroen mijał granitowe umocnienia portu, do środka wdarł się zapach morskiego powietrza i odór gnijących ryb. W porcie kotwiczyło parę zardzewiałych alianckich fregat.

* Aż trudno uwierzyć, że Napoleon zamierzał stąd podbić cały Egipt * mruknął Halder.

* Oszczędź mi lekcji historii, Jack. Co zamierzasz?

* Nie zadawaj pytań, Harry, to nie usłyszysz kłamstw. * Halder wskazał na oświetloną blaskiem księżyca deltę Nilu i usiany sylwetkami wysokich palm brzeg. * Zaraz zobaczysz drogę. Biegnie wzdłuż pól trzciny cukrowej nad rzeką. Jest na niej zjazd do starej przystani. Właśnie tam jedziemy.

Godzina 21.05

Hassan wybrał jedną z trzech bocznych dróg którą po

pojechali do Rashidu albo zostali schwytani po drodze. Tak czy inaczej, musiał pozbyć się łodzi. Przejechał do końca trawiastej drogi wśród palm i zatrzymał samochód nad brzegiem rozlewiska.

Po lewej stronie znajdowała się przystań, nędzna drewniana buda należąca niegdyś do miejscowych rybaków i sprawiająca wrażenie nieużywanej od lat. Obok stała przycumowana łódź, stara motorowa krypa ze sterzącym dziobem. Hassan wysiadł z packarda, wyjął z bagażnika latarkę i błysnął nią trzy razy. Odpowiedział mu podobny błysk, a potem z cienia przy burcie łodzi wyłonił się niski nieogolony mężczyzna w brudnej kapitańskiej czapce, trzymający latarnię sztormową. Na widok Hassana zmarszczył brwi.

* Nie spodziewałem się tutaj ciebie. Co jest, kuzynie? Mamy ładunek?

* Zmiana planów. Musisz natychmiast odpłynąć. Mężczyzna przyjął to z wyraźną ulgą, lecz w tej samej chwili

usłyszeli warkot silnika. Hassan odwrócił się i ujrzał światła nadjeżdżającego drogą samochodu. Wóz podjechał bliżej i trzykrotnie zamrugał światłami. Hassan dał sygnał latarką, a potem odwrócił się do kuzyna i powiedział z uśmiechem:

* Zdaje się, że nasz ładunek jednak przybył. Przygotuj łódź.

* Niech ci twoi przyjaciele się pospieszą * odparł tamten. * Nie możemy sterczeć tu przez całą noc, jeśli mamy uniknąć rzecznych patroli.

Rzucił papierosa, pospieszył na przystań i wdrapał się na łódź. Kiedy zaczął odwiązywać cumy, Hassan popatrzył na Weavera, siedzącego za kierownicą citroena, i uśmiechnął się pod nosem.

* Czas wyrównać stare rachunki, Amerykaninie.

Wszyscy wysiedli z wozu. Halder zmierzył spojrzeniem Araba, który wyszedł im na spotkanie.

Miało być was czworo * powiedział Hassan. * Gdzie jeszcze dwóch?

Jeden Bóg wie. Mieliśmy drobne kłopoty, stąd to spóźnienie. * Halder wskazał kciukiem Weavera. * Ten człowiek jest naszym jeńcem. To oficer amerykańskiego wywiadu. Musimy zabrać go ze sobą.

Wiem wszystko o waszych kłopotach. I spotkałem już

tego Amerykanina. * Arab wyjął nóż i przytknął go do gardła Weavera. * Pamiętasz mnie, sukinsynu?

Weaver przez chwilę zastanawiał się, zanim poznał Hassana.

* Widzę, że nie możesz pozbyć się swoich złych nawyków * stwierdził.

Halder zmarszczył brwi.

* Zdaje się, że się znacie. Zechcesz mi to wyjaśnić?

* Później * warknął Hassan. * Łódź czeka. Jeśli nie odpłyniecie natychmiast, ryzykujecie spotkanie z patrolami

rzecznymi.

* Nie płyniesz z nami?

* Wracam do Kairu samochodem.

* Idź na przystań * powiedział Halder do Rachel.

* Ja... chciałam zamienić kilka słów z Harrym.

* Nie mamy czasu. W każdej chwili możemy mieć towarzystwo. Przewoźnik czeka. Idź już.

Rachel przygryzła wargę, spojrzała na Harry'ego i ruszyła na przystań.

* Przynies jakąś lampę * polecił Halder Arabowi. * I znajdź kawałek sznura, żeby związać mu ręce.

* Z przyjemnością * odparł Hassan i pobiegł do łodzi.

* Zamierzasz mnie zabić? * zapytał Weaver.

* Daj spokój, Harry. Byliśmy przecież przyjaciółmi.

* Nadal nie powiedziałeś mi, dlaczego bierzesz w tym udział. A Rachel? Myślałem, że ona nie żyje...

* Obawiam się, że nie ma czasu na żadne wyjaśnienia. Przy odrobinie szczęścia do rana ktoś cię znajdzie. Do tej pory nas

tu już nie będzie.

Hassan wrócił z lampą sztormową i zwojem liny. Trzymał latarnię, gdy Halder wiązał ręce Weaverowi.

* Teraz zaprowadź go na przystań.

* A potem zabiję go! * oświadczył Hassan.

* Nikogo nie zabijesz * warknął Halder. * Masz go tylko przywiązać i zakneblować. Postaraj się, żeby nie mógł uciec ani krzyknąć. Kiedy skończysz, zatop cytrynę w rzece.

Hassan spojrzał na niego ze zdumieniem.

* Przecież to wróg i widział nasze twarze...

* Rób, co mówię. Nie chcę, żeby coś mu się stało. * Halder pomachał Harry'emu i ruszył w kierunku przystani.

Hassan kazał Weaverowi wejść do baraku. W środku na glinianej podłodze piętrzył się stos drewnianych tratw, na hakach wisały stare sieci i śmierdziało gnijącą rybą.

Arab zawiesił lampę na jednej z tratw i wepchnął Weavera do kąta.

* Powinienem być cię wtedy zabić, Amerykaninie. Mój błąd. Weaver usłyszał warkot silnika łodzi i domyślił się, co teraz

nastąpi. Hassan odrzucił sznur i wyjął nóż.

* Nie martw się, naprawię go teraz. Powoli. Bolesnie. * Podeszedł bliżej, mierząc jeńca złowrogim spojrzeniem. * A potem wytnę ci serce.

Zamachnął się nożem, ale Weaver cofnął się.

* Poddaj się woli Allacha, Amerykaninie. Śmierć przyjdzie szybciej.

Weaver usiłował go kopnąć. Arab roześmiał się.

* To dobrze, że się złościsz. Będziesz bardziej cierpieć. Znów zadał pchnięcie, a Weaver uskoczył. Kiedy Arab pod

szedł bliżej, spróbował obezwładnić go kopniakiem, lecz tamten złapał go za nogę, przekręcił i obalił na plecy. Weaver znalazł się w kącie i nie miał już gdzie odskoczyć.

* A teraz umrzesz.

Hassan uniósł nóż, ale w tej samej chwili usłyszał cichy szcęk.

* Bądź grzecznym chłopcem i odłóż tę wykałaczkę.

W progu szopy stał Halder z rewolwerem w dłoni. Był blady z gniewu. Hassan zmarszczył brwi.

* Ten człowiek próbował mnie wcześniej zabić. Teraz ja zabiję jego.

Hassan odwrócił się, żeby zadać cios. Ostrze błysnęło w powietrzu, lecz zanim dosięgło celu, padł strzał i kula zadrasnęła Ucho Araba. Trysnęła krew, nóż upadł na podłogę, a Hassan wrzasnął z bólu.

Powinieneś umyć sobie uszy * poradził mu Halder. * Wtedy będziesz słyszał, co się do ciebie mówi. Kazałem ci go związać, nie zabijać. Teraz idź i zajmij się Citroënem, zanim zmienię zdanie i dokończę to, co zacząłem.

Na twarzy Araba wściekłość mieszała się ze zdumieniem. Przyciskał dłonią ucho.

Ty głupcze! Nie masz pojęcia, co robisz. Halder niecierpliwie pogroził mu rewolwerem.

Wyjdź, powiedziałem. I pospiesz się. Nie mam czasu. Hassan spojrzął na Weavera i splunął na podłogę.

* Inszallah, Amerykaninie. Jeszcze się spotkamy. Wyszedł, rzuciwszy gniewne spojrzenie Halderowi,

który

zatknął rewolwer za pasek, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił jednego.

* Trudno dziś znaleźć fachową pomoc. Weaver podniósł się z ziemi.

* Nie ruszaj się, Harry.

Halder podniósł sznur i przywiązał Weavera do jednego z drewnianych słupów.

* Chcecie zabić Roosevelta i Churchilla, prawda? Halder spojrzał na niego, zaskoczony.

* Dlaczego tak uważasz?

* Mam rację, prawda?

* Zawsze byłeś bystry, Harry, ale tym razem naprawdę mnie zadziwiłeś. Może to stwierdzenie nie pozbawione podstaw, a może nie. Dlaczego tak sądzisz?

* To szalony pomysł, Jack. Samobójcza misja. Jednak wcale nie musi się tak skończyć. Poddajcie się i...

* I co? Mamy stanąć przed plutonem egzekucyjnym? * Halder skończył wiązać węzeł i potrząsnął głową.

* Nie miałem innego wyjścia. Rachel też nie. Możesz nazwać mnie głupcem, ale wiem, jakie mamy szanse, i poddanie się nie jest jedną z nich. Poza tym zabrnąłem za daleko, żeby teraz się wycofać.

* Ponieważ zabiłeś tych dwóch oficerów? Halder z niesmakiem potrząsnął głową.

* To nie moja robota, zapewniam cię.

* Nie rozumiem * dziwił się Weaver. * Dlaczego ty i Rachel? Jak to możliwe, że ona żyje...?

Halder przyłożył palec do ust.

* Nie mam teraz czasu na wyjaśnienia. Miejmy tylko nadzieję, że już nie wpadniemy na siebie, przynajmniej dopóki trwa ta wojna. Nawet sama myśl o tym, że jesteśmy chwilowymi wrogami, jest trudna do zniesienia. Nie chciałbym zniszczyć tego, co zostało z naszej przyjaźni. Dlatego oddaj mi przysługę i trzymaj się od nas z daleka.

* Tego nie mogę zrobić.

Halder z ponurą miną zgasił papierosa, przydeptując go obcasem.

* A więc, jeśli dojdzie do najgorszego, połóż kwiaty na moim grobie. Mogą być lilie, które tak lubiła moja matka. Zrobiłbym to samo dla ciebie, gdybym musiał. Na razie jednak

spróbujmy się nie martwić i módlmy się, żeby do tego nie doszło. Ale lepiej trzymaj się od tego z daleka. Ta sprawa przerasta nas obu.

* Powiedziałem ci: nie mogę.

* Niech więc tak będzie.

Halder zdjął marynarkę, ściągnął koszulę i zrobił z niej knebel.

* Jack, na miłość boską, wystuchaj mnie...

Halder zakneblował mu usta, a potem znów włożył marynarkę, podniósł latarnię i ruszył do drzwi.

* Miło było znów cię zobaczyć, naprawdę, nawet w tych okolicznościach. Chętnie zostałbym i dokończył tę rozmowę, ale czeka na mnie łódź i wzywają mnie obowiązki. Żegnaj, Harry.

Weaver usiłował powiedzieć coś przez knebel, jednak lampa zgasła, trzasnęły drzwi i szopa pogrzyła się w ciemnościach.

Część CZWARTA

22 * 23 listopada 1943

Rozdział 51

Kair,

poniedziałek, 22 listopada, godzina 9.30

Samolot transportowy Douglas C*54 z gwiazdami i pasami na kadłubie wylądował na pilnie strzeżonym lotnisku RAF*u w zachodnim Kairze z ponadpółgodzinnym spóźnieniem. Po trwającym dziesięć godzin locie z Tunisu, przebywszy odległość ponad trzech tysięcy kilometrów nad pustynią i w całkowitej ciszy radiowej, załoga i pasażerowie byli bardzo zmęczeni.

Przy końcu pasa startowego stało kilkanaście ciężarówek z żołnierzami, transportery opancerzone, agenci Secret Service, oddział żandarmerii na motocyklach i kawalkada służbowych samochodów. Gdy samolot podkołował do nich i zatrzymał się, wśród czekających zapanował ożywiony ruch i do DC*54 podjechały dwa samochody.

Z pojazdów wysiadła grupka zaniepokojonych wyższych oficerów, wśród nich głównodowodzący Sił Zbrojnych USA na Środkowym Wschodzie, generał major Royce, jego szef

sztabu oraz ambasador USA, Alexander C. Kirk. Kiedy otworzyły się drzwi samolotu, na pokład weszła grupa agentów secret Service, twardzieli w garniturach i filcowych kapeluszach, uzbrojonych w pistolety maszynowe Thompsona. Pozostali tajniacy otoczyli maszynę, zachowując się tak, jakby sami dla siebie stanowili prawo.

Douglas C*54, przezywany „świętą krową”, został zmodyfikowany przez producenta, gdyż oprócz normalnych drzwi Ma kadłubie zainstalowano dodatkowe, hydrauliczne. Po chwili otworzyły się z cichym warkotem i elektryczna winda zaczęła opuszczać znajomą postać w białym garniturze, siedzącą na wózku inwalidzkim. Kiedy agenci Secret Service otoczyli pre

zydenta Franklina Roosevelta, po metalowych schodkach zaczęli schodzić umundurowani oficerowie stanowiący jego wojskową asystę. Wszyscy wyglądali na bardzo zmęczonych. Ambasador Kirk pierwszy podszedł do prezydenta, wyciągając rękę.

* Miło znów pana spotkać, panie prezydencie. Witamy w Kairze.

Roosevelt serdecznie uściśnął mu dłoń, uśmiechając się pomimo wyczerpania.

* Cześć, Alex. Zdaje się, że kazaliśmy wam czekać, ale lepiej późno niż wcale.

Kirkowi i jego towarzyszom kamień spadł z serca. Ze względu na konieczność utrzymania przelotu w tajemnicy, pilot zachował ciszę radiową. Wyznaczono myśliwce z dwóch różnych dywizjonów, które miały spotkać prezydencki samolot, ale nie zdołały nawiązać kontaktu wzrokowego i wróciły do baz, budząc wśród wyższych oficerów obawy, że DC*54 został zestrzelony.

* Naprawdę martwiliśmy się, panie prezydencie * powiedział teraz jeden z nich. * Już mieliśmy wysłać samoloty na poszukiwania.

Roosevelt uśmiechnął się.

* Możecie winić majora Bryana, mojego pilota. Uznał, że jedyny sposób, aby uniknąć spotkania z nieprzyjacielskimi myśliwcami, które mogłyby przypadkiem lub celowo znaleźć się na trasie naszego przelotu, to polecieć jak najdalej na południe. * Roosevelt przywitał się z oficerami, do każdego zwracając się po nazwisku, a potem zapytał Kirka: * A co u ciebie, Alex?

* W porządku, panie prezydencie. Premier Churchill przesyła panu pozdrowienia i niecierpliwie oczekuje na wstępną prywatną rozmowę o jedenastej w hotelu „Mena House”, po tym jak obaj powitacie szefów sztabów.

* O ile wiem, przybył wczoraj?

* Tak, panie prezydencie.

Zanim Kirk zdążył powiedzieć coś więcej, zmotoryzowana kawalkada ruszyła i uzbrojeni po zęby agenci Secret Service zajęli pozycje, tworząc żywy mur wokół prezydenta, którego wózek skierowano do czekającego czarnego packarda. Na lotnisku było pełno żołnierzy, pojazdów wojskowych i

przeciwlotniczych działek Boforsa. Roosevelt również zwrócił na to uwagę.

* Wygląda na to, że podjęto szczególne środki ostrożności * zauważył.

Kirk otarł czoło chusteczką i zaczął czekać, aż agenci Secret Service sprawnie umieszczą Roosevelta na tylnym siedzeniu packarda.

* Panie prezydencie, chciałbym omówić z panem pewną ważną sprawę. Mógłbym pojechać z panem?

* A co, mamy jakiś problem?

* Chyba można tak powiedzieć, panie prezydencie.

Dwieście metrów dalej, w jednym z baraków lotniska, dyżurował oficer pełniący funkcję łącznika między Królewskimi Siłami Powietrznymi Egiptu a RAF'em. Stał przy oknie, obserwując wszystko przez silną lornetkę spoza kordonu bezpieczeństwa. Kiedy kawalkada pojazdów wyjechała przez główną bramę lotniska, odłożył lornetkę i podniósł słuchawkę telefonu.

Maison Fleuve, godzina 8.15

Halder obudził się z niespokojnej drzemki. Słyszał plusk wody i słońce grzało go w twarz. Szyper w skupieniu kierował łódź do ukrytej wśród trzcin prywatnej przystani, należącej do jakiejś willi o białych ścianach, otoczonej zapuszczonym ogrodem. Rachel spała oparta na ramieniu Haldera, który teraz ją zbudził.

Jesteśmy na miejscu.

Nad wodą zwieszały się gałęzie drzew figowych, a rząd schodów prowadził na patio z tyłu domu, gdzie ustawiono

wiklinowy stół i krzesła. Willa miała zaniedbany wygląd, jej ściany pokrywała łuszcząca się farba i pnące zielsko. Opodal zaczynały się przedmieścia Kairu, a dalej na zachód widać było charakterystyczny zarys piramid w Gizie. Na przystani czekał Wnb, który wcale nie wyglądał na uradowanego widokiem przybyłych.

Nie jest to najcieplejsze powitanie * mruknął Halder. Rachel przyglądała się willi, Gdzie jesteśmy?

* Zdaje się, że kilka kilometrów na południe od Kairu. Cieszysz się, że tu wróciłaś?

* W tych okolicznościach nie jestem tego taka pewna.

* Jeśli nadal martwisz się o Harry'ego, to niepotrzebnie. Jest zupełnie bezpieczny, a w końcu go znajdą.

* Bardziej niepokoi mnie to, co się stanie potem. * Spo*chmurniała. * Chyba wiesz, że on nie spocznie, dopóki nas nie

znajdzie.

* Niczego innego się nie spodziewam, ale przecież nie mogłem go zabić, prawda? Nawet jeśli mielibyśmy tego żałować.

Arab pomógł szyprowi przycumować łódź, a potem obrzucił ich ponurym spojrzeniem i ruchem głowy wskazał patio. Halder wyszedł na pomost i wyciągnął rękę do Rachel,

* Chodź, zdaje się, że ktoś tam na nas czeka.

Kiedy znaleźli się na patio, otworzyły się przeszkłone drzwi domu i wyszedł z nich postawny mężczyzna. Ręce trzymał w kieszeniach lnianego garnituru, siwe włosy miał wybrylan*tynowane i zaczesane do góry. Na jego twarzy malował się

niepokój.

* A więc w końcu dotarliście. Pan jest pewnie majorem Halderem? * Wyciągnął rękę. * Harvey Deacon. „Beszeba" dla przyjaciół z Berlina. Mam nadzieję, że podróż rzeką nie

była zbyt męcząca?

* Jeśli nie liczyć tych dwóch godzin, które musieliśmy przesiedzieć w trzcinach, żeby uniknąć spotkania z patrolem

rzecznym...

* Mieliście pecha. No, ale już tu jesteście, a to najważniejsze. * Deacon odwrócił się do Rachel, uśmiechnął się czarująco i ucałował jej dłoń. * Berlin uprzedził mnie, że bym oczekiwał kobiety, ale nie spodziewałem się, że będzie taka urodziwa. * Szerokim gestem wskazał willę. * Teraz może jednak zechce pani wejść do środka i rozgościć się? Muszę omówić pewną sprawę z panem majorem.

Rachel weszła do domu przez oszklone drzwi, zostawiając Haldera samego z Deaconem i Hassanem. Gospodarz odwrócił się do gościa i na jego twarzy znów pojawił się niepokój.

* Niedobrze, że wasz samolot się rozbił. To bardzo utrudni nam zadanie.

* Skąd pan wie o katastrofie? Deacon westchnął.

* To długa historia i opowiem ją później. Zeszłej nocy nawiązałem łączność z Berlinem. Wasz łącznik z lotniska przesłał im sygnał. Na razie nasz przyjaciel Schellenberg nie wie, że dotarliście do Kairu, ale dowie się wieczorem, kiedy wysłę mu wiadomość. * Deacon zerknął na Hassana i ponownie zwrócił się do Haldera: * Zdaje się, że w nocy zaszło między wami jakieś nieporozumienie?

* Nie wykonał mojego rozkazu.

* Powinieneś pozwolić mi zabić tego Amerykanina * rzekł ze złością Hassan. * On jeszcze narobi nam kłopotów. Jesteś Clupcem, jeżeli tego nie rozumiesz.

Halder spojrzał na niego ostro.

* A ty powinieneś pamiętać, kto dowodzi tą operacją.

* Panowie... * przerwał im Deacon i skinął na Hassana. * Wejdź do domu i zajmij się kobietą, a potem zrób to, co ci mówiłem.

Kiedy Arab wyszedł, Halder zapalił papierosa.

* Czy pański przyjaciel ma jakieś imię? * zapytał. Deacon wyjął cygaro z kieszeni na piersi, zapalił je i rzucił

zapałkę do rzeki.

* Hassan. Mówił mi, że zna pan tego oficera amerykańskiego wywiadu, Weavera.

* Jeszcze sprzed wojny.

Gdy Halder krótko wyjaśnił sytuację, Deacon zmarszczył In wi.

* Rozumiem. Nieprzyjemna niespodzianka. Powinien pan Jednak zrozumieć Hassana. Jest uparty i arogancki i nigdy nie wybacza, ale jest dla nas bezcenny. Niech pan spróbuje go udobruchać. Oddaje nam nieocenione usługi.

* Od tej pory ma wykonywać moje rozkazy, więc proszę postarać się, żeby to robił. Stąpamy po bardzo kruchym lodzie i nie zamierzam tolerować nieposłuszeństwa.

* Może pan mówić o nieposłuszeństwie, majorze * odparł Deacon * lecz pozostaje faktem, że Hassan miał rację.

Powinien pan zabić Weavera, kiedy miał pan okazję. Pozostawienie go przy życiu było głupotą. On rzeczywiście może nam przysporzyć kłopotów. Halder zignorował przyganę

* Jest coś znacznie bardziej niepokojącego, z czego powi

nien pan zdawać sobie sprawę. Weaver wiedział, co zamierzamy zrobić.

Deacon był wstrząśnięty.

* Jak to możliwe? Halder wzruszył ramionami.

* Może zgadł, a może kryje się za tym coś więcej. Z pewnością nie wie o pana udziale w tej akcji, inaczej wywiad wojskowy już dawno złożyłby panu wizytę.

* Jednak to źle wróży naszej operacji, czyż nie?

* Mam dokładnie takie same odczucia. Dostaliśmy kiepskie karty, ale nie mamy innego wyjścia, jak przystąpić do gry. A teraz nasze zadanie stanie się jeszcze trudniejsze.

* Nadal zamierza je pan wykonać? Halder skinął głową.

* Tyle że nasze kłopoty narażają pana na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Deacon przyjął to ze spokojem.

* Już dawno zaakceptowałem związane z tym ryzyko, majorze.

Halder spojrzał w kierunku przystani.

* Czy można zaufać temu przewoźnikowi?

* Całkowicie.

Na twarzy Haldera pojawiło się znużenie.

* Od czasu katastrofy samolotu przeżyliśmy ciężkie chwile. Potrzebujemy kąpieli. I przydałby nam się porządny posiłek.

* Wszystko już przygotowane. Zaprowadzę was do pokojów i zostawię, żebyście się rozgościli. Potem porozmawiamy w cztery oczy. Są jeszcze inne poważne problemy, o jakich powinien pan wiedzieć.

* Chce pan powiedzieć, że są jeszcze jakieś złe wieści? Deacon westchnął.

* Obawiam się, że mam problemy z transportem. * Pstryknięciem odrzucił niedopalone cygaro, które, koziółkując, wpadło do rzeki. * Omówimy to później. Nie powiedział mi pan, jak nazywa się ta kobieta?

* Rachel Stern.

* Hassan poinformował mnie, że nie macie pojęcia, co stało się z waszymi dwoma towarzyszami.

* O ile wiem, próbowali przedostać się przez pustynię.

* Jak już mówiłem, wieczorem zawiadomię Berlin o waszym

przybyciu. Jednak raport, który wysłałem im zeszłej nocy, zawierał również dobre wiadomości. Prawdę mówiąc, mam dla pana niespodziankę.

Deacon spojrzał na drzwi, przez które na patio wyszedł Hassan. Za nim szli Kleist i Doring, w czystych cywilnych ubraniach. Kleist uśmiechnął się szeroko.

* Widzę, że wracamy do pracy, panie majorze.

Rozdział 52

Hotel „Mena House”, godzina 11.30

Ściśle strzeżone pomieszczenie na parterze było przestronne i elegancko urządzone, lecz teraz powietrze w nim było siwe od dymu z papierosów. Główną salę restauracyjną hotelu zapętniali wyżsi oficerowie w mundurach, szefowie sztabów alianckich wojsk, pogrążeni w rozmowach.

Churchill już tam był, w białym lnianym garniturze, i w doskonałym humorze kręcił się po sali, jak zawsze trzymając w palcach cygaro. Wtóczono wózek z Rooseveltem i wszyscy zebrani spontanicznymi oklaskami przyjęli serdeczne powitanie wielkich przywódców. Później, kiedy już obaj zamienili po kilka słów z większością oficerów, przewodniczący naradzie adiutant

oznajmił:

* A teraz, co panowie z pewnością zrozumieją, premier i prezydent życzą sobie porozmawiać na osobności. Bądźcie łaskawi udać się za mną do sąsiedniej sali, gdzie przygotowano

skromny poczęstunek.

Po chwili sala opustoszała, zamknięto drzwi i obaj przywódcy zostali sami. Agenci Secret Service Roosevelta i ochroniarze ze Scotland Yardu, którzy wszędzie towarzyszyli Churchillowi,

czekali na zewnątrz.

Siedzący na swoim wózku inwalidzkim, zmęczony długą podróżą Roosevelt wyglądał blado i mizernie. Przez chwilę panowała cisza, w której słychać było tylko szum bambusowych wentylatorów pod sufitem, a potem Churchill powiedział:

* Czekają nas mnóstwo pracy, Franklinie. Rozumiem, że nadal jesteś zdecydowany przeprowadzić operację „Overlord”?

* Jak najbardziej.

Churchill uśmiechnął się.

* Z pewnością dzielą nas zapatrywania na strategię, ale omówimy je podczas naszego spotkania.

* Oczywiście.

* Mimo to już teraz musimy uzgodnić jedną sprawę. Wiesz, jak bardzo lubię przyjęcia... to moja największa słabość. No cóż, kiedy rozprawimy się z Hitlerem, zamierzam wydać największą ucztę, jaką możesz sobie wyobrazić, i do diabła z kosztami.

* Myślę, że mogę się na to zgodzić * odparł z lekkim uśmiechem Roosevelt. Potem spoważniał i dodał: * Pewnie słyszałeś o tej grupie Niemców, którzy nastają na nasze życie?

* Otrzymałem tę informację od ludzi z naszego wywiadu. Muszę powiedzieć, że bardzo zaniepokoiła moją ochronę. Nie spuszczają mnie z oka. Nie wątpię, że ciebie spotkał ten sam los * stwierdził Churchill.

* Jeśli jednak myślą, że powstrzyma mnie to od wypicia paru drinków na przyjęciu, jakie na moją cześć wydają dziś wieczorem w brytyjskiej ambasadzie, cholernie się mylą. Czekam na to od wielu dni.

* Co o tym sądzisz, Winstonie?

W oczach Churchilla pojawił się błysk rozbawienia.

* Myślę, że Berlin dobrze dostał po nosie, jeśli naprawdę zamierzają nas zamordować. To tylko dowodzi, w jakiej rozpaczliwej sytuacji znalazł się Hitler, skoro zgadza się na takie iizalone pomysły. Chociaż jest w tym pewien sens... Jednak jestem przekonany, że ci ludzie zostaną szybko wytropieni i unieszkodliwieni. Właściwie już są martwi. Nie mam zamiaru zostać pierwszym zamordowanym premierem w historii Wielkiej Brytanii.

Ktoś zapukał do drzwi i Roosevelt powiedział: „Wejść!”.

Do pokoju wszedł jeden z adiutantów prezydenta, mężczyzna w średnim wieku w mundurze pułkownika, cicho zamykając za sobą drzwi.

* Wiem, że nie powinienem przeszkadzać, panie prezydencie, ale przybył generał Clayton, który pilnie chce się widzieć z panem i panem premierem. Towarzyszy mu ambasador Kirk.

- mów, że chodzi o tych niemieckich agentów, o których informował pana ambasador Kirk.

* O wilku mowa. Wprowadź ich tu.

Maison Fleuve, godzina 9.00

Jedli posiłek przy kuchennym stole, zagryzając pszennym chlebem i popijając świeżym sokiem cytrynowym. Po posiłku Halder zaproponował Rachel, żeby poszła do swojego pokoju i odpoczęła. Sam wyszedł na patio, gdzie czekał na niego Deacon z pozostałymi.

* Możecie mi powiedzieć, jak wam się udało niepostrzeżenie przedostać przez pustynię? * zapytał Halder, siadając przy stoliku.

* To nie było łatwe * odparł kwaśno Kleist. * Kiedy późnym popołudniem zatrzymaliśmy się w korycie wyschniętej rzeki, usłyszeliśmy warkot samolotu zwiadowczego. Musieliśmy przeczekać do zmroku, zanim zaryzykowaliśmy i ruszyliśmy w dalszą drogę. Potem nasza furgonetka zepsuła się prawie dziesięć kilometrów przed wioską Birąash. Próbowaliśmy dotrzeć pieszo do wioski i zostaliśmy zatrzymani przez dwóch egipskich policjantów patrolujących drogę. Poderżnęliśmy im gardła, zakopaliśmy ciała i zabraliśmy ich samochód. Gdy dotarliśmy do przedmieść Kairu, porzuciliśmy wóz, wsiedliśmy do pociągu

i w ostatniej chwili zdążyliśmy na miejsce spotkania.

Halder skrzywił się z niesmakiem i rzekł do Deacona:

* Znów trupy. Mój Boże, ta wojna codziennie staje się gorsza.

Deacon tylko wzruszył ramionami.

* W każdej bitwie padają zabici, majorze.

* Co powiedział Berlin, kiedy zawiadomił ich pan o przybyciu części grupy?

* Jedyne potwierdzili odbiór wiadomości. Zazwyczaj nawiązuję łączność tylko na chwilę, starając się ograniczać czas nadawania do niezbędnego minimum. Dłuższe audycje mogłyby pozwolić Brytyjczykom namierzyć radiostację. Ale nie wątpię, że Berlin odezwie się dziś wieczorem. A teraz przejdźmy do najważniejszej sprawy... Katastrofa samolotu mogła zniweczyć wszelkie szanse na sukces tej operacji. Z pewnością straciliśmy przewagę zaskoczenia. Wrócę do tego później. Najpierw fakty. Roosevelt przyleciał na wojskowe lotnisko w Kairze dziś rano, około dziewiątej trzydzieści. Moje źródła donoszą mi, że został zakwaterowany w hotelu „Mena House”. Churchill przybył już wczoraj i także kwateruje w tym hotelu.

* Czy to źródło jest wiarygodne?

* To oficer Królewskich Sił Powietrznych Egiptu, mający doskonałe powiązania i zawsze dostarczający wiarygodnych informacji.

* Ochrona?

Deacon ponuro wyduł usta.

* Bardzo silna, jak zresztą należało się spodziewać. A po tym, co się stało, na pewno jeszcze ją wzmocnią.

* Schellenberg twierdził, że do naszego przybycia zbierze pan więcej informacji.

* Zrobiłem, co mogłem. * Deacon sięgnął do kieszeni i wyjął kilka złożonych kartek. * Z mojego raportu wynika, że hotel jest pilnie strzeżony. Nie wpuszczają tam nikogo, kto nie ma odpowiedniej przepustki. Nie było mowy o wykonywaniu zdjęć, to zbyt ryzykowne, ale podszedłem najbliżej, jak mogłem, i porobiłem notatki oraz szkice. Czołgi, broń przeciwlotnicza na dachach, patrole krążące wokół w nieregularnych odstępach czasu.

Halder pilnie przejrzał notatki, a potem podniósł głowę.

* Nie widzę tu złotej żyły, na jaką liczyłem. Przydałyby nam się dokładniejsze informacje.

* Obawiam się, że to niemożliwe.

Halder dał kartki do przejrzania Kleistowi i Doringowi.

* Co to za problem z transportem? Deacon westchnął ciężko.

* To się panu nie spodoba... * Opowiedział o pogroźkach Sultera. * Ten człowiek to niebezpieczny gangster, znany ze

skłonności do stosowania przemocy. Niestety nie miałem innego Wyjścia, musiałem skorzystać z jego usług.

O co on nas podejrzewa? * zapytał zdziwiony Halder.

Ten dureń myśli, że szykujemy jakiś napad, i chce dostać swoją część. W przeciwnym razie możemy zapomnieć o dżipie i ciężarówkach, a ja mogę oczekiwać wizyty policji. Halder wstał, zirytowany.

Coraz gorzej. Kiedy ten cały Sal ter oczekuje odpowiedzi?

Do jutrzejszego wieczoru. Potem będą kłopoty.

Na pewno nie ma pojęcia, co naprawdę chcemy zrobić?

Wątpię, by choć przez chwilę podejrzewał, że jestem niemieckim agentem. Najwidoczniej z lotniska Shabramant i winem są przewożone do Kairu cenne znaleziska archeologiczne. Sal ter podejrzewa, że niedługo przejdzie tamtędy kolejny

taki transport, i wbił sobie do głupiego łba, że zamierzamy go przejąć.

* Czy wie o tym, że jesteśmy w tej willi? Deacon energicznie pokręcił głową.

* Na pewno nie. Pamiętając o ostatniej historii, upewniłem się, że nikt za mną nie jedzie. Prawdopodobnie Salter uważa, że nie mamy wyboru i musimy przystać na jego propozycję, więc nie ma sensu mnie śledzić. * Deacon znów westchnął. * Ale zamieszanie, prawda? No co, czy ktoś ma jakiś pomysł? Bo ja naprawdę nie mam.

Halder z rezygnacją potrząsnął głową.

* W tej chwili nic nie przychodzi mi do głowy. Musimy jednak mieć te pojazdy. Od tego zależy powodzenie operacji. * Odwrócił się i spojrzał na willę. * A więc to ma być nasza

kryjówka?

* Sądzę, że będzie bardzo wygodna i całkiem bezpieczna.

Halder powiedział do Kleista i Doringa:

* Rozejrzyjcie się dobrze wokół, zaznajomcie z otoczeniem i narysujcie mi dokładny szkic terenu. Chcę zaplanować drogi ucieczki na wypadek, gdybyśmy musieli się stąd wynosić. Wybierzcie też odpowiednie pomieszczenia od frontu i od tyłu, w których możemy urządzić punkty obserwacyjne. Będziemy na

zmianę pełnić warty. Nie chcę, żeby ktoś nas zaskoczył, szczególnie ten cały Salter.

* Tak jest, majorze.

Kiedy Kleist i Doring odeszli, Halder zapalił papierosa.

* Ten dom stoi trochę za bardzo na odludziu. Sam nie wiem, czy się z tego cieszyć.

* Nagła zmiana planu. Bezpieczne mieszkanie w mieście, z którego zamierzałem skorzystać, zostało rozpracowane przez pańskiego przyjaciela Weavera i jego kumpla, brytyjskiego oficera nazwiskiem Sanson.

Halder spojrzał na niego ze zdumieniem.

* Dlaczego nie powiadomił pan o tym Berlina?

* Powiadomiłem. * Deacon wyjaśnił, co zaszło. * Nie powiedziano panu?

Halder gniewnie pokręcił głową.

* Wygląda na to, że od samego początku pakowaliśmy się w kłopoty.

Deacon zmarszczył brwi.

* To dziwne, że was nie poinformowano.

Halder zmierzył go podejrzliwym spojrzeniem.

* Schellenberg myśli wyłącznie o realizowaniu swoich pomysłów. W ogóle nie obchodzą go związane z tym straty. Z pewnością uznał, że nie wziąłbym udziału w tej operacji, gdybym wiedział, że jej powodzenie od początku stoi pod znakiem zapytania. * Zastanawiał się przez chwilę. * Czy w wyniku tej wpadki wywiad aliantów mógł poznać nasze plany?

* Raczej nie. Nie mieli żadnych poszlak.

* Może ma pan rację. Jednak zastanawiam się, skąd o tym wiedzieli. Nawiasem mówiąc, spotkałem już tego Sansona.

Kiedy Halder opowiedział mu o tym spotkaniu, Deacon uniósł brwi.

* Jestem pod wrażeniem. Nie wiem, jak jest z pana przyja*cielem, Weaverem, ale Sansonowi lepiej nie wchodzić w drogę. Ma reputację zawziętego przeciwnika, niebezpiecznego jak kobra.

Halder wstał i ruchem głowy wskazał na dom.

* Teraz bardziej niepokoi mnie to miejsce.

Przeszedł przez oszklone drzwi do dużego pokoju z trzcinowymi fotelami i kolorowymi arabskimi dywanami na podłodze. Na pomalowanych na biało ścianach wisało tylko kilka nubijskich masek pośmiertnych z polerowanego hebanu, których prymitywne rysy emanowały złem.

Ta willa nazywa się „Maison Fleuve” * wyjaśnił Dea

con. * Wybudował ją napoleoński generał, który podejmował

w niej swoje kochanki. Nie ma tu telefonu, ale większość

okolicznych domów jest wykorzystywana tylko jako miejsca

niedzielnego wypoczynku. To prywatna posiadłość, więc nikt

nie powinien nas niepokoić. Główna droga prowadząca do

Kairu jest półtora kilometra stąd, więc mamy mnóstwo czasu,

by zauważyć wszystkich nadjeżdżających. Hotel „Mena House”

i Giza znajdują się zaledwie osiem kilometrów stąd.

Oczywiście

łódź będzie do waszej dyspozycji. Możecie nią dotrzeć do miasta,

nie martwiąc się o to, że zostaniecie zatrzymani i wylegitymowa

ni bo patrole rzeczne nie zapuszczają się tak daleko na południe. Halder z zainteresowaniem spojrzął na pośmiertne maski.

Naprawdę doskonała robota. Sądzę, że mają co najmniej kilkaset lat?

Deacon kiwnął głową, zdjął jedną z nich i z uśmiechem stał z niej * kurz rękawem.

* Generał zdobył ją podczas swoich podróży w górę Nilu. Razem z kilkoma ślicznymi nubijskimi niewolnicami, z których był chyba jeszcze bardziej zadowolony.

* A kto jest dziś właścicielem tej willi?

* Stoi przed panem. * Deacon odwiesił maskę na miejsce. * Zdaje się, że wspomniał pan o drogach ucieczki?

Schodząc po schodach do piwnicy, Deacon wysoko unosił lampę naftową. Światło migotało na ścianach podziemia, w którym panował przyjemny chłód. Pod jedną ze ścian Halder dostrzegł stojaki z pokrytymi pajęczyną butelkami wina. Doszli na koniec piwnicy, do metalowych drzwi na zardzewiałych zawiasach. Deacon pchnął je i do środka wpadł słoneczny blask. Na zewnątrz znajdowało się maleńkie kamienne molo, dobrze ukryte wśród trzcin. Przy nim była zacumowana łódka z przyczepnym silnikiem, nakrytym

starą plandeką.

* Interesujące * mruknął Halder, dostrzegając ukrytą wśród trzciny antenę, połączoną przewodem z drewnianym kredensem obok schodów. * Tutaj trzyma pan radiostację?

Deacon skinął głową, podszedł do kredensu, pokazał Halderowi nadajnik i leżący obok luger, po czym zamknął drzwiczki.

* Ta piwnica początkowo pełniła rolę składu win. Wie pan, jak troskliwie Francuzi przechowują swoje trunki. Jednak generał, jako człowiek praktyczny, postanowił przebić otwór w tylnej ścianie i wykorzystać ją jako drogę ucieczki dla swoich przyjaciółek, gdyby pojawili się ich mężowie, co najwyraźniej często się zdarzało.

Deacon uśmiechnął się i pchnął drzwi, które zamknęły się z piskiem.

* To nasz as w rękawie, na wszelki wypadek. Miejmy nadzieję, że nie będzie nam potrzebny. Panu pozostawiam decyzję, czy powiedzieć o tym pozostałym. Powinienem wspomnieć o jeszcze jednym zabezpieczeniu. Frontowe drzwi willi są zamknięte grubą sztabą, której proponuję w ogóle nie odsuwać. W razie kłopotów, gdyby ktoś próbował wdrzeć się do domu, powinno to dać nam dość czasu, by zejść do piwnicy i uciec.

* Jest pan przezornym człowiekiem, Deacon.

* Dlatego jeszcze żyję.

* Schellenberg wspominał również, że przygotował pan inną trasę powrotu na wypadek, gdyby nie udało nam się opanować lotniska?

Deacon kiwnął głową.

* Mam znajomego Egipcjanina, który jest kapitanem Królewskich Sił Powietrznych Egiptu. To właśnie on dostarczył mi wielu użytecznych informacji o lotnisku Shabramant. W razie potrzeby weźmie samolot ze swojej jednostki i zabierze nas z lądowiska na pustyni, kilka kilometrów od Sakkary. To miejsce znajduje się daleko od centrum przyszłych wydarzeń, więc nikt nie powinien go zauważyć.

* Znam lotnisko, o którym pan mówi. Kiedyś było wykorzystywane do transportu zaopatrzenia dla ekspedycji archeologicznych.

* Właśnie. Mój przyjaciel kapitan będzie czekał w powietrzu, gotowy zabrać nas w razie potrzeby, jeśli zobaczy umówiony sygnał. Skontaktuję się z nim, gdy tylko ustalicie termin diuku i dowiemy się, że ludzie Skorzeny'ego są już w drodze, zakładam jednak, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jeśli tak się nie stanie i będziemy musieli odwołać operację, kapitan spróbuje przewieźć was do najbliższej niemieckiej bazy powietrznej na Krecie. Później możemy omówić wszystkie szczegóły. Ten pański kapitan nie wie, co zamierzamy zrobić? Oczywiście, że nie. Ale to gorący zwolennik Niemców i i hętnie będzie służył wszelką pomocą. Weszli po schodach na górę, a kiedy znaleźli się w korytarzu,

Deacon zgasił lampę.

Mam jeszcze dwie sprawy... * rzekł Halder. * Po pierwsze * proszę nie wspominać o naszych zamiarach w obecności Ginny. Ona nie zna naszych planów ani powodów naszej obecności w Egipcie.

Rozumiem. Berlin wszystko mi wyjaśnił.

Po drugie, dam panu wykaz rzeczy, jakie będą mi po

trzebne jeszcze dziś po południu. Głównie narzędzia, a także silna lornetka i dwa amerykańskie mundury z tych, które zabrał

pan od Saltera.

Deacon dostrzegł napięcie na twarzy Haldera. Ten człowiek był jak ściśnięta sprężyna.

Zechciałby mi pan wyjaśnić po co?

Początkowo zamierzałem spróbować dostać się do hotelu, udając amerykańskiego oficera albo posługując się skradzioną

przepustką, żeby przeprowadzić rozpoznanie. Teraz jednak, kiedy alianci znają nasze zamiary, właśnie czegoś takiego będą oczekiwać. Poza tym wiedzą już, kim jestem. Wydaje mi się, że pozostaje nam tylko jedna możliwość. W pobliżu piramidy Cheopsa znajduje się tunel, częściowo będący naturalnym systemem jaskiń, ciągnący się przez prawie dwieście metrów od komnaty grzebalnej z okresu drugiej dynastii. Prowadzi w kierunku hotelu.

Deacon zmarszczył brwi.

* Skąd pan to wie?

* Przed kilku laty odkrył go ojciec Frdulein Stern, znany archeolog. Schellenberg najwidoczniej uważa, że to przejście może doprowadzić nas w pobliże hotelu.

* Zdumiewające * mruknął Deacon, drapiąc się po szczęce. * A więc to dlatego Berlin kazał mi sprawdzić, czy w Gizie nadal są prowadzone prace wykopaliskowe. Dziwiłem się po co.

* Najważniejsze jest to, że w ten sposób może uda nam się niepostrzeżenie dostać w pobliże hotelu. Należy jednak ponownie odkopać wejście do tunelu i sprawdzić, dokąd dochodzi. Czy wie pan, kto prowadzi tam prace wykopaliskowe?

* Kilka grup, przeważnie studenci z kairskiego uniwersytetu.

* Nie ma czasu do stracenia, dlatego rekonesans przeprowadzimy dziś po południu. Tylko pan, ja i Kleist. Studenci zakończą prace przed zmrokiem. Czy teren wykopalisk jest strzeżony?

Deacon skinął głową.

* Zwykle pilnują go policjanci z pobliskich posterunków albo cywilni strażnicy z Ministerstwa Ochrony Zabytków.

Halder wyjął portfel i pokazał Deaconowi dokumenty wystawione na Paula Mallory'ego oraz zaświadczenia z amerykańskiego uniwersytetu.

* Zna pan jakiegoś dobrego fałszerza? Kogoś godnego zaufania, kto szybko pracuje?

Deacon przytaknął.

* W Kairze nie brakuje fałszerzy. Za odpowiednią cenę podrobią wszystko. Dlaczego pan pyta?

* W Aleksandrii Sanson obejrzał moje dokumenty, a także papiery Frdulein Stern. Niewątpliwie podał nasze nazwiska policji i żandarmom. Ale zręczny fałszerz powinien je bez trudu

zmienić. Czy może pan to załatwić, jeśli podam panu kilka możliwych nazwisk? Deacon wzruszył ramionami.

* To kosmetyczna przeróbka, więc nie widzę problemu. Powie mi pan, co zamierza pan zrobić?

* Mam zamiar udawać profesora archeologii, sprawdzającego postępy prac studentów w Gizie. Powinniśmy bez trudu przedostać się przez posterunki policji, ale nawet jeśli to nie wystarczy, wiem z doświadczenia, że ci strażnicy są zazwyczaj bardzo nieudolni i przekupni. Biedacy są tak kiepsko opłacani, że z pewnością da się ich przekonać, żeby nam nie przeszkadzali.

Deacon uważnie obejrzał dokumenty.

* Rzeczywiście robią wrażenie. Czemu nie chce pan zabrać leja kobiety?

Halder pokręcił głową.

* Nie ma sensu niepotrzebnie narażać ją na niebezpieczeństwo. Wystarczy, że mi powie to, co muszę wiedzieć. Mimo wszystko chcę przerobić jej dokumenty, na wypadek gdybyśmy musieli opuścić ten dom. Przyniosę je panu, zanim pan odjedzie.

Deacon spojrzał mu w oczy.

* Czyżby coś was łączyło, majorze? I Halder zignorował jego pytanie.

* Nas trzech powinno wystarczyć. Da mi to czas na przemyślenie problemu Saltera. Na razie nie mam pojęcia, co z nim zrobić.

* A jeśli znajdziemy ten tunel i okaże się, że prowadzi tam, dokąd pan się spodziewa?

* Wejdziemy z Kleistem do hotelu i spróbujemy dowiedzieć się gdzie dokładnie kwaterują Roosevelt i Churchill. Właśnie do tego potrzebne nam są mundury.

Deacon zaniepokoił się.

* Przecież nie macie przepustek, a w budynku na pewno będą wartownicy. Weaver i jego koledzy będą chcieli was

złapać.

To już moje zmartwienie. Nie mamy innego wyjścia, musimy skorzystać z tunelu. Chyba że ma pan inny pomysł. Niestety nie, majorze.

Będzie nam potrzebny jakiś środek transportu. I dobrze byłoby dostać się do Gizy, omijając posterunki kontrolne, o ile i" możliwe. Deacon podrapał się po głowie.

* W pobliżu biegnie pusty szlak, który prowadzi prosto do wioski Nazlat as*Saman, w pobliżu piramid. Ale packard jest ciężki i zawieszenie może nie wytrzymać... * Zastanawiał się przez chwilę. * Mam lepszy pomysł. Nie powinniśmy podróżować razem. Pański przyjaciel Weaver z pewnością przekazał wasze rysopisy wszystkim posterunkom policji i żandarmerii aż do Luksoru. Hassan ma motocykl. Kleist i ja pojedziemy samochodem, normalną drogą. Pan weźmie motocykl i spotkamy się za wioską, koło Sfinksa.

Halder zgasił papierosa i uśmiechnął się.

* Doskonale. A więc umowa stoi. I proszę się nie martwić Weaverem. Nie znajdzie mnie.

Rozdział 53

Kair, godzina 12.30

* Czy pan zwariował? * Clayton rąbnął pięścią w blat biurka. * Jak pan mógł pozwolić im uciec?

Weaver siedział w gabinecie generała. Piekły go oczy i był cały obolały ze zmęczenia. W ciągu nocy przespał najwyżej kilka minut. Po ośmiu godzinach szamotania się w pętach zdołał tylko rozluźnić knebel. Trochę po siódmej dwaj miejscowi rybacy usłyszeli jego krzyki, weszli do szopy i znaleźli go. Kiedy z posterunku policji w Rashidzie zadzwonił do głównej kwatery, przyjechał po niego Sanson, wściekły, że pozwolił uciec Hal*dcrowi i Rachel. Dwie godziny później wsadził go do samolotu, przewiózł do Kairu, a potem prosto do biura Clayтона.

* Nie miałem wyboru, panie generale * odparł Weaver. Sanson siedział obok niego. Pienił się tak samo jak generał.

* To niebywałe * dziwił się Clayton. * Postawiliśmy na nogi połowę armii, zablokowaliśmy wszystkie drogi, a oni mimo to zdołali uciec. Co do pana, Weaver, dopuszczając do ucieczki dwojga nieprzyjacielskich agentów, okazał pan cholerną niekompetencję. Co ma pan do powiedzenia?

Popełniłem błąd, ścigając ich w pojedynkę * odparł Weaver.

Ma pan cholerną rację! * wybuchnął Clayton. * Mam wrażenie, że pozwolił pan, by sentymenty wzięły górę nad poczuciem obowiązku. To nie tylko niewybaczalne, ale graniczy ze zdradą. * Gniewnie poderwał się z fotela. * Lepiej niech mi pan powie wszystko o tych dwojgu.

Na stojąco wysłuchał relacji Weavera, a potem zapytał Sansona:

* Co z tą łodzią, którą odpłynęli?

Sanson wyjaśnił, że każda jednostka na odcinku od Rashidu po Kair została zatrzymana i przeszukana.

* Jednak patroly rzeczne nie znalazły ich * dodał. * Najwidoczniej spóźniliśmy się. Do rana ta łódź mogła dotrzeć w dowolne miejsce na Nilu.

Clayton odwrócił się do Weavera.

* Zauważył pan numer rejestracyjny samochodu tego Araba?

Weaver omówił już to wcześniej z Sansonem.

* W ciemnościach nie widziałem numeru. Ale jestem przekonany, że był to amerykański model.

Wiedział, że to zupełnie bezużyteczna informacja. Po Kairze jeździło mnóstwo amerykańskich wozów, cywilnych i wojskowych.

* Niewiele nam to da * skrzywił się Clayton. Podniósł raport Sansona i z trzaskiem odłożył teczkę. * Jednak jest kilka faktów, których możemy być cholernie pewni. Po pierwsze, nie ulega wątpliwości, że mamy do czynienia z całą grupą, a nie tylko dwojgiem agentów wroga. Po drugie, prawie na pewno są teraz gdzieś w tym mieście.

Z raportu Sansona Weaver dowiedział się, że późnym popołudniem zgłoszono zaginięcie dwóch egipskich policjantów niedaleko wioski Birąash, około trzydziestu kilometrów na północ od Kairu. Ich ciała odkryto wczesnym rankiem. Leżeli w płytkim grobie, z poderżniętymi gardłami. O dziesiątej wieczorem poprzedniego dnia znaleziono ich samochód w pobliżu stacji kolejowej na przedmieściach miasta. Policja przesłuchała rodzinę Beduinów, którzy mieszkali parę kilometrów od Birąash i twierdzili, że późnym popołudniem widzieli dwóch mężczyzn w wojskowym samochodzie, jadących w kierunku wioski. Ten samochód znaleziono potem w okolicy * był to fiat z numerami rejestracyjnymi włoskiej armii.

* Ci mężczyźni znajdowali się za daleko, żeby Beduini mogli ich opisać * powiedział Claytonowi Sanson. * Wiemy jednak, że Halder i ta kobieta przebywali wtedy w Aleksandrii, więc to nie mogli być oni. Wygląda na to, że mamy do czynienia co najmniej z czwórką agentów.

Nadal wściekły, generał podszedł do drzwi na taras.

* A co z tym fiatem? Chyba jest czyjąś własnością?

* Z tego, co wiemy, nie figuruje w rejestrze zarekwirowa

nych pojazdów * odparł Sanson. * Kazałem sporządzić listę wojskowych pojazdów skradzionych w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin. Ten fiat nadal ma oryginalne włoskie numery, więc jeśli nie został skradziony, mało prawdopodobne, abyśmy znaleźli właściciela.

* Może wyjaśni mi pan dlaczego?

* Generale, w tym kraju jest tyle sprzętu z demobilu, że wystarczyłoby go do rozpętania następnej wojny. Być może ta furgonetka była czymś łupem, zanim została wypożyczona lub skradziona przez Niemców. W takim przypadku właściciel nie zgłosił utraty pojazdu.

Generał wrócił za biurko i ciężko osunął się na fotel.

* Co za cholerny bałagan! Prezydent przybył dziś rano, premier Churchill wczoraj po południu, a w tym samym czasie po mieście grasuje co najmniej czworo bezwzględnych niemieckich agentów. To niedopuszczalne.

* Jeśli wolno coś zaproponować... * zaczął Sanson. * Może prezydent i premier odwołaliby spotkanie do czasu, aż złapiemy tych ludzi?

Generał stanowczo pokręcił głową i uderzył dłonią o blat Iniirka.

* To niemożliwe. Czy któryś z was zdaje sobie sprawę, ile wysiłku wymagało zorganizowanie tego spotkania? Tysiące godzin narad, planowania, organizowania. VIP*y i wyżsi ofice*rowie zostali ściągnięci z całego świata, a nie jest to łatwe podczas wojny. Ponowne przygotowanie takiego spotkania trwałoby kilka miesięcy, a nie mamy tyle czasu.

Z całym szacunkiem, panie generale, ale to nadzwyczajne okoliczności.

Ambasador już to proponował prezydentowi i premierowi i obaj stanowczo odmówili zmiany planów. Z pewnością Wiecie, jacy oni są. Nie mają zamiaru dać się zastraszyć garstce nazistowskich agentów. Co do prezydenta, to jego ulubionym powiedzeniem jest: „Człowiek nie powinien obawiać się nikogo prucz siebie”. Nie można przestraszyć kogoś, kto wyznaje taką filozofię. I sądzę, że śmiało mogę powiedzieć, iż Winston Churhill jest ulepiony z tej samej gliny. Ich ochrona została powia

domiona o zagrożeniu i zapewniono mnie, że podejmą dodat

kowe środki ostrożności. Nadal jednak waszym zadaniem pozostaje znalezienie tych agentów. Usłyszeli stukanie do drzwi i wszedł adiutant generała.

* Samochód czeka, żeby zawieźć pana do hotelu „Mena House”, panie generale.

* Już idę. * Kiedy drzwi się zamknęły, Clayton powiedział stanowczo: * Nie chcę słyszeć żadnych wymówek: oczekuję wyników. Potrzeba nam odrobiny szczęścia, a ono nie dopisze nam, jeśli nie sprawdzimy każdego przeklętego hotelu, baru, restauracji, burdelu w mieście i na peryferiach, jeżeli nie wylegitymujemy wszystkich gości i nie aresztujemy każdego podejrzanego. Nie obchodzi mnie, kim będą ani jak autentyczne okażą dokumenty. Jeśli ktoś wyda się wam podejrzany, aresztujcie sukinsyna. To samo dotyczy wszystkich znanych nam sympatyków nazistów. Ktoś musi ukrywać tego Araba i Niemców. Oni gdzieś tu są.

Generał wstał, wziął czapkę i spojrzał surowo na Weavera.

* Weźcie tylu ludzi, ilu wam potrzeba, ale znajdźcie tych przeklętych szkopów, i to szybko. Chcę zobaczyć ich martwych.

Gdy jechali z powrotem przez miasto, Weaver poczuł, że jest kompletnie wyczerpany. Nie zwracał uwagi na otoczenie. Usiłował zebrać myśli, jednak to wszystko nie miało sensu. Rachel umarła i nagle ożyła. Teraz w żaden sposób nie zdoła uratować ani jej, ani Jacka Haldera.

* Każę sporządzić listę wszystkich amerykańskich pojazdów zarejestrowanych w Kairze, wojskowych i cywilnych, które mogły zostać skradzione * powiedział Sanson. * Zobaczymy, czy to coś da. Już rozesłałem rozkaz, by natychmiast aresztowano każdego, kto okaże dokumenty na nazwisko Mallory lub Tauber, a także ostrzeżenie, że są uzbrojeni i niebezpieczni. Podejrzewam jednak, że będą mieli dość rozsądku, by nie posługiwać się więcej tymi dokumentami. Tymczasem powinieneś trochę się przespać. Zawiadomię cię, jeśli będzie coś nowego.

* Nic mi nie jest.

* Wcale nie próbuję być uprzejmy, Weaver * uciął szorstko Sanson. * Czeką nas ciężka praca, więc odpocznij, dopóki możesz. Powinieneś wiedzieć o czymś jeszcze. Kazałem jednemu z moich ludzi sprawdzić akta w archiwum morskim w Port Saidzie. Wygląda na to, że „Izmir” rzeczywiście poszedł na dno i miał wcześniej problemy z silnikiem, ale w gazetach nie napisano wszystkiego.

* Czego?

* Podano do wiadomości, że po zatonięciu „Izmiru” maltański trawler rybacki wyłowił tratwę ratunkową z czterema tureckimi marynarzami. Nie napisano jednak, że szyper trawlera zauważył w pobliżu niemiecką fregatę wojenną.

* O czym ty mówisz?

* Obecność tej niemieckiej fregaty nie wygląda mi na przypadkową. Sternowie byli jedynymi pasażerami na pokładzie statku, który pływał pod turecką banderą, a Turcy są znani z proniemieckiego nastawienia. Ta fregata mogła zjawić się tam celowo, żeby ich zabrać, zanim nastąpił wybuch w kotłowni i statek wyleciał w powietrze.

* Po co mieliby ich zabierać?

* Prawdopodobnie Sternowie wcale nie zamierzali udawać się do Stambułu, ale chcieli wrócić do Niemiec. Byli szpiegami, wszyscy lub jedno z nich.

* Och, daj spokój, Sanson * rzekł ze złością Weaver. * Niemcy zawsze kręcili się po Morzu Śródziemnym. Ich fregata mogła znaleźć się tam przypadkowo. Rachel i jej rodzice nie byli szpiegami. To absurd.

Dojechali do Garden City i Sanson zatrzymał samochód przed główną kwaterą.

* Powiem porucznik Kane, żeby podrzuciła cię do domu. Ja mam mnóstwo pracy. Wróć tutaj o szóstej. Chciałbym, żebyś .poi kał kogoś, kto może rzucić trochę światła na tę sprawę.

* Kogo?

* Zobaczysz później, ale powiem ci coś, Weaver. Mam dla i icie cholernie dużą niespodziankę i mam nadzieję, że jesteś u.i nią gotowy.

Kiedy dotarli do Zamaleku, Helen Kane wzięła od Weavera klucz i otworzyła drzwi.

Wyglądasz okropnie. Musisz się wykąpać, a potem od*loczyć.

Poszli na górę, do mieszkania Weavera, gdzie przygotowała mi kąpiel i znalazła czyste ręczniki. Rozebrał się i położył

I gorącej wodzie. Przyszła do łazienki, niosąc dwie szklanki i kockiej, i podała mu jedną.

Pomyślałam, że możesz tego potrzebować. Masz coś

przeciwko temu, że dotrzymam ci towarzystwa?

Nie było go zaledwie czterdzieści osiem godzin, ale miał wrażenie, że minęło wiele dni i wyczuwał, że Helen jest spięta.

* Chyba nie.

Uśmiechnęła się niepewnie, oparła o drzwi i upiła łyk whisky.

* Wyglądasz na rozkojarzonego. Chcesz o tym porozmawiać?

Weaver miał zamęt w myślach.

* Czy muszę?

* Nie, ale po twojej minie widzę, że chcesz komuś o tym opowiedzieć.

Wyczerpany, wyciągnął się w gorącej wodzie, wytarł ręcznikiem oczy i twarz, po czym opowiedział jej o wszystkim. Kiedy skończył, nie odezwała się.

* Nie wyglądasz na zaskoczoną.

* Muszę ci coś wyznać. Sanson dzwonił do mnie z Aleksandrii i kazał mi sporządzić raport dla generała Claytona.

* Rozumiem. Odstawiła szklanę.

* Ale ja niczego nie rozumiem. Mogę przyjąć do wiadomości, że twój przyjaciel Halder jest w to zamieszany, jednak nie Rachel Stern, przynajmniej nie z tego, co o niej mówiłeś. To nie ma żadnego sensu. Poza tym była martwa, a teraz żyje. I Sanson podejrzewa, że jest hitlerowskim szpiegiem.

* To niemożliwe, Helen. Nie ona. Nawet Halder powiedział mi, że jest zupełnie niewinna. Oczywiście, ta niemiecka fregata pewnie wyciągnęła ich z wody. Później prawdopodobnie zamknęli ich w więzieniu albo jednym z tych obozów, o których

tyle się słyszy.

Skończył kąpiel, a Helen podała mu ręcznik i wyszła z łazienki. Kiedy wytarł się, ubrał i wszedł do sypialni, siedziała na kanapie. Była zamyślona. Po chwili powiedziała:

* Mogę cię o coś zapytać, Harry?

* O co?

* Nadal ją kochasz?

* Wiedziałem, że o to zapytasz.

* Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Zawahał się.

* Nie wiem. Widział, że ją to zraniło.

* To oznacza, że wciąż ją kochasz. Ze ściśniętym sercem odpowiedział:

* Może po prostu nigdy nie przestałem jej kochać. Przygryzła wargę i odstawiła szklanę. Była zła.

* Rozumiem. * Wstała. * Dam ci teraz odpocząć. Pogłaskała ją po policzku.

* Przykro mi, Helen, ale chciałaś znać prawdę. Delikatnie odsunęła jego dłoń.

* Nie martw się. Lituję się nad sobą, to wszystko. * Obdarzyła go nerwowym uśmiechem i ruszyła do drzwi, ale zanim wyszła, odwróciła się i odgarnęła kosmyk włosów z twarzy. * Życie nigdy nie bywa proste, prawda, Harry? * Była bliska łez. * To na razie.

Weaver usłyszał jej kroki na schodach i ogarnęło go okropne poczucie winy, jednak nie próbował jej zatrzymać.

Rozdział 54

Berlin, godzina 12.30

Ze swojego biura Canaris w ciągu pięciu minut dojechał do słynnego berlińskiego hotelu „Adlon”. Ekskluzywne foyer powitało go chłodem i gwarem, gdy wysiadł ze służbowego mercedesa i zostawił w szatni płaszcz oraz kapelusz. Minął szerokie schody, zauważając, że wspaniałe nigdy żyrandol i sztukaterie sufitu mocno ucierpiały w wyniku bombardowań, po czym wszedł do restauracji. Jeszcze nie nadeszła pora lunchu, więc tylko nieliczne stoliki były zajęte przez posępnych biznesmenów i oficerów w mundurach.

Stojący w pobliżu drzwi kierownik sali natychmiast poznał zmęczonego i spiętego Canarisa, zaprowadził go do osobnej łoży na końcu sali i odchylił zasłonę z czerwonego aksamitu. Schellenberg już tam był. Z widelcem w ręce pałaszował marynowaną wołowinę z ziemniakami i kiszoną kapustą. Przed nim stała butelka brandy i pełny kieliszek.

* Ach, jesteś wreszcie, Wilhelmie. Jak widzisz, zacząłem bez ciebie. Wołowina jest świetna, polecam.

* Zatrzymały mnie obowiązki. Nie, dziękuję, nie jestem głodny.

* Ale na pewno napijesz się brandy. * Schellenberg uśmiechnął się. * Obawiam się, że mają tylko polską, bo francuskiej zabrakło, więc ryzykujesz utratę szkliska zębów.

* W swoim czasie ryzykowałem znacznie bardziej. * Canaris skinieniem ręki odprawił kelnera, po czym usiadł naprzeciwko Schellenberga. * No, cóż to za pilna wiadomość, o której mówisz?

Schellenberg nalał mu sporą porcję trunku.

* Oczywiście nie mogłem ci jej przekazać przez telefon.

* No to przekaż mi ją teraz, do licha. Od kiedy wczoraj zawiadomiłeś mnie, że Halder i inni przeżyli katastrofę, nie miałem żadnych wieści. Prawie wcale nie spałem, więc nie iryzuj mnie w niepewności.

Schellenberg przełknął kiszoną kapustę, spłukał ją resztkami brandy i odstawił kieliszek na stół.

* Mam dobrą i złą wiadomość.

* Mów * mruknął wyczekująco Canaris, nie podnosząc kieliszka.

* Dziś rano otrzymaliśmy sygnał od Deacona. Kleist i Do*ring zdołali dotrzeć do Kairu i nawiązać kontakt. To mnie trochę pocieszyło. Nie mówiąc o Himmlerze i Führerze.

Canaris ledwie mógł usiedzieć na krześle.

* A co z Halderem i tą kobietą?

* Żadnych wiadomości. Zdaje się, że po katastrofie samo*lotu grupa rozdzieliła się na dwie pary, które osobno ruszyły do Kairu. Kleist poszedł z Doringiem, a Halder z Rachel Stern. Nic mam żadnych innych informacji.

* Rozumiem. * Canaris oparł się wygodnie i odetchnął W duchu z ulgą. * Zatem nadal sprawa nie wygląda tak źle.

Schellenberg napełnił sobie kieliszek i upił łyk.

* W tym przypadku brak wiadomości nie jest dobrą wiadomością.

* Jednak wyglądasz na zadowolonego i w dobrym humorze. Z Niczego?

Schellenberg uśmiechnął się.

Ponieważ jeśli ci dwaj zdołali przedrzeć się do Kairu, jednak jest cień nadziei. Powinieneś bardziej wierzyć w Haldera, W ilhelmie. W końcu to jeden z twoich najlepszych ludzi, o wiele bardziej pomysłowy od Kleista i jego kompana. Jeśli ci dwaj mogli dojść, to Halderowi też się uda. *W głosie Schellenberga pojawiła się nuta nerwowego podniecenia. * Jestem przekonany, że dotrze tam i przeprowadzi tę operację. Czuję to w kościach. Człowiek, który bez trudu potrafi udawać brytyjskiego . i amerykańskiego oficera, tak jak on, na pewno ma spore

szanse.

Doskonale zdaję sobie sprawę z jego umiejętności. * Canaris zerknął na stojącą na stole butelkę. * Jesteś pewien, że to nie brandy czyni cię optymistą? Schellenberg zacisnął usta.

* Nie bądź taki cyniczny, Wilhelmie.

* Spójrzmy na to realistycznie. Zakładając, że Halder żyje, nawet jeśli zdoła dotrzeć do Kairu i nawiązać kontakt z Deaco*nem, alianci będą go ścigać. Po katastrofie samolotu musimy być na to przygotowani. Nadzieje na sukces operacji „Sfinks” znacznie się zmniejszyły.

* To mądry gość, ten Jack, i chytry jak lis, kiedy znajdzie się w trudnej sytuacji * upierał się Schellenberg. * I jestem pewien, że zrobi wszystko, żeby osiągnąć cel. Dowie się, gdzie dokładnie kwaterują Roosevelt i Churchill, opanuje lotnisko w Shabramant, przewiezie do hotelu Skorzeny'ego i jego spadochroniarzy, a potem pomoże im przedostać się przez aliancką ochronę i wykonać zadanie. Wiem, że to bardzo trudne, ale w przeciwieństwie do ciebie wierzę, że Halder dokona tego, czego od niego oczekujemy. Wcale się nie zdziwię, jeśli niebawem dostaniemy od Deacona wiadomość o jego przybyciu.

Canaris westchnął, jednym haustem opróżnił kieliszek i próbował nie okazywać przygnębienia wywołanego niepokojącą myślą, że operacja „Sfinks” naprawdę może się powieść.

* I co dalej? Czekamy na następny raport Deacona? Schellenberg skinął głową.

* Właśnie. Powinien nadejść dziś wieczorem, około północy lub później. Dopiero wtedy będziemy wiedzieli, na czym stoimy. Chyba że Deacon ma takie pilne wieści, że zechce je przekazać wcześniej, chociaż * jak wiesz * w dzień odbiór jest zawsze znacznie słabszy. Ma to coś wspólnego z atmosferą. Rzym i Ateny otrzymały wyraźne polecenia, by natychmiast przekazywać wszystkie sygnały odebrane z Kairu. Fuhrer chce być informowany na bieżąco. Interesuje go przebieg tej operacji i z każdą upływającą godziną wydaje się coraz bardziej przekonany, że jej powodzenie jest naszą jedyną szansą wygrania tej wojny.

* Czy jest jeszcze coś, o czym powinienem wiedzieć? Schellenberg ponownie szeroko się uśmiechnął.

* Jeszcze jedna sprawa. Na dowód mojej wiary w Haldera, kazałem już postawić w stan gotowości Skorzeny'ego i jego ludzi. W każdej chwili mogą odlecieć do Kairu.

Kair, godzina 16.30

Kiedy Halder sprawdzał dostarczone mu przez Deacona mundury i podrobione dokumenty, rozległo się pukanie do drzwi i weszła Rachel. Miała na sobie czystą bluzkę i spodnie khaki.

* Czujesz się lepiej? * zapytał.

* Trochę. Spałeś?

* Udało mi się zdrzemnąć kilka godzin.

Sypialnia była mała, z gołą drewnianą podłogą. Znajdowało się w niej żelazne łóżko, przy drzwiach na balkon stało krzesło, a na wiklinowym stoliku w kącie emaliowany dzban i miska. Zapadał już zmierzch, okiennice były otwarte, ciepłe wieczorne powietrze przynosiło do pokoju zapach kwiatów i cykanie świerszczy. Za oknem rozpościerał się wspaniały widok na Nil, oblany pomarańczowym blaskiem zachodzącego słońca. Rachel wyszła na wąski balkon z balustradą z kutego żelaza.

* Czy po powrocie do Niemiec tęskniłeś za Egiptem? Halder dołączył do niej.

* Najszczęśliwsze chwile w życiu spędziłem w Sakkarze. Kiedyś myślałem, że chciałbym tu pozostać na zawsze, bada*jąc ruiny i mieszkając w starym domu z widokiem na Nil. *

I ismiechnął się i głęboko wciągnął powietrze w płuca. * Boże, *.ik dobrze znów odetchnąć kairskim powietrzem.

* Myślisz, że Harry'emu nic się nie stanie?

* Jestem pewny, że jego koledzy już go znaleźli.

* Powinieneś być pozwolić porozmawiać mi z nim ostatni raz, zanim weszliśmy na tódź.

* I co by to dało, Rachel? Poza tym nie było na to czasu. Rachel westchnęła i skuliła się. Halder zapytał:

* O co chodzi?

* Mam dziwne wrażenie, że teraz będzie coraz gorzej. Powiedziałeś mi, że proszę Harry'ego, żeby się w to nie mieszał, ale odmówił. Przeraza mnie myśl, że możecie stanąć przeciwko sobie. A nie wątpię, że jego zwierzchnicy będą domagać się,

aby nas złapał. Jestem pewna, że znalazł się w sytuacji bez wyjścia, tak samo jak ty.

Staram się o tym nie myśleć * rzekł z przygnębieniem

Halder. * I tak trudno mi pogodzić się z tym, że on nas ściga. Nie chciałbym, aby któryś z nas musiał stanąć wobec konieczności wyboru między obowiązkiem a przyjaźnią.

Zmieniając temat, Rachel wskazała na leżący na łóżku mundur kapitana amerykańskiej armii.

* Po co to? Na bal kostiumowy w hotelu „Shepherd”?

* Niezły pomysł. * Halder wrócił do pokoju i wepchnął mundur do worka. * Czeka mnie mała robótka z Kleistem i naszym gospodarzem. * Pewnie wrócimy późno, więc nie czekaj na nas.

Rachel podeszła do niego.

* A co z pozostałymi?

* Doring i nasz przyjaciel Hassan będą na zmianę stać na warcie.

Rachel przygryzła wargę, na jej twarzy pojawił się strach.

* Nie podoba mi się, że zostanę z nimi sama. Czuję się przy nich nieswojo.

* Będziesz zupełnie bezpieczna. Nie otwieraj drzwi, gdyby jednak ktoś cię niepokoił... * Wyjął z kieszeni pistolet Falconiego i podał jej. * Użyj go, a ja będę się martwić o konsekwencje.

Zadrżała i oddała mu broń.

* Nie lubię broni. Nigdy nie lubiłam.

* Nieważne. Zostawię go na wszelki wypadek. * Rzucił pistolet na łóżko. * Jest coś, o czym chciałbym porozmawiać. Chodzi o twojego ojca.

Spochmurniała.

* Co... co masz na myśli?

* Schellenberg powiedział mi o odkryciu w Gizie. Przyznaję, że wtedy w Sakkarze zastanawiałem się, co porabia profesor, kiedy wraca rano, wyglądając tak, jakby przez całą noc był na nogach. Czyżby to były jakieś ryzykowne, nielegalne przedsięwzięcia, o których nie poinformował egipskich władz?

Rachel zaczerwieńiła się, a potem odparła stanowczo:

* Były ważne powody, dla których ojciec trzymał swoją pracę w sekrecie.

* Jakie?

* Nadchodziła wojna. Egipcjanie byli proniemieccy. Gdyby Egipt padł, ostatnią rzeczą, jakiej ojciec by sobie życzył, było to, aby jego ewentualne odkrycia znalazły się w rękach na*

zistów.

* A co właściwie odkrył?

* Prawie dwustumetrowy korytarz, w większości wiodący przez naturalne jaskinie, prowadzący do nieznanego grobowca

dostojnika z okresu drugiej dynastii. Ojciec uważał, iż tunel pierwotnie był zamieszkały przez rzemieślników i kamieniarzy pracujących przy budowie piramid. Korytarz najwidoczniej został przedłużony przez nich lub rabusiów grobów, którzy zamierzali dotrzeć do piramidy Cheopsa i ukraść znajdujące się w niej kosztowności, ale pomylili się i natrafili na grobowiec dostojnika.

Halder zmarszczył brwi.

* W czasach faraonów ten teren był z pewnością pilnie strzeżony. Dlatego kopali w tak dużej odległości?

Rachel skinęła głową.

* W tunelu znaleźliśmy sporo cennej biżuterii i skarabeusze, prawdopodobnie porzucili to wszystko rabusie, zanim zostali schwytani i zabici przez strażników. Ich ciała pozostawiono u wylotu tunelu, a potem ponownie go zasypano... widocznie jako ostrzeżenie dla innych. Szkielety, czy raczej to, co z nich zostało, nadal tam były.

* Nie rozumiem, co twój ojciec robił w Gizie? Przecież prowadził poszukiwania w Sakkarze.

* Pewien niemiecki profesor nazwiskiem Braun domyślał lic istnienia tunelu i w tajemnicy przeprowadził wstępne poszukiwania, kilka miesięcy przed przewidywanym wyjazdem moich rodziców z Egiptu. Braun był dawnym kolegą ojca i powiedział mu o swoim odkryciu, ale zanim zdążył dokończyć prace, został wezwany do Niemiec i powołany do wojska. Ojciec rdołał uzyskać od władz pozwolenie na kontynuowanie prac Brauna, jednak nic nie powiedział im o tunelu.

* Schellenberg twierdził, że korytarz prowadzi w kierunku hoteleu „Mena House”. Czy to tam, zdaniem twojego ojca, znajdowały się kiedyś kwatery robotników? Skinęła głową.

Mniej więcej. Dlaczego pytasz?

Nie mogę ci dokładnie wyjaśnić, ale będę musiał obejrzeć ten tunel. Czy pamiętasz, gdzie dokładnie znajduje się wejście? Tak, oczywiście.

Czy trudno będzie się do niego dostać? Niezbyt trudno. Ojciec ponownie je zakopał, ale jest tak llohize ukryte, że nikt nie podejrzewałby jego istnienia.

Dobrze. Opisz mi dokładnie to miejsce, zanim tam pójde.

Czy to, co zamierzasz zrobić, jest niebezpieczne?

* Raczej nie, ale nigdy nie wiadomo. Chcę tylko przeprowadzić krótki rekonesans, a także sprawdzić, czy zdołam odnaleźć ten tunel i wejść do niego.

* Zabierz mnie ze sobą, Jack * poprosiła. Halder odmownie potrząsnął głową.

* Po pierwsze, szuka nas policja i wojsko. Nie chcę ryzykować.

* Potrafię zatroszczyć się o siebie.

* Zauważyłem.

* Zaczynam też podejrzewać, że przynoszę ci szczęście. Uśmiechnęła się, pochyliła i szybko pocałowała go w usta.

Natychmiast zareagował, przyciągając Rachel do siebie. Poczł miękkość jej piersi pod bawełnianą bluzką, gdy znalazła się w jego ramionach, mocno go całując. Zaśmiał się.

* A to za co, do licha?

* Czy musi być jakiś powód?

* Nie, ale pomyślałem, że może być.

* Weźmiesz mnie ze sobą? Proszę. Człabym się bezpieczniej, niż zostając tutaj. I pomogę ci szybciej odszukać wejście.

* Chyba nigdy nie potrafiłem odmówić pięknej kobiecie.

Abu Sammar, godzina 16.00

Tego samego dnia po południu Achmed Farnad gorączkowo uwijał się w szopie. Pot spływał mu po twarzy. Otworzył kłapę skrytki i złapał lugera, a potem wyciągnął radiostację i akumulator.

Do wioski wjechały dwie ciężarówki brytyjskich żołnierzy, którzy przetrząsali każdy dom i lepiankę. Nie było sensu kusić losu, więc zamierzał zakopać radiostację na pustyni i pozbyć

się pistoletu.

Mafouz już czekał z wózkiem zaprzężonym w osła. Achmed załadował radiostację i akumulator na wózek, a potem pośpiesznie nakrył je starym workiem i obłożył kilkoma kawałkami złomu.

* Wiesz, co masz robić, Mafouz. Bądź ostrożny, synu.

Ruszaj, już!

Gdy chłopiec wyprowadzał osła, Achmed zobaczył nadbiegającą żonę. Kury w panice uciekały spod jej nóg.

* Achmedzie! Nadchodzą żołnierze...!

Krew ścięta mu się w żyłach. Na podwórko wpadł brytyjski oficer z kilkoma żołnierzami. Za nimi szła Safa, chuda stara akuszerka, podtrzymywana przez dwóch innych żołnierzy. Oficer trzymał w ręku rewolwer i zmierzał prosto do szopy. Safa oskarżycielsko wskazała palcem na Achmeda.

* To on. To ten!

* Zdradliwa suka! * prychnął Achmed. Z przerażeniem uświadomił sobie, że nadal trzyma w ręce lugera. Zanim zdążył go odrzucić, jeden z żołnierzy wrzasnął:

* Ten sukinsyn ma broń!

Huknął strzał, Achmed poczuł straszliwy ból w boku, przycisnął dłoń do rany i osunął się na ziemię. Jego żona i syn zaczęli przeraźliwie krzyzczeć, a żołnierze wymierzili w nich lufy karabinów.

* Sprowadźcie sanitariusza! * zawołał oficer. * Chcemy go mieć żywego.

Achmed był jeszcze przytomny, gdy żołnierze doskoczyli do niego, żeby udzielić mu pierwszej pomocy. Potem zobaczył, jak oficer szarpie za worek i zrzuca złom z wózka, odsłaniając ukrytą radiostację.

* Achmedzie Farnadzie, aresztuję cię pod zarzutem współ*pracy z agentami wroga.

Rozdział 55

Rzym, godzina 16.30

Kapitan Willi Neumann był bardzo zaniepokojony i zmartwiony.

Był małym, krępy dwudziestosześcioletkiem o rumianej twarzy, ale teraz wyglądał na znacznie starszego. W przeciwieństwie do swego ojca i trzech pokoleń jego przodków, którzy odpowiedzieli na zew morza, on zaraził się pasją latania i w wieku siedemnastu lat zaciągnął się do Luftwaffe. Miał za sobą trzy tury lotów transportowymi junkersami nad Rosją, we wszelkich możliwych warunkach pogodowych, podczas których piloci sowieckich myśliwców i artylerzyści dział przeciwlotniczych ze wszystkich sił starali się strącić go z nieba. Dopisywało mu jednak niesamowite szczęście i tylko raz odłamek szrapnela trafił go w lewe udo, powodując lekką ranę, która wymagała zaledwie pół tuzina szwów.

Tego popołudnia na lotnisku Practica di Marę zastanawiał się, czy to szczęście go nie opuści. Już sam przelot i lądowanie na terytorium wroga będzie wystarczająco trudnym zadaniem, a ostatnie prognozy jeszcze powiększały niepokój Neumanna. Jako starszy stopniem dowodził dwiema załogami, mającymi pilotować dwie dakoty, którymi Skorzeny i jego spadochroniarze mieli polecieć do Egiptu. Już raz brał udział w takiej operacji. Wtedy w samym środku zimy przewiózł pułkownika oraz dwa tuziny jego żołnierzy za linię wschodniego frontu i był głęboko przekonany, że to kompletny szalaniec, nawet jeśli brawurowe odbicie Mussoliniego uczyniło go bohaterem. Nie miał pojęcia, co, do diabła, pułkownik oraz jego ludzie, poprzebierani w amerykańskie mundury, zamierzają robić w Kairze. Kazano mu

ich przewieźć, a reszta to nie jego interes * w przeciwieństwie do pogody i bezpieczeństwa załóg.

Trzymając w ręce prognozy pogody, stał przed hangarem razem z pułkownikiem. Znad odległego o niecały kilometr morza wiał zimny wiatr, słońce jeszcze jasno świeciło, lecz już zaczynało obniżać się i wkrótce miał zapaść zmierzch. W hangarze niecierpliwie czekali piloci samolotów i spadochroniarze Skorzeny'ego, ludzie czynu, dla których najgorsza była bezczynność.

* Wygląda na to, że mamy problem, panie pułkowniku. Skorzeny spojrzał na niego. Przy olbrzymim pułkowniku

Neumann wydawał się karzełkiem.

* O co chodzi?

* Prognozy wskazują na możliwość występowania gęstych mgieł nad całą tą częścią włoskiego wybrzeża w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Jeżeli są dokładne, warunki mogą być naprawdę ciężkie. Widoczność będzie niewielka. A kiepska widoczność, jak pan wie, może utrudnić start i lądowanie.

* Nie obchodzi mnie lądowanie, tylko start, Neumann * odparł szorstko Skorzeny. * Chyba można wystartować nawet w gęstej mgle?

Neumann wzruszył ramionami.

* Moje załogi mogą wystartować nawet po omacku, nie w tym problem. I dość dobrze znamy te dakoty, bo ćwiczyliśmy na nich w specjalnej jednostce operacyjnej w Berlinie. Dwaj moi oficerowie nawet latali na nich dla linii lotniczych przed wojną. Chodzi o bezpieczeństwo i stopień ryzyka. Jeżeli nad lotnisko nadciągnie gęsta mgła, możemy mieć poważne kłopoty podczas startu lub zaraz po nim, gdyby w którejś

z maszyn nawalił silnik czy cokolwiek innego.

* Przecież te maszyny mają elektroniczny system wspomagania lądowania?

* Ten system nie daje gwarancji bezpiecznego lądowania w razie kiepskiej pogody i konieczności powrotu na lotnisko. Każda maszyna ma określone warunki eksploatacji, które ściśle zależą od pogody i widoczności. Może nie będziemy w stanie dostrzec nie tylko świateł, ale i pasa startowego, a to grozi katastrofą. Nie chciałbym ryzykować lądowania w gęstej mgle, przy zerowej widoczności, nie maszynami pełnymi ludzi i amunicji. To byłoby szaleństwo. A nigdzie w pobliżu nie ma innego

lotniska. Wszystkie lądowiska na południe od Rzymu kontrolują alianci. Poza tym, jeśli wierzyć prognozom, panują tam takie same warunki atmosferyczne.

Skorzeny przesunął potężną dłoń po twarzy i westchnął, a potem zmrużonymi oczami spojrzał na wybrzeże, jakby osobiście oceniał sytuację.

* Nic nie może nas powstrzymać, Neumann. Nawet gęsta mgła. Rozkaz, który otrzymałem z Berlina, wyraźnie nakazuje nam czekać w gotowości. A to oznacza, że w każdej chwili możemy otrzymać rozkaz startu. Wiem, że nie otrzymamy go przed zmrokiem, ale nic na to nie poradzę.

* Mówimy o pogodzie, panie pułkowniku. Podejmujemy ogromne ryzyko, rzucając wyzwanie siłom przyrody. Jeśli coś pójdzie nie tak, życie pańskich ludzi będzie poważnie zagrożone, moich załóg również.

* Rzucę wyzwanie wszystkiemu, co stanie na przeszkodzie tej misji, kapitanie, z siłami natury włącznie. Zrobimy, co do nas należy, i wystartujemy, kiedy będzie trzeba. Mgła czy nie mgła, chcę mieć te samoloty w powietrzu, gdy przyjdzie czas.

* Jednak bezpieczeństwo załóg i pasażerów...

* Wykonasz rozkaz, Neumann * uciął stanowczo Skorzeny, po czym odwrócił się na pięcie i odszedł.

Kair, godzina 18.00

Kiedy Weaver wszedł do biura Sansona, zastał go pogrążonego w rozmowie z jakimś Egipcjaninem o pociągłej twarzy i haczykowatym nosie. Mężczyzna miał głęboko osadzone czarne oczy, nadające mu zbójcecki wygląd, i twarz poznaczoną śladami po trądziku. Miał pod pachą wyświechtaną skórzaną aktówkę i nosił jasne ubranie z krótkimi rękawami. Wydał się Weaverowi dziwnie znajomy, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go już widział. Sanson przedstawił mu swego gościa.

* Poznaj kapitana Yosefa Arkhana z kairskiego Wydziału Zabójstw.

Weaver przypomniał sobie to nazwisko. Kapitan kierował śledztwem w sprawie zabójstwa Mustafy Evira.

* Miło mi pana poznać, pułkowniku * powiedział Arkhan doskonałą angielszczyzną i ucisnął mu dłoń.

* Możesz mi powiedzieć, o co chodzi? * spytał Weaver Sansona.

* Yosef i ja znamy się od dawna. Zanim przeszedł do Wydziału Zabójstw, pracował w tajnej policji, Muhabaret.

Weaver zerknął na Arkhana. Ze swoimi czarnymi oczami i groźnym wyglądem kapitan wyglądał na tajniaka.

* Nie bardzo rozumiem...

* Zaraz zrozumiesz. Siadajcie. * Sanson wskazał im krzesła, a potem skinął na Arkhana. * Powiedz mu, Yosef.

Egipcjanin wyjął z aktówki dwie teczki i zwrócił się do Weavera:

* W trzydziestym dziewiątym roku był pan członkiem międzynarodowej ekspedycji archeologicznej w Sakkarze.

* I co z tego?

Arkhan otworzył jedną z teczek i zaczął czytać.

* Harold Weaver. Obywatel amerykański, urodzony w Nowym Jorku, inżynier. Ojciec, Thomas Weaver, zatrudniony przez bogatą niemiecko*amerykańską rodzinę Halderów jako zarządca ich posiadłości. Kawaler, ale wydaje się żywić platoniczne uczucie do niejakiej Rachel Stern, obywatelki niemieckiej, uczestniczki tej samej ekspedycji archeologicznej. Żadnych znanych nałogów, oprócz sporadycznego spożywania alkoholu. Wydaje się bona fide obywatelem swego kraju, niezaangażowanym w żadną działalność szpiegowską. * Arkhan zamknął teczkę i spojrzał na Weavera. * Mógłbym czytać dalej, jest tu mnóstwo drobnych szczegółów, ale chyba niezbyt interesujących.

Weaver gniewnie spojrzał na Egipcjanina. * Śledziliście mnie. Arkhan wzruszył ramionami.

Tajna policja obserwowała wiele ekspedycji archeologicznych, które przyjeżdżały do mojego kraju. Na pewno zna pan Egipską nazwę, pod jaką znana jest Muhabaret: Czerwone Oko. Takie, które nigdy się nie zamyka. Obserwowaliśmy nie tylko waszą ekipę, ale wielu innych zagranicznych gości... każdego, kto zainteresował lub wzbudził nasze podejrzenia. Lista była długa: niemieccy i włoscy nacierze i biznesmeni, amerykańscy profesorowie naszych uniwersytetów. Nawet dyplomaci. * Arkhan przerwał na chwilę, po czym dodał: * Prawdę mówiąc, nasze ścieżki skrzyżowały się już raz, cztery lata temu. Było to w rezydencji amerykańskiego ambasadora. Na pożegnalnym przyjęciu.

Weaver przypomniał sobie nagle, gdzie widział Arkhana.

* Stałem na werandzie z Rachel Stern. Pan nas obserwował. Arkhan skinął głową.

* Jest pan spostrzegawczy, pułkowniku Weaver, i ma pan dobrą pamięć. Niewielu ludzi pamiętałoby przelotny incydent, który miał miejsce tak dawno temu.

* Dlaczego pan nas śledził?

* Śledziłem nie tylko pana i tę młodą damę. Interesowaliśmy się wieloma uczestnikami tego przyjęcia.

* Nie odpowiedział pan na moje pytanie. Arkhan zawahał się, ale Sanson rzekł:

* Powiedz mu, Yosef.

* Niektórzy ludzie, których wtedy obserwowaliśmy, byli zupełnie niewinni. Inni zdecydowanie nie byli tymi, za których się podawali. Byli szpiegami. Włoskimi, niemieckimi, nawet amerykańskimi. Najczęściej wydalaliśmy ich z kraju. Wśród pracujących w Sakkarze Niemców kilku budziło nasze szczególne zainteresowanie. Należała do nich Rachel Stern i jej rodzice.

* Dlaczego?

* Ponieważ mieliśmy poważne podejrzenia, że są niemieckimi agentami. Gdyby sami nie opuścili Egiptu, z pewnością zostaliby aresztowani.

Weaver spojrzał na Sansona i wykrztusił:

* Nie wierzę...

* Pozwól mu skończyć. Mów dalej, Yosef.

* Młoda dama była dyskretnie śledzona przez dość długi czas. Kilkakrotnie widziano ją w pobliżu instalacji wojskowych, w towarzystwie ludzi, których wielu moich rodaków uważało za szpiegów pracujących dla niemieckiego wywiadu. Jej ojciec w tajemnicy prowadził prace w różnych miejscach, co samo w sobie było nielegalne. Ja jednak sądzę, że wcale nie chodziło mu o archeologię...

* O czym pan mówi?

Arkhan zerknął na Sansona, zanim odpowiedział.

* Wiedzieliśmy, że Niemcy w końcu dokonają inwazji w Afryce Północnej i Egipt stanie się ich głównym celem. Byliśmy przekonani, że zamierzają przygotować tajne składy broni, amunicji, zaopatrzenia i środków łączności, które po wybuchu wojny wykorzystaliby egipska piąta kolumna. Zarówno wśród naszych wyższych oficerów, jak i całego narodu hitlerowcy

nadal cieszą się znacznym poparciem. Uważamy, że zadaniem profesora Sterna było wyszukanie w pobliżu Kairu miejsc nadających się na tajne magazyny.

* Macie na to dowody? Arkhan zawahał się.

* Nie, ale jesteśmy pewni...

* Ci ludzie, z którymi spotykała się Rachel Stern * przerwał mu Weaver. *To mogły być zupełnie niewinne spotkania. Może po prostu zetknęła się z niewłaściwymi ludźmi w niewłaściwym czasie i zaprzyjaźniła się z nimi. Czy to niemożliwe?

* Być może, ale nie wierzę, by...

* Och, niech pan da spokój, kapitanie. Nie wierzę, aby Sternowie byli szpiegami. Ile razy mam to powtarzać? Profesor nienawidził nazistów, a jego żona była Żydówką.

* Jego niechęć do nazistów była z całą pewnością udawana. Natomiast narodowość jego żony to tylko plotka, której nie mogliśmy sprawdzić... * Arkhan urwał, jednak po chwili mówił dalej: *Podejrzewaliśmy także tego drugiego Niemca, Haldera, o szpiegostwo, ale oprócz bliskich kontaktów z panną Stern nie mieliśmy na to żadnych dowodów. Jednego jednak byliśmy zupełnie pewni.

* Czego?

* Przynajmniej czworo członków waszej ekspedycji było nazistowskimi agentami. Co więcej, kilka miesięcy po wybuchu wojny jeden z nich został aresztowany pod zarzutem szpiegostwa i zeznał, że najważniejszy hitlerowski agent na Środkowym Wschodzie działał w Kairze w czasie trwania waszej ekspedycji. Miał pseudonim „Słowik”. * Arkhan spojrzał poważnie na Weavera. * Uważam, że „Słowik” to właśnie Rachel Stern.

Weaver o mało się nie roześmiał.

Na jakiej podstawie pan tak sądzi?

Podpowiada mi to instynkt. „Słowik” była niewątpliwie Najlepszą agentką, jaką mieli Niemcy. Przyłapanie jej na czymś okazało się niemożliwe. Była o wiele za sprytna. Dlatego możemy oprzeć się jedynie na przypuszczeniach.

No i co, Weaver? * spytał Sanson.

Nie kupuję tego. Nie można nikogo oskarżyć na podstawie samych przeczuć.

Arkhan podsunął mu drugą teczkę.

Może nie mamy niepodważalnych dowodów, jednak jak często bywa najważniejszą cechą oficera wywiadu. Mamy

w aktach szczegółowy wykaz osób, z którymi spotykała się ta dama, i miejsc, które odwiedziła. Może zechciałby pan go przeczytać? Mogłoby to panu pomóc zrozumieć nasze podejrzenia.

Weaver nie wziął teczki.

* Nie potrzebuję tego. Równie dobrze jak ja wiecie, że nawet najlepsze raporty mogą prowadzić do fałszywych wniosków. Czy przeczucie nigdy pana nie zawiodło?

* Czasem, ale...

* Tak jest i tym razem. Pomyliliście się również co do mnie.

* Słucham...?

* Urodziłem się w Bostonie, nie w Nowym Jorku. Arkhan wzruszył ramionami.

* To nieistotne. O ile wiem, pana i tę młodą damę łączyło romantyczne uczucie, prawda? * zapytał delikatnie.

* Co to ma z tym wszystkim wspólnego?

* W Egipcie mówimy, że zakochany człowiek potrafi uznać brodawkę za dołeczek w policzku. Uczucia czynią nas ślepyimi na prawdę.

Weaver zignorował tę uwagę. Sanson skinął głową.

* Dziękuję, Yosef. Możesz już odejść.

Kapitan włożył teczki do aktówki, wsunął ją pod pachę i skłonił się uprzejmie.

* Do widzenia panom. Miło mi było pana poznać, pułkowniku Weaver.

Kiedy Egipcjanin wyszedł, Sanson popatrzył na Weavera.

* Arkhan jest dobrym policjantem. Ilekroć musiałem zaufać jego przecuciom, rzadko się rozczarowywałem. Tak jak wtedy, kiedy przyszedł do mnie z morderstwem Evira. Ma w tych sprawach szósty zmysł. Wyczuł, że coś tu jest nie tak. Ale ty mu nie wierzysz, prawda?

* Nie, nie wierzę.

Sanson westchnął i złączył czubki palców obu dłoni.

* Poszukiwania na pustyni przyniosły wreszcie pewien sukces. Tuż przed twoim przyjściem odebrałem telefon od Myersa. Jego ludzie zgarnęli niejakiego Achmeda Farnada, niemieckiego agenta, który prowadził hotelik w Abu Sammar, około trzydziestu kilometrów od Aleksandrii. Został ciężko ranny podczas aresztowania, ale nadal jest przytomny i zdołali coś z niego

wyciągnąć. Najwidoczniej był łącznikiem, mającym nawiązać kontakt z grupą, która przyleciała z Berlina. Mieli spotkać się na pobliskim opuszczonym lotnisku, a potem Farnad miał skierować ich do Kairu. Nie zjawili się na miejscu spotkania, lecz kilka godzin po katastrofie samolotu przyjechali do hotelu dżipem, który ukradli zamordowanemu oficerom. Pięciu ludzi: pilot, trzech agentów i kobieta. Z tego, co mówi Farnad, wynika, że dowodzi nimi Halder. Pilot został ciężko ranny podczas katastrofy i wkrótce zmarł. Tak więc zostaje czworo, jak podejrzewaliśmy.

* Kiedy możemy go przesłuchać?

* To już moja sprawa, Weaver. Chociaż wątpię, czy powie nam jeszcze coś ciekawego, bo pewnie nie ma nawet pojęcia, co zamierzają ci Niemcy. Ale ciebie to już nic nie obchodzi.

* Dlaczego?

* Już nie prowadzisz tej sprawy * oświadczył Sanson. * Nie mogę ufać człowiekowi, który zatracił

zdolność trzeźwej oceny sytuacji.

* Cholera, Sanson, nie możesz mi tego zrobić!

* Już to zrobiłem, za zgodą generała Claytona. Prawdę mówiąc, chciał cię odsunąć od sprawy już podczas naszego popołudniowego spotkania. Poprosiłem, żeby dał ci jeszcze jedną szansę. Myślałem, że zmienisz zdanie po wysłuchaniu relacji Arkhana. Ty jednak byłeś uparty i zignorowałeś moją profesjonalną ocenę sytuacji. Gdybyś ją zaakceptował, mógłbym pozwolić ci nadal prowadzić śledztwo. Natomiast w tej sytuacji nie jestem pewien, czy mogę liczyć na to, że będziesz skutecznie wykonywał swoje obowiązki.

* O czym ty mówisz, do diabła?

* Od początku mówiłem ci, że potrzebuję oficera gotowego spełnić swój obowiązek i wykonywać rozkazy, a w razie konieczności zabić wroga. Nie wiem, czy jesteś na to przygotowany. Ty i twoi przyjaciele stoicie po przeciwnych stronach barykady, a nie ulega wątpliwości, że bardzo poważnie traktujesz tę przyjaźń. Może dojść do konfliktu między lojalnością wobec przyjaciół a obowiązkiem względem ojczyzny. Może byłbyś

skłonny pozwolić im uciec, zamiast oddać ich pod sąd polowy. Nie mogę na to pozwolić. Weaver rozżłościł się.

Całkowicie ignorujesz najważniejszy fakt, Sanson. Nie ma żadnego dowodu na to, że Rachel Stern jest szpiegiem. To tylko plotki i domysły. Zabiłbyś niewinną kobietę.

* To kwestia punktu widzenia. Oskarżenia Arkhana są dla mnie wystarczające, chociaż nie to jest najważniejsze. Twoi przyjaciele i tak już dowiedli swojej winy. Chciałem jednak dać ci szansę, dlatego poprosiłem Arkhana. * Sanson wstał i podniósł czapkę, kończąc spotkanie. * A teraz, jeśli pozwolisz, muszę przesłuchać Farnada.

Weaver odepchnął krzesło.

* Nie możesz mnie tak sptać.

* Decyzja już zapadła.

* Posłuchaj, Sanson...

* Nie mamy o czym dyskutować.

* Więc chociaż zrób dla mnie jedno. Jeśli znajdziesz Haldera i Rachel Stern, przynajmniej pozwól mi z nimi porozmawiać, zanim zacniecie strzelać... pozwól mi ich przekonać, żeby się poddali.

* Widzisz? To tylko potwierdza moje wnioski. Nadal próbujesz ich ratować. Chyba upadłeś na głowę, jeśli myślisz, że będę ryzykował życie moich ludzi, rozmawiając z twoimi przyjaciółmi i prosząc ich, żeby się poddali. Zapomnij o tym, Weaver.

Rozdział 56

Godzina 18.00

Halder prowadził, a Rachel obejmowała go, siedząc na tylnym siodełku motocykla. Oświetlony księżycowym blaskiem trakt był ciemny i wyboisty, pełen dziur i kolein. Halder miał na twarzy gogle, chroniące oczy przed piaskiem pustyni. Pół godziny po wyjeździe z willi dotarli w końcu na przedmieście ruchliwej wioski Nazlat as*Samana u stóp majestatycznego Sfinksa. * No cóż, jesteśmy na miejscu. * Halder zdjął gogle. * Teraz znajdziemy pozostałych.

Wioska była labiryntem zatłoczonych wąskich uliczek, pełnych kramów połykaczy ognia i zaklinaczy węży. Zorientowali się, że właśnie odbywa się w niej jakiś lokalny festyn. Na końcu głównej ulicy zaczynała się szutrowa szosa, która biegła dalej, obok Sfinksa, a na niezbyt odległym wzniesieniu rysowały się sylwetki piramid, doskonale widoczne na tle księżyca.

Gdy Halder powolutku jechał motocyklem przez hałaśliwy, rozbawiony tłum, zauważył dwie grupki amerykańskich żandarmów, zatrzymujących i legitymujących cywilów oraz żołnierzy na przepustce.

To się chyba nigdy nie skończy * rzucił przez ramię do Rachel. * Nie ma sensu szukać kłopotów.

Myślisz, że to właśnie nas szukają? Halder wzruszył ramionami.

Może to rutynowa kontrola, ale wątpię. Jestem pewny, że xxx any i jego kumple przetrząsają cały Kair.

Skręcił w boczną uliczkę, zamierzając ominąć żandarmów, ale zorientował się, że wjechał w ślepy zaułek. Kiedy zawrócił, ujrzał następnego patrol przechodzący główną ulicą.

* Do licha. Lepiej nie pokazujemy się, dopóki nie odejdą.

* A co ze spotkaniem?

* Będzie musiało poczekać. * Kazał Rachel zsiść z motocykla i postawił go na podpórcie. Po drugiej stronie uliczki dostrzegł oświetlone lampą naftową otwarte drzwi. * Na wszelki wypadek sprawdzimy, czy jest stąd jakieś wyjście.

Na końcu korytarza dostrzegł zasłonę z koralików, rozchylił ją i wszedł, a Rachel poszła za nim.

Znaleźli się w małym, oświetlonym blaskiem świec pokoju, w którym unosił się zapach kadzidła. Za koślawym stołem siedziała młoda dziewczyna w bawełnianej sukience i wielkich kolczykach w uszach. Ze znużoną miną przeglądała postrzępiony tygodnik. Kiedy ich zobaczyła, uśmiechnęła się do nich.

* Przyszliście zasięgnąć rady Khalila, wyroczni? Najwyraźniej uznała, że przyszli sobie powróżyć. Halder nawet się nie zająknął.

* Oczywiście * powiedział.

* Proszę tędy.

Gdy dziewczyna prowadziła ich za kolejną zastonę z paciorków, Rachel szepnęła:

* Co ty wyprawiasz?

* Przez chwilę będziemy bezpieczni. Poza tym może dowiemy się, co nas czeka.

* Chyba nie wierzysz w te bzdurne hokus*pokus?

Halder roześmiał się.

* Sam nie wiem. Może coś w tym jest. Faraonowie bardzo

ufali swoim wróżbitom, pamiętasz?

Weszli do następnego pokoiku, oświetlonego blaskiem świec. Na dywanie ze skrzyżowanymi nogami siedział bassara, egipski wróżbita. Był nędznie odzianym starcem o pomarszczonej skórze barwy włoskiego orzecha. Jedno oko miał mlecznobiałe i wpatrzone w pustkę. Przed nim stała mosiężna taca z maleń* * kimi filiżankami, obok na węglowym palniku grzał się dzbanek

z kawą.

* Masz gości, dziadku. Dziewczyna wyszła, a starzec rzekł:

* Przyszliście wysłuchać Khalila? Siadajcie. Usiedli na podłodze.

* Mam przepowiedzieć tylko młodej damie, czy i tobie,

efendf!

* Chyba nam obojgu * uśmiechnął się Halder i rzekł do

Rachel: * Ja pierwszy, jeśli pozwolisz. * Skinął na starca. * Posłuchajmy, co kryje przyszłość, przyjacielu.

Stary napełnił jedną z filiżanek gęstą turecką kawą i podał mu ją.

* Wypij, efendi.

Halder przełknął słodki płyn i oddał filiżankę. Wróżbita obrócił ją w dłoniach i spojrzał na fusy na dnie.

* Efendi przybył z dalekiego kraju, ale i w tym nie jest obcy. Widzę ból i kłopoty w przeszłości, a jeszcze więcej w przyszłości. Będzie szansa odkupienia, jeśli nie ulegnie złu. Jest także kobieta, której bardzo pragnie, lecz będzie musiał wybierać między tym pragnieniem a obowiązkiem.

Halder z uśmiechem odwrócił się do Rachel.

* I co mam na to powiedzieć?

* Jest jeszcze coś * dodał poważnym tonem starzec. * Niedawno umarł ktoś, kogo pan bardzo kochał. * Zawahał się i spochmurniał, a potem potrząsnął głową. * To wszystko, co widzę.

* Nic więcej?

* Przykro mi.

* Teraz twoja kolej * powiedział Halder do Rachel.

* Wolę nie, Jack. To głupie.

* Zgódź się.

Starzec zapewnił z powagą:

* Khalil nie kłamie. Jego dar pochodzi od mistycznej mocy piramid. Odłoni ci przyszłość, jeśli chcesz ją poznać. Wyciągnij rękę, pani.

Rachel usłuchała. Starzec napełnił następną filiżankę i wręczył

jej. Wypiła kawę i oddała pustą filiżankę Khalilowi. Kiedy

przyjrzał się fusom, znów spochmurniał i nagle odstawił naczynie.

* Obawiam się, że Khalil nie może dostrzec w przyszłości

pani niczego, o czym by już nie wiedziała.

Rachel milczała przez chwilę, a potem wzruszyła ramionami i rzekła do Haldera:

Widzisz, mówiłam ci. To wszystko bzdury. Halder położył na stole garść monet, wyprowadził Rachel na zewnątrz i zapalił papierosa.

Wyglądasz nieswojo. Zdenerwował cię? Nigdy nie wierzyłam we wróżby. Nadal nie wierzysz, co? Mimo to jego słowa wydawały się zawierać trochę prawdy.

* Uważasz, że mówił o śmierci twojego ojca, tak? Halder spochmurniał i zadrżał.

* Może, ale kiedy wspomniał o śmierci bliskiej mi osoby, przeszedł mnie dreszcz. Zobaczyłem nie ojca, tylko Pauliego...

Na jego twarzy malował się głęboki smutek i niepokój. Rachel położyła mu dłoń na ramieniu.

* Nie bądź niemądry, Jack. Przypisujesz tej wróżbie zbyt duże znaczenie.

* Może masz rację. Lepiej zaczekaj tu.

Przeszedł zaułkiem i wyjrzał na główną ulicę, po czym wrócił.

* Wydaje się, że jest czysto, więc spróbujmy. Deacon i Kleist na pewno zastanawiają się, co się z nami stało.

Złożył podpórkę, wsiadł na motocykl, poczekał, aż Rachel usadowi się na tylnym siodełku, i ruszył.

Pięć minut później wyjechali z wioski i znaleźli się na szutrowym trakcie, w połowie drogi do piramid. Na poboczu stał zaparkowany samochód Deacona. Kleist siedział obok kierowcy. Halder podjechał do nich i zsiadli z motocykla.

Deacon wysiadł z wozu, ocierając czoło chusteczką.

* Co was zatrzymało, do diabła? Halder ruchem głowy wskazał wioskę.

* Mały problem z żandarmami, których musieliśmy ominąć. A wy mieliście jakieś kłopoty z dostaniem się tutaj?

* Napotkaliśmy po drodze kilka posterunków, ale na szczęście dokumenty zdały egzamin.

* Jest pan gotowy, majorze? * zapytał Kleist. Halder skinął głową.

* Zostawię tu motocykl i dalej pojedziemy razem. Sprowadził maszynę z drogi i ukrył za skałami, po czym razem z Rachel usiedli na tylnym siedzeniu wozu. Gdy wjeżdżali na wzgórze, przed nimi majaczyła ogromna piramida Cheopsa, a po prawej rumowisko kamieni * ruiny kilku grobowców. Zobaczyli czerwono*biały szlaban i drewnianą budkę wartownika. Z cienia wyłonił się obszarpany egipski policjant w czerwonym fezie i sandałach i mignięciem latarki kazał im się zatrzymać.

Kiedy Deacon zatrzymał samochód, Halder rzekł:

* Zostawcie to mnie. * Wysiadł i pokazał strażnikowi swoje dokumenty. * Jestem profesorem kairskiego uniwersytetu.

Policjant z szacunkiem spojrział na papiery, ale nic nie powiedział. Halder zorientował się, że prawdopodobnie nie umie czytać. Nagle za plecami usłyszał jakiś szmer i jak spod ziemi wyrósł przed nim krępy mężczyzna w mundurze sierżanta. Trzymał kciuki zatknięte za pas i najwidoczniej dowodził tym posterunkiem.

* W czym problem, Ali? * zapytał.

* Efendi mówi, że jest profesorem z uniwersytetu w Kairze.

* Pracuje tu kilku moich studentów * powiedział szybko Halder, podając sierżantowi swoje dokumenty. * Musimy sprawdzić z kolegami, jakie czynią postępy. Czy ktoś jeszcze pozostał na stanowiskach?

* Wszyscy poszli do domu, nikogo tam nie ma. * Sierżant popatrzył na nich, przy świetle latarki obejrzał dokumenty i podrapał się po głowie. * Najmocniej przepraszam, profesorze, ale czy nie jest trochę za

późno na taką kontrolę?

Halder uśmiechnął się.

* Nie wtedy, kiedy z samego rana oczekuje się wizyty delegacji z Ministerstwa Ochrony Zabytków. Musimy mieć pewność, że wszystko jest w najlepszym porządku. Na pewno pan to rozumie. Niech pan będzie tak miły i podniesie szlaban. * Wyjął portfel i wsunął sierżantowi do ręki kilka banknotów. * To skromny wyraz mojej wdzięczności za uprzejmość.

Pieniądze natychmiast zniknęły w tylnej kieszeni spodni sierżanta, który nisko się skłonił.

Oczywiście, efendi. Jestem do pańskich usług. * Pstryknął palcami. * Podnieś szlaban, Ali. Policjant pospiesznie skoczył wykonać rozkaz. Halder wsiadł do packarda. Kiedy przejeżdżali pod unie

sionym szlabanem, sierżant stanął na baczność i zasalutował.

Halder uśmiechnął się do Deacona.

Widzi pan, mówiłem. To łatwe. Deacon otarł czoło rękawem.

Miejmy nadzieję, że szczęście nadal będzie nam sprzyjać.

Rozdział 57

Berlin, godzina 19.00

Prowadzony przez szofera mercedes zatrzymał się na wewnętrznym dziedzińcu na tyłach Kancelarii Rzeszy i Schellenberg wysiadł. Nozdrza natychmiast wypełnił mu kwaśny odór, więc zastonił dłonią nos i usta. Nie mógł nie zauważyć paru wielkich, dymiących lejów po bombach ani słupów gęstego czarnego dymu wznoszących się nad zachodnią częścią miasta. W oddali wciąż słychać było brzęk dzwonek straży pożarnej. Po kolejnym nalocie Berlin spowijał całun duszącego dymu i niebo było tak ciemne, jakby nadchodził koniec świata.

Dwaj wartownicy, esesmani z formacji Liebstandarte, będącej gwardią przyboczną Hitlera, w czarnych mundurach i białych rękawiczkach, stanęli na baczność. Schellenberg wszedł do bunkra, gdzie adiutant wziął od niego płaszcz i sprowadził go dwa piętra niżej, do podziemnego gabinetu Fiihrera.

Kiedy wprowadzono Schellenberga do ponurego betonowego pomieszczenia, Hitler chodził tam i z powrotem po pokoju, nerwowo ściskając dłonie.

* I co?

* Przez całe popołudnie osobiście czekałem w centrali łączności głównej kwatery SS i zaraz tam wracam, mein Fuhrer, ale na razie żadnych wiadomości. Jednakże, jak już mówiłem, dopiero w nocy spodziewamy

się wieści od Deacona.

Hitler był głęboko rozczarowany.

* A Skorzeny i jego ludzie?

* Czekają w gotowości. Pułkownik melduje, że w ciągu pięciu minut od chwili otrzymania rozkazu może wystartować do Kairu.

* Dziś po południu alianckie bombowce zniszczyły jeszcze tuzin naszych fabryk i dwa węzły kolejowe.

* Tak, słyszałem, mein Fiihrer. To okropne.

* Okropne? To katastrofa! * Hitler spurpurowiał, na czole i karku wystąpiły mu żyły. * Dziesiątki zniszczonych wagonów, setki zabitych żołnierzy i cywilów, całkowita blokada naszych kolejowych transportów z zaopatrzeniem na front wschodni, wstrzymana produkcja czołgów i uzbrojenia w czterech fabrykach. Jest coraz gorzej, Walterze. Co dzień gorzej. Jeśli tak dalej pójdzie, nasi żołnierze będą musieli walczyć pałkami i kamieniami.

* Jestem pewny, że minister przemysłu zrobi wszystko, aby poprawić sytuację.

* Jeśli nie, każe go powiesić. * Hitler opadł na obity skórą fotel, oddając się rozpacz. * Nadal sądzisz, że ten Halder przedrze się i wykona rozkaz?

* Jestem o tym przekonany.

Hitler zmierzył Schellenberga zimnym spojrzeniem.

* Twój optymizm jest godny podziwu, Walterze. Jeśli jednak operacja „Sfinks” się nie powiedzie, polecą głowy. Może nawet i twoja. Konieczność pozbycia się naszych dwóch śmiertelnych wrogów, Churchilla i Roosevelta, staje się z każdym dniem bardziej paląca. Dziś po południu dwie bomby spadły na Kancelarię Rzeszy. Możesz w to uwierzyć? Oni próbują nas zabić, Walterze. Mnie! Musimy zniszczyć ich pierwsī, zanim wszystkich nas wykończą.

* Całkowicie się z tym zgadzam, mein Fiihrer.

Kiedy dostaniesz wiadomość od Deacona, masz mnie natychmiast zawiadomić. Osobiście. Możesz odejść.

Kair

Godzina 20.00

Weaver wszedł po schodkach do hotelu „Shepherd”, mijając Ubranych w liberie portierów. Znalazł

wolne miejsce pod palmami na frontowym tarasie. Był piątkowy wieczór i na ulicach

panował ożywiony ruch. Zamówił dużą szkocką i siedział nad

nią ledwie zwracając uwagę na przejeżdżające obok hotelu pojazdy.

Conajmniej pół tuzina razy dzwonił do Claytona, ale generał

nie odbierał jego telefonów. Weaver był wściekły i rozczarowany, a kiedy ochłonął z pierwszego zaskoczenia wywołanego widokiem Rachel, ogarnęło go dziwne uczucie. To, że była z Jackiem Halderem, obudziło w nim tak silną zazdrość, że prawie wolałby, żeby Halder nie żył. Czuł się tak, jakby został

ranny.

Obok przeszedł kelner i Weaver zamówił następną dużą szkocką. W ciepłym wieczornym powietrzu alkohol szybko uderzał do głowy, ale nie dbał o to.

* Cześć, Harry.

Zobaczył stojącą obok Helen Kane.

* Mogę się przysiąść?

Zdziwił się i lekko zmieszał na jej widok.

* Tak, oczywiście. Skąd wiedziałaś, że tu jestem? Usiadła na krześle.

* Nie wiedziałam. Wpadłam do ciebie, ale nikogo nie zastałam. Kiedy wracałam do biura, przejeżdżając, zobaczyłam cię tu na tarasie. * Spojrzała na niego ze współczuciem. * Słyszałam o tej historii z Sansonem. Pomyślałam, że może przyda ci się czyjeś towarzystwo. I chciałam przeprosić.

* Za co?

* Za moje zachowanie dziś po południu. Byłam samolubna, myśląc tylko o sobie. Jesteś dobrym człowiekiem, Harry Wea*verze. I jeśli cię to pocieszy, wierzę ci, że Rachel Stern jest

niewinna.

Położył dłoń na jej rękę.

* Przykro mi z powodu tego, co się stało, Helen. Ja po

prostu...

* Niczego nie musisz mi wyjaśniać, naprawdę.

Weaver zmienił temat.

* Mogę spytać, czy Sanson zrobił jakieś postępy? Zaczerwieniła się i powoli cofnęła rękę.

* Chyba nie powinnam ci tego mówić, ale dzwonił sierżant Morris z dowództwa żandarmerii. Chodziło o wykaz skradzionych pojazdów, którego zażądał Sanson. W zeszłym tygodniu ukradziono cztery samochody... wszystkie w ciągu ostatnich pięciu dni, same wojskowe i z tego samego parkingu w Kairze.

* Co to za wozy?

* Dżip i trzy ciężarówki. Sierżant uważa za dziwne, że wszystkie cztery skradziono niemal jednocześnie. Jeszcze jedno.

W tym samym czasie z magazynu skradziono trzy komplety mundurów, dlatego Morris przypuszcza, że kryje się za tym coś więcej.

* Jakich mundurów?

* Żandarmerii polowej. Jeden oficerski, dwa podoficerskie. Sierżant mówi, że chyba ma jakieś informacje dotyczące tej kradzieży.

* Jakie informacje?

* Nie powiedział. Weaver poderwał się.

* I co Sanson na to?

* Jeszcze nie wrócił z Aleksandrii. Zdaje się, że nie dopisało mu szczęście z tym arabskim agentem, którego aresztował Myers.

* Kiedy tu będzie?

* Za godzinę.

Helen Kane dostrzegła błysk w oczach Weavera i powiedziała:

* Jeśli myślisz o tym, co podejrzewam, to daj sobie spokój, Harry. Gdyby Sanson dowiedział się, że robisz coś za jego plecami, oddałby cię pod sąd polowy. * Wstała. * Lepiej już pójdę. Mogę ci coś powiedzieć? Ze względu na ciebie mam nadzieję, że Rachel Stern wyjdzie z tego cało, naprawdę. * I śmiechnęła się dzielnie. * Bądź grzeczny, Harry.

* Helen, zaczekaj... Ale ona już odwróciła się i zbiegła po schodkach.

Deacon zatrzymał packarda w pobliżu zachodniej ściany piramidy Cheopsa. Skąpane w bladym świetle księżycy staro

żytnie cmentarzysko wyglądało naprawdę niesamowicie, z gigantycznymi stożkami piramid wypełniającymi ciemne niebo. Opodal znajdowały się ruiny mniejszych grobowców z masywnych wapiennych bloków.

Kiedy wysiedli z samochodu w aksamitną ciemność, Halder powiedział do Rachel:

Będziesz nas prowadzić. * Potem zwrócił się do Kleista i Deacona: * Weźmy sprzęt z bagażnika. Na razie nie zapalajcie lamp naftowych.

Wyjęli łopaty, kilof, parę lamp naftowych, duży łom, kilka kawałków sznurka oraz dwie manierki z wodą, po czym wszyscy

ruszyli ku skałom. Przeszli po omacku mniej więcej dwadzieścia metrów, zanim Rachel oświadczyła:

* To gdzieś tutaj. Jestem tego pewna.

Wskazała na ruiny jednego z grobowców. Było to szerokie wgłębienie w ziemi, o promieniu około czterech metrów, otoczone rumowiskiem wielkich bloków wapienia. Niektóre były popękane lub potrzaskane i stoczyły się do wgłębienia.

* Ojciec zostawił znak na kamiennym bloku nad wejściem * powiedziała Rachel.

* Jaki znak?

* Dwie równoległe linie wykute w kamieniu.

Zeszli do kotlinki, lecz przy samym księżycu niczego nie mogli dostrzec.

* Musicie mi poświecić * stwierdził Halder.

Kiedy zapalili dwie lampy naftowe i oglądali głązy, nagle Kleist zawołał:

* Czy tego pan szuka, majorze?

Halder i pozostali podeszli do niego. Przy dolnym prawym rogu grobowca leżała sterta gruzu, a nad nią, na jednym z kamiennych bloków tworzących resztki muru, widniały wyrzeźbione dwie równoległe linie.

* To tutaj * oświadczyła Rachel. * Wejście powinno być pod tym gruzem, przykryte kamienną płytą.

Halder wziął łom i odgarnął gruz. Pod spodem zobaczył okrągły kamień, mający około pół metra średnicy i leżący płasko na ziemi. Spróbował podważyć go za pomocą łomu, nie udało mu się jednak.

* Nic z tego. Jest piekielnie ciężki i mocno zaklinowany. * Halder rozebrał się do pasa i odrzucił koszulę. Cały był zlany potem. * Pomóż mi, Kleist.

Esesman dołączył do niego i razem z całej siły naparli na łom, stękając z wysiłku, ale płyta ani drgnęła.

* Przynieś resztę narzędzi i pomóż nam! * zawołał Halder do Deacona.

We trzech zaczęli podważać płytę łomem, łopatą i kilofem, pocąc się w ciemnościach. Wreszcie kamień poruszył się. Kiedy w końcu zdołali go podważyć, przetoczył się z łoskotem, a z dołu buchnął kurz i smród.

Zatkali nosy i czekali, aż odór się rozwieje. Potem Halder poświecił lampą. W skale ziała czarna dziura, tak wąska, dorosły człowiek ledwie zdołałby się przez nią przecisnąć.

* Zdaje się, że dobrze trafiliśmy.

Czując rosnące podniecenie, Halder odwinął trochę sznura i owiązał go wokół jednego z bloków.

* Ja pójdę pierwszy. Deacon, ty lepiej zostań i trzymaj straż. Gdyby ktoś się zjawił, dwa razy mocno szarpnij ten sznurek. Rozumiesz?

* Jak pan każe, majorze.

Halder wziął lampę naftową i przykucnął, po czym obejrzał się na Rachel i Kleista.

* Nadeszła chwila prawdy. Jeśli tam w dole będzie bezpiecznie, pociągnę za sznurek i wtedy pójdziecie za mną.

Przezołgał się pięć metrów klaustrofobicznie ciasnym korytarzem, w zatęchłym powietrzu. Ziemię pokrywała warstwa wapiennych odłamków, a na końcu korytarza znajdowała się wąska, pionowa komora. Panował w niej przyjemny chłód. Halder wstał, otrząsał się i podniósł lampę.

Znalazł się w ciemnym pomieszczeniu, szerokim na około trzy metry. Na środku stał duży kamienny sarkofag, pokryty warstwą brązowego pyłu. Halder przesunął palcami po wieki litarożytny trumny, odstawiając gładko polerowaną powierzchnię, częściowo pokrytą hieroglifami. Podniósł wyżej lampę i powoli rozejrzał się wokół.

Ściany komory były ozdobione jeszcze piękniejszymi hieroglifami, o świeżych i żywych barwach, pomimo upływu wieków. Przez chwilę podziwiał ten wspaniały widok, ale nagle pod jedną ze ścian dostrzegł resztki dwóch szkieletów, spoglądające na niego pustymi oczodołami czaszek. Mimo woli zadrżał.

Pod przeciwległą ścianą przy podłodze grobowca ział szeroki otwór, prowadzący w ciemność. Halder uklęknął i wczołgał się weń. Tunel miał najwyżej dwa metry długości i wiódł do jaskini, komora tworzyła szeroki korytarz o nierównym sklepieniu. Niewątpliwie była dziełem natury i po dziesięciu krokach kończyła się łukowatym przewężeniem. Podeszedł tam, pochylił się i zobaczył, że korytarz biegnie dalej, w mrok.

Wrócił do komory grzebalnej, mocno pociągnął za sznurek i zawołał:

Możecie tu przyjść! Weźcie ze sobą narzędzia, manierki i loi hę.

Po kilku minutach dołączył do niego Kleist, posapujący

i popychający przed sobą łopaty oraz kilof. Za nim podążała Rachel z torbą i manierkami.

* Znalazłeś przejście? * zapytała.

* Tam. * Wskazał na otwór, a potem poświecił na

szkielety.

* Szczątki rabusiów grobów, o których ci mówiłam.

Halder spojrzał na Kleista.

* Niezbyt przyjemne towarzystwo, co? Miejmy nadzieję, że to nie jest zły znak. * Postawił lampę i przyklęknął, szykując się do ponownego wejścia do jaskini. * W porządku, chodźcie ze mną. Zobaczymy, dokąd prowadzi to przejście. Tylko uważajcie.

Po pierwszych dziesięciu krokach dno jaskini na odcinku około sześciu metrów opadało w dół, a potem znów zaczęło się wznosić. Szli po nim bez trudu, między zbiegającymi się i znów rozchodzącymi ścianami. Podczas gdy Kleist trzymał lampę, Halder ostrożnie odwijał sznurek, starając się nie przeciąć go o poszarpane krawędzie skał. Cały czas liczył kroki * kiedy j przeszli prawie dwieście, dotarli do końca tunelu.

Drogę zagroził im ogromny kamienny blok, co najmniej sześciotonowy, tarasujący przejście aż po sufit. Halder poświecił lampą, ale nigdzie nie dostrzegł dalszej drogi.

* Wygląda na to, że zabrnęliśmy w ślepy zaułek * powiedział do Rachel. Jego głos odbił się echem od ścian jaskini.

Wskazała w górę, gdzie stroma ściana bloku stykała się ze sklepieniem.

* Powinieneś obejrzeć skały na górze. Myślę, że tam jest przejście.

Poświecił tam lampą. Rzeczywiście, między górną krawędzią kamiennego bloku i sklepieniem zobaczył stertę gruzu i ziemi.

* Podnieś mnie * rozkazał Kleistowi. Esesman splótł dłonie i podsadził go. Halder przez chwilę ryzykownie balansował na krawędzi głazu, drapiąc butami skałę, zanim znalazł chwyt. * Teraz podaj mi łopatę i spróbuj mi tu poświecić.

Kleist wykonał polecenie, kierując światło lampy w szczelinę, podczas gdy Halder usuwał z niej gruz. Jego twarz i ciało lśniły od potu, a ostrze łopaty migało szybko, gdy usuwał kamienie i glinę. W końcu cała warstwa gruzu osypała się na dół, wypełniając szczelinę duszącym kurzem. Ciepły podmuch musnął ich twarze, poruszając płomykami lamp. Kiedy kurz opadł, Halder zobaczył skalny szyb wiodący w górę, dostatecznie szeroki, żeby można było nim przejść. Otarł pot z czoła.

* Zobaczę, gdzie prowadzi. Zaczekajcie.

Oddał łopatę Kleistowi i zaczął się wspinać. Mocno oparł się plecami o jedną, a nogami o drugą ścianę,

zaciskając ręce na nierównościach skały i podciągając ciało. Po przebyciu trzech metrów dotarł na górę. Zobaczył księżyc, poczuł zapach kwiatów i wyczołgał się na powierzchnię.

Znajdował się w płytkim zagłębieniu, pogrążonym w głębokim cieniu i częściowo otoczonym przez krzaki. Wokół rozpościerał się wypielęgnowany trawnik. W pierwszej chwili Halder zobaczył tylko ciemność, ale potem dostrzegł siatkę odległego o trzydzieści metrów ogrodzenia, pilnowanego przez uzbrojonych amerykańskich i brytyjskich żołnierzy.

Za jego plecami, może sto kroków dalej, wznosił się duży budynek, otoczony rozległym przyszczyżonym trawnikiem, z oknami rozjarzonymi światłami. Rozpoznał hotel „Mena House”. z obłożonego workami z piaskiem stanowiska strzeleckiego na dachu sterczała lufa karabinu maszynowego, a nieco dalej dwie lufy działka przeciwlotniczego, skierowane w niebo. W kilku najwyższych oknach paliły się światła, zauważył też dwa czołgi typu Sherman, stojące przed frontowym wejściem.

W tej samej chwili zza palm wyszli dwaj żołnierze z karabinami i rozmawiając pomaszzerowali przez trawnik. Halder przypuł do ziemi, zaczekał, aż odejdą kawałek dalej, a potem głową naprzód wślizgnął się do tunelu i przecisnął obok głązu z powrotem do jaskini.

* I co? * zapytał niecierpliwie Kleist.

* Zdaje się, że wszystko w porządku.

I Isesman wyraźnie ucieszył się, a Halder zwrócił się do Rachel: * Weź lampę, wróć do Deacona i poczekajcie na nas.

* Już nie jestem potrzebna?

* Nie, zrobiłaś swoje. * Uśmiechnął się i ucisnął jej ramię. * Zobaczymy się później.

Zauważył troskę na jej twarzy.

Cokolwiek zamierzasz zrobić, uważaj na siebie, Jack.

Wzięła jedną z lamp i ruszyła z powrotem tunelem. Halder napił się wody z manierki, nalał trochę na dłoń i umył sobie twarz, po czym rzekł do Kleista:

* Podaj mi worek z mundurami, a potem umyj się. Musimy

jakoś wyglądać.

* Może powie mi pan, co pan tam zobaczył?

Halder zdjął koszulę, wytarł nią sobie twarz i zaczął przebierać się w mundur kapitana.

* Korytarz prowadzi na teren hotelu, mniej więcej sto kroków od głównego budynku * wyjaśnił.

* To niemal zbyt piękne, żeby było prawdziwe * powiedział Kleist.

* Dlatego nie powinniśmy cieszyć się przedwcześnie. Wokół krążą patrole i pamiętaj, że musimy potwierdzić obecność celów w budynku. Nawet jeśli tam są, mamy jeszcze jeden problem: musimy poszerzyć wejście do tunelu i ten przesmyk. Ma przez nie przejść kilkudziesięciu uzbrojonych po zęby żołnierzy, a potem wrócić tą samą drogą.

* To się da zrobić * stwierdził Kleist, coraz bardziej podekscytowany. * Może pan być tego pewien.

* Zobaczymy. * Halder skończył przebierać się w mundur i zapiął guziki. * Lepiej zgaś lampę, zanim zaczniemy wychodzić, żeby nikt nie zobaczył błysku światła. Gdyby coś poszło nie tak i gdybym nie wrócił, spróbuj dotrzeć do pozostałych i wycofajcie się jak najszybciej. I jeszcze jedno... * dodał po chwili.

* Nie rób krzywdy tej kobiecie, rozumiesz, Kleist? Jeżeli nie wrócę, po prostu pozwól jej odejść. Musisz mi to obiecać. Zrobiła więcej, niż musiała, i nie zasłużyła na to, żeby

zginąć.

Kleist uśmiechnął się, kończąc zakładanie munduru.

* Skoro tak pan uważa, majorze. Jednak jestem pewny, że pan wróci. Zdaje się, że ma pan po co, prawda?

Halder popatrzył na niego w milczeniu, po czym włożył

czapkę.

* Podsadź mnie.

Kleist ponownie złączył dłonie. Halder wdrapał się na głaz, a potem pomógł wejść esesmanowi. Po chwili zgasił lampę i jaskinia zatonęła w ciemnościach. Ponownie zaczął wspinać się szybem, a Kleist podążył za nim.

Rozdział 58

Halder leżał na brzuchu w krzakach porastających kotlinkę. Trwał w tej pozycji już kilka minut, obserwując otoczenie. Nigdzie nie widział tamtych dwóch wartowników, ale za jego plecami żołnierze wciąż patrolowali teren. Kiedy upewnił się, że wokół nie ma nikogo, szepnął do Kleista:

* Możesz teraz wyjść.

Po chwili esesman wygramolił się z otworu.

* Nie podnoś się * polecił mu Halder i dał Kleistowi kilka sekund na oswojenie się z otoczeniem. * Pójdziemy do frontowych drzwi hotelu. Powoli i spokojnie, jakbyśmy byli na spacerze.

* A co potem? Halder otrzepał mundur.

* Zobaczmy, co przyniesie los. Jeżeli nie stracimy głowy, nie powinniśmy wzbudzić żadnych podejrzeń, ale wartownicy na pewno mają umówione hasła, co utrudnia nam zadanie. Dlatego trzymaj broń w pogotowiu, na wypadek, gdyby ktoś nas okrzyknął.

Poszli w kierunku frontowych drzwi hotelu. Panował tam t ożywiony ruch, co chwila przyjeżdżali lub odjeżdżali łącznicy na motocyklach. Po obu stronach drzwi i na schodach stali

żandarmi w białych hełmach, a przy wejściu ustawiono stolik,

przy którym siedział oficer z kapralem, sprawdzający dokumenty

każdego wchodzącego. Na trawniku naprzeciw wejścia stały

dwa shermany. Czołgisci siedzieli na pancerzach, paląc papierosy

i rozmawiając. Halder ruszył ku nim. Młodszy sierżant

zauważył nadchodzących i zsalutował.

* Spocznij, sierżancie, macie ogień?

* Jasne, panie kapitanie * odparł tamten.

Pogmerał w kieszeni i wyjął paczkę zapalek. Halder niespiesznie zapalił papierosa, obserwując wejście. Cały teren był pilnie strzeżony, wartownicy pojedynczo lub parami krążyli po ogrodzie. Nie było sposobu niepostrzeżenie dostać się do budynku. Halder oddał żołnierzowi zapalnik.

* Jak się nazywacie, sierżancie?

* Grimes, panie kapitanie.

* Skąd jesteście, Grimes?

* Ze Speedweł w Tennessee, panie kapitanie. Halder uśmiechnął się.

* I jak się czuje chłopak z Tennessee, pilnując prezydenta Stanów Zjednoczonych i premiera Wielkiej Brytanii?

Żołnierz zaśmiał się.

* Uważam to za zaszczyt, panie kapitanie.

* Powtórzcie to sobie, żebyście o tym nie zapomnieli.

* Tak jest, panie kapitanie. * Sierżant sprężył się zsalutował, a Halder oddał honory i razem z Kleistem odszedł od czołgów. Esesman odetchnął z ulgą i uśmiechnął się w ciemności.

* Muszę to panu przyznać, Halder, ma pan nerwy jak

postronki. A w dodatku bystry z pana gość.

* Gdyby tak było, nie dałbym się w to wpakować. Nadal nie mamy pewności, czy Roosevelt i Churchill tu są. Musimy

się upewnić.

* Chce pan powiedzieć, że zamierza pan spróbować wejść

do hotelu?

* A jak inaczej możemy potwierdzić ich obecność?

* A jeśli nas złapią? Cały plan legnie w gruzach.

* Musimy zaryzykować. Naprawdę nie ma innego wyjścia. Pamiętaj, swobodnym krokiem i nie próbuj sięgać po pistolet, dopóki ci nie powiem.

Powoli przeszli po jednej z obramowanych rabatami ścieżek, przecinających ogród. Na trawnikach przed drzwiami rozmieszczono obłożone workami z piaskiem stanowiska karabinów maszynowych, a za hotelem w bladym świetle księżyca stały rzędy namiotów, dziesiątki ciężarówek i półciężarówek, wokół których w ciemnościach krążyli żołnierze.

* Ochrona jest szczelniejsza niż wokół Wilczego Gniazda * stwierdził z przygnębieniem Kleist.

* Idź dalej i wypatruj jakiejś szczeliny w tym pierścieniu. Musimy jakoś tam wejść.

Przeszli na tyły hotelu. Wszędzie napotykali ten sam widok: wartownicy i stanowiska strzeleckie, następne działko przeciwlotnicze i gniazda karabinów maszynowych na dachu. Kiedy zbliżali się do służbowego wejścia, Halder zauważył zaparkowaną tam ciężarówkę dostawczą. Dwaj żołnierze w polowych mundurach wyładowywali skrzynie z zaopatrzeniem i wnosili je do kuchni, pilnowani przez uzbrojonego kaprała z notesem. W środku panował ożywiony ruch, wojskowi kucharze i żołnierze uwijali się w obłokach pary, a z drzwi buchała fala gorąca.

Halder przystanął. Kleist zdawał się czytać w jego myślach.

* I co pan o tym sądzi?

* Spróbujmy. Esesman miał wątpliwości.

* Jest pan pewny?

* Niczego nie jestem pewny, więc osłaniaj mnie. Poza tym zamknij się i rób, co mówię. * Halder śmiało podszedł do kaprała nadzorującego rozładunek. * Co tu się dzieje? * zapytał.

Podoficer zasalutował.

* Dostawa zaopatrzenia, panie kapitanie.

Halder złapał za ramię jednego z przebiegających obok żołnierzy.

* Sprawdziliście dokumenty tego żołnierza, kapralu?

* Zostały dokładnie sprawdzone przy wjeździe, panie kapitanie. Niic. Nikt nie dostanie się tu bez...

* Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, kapralu, ale nie o to pytałem. Sprawdziliście je?

Podoficer poczerwieniał.

* Nie, panie kapitanie. Nie widziałem takiej potrzeby.

* Nie widzieliście potrzeby? * wybuchnął Halder. * Przez takie niedbalstwo możemy przegrać tę wojnę, kapralu. A co ze

skrzyniami na ciężarówce?

One też zostały sprawdzone przy bramie, panie kapitanie. I to wam wystarczy, tak? * Halder sarkastycznie uniósł brew i spojrzął ostro na obu żołnierzy. * Pokażcie mi wasze dokumenty.

zasalutowali i podali mu dokumenty. Halder uważnie je obejrzał.

* W porządku. * Oddał je kapralowi. * W przyszłości macie dwa razy sprawdzać każdego, kto tu wchodzi. A także ładunek każdego samochodu dostawczego. Poczynając od tego. Czy to jasne, kapralu?

* Tak jest, kapitanie.

Halder podszedł do kuchennych drzwi i warknął do Kleista:

* Zostańcie tu, sierżancie, i dopilnujcie, żeby ten samochód dokładnie przeszukano, a ludzi sprawdzono. Chcę mieć pewność, że nikt nie prześlizgnie się obok tego idioty.

* Tak jest, panie kapitanie.

* Daję słowo, że... * zaczął zmieszany kapral, lecz Halder go zignorował i ruszył do kuchni.

Godzina 20.30

W dowództwie żandarmerii panował tego wieczoru ożywiony ruch. Weaver zapytał dyżurnego o sierżanta Morrisa. Żandarm pojawił się po dziesięciu minutach * był to krępy mężczyzna

o zmęczonych oczach.

* Przepraszam, że kazałem panu czekać, panie pułkowniku. W czym mogę pomóc?

Weaver pokazał mu legitymację.

* Chodzi o wiadomość, którą przekazał pan do biura pułkownika Sansona, dotyczącą kilku skradzionych pojazdów

i mundurów.

Sierżant podrapał się po głowie.

* Przyszedł pan nie w porę, panie pułkowniku. Mam roboty po uszy. Czy to pilna sprawa?

* Bardzo. Sierżant westchnął.

* Trudno, proszę do mojego biura, panie pułkowniku.

Poprowadził go korytarzem do dużej sali pełnej biurek i maszyn do pisania, przy których siedzieli zaabsorbowani podoficerowie. Usiadł przy jednym z biurek, odszukał teczkę i przejrzał jej zawartość.

* Dwie dziesięcotonowe, kryte brezentem ciężarówka Ford, dżip i trzy mundury żandarmerii polowej. Wszystko to skradziono z magazynów obozu Huckstep w ciągu ostatnich pięciu dni. Wolno spytać, dlaczego tak to pana interesuje, panie pułkowniku?

* To ściśle tajne * odparł krótko Weaver. * Zdaje się, że ma pan jakieś informacje dotyczące tej kradzieży?

* Pomyślałem, że jeśli pułkownik Sanson ma jakieś poszlaki, moglibyśmy pomóc sobie wzajemnie. Jest ktoś, kto naszym zdaniem może być w to zamieszany, ale nie mamy na to żadnego dowodu.

* Pułkownik też nie ma. Głównie interesuje nas cywilny lub wojskowy samochód osobowy. Kim jest ten podejrzany?

* Sierżant brytyjskiej armii, Wally Reed. „łysy” dla przyjaciół. Jest pisarzem w kwatermistrzostwie. Uważamy, że to on jest odpowiedzialny za szereg kradzieży w naszych magazynach... od ropy naftowej po artykuły przeznaczone do mesy oficerskiej. Tyle że jak do tej pory niczego nie możemy mu udowodnić.

* Przecież Reed jest brytyjskim żołnierzem, a skradzione ciężarówka, dżip i mundury były własnością amerykańskiej armii?

Sierżant uśmiechnął się.

* To łatwo wyjaśnić, panie pułkowniku. Reed ma spółkę z magazynierem w obozie Huckstep. Jeśli mają niedobory w częściach samochodowych lub sprzęcie, pomagają sobie wzajemnie. Remanenty niczego nie wykazują.

* Dlaczego uważa pan, że Reed może być odpowiedzialny za tę kradzież?

* Od pewnego czasu mam go na oku. Wasi żandarmi przeprowadzili śledztwo i odkryli, że odwiedził obóz Huckstep właśnie w dniu, w którym znikł dżip i mundury. A także ciężarówka. Przesłuchali personel

magazynów i niczego się nie dowiedzieli, ale słyszeli, że Reed mógł maczać w tym palce, Choć nie ma na to dowodu. Nikt nie widział go kradnącego iprzęt... prawdopodobnie kazał to zrobić personelowi magazynu i zapłacił im, żeby siedzieli cicho. Po pewnym czasie człowiek wyczuwa takie rzeczy, więc jestem przekonany, że to jego sprawka, ale ten „Łysy” to sprytny gość. Trudno będzie go złapać na gorącym uczynku. Musimy go przyłapać albo zdobyć 1/2 lowody jego udziału w kradzieży.

* Co robi ze skradzionym towarem? Sierżant wzruszył ramionami.

* Pewnie sprzedaje go na czarnym rynku. W Kairze takie transakcje są na porządku dziennym. Jeśli czegoś nie przybije

się gwoździami, natychmiast dostaje nóg. Nie sądzę, żeby te

informacje mogły w czymś panu pomóc, panie pułkowniku. Mówił pan, że szuka pan samochodu osobowego? Weaver zmarszczył brwi.

* Owszem, ale to wydaje mi się o wiele ciekawsze. Jak pan sądzi, po co komuś wojskowe pojazdy?

Sierżant znów podrapał się po głowie.

* Właśnie w tym rzecz, panie pułkowniku. Dlatego zadzwoniłem do pułkownika Sansona. Arabowie nie ryzykowałiby handlu takim towarem. Wojskowej ciężarówce nie da się przemalować. Dżipa też nie. Nie nadają się nawet na części. A najbardziej dziwią mnie te mundury.

* Może czas przesłuchać sierżanta Reeda.

* Teraz, panie pułkowniku? * zaprotestował sierżant. * Przecież nie mam żadnych dowodów. Jeśli spróbuję go przycisnąć, może wymknąć mi się z rąk.

Weaver wstał.

* Teraz, sierżancie. Wyjaśnię wszystko po drodze. To może być kwestia życia i śmierci.

Halder nie zatrzymywany przeszedł przez kuchnię i zatrzymał się przed wahadłowymi drzwiami na jej końcu. Za nimi ujrzał jadalnię, w której siedziało kilkadziesiąt oficerów, obsługiwanych przez całą zastęp żołnierzy. Drzwi otworzyły się i wszedł przez nie szeregowiec z tacą brudnych naczyń.

Halder zszedł mu z drogi i rozejrzał się za innym wyjściem. Po prawej zobaczył otwarte drzwi, a za nimi wąską klatkę schodową ze schodami wiodącymi na górę. Wszedł po nich i znalazł się na korytarzu pierwszego piętra. Po obu stronach znajdowały się drzwi do pokoi. Na końcu korytarza zobaczył pusty hol. Stały w nim obite skórą kanapy i fotele, a całe pomieszczenie było urządzone w stylu egipskiego domku myśliwskiego, z licznymi trofeami na ścianach. Z sufitu zwieszał się ogromny żyrandol, a szerokie schody wiodły w dół, do recepcji. Właśnie wchodzili po nich dwaj wyżsi oficerowie.

Zasalutował im, zaczekał, aż znikną w głębi korytarza, po czym wszedł na drugie piętro. Na końcu korytarza dostrzegł dwóch żandarmów i paru dobrze zbudowanych mężczyzn w cywilnych ubraniach, którzy stali przed drzwiami jednego z pokoi. Zanim zdążył zrobić następny krok, z pokoju po drugiej

stronie wyszedł amerykański generał z walizką w ręku.

Kiedy Halder zasalutował, generał zmarszczył brwi, uważnie mu się przypatrując.

* Jak się pan nazywa, kapitanie?

* Kowalski, panie generale.

* Wygląda mi pan znajomo. Widzieliśmy się już?

* Przysłano mnie z obozu Huckstep, panie generale.

* Naprawdę? * Generał uniósł brwi. * Proszę natychmiast zejść ze mną do holu.

Zanim Halder zdążył coś powiedzieć, generał ruszył po schodach. Po chwili przystanął i obejrzał się na Haldera.

* No, na co pan czeka, kapitanie? Jest pan głuchy?

* Nie, panie generale * odparł Halder.

Ruszył za nim, nie wiedząc, czego się spodziewać. Z mocno bijącym sercem rozpiął kaburę pistoletu, gotów go zastrzelić, jeśli będzie musiał. Kiedy dotarli do holu, generał podszedł prosto do dyżurnego oficera, który właśnie odkładał słuchawkę telefonu polowego.

* No i jak, majorze? * spytał go krótko.

* Już jadą, panie generale. Właśnie podjechali do bramy. Generał skinął na Haldera.

* Chodźcie za mną, Kowalski.

Zaniepokojony Halder przeszedł za nim przez hol i wyszedł przed frontowe drzwi. Na widok generała przed hotelem zaczął się ożywiony ruch. W powietrzu niemal wyczuwało się napięcie. Wartownicy w białych hełmach prezentowali broń, a czołgści wskoczyli do wieżyczek i zasalutowali.

Po chwili na podjazd wjechał czarny packard i dwa ford. generał obciągnął mundur, poprawił czapkę i powiedział do Haldera:

* Kapitanie, niech paru ludzi podstawi tu rampę i przytrzyma ją. I zróbcie to sprawnie.

Halder ledwie go słyszał, tak bardzo był podniecony. Gdy kawalkada wozów podjechała bliżej, ledwie mógł uwierzyć własnym oczom. W środkowym samochodzie siedział prezydent I ranklin Delano Roosevelt w jasnym Inianym garniturze, z nocami okrytymi kocem. Wyglądał na słabego i wyczerpanego.

* Kapitanie Kowalski! * warknął generał, gdy samochody podjechały jeszcze bliżej. * Nie słyszałeś rozkazu, człowieku?

podstawcie tę cholerną rampę, biegiem!

Halder przez chwilę był zupełnie zdezorientowany i o mało

nie wpadł w panikę, ale nagle zauważył obok drewnianą po

chylnię na kołach. Dwaj żandarmi już zareagowali na rozkaz generała i sprawnie podtaczali ją do schodów. Halder natychmiast dołączył do nich i z ulgą stwierdził, że żołnierze doskonale

wiedzą, co mają robić.

* Słyszeliście, co powiedział generał. Szybko!

* Oczywiście, kapitanie * odparł sucho jeden z nich, jakby miał do czynienia ze zwierzchnikiem*idiotą. *
Panujemy nad

sytuacją.

Generał spopielił Haldera spojrzeniem.

* Boże Wszechmogący, Kowalski! Zawsze tak długo trwa,

zanim wydacie rozkaz?

Halder nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ zaledwie pochylnia znalazła się na swoim miejscu, pojazdy zatrzymały się na żwirowym podjeździe. Z packarda wyskoczyło kilku młodych mężczyzn w cywilnych ubraniach z pistoletami maszynowymi Thompsona i śrutówkami, natomiast z pozostałych wozów wysiedli wyżsi oficerowie w mundurach i z teczkami w rękach. Agenci Secret Service z wojskową precyzją zajęli pozycje, a dwaj z nich pomogli wysiąść prezydentowi. Inny agent otworzył bagażnik i wyjął wózek inwalidzki, na którym usadowiono Roosevelta, wygodnie układając jego chude nogi w metalowych szynach. Generał zasalutował. * Panie prezydencie.

Halder obserwował, jak agenci żwawo pchają wózek z prezydentem po pochylni. Kiedy wjechali na górę, wózek podskoczył, wjeżdżając na podest, i koc zsunął się z nóg Roosevelta. Jeden z agentów chciał go podnieść, lecz Halder odruchowo pochylił się i uprzedził go. Podał koc adiutantowi, który okrył nim nogi prezydenta. W następnej chwili Halder spojrzał prosto w oczy

Roosevelta.

* To bardzo uprzejmie z pana strony, kapitanie * powiedział prezydent.

* Drobiazg, panie prezydencie.

* Jak się nazywasz, synu?

* Kapitan Kowalski.

* Dziękuję za uprzejmość, kapitanie Kowalski.

Halder zasalutował.

* Cała przyjemność po mojej stronie, panie prezydencie. Orszak Roosevelta ruszył po schodach. Czterej agenci Secret

Sendce popychali wózek, a Halder patrzył na nich jak w transie. Generał podszedł do niego i szepnął gniewnie:

* No, Kowalski, nadal czekam na wyjaśnienie. Dlaczego ustawianie tej rampy tak długo trwało?

Halder gwałtownie wrócił do rzeczywistości.

* Prze... przepraszam, panie generale. Prawdę mówiąc, po raz pierwszy widziałem prezydenta z tak bliska. Chyba jestem trochę oszołomiony.

Generał wyraźnie złagodniał. Odwrócił się, odprowadzając Roosevelta spojrzeniem, i powiedział:

* Nie dziwię się. Do licha, ile razy na to patrzę, chce mi się płakać. Ten człowiek, chociaż przez całe życie cierpi, nigdy się nie skarży. Wiesz co, Kowalski? Gdyby choć połowa moich ludzi była równie dzielna, już dawno wygralibyśmy tę przeklętą wojnę.

* Tak jest, panie generale * odparł Halder i zapytał: * Czy premier ChurchiU również wróci dziś wieczorem?

Generał zmrużył oko i roześmiał się.

* Skąd się pan urwał, kapitanie? Nie wie pan, że on prowadzi nocne życie? Pojechał na jakieś przyjęcie do Kairu. Sądzę, że będzie dobrze, jeśli zobaczymy go nad ranem.

* Oczywiście, panie generale.

* To wszystko, Kowalski. Odmaszerować. A w przyszłości mc traćcie głowy.

Halder zsalutował i generał pospieszył w ślad za prezydencką .witą. Gdy cała grupa dotarła do drzwi, agenci Secret Service i nlsunęli się, odsłaniając na moment prezydenta. Halder o mało nie dał się porwać nagłej fali gniewu. Tylko trzy metry dzieliły go od człowieka, który był odpowiedzialny za okaleczenie jego lyna i śmierć ojca. Przez moment był bliski szaleństwa i sięgnął do kabury.

Zanim jednak zdążył wyciągnąć pistolet, orszak zniknął za

drzwiami. Nie zważając na własne bezpieczeństwo, Halder

w przyływie wściekłości ruszył za nimi, przeskakując po dwa

i liodki naraz. Dotarł do drzwi w samą porę, by zobaczyć, jak

wózek z Rooseveltem jedzie korytarzem w kierunku drzwi,

przed którymi stali żandarmi. Gdy agenci Secret Service do*

i.lli do drzwi, przez moment znów miał dogodną pozycję do u zału.

Icdna kula i byłoby po wszystkim, pomyślał.

Machinalnie otworzył kaburę, oszołomiony absurdalnością i ulej lej sytuacji, lecz w następnej chwili odzyskał rozsądek.

Do licha, Halder * powiedział sobie. * Chyba oszalałeś.

Zastanawiał się, czy to sumienie nie pozwala mu strzelić do inwalidy na wózku, czy też powstrzymuje go świadomość, że byłoby to samobójstwem.

Nagle jeden z agentów Secret Service obejrzał się i ich spojrzenia spotkały się. Halder zobaczył zimny wzrok tamtego, zasalutował i pospiesznie zszedł na dół, do kuchni.

Dwadzieścia minut później wyczołgał się z grobowca, a Kleist za nim. Obaj zdjęli mundury.

* Jack! Dzięki Bogu, wróciłeś * powiedziała Rachel i objęła go.

* Lepiej idź do samochodu * polecił jej Halder. * Za długo tutaj tkwimy. Zaraz do was dołączę. Kleist, odprowadź Fraulein. Na razie zostawimy tu lampy i resztę narzędzi.

Esesman pomógł Rachel wyjść na powierzchnię i oboje zniknęli w mroku. Deacon otarł czoło chusteczką.

* Przez chwilę myślałem, że już nie wróciacie. Co was zatrzymało? Nie było was ponad godzinę.

Halder wkładał pozostałe narzędzia i lampy do tunelu.

* Byliśmy zajęci. Musieliśmy odkopać wyjście.

* I jak poszło? * zapytał z nadzieją Deacon. Kończąc chować narzędzia, Halder opowiedział mu wszystko. Deacon nie posiadał się ze zdumienia.

* Widział go pan?

* Był tak blisko, jak teraz pan. W dodatku wiem, w którym dokładnie pokoju kwateruje.

* Wspaniale! * Deacon tryskał entuzjazmem. * Przeszedł pan sam siebie, majorze. Dobra robota.

* Niech pan się wstrzyma z gratulacjami. To jeszcze nie koniec. Musimy poszerzyć wejście i wyjście tunelu. A tam jest

lita skała.

* Czy ktoś może zauważyć otwór, który zrobiliście?

* Jest osłonięty i znajduje się w zagłębieniu terenu, poza tym w powrotnej drodze starałem się zasłonić

go gałęziami.

* Zapewniam, że dostaniecie wszystkie narzędzia, jakie będą potrzebne. * Deacon nagle spochmurniał. * Szkoda, że nie ma tam tej świni, Churchilla. Myśli pan, że jeszcze wróci?

* Generał raczej nie oczekiwał go przed świtem. Najwidoczniej stary Winston lubi balować po nocach.

* Też tak słyszałem. Cóż to byłoby za sukces, gdybyśmy

ubili dwa ptaki jednym kamieniem. No ale przynajmniej namierzeliśmy jeden z obiektów. Ponieważ Churchill jest poza naszym zasięgiem, będziemy musieli skupić całą uwagę na Rooseveltcie. Teraz jednak mamy pilniejszy problem. Czyżby zapomniał pan o ultimatum Saltera? Nawet jeśli Skorzeny'emu i jego ludziom uda się bezpiecznie wylądować, bez ciężarówek nie zdołamy przetransportować ich tutaj z lotniska. Halder uśmiechnął się.

* Chyba mam pewien pomysł. Mały podstęp, który powinien załatwić sprawę. Jeśli Salter tak bardzo chce wziąć udział w tej operacji, to może nie powinniśmy mu tego bronić...

* Co pan ma na myśli?

* Może pan zorganizować spotkanie z nim w ciągu najbliższych kilku godzin? W jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie nie byłoby posterunków?

* Sądzę, że tak. * Deacon zmarszczył brwi. * Tylko po co? Halder zaczął mu wyjaśniać. Kiedy skończył, Deacon spojrzał

na niego ze zdumieniem, a potem zatarł ręce i roześmiał się.

* Wie pan co, majorze? To doskonały pomysł. Prosty, ale znakomity. Dziwię się, że sam na to nie wpadłem. Jest pan genialny, majorze.

* Skądże. Jeśli jednak się uda, rozwiąże to wszystkie nasze problemy.

* Niepokoi mnie jeszcze jedna sprawa. W jaki sposób spadochroniarze Skorzeny'ego przejdą przez trawnik i wejdą do hotelu? Bo przecież nie tą samą drogą, którą pan tam wszedł. • k zywicie będą mieli na sobie amerykańskie mundury, ale po puńskim występie na tyłach hotelu, przy kuchennym wejściu leż będą sprawdzać dokumenty, tak jak im pan kazał.

I Halder skinął głową.

* To prawda, ale wracając do tunelu, obejrzałem okna na pierwszym piętrze. Część z nich ma duże balkony. Jeśli uda się Uciszyć wartowników, będzie można dostać się przez nie na górę. Potem ludzie Skorzeny'ego przeprowadzą szybki, bezpo*

rcdni atak. Jednak ta decyzja należy już do pułkownika, nie !" mnie, niewątpliwie będzie miał swoje koncepcje. Najważniejsze jest to, że wiemy dokładnie, gdzie kwateruje Roosevelt. I w dodatku znaleźliśmy sposób wejścia na teren hotelu. Całkiem niezłe jak na jedną noc. Deacon uśmiechnął się w

mroku.

Wie pan co? Zaczynam sądzić, że to się może udać.

Zakładając, że poradzimy sobie z Salterem, kiedy damy sygnał Berlinowi, żeby przystali Skorzeny'ego? Halder znalazł uchwyt w wapiennej skale, wyszedł z grobowca

i uważnie obejrzał wylot.

* Roosevelt z pewnością udał się już na spoczynek. Może dopisze nam szczęście i Churchill także wróci, ale * jak pan powiedział * namierzyliśmy główny obiekt i teraz najważniejszy jest dla nas amerykański prezydent. Pamiętajmy, że alianci deptają nam po piętach, musimy więc wykorzystać nadarzącą się okazję. A zatem powinniśmy to zrobić dziś w nocy, prawda?

Rozdział 59

Godzina 21.30

„Łysy” Reed leżał nagi na łóżku, z przyjemnością spoglądając na rozbierającą się przed nim Arabkę. Miała najwyżej osiemnaście lat, duże piersi i bujne kształty * jedna z najlepszych dziwerek, jakie miał do zaoferowania burdel w pobliżu dworca Ramses. Reed uśmiechnął się na myśl o czekających go rozkoszach, dopalił papierosa i wrzucił go do stojącej przy łóżku butelki po piwie.

* Ruszaj się, skarbie. Nie będę czekał całą noc. Dziewczyna skończyła się rozbierać, podeszła i położyła się

przy nim. Reed zaczął gładzić jej piersi, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

* Kto tam, do jasnej cholery?

Dziewczyna była zaskoczona, a Reed zerwał się z łóżka.

* Człowiek nie może sobie nawet pociupciać w spokoju! Kiedy przechodził przez pokój, żeby otworzyć drzwi, nagle

ninęły na podłogę, wyrwane z zawiasów, i do środka wpadło kilku żandarmów.

* „Łysy”, synu, najwyższy czas. Przeszukaliśmy już pół miasta. * Morris spojrzął mu przez ramię. * Widzę, że starasz się nawiązać przyjazne kontakty z tubylcami?

Reed natychmiast rozpoznał sierżanta żandarmerii, ale towarzyszącego mu amerykańskiego oficera nigdy nie widział na oczy.

* Ubieraj się, panienko * rozkazał Weaver po arabsku i wskazał jej drzwi.

Pospiesznie okryła się i wyszła.

Co tu się dzieje, do diabła? * narzekał Reed. * Od kiedy to człowiek nie może się trochę zabawić?

Amerikanin zmierzył go wzrokiem. * Wy też się ubierzcie, sierżancie. Musimy porozmawiać.

Godzina 21.30

W blasku księżyca stara przystań na wschodnim brzegu Nilu sprawiała wrażenie zupełnie opuszczonej, gdy Halder i Deacon podpłynęli do niej motorówką. Halder przycumował, a kiedy weszli po drewnianych stopniach, zobaczyli zaparkowany na brzegu ambulans z namalowanym na boku czerwonym krzyżem.

Pilnował go uzbrojony w stena krępy mężczyzna w brytyjskim mundurze. Obok czekali dwaj mężczyźni w mundurach oficerów. Jeden z nich był śniadoskóry i trzymał lampę sztormową, drugi * niski i groźnie wyglądający * miał w zębach cygaretkę, trzcinkę pod pachą i bluzę od munduru niedbale zarzuconą na ramiona.

* Ten, który pali, to Salter * powiedział Halderowi Deacon. * Drugi to Costas Demiris, jego wspólnik, też dezertter

i kombinator.

* Po co ta karetka i mundury?

* To jedna ze sztuczek Saltera. Ma tyle przebrań i fałszywych dokumentów, że pozazdrościłaby mu każda organizacja wywiadowcza.

* Podejźmy do nich.

Kiedy się zbliżyli, Salter powitał ich z uśmiechem.

* A więc to pan musi być tym tajemniczym wspólnikiem Harveya. Jestem Reggie Salter. * Wyciągnął rękę. * Nic dosłyszałem pana nazwiska?

* Moje nazwisko nie ma żadnego znaczenia * odparł Halder, ignorując wyciągniętą dłoń.

* Jak pan chce * wzruszył ramionami Salter. * Rozumiem, że Harvey przedstawił panu naszą propozycję?

* Zdaje się, że nie pozostawił nam pan wyboru, panie Salter. Bardzo potrzebujemy tych pojazdów.

Salter uśmiechnął się triumfalnie.

* Podaż i popyt, czyż to nie jest przekleństwo tego paskudnego świata? Skoro już mamy za sobą najważniejsze, może dowiem się, co pan planuje?

* Rabunek, panie Salter. Cennego ładunku, który przyleci

na lotnisko Shabramant na pokładzie dwóch samolotów typu Dakota.

Salter rozpromienił się.

* A nie mówiłem ci, Costas? * Ponownie spojrzął na Haldera i nerwowo zaciągnął się cygaretką. Na jego twarzy malowała się chciwość. * Ile wart jest ten ładunek?

* Trudno powiedzieć. Jest bezcenny. Większość to wyroby ze złota i kamieni szlachetnych. Gdyby jednak chciał pan oszacować jego wartość pieniężną po przetopieniu złota i pocięciu klejnotów, wyniesie w przybliżeniu dwa miliony. Funtów szterlingów, nie dolarów.

* Jezu! * zagwizdał przeciągle Salter.

* Dziesięć procent to dwieście tysięcy. To dużo pieniędzy, panie Salter. Pytanie tylko, czy jest pan ich wart?

* Och, jestem, stary * odparł podekscytowany Salter. * Nie martw się pan o to. Proszę tylko powiedzieć, czego wam trzeba, ludzi czy sprzętu. W jaki sposób Costas i ja dostaniemy naszą działkę?

* Możemy to uzgodnić później, przy omawianiu szcze*rółów.

* Mogę wiedzieć, kto bierze w tym udział?

* Z naszej strony pięć osób, z Deaconem włącznie.

* Wojskowi?

* Można tak powiedzieć.

* Wygląda mi pan na wojskowego. Co z naszą umową?

* Skoro macie wziąć w tym udział, powinniście zarobić na waszą dolę. Jesteście na to przygotowani?

* Za dwieście kawałków? Słuchaj pan, panie jak mu tam, za taką forszę może pan oczekiwać cholernie poważnej współpracy.

* Dobrze, zatem przejdźmy do rzeczy. Chcę, żebyście wraz z waszymi ludźmi opanowali lotnisko.

Salter zmarszczył brwi. To znaczy?

Chcę kontrolować sytuację. Nikt nie może tam wejść ani

wyjść stamtąd bez mojego pozwolenia, a jednocześnie nikt

z zewnątrz nie powinien zauważyć, co się stało. Trzeba to zrobić

bez jednego wystrzału. Nie chcemy zaalarmować policji ani

wojska.

Rozumiem. Opanujemy lotnisko i zgarniemy towar, kiedy nadleci. Po co dżip i ciężarówka, dla eskorty po akcji?

* Właśnie.

Salter uśmiechnął się.

* To mi się podoba.

* Tuzin waszych ludzi powinno wystarczyć. Najważniejsze punkty to wieża, baraki oraz główna brama. Poza tym trzeba przejąć kontrolę nad środkami łączności. Przewidujemy, że nie będzie tam więcej niż pół tuzina personelu Królewskich Sił Lotniczych Egiptu. Podkreślam, nie chcę nikogo zabijać, wystarczy zamknąć ich gdzieś do czasu, aż samoloty wylądują i zakończymy operację. Poradzicie

sobie z tym?

* Nie ma obawy. Z tuzinem moich najlepszych ludzi mógłbym zdobyć pałac królewski. * Salter zmarszczył brwi. * A mogę wiedzieć, co wy będziecie robić, kiedy my będziemy

bawić się w komandosów?

* Ja z trzema moimi ludźmi będę towarzyszył wam na lotnisku, żeby upewnić się, że wszystko idzie gładko. Jeśli tak będzie, zostawię dwóch z nich i dołączę do was później, tuż przed lądowaniem samolotów. Muszę utrzymywać łączność radiową z kimś, kto obserwuje start samolotów, żeby ustalić przewidywany czas przylotu. Oczywiście musicie przyprowadzić ciężarówki na lotnisko, żeby zabrać towar.

Salter zastanawiał się przez chwilę, po czym kiwnął głową.

* Brzmi nieźle. Kiedy zaczynamy? Halder uśmiechnął się.

* Przed północą chcę mieć to lotnisko pod kontrolą.

Salter ponownie zagwizdał.

* O rany! Tak szybko? Nie zostawia mi pan wiele czasu. Będę musiał nieźle się sprężyć, żeby wszystko zorganizować,

Skąd ten pośpiech?

* Nie mamy wyboru. Właśnie się dowiedzieliśmy, że transport wyruszy dziś w nocy. Tylko dlatego zgadzam się na wasze warunki. Potrzebujemy tych ciężarówek i dżipa. Rozumiem, że mówił pan poważnie o dostarczeniu wszystkiego, czego nam

potrzeba?

* Oczywiście, dlaczego pan pyta?

* Potrzebuję dwóch radiostacji o zasięgu co najmniej dziesięciu kilometrów.

Salter pokiwał głową.

* To żaden problem. Kiedy oczekuje pan przylotu samo

lotów?

* Między trzecią a czwartą rano. Teraz omówię szczegóły ochrony lotniska i powiem wam, co macie zrobić.

* Jeszcze jedno... * Salter spojrzał groźnie na Haldera i oparł trzcinkę o jego pierś. * Jeśli pan lub pańscy przyjaciele spróbujecie mnie wykiwać, załatwię was wszystkich. Jasne?

Halder odepchnął laseczkę i spojrzał mu prosto w oczy.

* Ja dotrzymam słowa. Wy też postarajcie się dotrzymać swojego. * Wyjął z kieszeni mapę, rozłożył ją na masce ambulansu i pożyczył lampę od Demirisa. * No dobrze, omówmy wszystko dokładnie, żeby nikt nie popełnił jakiegoś głupiego błędu.

Dwadzieścia minut później znów był w motorówce, płynącej na drugi brzeg Nilu.

* Myśli pan, że to się uda? * zapytał Deacon, manewrując łodzią.

* Mamy duże szansę * odparł Halder. * Salter będzie zaszokowany, kiedy dakoty wylądują i wypadnie z nich stu iloborowych spadochroniarzy z SS.

Deacon uśmiechnął się.

* Chciałbym widzieć minę tego drania.

Salter obserwował z przystani znikającą w ciemnościach motorówkę. Poprawił mundur na ramionach i zapalił następną cygaretkę.

* Dwa miliony funciaków w złocie i kamieniach. * Podrapał się po głowie. * Będziemy urzędzeni. Costas Demiris aż spocił się z przejęcia.

To prawdziwa złota żyła, Reggie. W odpowiednim miejscu nasza część może być warta znacznie więcej. Za taki towar prywatni kolekcjonerzy oddaliby ostatnią koszulę.

Masz rację. Co myślisz o tym kumplu Deacona? Gładki facet. Wyglądał na spokojnego. Moim zdaniem był za bardzo spokojny. Zgodził się na wasze warunki bez żadnych targów. * Salter pstryknął palcami * Dla mnie to podejrzane. I nie wyjaśnił, co Deacon robił w Gizie. To mnie najbardziej dziwi. Myślisz, że spróbuje nas wykiwać? Kto wie? Ale nawet gdyby, nasi chłopcy sobie pora

dzą. * Salter zmrużył oczy i rzucił cygaretkę do wody. * Ten kumpel Deacona zdecydowanie wygląda na

wojskowego. Ciekawe, kto to taki?

* Na oko jednostki specjalne albo komandos. I możesz się założyć, że nie będzie zachwycony, kiedy przekona się, co chowamy w rękawie, Reggie. Wcale nie będzie zachwycony.

Salter zerknął na Demirisa i roześmiał się.

* Na pewno nie.

Rozdział 60

Godzina 21.15

* Może powie mi pan, o co chodzi, panie pułkowniku? W pokoju przesłuchań w głównej kwaterze żandarmerii było

dusžno i gorąco. Po twarzy „łysego” Reeda spływał pot. Weaver stał nad nim.

* Pomyślałem sobie, że to twoja robota.

Odczytał wykaz skradzionych rzeczy. Reed zmarszczył brwi.

* Myślę, że zatrzymaliście niewłaściwego człowieka, panie pułkowniku.

* Zatrzymaliśmy właściwego człowieka * oświadczył sierżant Morris. * Tylko śpiewa na niewłaściwą nutę. Twój znajomy z warsztatu w obozie Huckstep wyśpiewał całe dziesięć zwrotek i wskazał cię palcem. Twierdzi, że to ty nadałeś robotę. Gadaj, „łyso”.

Reed nerwowo oblizał wargi i spojrzał na Morrisa.

* Chyba pan żartuje.

* To nie w moim stylu. Powinieneś o tym wiedzieć.

* Bóg mnie osądzi...

* Nie Bóg, tylko sąd polowy. Jesteś ugotowany. Możesz unii więc powiedzieć, co zrobiłeś ze skradzionymi pojazdami?

* Już mówiłem, to jakaś pomyłka...

Weaver stracił cierpliwość i złapał Reeda za kłapy.

Postępuj mnie i słuchaj dobrze. W mieście przebywa czwórka niemieckich agentów, którzy prowadzą bardzo niebezpieczną grę. Być może to właśnie im będzie potrzebny ten i ijskowy sprzęt, który został

skradziony, więc muszę wiedzieć, n się z nim stało. Możesz udawać głupiego przez całą noc, Kred, ale przysięgam, że jeśli skłamiesz, osobiście postaram się,

żebyś stanął przed plutonem egzekucyjnym za współpracę z wrogiem.

Reed wytrzeszczył oczy.

* Nie... nie mówi pan poważnie?

* Śmiertelnie poważnie. Wbij to sobie do swojego tępego łba.

Reed zbladł jak kreda, oklapł i ukrył twarz w dłoniach.

* Ci dranie wrobili mnie, przysięgam na Boga.

* Kto?

* Reggie Salter i Costas Demiris. Powiedzieli, że zrobią

sobie z moich jaj różaniec, jeśli im nie pomogę. Weaver obrócił się do sierżanta.

* O kim on mówi, do diabła?

* Podziemie przestępcze * odparł Morris. * Dezerterzy obracający skradzionymi towarami na czarnym rynku. Salter jest ich szefem i niebezpiecznym gangsterem.

Weaver zapytał Reeda:

* Powiedzieli ci, po co potrzebne im te pojazdy? Reed przecząco pokręcił głową.

* Salter wspomniał tylko, że ma na oku jakiś interes i potrzebuje ich szybko. Mówię prawdę.

* Czego dokładnie chciał?

* Zażądał dżipa i ciężarówek, dokumentów dla wszystkich pojazdów i trzech mundurów.

* Czegoś jeszcze?

* Niczego więcej, przysięgam. * Na twarzy Reeda pojawił się paniczny strach. * Musicie dać mi ochronę. Jeśli Salter się dowie, że puściłem farbę, obedrze mnie ze skóry.

Sierżant nie zdołał powstrzymać uśmiechu.

* To nic w porównaniu z tym, co zrobi ci armia. W końcu dopadłem cię, koleś. Sam się pogążyłeś.

* Co to znaczy?

* Nikt cię nie oskarżył, „Łysy”, tylko ty sam. Wcale nie przesłuchiwałeś twoich kumpli. Ale nie myśl sobie, że możesz odwołać zeznanie. Mam świadka.

Reedowi opadła szczęką i poczerwieniał z wściekłości.

* Ty cholerny skurwielu...

* Zamknij się, Reed! * uciął Weaver i zapytał sierżanta: * Możemy aresztować Saltera i przesłuchać go?

* Z całym szacunkiem, panie pułkowniku, równie dobrze moglibyśmy próbować złapać śliskiego węża. Już od roku

bezsukutecznie próbujemy go schwytać. Jego grupa jest doskonale zorganizowana. Oceniamy, że ma około dwudziestu ludzi i kilka magazynów w mieście, ale nie wiemy dokładnie gdzie. Plotka głosi, że pilnują ich uzbrojeni strażnicy i czujki, nie mówiąc już o kilku przekupionych oficerach, którzy ostrzegają go zawczasu. To smutny fakt, jednak tak właśnie jest.

* Musimy z nim porozmawiać i wyjaśnić to. Sierżant podrapał się po głowie.

* Może mi pan powie jak? Weaver wskazał kciukiem na Reeda.

* On robił interesy z Salterem, więc może nas do niego doprowadzić. * Spojrzał na więźnia ostro. * W zamian odstąpimy od wszystkich zarzutów. No jak, umowa stoi, Reed?

Shabr amant, godzina 22.00

Dżip zatrzymał się kilkaset metrów od bramy wjazdowej na lotnisko. Salter siedział z przodu, ubrany w ten sam mundur, który miał na przystani, a Halder z tyłu, przebrany za kapitana, uzbrojony w pistolet maszynowy M3. Obok niego na siedzeniu leżały radiostacje.

Sierp księżyca ledwie oświetlał drogę, ogrodzenie z siatki i budki wartowników. Salter strzepnął popiół z cygaretki.

* Wygląda dość spokojnie. Zadowolony pan?

* Będę, kiedy opanujemy lotnisko * odparł Halder. Salter zaśmiał się.

* W swoim czasie włamałem się do wielu dobrze strzeżonych magazynów. Ta operacja niczym się od tego nie różni.

* Pamiętajcie, jeśli to nie będzie konieczne, nie strzelajcie. Nic chcę niepotrzebnych ofiar.

* Jak pan sobie życzy * odparł Salter i ponaglił kierowcę** Jedź, Charlie. Zatrzymaj się przed budkami wartow*

Hil ów.

Dobra, szefie.

Kiedy dżip ruszył naprzód, Halder obejrzał się. Za nimi podążały dwie dziesięcotonowe ciężarówki. W pierwszej jechali Kleist z Doringiem, a prowadził ją Hassan. W drugiej jechało wielu ludzi Sal tera, uzbrojonych po zęby i przebranych w wojskowe mundury. Gdy dojechali do bramy, Halder zobaczył, że z budek wychodzą zaalarmowani wartownicy. Salter niedbale odrzucił cygaretkę i oświadczył: * Ja z nimi porozmawiam.

Dżip podjechał do bramy i stanął. Znak ostrzegawczy nakazywał zgasić światła. Kiedy kierowca to zrobił, Halder dostrzegł dwóch młodych egipskich żołnierzy, zaskoczonych nieoczekiwanym przyjazdem kawalkady pojazdów.

Salter wysiadł z dżipa i rażnym krokiem podszedł do nich, trzymając w jednej ręce trzcinę, a w drugiej plik papierów.

* Jestem major Cairns. Prowadźcie mnie do waszego dowódcy, jeśli tu jest. Muszę z nim omówić ważną sprawę.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Gdy zdumieni wartownicy zaczęli oglądać papiery Saltera, jego sześciu ludzi wyskoczyło z ciężarówki i rzuciło się na nich. Egipcjanie próbowali chwycić za broń, ale napastnicy szybko ich obezwładnili i odebrali im klucze od bramy.

* Dowiedzcie się, ilu ludzi pilnuje lotniska i gdzie dokładnie są * rozkazał Salter, biorąc klucze. * Jeśli nie będą chcieli gadać, połamcie im ręce.

Dwaj przestraszeni wartownicy najwidoczniej zrozumieli go, bo nie trzeba ich było namawiać do udzielenia informacji.

* Pół tuzina ludzi * rzekł Salter, kiedy poznał szczegóły. * Żaden przeciwnik.

* Nie cieszymy się, dopóki nie będzie po wszystkim *

mruknął Halder.

* Jest pan ostrożnym człowiekiem, kapitanie * zaśmiał się Salter. Otworzył bramę i dał sygnał ciężarówkom. * Stańcie kawalek dalej. Zostawimy tutaj pojazdy i resztę drogi przejdziemy pieszo, żeby ci dranie nas nie usłyszeli. Idźcie tyralierą w kierunku budynków lotniska. Dwóch niech włoży mundury wartowników i stanie przy bramie.

Złapał stena z przejeżdżającego przez bramę dżipa, a dwaj jego ludzie zaczęli przebierać się w egipskie mundury.

* No dobra * rzucił rześko do Haldera. * Teraz załatwmy pozostałych.

W niecałe piętnaście minut opanowali lotnisko, nie oddając ani jednego strzału. Ludzie Saltera obezwładnili wszystkich Egipcjan, a Halder przez drewnianą werandę wszedł do głównego budynku. Był

tam obszerny pokój operacyjny z odrapa

nym biurkiem i kilkoma metalowymi szafkami na akta. Halder podniósł słuchawkę telefonu, upewniając się, że linia została przecięta, zdjął czapkę i spojrzął przez okno, za którym odprowadzano kilku rozbrojonych i oszołomionych egipskich żołnierzy.

Do baraku wszedł zadowolony z siebie Salter oraz paru jego ludzi.

* Niech się pan o nich nie martwi. Zostaną zamknięci w jednym z baraków i będą dobrze pilnowani. Nie chcemy, żeby któryś z nich uciekł i wszczął alarm. * Salter usiadł za biurkiem, położył na blacie najpierw stena, a potem nogi i spojrzał na Haldera. * Wszystko zgodnie z planem. Myślę, kapitanie, że to na razie tyle. Jest pan pod wrażeniem?

* Przeszedł pan moje oczekiwania, panie Salter. Ale zanim odejdę, muszę sprawdzić pas startowy.

* Po co?

* Aby upewnić się, czy nie jest uszkodzony i nie ma na nim żadnych przeszkód.

* W porządku.

Halder skinął na Kleista i Doringa, razem z Hassanem wsiedli do dżipa i przejechali w ciemnościach trzysta metrów, aż dotarli na początek pasa startowego. Nie wyglądał najlepiej, miejscami miał nierówną nawierzchnię. Dojechali do samego końca, wypatrując dziur. Kiedy wracali, Halder uniósł rękę, każąc Has* i uiowi stanąć.

* Nie jest to Tempelhof, prawda? Co o tym myślisz, Kleist?

* Widziałem gorsze. Kiedy przyjdzie czas, zapalę kilka ilcktrycznych latarek, żeby oznaczyć koniec pasa. Nie powinno być żadnych problemów.

* Dobrze. Tak więc pozostaje nam tylko wystać sygnał i czekać na samoloty. * Halder sprawdził godzinę i kazał pozostałym zsynchronizować zegarki. * Dokładnie dwudziesta li ruga trzydzieści. Jeśli nadamy sygnał przed północą, spadochroniarze Skorzeny'ego powinni dolecieć tu za trzy godziny, zulem przewidywany czas ich przylotu to trzecia zero zero. Dodajmy jeszcze godzinę na dojazd do Gizy i przejście przez tunel i będzie czwarta rano.

Idealny czas na niespodziewany atak * uśmiechnął się Kleist. * O tej porze wartownicy będą senni.

Miejmy nadzieję, że masz rację * mruknął z powątpiewaniem Halder. * Lepiej zajrzyjmy do hangarów. Musimy

schować tam maszyny Skorzeny'ego do czasu, aż wrócimy

z akcji.

Podjechali do otwartych wrót pierwszego hangaru i Halder wszedł do budynku. W środku śmierdziało

smarem i paliwem lotniczym, w pobliżu drzwi stały dwa sterane glosytry gladiato*ry, a obok nich dwumiejscowa awionetka. Halder potrząsnął

głową.

* Potrzebujemy więcej miejsca na te dwie dakoty. Sprawdźmy następny.

Drugi hangar znajdował się bliżej budynków lotniska i był zupełnie pusty, nie licząc starego włoskiego motocykla Moto Guzzi i kilku rowerów, najwidoczniej należących do egipskiego

personelu lotniska.

* Doskonale. Ten będzie odpowiedni: jest tu nawet więcej miejsca, niż potrzeba. * Halder odwrócił się do Doringa i Hassana. * Zostawię was z Salterem. Oczywiście czeka go szok, kiedy wylądują nasi spadochroniarze, a jeśli zechce stawiać opór, będzie na przegranej pozycji. Spróbujemy jednak wybić mu to z głowy i miejmy nadzieję, że będzie miał dość rozsądku, aby poddać się bez walki. Kleist i ja wrócimy do willi, żeby wysłać sygnał. Dołączymy do was za kilka godzin. W razie jakichkolwiek problemów skontaktujcie się z nami przez radio, zrozumiano, Doring?

* Tak jest, majorze.

* A więc wszystko gotowe * uśmiechnął się ponuro Halder. * Jeszcze kilka godzin i będzie po wszystkim.

Kiedy wrócili do baraku, zastali na werandzie kilku ludzi Saltera, którzy siedzieli tam, paląc papierosy i rozmawiając. Halder kazał Doringowi zabrać z dżipa radiostację i razem z Hassanem wszedł do budynku, podczas gdy Kleist usiadł z; i kierownicą. Salter czyścił stena naoliwioną szmatą.

* I jak, wszystko gra?

* Na to wygląda. * Halder ruchem głowy wskazał Doringa i Hassana. * Zostawiam tu dwóch moich ludzi. W razie problemów skontaktują się ze mną przez radio. Gdyby ktoś się tu pojawił, spróbujcie udawać, że nic się nie dzieje, a jeśli będą kłopoty, zamknijcie intruzów z wartownikami.

Salter kiwnął głową.

* Załatwione. Kiedy wróćcie?

* Za parę godzin, może szybciej. Do tego czasu niech pan pilnuje interesu.

Halder odwrócił się, żeby odejść, ale Sal ter chwycił go za ramię.

* Mówiłem poważnie. Spróbujcie mnie wykiwać, a pożałujecie.

* Groźby są niepotrzebne, Salter. * Halder wyrwał mu się. * Zapewniam pana, że będzie pan przyjemnie zaskoczony, kiedy zobaczy pan ładunek.

* Czekam na to z niecierpliwością.

Halder wyszedł na zewnątrz, usiadł obok Kleista i odjechali, zostawiając Hassana i Doringa w baraku. Salter również wyszedł, stanął na werandzie i poczekał, aż dżip minie bramę, którą dwaj jego ludzie w egipskich mundurach natychmiast zamknęli.

* Jak sądzisz, Reggie? Jesteśmy gotowi?

Jeden z jego ludzi wstał. Salter podał mu stena i strzelił palcami.

* Oczekajcie jeszcze dziesięć minut, a potem wiecie, co macie robić.

Rozdział 61

Bazar Khan*el*Khalili, godzina 23.00

Osobowy ford wjechał w alejkę. Weaver zajmował miejsce obok kierowcy, Reed siedział z tyłu z sierżantem Morrisem. Wszyscy byli w cywilnych ubraniach.

* Dobrze, że jesteście przygotowani na kłopoty * powiedział ponuro Reed. * Bo jeśli Salter tam jest, to będzie strzelanina i trupy.

Weaver spojrzał na magazyn na końcu alejki. Na środku ciężkich metalowych drzwi było zamknięte i zakratowane okienko, a na murze po lewej lampa.

* Na pewno nie możesz wprowadzić nas tam bez zamieszania?

Reed pokręcił głową.

* Nie da rady. Strażnicy mają rozkaz nikogo nie wpuszczać bez wiedzy Saltera. Załatwią każdego, kto spróbuje tani

wejść.

Weaver wiedział, że jeśli mu się nie uda, stanie przed sądem polowym, ale osiągnął już taki stan, że przestał przejmować się swoim losem. Zatrzeszczał radiotelefon i siedzący z tyłu Morris powiedział kilka słów do mikrofonu, po czym rzekł do

Weavera:

* Tył magazynu obstawiony, panie pułkowniku. Ludzie są

gotowi wejść, kiedy damy sygnał.

W stojącej za nimi ciężarówce dostawczej kryło się dwu dziesięciu uzbrojonych żandarmów, a na tyłach

magazynu czekało jeszcze dwudziestu, co według Weavera powinno wystarczyć do rozprawienia się z gangiem Saltera.

* Co z ambulansami i sanitariuszami?

* Czekają dwie przecznice stąd, żeby nie budzić podejrzeń. Przyjadą, kiedy wezwiemy ich przez radiotelefon.

* Miejmy nadzieję, że nie będą potrzebni. * Weaver niespokojnie zerknął na zegarek. * W porządku, już czas. Niech pan da sygnał ludziom.

Morris wydał rozkaz przez radio i zameldował."

* Wszyscy gotowi, panie pułkowniku.

* Chodźmy, sierżancie, i zróbmy to * powiedział Wea*ver i podniósł ciężki brezentowy worek z podłogi samochodu.

Morris dotknął ręką jego ramienia.

* Jest pan pewien, panie pułkowniku?

* A masz inny pomysł? * zapytał Weaver.

Wysiadł z samochodu i razem poszli alejką. Kiedy dotarli do drzwi magazynu, wyjął z torby trzy granaty, umieścił je przy podstawie drzwi, po czym chwycił raketnicę.

* Z powrotem! * syknął do Morrisa.

Szybko wyrwał zawleczkę z granatów i pobiegł alejką w ślad za sierżantem. Przywarli do muru na moment przed eksplozją. Ogłuszający huk odbił się echem od okolicznych budynków, w powietrze uniosła się gęsta chmura pyłu, a o bruk zabębnił deszcz metalowych odłamków. Wybuch wyrwał drzwi magazynu z zawiasów.

Zanim kurz opadł, Weaver uniósł raketnicę i nacisnął spust. Czerwona flara rozbłysła w powietrzu, oblewając wszystko czerwonym światłem i dając sygnał żandarmom na tyłach budynku. Gdy Weaver i Morris biegli w kierunku magazynu, z ciężarówki dostawczej już wyskakiwali uzbrojeni żołnierze.

Lotnisko Shabramant, godzina 23.30

Kiedy Doring i Hassan ustawiali radiostację na biurku, podszedł do nich Salter.

Wasz przyjaciel kapitan wygląda na zdolnego gościa. Owszem * przytaknął Doring.

Może opowiecie mi, czym się zajmuje i z jakiej jest jednostki? Hassan podejrzliwie zmrużył oczy.

* Czemu sam go o to nie zapytasz?

* Nie mówiłem do ciebie! * prychnął Salter, spojrzął gniewnie na niego, a potem znów zwrócił się do Doringa: * No, synu? Na początek możesz powiedzieć mi jego nazwisko.

I twoje.

Ludzie Saltera otoczyli ich ze wszystkich stron. Hassan sięgnął po nóż, lecz jeden z nich natychmiast szturchnął go

lufą w plecy.

* Tylko spróbuj, a będzie po tobie * ostrzegł go Salter. *

Trzymaj ręce tak, żebyś mógł je widzieć.

Hassan niechętnie usłuchał. Salter podszedł do niego, znalazł ukryty nóż i odebrał mu go, mówiąc z szyderczym

uśmiechem:

* Ostrzegałem cię, prawda?

Błysnęło ostrze, głęboko przecinając policzek Araba. Rozwścieczony Hassan rzucił się na Saltera, lecz stojący za nim mężczyzna uderzył go kolbą w głowę i Arab runął na podłogę. Kiedy leżał nieprzytomny, Salter trącił go czubkiem buta,

obracając na bok.

* Powinieneś słuchać dobrych rad. * Wbił nóż w drewniany blat biurka, zostawił go tam i niedbałym krokiem podszedł do Doringa. * No, synu, czekam.

Doring wpadł w panikę. Błyskawicznie uderzył Saltera w twarz i rozpaczliwie sięgnął po stena. Prawie zdążył go chwycić, ale nagle kolba karabinu zmiotła mu palce. Zawył z bólu, a w następnej chwili spadł na niego grad ciosów. Półprzytomnego zawleczono na drugi koniec pokoju i posadzono na jednym z krzesel.

Salter chwiejnie podszedł do niego, ocierając krew z nosa.

Szarpnął Doringa za włosy.

* To był kurewsko głupi pomysł, synu. Naprawdę głupi.

Doring szarpnął się. Miał twarz wykrzywioną bólem i zmiotnięte palce. Salter zadał mu silny cios w twarz. Rozległ się głuchy trzask łamanej kości, Doring wrzasnął i prawie stracił przytomność, z jego złamanego nosa trysnęła krew

tanna krwi.

* Zawsze powtarzam, oko za oko. A to dopiero początek Na drugim końcu pokoju jeden z ludzi Saltera dotknął szyi

Hassana.

* Wciąż nieprzytomny, szefie.

* Zamknijcie go w jednym z pokoiów, bo może będzie nam

później potrzebny. * Salter nachylił się nad Doringiem, groźnie mierząc go zimnymi oczami. * No, synu, może powiesz mi, kim są twoi przyjaciele i co zamierzają zrobić po wylądowaniu tych samolotów?

Bazar Khan*el*Khalili, godzina 23.10

Weaver z trudem skrywał rozczarowanie. Znajdował się na pierwszym piętrze, w pomieszczeniu, pełniącym najwidoczniej rolę biura. Wpadli do magazynu i zastali w nim tylko trzech ludzi Saltera, którzy nie stawiali większego oporu.

* Gdzie więźniowie?

* Już ich tu prowadzą, panie pułkowniku * odparł sierżant Morris.

* Przeprowadźcie Reeda.

Na schodach rozległ się tupot nóg i wprowadzono trzech ludzi Saltera. Jeden z nich był śniady i miał czarne wąsy. Kiedy po chwili w drzwiach stanął Reed, Weaver zapytał:

* Rozpoznajesz któregoś z nich? Reed wskazał na wąsacza.

* To jest Costas Demiris.

Grek zacisnął zęby, pobladł z wściekłości i próbował się wyrwać.

* Reed, ty pierdolony Judaszu... Kiedy Reggie cię dorwie, będziesz trupem!

Weaver wskazał na Demirisa.

* Dajcie go tu, a pozostałych zabierzcie na dół. Reed, wracaj do samochodu.

Reed z wdzięcznością usłuchał. Kiedy posadzono Demirisa u.i krzesła, Weaver zapytał:

Gdzie jest Salter?

Ja to wiem, ale ty musisz się dopiero dowiedzieć * odparł Wyzywająco Demiris z szyderczym uśmiechem na twarzy. * Czy myślisz, że będę śpiewał, bardzo się mylisz. Poza tym Kcggie ma wysoko postawionych przyjaciół. Szybko to załatwi, bezpodstawne aresztowanie.

Jesteś poszukiwanym przestępcą i dezerterskim, Demiris. Jak nie będziesz gadał, osobiście dopilnuję, żeby zamknięto cię w celi i wyrzucono klucz.

Tak? Chcesz się założyć?

Demiris wciąż uśmiechał się drwiąco i Weaver nie mógł już tego znieść. Doskoczył do niego, złapał za włosy i szarpnął.

Demiris wrzasnął.

* Co zrobiliście z ciężarówkami, które dostaliście od Reeda? Na ulicze przed magazynem dał się słyszeć ostry pisk opon,

a po chwili rozległ się tupot nóg na schodach.

* Zobaczcie kto to * rozkazał Weaver sierżantowi. Zanim ten doszedł do drzwi, do pokoju wpadł Sanson, czerwony z wściekłości. Popatrzył na więźnia, a potem zmierzył gniewnym wzrokiem Weavera.

* Co tu się dzieje, do cholery?

* Rozmyślnie nie wykonałeś rozkazu, Weaver * warczał Sanson. Weaver usiłował coś powiedzieć, ale Sanson przerwał mu: * Porozmawiamy o tym później. Właśnie straciłem dwie godziny na przesłuchanie tego Araba w Aleksandrii i straciłem cierpliwość. * Spojrzał na Greka. * A więc to jeden z łotrów

Saltera?

* Nazywa się Costas Demiris.

* Powiedział coś?

* Zdaje się, że na razie nie jest skłonny do współpracy.

* Zaraz się przekonamy. * Sanson podszedł do Greka, który obojętnie przyjął jego przybycie. * Jestem podpułkownik Sanson z wywiadu wojskowego. Gdzie Salter?

Demiris splunął na podłogę.

* Pieprz się.

Sanson poczerwieniał jeszcze bardziej.

* Zostawcie nas, sierżancie.

* Panie pułkowniku...

* Słyszaleś. Wyjść! I nie wracać, dopóki nie zawołam. Sierżant wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Sanson wyjął

z kabury rewolwer Smith & Wesson, sprawdził, czy bębenek jest pełny, przygotował broń do strzału i podszedł do Greka.

* Chcę, żebyś mnie posłuchał, i to bardzo uważnie, Demiris. Z dwóch powodów. Po pierwsze, nie mam czasu ani cierpliwości na wysłuchiwanie głupot, a po drugie, jeśli nic skorzystasz z mojej rady, resztę życia spędzisz na wózku

inwalidzkim.

Demiris spojrzął na niego spode łba.

* Jeżeli nie odpowiesz na moje pytania, przestrzelę ci kolana * dodał Sanson. * A jeśli nadal nie będziesz gadać, wyceluję trochę wyżej, w tę twoją grecką męskość. Powiesz mi, gdzie jest Salter? I gdzie są te pojazdy?

Demiris zaśmiał się nerwowo.

* Nie postrzelisz więźnia, Sanson. Nie odważysz się. Sanson strzelił mu w lewą nogę. Demiris wrzasnął z bólu

i runął na podłogę, trzymając się za strzaskane kolano. Drzwi otworzyły się z hukiem i stanął w nich sierżant Morris, ale Sanson ryknął:

* Mówiłem, nie wchodzić!

Żandarm pospiesznie zamknął za sobą drzwi. Demiris wił się na podłodze, krew tryskała mu z rany, a po twarzy płynęły łzy bólu.

* Ty stuknięty skurwielu. Pieprzony stuknięty skurwielu! Sanson spokojnie wycelował w drugie kolano.

* Jeszcze mnie nie znasz. Zaczynaj gadać, Demiris. I to szybko.

Weaver stał z boku, gdy dwaj sanitariusze wynosili na noszach bladego Demirisa, wciąż ściskającego przestrelone kolano i jęczącego z bólu.

* Myślisz, że nie kłamał?

* Na pewno nie. To wszystko doskonale pasuje do siebie. * Sanson gorączkowo zbierał myśli. * Ten kapitan to prawdopodobnie twój przyjaciel Halder, a Deacon i jego Arab to łącznicy. Z podanego przez Demirisa opisu wynika, że Arab jest tym samym człowiekiem, którego szukamy. Reszty bez trudu możemy się domyślić. Kiepsko strzeżone lotnisko niecałe pół godziny jazdy od Gizy? Wydaje się idealne do przeprowadzenia niespodziewanego desantu i ataku. Historia o cennym ładunku to z pewnością

bajeczka wymyślona dla Sallera.

Skinął na Morrisa.

* Wezwijcie przez radio tylu ludzi, ilu zdołacie zebrać. Niech czekają na skrzyżowaniu dróg pod Shabramant, dwa kilometry przed lotniskiem. Poślijcie też ludzi do nocnego klubu Deacona. Jeśli go tam zastaną, niech go aresztują i zameldują mi o tym przez radio.

* Tak jest, panie pułkowniku.

* Jadę z tobą * powiedział stanowczo Weaver. Sanson posłał mu gniewne spojrzenie.

* Nie, nie ma mowy. Jeśli myślisz, że się z tego wywiniesz, bardzo się mylisz. Zamierzam zakończyć tę sprawę raz na zawsze, ale bez ciebie. Sierżancie, odbierzcie temu oficerowi broń i odprowadźcie. Jest aresztowany za niewykonanie rozkazu.

Rozdział 62

Maison Fleuve, godzina 23.30

Kiedy Halder i Kleist podjechali pod willę, Deacon wyszedł im na spotkanie.

* No i co? * zapytał niespokojnie.

Halder przekazał mu najnowsze wiadomości. Deacon przyjął je z wyraźną ulgą.

* Wspaniale. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, dostaniemy Żelazne Krzyże z rąk samego Fihrera.

* Na razie zapomnijmy o medalach. Trzeba wysłać sygnał.

* Co z Salterem?

* Oczekuje mojego powrotu za kilka godzin.

* Na pewno niczego nie podejrzewa?

* O ile wiem, nie. Teraz idziemy do radiostacji.

Halder szybko zszedł za gospodarzem do piwnicy, a Kleist z nimi. Deacon otworzył kredens i włączył radiostację. Czeka*jąc, aż rozgrzeją się lampy, wyjął lugera, sprawdził go i z uśmiechem wepchnął do kieszeni.

* Nie ma sensu zostawiać dobrej broni * powiedział.

Halder przygotował wiadomość, a kiedy radiostacja była gotowa do pracy, Deacon założył słuchawki i zaczął nadawać kluczem Morse'a. Dziesięć minut później miał zanotowaną na kawałku papieru wiadomość. Zdjął słuchawki i spojrzął na Haldera. * Gotowe.

Jaka odpowiedź?

Deacon odszyfrował depezę, uśmiechnął się do Haldera i podał mu kartkę.

Berlin,

godzina 23.40

Węzeł łączności głównej kwatery SS mieścił się w podziemiach, w dużej sali o jasnozielonych ścianach, w której stało kilkadziesiąt radionadajników obsługiwanych przez radiotelegrafistów z SD, w dzień i w nocy przesyłających i odbierających tysiące sygnałów, które płynęły eterem w świat, nawet do tak odległych miejsc jak Brazylia, Tokio czy Waszyngton.

Tej nocy jeden z radiooperatorów siedział w osobnym pokoiku po drugiej stronie korytarza. Elektryczna lampa biurowa oświetlała konsolę, gdy uważnie słuchał sygnałów i zapisywał je w notesie. Odszyfrował wiadomość i wręczył ją Schellenbergowi, który wraz z dyżurnym oficerem stał za jego plecami, niespokojnie zaciągając się papierosem.

* Chce pan wysłać odpowiedź, panie generale? * zapytał

łącznościowiec.

Schellenberg, nie wierząc własnym oczom, przeczytał depezę. Serce uderzyło mu mocniej i pot wystąpił na czoło. Zgasił papierosa w metalowej popielniczce obok konsoli.

* Tak... Tak, oczywiście * odparł. * „Wiadomość otrzymano. Pułkownik opuszcza Rzym o północy. Berlin pozdrawia

i życzy sukcesu”.

Gdy radiooperator wystukał wiadomość i czekał na potwierdzenie odbioru, podniecony Schellenberg zwrócił się do dyżurnego oficera:

* Połącz mnie z Kancelarią Rzeszy. Chcę rozmawiać z Fii*hrerem. Potem podstaw mi samochód. * Wyjął z kieszeni przygotowaną wcześniej kartkę. * A to pošlijcie do pułkownika Skorzeny'ego w Rzymie. Natychmiast. W razie najmniejszego opóźnienia ktoś stanie przed plutonem egzekucyjnym. Oficer wziął depezę i trzasnął obcasami. * Rozkaz, panie generale!

Rzym,

godzina 23.50

Pas startowy Practica di Mare był pogrążony w gęstej mgle, której kłęby spowijały całe lotnisko, okrywając hangary szarym,

gęstym jak dym tumanem. Nadciągnęła znad morza zaledwie przed godziną i teraz Skorzeny miotał się jak rozwścieczony niedźwiedź przed hangarem, a kapitan Neumann obok niego. Mgła była tak gęsta, że prawie się nie widzieli.

* Mein Gott, to niewiarygodne! * wykrzyknął Skorzeny, pieniąc się ze złości.

* Jest gorzej, niż myślałem * przyznał pilot. * Widoczność spadła prawie do zera. Moim zdaniem start w takich warunkach byłby czystym szaleństwem.

* Jeśli zechcę pańskiej opinii, Neumann, to o nią poproszę.

* Pułkownika Skorzeny, jest pan tam? * Z oparów wyłonił się zdyszany major SS z latarką w rękę i o mało na nich nie wpadł. * Pilna wiadomość do pana, pułkowniku. Właśnie otrzymaliśmy ją z Berlina.

Skorzeny chwycił depeszę, mnąc ją w ogromnych łapskach. Przeczytał wiadomość przy świetle latarki, odetchnął z wyraźną ulgą i z szerokim uśmiechem powiedział do Neumanna:

* A jednak. Ruszamy natychmiast. * Odwrócił się do majora SS. * Jeśli uda nam się wystartować... kiedy będziemy w powietrzu, natychmiast wyślijcie odpowiedź do Berlina. ..Pułkownik w drodze". Nic więcej.

Major popatrzył na niego z niedowierzaniem, ale zasalu*ował.

* Jak pan sobie życzy, pułkowniku.

Zanim znikł we mgle, Skorzeny już szedł w kierunku hangaru.

* No, na co czekasz, Neumann? Za pięć minut chcę widzieć załogi gotowe do startu.

* Przecież w tych warunkach nie możemy nawet podkołować na pas startowy, nie ryzykując, że zabłądzimy. Mgła jest lik gęsta, że nie będzie widać świateł. Moi ludzie twierdzą, że naraża pan życie wszystkich...

Skorzeny przystanął, odwrócił się i oparł ręce na biodrach.

Do diabła z tą przeklętą pogodą. Otrzymaliście rozkazy.

Każę oświetlać drogę kołowania latarkami, a światła pasa

zapalić na pełną moc. Rób swoje, Neumann, i po drodze rzuć

ni lem na ostatnią prognozę pogody.

Z całym szacunkiem, ale co będzie, jeśli zawiedzie silnik

III.O...

Skorzeny wyrwał z kabury pistolet, odbezpieczył go i wark* Jeszcze raz zakwestionujesz moje rozkazy, a wpakuję ci

kulę. Macie teraz prosty wybór, ty i twoje załogi. Lecicie lub umrzecie. Rozumiem, że będziesz rozsądny i każesz im startować.

Shabramant, godzina 23.45

Doring był w równie kiepskim stanie jak Costas Demiris. Miał zakrwawioną twarz i jęczał, leżąc bezwładnie na krześle. Był prawie nieprzytomny, gdy Salter złapał go za włosy.

* Ocknij się, słyszysz?

Doring tylko jęknął i głowa opadła mu na bok. Salter puścił go, zgrzytnął zębami i podszedł do okna, gniewnie

zaciskając usta.

* Mam mu przyłożyć, szefie? * zapytał jeden z jego ludzi.

* Nie bądź idiotą. Jeszcze kilka ciosów i będziemy musieli go pochować. Chcemy zgarnąć cały ładunek, nie dziesięć procent, więc muszę dokładnie wiedzieć, co planują jego kumple,

zanim tu wrócą.

* Marne szansę, jeśli nie zaczniesz gadać.

* Wylejcie na niego wiadro wody. Potem przynieście sznur i obcęgi ze skrzynki narzędziowej w ciężarówce.

* Co chcesz zrobić?

W oczach Saltera pojawił się okrutny błysk.

* Zerwę mu paznokcie. Może to robić gestapo, możemy i my. Drań będzie gadał, choćbym miał mu powyrywać wszystkie, jeden po drugim.

Doring poruszył się, wymamrotał coś i głowa opadła mu na pierś. Stojący obok niego mężczyzna zmarszczył brwi i zrobił zdziwioną minę. Salter zauważył to.

* Co on, kurwa, powiedział? Mężczyzna podrapał się po głowie.

* Chyba coś po niemiecku, szefie.

Maison Fleuve, godzina 23.50

Halder wszedł na górę i zastał Rachel siedzącą na łóżku. Na nocnej szafce stała zapalona lampa naftowa, rzucając roztań

czony cień na pokój. Rachel podbiegła do niego, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno pocałowała, a kiedy w końcu odsunęła się, Halder z uśmiechem odłożył M3 na łóżko.

* Człowiek szybko może się przyzwyczać do czegoś takiego.

Zobaczył troskę w jej oczach.

* Cieszę się, że wróciłeś cały. Wszystko w porządku?

* Tak mi się zdaje, przynajmniej na razie.

Westchnął, przetarł oczy i opadł na łóżko. Jego twarz zdradzała wyraźne ślady trudów kilku ostatnich dni. Leżał w półmroku, obolały i otępiały z wyczerpania. Rachel położyła się obok niego, oparła głowę na jego piersi i zaczęła delikatnie gładzić po policzku.

* Musisz znów jechać?

* Obawiam się, że tak. Za godzinę.

* A potem?

* Tuż przed świtem powinno być po wszystkim. Jeśli dopisze nam szczęście, a Schellenberg dotrzyma obietnicy, odlecimy stąd, do Niemiec i wolności. * Halder odwrócił się do niej, spojrzał jej w oczy i powiedział czule: * Jeżeli wyjdziemy z tego żywi i jeśli uznasz, że możesz zapomnieć o Harrym i dać nam szansę, chciałbym, żebyśmy byli razem, Rachel. Rozpoczniemy nowe życie. Gdzieś, gdzie nie ma wojny. Mam już dość wojny i zabijania, kochana.

* Na pewno tego chcesz?

* Jeszcze nigdy w życiu niczego nie byłem równie pewny. Łzy stanęły jej w oczach i przysunęła się bliżej. Znalazł jej

usta, pocałował ją namiętnie, przytulił i poczuł, że ogarnia go ltraszliwe zmęczenie.

* Biedaku, jesteś kompletnie wykończony. Naprawdę powinieneś próbować się zdrzemnąć, przynajmniej przez godzinę. Obudzę cię, gdy przyjdzie czas.

Chciał zaprotestować, ale zdmuchnęła lampę. Zamknął oczy i przez chwilę leżał spokojnie w ciemności, a jej dłoń nadal delikatnie gładziła jego policzek. Po chwili wyczuł, że wstała z łóżka, usłyszał cichy trzask

zamykanych drzwi i poddał się zmęczeniu. Zapadł w głęboki sen.

Rzym, godzina 23.55

Skorzeny kazał podoficerowi zebrać ludzi. Drzwi hangaru już rozsunięto i załogi samolotów uruchomiły silniki, po czym wyprowadziły dakoty na zewnątrz. Personel naziemny czekał z latarkami, aby przeprowadzić je przez mgłę do pasa startowego.

Gdy spadochroniarze stanęli na baczność, Skorzeny z laską pod pachą przeszedł wzdłuż szeregu, przeprowadzając pospieszną inspekcję swoich przebranych w amerykańskie mundury żołnierzy i przekrzykując huk śmigieł samolotów.

* No cóż, nasz czas nadszedł. To wspaniała chwila. Otrzymaliście instrukcje, więc wiecie, że ta misja jest niezwykle ważna dla Rzeszy. Jak widać, mamy nie najlepszą pogodę do startu, ale ja wierzę w naszą Luftwaffe. Pamiętajcie, że musicie spełnić swój obowiązek. Nie tylko ja na was liczę, ale i sam Fuhrer.

Powodzenia.

Podoficer wyprowadził ich z hangaru i zaczęli wchodzić do samolotów. W tym momencie pojawił się Neumann, wciąż jeszcze zirytowany pogrozkami Skorzeny'ego. Jego drugi pilot wyprowadził maszynę z hangaru.

* No i jaka będzie pogoda na trasie? * zapytał Skorzeny.

* Nasi twierdzą, że nie najgorsza, ale przewidują silne południowo*wschodnie wiatry między Sycylią a północnym brzegiem Afryki, do sześciu tysięcy metrów wysokości. Nic więcej nie potrafią powiedzieć.

Skorzeny był zadowolony.

* Wystarczy. To oznacza, że przez większą część drogi będziemy mieli wiatr w plecy, więc powinniśmy dotrzeć do celu szybciej, niż przewidywaliśmy. Właśnie to chciałem usłyszeć, Neumann. Lepiej obejmij dowodzenie w samolocie, jesteśmy gotowi do startu. * Wielkim łapskiem klepnął kapitana w niemię. * I nie martw się, człowieku. Mogło być gorzej. Neumann nie był przekonany.

* Nie sądzę. Nawet nie licząc tej mgły, sądzę, że to zadanie

będzie niezwykle niebezpieczne. Skorzeny uśmiechnął się krzywo.

* Masz rację. Prawdę mówiąc, chyba mogę ci obiecać bardzo interesującą noc. No, chodźmy na pokład.

Wbiegł po schodkach do pierwszej dakoty, a Neumann

poszedł za nim. Kiedy odtoczono trap, sprawdził, czy dobrze zamknięto drzwi. Potem przeszedł obok Skorzeny'ego oraz jego ludzi i zajął miejsce na fotelu w kokpicie. Dostrzegł krople potu na czole drugiego pilota. Sam starał się nie okazywać zdenerwowania.

* No cóż, Dieter, zdaje się, że szaleństwo przeważało. Musimy uszczęśliwić pułkownika i spróbować wystartować.

* Jestem gotowy, panie kapitanie. Słyszałem, że lecimy pierwsi.

* Czemu nie * mruknął Neumann.

Spojrzał za okno. Wokół zalegała gęsta ściana mgły, przez którą ledwie było widać światła na skrzydłach samolotu. Kilka metrów przed obłym nosem dakoty dwaj żołnierze z personelu naziemnego lotniska machali elektrycznymi latarkami, ale Neumann nie widział ludzi, tylko słabe błyski światła. Delikatnie pchnął dźwignię przepustnicy i dakota ruszyła naprzód, z głuchym pomrukiem sunąc po płycie lotniska.

Kołowali przeraźliwie wolno. Neumann musiał zachować ślimacze tempo narzucone przez personel naziemny, więc dopiero po dziesięciu minutach zdołał dotrzeć na początek pasa startowego i ustawić na nim maszynę. Na lewo i prawo paliły się światła pasa, lecz nawet ich potężne żarówki dawały we mgłę jedynie słabą żółtą poświatę, widoczną najwyżej na trzydziści metrów. Zniecierpliwiony Skorzeny przyszedł i li i kokpitu.

* Jeszcze nie jesteśmy na pasie?

* Właśnie skończyliśmy kołowanie. Lepiej niech pan wróci do swoich ludzi, pułkowniku. Zaraz startujemy.

* Zostanę tutaj * mruknął Skorzeny, zajmując wolny fotel radiooperatora i zapinając pasy. * No, człowieku, na co

kasz? Nie mamy czasu. Ruszaj!

Neumann nie zamierzał się spierać ani nawet odpowiadać. Krople potu kapały mu z czubka nosa, gdy powoli pchnął dźwignię przepustnicy, obserwując instrumenty pokładowe. Rykneły silniki i dakota ruszyła naprzód. W miarę jak nabierała prędkości i drugi pilot głośno podawał szybkość, Neumann rozpaczliwie usiłował utrzymać maszynę między rzędami ledwie widocznych świateł, jak najdelikatniej operując drążkiem sterowym. Przychodziło mu to z najwyższym trudem, bo w miarę ul mknęli po pasie startowym w przerażająco gęstą ścianę liifly. żółte błyski po prawej i lewej coraz szybciej uciekały w tył.

* Najwyższe obroty * zameldował w końcu drugi pilot.

Neumann pociągnął drążek.

Dakota nie zareagowała.

Przez chwilę przeraził się, że coś wysiadło, ale w następnym momencie samolot uniósł się w powietrze. Neumann kazał wciągnąć podwozie i zanim schowano klapy, wypadli z mgły w czyste nocne powietrze.

Kapitan pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi i otarł pot

z czoła.

* Na razie dobrze. Sprawdźmy, czy tamtym też się udało.

W porównaniu do warunków panujących na ziemi, nad warstwą mgieł mieli doskonałą widoczność. Była jasna noc, księżycowa i gwiazdzista. Pod nimi, jak okiem sięgnąć, ogromny szary dywan okrywał ziemię. Neumann wykonał skręt w lewo, ustawiając maszynę pod kątem prostym do kierunku startu, i nagle dostrzegli drugą dakotę, która wypadła z mgły i zaczęła

wznosić się w górę.

* Dzięki Bogu * mruknął Neumann. * Bez problemów. * Zerknął na pułkownika. * Nie licząc tych, które dopiero nas czekają.

Skorzeny położył mu dłoń na ramieniu.

* Dobra robota, kapitanie. Postaram się, żebyś dostał a to medal.

* Pewnie pośmiertny?

* Nie bądź taki cwany. A teraz dodaj gazu. Chcę dolecieć tam w rekordowym czasie.

Shahramant, godzina 23.50

Salter niepokoił się. Otarł rękawem pot z czoła. W baraku było nieznośnie gorąco i nawet wentylator nad głową nie był w stanie poruszyć ciężkiego powietrza.

* Na pewno mówił po niemiecku?

* Tak mi się zdawało, szefie.

Doring znów poruszył się. Twarz miał zlaną potem i wykrzywioną z bólu.

* Wasser...

* O, znowu. Chyba to samo powiedział poprzednio. * A co to, kurwa, znaczy? * warknął Salter.

* Kiedy pilnowałem szwabskich jeńców na pustyni, nauczyłem się kilku słów. Wygląda na to, że chce wody.

Salter zmarszczył brwi i ruchem głowy wskazał na metalowe wiadro.

* Znajdź kubek i daj mu pić. A potem zapytaj go o nazwisko, tym razem po niemiecku.

Salter patrzył, jak jego człowiek napełnia kubek wodą z wiadra i daje pić Doringowi. Więzień był półprzytomny i ledwie mógł przełykać.

* Was ist ihre name?

Kiedy Doring nie odpowiadał, Salter złapał go za włosy.

* Zapytaj go jeszcze raz.

* Ihre name? Was ist ihre name?

Młody Niemiec jęknął i postawił oczy w ślup.

* Doring.

* A co to ma znaczyć, do cholery? * warknął Salter.

* Chyba powiedział, że nazywa się Doring. To Niemiec, bez dwóch zdań. Tylko co robi z Deaconem i jego kumplami?

Salter zmarszczył brwi.

* Zapytaj go, kim są jego przyjaciele i co planują. Zapytaj...

* Chwilę, szefie. Mój niemiecki nie jest aż tak dobry.

* To nad nim popracuj, do cholery! * wrzasnął Salter. * Chcę wiedzieć, co się tu dzieje!

* Znam tylko kilka słów...

Rozwścieczony Salter złapał wiadro i chlusnął wodą na więźnia, a potem cisnął naczynie o ścianę. Kiedy upadło z rumorem, Doring drgnął i otrząsnął się, nagle odzyskując przytomność.

* No i co powiecie * uśmiechnął się Salter. * Wrócił do krainy żywych. Dajcie sznur.

Dwaj jego ludzie złapali Doringa za ręce i przywiązali je do krzesła, a Salter pochylił się nad nim i szarpnął go za włosy. Niemiec szeroko otworzył oczy z przerażenia na widok kleszczy. Dobrze się im przyjrzyj, koleś. To niezbyt przyjemny sposób prowadzenia pogawędki, ale obawiam się, że nie pozostawiłeś mi wyboru. Jeśli powiesz wszystko, co chcę wiedzieć, daję słowo, że puszcze cię wolno. Jeśli jednak będziesz milczał...

Godzina 23.55

Weaver czuł narastający gniew, który dodawał mu sił. Siedział na tylnym siedzeniu służbowego samochodu, który jechał w kierunku Garden City. Obok niego siedział sierżant Morris. Dręczyła go myśl,

że w żaden sposób nie zdoła ocalić Rachel, jeśli nie dotrze na lotnisko przed Sansonem. A jeżeli nawet zdoła,

co może zrobić?

Spojrzał za okno. Samochód jechał za szybko, by wyskoczyć, jednak gdy zbliżali się do Starego Miasta, kierowca zwolnił na zakręcie. Weaver dostrzegł swoją szansę. Pociągnął za klamkę i zdążył już do połowy otworzyć drzwi, gdy Morris złapał go i zawołał do kierowcy.

* Zatrzymaj ten cholerny samochód!

Wóz stanął z piskiem opon, Weavera rzuciło na oparcie przedniego fotela i zanim się zorientował, Morris chwycił go za

szyję.

* Niech pan tego nie robi, panie pułkowniku. Obu nam

pan narobi kłopotów.

Weaver usiłował się wyrwać, ale Morris wyjął z kieszeni kajdanki i zatrzasnął mu je na przegubach.

* Proszę się uspokoić, panie pułkowniku, albo napyta pan

sobie biedy.

* Nie rozumiesz...

* I nie mam zamiaru. To nie moje zmartwienie.

Gdy Morris sprawdzał zamknięcie kajdanek, Weaver zaprotestował:

* Jezu, czy to naprawdę konieczne?

* Przykro mi, panie pułkowniku, ale dostałem rozkaz. Morris zamknął drzwi, samochód ruszył, a Weaver bezradnie

osunął się na fotel.

Rozdział 63

Berlin,

godzina 24.15

Kiedy Schellenberga wprowadzono do prywatnego gabinetu Hitlera w podziemnym bunkrze Kancelarii Rzeszy, Fuhrer już na niego czekał. Był tam też Himmler, obaj we wspaniałych humorach siedzieli na obitych skórą fotelach. Na widok wchodzących wstali, a Himmler nawet uśmiechnął się, podnosząc i Ilon w hitlerowskim pozdrowieniu.

* Walterze, to wspaniała wiadomość. Naprawdę wspaniała! Hitler uściśnął rękę Schellenberga.

* To rodzi nadzieję, Walterze. Jakie wieści od Skorzeny'ego?

* Kiedy wychodziłem z węzła łączności, właśnie przyszła wiadomość z Rzymu. Wystartowali piętnaście minut temu, mimo gęstej mgły. Teraz są już w drodze.

Hitler był podekscytowany.

* Pokaż mi depeszę z Kairu.

Schellenberg wręczył mu rozszyfrowaną wiadomość od Dea* i ona i kiedy Hitler czytał, powiedział:

* Wszystko potoczyło się szybciej, niż myśleliśmy. Jak widać, Halder zlokalizował Roosevelta w hotelu „Mena House”, odkopał tunel * który, jak się okazało, istotnie prowadzi na teren hotelu * po czym opanował lotnisko i zorganizował Środki transportu do przewozu ludzi Skorzeny'ego. Razem * pozostałymi czekają na przybycie pułkownika, a wtedy zacznie tleć ostatni akt. Teraz możemy tylko gryźć paznokcie i czekać.

Hitler skończył czytać i podniósł głowę.

A zatem ten twój as, którego trzymałeś w rękawie, niebędzie potrzebny.

Schellenberg uśmiechnął się.

* Na to wygląda.

Hitler dał się ponieść fali entuzjazmu.

* Jeżeli Skorzeny tego dokona, zrobię go generałem. Nie, marszałkiem polnym! To zadziwiający człowiek, zdolny do

wszystkiego.

* Z całą pewnością, mein Fiihrer. Hitler oddał mu depeszę i spoważniał.

* Jednak to jeszcze nie koniec. Poza tym jestem rozczarowany nieobecnością Churchilla.

* Przynajmniej mamy na celowniku Roosevelta. Oczywiście jeszcze nie jest po wszystkim, ale to obiecujący początek, mein

Fiihrer.

Hitlerowi znów zmienił się nastrój. Opadł na fotel, mocno ściskając poręcz. Miał tak rozpromienioną minę, jakiej Schellenberg i Himmler nie widzieli na jego twarzy od dawna.

* Istotnie. To bardzo obiecujący początek.

Shabramant, godzina 24.15

Krzyk Doringa niósł się po pokoju. Brzmiał jak wycie ranionego zwierzęcia, a kiedy ucichł, esesman wyprężył się konwulsyjnie i głowa opadła mu na bok. Jeden z ludzi Saltera dotknął ręką jego szyi, szukając pulsu.

* Nie żyje, szefie...

* Widzę, cholera. * Salter rzucił obcęgi na biurko. Niemiec nic mu nie powiedział, nawet po wyrwaniu trzech paznokci, Rozwścieczony Salter mocno uderzył go obcęgami w głowę. Zadał o jeden cios za dużo: Niemiec wrzasnął, oczy wyszły mu z orbit, z nosa popłynęła krew, a potem znieruchomiał.

Salter otarł pot z twarzy i zapalił następną cygaretkę, żeby

uspokoić nerwy.

* Można by pomyśleć, że ten drań poprzysiągł dochować tajemnicy. Każdy normalny facet złamałby się dużo wcześniej. Muszę mu przyznać, że był twardy. * Zmarszczył brwi i podejrliwie spojrzał na ciało Doringa. * Mam dziwne przeczucie, cholernie dziwne przeczucie i wcale mi się to nie podoba. Dlaczego Deacon i ten kapitan pracowali z tym Niemcem? Spójrz na niego. Wygląda na wojskowego.

* Może to zbiegły jeńiec?

* Może * mruknął bez przekonania Salter.

* Co robimy, szefie? Salter spojrzał na zegarek.

* Teraz siedzimy w tym po uszy, no nie? Kumpie Deacona będą tu za niecałą godzinę. * Krążył po pokoju, zastanawiając się, wściekły i rozczarowany. Rzucił cygaretkę na podłogę i zdeptał obcasem. * Zdejmijcie szkopa z krzesła i przyprowadźcie Araba. Dojdę prawdy, choćby miała to być ostatnia cholerna rzecz, jaką zrobię.

Godzina 24.20

Samochód mozolnie pokonywał labirynt wąskich uliczek. Do głównej kwatery pozostało im najwyżej pięć minut jazdy.

Weaver gorączkowo zbierał myśli. W żaden sposób nie zdoła odebrać sierżantowi kluczyka od kajdanek. Sytuacja wyglądała na kompletnie beznadziejną, ale wiedział, że musi coś zrobić, inaczej wyląduje w celi, z której nie zdoła uciec. Wyjechali z bocznej ulicy, skręcili w prawo i samochód zaczął nabierać prędkości, kierując się ku brzegowi Nilu. Kierowca, młody kapral, skupił się na prowadzeniu, a Morris obojętnie patrzył przed siebie. Gdy szofer skręcił w prawo, omijając wózek zaprzężony w osła, Weaver napiął mięśnie i rzucił się w bok, całym ciężarem ciała uderzając w Morrisa.

* Co u... *jęknął sierżant, któremu zaparło dech.

Weaver wyciągnął ręce i szarpnął klamkę drzwi. Kiedy otworzyły się, Weaver ponownie uderzył Morrisa barkiem. Żan*darm ze zduszonym okrzykiem wypadł z samochodu.

Kapral obejrzał się, przerażony, nadepnął na pedał hamulca i samochód zahamował z piskiem.

* Jasna cholera, mogłeś go zab...

Weaver oburącz uderzył go w szczękę. Ogłuszony kapral usunął się na siedzenie, a Weaver błyskawicznie wyskoczył z wozu.

I dziesięć minut później wszedł do hotelu na bocznej uliczce, zdyszany i zlany potem. Za kontuarem recepcji siedział Egipcjanin w podeszłym wieku, przesuwając w palcach paciorki różańca.

* Efendi?

* Muszę skorzystać z telefonu * wy sapął Weaver.

* Przykro mi, efendi. Telefon jest tylko do użytku gości

hotelowych.

* Pokaż, gdzie ten przeklęty telefon! "

Starzec zauważył kajdanki i uznał, że lepiej się nie sprzeciwiać.

* Tam dalej w holu jest budka.

Weaver znalazł ją na końcu holu, wszedł do środka, zdjął słuchawkę z widełek i wykręcił numer centrali.

Kiedy usłyszał podjeżdżający samochód, serce podeszło mu do gardła na myśl, że może to być żandarmeria. Po chwili w drzwiach stanęła Helen Kane i zrobiła wielkie oczy na widok

kajdanek.

* Harry, co się dzieje?

* Przyniosłaś to, o co cię prosiłem?

* Tak, ale...

Wziął ją za rękę i pociągnął do drzwi.

* Wyjaśnię ci wszystko po drodze.

Godzina 24.10

Na skrzyżowaniu pod Shabramant Sanson zaczynał się już niecierpliwić. Chodził tam i z powrotem obok dżipa i już miał kolejny raz spojrzeć przy świetle latarki na zegarek, gdy jeden

z jego ludzi zawołał:

* To chyba oni, panie pułkowniku!

Sanson popatrzył na ciemną szosę i ujrzał rząd szybko nadjeżdżających od strony miasta pojazdów, ciągnących za sobą chmurę kurzu. Naliczył trzy ciężarówki z brytyjskimi żołnierzami, osobowy samochód i dżipa oraz zamykający kolumnę transporter opancerzony z zamontowanym na wieżyczce karabinem maszynowym Bren. Wybiegł im na spotkanie.

Siedzący na przednim siedzeniu osobowego samochodu major trzymał w ręku megafon. Sanson wskoczył na stopień, pokazał przez otwarte okno swoją legitymację i pospiesznie

powiedział:

* Podpułkownik Sanson. Ilu ma pan ludzi? * Setkę. Wolno spytać, o co chodzi, panie pułkowniku?

Sanson zignorował pytanie, otworzył tylne drzwi, wskoczył do środka i rzekł do kierowcy:

* Dodaj gazu i zajmij miejsce na czele kolumny. Potem zwrócił się do majora:

* Zna pan lotnisko pod Shabramant?

* Tak jest, panie pułkowniku.

* Niech pan uważnie słucha...

Helen Kane jechała na południe ciemną, porośniętą palmami drogą, aż Weaver powiedział:

* Stań tutaj.

Zjechała na pobocze. Weaver wysiadł.

* Weź broń.

* Wpakujesz się w jeszcze gorsze tarapaty, Harry. Naprawdę sądzisz, że to rozsądne?

* Broń, Helen.

Wyjęła spod fotela pistolet.

* Od czasu szkolenia nie oddałam ani jednego strzału.

* Czas, żebyś trochę poćwiczyła. * Weaver klęknął na poboczu i oparł dłoń na ziemi, napinając łańcuch.

* Zrób to.

Przyklękła obok niego, przystawiła lufę colta do łańcucha i odbezpieczyła broń.

* Naciśnij spust.

Nacisnęła. Rozległ się głośny huk, z ziemi wzbił się obłoczek kurzu i ogniwa pękły. Weaver wstał i roztarł nadgarstki. Metalowe bransoletki nadal wpijały mu się w ciało.

* Udało ci się zdobyć nożyce do drutu?

* Nie, ale w skrzynce z narzędziami w bagażniku mam piłkę do metalu.

* Dobrze. Daj mi kluczyki od samochodu. Teraz wrócimy i znajdziemy ci taksówkę...

* Nie ma na to czasu. Poza tym chcę jechać z tobą.

To nie twoja sprawa, Helen, więc nie mieszaj się w to. I tak już mogą cię oddać pod sąd polowy. Nie mam zamiaru narażać twojego życia.

Jeśli myślisz, że po tym wszystkim zamierzam przegapić sprawę, bardzo się mylisz, Harry Weaverze. *

Wyjęła z bagażnika narzędzia, rzuciła je na tylne siedzenie i usiadła za kierownicą. Wsiadaj. Ja poprowadzę.

Shabramant,

godzina 24.25

Sanson zatrzymał kawalkadę trzysta metrów od lotniska, na szutrowej drodze prowadzącej do bramy. Już kilka minut wcześniej kazał zgasić wszystkie światła, żeby ich nie zauważono. Wysiadł z samochodu i obejrzał lotnisko na tyle, na ile mógł je dojrzeć przy blasku księżyca. Dostrzegł około pół tuzina baraków i dwa hangary. Teren nie był ogrodzony płotem, tylko po lewej stronie drogi rozciągnięto na odcinku kilkuset metrów drut kolczasty. Po drugiej stronie rozpościerała się kamienista pustynia, usiana piaszczystymi wydhami, rzadko porośniętymi suchą trawą i palmami.

Zawołał majora.

* Niech pan wybierze dwóch najlepszych ludzi i wyśle ich naprzód, na zwiad. I proszę przysłać tu radiotelegrafistę.

* Tak jest, panie pułkowniku. * Major wysiadł z wozu i po chwili wrócił z radiooperatorem i dwoma sierżantami. * To moi najlepsi ludzie, panie pułkowniku.

* Chcę, żebyście obejrzelі sobie to lotnisko * powiedział im Sanson. * Sprawdźcie, czy wszystko tam jest w porządku. Wypatrujcie zwłaszcza dwóch wojskowych amerykańskich ciężarówek. I w żadnym razie nie dajcie się zauważyć. To spaliłoby całą operację. Uczernić twarze i naprzód. Postarajcie się wrócić tu jak najszybciej.

Sierżanci uczernili sobie twarze i dłonie smarem z osi ciężarówki, a potem zniknęli w ciemnościach. Sanson rzekł do radiotelegrafisty.

* Połącz się z dowództwem RAF*u. Niech wypatrują na radarach wszelkich niezidentyfikowanych obiektów wlatujących w przestrzeń powietrzną nad Kairem * mogą to być maszyny wroga. I chcę, żeby nad tym lotniskiem krążyły ze dwa nocne myśliwce. W żadnym wypadku nie mogą pozwolić, aby wylądował tu jakiś samolot.

Godzina 24.45

* I co? * zapytał Sanson powracających zwiadowców.

* Wszędzie spokój, panie pułkowniku * zameldował jeden z nich. * Przy głównej bramie stoją dwaj wartownicy.

* Zauważyliście coś?

* Raczej nie, panie pułkowniku. Wszystko wygląda normalnie. Jednak za bramą parkują dwie amerykańskie ciężarówki .

Sanson natychmiast obrócił się do majora.

* Wkraczamy. Proszę zebrać ludzi na krótką odprawę. Chcę, żeby wszyscy znali rysopisy poszukiwanych, szczególnie Saltera, Haldera i tej kobiety.

Godzina 1.00

Hassana ocucono, wylewając na niego wiadro wody, a potem zaciągnięto do pokoju. Na twarzy miał zaschniętą krew. Był jeszcze oszołomiony po uderzeniu kolbą w głowę, ale na widok zwłok Doringa gwałtownie oprzytomniał.

* Facet powinien być bardziej skłonny do współpracy * zauważył ponuro Salter. * Miejmy nadzieję, że ty

będziesz rozsądniejszy. Inaczej czeka cię to samo albo i coś gorszego. * Ruchem głowy wskazał trupa. *
Ciekawa rzecz. Twój kumpel był szkopem, nazywał się Doring. Cały ten interes zaczyna mi śmierdzieć.
Może więc zapomnijmy o urazach i pogadajmy?

Hassan zmierzył go pogardliwym, nieugiętym spojrzeniem.

* Nic ci nie powiem. Salter uniósł brwi.

* Co z wami jest? Jesteście członkami jakiegoś tajnego stowarzyszenia czy co? Posadźcie go na krzesło,
chłopcy. I zwiążcie.

Przytrzymali Hassana, przywiązali mu ręce do poręczy, a Salter podniósł obcęgi. Złapał prawą rękę Araba
i chwycił cęgami paznokieć wskazującego palca prawej ręki.

* Jestem uprzejmy, więc zapytam jeszcze raz.

Hassan pogardliwie splunął mu w twarz. Salter otarł ślinę z twarzy, ledwie opanowując wściekłość.

* Twardy z ciebie Arabus, co? No, zobaczymy, jaki jesteś twardy, kiedy skończymy z paznokciami i
zabierzemy się za i.lilra. * Uśmiechnął się złośliwie i chwycił obcęgi. * Wiesz w, kwiatuszku? Skłamałbym,
gdybym powiedział, że nie czekałem na to z niecierpliwością.

Zaśmiał się i szarpnął, zrywając paznokieć z palca. Arab

zesztywniał, krople potu wystąpiły mu na czoło, a twarz wykrzywił okropny grymas bólu, ale nawet nie
pisnął.

* Zmieniłeś zdanie?

Hassan zgrzytnął zębami. Krew ciekła mu ze zranionego

palca. Zacisnął powieki z bólu.

* Nie? To spróbujmy jeszcze raz. * Gdy Sal ter chwycił cęgami następny paznokieć, na zewnątrz trzasnęły
serie z broni maszynowej. * Co jest, do cholery?

Do baraku wpadł jeden z jego ludzi.

* Mamy kłopoty, szefie. Duże.

Rozdział 64

Godzina 24.50

Kiedy Weaver dotarł na skrzyżowanie Shabramant, w świetle reflektorów dostrzegł wyraźne ślady opon.

Przerażony, rąbnął pięścią w deskę rozdzielczą.

* Niech to szlag! Zdaje się, że Sanson otrzymał posiłki i już pojechał.

* I co teraz?

* Dodaj gazu i jedź najszybciej, jak możesz.

Shabramant, godzina 1.00

Sanson i jego ludzie podkradli się do wydm naprzeciw bramy. Wszystko szło gładko, aż do ostatniej chwili. W srebrzystej księżycowej poświacie widział budki wartowników, zarys kilku baraków, światła w oknach niektórych z nich. Oprócz dwóch wartowników, którzy stali przy bramie, paląc papierosy i rozmawiając, nie dostrzegł nikogo.

Skinął na dwóch zwiadowców, którzy nadal mieli uczernione ł warze. Poczłgali się naprzód i znikli w mroku jak duchy. Parę minut później pojawili się po drugiej stronie szosy i błyskawicznie nhczwładnili wartowników, lecz jeden z zaatakowanych zdążył leszcze wydać stłumiony krzyk, zanim zatkano mu usta dłonią.

* Miejmy nadzieję, że nikt go nie usłyszał * mruknął ze złością Sanson i rzekł do majora: * Otwórzcie bramę i spróbuj*cic dowiedzieć się od wartowników, gdzie jest Salter, a potem przynieście mi megafon.

* Tak jest, panie pułkowniku.

Sanson poprowadził ludzi do bramy. Kiedy ją otwarto, kazał żołnierzom rozsypać się w tyralierę i ruszać naprzód.

* Nie strzelać, dopóki nie dam rozkazu.

Zaledwie przeszli kilkanaście kroków, gdy drzwi pobliskiego baraku otworzyły się i wyszło z nich dwóch mężczyzn.

* Padnij! * syknął Sanson i wszyscy rzucili się na ziemię, ale było już za późno. Tamci mieli na sobie brytyjskie mundury i byli uzbrojeni w pistolety maszynowe. Na widok intruzów otworzyli ogień, strzelając na oślep, a potem wskoczyli z powrotem do baraku i zgasili światła. Major podbiegł do Sansona i padł na piach obok niego.

* Przeklęty pech... niewiele brakowało, a zaskoczylibyśmy ich.

* Daj mi pan megafon. * Kiedy major mu go oddał, Sanson zawołał w kierunku baraków: * Tu podpułkownik Sanson, wywiad wojskowy! Jesteście otoczeni! Rzućcie broń i wychodźcie z podniesionymi rękami!

Z jednego z okien posypało się szkło, potem wysunęła się lufa stena i seria pocisków przeleciała nad

głową Sansona, który pospiesznie poszukał osłony.

* Skoro taka jest ich odpowiedź, to niech tu podjedzie transporter opancerzony. Rozstawcie ludzi z tyłu baraków na wypadek, gdyby któryś z tamtych był tak głupi i próbował się przebić.

Major wydał rozkaz przez radiotelefon i po chwili transporter z rykiem przejechał przez bramę, skręcił w prawo i zajął stanowisko, dając osłonę skulonym za nim żołnierzom. Sanson zastukał ręką ręką rewolweru w opancerzona burtę. Stalowa kłapa uchylła się i we włązie zobaczył twarz kaemisty.

* Ostrzelać baraki, jeden po drugim * rozkazał. * Wyk u rżymy ich.

Słyszac odgłosy strzałów, Salter natychmiast pogasił światła w baraku. Podszedł do okna, pod którym kulił się jeden z jego ludzi ze stenem w rękach. Usłyszeli metaliczny głos, wzmochniony przez megafon, a potem drugą serię z pistoletu maszynowego.

* To wojsko, szefie. I wygląda na to, że nie żartują. Zamocowany na wieży transportera opancerzonego karabin

maszynowy otworzył ogień do pierwszego baraku, dziurawiac jego cienkie ściany jak papier. Niecałe pięćdziesiąt metrów dalej Salter dostrzegł poruszające się w mroku postacie. Był przerażony i wściekły.

* Skąd wiedzieli, że tu jesteśmy, do cholery?

* Nie mam pojęcia, ale wpadliśmy w szambo, nie ma co. Zabłąkana kula rozbiła szybę i mężczyzna uniósł broń, żeby

odpowiedzieć ogniem, jednak Salter powstrzymał go.

* Nie bądź idiotą, tylko zdradzisz naszą pozycję. * Odwrócił się do stojących za nim czterech mężczyzn. * Jeden zostaje tutaj, a reszta niech spróbuje dotrzeć do pozostałych. Powiedzcie, że przebijamy się, każdy na własną rękę.

Trzej mężczyźni ruszyli do tylnego wyjścia, a Salter z czwartym przyczaili się przy oknie. Zobaczyli jeszcze więcej sylwetek, zbliżających się w ciemnościach. Sądząc po odgłosach, gangsterzy w pozostałych barakach stawiali silny opór, ostrzeliwując się z pistoletów maszynowych.

* Ilu ich jest?

* Zdecydowanie zbyt wielu. I niedługo otoczą nas ze wszystkich stron.

Salter zapienił się ze złości, gdy celna seria poszarpała opony stojącej w pobliżu ciężarówki.

* Dranie, chcą mieć pewność, że im nie uciekniemy. Jeszcze zobaczymy. Biegnij do najbliższego hangaru i sprawdź, czy nie ma tam jakiegoś pojazdu. Zaraz też tam przyjdę, tylko załatwię Arabusa.

* Dobra, szefie.

Mężczyzna poczołgał się po podłodze do tylnego wyjścia. Salter przykucnął obok przywiązanego do

krzesła Hassana i przystawił mu lufę do głowy.

* Wygląda na to, że zostaliśmy sami, skarberku. Czas gadać lub umrzeć. Gdzie Deacon i jego przyjaciele? Powiedz mi, a dożyjesz jutra. Jeśli nie zrobisz tego, rozłupię ci ęb jak melon.

Kolejna seria pocisków przeleciała przez pomieszczenie, rozbijając szyby, dziurawiąc ściany i metalową obudowę radio*.i.ej i. Salter otarł pot z czoła, zacisnął palec na spuście i mocniej wbił lufę w czoło Araba.

* Nie chcę cię popędzać, kolego, ale jeśli szybko mi nie

odpowiesz, możesz już nie mieć okazji. To twoja ostatnia szansa. Gdzie oni są? Twarz Hassana lśniła od potu.

* Na zachodnim brzegu. Willa Maison Fleuve.

* Gdzie dokładnie?

Kiedy Hassan powiedział mu, Salter uśmiechnął się w ciemnościach.

* Chyba nie okłamałbyś mnie, co?

* Weź mnie ze sobą. Pokażę ci.

* Och, nie martw się, stary, na pewno wyjdiesz stąd żywy. Twoi przyjaciele muszą odpowiedzieć na kilka pytań. * Salter rozwiązał mu ręce i lufą wskazał na tylne drzwi. Kolejna seria podziurawiła ściany baraku, obsypując ich drzazgami. * Wychodź, już. I pochyl się.

Hassan chwiejnie podniósł się z krzesła, potknął się w ciemności i wyrócił stół. Salter pchnął go lufą pistoletu maszynowego.

* Ruszaj się, bo nas dopadną!

Hassan dostrzegł swój nóż, nadal wbity w blat biurka. Potknął się ponownie, tym razem celowo, złapał za rękkojeść, wyrwał ostrze z drewna i niepostrzeżenie wsunął broń do rękawa.

* Powiedziałem, ruszaj! * ryknął Salter.

Kiedy dotarli do tylnych drzwi baraku, kule zaczęły padać coraz bliżej i Saltera ogarnął strach. Zobaczył biegnącego ku nim spoconego mężczyznę, który prowadził sfatygowany molo cykl, zielony Moto Guzzi, już z zapalonym silnikiem.

* A to co?

* W hangarze niczego nie było, szefie, tylko kilka rowerów i ten przeklęty stary grat.

* Gównu mnie obchodzi, czy jest stary, ważne, czy jest na chodzie?

* Chyba tak. I ma pełny bak paliwa. * Zmarszczył brwi, patrząc na Hassana. * Nie możemy wziąć tego Arabusa. N;ji motorze starczy miejsca tylko dla dwóch.

* Masz rację. * Salter błyskawicznie uniósł lufę sleim i zaskoczony mężczyzna runął na wznak, przeszyty serią pocili* ków. * Wsiadaj, będziesz prowadził * powiedział do Hassanw i pchnął go w kierunku motocykla.

Arab obrócił się na pięcie. Błysnęło ostrze. Salter szeroko otworzył oczy z przerażenia, usiłując obrócić stena. Nóż trafił go w gardło, otwierając szeroką ranę, z której trysnęła krew. Hassan doskoczył do niego i wbił mu ostrze głęboko w pierś. Salter wrzasnął i zatoczył się, upuszczając stena, a Arab syknął:

* Idź do piekła, Angliku!

Kiedy Salter upadł z koszulą moką od krwi, Hassan wyrwał nóż, podniósł stena i przewiesił go sobie przez ramię. Obolały, niepewnie wgramolił się na motor w tej samej chwili, gdy zza narożnika budynku wyjechał dżip z trzema żołnierzami. Posłał w ich kierunku długą serię i pojazd gwałtownie wycofał się za barak.

Sanson poprowadził ludzi w stronę baraku, kryjąc się za l ransporterem. Ten budynek atakowano jako ostatni, pozostałe już zostały zdobyte, chociaż gangsterzy Sal tera stawiali zacięty opór, dopóki się nie zorientowali, że nie mają żadnych szans. Z jednego budynku wyprowadzono grupkę oszołomionych egipskich żołnierzy, z rękami związanymi na plecach i ranami od odłamków szkła, lecz wśród zabitych i schwytyanych nie było Haldera ani Saltera, a ponieważ pozostał już tylko jeden barak, Sanson zaczął się niepokoić.

* Każcie im się poddać. Major podniósł megafon do ust:

* Rzućcie broń i wychodźcie z podniesionymi rękami. Jeśli nie usłuchacie, otworzymy ogień.

Żadnej odpowiedzi.

* Dajcie mi dwa granaty! * warknął Sanson.

Kiedy major podał mu je, Sanson szerokim łukiem cisnął najpierw jeden, a potem drugi w okno budynku. Gdy wybuchły, kazał kaemiście z transportera ostrzelać barak. Bren zasypał werandę gradem pocisków. Posypały się drzazgi, z okien wyle* i u lv resztki szyb, a drzwi obwisły na odstrzelonych zawiasach. Ymson ruszył naprzód z rewolwerem w ręku. No dobrze, zobaczymy, co tam mamy.

Ktoś zapalił światło i Sanson zobaczył rozbitą kulami radio*Iliejc i ciało zamęczonego Doringa w kącie.

* Przeprowadźcie jednego z jeńców. Chcę wiedzieć, co tu

się dzieło.

Wprowadzono krępego mężczyznę ze złamanym nosem i rękami skutymi na plecach. Sanson doskoczył do niego. * Gdzie jest Salter? * zapytał.

Kiedy tamten zawahał się, Sanson z całej siły rąbnął go w szczękę. Mężczyzna zatoczył się, a Sanson z morderczym błyskiem w oku odbezpieczył rewolwer.

* Jeśli będę musiał pytać po raz drugi, stracisz oko. Tamten poruszył szczęką.

* On... był tutaj, przysięgam. Sanson wskazał na ciało.

* Kto to?

* Jeden z kumpli Deacona, szkop nazwiskiem Doring.

Reggie pogadał sobie z nim i z tym Arabem...

* Lepiej opowiedz mi o wszystkim, co tu się działo. Natychmiast. Chcę wiedzieć, kto tutaj był, kiedy napadliście na lotnisko, i masz mi podać rysopisy.

Wysłuchał relacji gangstera, a potem przywołał dwóch żołnierzy.

* Poszukajcie tego Araba i Saltera, sprawdźcie, czy ktoś

ich nie widział. Muszą nadal być na lotnisku. I uważajcie, bo obaj są sprytni i niebezpieczni. * Klęknął obok ciała Dorin*ga. * Co on powiedział twojemu szefowi?

* Nic. Milczał do końca, biedny frajer.

Sanson wstał.

* Czy wiesz coś o tym człowieku w mundurze oficera? Mam powody podejrzewać, że to niemiecki agent, niejaki Halder. Muszę szybko go znaleźć. Gdzie on jest?

Człowiek Saltera zdziwił się.

* Jasna cholera! To dla mnie coś nowego. Sam chciałbym

wiedzieć, co tu się dzieje.

* Odpowiedz na pytanie.

* Był z nami, kiedy opanowaliśmy lotnisko, ale potem odjechał z jednym ze swoich ludzi. Został tylko ten Doring i Arab. Reggie mówił, że mieli wrócić, zanim wylądują samoloty

Sanson prychnął ze złości i obejrzał rozbitą radiostację.

* Czy ktoś kontaktował się z Doringiem i jego przyjaciółmi przed naszym przybyciem lub później?

* Nic o tym nie wiem.

* O której miały wylądować samoloty?

* Szef nie wiedział dokładnie. Kumple Deacona mieli mu powiedzieć po powrocie.

Wrócił jeden z dwóch żołnierzy, których Sanson wysłał na poszukiwania.

* Widziano Araba, panie pułkowniku. Nasi chłopcy kilka minut temu wjechali na tyły baraku i widzieli, jak odjeżdża na motorze. Pojechali za nim.

* Co z Salterem?

* Znaleźliśmy go. Żle z nim.

Przynieśli Saltera i położyli go na biurku. Oddychał z trudem, krew płynęła mu z rany na szyi.

* Zaraz tu będzie sanitariusz. Spróbuj wytrzymać * powiedział mu Sanson, ale wiedział, że to beznadziejne. Salter wykrwawiał się z głębokiej rany w piersi. Leżąc na biurku, już wyglądał jak trup. Twarz miał kredo wobiałą i kurczowo przyciskał dłonie do piersi. Sanson nachylił się nad nim. * Posłuchaj mnie, Salter. Przyjaciele Deacona to niemieccy szpiedzy. Muszę ich znaleźć. Rozumiesz mnie?

Salter zakrzuszył się krwią i wbił wzrok w sufit. Przez chwilę wydawało się, że odzyskuje przytomność. Zdołał złapać San*sona za mundur. Gniewnie błysnął oczami i wyrzucił:

* Ten przeklęty Arab... załatwił mnie... Sanson ledwie panował nad sobą.

* Człowieku, jeśli wiesz, gdzie oni są, to powiedz! Salter zabalgotał i puścił mundur. Oddychał z coraz większym

Irudem.

* Trzymaj się. Sanitariusz już idzie.

* To... na nic. Nie pomoże...

* Gdzie oni są, Salter? Na Boga, powiedz mi, jeśli wiesz!

Weaver był niecałe sto metrów od lotniska, gdy dostrzegł błyski strzałów. Po pustyni niósł się huk granatów i trzask broni maszynowej. Serce zamarło mu w piersi. Kazał Helen Kane zatrzymać wóz i wysiadł.

* Spóźniliśmy się. Już zaatakowali.

Wyszła z wozu i stanęła obok niego. Weaver ponuro spoglądał na lotnisko, obserwując ogniki wystrzałów. Położyła dłoń na jego ramieniu.

* Nic nie mogłeś zrobić, Harry. Przykro mi to mówić, ale to już koniec. Teraz wynośmy się stąd, zanim nas zastrzelą.

Weaver wziął z samochodu pistolet.

* Jeżeli nie wrócę za piętnaście minut, wsiadaj do samochodu i jedź do Kairu.

* Harry, proszę... Przecież to bezcelowe.

* Muszę wiedzieć, co się stało.

Rozdział 65

Hassan pędził na motorze skrajem pasa startowego.

Kiedy seria pocisków poszarpała ziemię na prawo od motocykla, Arab obejrzał się. Za nim jechał dżip z trzema żołnierzami, ciągnąc za sobą chmurę kurzu. Hassan dodał gazu, usiłując powiększyć dystans, ale ledwie panował nad kierownicą, tak bolała go zraniona ręka.

Nagle pas się skończył i Arab skręcił w lewo, na otwartą przestrzeń. Jechał po ubitym piasku, który twardymi falami przepływał pod kołami wściekle podskakującego na amortyzatorach motocykla, wywołując wciąż nowe ukłucia bólu. Wytężał wzrok, wpatrując się w ciemność, lecz aż do płotu z drutu kolczastego widział tylko pofalowaną równinę. Był w pułapce. Ponownie się obejrzał, gdy kule przeorały ziemię tuż przed nim. Dżip podskakiwał na nierównym terenie, szybko go doganiając.

Zaczął jechać zygzakiem, rozpaczliwie szukając jakiegoś pagórka w pobliżu ogrodzenia, aż dostrzegł długie, łagodne wzniesienie. Kolejna seria przeleciała niebezpiecznie blisko. Gwałtownie skręcił w lewo, wyprostował maszynę i skierował ją na pagórek, dodając gazu.

Moto Guzzi ostro przyspieszył, błyskawicznie pokonując pozostałe metry, i wydawało się, że zaraz zaryje się w piaszczysty pagórek. Hassan w ostatniej chwili poderwał przednie koło i przekręcił do końca manetkę gazu. Z rykiem silnika maszyna uderzyła tylnym kołem o wzniesienie i wyleciała w powietrze. Przez kilka przerażających sekund motor szybował w powietrzu, coś ostro szarpnęło Hassana za nogę, gdy przelatywał nad

ogrodzeniem, po czym zaczął opadać. Przednie koło mocno uderzyło o ziemię, Moto Guzzi stanął dęba, a Hassan spadł z siodła i potoczył się po ziemi.

Zaparło mu dech w piersiach. Oszołomiony, widział, jak kierowca dżipa usiłuje ominąć pagórek. Spóźnił się o ułamek sekundy, wóz zahaczył dwoma kołami o wzniesienie, wzbil chmurę kurzu i przeokoziółkował. Jeden z jadących nim żołnierzy został wyrzucony w powietrze, zanim dżip przeokoziółkował jeszcze raz i wylądował na płocie. Hassan słyszał zduszone krzyki przygniecionych pojazdem żołnierzy.

Z trudem podniósł się z ziemi i sprawdził motocykl. Silnik wciąż pracował, więc Arab wdrapał się na siodło i wolno ruszył naprzód, oceniając uszkodzenia. Przednie koło było odrobinę skrzywione. Nadal się obracało, ale ocierało się przy tym o widełki, co znacznie spowolni jazdę. Steń posiniaczył Hassanowi bok przy upadku, drut kolczasty zostawił poszarpaną ranę na prawej łydce, a rozcięty policzek znów

zaczął krwawić.

Nagle usłyszał ogłuszający huk nisko przelatujących myśliwców. Najpierw jeden spitfire i tuż za nim drugi przemknęły nad lotniskiem i zniknęły w mroku. Hassan zwiększył obroty silnika i zobaczył, że trzeci z jadących dziupem żołnierzy chwiejnie podnosi się z ziemi, ściskając ramię. Poderwał się i puścił serię. Żołnierz przypadł do ziemi, a Hassan odjechał.

Weaver był w połowie drogi do bramy lotniska, gdy nagle m plecami usłyszał warkot silników. Obejrzał się. Trzydzieści metrów za ogrodzeniem trzech żołnierze w dziupie ścigali człowieka na motorze. Jeden z nich ostrzeliwał motocyklistę, który zygzakował po nierównym terenie. Ku zdumieniu Weavera mężczyzna nagle skręcił i pełnym gazem ruszył w kierunku ogrodzenia. Kiedy od uderzenia w płot dzielił go tylko ułamek sekundy, poderwał przednie koło maszyny i motocykl z wyciem silnika przeleciał nad drutem kolczastym. Ścigający go dziup dwukrotnie przeokołkował i znieruchomiał do góry kołami,

Widząc, że motocyklista wstaje z ziemi i sprawdza motor, Weaver zaczął biec. W tym momencie po niebie przemknęły dwa nisko lecące myśliwce, a motocyklista puścił serię z pistoletu maszynowego i odjechał w przeciwnym kierunku.

Gdy Weaver dobiegł do ogrodzenia, zobaczył chwiejącego się na nogach sierżanta, ściskającego ramię. Przeszedł do niego po przewróconym dziupie.

* Podpułkownik Weaver, wywiad wojskowy. Co się tu stało?

Sierżant osunął się na kolana. Weaver doskoczył do niego, zanim tamten upadł na ziemię. Twarz rannego wykrzywił grymas bólu, a jego ręka zwisała bezwładnie, prawdopodobnie złamana. Sierżant spojrzał na ciała pod przewróconym dziupem.

* Biedacy.

* Co się stało? Gdzie pułkownik Sanson?

* Oczyszcza lotnisko, panie pułkowniku.

Weaver zdjął mu pas i zapiął klamrę, po czym wykorzystał pasek jako prowizoryczny temblak. Sierżant jęknął.

* Kto jechał na motorze?

* Jakiś Arab. Uciekł z baraku na lotnisku. Ścigaliśmy go.

* A tych dwoje Niemców? * pytał pospiesznie Weaver. * Mężczyzna i kobieta. Zostali złapani?

* Nie słyszałem o żadnej kobiecie, panie pułkowniku. Ani o Niemcu.

Weaver usłyszał warkot silników. Od budynków lotniska zbliżało się do nich kilka pojazdów z zamalowanymi na niebiesko reflektorami. Spojrzał na drogę, którą odjechał motocyklista. Na piasku pozostał wyraźny ślad kół. Błyskawicznie podjął decyzję.

* Pomoc już nadchodzi, sierżancie. Sprowadzą wam sanitariusza.

Wspiął się na rozbity pojazd i pobiegł z powrotem do samochodu Helen Kane.

* Zgubiliśmy Araba, panie pułkowniku. Sanson wściekł się, kiedy to usłyszał.

* Wyślijcie paru ludzi, niech spróbują pojechać jego śladem. Niech wezmą ze sobą radiooperatora i informują nas o sytuacji.

* Postaramy się, panie pułkowniku, chociaż chyba już na to za późno. Zdaje się jednak, że jakiś amerykański oficer pojawił się na miejscu zdarzenia i pojechał za nim. Nazywał się Weaver.

* Co?!

* Podpułkownik Weaver. A przynajmniej tak się przedstawił, panie pułkowniku. Udzielił pierwszej pomocy sierżantowi, po czym pośpiesznie pojechał za Arabem.

* Wyślijcie za nim paru ludzi! * wybuchnął Sanson. * Niech sprawdzą drogę i aresztują go.

* Panie pułkowniku...?

* Słyszał pan! * pienieł się Sanson. * To zbiegły więzień. A teraz szybko dajcie mi plan Kairu.

Zdumiony major wydał rozkazy jednemu ze swoich oficerów i po chwili wrócił z mapą. Spojrzał na Saltera, który leżał na noszach w kącie pokoju. Nad nieprzytomnym gangsterem pochylał się sanitariusz.

* Sądzi pan, że wyjdzie z tego, panie pułkowniku?

* Mało mnie to obchodzi * warknął Sanson, rozwinął plan i przygniół go dłonią, żeby się nie zwijał. * Ta willa,

o której mówił, Maison Fleuve na zachodnim brzegu Nilu... słyszał pan o niej?

* Obawiam się, że nie.

* Zmieniłem zdanie. Niech radiooperator pozostanie tutaj na wypadek, gdyby Niemcy próbowali wylądować i byłyby potrzebne posiłki. Najpierw jednak skontaktujcie się z amerykańską ambasadą i przekażcie pilną wiadomość generałowi Claytonowi. Zawiadomcie go, co tu się stało.

* A co z lotniskiem, panie pułkowniku?

* Ustawcie parę ciężarówek na pasie startowym, tak aby nic nie mogło na nim wylądować. Dwudziestu pańskich ludzi zabieram ze sobą, reszta zostanie i przypilnuje więźniów. Ponieważ radiostacja została rozbita, Arab na pewno pojechał do willi. A jeśli Salter miał rację, będą tam również Niemcy

i Deacon.

Maison Fleuve, godzina 1.30

Halder obudził się z krzykiem, zlany potem. Rachel siedziała skulona na fotelu pod oknem. Podeszła i położyła mu rękę na czole.

* Wszystko w porządku, Jack. Jestem tu.

* Co... co się stało?

* Chyba miałeś zły sen, to wszystko. Rzucałeś się i mamrotałeś we śnie.

Przypomniał sobie i spochmurniał.

* Chyba zdenerwował mnie ten wróżbita. Miałem koszmarne sen o Paulim. Był nalot... bomby... on umierał.. Nie mogłem go ocalić.

* Jack, to nonsens.

Wstał z łóżka, podszedł do emaliowanej miski i opryskał sobie twarz wodą.

* Starożytni nazywali sny prorocत्वami duszy, ostrzeżeniem zesłanym przez bogów. Czasem wydaje mi się, że wiedzieli więcej niż my.

* To przesady.

Gdy wycierał twarz, w oczach miał niepokój. Rachel stanęła za nim, objęła go rękami i oparła głowę o jego kark.

* Tyle się dzieje, że twój umysł pracuje po godzinach. Stąd takie koszarne sny. Jak na dorosłego mężczyznę, zachowujesz się czasem zupełnie nierozsądnie. Spróbuj o tym zapomnieć, Jack.

Odwrócił się, wziął ją w ramiona i spojrzał jej w oczy.

* Wiesz co? Jesteś dla mnie za dobra, Rachel Stern. Tak mocno stoisz nogami na ziemi.

Przycisnęła palec do ust, ale w jej oczach dostrzegł napięcie.

* Może zejdź na dół. Im prędzej tam wrócisz, tym lepiej. * Dotknęła jego policzka, ucałowała go lekko i popatrzyła mu w oczy. * Obiecasz mi, że wrócisz cały? Dla dobra nas obojga.

Zszedł do patio i zastał Deacona z Kleistem, niespokojnie czekających przy stole, na którym stała radiostacja. Nil migotał światłkami łodzi rybackich i majestatycznie toczył swe ciemne wody w mroku nocy. Na przeciwległym brzegu majaczyły nieruchome sylwetki palm.

* Jak cisza przed burzą * zauważył Halder.

* Najgorsze jest czekanie * mruknął zdenerwowany Dea*i on, ocierając kark chusteczką. * Odpoczął pan?

* Za krótko. * Na stoliku stał dzbanek z kawą po turecku i kilka filiżanek. Halder nalał sobie. * Czy Doring meldował nam coś przez radio?

* Do tej pory nie.

Halder skinął na Kleista.

* Na wszelki wypadek lepiej będzie nawiązać z nimi łączność, zanim tam wrócimy.

Kleist podszedł do radiostacji, nastawił ją i założył słuchawki.

* Jeździec Jeden do Jeźdźca Dwa, słyszysz mnie? Odbiór. *

Kilkakrotnie powtórzył wywołanie i zmarszczył brwi. * Żadnej odpowiedzi. Po tamtej stronie cisza.

* Jesteś pewny, że radiostacja działa i jest nastawiona na właściwą częstotliwość?

Kleist upewnił się i skinął głową.

* Niech pan sam sprawdzi.

Halder zrobił to, ale usłyszał tylko trzaski. Kiedy odłożył słuchawki, Deacon zapytał z niepokojem:

* Myśli pan, że coś się stało?

* Przed odjazdem z lotniska sprawdziliśmy obie radiostacje. Działały doskonale. Może to tylko problem techniczny, ale nigdy nie wiadomo. Idź do dżipa, Kleist. Wracamy tam.

Kiedy esesman wyszedł, Halder zapytał:

* Sądzi pan, że Salter mógł nam wykręcić jakiś numer?

Deacon spochmurniał.

* Nie sądzę, nie teraz, kiedy spodziewa się takiego łupu. Jednak trudno powiedzieć, do czego może być zdolny taki gad jak on. Myśli pan, że w razie czego poradzicie sobie z nim?

* Miejmy nadzieję. Najważniejszy jest czas. Salter na pewno nie opuści lotniska, dopóki nie wylądują samoloty. Później nie będziemy musieli się nim przejmować. * Halder postukał palcem w radiostację. * Ale martwi mnie ten brak

odpowiedzi.

* Nie tylko pana. Halder założył czapkę.

* Jeśli uporamy się z problemem radiostacji, dam panu znać, kiedy wylądują spadochroniarze Skorzeny'ego. W prze ciwnym razie jeden z nas będzie musiał tu przyjechać i zawiadomić pana. Jeśli dobrze pójdzie, do rana będzie po wszystkim i spotkamy się po raz ostatni. Proszę zaopiekować się panią, kiedy mnie nie będzie.

Deacon mocno uściskał mu dłoń. * Powodzenia, majorze.

Halder odwrócił się, żeby wyjść, ale przypomniał sobie, że zostawił M3 w sypialni na górze. Kiedy ruszył z powrotem, usłyszał warkot pojazdu, podjeżdżającego do frontowych drzwi. Wyjął pistolet i zapytał Deacona:

* A to kto?

Gdy obaj skierowali się do drzwi, stanął w nich zdyszany i zdenerwowany Kleist.

* Lepiej wyjdźcie na zewnątrz.

Rozdział 66

Weaver ani razu nie włączył reflektorów. Jechał za śladem pozostawionym przez opony motocykla, aż w końcu dostrzegł wzbijaną przezeń chmurę kurzu. Motocyklista również korzystał tylko ze światła księżycy i raz po raz zygzakował, jakby z trudem panował nad kierownicą.

Weaver obserwował drogę, starając się upewnić, czy nikt za nimi nie jedzie. Miał nadzieję, że nie. Kiedy przejechali kilka kilometrów, powiedział do Helen Kane:

* Może się mylę, ale on jedzie tak, jakby był ranny. Ani n; chwilę nie spuszcza go z oczu. Nie chcę go zgubić.

O tak wczesnej porze prawie nie było ruchu, więc dziesięć minut później przejechali po moście i znaleźli się na słabo zaludnionym zachodnim brzegu. Minęli kilka starych posiad łości nad brzegiem Nilu i zobaczyli, że Arab skręca w prywatny drogę biegnącą wzdłuż rzeki. Półtora kilometra dalej motocykl znikł w otwartej bramie pomalowanej na biało willi.

Weaver natychmiast zjechał z drogi, zgasił silnik i przez chwilę; nasłuchiwał warkotu motocykla. Potem wysiadł z samochodu i spojrzał w ciemność. Helen Kane zmarszczyła brwi.

* Jak myślisz, co on zamierza?

Weaver sprawdził colta i wsunął go za pasek spodni.

* Zostań tu, pójdę się rozejrzeć. Jeśli nie wrócę za dw;i dzieścia minut, znajdź najbliższy telefon i skontaktuj się z San

sonem.

* Harry, to bez sensu. Co ci to da? Dlaczego nie możemy

skontaktować się z Sansonem od razu?

* Skoro zabrnąłem już tak daleko, równie dobrze mogę brnąć do końca. Pamiętaj, czekaj tu.

Posadzili Hassana na krzesło, a Deacon poszedł po ręcznik i miskę z wodą. Kiedy wrócił, przemył głęboko rozcięty policzek Araba. * Co się stało? * zapytał niecierpliwie Halder. Hassan zgrzytnął zębami i przycisnął ręcznik do twarzy.

Mówienie sprawiało mu ból. Gdy opowiedział im wszystko, Deacon wściekł się.

* Ten parszywy drań Salter zdradził nas i wszystko popsuł!

* Złość nic nam nie da * stwierdził Halder. * Interesuje mnie tylko, skąd alianci wiedzieli o lotnisku? Bo przecież nie od Saltera?

Hassan potrząsnął głową.

* Wiem tylko, że samoloty nie mogą tam wylądować. Wojsko i brytyjskie myśliwce tylko czekają, żeby je zestrzelić.

Halder zapytał z rezygnacją:

* Jesteś pewny, że nikt cię nie śledził?

Arab dźwignął się z krzesła, nadal przyciskając ręcznik do twarzy.

* Niczego nie jestem pewny oprócz tego, że zabiłem tę świnię Saltera.

Halder natychmiast podjął decyzję.

* Kleist, wyjdź i rozejrzyj się wokół. Zaraz wyjeżdżamy. Esesman pospiesznie wyszedł, a Deacon spytał:

* Można wiedzieć dokąd?

* Gdzieś, gdzie będziemy mogli się zastanowić, co dalej. Jeżeli alianci wiedzieli o lotnisku, nie wiadomo, co jeszcze mogą wiedzieć. Pozostanie tutaj byłoby szaleństwem. Lepiej niech pan jak najszybciej wyśle sygnał do Berlina, może zdążą odwołać Skorzeny'ego. Proszę koniecznie upewnić się, że odebrali wiadomość. Potem odpłyniemy łodzią. Na rzece będziemy bezpieczniejsi niż na drogach.

Gdy ruszył, żeby pójść po Rachel, Deacon złapał go za ramię.

* Niech pan posłucha, Halder. Możemy jeszcze wykonać zadanie. Jeden z nas mógłby przejść przez tunel i...

Halder wyrwał mu się.

* Uspokój się, Deacon. Bez naszych spadochroniarzy to beznadziejne. Jeśli chce pan na ochotnika popełnić samobój

stwo, proszę bardzo. Dla mnie ta misja już się skończyła. Wydałem rozkaz. Wyślemy sygnał i wynosimy się stąd. Za plecami usłyszeli kroki i głos:

* Skończyła się dla was wszystkich. Odwrócili się. Na patio stał Weaver.

* Nikt się stąd nie ruszy * dodał.

Z coltem w ręku wszedł do pokoju.

* Podnieście ręce do góry, tak, żebym je widział. Powoli. Halder usłuchał, Deacon i Hassan poszli w jego ślady.

* Teraz wyjmij broń z kabury, Jack, połóż ją na podłodze

i kopnij do mnie.

Halder wykonał polecenie. Był wstrząśnięty.

* Wygląda na to, że nadszedł dzień, którego się obawiałem. Ty i ja, Harry, przeciw sobie, jak w jakimś tanim westernie. Jakbyśmy nigdy nie byli przyjaciółmi. Możesz mi powiedzieć, w jaki sposób mnie znalazłeś?

Weaver wskazał lufą na Hassana.

* Jechałem za twoim przyjacielem. Ten drugi to Deacon, prawda? Ostatni członek grupy.

* Jestem pod wrażeniem, Harry. Najwidoczniej bardziej deptaliście nam po piętach, niż myślałem.

* Powinieneś pozwolić mi go zabić, kiedy miałem okazję * zauważył kwaśno Hassan.

* Obawiam się, że wzajemne pretensje do niczego nie prowadzą * rzekł Halder i spojrzał na Weavera. * Tak dla zaspokojenia mojej ciekawości, skąd wojsko wiedziało o lotnisku?

* Skradzione ciężarówki naprowadziły nas na trop Saltem.

Reszty możesz się domyślić.

* Rozumiem. A zatem pozostaje tylko pytanie, co dalej?

* Myślę, że znasz odpowiedź, Jack. Sanson już tu jedzie ze swoimi ludźmi. Potem czeka cię sznur albo pluton egzekucyjny. Już sam mundur, który masz na sobie, wystarczy do wyroku śmierci za podszywanie się pod oficera armii USA.

* Pewnie nie kłamiesz, mówiąc o Sansonie?

* Skądże.

* Więc nie zapomnij o liliach na mój grób, dobrze, stary

przyjacielu? Nigdy nie przepadałem za różami. Weaver pochylił się i podniósł broń Haldera.

* Gdzie jest Rachel?

* Ona nie ma z tym nic wspólnego, Harry * powiedział błagalnie Halder. * My wszyscy jesteśmy winni, aleją do tego zmuszono. Musisz ją puścić.

* Pytałem; gdzie ona jest?

* Tutaj.

Weaver obrócił się, słysząc za plecami jej głos. Rachel stanęła w progu, trzymając w rękach pistolet maszynowy Haldera.

* Proszę, rzuć broń, Harry.

Za Rachel pojawił się Kleist z pistoletem wycelowanym w głowę Helen Kane, którą mocno trzymał za ramię.

* Puść...

Helen usiłowała się wyrwać, ale Kleist wepchnął ją do pokoju.

* Znalazłem ją na drodze, to przyjaciółka tego Amerykanina. Czekala w samochodzie kawałek dalej. * Esesman spojrzal na Weavera. * Słyszałeś, co powiedziałem? Rzuć broń.

Weaver wycelował w niego, ale Kleist rzucił pośpiesznie:

* Zrób to, inaczej ta suka zostanie bez mózgu.

* Harry, lepiej będzie, jeśli zrobisz, co mówi * powiedział spokojnie Halder. * Zdaje się, że szczęście odwróciło się od ciebie. Może więc rzucisz broń i przedstawisz tę damę?

Weaver spojrzal na Rachel i rzekł ochryłym głosem:

* Nie wiesz, co robisz...

* Zamknij się * przerwał mu Kleist. * Rzuć broń, i to szybko.

Weaver wypuścił colta, który ze szczękiem upadł na podłogę. Deacon podniósł go, a Halder podszedł do Rachel i wyciągnął rękę.

* Jak na kobietę, która nie znosi broni, spisałaś się bardzo dobrze. Teraz lepiej oddaj mi to, zanim ktoś zostanie ranny.

Nie oddała mu pistoletu.

* Cofnij się, Jack.

Halder zmarszczył brwi, zbity z tropu. Chciał coś powiedzieć, ale Rachel wycelowała w niego lufę M3.

* Pod ścianę. Ty też, Harry. * Skinęła na Kleista. * Zaprowadź kobietę do piwnicy. Zwiąż ją.

Kleist wywłókł Helen Kane z pokoju, a Rachel powiedziała do Hassana:

* Wyjdź na zewnątrz i trzymaj straż. Jeśli coś zobaczysz lub usłyszysz, natychmiast tu wróć.

Rozbawiony Arab zupełnie zapomniał o bólu. Deacon rzekł:

* Słyszając rozkaz. Wykonaj go. Potem ci wszystko wyjaśnię.

Kiedy Hassan wyszedł, Rachel spojrzała na Deacona.

* Wyślij sygnał do Berlina. Wiesz, co masz im powiedzieć. Deacon pośpiesznie opuścił pokój. Kiedy jego kroki ucichły

na schodach do piwnicy, zostali sami.

Krew odpłynęła z twarzy Weavera, gdy zrozumiał okropną prawdę. Halder również zbladł jak ściana.

* Wiesz co, nagle doszedłem do wniosku, że Harry i ja przez wiele lat żyliśmy złudzeniami * powiedział powoli.

* Chyba czas, żebyście obaj poznali prawdę.

Rozdział 67

Berlin, godzina 1.45

Schellenberg właśnie skończył późną kolację w swoim pokoju w głównej kwaterze SS, kiedy doręczono mu meldunek w zalakowanej kopercie. Bombardowanie ustało i wrócił do swojego biura na drugim piętrze, gdzie rześisty deszcz bębnił o zaklejone szyby. Nad Berlinem wisiał gęsty całun chmur. Schellenberg złamał lakową pieczęć i pośpiesznie przeczytał odszyfrowaną depeszę. Zaciśnął wargi, a potem podniósł słuchawkę i wezwał adiutanta.

* Natychmiast zadzwoń do admirała Canarisa. Powiedz mu, że pilnie chcę się z nim widzieć.

* Panie generale, jest po północy i...

* Do diabła, wiem, która jest godzina! Zrób to.

Pół godziny później, gdy Schellenberg załatwił już wszystkie telefony, przybył zmoknięty Canaris, zmęczony i zaniepokojony. Adiutant wprowadził go i wyszedł.

* Czego chcesz? Schellenberg podał mu depeszę.

* Przyszła pilna wiadomość z Kairu. Pomyślałem, że chciałbyś wiedzieć...

Canaris przeczytał depeszę, ponuro pokręcił głową i gniewnie rzucił kartkę na biurko.

* Tak jak myślałem. Wszystko spęzło na niczym. Niepotrzebnie straciliśmy dobrych ludzi. Teraz z pewnością zostaną ł chwytni i rozstrzelani.

Schellenberg wziął z biurka papierośnicę, wyjął jednego papierosa, zapalił i powoli zaciągnął się, jakby rozkoszując się tym, co zamierzał powiedzieć.

* To fatalnie, bez dwóch zdań. A tak niewiele brakowało. Samoloty Skorzeny'ego już wystartowały i są w drodze. Musiałem wydać rozkaz, żeby wracały do Rzymu, bo alianci z pewnością zestrzeliliby je przed lądowaniem. Niestety Rzym ma problemy z przekazaniem tego rozkazu... sygnał jest słaby i nie mogą nawiązać łączności. Oczywiście będą dalej próbować, ale na wszelki wypadek kazałem skierować w ten obszar Morza Śródziemnego nasze nocne myśliwce stacjonujące na Krecie. Może odnajdą dakoty Skorzeny'ego, zanim będzie za późno. Módlmy się, żeby pułkownik ocalał. Rzecz jasna, Fiihrer jest głęboko rozczarowany. Rozmawiałem z nim przez telefon przed twoim przyjściem i teraz naprawdę nie jest w najlepszym humorze. Jednak jeszcze nie stracił nadziei. Canaris spojrzał na niego jak na wariata.

* Nie stracił nadziei? Przecież już po wszystkim.

* Jeszcze nie. Prawdę mówiąc, teraz zacnie się najciekawsze.

Canaris zmarszczył brwi.

* Nie rozumiem. Schellenberg wstał.

* Tak myślałem. Nadszedł czas, mój drogi Wilhelmie, żebyś poznał prawdę. Z pewnością pamiętasz najważniejszą zasadę dobrej pracy wywiadowczej: zawsze należy wyprzedzać przeciwnika o krok. Widzisz, moją atutową kartę zachowałem na koniec. Myślę, że się zdziwisz.

Schellenberg podszedł do okna i spojrzał na ścianę deszczu. Jedną rękę założył do tyłu, w drugiej trzymał papierosa.

* Zdaje się, że słyszałeś plotki o moim agencie, „Słowiku”?

* Oczywiście. Dlaczego pytasz?

* I co gminna wieść niesie? Canaris wzruszył ramionami.

* Podobno tylko Fiihrer i garść zaufanych wyższych oficerów SD zna jego prawdziwą tożsamość. Jest najlepszym agentem, jakiego kiedykolwiek mieliście. Bezwzględny. Sprytny. Całkowicie oddany

sprawie.

Schellenberg z aprobatą skinął głową.

* Trafna ocena. „Słowik” to rzeczywiście jeden z najlepszych agentów, jakich kiedykolwiek wyszkoliliśmy. Bardzo inteligentny i niezwykle pomysłowy. Zachowujący zimną krew

i nie tracący głowy nawet w najtrudniejszych sytuacjach, potrafiący całkowicie skupić się na wykonywanym zadaniu. Sądzę, że się zgodzisz, że są to również zalety dobrego zamachowca? Canarisowi nagle zaschło w ustach.

* Co chcesz mi powiedzieć?

* „Słowik” należy do grupy, którą postaliśmy do Kairu. Spróbuje dokonać tego, czego nie zdołali zrobić Halder i Sko*rzy.

Canaris tępym wzrokiem patrzył na Schellenberga, który mówił dalej:

* Jak wiesz, Wilhelmie, naszym najważniejszym celem był Roosevelt. Teraz stał się jedynym celem. A „Słowik” jest naszą ostatnią kartą... jedyną nadzieją na sukces. Asem w rękawie.

Canaris był zdumiony.

* Kim on jest?

Schellenberg przecząco pokręcił głową.

* To nie on, lecz ona. Ściśle mówiąc, Rachel Stern.

Canaris był kompletnie zaskoczony. Schellenberg odczekał chwilę, po czym dodał:

* Oczywiście to nie jest jej prawdziwe nazwisko, ale na razie wystarczy.

* To chyba jakiś żart?

Schellenberg z urażoną miną odszedł od okna i usiadł.

* Nie żartowałem w tak poważnej sprawie.

* Przecież to niewiarygodne!

* Powinieneś wiedzieć o kilku faktach. Przed wojną była naszą najlepszą agentką w Egipcie i dostarczyła nam wielu cennych informacji. O instalacjach wojskowych, o ugrupowaniach nacjonalistów, które były cierniem w boku Brytyjczyków, i wielu innych. * Schellenberg uśmiechnął się z satysfakcją. * Wierz mi, była naprawdę dobra. Lepsza niż wszyscy wasi ludzie razem wzięci. Najlepsi z nich wyglądali przy niej jak kiepscy amatorzy.

* Przecież Rachel Stern jest pół*Żydówką? Schellenberg uśmiechnął się szeroko.

* No tak, to było dość pomysłowe. Kiedy posyłaliśmy ją do Egiptu, potrzebna jej była wiarygodna legenda. Profesor Stern i jego żona byli agentami SD. Żydowskie pochodzenie jego żony i antyhitlerowskie poglądy profesora były mistyfikacją, ale doskonale nadawały się do naszych celów. Dlatego ktoś z SD wymyślił jeszcze córkę Sternów. Resztę możesz sobie

dopowiedzieć.

Canaris gorączkowo zastanawiał się nad znaczeniem tych

faktów.

* A ich aresztowanie przez gestapo po powrocie do Niemiec?

* Kolejna zasłona dymna. Okręt Kriegsmarine miał ich zabrać po drodze do Stambułu, ale „Izmir” zatonął. Na szczęście dla nas, profesor i „Słowik” zostali uratowani. Pozorne aresztowanie miało podtrzymać legendę.

* A pobyt Rachel w Ravensbruck? Schellenberg znów się uśmiechnął.

* Dziwię się, że sam się tego nie domyśliłeś, Wilhelmie. Widzę, że jeszcze nie otrząsnąłeś się z zaskoczenia. Kolejna

mystyfikacja.

* Nie rozumiem.

* Halder nie widział Rachel Stern, od kiedy rozstali się w Kairze. Antypaństwowe wypowiedzi profesora i żydowskie pochodzenie jego żony sugerowały, że po powrocie do Niemiec czekają ich nieprzyjemności. Dokładnie tego oczekiwał Halder... w innym wypadku nabrałby podejrzeń. Tę historię z obozem zaaranżowaliśmy bez trudu: poszarpany pasiak, mała dawka kordytu wstrzyknięta przez lekarza, żeby nadać skórze szarawą barwę. Aby uzasadnić jej stosunkowo niezły stan, wymyśliliśmy fikcyjnego oficera, który *jako były student jej ojca * starał się dobrze ją traktować.

* Pomyśleliście o wszystkim. Schellenberg przytaknął, zadowolony z siebie.

* Staram się zawsze dbać o najmniejsze szczegóły. To nic Halder miał przypilnować, aby panna Stern zrobiła to, czego od niej oczekiwano, ale ona miała pilnować jego. Może i był idealnym człowiekiem do tego zadania, jednak Himmler od początku powątpiewał, czy jako pół*Amerykanin będzie naprawdę lojalnym i w pełni zaangażowanym wykonawcą. Nasza agentka miała tego dopilnować. Ponieważ stawką była przyszłość całej Rzeszy, przygotowaliśmy plan awaryjny na wypadek, gdyby Halder lub spadochroniarze Skorzeny'ego nie prze-

darli się do Kairu.

* Dlaczego po prostu nie powiedzieliście mu o tym? * Nie ulegało wątpliwości, że Halder nadal darzy

Rachel

Stern uczuciem i dołoży wszelkich starań, żeby dostać się z nią do Kairu, bez względu na przeszkody. Gdybyśmy powiedzieli mu prawdę, ! pozbyłby się złudzeń. Może nawet nie zgodziłby się na współpracę. Poza tym w ten sposób stworzyliśmy doskonałą legendę naszej agentce. Gdyby została schwytana, byłaby wykorzystywaną przez nas ofiarą, a nie jednym z najlepszych niemieckich szpiegów, więc uniknęłaby sądu i szubienicy.

Zapadła długa cisza. Canaris był wściekły.

* Dlaczego mi o tym nie powiedziano?

* To nie była moja decyzja, Wilhelmie. Fuhrer uznał, że trzeba zachować to w tajemnicy.

* Iz pewnością świetnie się bawił moim kosztem. Zawsze wiedziałem, że mi nie ufa * powiedział spokojnie Canaris. * Ta historia tylko to potwierdza.

Schellenberg wzruszył ramionami.

* Sam wyciągnij z tego właściwe wnioski.

Canaris uspokoił się już. Jego ochryple głos zdradzał ciekawość, gdy zapytał:

* Kim ona jest, Walterze? Skąd się wzięła? Schellenberg zapalił następnego papierosa.

* Czy w tej fazie operacji ma to jakiegokolwiek znaczenie?

* Ktoś, kto ryzykuje życie w takiej straceńczej misji, musi być fanatykiem lub głupcem. Dlaczego wzięła w niej udział?

Schellenberg odpowiedział z nikłym uśmiechem:

* Ponieważ przyszło nam żyć w ciężkich czasach. A poza tym jest patriotką.

Canaris obrzucił go sceptycznym spojrzeniem.

* Twój chytry uśmieszek świadczy, że jest w tym coś więcej. Mam wrażenie, że jest jeszcze inny powód.

* Zawsze szukasz ukrytych motywów, prawda, Wilhelmie? I masz rację. * Schellenberg wydmuchnął kłęb dymu i westchnął niewesoło. * Dobrze, podam ci go. Generał Pięter Ulrich. Słyszałeś o nim?

Canaris skinął głową.

* Ma reputację zasłużonego i szanowanego oficera Wehr*inachtu. Odważny i honorowy człowiek, często odznaczany.

* Jest też ojcem tej kobiety. I nie jest już szanowanym oficerem, tylko jednym z tych szalonych zdrajców, spiskujących przeciwko Fihrerowi. Kiedy ostatnio złożyłem mu wizytę w lo

chach gestapo, stwierdziłem, że zupełnie zwariował. Zamknięcie w odosobnieniu doprowadziło go do utraty zmysłów.

* Generał... został aresztowany? * wyjął Canaris. * Słyszałem, że wysłano go na front wschodni.

* Nie. Kilka miesięcy temu aresztowano go w tajemnicy razem z całą rodziną, pod zarzutem zdrady. Całą oprócz córki. Nie wiedziała o jego zdradzie. A potem złożyliśmy jej propozycję...

Canaris zrozumiał.

* Posłużyliście się szantażem, tak samo jak w przypadku

Haldera?

Schellenberg wzruszył ramionami.

* W naszym fachu to stary numer, ale zawsze skuteczny. Obiecaliśmy odstąpić od wszelkich zarzutów wobec jej rodziny, jeśli zgodzi się wykonać to zadanie i w razie potrzeby odda życie za Vaterland. Sądzę, że to skromna cena za ocalenie Rzeszy i rodziny. Obojga jej rodziców oraz dwóch młodszych braci, którzy obecnie siedzą w lochach.

* Przecież synowie generała Ulricha... Spotkałem ich kiedyś, mają dopiero po kilkanaście lat! To jeszcze dzieci. Jak mogą

być winni zdrady?

Schellenberg bezradnie wzruszył ramionami.

* Musisz zapytać o to Himmlera. Ja nie miałem nic wspólnego z ich aresztowaniem. Z pewnością ucieszy cię wiadomość, że osobiście zająłem się nimi i kazałem ich dobrze traktować. Nie będą już bici ani przesłuchiwani. Przynajmniej dopóki ta operacja się nie zakończy i nie zapadną dalsze decyzje o ich losie.

Canaris skrzywił się z obrzydzeniem.

* A jeśli córka generała nie zdoła wykonać zadania?

* Nie mówmy o niepowodzeniach * odparł ponuro Schellenberg. * Wystarczy mi ich na jedną noc. Ale ta kobieta ma prawie takie same szansę, jak spadochroniarze Skorzeny'ego. Halder pewnie będzie wstrząśnięty, kiedy dowie się prawdy.

Canaris siedział w milczeniu, układając kawałki tej łamigłówki.

* I co dalej?

* Zakładając oczywiście, że któreś z nich wyjdzie z życiem, zamierzamy zabrać ich stamtąd samolotem. Chociaż nie wierzę, żeby tak się stało. Ale jeśli „Słowik” zdoła wykonać zadanie, stanie się bohaterką Rzeszy. Żywa czy martwa, przejdzie do

historii.

Canaris przez chwilę przeżuwał te informacje.

* Z pewnością nigdy nie zależało jej na Halderze. Tylko udawała.

* W razie potrzeby jest doskonałą aktorką * przyznał Schellenberg. * Chociaż nie jestem taki pewny, czy masz rację.

* Tak?

* Czytałem jej raporty po powrocie z Egiptu. Najwidoczniej nawiązała przyjaźń nie tylko z Halderem, ale z jeszcze jednym młodym człowiekiem, Amerykaninem. Oczywiście miała to być tylko wygodna przykrywka jej prawdziwej działalności. Jednak doświadczony oficer wywiadu, jak sam dobrze wiesz, potrafi czytać w myślach i między wierszami.

* Nie bardzo rozumiem...

* Odniosłem wrażenie, że gdyby wtedy nie opuściła Egiptu, być może musiałaby wybierać między uczuciem a obowiązkiem. Kiedy słuchałem jej sprawozdania, z ciekawości zapytałem, co czuła do obu tych mężczyzn. Powiedziała, że obu darzyła silnym uczuciem.

* Chcesz powiedzieć, że kochała ich obu?

* Chcę powiedzieć, że jej reakcja była całkowicie zrozumiała. Młoda kobieta w egzotycznej scenerii, adorowana przez dwóch atrakcyjnych młodzieńców, nie mogła pozostać obojętna na ich awanse. Wiesz równie dobrze jak ja, że najlepsi agenci to nie tępe osiłki, lecz ludzie wrażliwi i inteligentni. * Schellenberg wzruszył ramionami. * Poza tym to kobieta. Obaj wiemy, że to inny, nieznan nam gatunek istot. Nieprzewidywalny. Z całą pewnością padła ofiarą konfliktu uczuć.

* Jak to?

* Po powrocie do Niemiec bardzo się zmieniła. Straciła zapał do pracy. Stała się roztargniona i apatyczna, aż wreszcie po kilku nieudanych misjach w Stambule przeniesiono ją do Berlina, na stanowisko instruktorki. Podejrzewam, że zakochała się w obu tych mężczyznach i nie mogła o nich zapomnieć, a jednocześnie sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać. Tym razem jednak doskonale zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji i wie, że powinna skupić się na swojej misji.

Canarisa nie poruszyły te rewelacje.

* Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie * powiedział. * Co dalej?

* Razem z Deaconem zrobią wszystko, żeby wykonać zadanie. Wiemy już, że tunel prowadzi na teren hotelu, i wiemy, w którym pokoju mieszka Roosevelt. Reszta zależy od nich.

* Deacon wiedział o niej?

* Znał nasze plany od samego początku. Kleist również był wtajemniczony. Sam na to nalegałem, bo przy jego skłonnościach mógłby próbować ją zabić po wykonaniu zadania. * Schellenberg uśmiechnął się. * Chociaż wątpię, aby mu się to udało. Ona doskonale potrafi zatroszczyć się o siebie i wspaniale strzela.

Canaris jeszcze nie otrząsnął się z szoku. Spojrzał na deszcz i ciemne chmury wiszące nad Berlinem. Zadrżał. Zapomniał o gniewie * i tak nie miał żadnego wpływu na przebieg wydarzeń. Popatrzył na Schellenberga.

* Naprawdę sądzisz, że ona zabije Roosevelta?

* Możesz mi wierzyć, że jeśli ktoś może tego dokonać, to tylko ona.

Rozdział 68

Maison Fleuve, godzina 1.30

Weaver siedział nieruchomo, z twarzą jak wykutą z kamienia. W pokoju zapadła głucha, przytłaczająca cisza. Wstrząśnięty Halder nie odezwał się słowem, dopóki Rachel Stern nie skończyła mówić.

* Muszę przyznać, że udało ci się mnie oszukać * powiedział bardzo cicho, prawie szeptem. * Ta historyjka z obozem, powody podane przez Schellenberga, początkowe wrogie nastawienie do mnie... To wydawało się prawdziwe. Teraz widzę, jak bardzo się myliłem. Wszystko było kłamstwem.

Spojrzała na niego jakby z żalem.

* To nie moja wina, Jack. Tak samo jak ty, byłam między młotem a kowadłem i musiałam wykonywać rozkazy Schellenberga. * Powoli odeszła od okna. * Źle wyglądasz, Harry. Aż lak bardzo cię rozczarowałam?

Weaver wzdrygnął się, jakby uderzyła go w twarz, i odparł ochrypłym głosem:

* Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo.

* Przykro mi, że tak musiało się stać. Halder powiedział z goryczą:

* Bardzo to wzruszające, ale oszczędź sobie tych kłamstw. Nigdy nic nie czułaś do żadnego z nas. Prawda? To była tylko gra.

Popatrzyła na nich i w jej oczach błysnął żal.

* Naprawdę tak uważasz, Jack?

* Uważam, że byłem głupcem... reszta nie ma żadnego znaczenia. Lepiej powiedz, co będzie dalej.

* Pójdiesz z Deaconem i ze mną. Już raz dostałeś się w pobliże Roosevelta. Może znowu ci się to uda. Tyle że tym

razem w moim towarzystwie, A jeśli uda nam się wyjść z tego z życiem, odłecimy stąd.

* Może powiesz mi jak?

* Awaryjną trasą przygotowaną przez Deacona. Jego przyjaciel, egipski lotnik, zabierze nas z lądowiska opodal Sakkary i przewiezie do niemieckiej bazy lotniczej na Krecie.

* Możesz mi wierzyć, że nawet jeśli komuś uda się wejść na pokład, samolot zostanie zestrzelony, nim doleci do brzegu.

* Deacon jest innego zdania. Wszystko przemyślał. Na północ od Port Saidu będzie czekać na nas eskorta niemieckich

myśliwców.

* A kto ma wykonać brudną robotę w hotelu?

* Ja. Taki był plan, jeśli tobie się nie uda i ludzie Skorzeny'ego nie przylecą.

* Ciekawe jak? * Potrząsnął głową. * Nie ma mowy, żebyś zdołała podejść do Roosevelta, nie mówiąc już o zabiciu

go i ucieczce.

* Obawiam się, że będę musiała zaryzykować. A co do

sposobu...

Rachel odłożyła pistolet maszynowy, wyciągnęła lugera i wyjęła coś z kieszeni. Halder natychmiast rozpoznał ten podłużny kawałek metalu. Nakręciła go na lufę pistoletu.

* Nowy model tłumika, opracowany przez SD. Najlepszy, jaki dotąd wyprodukowano. Gdybym wystrzeliła za twoimi plecami, nawet byś o tym nie wiedział.

Szybko wycelowała broń w Haldera i nacisnęła spust. Rozległo się ledwie słyszalne kasznięcie i pocisk wbił się w tynk przy jego lewym uchu. Wystrzeliła ponownie, tym razem kierując broń w prawo i trafiając prosto między oczy nubijskią

maski pośmiertnej.

* Jestem pod wrażeniem * mruknął Halder, spoglądając na otwór po kuli. * Więc ja mam cię

przeprowadzić przez tunel, żebyś mogła zrobić swoje?

* A czy jest inne wyjście?

* Zawsze mogłabyś zapomnieć o tej całej przeklętej misji. Spojrzała na niego poważnie i potrząsnęła głową.

* Nie mogę tego zrobić. Teraz już wiesz dlaczego.

* Chyba nie wierzysz w te nazistowskie bzdury? Tysiącletnią Rzeszę, jeden naród i jednego Fuhrera?

Zawahała się i na jej twarzy pojawił się cień zwątpienia, głęboko skrytego w kąciakach oczu.

* To, w co wierzę, nie ma żadnego znaczenia. Moja rodzina gnije w lochach gestapo, a ja nie chcę, żeby tam zginęli. Naloty obracają mój kraj w ruinę, w dzień i w nocy. Jeśli to szybko się nie skończy, nic nie zostanie, nie będzie nawet Niemiec dla porządnym ludzi.

* Ty biedna mała idiotko. Nie rozumiesz? Ta gra, którą tu prowadzimy, może jest śmiertelnie niebezpieczna, ale to tylko gra. Cokolwiek zrobisz, nie będzie miało żadnego znaczenia. Alianci i tak wygrają tę wojnę.

Rachel nie odpowiedziała. Weaver milczał przez cały czas, z twarzą szarą jak popiół przysłuchując się ich rozmowie.

* Mówiłeś coś o tunelu? * zapytał nagle ochryłym głosem. * Jaki tunel?

* Nie wiesz wszystkiego, Harry. Znaleźliśmy słaby punkt ochrony waszego prezydenta.

Kiedy Halder powiedział mu o podziemnym przejściu, Weaver nie zdołał zapanować nad gniewem. Patrząc na Rachel, rzucił wściekle:

* Śmierć Roosevelta nie zakończy tej wojny, tylko jeszcze pogorszy sytuację. Każdy amerykański żołnierz uzna to za osobistą zniewagę i zechce się zemścić. Będą chcieli rzucić Niemców na kolana. Będą walczyć tak długo, jak długo będzie trzeba, i nigdy nie zrezygnują. Prędzej piekło zamarznie.

* Obawiam się, że to niczego nie zmienia, Harry * powiedziała mu Rachel. * Nadal mam zadanie do wykonania. Jeśli chodzi o ciebie i twoją przyjaciółkę, nic wam się nie stanie, jeżeli zrobicie, co każę. Zwiążemy was i zostawimy gdzieś, gdzie was nie znajdą, dopóki nie będzie po wszystkim. A teraz, Jack, myślę, że czas już ruszać. Może Harry blefował, ale jeżeli nie, to wkrótce możemy oczekiwać towarzystwa.

* Jest jeden mały problem.

* Jaki?

* Ja nie idę.

Rachel wymierzyła w niego lufę pistoletu.

* Zastrzel mnie, jeżeli musisz * powiedział z rezygnacją Halder * ale mimo to mówię nie. Dość tego. Mam po dziurki w nosie zabijania i niszczenia. Zrobiłem swoje i dla mnie to już koniec.

* A co z twoim synem?

Halder z trudem panował nad sobą.

* Chyba już wtedy, kiedy zgodziłem się wziąć udział w tej samobójczej misji, pogodziłem się z myślą, że więcej nie zobaczę Pauliego. Odpowiedź nadal brzmi: nie.

Popatrzył z bólem na Rachel. Po chwili milczenia powiedziała:

* Dobrze, Jack. Jak chcesz.

Drzwi otworzyły się i wszedł Deacon, a za nim Kleist.

* Potwierdzili odbiór wiadomości.

* A kobieta?

* W piwnicy, związana * odparł Kleist. W ręku trzymał mundur Helen Kane. * Pomyślałem, że to się może

przydać.

Weaver ze zgrozą zobaczył, że esesman z szerokim uśmiechem pokazuje legitymację Helen.

* Nie uwierzcie, co znalazłem w jej kieszeni. Specjalną przepustkę do hotelu.

Gdy Rachel Stern oglądała dokumenty, Deacon szybko podszedł do Weavera, włożył rękę do kieszeni jego munduru

i wyjął portfel.

* Oboje mają przepustki. Wygląda na to, że szczęście jednak nam sprzyja.

Halder zapytał Deacona:

* A więc od początku znałeś prawdę?

* Kleist też. To smutne, że jeden Niemiec nie może ufać drugiemu, ale tak to bywa, majorze.

* Nie sądzisz, że dość już zabijania, Deacon? Dla Niemiec wojna się skończyła, każdy o tym wie. Zginiecie

nadaremnie, próbując wykonać to zadanie.

Deacon zignorował go i odwrócił się do Rachel.

* Jesteście gotowi?

* Major nie idzie. Tylko pan i ja.

Deacon zmarszczył brwi, dopiero teraz zauważając pistolet

w jej ręce.

* Na pewno nie zmieni zdania?

* Nie. Musimy spróbować sami. Deacon z pogardą spojrzął na Haldera.

* Co za szkoda, że okazał się pan zdrajcą. Być może w ten sposób traci pan okazję na trwałe zapisać się w historii. * Obejrzał się na Rachel. * Co mam z nim zrobić?

* Wróci samolotem, nawet jeśli my nie będziemy mogli odlecieć * odparła.

* A pozostali?

* Musicie przez jakiś czas zatrzymać Amerykanina i kobietę.

W oczach Kleista pojawił się morderczy błysk.

* Lepiej od razu ich zabić * stwierdził.

* Macie nie robić im krzywdy. To rozkaz! * warknęła gniewnie. * Zrobicie, jak mówię. * Podała mu pistolet maszynowy. * Weź to. Użyj tylko wtedy, jeśli będziesz musiał. Wykonać, Kleist.

Esesman wepchnął swój pistolet za pasek od spodni i w ponurym milczeniu wziął od niej M3. Rachel posłała Weaverowi i Halderowi znaczące spojrzenie.

* Mam nadzieję, że wykorzystacie szansę, jaką wam daję. Jeśli będziecie rozsądni, przeżyjecie.

* Ponieważ major nas opuścił, proponuję wziąć motocykl * powiedział Deacon. * Tak będzie szybciej. Pojedziemy przez pustynię do wioski Nazlet as*Saman, tak jak poprzednio.

Weaver popatrzył na Rachel i powiedział z gniewem:

* Nie uda ci się podejść do Roosevelta. Zginiesz, zanim przejdiesz dziesięć kroków po trawniku.

Przez chwilę spoglądała na niego łagodnie, z dziwnym wyrazem twarzy * z bólem, a może ze smutkiem.

* Obawiam się, że sprawy zaszły za daleko, żebyśmy mogli się cofnąć. Jeśli już się nie zobaczymy, pomyśl o mnie czasem. * Popatrzyła na Haldera. * Ty też, Jack. A może proszę

o zbyt wiele?

Zapadła długa cisza. Kiedy nie odpowiadali, gwałtownie odwróciła się do Deacona, jakby nie mogła już dłużej znieść ich oskarżycielskich spojrzeń.

* Chodźmy.

Wyszła z pokoju, a Deacon powiedział do Kleista:

* Popłyńcie z Hassanem łodzią na południe, aż do Memphis,

i przejdźcie pieszo na lotnisko. * Spojrzał na zegarek. * Czekajcie na nas do trzeciej trzydzieści. Wtedy powinien przylecieć samolot kapitana Rahmana.

* A jeśli nie wrócicie do tego czasu?

* Polecicie bez nas * odparł ponuro Deacon. * Słyszeliście, co macie zrobić z Weaverem i jego przyjaciółką. A także z Halderem.

* Nie ma obawy, nic im się nie stanie.

Deacon ruszył do drzwi, ale jeszcze obejrzał się na Kleista

i rzekł ściszym głosem:

* Mam nadzieję, że... Osobiście uważam, że ta kobieta popełnia poważny błąd, pozostawiając ich przy życiu. Niepotrzebny sentymentalizm.

Kleist uśmiechnął się, mocniej ściskając pistolet maszynowy.

* Pan wydałby inny rozkaz?

* A pan nie?

Rozdział 69

Godzina 1.40

W apartamentach prezydenckich hotelu „Mena House” agent Jim Griffith, drzemiący na jednej z kanap w przedpokoju, usłyszał przeraźliwy terkot telefonu.

Zerwał się na równe nogi. Kiedy podnosił słuchawkę, zobaczył, że szef jego zmiany, Howie Anderson, przeciąga się na stojącym naprzeciw krześle.

* Jezu, czy niegodni nigdy nie zaznają spokoju?

* Nie, jeśli pracują w Secret Service * uśmiechnął się do niego Griffith i rzucił do słuchawki: * Posterunek pierwszy, Griffith.

Postuchał przez chwilę i odparł:

* Tak jest, zrozumiałem.

Odłożył słuchawkę, a Anderson ziewnął i spojrzął na zegarek.

* Co jest?

* Dwaj goście idą tu z holu. Ambasador Kirk i generał Clayton. Chcą widzieć się z szefem.

* O tej godzinie? * Anderson przetarł oczy. Wiedział, że ci dwaj mężczyźni są na specjalnej liście gości i zostali już sprawdzeni przy wejściu, ale mimo to zerknął do notesu. * To musi być cholernie ważne. Ty go zbudzisz?

* Jasne.

Griffith już miał ruszyć krótkim korytarzem wiodącym do sypialni prezydenta, kiedy zapukano do drzwi apartamentu.

* Zdaje się, że gościom szefa bardzo się spieszy * mruknął Anderson i chwycił stojący obok drzwi pistolet maszynowy Thompsona, opierając bęben magazynka o zgięcie łokcia. * Chyba biegli po schodach.

Trzymając dłoń na rękojeści tkwiącego w kaburze smith & wesson, Griffith przeszedł przez pokój, zastukał w umówiony sposób do drzwi i zapytał stojącego za nimi strażnika o hasło. Kiedy je usłyszał, otworzył drzwi. Anderson stał kilka kroków

za nim, osłaniając go.

W korytarzu niecierpliwie czekali ambasador Kirk oraz generał Clayton. Griffith obejrzał ich przepustki.

* Do prezydenta * rzucił krótko Kirk.

* Śpi, panie ambasadorze.

* To go zbudź. Szybko.

Maison Fleuve, godzina 1.40

Do pokoju wszedł Hassan. Kleist trzymał M3, na twarzy miał szeroki uśmiech satysfakcji.

* A więc w końcu dowiedzieliście się prawdy, co, Halder? Wcale mnie nie dziwi, że okazałeś się tchórzliwym zdrajcą. No, co masz do powiedzenia?

* Cokolwiek to jest, i tak nie zrozumiesz, więc idź do diabła. Mierząc go nienawistnym spojrzeniem, Kleist

szybko przeszedł przez pokój i złapał Haldera za włosy.

* Niedobrze mi się robi na widok takich nadętych Prusaków jak ty. Aroganci. Zadałem ci pytanie.

Halder zignorował go i powiedział do Weavera:

* Widzisz łajdaka odpowiedzialnego za zamordowanie tamtych dwóch oficerów w rozbitym samolocie. A także za śmierć dwóch egipskich policjantów.

Esesman uśmiechnął się i spojrzał mu w oczy.

* Nie nadajesz się do wojaczki, Halder. Nie mam pojęcia, jak mogli dać mundur takiemu mięczakowi jak ty.

* Zawsze byłeś zwykłym łobuzem, Kleist. Powinienem zastrzelić cię, kiedy miałem okazję.

Kleist uderzył go w twarz kolbą pistoletu maszynowego i Halder zatoczył się. Krew popłynęła mu z rozciętej wargi.

* Mały przedsmak tego, co cię czeka, i wyrównanie starych rachunków * uśmiechnął się nieprzyjemnie Kleist. * Muszę powiedzieć, że z przyjemnością wyrównam je do końca.

Za okna dobiegł warkot odjeżdżającego motocykla. Kleist złośliwie spojrzał na Haldera.

* Jeśli myślisz, że zabiorę cię do tego samolotu, to się bardzo mylisz. Nawet jeżeli tym dwojgu uda się zrobić swoje, coś mi mówi, że nie wyjdą z tego żywi. A to oznacza, że jesteś trupem.

Niespodziewanie kopnął Haldera w krocze, obalając go na podłogę. Weaver chciał pomóc leżącemu, ale Kleist podsunął mu lufę pistoletu pod nos.

* Nie kuś mnie, Amerykaninie. Zdaje się, że ktoś inny chce z tobą pogadać.

Hassan podszedł bliżej. W jego dłoni pojawił się nóż.

* A więc ten dzień w końcu nadszedł. Módl się. Kleist położył dłoń na jego ramieniu.

* Nie tutaj. Mam lepszy pomysł. Idź po kobietę i zaprowadź ją do łodzi, szybko. * Z szyderczym uśmiechem dotknął lufą M3 czoła Haldera. * Nakarmimy krokodyla panem majorem i jego przyjaciółmi.

Godzina 1.45

Przez całą drogę mieli silny południowo*wschodni wiatr w plecy, więc Neumann przeleciał trasę w doskonałym czasie, znacznie lepszym, niż przewidywał. Lecieli na pięciu tysiącach metrów, wśród rzadkich chmur. Druga dakota leciała kilometr przed nimi. Skorzeny, siedzący w ciemnej kabinie pilotów, rozjaśnianej jedynie poświatą deski rozdzielczej i bladym światłem księżycy, zaczynał się niecierpliwić.

* Jak długo jeszcze?

* Jeśli wiatr nadal będzie nam sprzyjać, za piętnaście minut powinniśmy dotrzeć do egipskiego brzegu. Potem mamy niecałą godzinę do miejsca lądowania, oczywiście zakładając, że nie napotkamy samolotów nieprzyjaciela, który pokrzyżuje nam szyki. * Neumann obejrzał się. * To podejście na bardzo małej wysokości do Kairu będzie cholernie ryzykowne, wie pan?

Skorzeny położył dłoń na jego ramieniu i uśmiechnął się.

* Mam do pana pełne zaufanie, Neumann.

W tej samej chwili ujrzeli na wschodzie przecinające niebo ogniste smugi pocisków sunących w kierunku pierwszej dakoty. Z ciemności wyłoniły się dwa samoloty Tomahawk z oznaczeniami RAF* u na skrzydłach, strzelając z działek.

* Chryste! * wykrzyknął Neumann. * Mamy towarzystwo.

Instynktownie poderwał samolot w górę. Gdy pierwsza dakota próbowała zrobić to samo, jeden z tomahawków zaatakował ją z prawej i zasypał huraganowym ogniem. Prawe skrzydło maszyny rozpadło się w deszczu ołowiu i samolot eksplodował jak gigantyczna raca. Płonące szczątki spadły do morza.

* O mój Boże. Biedacy!

* Rany boskie, Neumann, zabierz nas stąd! * ryknął Skorzeny, przekrzykując huk silników.

* Nie dam rady uciec! * odkrzyknął Neumann. * Tomahawki są szybsze.

* Zrób coś, człowieku! * wrzasnął Skorzeny. Neumann pchnął drążek do przodu i dakota zaczęła nurkować, z zatrważającą prędkością pędząc ku powierzchni morza.

Oblany potem Neumann rzekł:

* Lepiej niech pan się trzyma, pułkowniku. Czeką nas ostra jazda.

Hotel „Mena House”, godzina 1.45

W apartamencie był niewielki salonik dla gości, z kilkoma obitymi skórą kanapami i stolikiem do kawy oraz białymi ścianami ozdobionymi arabskimi sztychami i rzeźbami z drewna. Griffith wtoczył tam wózek z Rooseveltem. Prezydent był w nocnej koszuli i miał rozczochrane włosy, a rozespiany, wyglądał jeszcze mizerniej. Mimo to nie gniewał się na Kirka i Claytona, tylko zapytał z krzywym uśmiechem:

* Mam nadzieję, że macie panowie poważny powód? Wiecie, że taki stary człowiek jak ja potrzebuje snu.

* Mamy, panie prezydencie * odparł Kirk i przekazał mu

ostatnie wiadomości.

* A więc to tak * odparł spokojnie Roosevelt, bez cienia triumfu w głosie. * Już po wszystkim. Nie udało im się.

* Obawiam się, że jeszcze nie jest po wszystkim, panie prezydencie * dodał Clayton. * Troje Niemców uciekło i są gdzieś w mieście. Ale nie zdołają dostać się do tego hotelu. Mało prawdopodobne, żeby próbowali wykonać zadanie, kiedy pościg depcze im po piętach, a cały ten teren otacza żelazny kordon naszych żołnierzy, jednak na wszelki wypadek podwoimy straż.

* Miło mi to słyszeć, generale. Sądzę, że ten tysiąc żołnierzy chyba zdoła mnie obronić?

* Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, panie prezydencie. To po prostu dodatkowe środki ostrożności. Jestem przekonany, że wkrótce aresztujemy tych szkopów.

* Z pewnością były ofiary?

* Kilku rannych i sześciu zabitych. Dwóch naszych i czterech tamtych. Mogło być znacznie gorzej.

* Znowż zabici * westchnął ciężko Roosevelt. * Im prędzej skończy się ta przeklęta wojna, tym lepiej. * Spojrzał na zegarek, kończąc spotkanie. * Chyba już nic więcej nie pozostało do powiedzenia. Poza tym, że jestem wdzięczny panu i pana ludziom, generale.

Clayton zasalutował.

* Zapewniam, że jest pan w dobrych rękach, panie prezydencie.

* Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. A teraz lepiej pozwolę panom wrócić do waszych obowiązków. Życzę miłego dnia.

Godzina 1.49

W dakocie panowała napięta, głucha cisza. Samolot nadal ostro pikował w dół. Neumann nie miał nadziei, że wymknie się myśliwcom, i był przekonany, że to już koniec, ale instynkt samozachowawczy nie pozwalał mu się poddać.

Chociaż nie widział lecących za nim tomahawków, o ich obecności świadczyły serie smugowych pocisków, przelatujące nad prawym i lewym skrzydłem samolotu. Dakota dygotała, jej silniki wyły na najwyższych obrotach.

Zerknął na wysokościomierz: wskazówka obracała się jak szalona, gdy dakota nurkowała ku powierzchni morza, a gwałtowne wstrząsy prawie uniemożliwiały odczyt.

Tysiąc metrów.

* Musimy wyciągnąć w górę, panie kapitanie! * zawołał niespokojnie drugi pilot. * Za chwilę nie zdołamy wyprowadzić maszyny!

* Zaczekaj! * wrzasnął Neumann. Osiemset metrów.

Pięćset.

* Nie uda nam się!

Tomahawki nadal siedziały im na ogonie, a pociski przelatywały tuż obok, wzbijając fontanny wody. Neumann w ostatniej chwili z całej siły pociągnął drążek i dakota zaczęła się wznosić, z początku opornie, potem coraz szybciej. Miał nadzieję, że chociaż jeden ze znacznie szybszych tomahawków nie zdoła w porę odbić w górę, ale pomylił się, gdyż ledwie wyprowadził maszynę z lotu nurkowego, znów dostrzegł smugi pocisków.

* Obawiam się, że nic z tego * powiedział do Skorzeny'ego. * Nie mamy szczęścia.

* Przed nami kolejne maszyny wroga, panie kapitanie! *

przerwał mu drugi pilot.

Serce stanęło Neumannowi w gardle. Tuż nad powierzchnią morza mknęły w ich kierunku trzy czarne sylwetki. Ich działka plunęły ogniem i Neumann instynktownie osłonił ręką twarz.

* To nasi! * krzyknął nagle radośnie drugi pilot. * Sto*

dziewiątki!

Neumann ponownie spojrzał na nadlatujące samoloty. Były to messerschmitty 109 i nie strzelały do niego, tylko do tomahawków. Jeden przeleciał nad nim, a dwa po bokach. Neumann był pewny, że poradzą sobie z tomahawkami.

* Dzięki Bogu * odetchnął z ulgą. * Niewiele brakowało.

Jeszcze się trzęsę.

Zanim zdążył spojrzeć na toczącą się walkę, obok pojawiły się jeszcze dwie stodziewiątki. Pilot najbliższej maszyny dał mu

znak ręką.

* Czego chce? * zapytał Skorzeny.

* Porozmawiać przez radio. * Neumann włączył radio, odszukał częstotliwość, posłuchał, po czym powiedział do Skorzeny'ego: * Operacja odwołana. Mamy lecieć za nim na Kretę.

* Co?!

* Rozkazy z Berlina. Ja nie mam nic przeciwko temu.

* Niech mi pan da mikrofon.

Neumann podał pułkownikowi hełmofon. Skorzeny założył go, nawiązał łączność z pilotem messerschmitta i warknął:

* Powtórz.

Wysłuchał, skrzywił się z obrzydzeniem, a potem zerwał z głowy hełmofon i rzucił go Neumannowi.

* Niech to szlag. Niech to szlag trafi!

Neumann obejrzał się na niego. Skorzeny był głęboko rozczarowany.

* Nie cieszy się pan z tego, że pan żyje, pułkowniku? ** Nic nie rozumiesz. To katastrofa.

* Racja. Nasi ludzie w drugiej dakocie...

* Nie o tym mówię * rozpacztał Skorzeny. * Mam na myśli tę operację. Jej odwołanie może oznaczać przegraną wojnę.

* Aż tak źle?

* Nie masz pojęcia, jak bardzo, Neumann.

Giza,

godzina 2.15

Ali był zadowolony z tego, że jest policjantem. Zarabiał nędznie, lecz ta praca miała swoje zalety. Codziennie dobry obiad w stołówce, darmowy mundur i zazdrosny podziw przyjaciół. A największym plusem były okazje do zgarnięcia bak*szyszu.

Teraz miał w kieszeni pięćdziesiąt piastrow, nie tyle, co sierżant, bo ten chciwy syn zapchlonej dziwki zabrał sobie większość pieniędzy otrzymanych od amerykańskiego profesora, ale zawsze to coś. Sierżant odjechał, urwał się do domu, do łóżka i zrędlivej żony, zostawiając młodszemu koledze pilnowanie szlabanu.

Zaspany Ali spoglądał w gwiazdy, leżąc na macie, którą rozłożył sobie na jednym z głazów opodal budki, kiedy usłyszał warkot nadjeżdżającego pojazdu. Ziewnął, podrapał się i niespiesznie wstał, a potem podniósł leżący na macie karabin i otrzepał mundur. Zastanawiał się, kto to może być o tak późnej porze?

Alianccy żołnierze przyjeżdżali tu czasem ze swoimi kobietami w nocy, samochodami lub bryczkami zaprzężonymi w konie, błagając Alego, żeby pozwolił im obejrzeć grobowce i piramidy. Zawsze im na to zezwalał * za drobną opłatą. Oblizwał wargi na samą myśl o tym, gdy pojazd wjeżdżał na wzniesienie. Przy odrobinie szczęścia może zarobić dziś więcej niż pięćdziesiąt piastków. W świetle księżyca dostrzegł motocykl z dwojgiem pasażerów. Podeszedł bliżej, zapalił latarkę i zmarszczył brwi, rozpoznając twarze mężczyzny i kobiety, którzy byli tu już wcześniej razem z profesorem.

Opuścił lufę karabinu, gdy motocykl stanął i para zsiadła.

Było już po północy. Czego chcieli tym razem? Ukłonił się uprzejmie.

* Efendi, madame.

* Pamiętasz nas? * zapytał Deacon po arabsku.

* Oczywiście.

* Mamy problem * ciągnął Deacon. * Zostawiliśmy coś przy wykopaliskach i musimy tam wrócić. Chcę porozmawiać z sierżantem.

* Nie ma go tu, efendi.

* A gdzie jest?

Ali zawahał się. Sierżant spał w swoim łóżku, chociaż powinien być na służbie, ale nie mógł powiedzieć tego tym ludziom,

więc skłamał:

* Wezwano go w sprawach służbowych. Wróci o wschodzie

słońca.

Deacon ze zrozumieniem pokiwał głową.

* A więc jesteś tu sam?

* Niestety, efendi, tak mi wypadło. * Ali uśmiechnął się, jak zawsze, gdy zwietrzył okazję zarobienia drobnej sumki. Powszechnie zrozumiałym gestem potarł palcem wskazującym

o kciuk. * Może moglibyście wrócić na teren wykopalisk. Deacon uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni po portfel.

* Oczywiście.

Popętnił błąd, nie zwracając uwagi na kobietę. Nie wiadomo po co poszła między głazy opodal szlabanu,

a teraz wróciła

i kiwnęła głową do towarzysza.

* Mówi prawdę. Sierżanta tu nie ma.

Ali zmarszczył brwi, wyczuwając, że coś tu jest nie tak. Gdy odwrócił się z powrotem do mężczyzny, ten wyjął z kieszeni nie portfel, lecz pistolet. Mocno uderzył nim Alego w skroń. Policjant poczuł potworny, mdlący ból, a potem pochłonęła go ciemność.

Rozdział 70

Maison tfeuve,

godzina 1.35

Sanson usiłował dojrzeć coś przez lornetkę. Swoim jedynym okiem ledwie widział kontury willi.

* Nic dziwnego, że nigdzie nie mogliśmy znaleźć Haldera i tej kobiety po ich ucieczce z Rashidu. Tutaj się ukrywali. I założę się, że Deacon stąd przesyłał meldunki do Berlina.

* Tak, panie pułkowniku?

Sanson odłożył lornetkę i spojrzał na majora.

* To długa historia. Proszę mi kiedyś przypomnieć, żebym ją panu opowiedział.

Zatrzymali się na prywatnej drodze prowadzącej do willi, zostawili dzipa i ciężarówkę z żołnierzami, po czym we trzech * Sanson, major i jeden z żołnierzy * podeszli kawałek w ciemnościach, aż znaleźli się na małym wzniesieniu, pięćdziesiąt metrów od skraju posiadłości. Sanson popatrzył na białe ściany budynku i otoczony murem ogród z wysokimi palmami. Nie zauważył żadnych świateł, okna były zasłonięte żaluzjami, ale wydało mu się, że na tyłach domu widzi niewielką przystań.

* Lepiej niech pan wyśle kilku żołnierzy na brzeg rzeki, żeby obstawili tył domu. Deacon i jego przyjaciele mogą mieć łódź. Nie chcę, żeby ktoś nam się wymknął. Musimy dostać tych ludzi, żywych lub martwych.

Major nie odpowiedział, wpatrując się w mrok, więc Sanson zapytał:

* Co się stało?

* Przed domem, po prawej stronie drogi, stoi zaparkowany samochód. O ile się nie mylę, to chyba służbowy wóz.

Major pokazał Sansonowi zarys osobowego humbera i wyjął pistolet z kabury.

* Zobaczmy.

Podeszli do samochodu i zobaczyli, że stoi pusty, z szeroko otwartymi drzwiami i kluczykami w stacyjce. Major poświecił latarką, a Sanson zajrzał do środka. Zauważył leżące na podłodze, przecięte kajdanki i gniewnie zacisnął zęby.

* Weaver. Mogłem się domyślić, cholera.

Nagle od strony willi nadleciał warkot zapuszczanego motoru i Sanson nadstawił ucha.

* A to co?

* Wydaje mi się, że motocykl, panie pułkowniku.

* Dranie chcą uciec. Niech pan natychmiast da sygnał ludziom. Ruszamy.

Godzina 1.40

Helen Kane szarpała więzy. Pot spływał jej pod halką, ale sznur trzymał zbyt mocno. Nie mogła się uwolnić. Spod metalowych drzwi na końcu piwnicy sączyła się smuga światła, rozjaśniając odrobinę pomieszczenie. Nagle usłyszała jakiś szmer w ciemnościach i wzdrygnęła się, gdy szczur przebiegł jej pod nogami.

Spróbowała poruszyć krzesło i z najwyższym trudem zdołała je obrócić, o mało się przy tym nie wywracając. Zobaczyła rzędy butelek z winem. Gdyby zdołała rozbić jedną z nich, może udałoby jej się przeciąć więzy. Centymetr po centymetrze przesuwała krzesło po kamiennej podłodze, zaciskając zęby z wysiłku. Dotarła do najbliższego stojaka, pochyliła głowę i próbowała chwycić zębami szyjkę jednej z butelek. Pokryta pajęczyną butelka poruszyła się. Spróbowała ponownie. Tym razem butelka wysunęła się ze stojaka. Trąciła ją policzkiem, przechyliła. Butelka z trzaskiem upadła na kamienną podłogę, trysnęło wino i posypały się odłamki szkła. Helen cofnęła trochę krzesło, przechyliła je i przeniosła ciężar ciała do tyłu. Ciężko runęła na podłogę, kalecząc sobie ramię

i bark.

Z trudem powstrzymała okrzyk bólu, lecz w tej samej chwili drzwi piwnicy otworzyły się na oścież i stanął w nich Hassan. Groźnie zmarszczył brwi i w mgnieniu oka zbiegł po schodach.

* Suka! * wrzasnął, spoliczkował Helen, a potem chwycił ją za włosy i powłókł po schodach.

Godzina 1.42

Gdy Kleist prowadził Weavera i Haldera w kierunku drzwi na podwórze, usłyszeli warkot podjeżdżających samochodów, a potem pisk opon.

Nadbiegł Hassan, wepchnął do pokoju Helen Kane i podbiegł do okna. Spojrzał przez szparę w okiennicy.

* Mamy towarzystwo. To żołnierze i jest ich wielu.

* Scheisse! * Kleist pchnął Helen Kane w kierunku Wea*vera i Haldera. * Pilnuj ich! * rozkazał Hassanowi i z gotowym do strzału automatem podszedł do najbliższego okna. Kiedy wyrzwał na zewnątrz, w półmroku dostrzegł wbiegającego na podwórze oficera w mundurze i z opaską na oku. Ale zanim zdążył otworzyć okiennicę i wycelować, mężczyzna znikł w zalegającym w ogrodzie mroku. Ze stojącej pod murem ciężarówki zeskakiwali żołnierze.

W ciemnościach wykrzykiwano rozkazy i nagle załomotano we frontowe drzwi. Kleist błyskawicznie odwrócił się do Hassana.

* Do piwnicy! Szybko!

Arab gniewnie spojrzał na Weavera i pozostałych.

* A co z nimi?

** Zostaw ich mnie. * Gdy Hassan ruszył do drzwi, Kleist wymierzył lufę M3 w więźniów. * Teraz musimy się rozstać, Halder. Obawiam się, że nie ma czasu na modlitwy.

Zaśmiał się jak szaleniec i nacisnął spust.

Rozległ się suchy trzask, jednak strzał nie padł. Śmiech zamarł Kleistowi w gardle, ale natychmiast przeładował broń, wyrzucając nabój z komory, po czym ponownie nacisnął spust.

Znów rozległ się suchy trzask.

* Masz rację * rzekł Halder. * Teraz musimy się rozstać. Błyskawicznie doskoczył do Kleista i z całej siły uderzył go

w szczękę. Esesman zatoczył się. Hassan już odwrócił się od drzwi, próbując wycelować broń, Halder był jednak szybszy. Wyrwał Kleistowi pistolet zza paska i przetaczając się po podłodze, dwukrotnie nacisnął spust. Pierwsza kula trafiła

Araba w pierś, odrzucając go w tył, druga w gardło. Hassan wypuścił z ręki pistolet, a jego ciało zwinęło się w groteskowym

tańcu śmierci.

Oszołomiony Kleist usiłował chwycić broń Araba, ale Weaver złapał ją pierwszy i dwukrotnie strzelił mu w pierś, rzucając esesmana na ścianę, a potem jeszcze raz, prosto w czoło.

* Spisałeś się lepiej, niż oczekiwałem, stary przyjacielu. * Halder pochylił się i podniósł M3. * Albo

bogowie spojrzeli na nas łaskawym okiem, albo Kleist był wyjątkowym pechowcem. Dwa niesprawne naboje pod rząd, to wprost niewiarygodne. * Odciągnął suwadło, zajrzał do komory zamkowej i uniósł brew. *Wygląda na to, że nie miałem racji. Iglica jest złamana. Ktoś był bardzo przezorny.

Weaver pobladł.

* Rachel?

* Całkiem możliwe, to przecież ona dała Kleistowi ten pistolet. * Na twarzy Haldera pojawił się smutek. * No cóż, odkupiła swoją winę, przynajmniej jeśli chodzi o nas. Może to o czymś świadczy. Jednak jestem przekonany, że nie zrezygnuje z zamachu na waszego prezydenta.

W głębi domu rozległ się trzask łamanego drewna, a za oknami słyszeli tupot podkutych butów biegnących żołnierzy. Długa seria pocisków podziurawiła drewniane okiennice i rozbiła jedno z okien.

* Padnij! * krzyknął Weaver, złapał Helen Kane i wszyscy

troje rzucili się na podłogę. Halder popatrzył na niego.

* Wasi przyjaciele zaraz tu będą. Ta sztaba na frontowych drzwiach nie wytrzyma długo. Co robimy, Harry? Poddajemy się? Czy też spróbujemy powstrzymać Rachel, zanim będzie za

późno?

* Co masz na myśli?

* Ja praktycznie jestem już trupem. Natomiast ona może jeszcze ma szansę. Wprawdzie nie dałbym za to głowy, ale po rozważeniu jej motywów sąd połowy mógłby nie orzec kary śmierci. O ile powstrzymamy ją w porę. Gdyby udało nam się jakoś dotrzeć do Gizy, może mielibyśmy szansę. Decyzja należy

do ciebie.

* Może mi powiesz, jak mamy się tam dostać?

* W piwnicy jest zapasowe wyjście, a nad rzeką czeka łódź.

* A potem?

* Na razie martwmy się tylko tym, żeby wyjść z tego cało. No?

Kolejna seria kul strzaskała okiennice. W powietrzu przeleciały drzazgi, ze ścian posypał się tynk. Weaver skinął głową.

* Chodźmy.

Godzina 1.43

Sanson był wściekły. Jeszcze raz z całej siły kopnął drzwi i dwukrotnie strzelił w zamek, a potem pchnął barkiem, ale drzwi wciąż trzymały.

* Daj mi granat * powiedział do stojącego obok szeregowca. Żołnierz wyjął z chlebaka granat i podał mu go. * Cofnąć się.

Sanson umieścił granat przy dolnej krawędzi drzwi, kazał swoim ludziom poszukać osłony, wyciągnął zawleczkę i uskoczył za mur. Kilka sekund później nastąpiła potężna eksplozja, która wyrwała drzwi z zawiasów.

Godzina 1.45

Sanson stanął na środku pokoju, spoglądając na pobojuwisko. Na podłodze leżało ciało Araba, a w kącie drugie * krew płynęła jeszcze z dwóch ran w piersi i jednej na środku czoła.

Do pokoju wpadł major.

* W domu nie ma nikogo. Ani na dole, ani na górze.

* Jesteście pewni, że nie uciekli rzeką? * zapytał ostro Sanson.

* Tak jest, panie pułkowniku. Słyszelibyśmy warkot silnika, a poza tym motorówka nadal tam stoi. Nie mam pojęcia, jak zdołali się wymknąć. Chyba że odjechali motocyklem, który słyszeliśmy wcześniej.

* Niech ludzie dokładnie sprawdzą cały teren.

* Już to robią, panie pułkowniku. * Major wskazał na zwłoki Kleista. * Jeden z Niemców.

* Jeśli tak, to nie Halder. Sprawdźcie każde pomieszczenie, każdą szafę, komórkę i kąt, na górze i na dole. I zobaczcie, czy nie ma tu piwnicy.

Godzina 1.45

Zbiegając po schodach do ciemnej piwnicy, usłyszeli wybuch granatu. Halder pociągnął metalowe drzwi na końcu pomieszczenia. Powitał ich ciepły podmuch świeżego powietrza i księżycowa noc. Łódka wciąż tam stała, wepchnięta między trzciny. Ściągnęli plandekę.

* Będziemy wiosłować, bo warkot silnika by nas zdradził * powiedział Halder. * I starajmy się nie wypływać z trzciny, na otwartej wodzie mogą nas zauważyć. * Z ponurą miną popatrzył na Weavera. * Chyba byłoby lepiej, gdyby ta dama tu została i spróbowała się poddać. Nie ma sensu ryzykować jej życia, a w każdej chwili możemy zostać ostrzelani.

Zanim Helen Kane zdążyła powiedzieć choć słowo, Halder ujął jej dłoń i ucałował.

* Jest pani dzielną kobietą, Helen. W innym miejscu i innych okolicznościach z pewnością miło byłoby mi panią poznać. Teraz jednak proszę mi wybaczyć. Mamy z Harrym pilną sprawę do załatwienia.

Weaver pospiesznie wyjaśnił jej wszystko i powiedział, co powinna zrobić.

* Spróbuj zająć Sansona, aż odpłyniemy, a potem powiedz mu, żeby jak najszybciej skontaktował się z hotelem „Mena House” i dał im znać, co się dzieje. Powiedz mu też o samolocie, który ma zabrać Deacona spod Sakkary. Dasz sobie radę?

* Chyba tak.

* Odczekaj kilka minut i zacznij krzyczeć, ile sił w płucach. Niech wiedzą, po czyjej jesteś stronie, na wypadek gdyby chcieli wpaść do piwnicy i najpierw strzelać, a dopiero potem zadawać pytania.

Halder już siedział w łodzi. Gdy Weaver ruszył do niego, Helen dotknęła jego ramienia.

* Ten samochód... może nadal stoi tam, gdzie go zaparkowaliśmy, jeśli zdołacie do niego dotrzeć. I, na miłość boską, uważaj na siebie, Harry!

Zobaczył w jej oczach szczerą troskę. Pocałował ją w policzek.

* Jesteś cudowną kobietą, wiesz?

* A może po prostu głupią?

* Ruszajmy! * ponaglał Halder.

Kiedy Weaver wgramolił się do łódki, Halder zanurzył wiosło w wodzie i zniknęli w trzcinach.

Godzina 1.48

Sanson wciąż się pieniał, chodząc po pokojach na piętrze i kierując poszukiwaniami, kiedy gdzieś w pobliżu usłyszał przeraźliwy krzyk, a potem tupot nóg. Zbiegł po schodach w chwili, gdy dwaj żołnierze wyprowadzali z piwnicy Helen Kane. Była bez munduru, w halce. Sansonowi opadła szczęka.

* Helen...!

* Znaleźliśmy tę panią w piwnicy, panie pułkowniku. Czerwony jak burak Sanson z trudem panował nad sobą.

* Co ty tu robisz, do diabła? Gdzie jest Weaver? Gdzie Halder i ta kobieta?

* Musi mnie pan wysłuchać. Nie ma czasu do stracenia.

Godzina 1.51

Niecałe sto metrów dalej Halder wepchnął łódź w trzciny i podpłynął do brzegu. Wysiedli i po ciemku dotarli do drogi. Zobaczyli zaparkowanego na niej humbera, podbiegli i wskoczyli do środka.

* Myślisz, że tym gratem przejedziemy przez pustynię? * zapytał z powątpiewaniem Halder.

* Musimy spróbować.

* Deacon ma nad nami sporą przewagę, więc nie wiem, czy to ma sens.

Weaver przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik zapalił za pierwszym razem.

* Nie powiedziałaś mi, jak się w to wpakowałaś?

* Jeśli nie pragniesz śmierci waszego prezydenta, jedź szybko, Harry. Opowiem ci po drodze.

Nagle, już z pewnej odległości, zobaczyli wybiegających z willi żołnierzy, którzy wskakiwali do dżipa i ciężarówki.

* Zdaje się, że Sanson dostał wiadomość. Zobaczmy, czy uda nam się go wyprzedzić.

Weaver zakręcił kierownicą, nadepnął na gaz, spod kół trysnął piach i pomknęli pustynnym traktem do Nazlet as*Saman.

Giza, godzina 2.30

Deacon szedł pierwszy tunelem, trzymając w ręce jedną ze sztormowych lamp, które zostawili w grobowcu. Kiedy dotarli do końca i zobaczył głaz, obejrzał się na Rachel Stern.

* Może lepiej niech się pani przebierze w ten mundur. Ja tymczasem trochę się rozejrzę.

Wspiął się na głaz i znikł w szybie. Pięć minut później wrócił.

* Kilkaset metrów dalej jest paru wartowników, ale chodzą naokoło, więc niebawem się oddalą i będzie można bezpiecznie wyjść na powierzchnię. * W oczach miał fanatyczny błysk, a jego głos był ochrypty z podniecenia. * No cóż, nadeszła chwila prawdy. Jest pani gotowa spełnić swój obowiązek, Frdulein Stern?

Rachel, przebrana już w mundur Helen Kane, spojrzała na niego ponuro.

* Tak pan to nazywa?

* A jak inaczej? * Deacon położył dłoń na jej ramieniu, obrzucając ją twardym spojrzeniem. * W pani rękach spoczywa przyszłość Rzeszy. Nie może pani zawieść Fihrera. Jeśli zdoła pani wrócić, obiecuję upojną noc w Berlinie, róże i szampana. Powodzenia.

Deacon miał zamiar unieść rękę w hitlerowskim pozdrowieniu, ale Rachel odsunęła się i wepchnęła

lugera za pazuchę.

* Zapomnij o hitlerowskich bzdurach. Nie dlatego to robię. Uniósł brwi i uśmiechnął się

* Motywy mnie nie interesują, Liebchen, jeśli tylko zrobisz to, co należy. I miejmy nadzieję, że ten zdrajca Halder podał nam dobrą lokalizację kwatery Roosevelta. A teraz lepiej niech już pani idzie.

Pomógł jej wspiąć się na głąz i w następnej chwili zniknęła w tunelu.

Deacon cofnął się i przygasił lampę tak, że tylko nikły płomycek rozjaśniał mrok. Zapalił od niego cygaro, żeby uspokoić nerwy, i wydmuchnął kłąb dymu.

* Biedna dziwka * szepnęła do siebie. * Może i uda jej się to zrobić, ale założę się, że nie wyjdzie z tego żywa.

Rozdział 71

Hotel „Mena House”, godzina 1.55

* Popchnij wózek do okna, synu. Chciałbym popatrzeć na nie jeszcze raz.

* Tak jest, panie prezydencie.

Griffith podtoczył wózek z Rooseveltem do przeszklonych drzwi na taras i otworzył gęstą siatkę przeciw moskitom. Na zewnątrz znajdował się taras z terakotowymi kafelkami, kwiatami w glinianych donicach oraz stolikami i krzesłami z trzciny. W ogrodach na dole krążyły po trawnikach uzbrojone patrole. Kilkaset metrów dalej wznosiły się ogromne stożki piramid, prawie zasłaniając niebo. Widok był naprawdę wspaniały i Roosevelt podziwiał go ze swojego pokoju.

* Niesamowite, prawda, Jim?

Prezydent zawsze zwracał się do swoich ochroniarzy po imieniu, co bardzo im pochlebiało. Niezależnie od tego, że było to ich obowiązkiem, Griffith wiedział, że każdy z ochroniarzy bez wahania oddałby życie za prezydenta. On także, i Howie Anderson, którego po odejściu generała i ambasadora zostawił w przedpokoju, przeglądającego jakąś gazetę.

* Tak jest, panie prezydencie. Istotnie.

* Wiesz co, takie emocje to nie dla starych ludzi. Jeden z siedmiu cudów świata tuż za moim progiem, a gdzieś w pobliżu kręci się grupka niemieckich komandosów, którzy chcą mnie zabić. Można powiedzieć, że to interesująca podróż.

Griffith uśmiechnął się.

* Chyba ma pan rację, panie prezydencie. Dzięki Bogu, generał załatwił większość tych Niemców. Chce pan już wrócić do łóżka, panie prezydencie?

Od kiedy go zbudzono, Roosevelt był niespokojny * w pokoju było nieznośnie gorąco. Wentylator pod sufitem niewiele

pomagał.

* Skoro już nie śpię, może przejrzę trochę papierów. Przynieś moją teczkę, dobrze, Jim?

* Jak pan woli, panie prezydencie.

Griffith odtoczył wózek od okna, zamknął drzwi przeciw moskitom i przyniósł walizeczkę. Wiedział z doświadczenia, że obudzony w nocy prezydent nie zaśnie przez kilka dobrych

godzin.

* Czy jeszcze coś, panie prezydencie?

* Nie, to chyba wszystko.

* Tak jest. * Griffith podszedł do drzwi, żeby wyjść, ale z przyzwyczajenia odwrócił się w progu. * Na pewno nic panu nie będzie potrzebne, panie prezydencie?

* Wszystko w porządku. * Roosevelt ruchem głowy wskazał metalowy dzwonek, który zawsze trzymał przy łóżku. * W razie czego zadzwonię. * Zaczął otwierać walizeczkę i nagle jego twarz przybrała zamyślony wyraz. Westchnął, poprawił okulary na nosie i przygaśł, dręczony własnymi myślami. * Wiesz co, to taka strata. Ogromna, niepowetowana strata.

* Tak, panie prezydencie...?

* Wszystkie te ofiary w ludziach, nawet po niemieckiej stronie. Ogromnie mnie boli, że tylu wspaniałych młodych ludzi

ginie na próżno.

* Chyba taka jest cena wojny, panie prezydencie.

* Zbyt wysoka, synu.

Godzina 2.15

Weaver nie zdejmował nogi z pedału gazu. Silnik humbera wył z wysiłku, a amortyzatory ciężko pracowały na wybojach, gdy mknęli pustynnym traktem, wzbijając wielką chmurę pyłu.

* Jeszcze pięć minut i powinniśmy dotrzeć do Nazlet as*

*Saman.

* Zakładając, że w tym gracie nie pęknie opona albo chłodnica.

Weaver w skupieniu spoglądał na drogę, bo zamalowane na niebiesko reflektory dawały niewiele światła.

* Wygląda na to, że ten twój Schellenberg to kawał drania * odezwał się po chwili.

* Dla niego to tylko gra, Harry. Ludzie się nie liczą.

* Naprawdę przykro mi z powodu twojego ojca i synka, Jack.

Halder tylko skinął głową, a potem spojrzął przez tylną szybę. W chmurze pyłu, jaką wzbijał pędzący czterdziestką hum*ber, niczego nie można było dostrzec. Otworzył drzwi samochodu, żeby wyjść na stopień.

* Spróbuj nie wpaść na większy wybój, bo mnie zgubisz.

* Co takiego?

* Muszę sprawdzić, czy mamy towarzystwo.

Zapał się nogami o stopień, rękami chwycił drzwiczki i wychylił się najdalej, jak mógł. Przez welon kurzu dojrzał w oddali parę niebieskich świateł. Wrócił do kabiny i zatrzasnął drzwi.

* Mamy towarzystwo. Z pewnością to twój przyjaciel San*son depta nam po piętach. Są niecałe dwa kilometry za nami.

* Trzymaj się. Teraz zacnie się najciekawsze.

Weaver wcisnął pedał gazu do podłogi, wyduszając z maszyny wszystko. Humber zadrżał i pomknął jeszcze szybciej, warcząc jak rozwścieczone zwierzę.

Godzina 2.16

* Chyba ich widzę.

Sanson miał na twarzy motocyklowe gogle i stał w podskakującym na wybojach dżipie, mocno trzymając się owiewki. W blasku księżyca pustynia miała upiornie srebrzystą barwę, ale jakiś kilometr dalej Sanson dostrzegł gęstą chmurę kurzu.

* To z pewnością jakiś pojazd, panie pułkowniku * powiedział z tylnego siedzenia major. On również założył gogle.

* Masz pan cholerną rację * mruknął Sanson. * I można się założyć, że to Weaver z Halderem.

* Miejmy nadzieję, że porucznik Kane w porę przekaże wiadomość do hotelu.

Sanson usiadł, pot spływał mu po twarzy. Odesłał ciężarówkę z Helen Kane i pozostałymi żołnierzami do Kairu, żeby poszukali telefonu.

* Jeśli nie, to chyba możemy się pożegnać z paradą zwycięstwa na ulicach Berlina. * Klepnął kierowcę w ramię. * Szybciej, człowieku!

Godzina 2.17

Leżała w zagłębieniu terenu, czując, jak serce łomocze jej w piersi i ręce stają się śliskie od potu. Pięćdziesiąt metrów dalej zobaczyła dwóch wartowników. Zaczekała, aż przejdą, a potem otrzepała mundur, wstała, wyszła z krzaków i ruszyła w kierunku hotelu.

Zaledwie przeszła dwadzieścia kroków, natknęła się na dwóch następnych żołnierzy z karabinami M1. Sięgnęła po lugera, ale obaj zasalutowali jej, przechodząc. Przez moment zapomniiała, że ma na sobie mundur porucznika, i minęła sekunda lub dwie, zanim oddała honory. Jeden z żołnierzy zauważył jej wahanie, przystanął i zawrócił.

* Wszystko w porządku, pani porucznik?

* Ja... wysłałam zaczerpnąć świeżego powietrza, kapralu. W hotelu jest tak gorąco. Jednak dziękuję za troskę.

Kapral zmierzył ją podejrzliwym spojrzeniem. Popatrzyła na swój mundur i zobaczyła na nim smugę kurzu. Otrzepała się. Kapral zmarszczył brwi, jakby oczekując wyjaśnienia.

* Zrobiło mi się trochę słabo i musiałam usiąść, ale już wszystko w porządku.

Kapral zauważył zielony emblemat służb wywiadowczych na rękawie jej bluzy, uspokoił się i ponownie zasalutował.

* Jeśli potrzebuje pani pomocy, pani porucznik, albo jeżeli trzeba wezwać lekarza, proszę powiedzieć.

* To bardzo uprzejmie z pana strony, kapralu, ale dziękuję. Nic mi nie będzie.

Ciężarówka z grzechotem przejechała wąską uliczką i zwolniła, podjeżdżając do prywatnej willi, otoczonej wysokim

murem.

* Stań! * zawołała Helen Kane do kierowcy.

Kiedy samochód zatrzymał się, nie gasząc silnika, wygramoliła się z kabiny, a za nią uzbrojony w stena

sierzant. Podeszli do kutej żelaznej bramy, za którą ujrzeli ogród ze sztuczną

sadzawką, kilka ozdobnych krzewów i palm. Okiennice były pozamykane i cały budynek spowijały ciemności, ale przy bramie był uchwyt dzwonka, za który Helen energicznie pociągnęła. Gdzieś w głębi domu rozległ się melodyjny dźwięk.

* Zdaje się, że nikogo nie ma w domu, pani porucznik.

* Musi tam ktoś być! * odparła Helen Kane. To już drugi dom, do którego dobijali się w ciągu ostatnich dziesięciu minut. Wiedziała, że większość należących do bogatych mieszkańców Kairu willi, które stały na zachodnim brzegu, jest wykorzystywana tylko w niedziele, a przez resztę tygodnia pilnuje ich jedynie służba. W pierwszej udało im się ściągnąć z łóżka starego dozorcę, ale wystraszony starzec powiedział im, że w domu nie ma telefonu.

Rozpaczliwie pociągnęła za rączkę dzwonka i potrząsnęła bramą. Sierzant uważnie przyjrzał się willi, po czym popatrzył na drogę.

* Nigdzie nie widzę słupów telefonicznych, pani sierżant. Tu chyba w ogóle nie ma linii.

* Musimy znaleźć telefon. * Helen Kane rozejrzała się wokół, a potem ruszyła z powrotem do ciężarówki.

* Niedaleko stąd, przy English Bridge, jest posterunek policji. Musimy tam spróbować.

Weaver jak błyskawica wpadł do Nazlet as*Samana, przemknął po zaśmieconych ulicach ciemnej i opustoszałej wioski, płosząc kilka wynędzniałych psów, które uciekły, słysząc warkot silnika. Przejechał obok Sfinksa, skierował się ku piramidom i trzydzieści metrów dalej zobaczył zagrządzający drogę czer*wono*biały policyjny szlaban.

Nadepnął na pedał hamulca i Halder wyskoczył z wozu.

* Podniosę go.

Unosząc szlaban, zobaczył w budce wartowniczej związanego policjanta, nieprzytomnego, z kneblem w ustach. Sprawdził mu puls, po czym biegiem wrócił do samochodu i wskoczył do środka, a Weaver natychmiast ruszył.

* I co?

* Byli tu. Ogluszyli strażnika. * Spocony Halder wskazał w kierunku ruin w połowie wzgórza. * Jedź dalej, dopóki ci nie powiem, gdzie stanąć.

Dżip Sansona z rykiem wpadł do wioski dwie minuty później. Wokół panowała głęboka cisza, nigdzie nie dostrzegli śladu samochodu Weavera.

* Jedź na wzgórze! * zawołał Sanson do kierowcy i wskazał drogę wiodącą w górę, obok Sfinksa.

Kiedy dotarli do budki wartowniczej i podniesionego szlabanu, kazał kierowcy zwolnić. Zobaczył zakneblowanego i związanego policjanta, a potem popatrzył na gęste cienie zalegające wśród ruin i

piramid. Kipiał ze złości.

* Gdzie oni są, do diabła?

* Czy nie powinniśmy poszukać tego tunelu, panie pułkowniku? * zapytał major.

* Nie ma już na to czasu, ta kobieta znacznie nas wyprzedziła. A jeśli nasi nie dostali wiadomości, to mamy kłopoty. * Sanson klepnął kierowcę w ramię. * Jedź prosto do hotelu, najszybciej jak możesz. Chcę, żeby zastrzelili Rachel Stern, gdy tylko ją zobaczą.

Rozdział 72

Giza, godzina 2.18

Weaver wysiadł z samochodu i zobaczył motocykl, oparty

o jeden z głazów przy wejściu do grobowca. Halder minął go

i ruszył pierwszy do wylotu tunelu. Narzędzia, które tam zostawił, wyjęto i rzucono obok. Zapalił jedną z lamp i prze*czołgali się przez korytarz do grobowca. Weaver przez krótką chwilę podziwiał wspaniałe hieroglify na wieku sarkofagu, ale Halder już klęknął przy skalnej szczelinie, prowadzącej w głąb tunelu. Otarł pot z czoła i zaczął przeciskać się przez otwór.

* Uważaj, gdzieś tam może być Deacon * ostrzegł go Weaver.

Godzina 2.20

Zaczekała, aż wartownicy odejdą, a potem poszła w kierunku hotelu. Gdy weszła na trawnik z boku budynku, zauważyła stanowiska karabinów maszynowych i działek przeciwlotniczych na dachu. W jednym z pokoiów na drugim piętrze zobaczyła światło.

Duże przeszklone drzwi pokoju wychodziły na prostokątny taras, otoczony balustradą. Z prawej strony do muru była przymocowana solidna drewniana krata, gęsto porośnięta kwitnącymi pnączami i skryta w cieniu. Drzwi na taras były zamknięte, lecz za gęstą siatką przeciw moskitom paliło się światło. Stała tam przez chwilę, oddychając głęboko, a potem

podeszła do drewnianej kraty, chwyciła ją i pociągnęła. Konstrukcja sprawiała wrażenie solidnej, więc zaczęła się po niej wspinać.

Godzina 2.21

Deacon niepokoił się. Ponownie spojrzął na zegarek. Minęło piętnaście minut. Nagle usłyszał jakiś szmer w głębi tunelu. Szybko przesunął się w kąt jaskini i ciężko dysząc, zgasił lampę.

Z przerażeniem zobaczył błysk światła i cienie tańczące na ścianach. Po chwili z otworu wyszedł Halder, a za nim Weaver. Deacon zaczekał, aż Halder podejście bliżej, po czym z pistoletem w ręku wyszedł z cienia.

* Nie sądzę, żeby to było rozsądne, majorze, chyba że zmienił pan zdanie? Zejdźcie powoli z głazu. Obaj wyjmijcie broń i rzućcie ją na ziemię.

Weaver ani drgnął, lecz Halder zeskoczył z głazu i powiedział:

* Strzelaj, Deacon, wartownicy na górze z pewnością usłyszą huk. No to jak, naciśniesz spust?

Czoło Deacona lśniło od potu. Nerwowo oblizał wargi.

* Nie kuś mnie, Halder, bo wylądujesz na cmentarzu.

* Zobaczymy, czy starczy ci odwagi. * Halder podszedł jeszcze krok i Deacon zawahał się przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło. Halder błyskawicznie chwycił go za rękę, w której trzymał pistolet. Rozległ się ogłuszający huk wystrzału i wizg rykoszetu. Deacon próbował stawiać opór, ale Halder uderzył go w szczękę, a w następnej chwili do akcji wkroczył Weaver i kolbą pistoletu rąbnął go w skroń. Deacon wydał zduszony okrzyk i osunął się na ziemię.

* Zdejmij mu pasek, Harry, i zwiąż ręce.

Strzał odbił się wielokrotnym echem, które przetoczyło się w głąb korytarza. Weaver pospiesznie rozpiął nieprzytomnemu Deaconowi pasek i związał mu nim ręce na plecach.

* Ryzykowałeś, Jack. Mógł cię zabić.

* Dziś jest mój dzień na odgrywanie bohatera. To łatwe, kiedy się nie ma nic do stracenia. Chyba myliłem się co do wartowników. Te grube ściany na pewno stłumiły huk. * Halder rękawem otarł pot z czoła i ruchem głowy wskazał na otwór korytarza. * Gotowy?

* Jasne. Mam nadzieję, że Rachel jeszcze nie zaszła daleko.

* Wkrótce się przekonamy.

Halder wspiął się na gład, podał rękę Weaverowi i pomógł mu wejść na górę.

Godzina 2.24

Na węzle łączności w hotelu „Mena House” zadzwonił telefon. Pełniący służbę szeregowiec Sparky

Johnson zamrugał oczami i ocknął się z krótkiej drzemki. Ziewnął i zdjął nogi ze stołu.

O tej porze w eterze panowała cisza. Stojące przed nim radiostacje i telefony milczały od godziny. Dyżurny oficer siedział za biurkiem na drugim końcu pokoju i cicho pochrapywał z głową opartą o ramię.

Zadzwonił drugi telefon.

Johnson podniósł słuchawkę pierwszego. Kątem oka widział, że kapitan budzi się i ziewa.

* Łączność, hoteli „Mena House” * powiedział do mikrofonu.

Drugi telefon wciąż dzwonił.

Johnson zignorował go, słuchając pierwszego rozmówcy. Zmarszczył brwi, odwrócił się i przywołał gestem kapitana. Ten wstał i podciągnął spodnie.

* Rozumiem, panie pułkowniku! * rzucił Johnson do telefonu i natychmiast podniósł słuchawkę drugiego. * Łączność, hotel „Mena House”.

Słuchał przez chwilę i nagle krew odpłynęła mu z twarzy. Kapitan podszedł do niego, ziewając.

* Jakiś problem, Sparky?

Johnson uciszył go gestem i kiedy słuchał głosu w słuchawce, zimny pot oblał mu czoło.

* Tak jest, pani porucznik, naprawdę rozumiem, ale proszę zaczekać, chwileczkę. * Zakrył dłonią mikrofon i spojrzał na kapitana. * Pierwszy telefon był z bramy wjazdowej, panie kapitanie. Właśnie przyjechał oficer wywiadu, niejaki Sanson z kwatery głównej. Idzie do apartamentu prezydenta. Kazał natychmiast ogłosić alarm dla agentów Secret Service.

Kapitan zmarszczył brwi.

* Po co, do diabła?

Johnson podsunął mu słuchawkę, a sam chwycił drugi telefon i zaczął gorączkowo wybierać numer, wyjaśniając jednocześnie:

* Dzwoni jakaś kobieta. Przedstawiła się jako porucznik Helen Kane z brytyjskiego wywiadu. Jezu, niech pan posłucha,

co ona mówi.

Godzina 2.25

Wspięła się po kracie, kryjąc się w cieniu, a potem prześlizgnęła przez balustradę na wykafelkowany taras. Za siatką przeciwko moskitom nadal paliło się światło. Kiedy zajrzała do pokoju, zobaczyła znajomą

sylwetkę Roosevelta. Siedział na wózku inwalidzkim, na nosie miał okulary i przeglądał jakieś dokumenty. Był sam.

Serce zaczęło jej bić jak szalone. Wyjęła lugera z tłumikiem i odbezpieczyła broń. Ostrożnie wsunęła legitymację w szparę drzwi, podniosła rygiel i błyskawicznie wskoczyła do środka.

Zaskoczony Roosevelt gwałtownie podniósł głowę i okulary o mało nie spadły mu z nosa. Zobaczył stojącą w drzwiach młodą kobietę z lugerem w ręku.

* Nie uważa pani, że już trochę za późno na wizyty, pani

porucznik?

Na jej twarzy nie ujrzał lęku, ale jakby poczucie winy. Wycelowała broń w jego głowę.

* Panie prezydencie, naprawdę żałuję, że muszę to zrobić. Roosevelt patrzył przez chwilę jej w oczy, a potem zerknął na

metalowy dzwonek. Nie zdążyłby sięgnąć. Przez moment wahał się, a potem znów popatrzył na kobietę i powiedział spokojnie:

* Jeśli naprawdę zamierza pani strzelić, to proponuję, żeby zrobiła to pani teraz.

Godzina 2.25

Griffith drzemał w przedpokoju, kiedy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę i w tym samym momencie ktoś głośno zapukał do drzwi. Anderson zerwał się na równe nogi i ruszył do nich z gotowym do strzału thompsonem.

Młodemu agentowi, wsłuchującemu się w rozgorączkowany głos łącznościowca, krew odpłynęła z twarzy. Zerwał się z kanapy, wyciągnął rewolwer z kabury i rzucił się do drzwi sypialni, wzywając Andersona, który już usłyszał hasło i otworzył drzwi.

* Howie, alarm! Mamy w pobliżu zabójcę! Wszystko wydawało się dziać jednocześnie: słychać było

głośne krzyki na korytarzu, agenci Secret Service wpadali z bronią do pokoju, zajmując pozycje naprzeciw drzwi i okien. Zaspary Sanson przedarł się przez nich jak taran, wrzeszcząc:

* Rany boskie, biegnijcie do prezydenta!

Jego słowa zagłuszył tupot nóg i głośne rozkazy, ale Griffith już biegł korytarzem do sypialni prezydenta. Anderson deptał mu po piętach.

Godzina 2.25

Zaczekali w kotłowni, aż mogli bezpiecznie wyjść, a potem Weaver poszedł pierwszy przez trawnik w kierunku hotelu. Halder szedł za nim. Kiedy wyszli zza narożnika budynku, zobaczyli nagłe zamieszanie * ze wszystkich stron nadbiegały dziesiątki wartowników i żandarmów. Przed wejściem stał pusty dziedzińiec i dwa czołgi z włączonymi silnikami. Baterie przeciwlotnicze na dachu ożyły i czujnie wodziły lufami po niebie.

Weaver złapał przebiegającego obok porucznika żandarmerii.

* Co się stało?

* Ogłoszono alarm, panie pułkowniku. Mamy powody przypuszczać, że...

W tym momencie gdzieś w pobliżu padły dwa strzały, jeden po drugim, a potem zawyła syrena, napełniając powietrze żałobnym skowycem. Porucznik wpadł do hotelu, pociągając za sobą cały tłum żandarmów.

Halder zacisnął wargi. Wyraz jego twarzy mówił wszystko.

* Spóźniliśmy się.

Weaver wskazał na boczną ścianę budynku.

* Strzały padły gdzieś tam * powiedział i ruszył w tym kierunku. Z ogrodu zaczęły nadbiegać kolejne grupy żołnierzy, poganiane przez dezorientowanych oficerów. * Nie biegnij, Jack, bo ściągniesz na nas uwagę. I cokolwiek się stanie, trzymaj się mnie.

Griffith wpadł do sypialni. Anderson biegł tuż za nim, z thompsonem gotowym do strzału. Sanson deptał im po

piętach, trzymając w ręku rewolwer. Za nimi korytarzykiem nadbiegali kolejni agenci Secret Service.

Drzwi na taras były otwarte na oścież, a przed Rooseveltem stała kobieta w mundurze porucznika. W ręce trzymała pistolet z tłumikiem. Na widok wpadających do pokoju agentów drgnęła przestraszona, przesunęła lufę i strzeliła, trafiając Andersena w rękę. Agent upuścił thompsona, ale Griffith błyskawicznie wycelował swoją trzydziestkę i również strzelił. Pierwszy pocisk trafił kobietę w ramię, drugi także był celny. Uderzenia kul wypchnęły ją przez otwarte drzwi, a Anderson rzucił się na Roosevelta, osłaniając go własnym ciałem.

Przez moment w pokoju panowało straszliwe zamieszanie. Griffith osłaniał Andersona i dwóch innych agentów Secret Service, którzy pospiesznie obrócili wózek i błyskawicznie wytoczyli Roosevelta z pokoju. Z korytarza i przedpokoju dobiegły krzyki i tupot nóg, gdy dołączyli do nich kolejni agenci, pomagając wywieźć prezydenta jak najdalej od niebezpieczeństwa.

Sanson chwycił leżącego na podłodze thompsona i wybiegł na taras w tej samej chwili, gdy zawyła syrena. Czujnie rozejrzał się wokół, ale nikogo nie dostrzegł * tylko na kafelkach posadzki leżał upuszczony luger z tłumikiem. Podbiegł do balustrady balkonu i popatrzył w dół. Jakaś postać w

mundurze właśnie zeskoczyła z kraty i rzuciła się biegiem przez trawnik. * Stój, bo strzelam!

Kobieta biegła dalej, trzymając się za ramię. Sanson poderwał thompsona i posłał z biodra krótką serię, która poszarpała trawnik, lecz kobieta wciąż biegła, uciekając w cień. Strzelił ponownie, tym razem długą serią. Kobieta potknęła się, okręciła pod uderzeniem kul i upadła. Sanson przyłożył thompsona do ramienia, starannie wycelował i nacisnął spust. Broń nie wystrzeliła.

Magazynek był pusty. Kobieta wstała i trzymając się za bok, powlokła się w cień. Sanson wyrwał z kabury pistolet, wycelował i zdążył jeszcze oddać dwa szybkie strzały, zanim znikła

w krzakach.

Dziesiątki żołnierzy biegły przez trawnik w kierunku budynku..

* Zatrzymać tę kobietę! * wrzasnął Sanson z balkonu,

pokazując im palcem kierunek. * Gońcie ją!

Kiedy wyszli zza narożnika hotelu, zobaczyli stojącego na balkonie Sansona z thompsonem w rękach. Z lufy pistoletu maszynowego tryskał płomień, gdy podpułkownik pociągnął długą serią po trawniku. Halder wskazał na uciekającą postać.

* To Rachel!

Weaver widział, jak dosięgła ją seria wystrzelonych przez Sansona pocisków. Rachel obróciła się, potknęła i upadła, chwytając się za bok, lecz gdy thompson nagle zamilkł, z trudem podniosła się z ziemi.

Stojący na balkonie Sanson wyrwał broń z kabury i odgłos strzałów znów zagłuszył wycie syreny, ale Rachel już znikła w ciemnościach. Zewsząd nadbiegali żołnierze. Sanson wydał im rozkazy, po czym wpadł z powrotem do pokoju.

Nie tracąc ani chwili, Halder pociągnął Weavera za ramię i razem pobiegli przez trawnik w ślad za Rachel.

Godzina 2.36

W otoczonym gęstym kordonem pokoju na drugim końcu hotelu tłoczyli się agenci Secret Service, a korytarzy pilnowały dziesiątki zaniepokojonych żandarmów. Zamieszanie już opanowano i Roosevelt spojrział na Griffitha, który drżał cały i był blady jak ściana.

* Wszystko w porządku, synu?

* Tak mi się wydaje, panie prezydencie. Naprawdę niewiele brakowało.

* Módlmy się, żeby się na tym skończyło. Gdzie Howie, synu? Czy jest ciężko ranny? * zapytał Roosevelt ze szczerą troską.

* Właśnie zajął się nim lekarz. Rana nie jest poważna, nic mu nie będzie, panie prezydencie.

* Dzięki Bogu. Gdzie jest pułkownik? Zdaje się, że jestem mu winien podziękowania.

* Już tu idzie, panie prezydencie.

Tłum agentów rozstąpił się. Kiedy Sanson precyzyjnie się do Roosevelta, prezydent wyciągnął rękę.

* Pułkownik Sanson, jak sądzę? Mówią, że to pan uratował mi życie. W ostatniej chwili.

* Sądzę, że ten zaszczyt przypada pana ochronie, panie prezydencie * odparł Sanson.

* Ale pan również odegrał w tym niemałą rolę i jestem głęboko wdzięczny. * Roosevelt spochmurniał i zapytał cicho: * A co z tą młodą kobietą?

Sanson poczerwieniał z zakłopotania.

* Nadal jej szukamy, panie prezydencie. I na pewno znajdziemy, tylko trwa to trochę dłużej, niż oczekiwaliśmy.

* Mundur, który miała na sobie, wyglądał bardzo przekonująco. Tylko jak, do licha, dostała się do hotelu?

Sanson wyjaśnił i Roosevelt uniósł brwi.

* No, niech mnie! A więc tak to zrobiła.

* Sądzimy, że teraz też wróciła do tunelu. Ponad pięciuset żołnierzy przeczesuje ogród, a parę ciężarówek jedzie już do Gizy, żeby przeszukać teren wokół piramid. Jeden z moich majorów i jego ludzie usiłują znaleźć wylot tunelu. Tak czy inaczej, nie uda jej się uciec.

* Z pewnością * powiedział cicho Roosevelt. Był lekko zdziwiony. * Wie pan co, to dziwne...

* Tak, panie prezydencie?

* Miała szansę, ale jej nie wykorzystała. Słyszała hałas w korytarzu, kiedy nadbiegaliście, ale nie strzeliła. Tylko stała tam i patrzyła na mnie, jakby nie miała serca tego zrobić... jakby chciała, żeby jej się nie udało. * Prezydent zdjął okulary i spojrzał na Sansona. * Mam wrażenie, że to albo bardzo odważna kobieta z wyrzutami sumienia, albo bardzo głupia i o samobójczych skłonnościach.

W drzwiach znów zaczęło się jakieś zamieszanie i Sanson zauważył majora w ubrudzonym mundurze, próbującego przedostać się przez kordon agentów Secret Service. Sanson powiedział do Roosevelta:

* Proszę mi wybaczyć. Wzywają mnie obowiązki.

* Oczywiście. Ponownie składam panu wyrazy mojej głębokiej wdzięczności, pułkownik Sanson. Wykonał pan wspaniałą robotę.

Sanson zasalutował, odwrócił się na pięcie i podszedł do drzwi.

* On jest ze mną * rzucił do ochroniarzy. Major zasalutował. * No i co? Znaleźliście ją?

* Odkryliśmy wejście do tunelu, panie pułkowniku. Wygląda na to, że Weaver z Halderem weszli tam za nią.

* Co?!

Major przełknął ślinę.

* O ile wiem, udało im się dotrzeć do wylotu tunelu tuż przed moimi ludźmi. Wysłałem za nimi kilku żołnierzy z latarkami.

* I co?

* Znaleźliśmy Deacona, związanego i nieprzytomnego. W tunelu są ślady krwi. Na pewno zranił pan tę kobietę, panie pułkowniku. Jednak nigdzie jej nie ma.

* Jak to nie ma?

* Zniknęła.

* Gdzie, na Boga?

* Jeden z moich ludzi poczołgał się kawałek za nią. Mówi, że jest pewny, iż w oddali słyszał odjeżdżający samochód.

Sanson zacisnął szczęki, jakby chciał połamać sobie zęby.

* Pewnie pojechała na lądowisko. Upewnijcie się, czy informacje porucznik Kane o tym spotkaniu koło Sakkary zostały przekazane do dowództwa.

Major kiwnął głową.

* Już to zrobiłem. Jedzie tam duży oddział żołnierzy. A przed hotelem czeka dżip. Możemy dołączyć do nich, kiedy będzie pan gotowy, panie pułkowniku.

* Wobec tego idziemy. * Sanson żwawo przeszedł przez korytarz, przepchnął się przez kordon żołnierzy i zbiegł do holu. * Skoro ta kobieta jest ranna, będzie miała szczęście, jeśli uda jej się dotrzeć na lądowisko. Ale nawet jeżeli jej się to uda, czeka ją przykra niespodzianka.

Po chwili przypomniał sobie o czymś.

* A co z Weaverem i Halderem?

* Oni też zniknęli, panie pułkowniku.

Rozdział 73

Godzina 3.25

Kapitan Omar Rahman wystartował z lotniska Królewskich Sił Powietrznych Egiptu w Almazie, na północny wschód od Heliopolis. Po dwudziestu minutach położył samolot w ostry skręt tysięcy metrów nad polami trzciny cukrowej pod Memfis, gdzie kończyła się żyzna delta Nilu, a zaczynała pustynia. Na srebrzystej czerni rozpościerającego się w dole piasku szukał świateł, którymi oznakowano miejsce lądowania. Nie znalazł.

Zdziwiło go to. Jego pasażerowie powinni już tam być. Spojrzał na zegarek. Przyleciał na czas. Lekko pchnął drążek sterowy do przodu i bristol opadł niżej. Leciał nad bezkresną równiną, na której wznosiły się tylko piramidy Sakkary. Bez trudu mógł dostrzec ich gigantyczne sylwetki jakieś osiem lub dziesięć kilometrów dalej.

Gdy jeszcze raz popatrzył w dół, ujrzał błysk światła, które zapaliło się na pustyni. Potem następne, a później jeszcze jedno. Wszystkie trzy tworzyły literę „L”. Rahman uśmiechnął się

pod nosem.

* Wspaniale! A więc udało się wam, przyjaciele! Pchnął drążek i bristol zaczął opadać.

Sakkara

Jechali przez pustynię, ścigając uciekającą na motocyklu Rachel; trzymali się pojedynczego śladu opon na piasku, który

doprowadził ich w pobliże piramid Sakkary. Kiedy dojechali do końca szutrowej drogi, wiodącej na teren wykopalisk, zobaczyli leżący na piasku porzucony Motocykl. Weaver chwycił latarkę, wyjął pistolet, a kiedy wysiedli, Halder klęknął i sprawdził motocykl.

* Kula przebiła bak. Skończyło jej się paliwo.

Weaver w świetle latarki obejrzał uszkodzenie i zauważył ciemne plamy na siodełku oraz na ziemi. Przyklęknął i z ponurą miną dotknął krwawego śladu.

* Wygląda na to, że jest ciężko ranna. Może zamierza dotrzeć pieszo do lądowiska?

Za piramidami nic się nie poruszało na bezkresnej, oblanej księżycowym blaskiem pustyni. Halder wskazał na wejście do ruin.

* Lepiej zajrzyjmy tam na wszelki wypadek. Kamienna kolumnada prowadziła do piramid, pośród ścian z kruszejącego piaskowca. Weaver zapalił latarkę i poszli krótkim, mrocznym korytarzem, który

wyprowadził ich na upiornie cichy, skąpany w blasku księżycy dziedziniec. Po prawej wznosiła się ogromna piramida Dżosera, a przed nimi resztki starożytnych mastab dawnych notabli * kamienne stopnie wiodły w dół, do grobowców. Podeszli do najbliższego z nich i kiedy strumień światła trafił w mroczne wejście, z ciemności wyleciała chmara nietoperzy. Jednak łopot ich skrzydeł zaraz ucichł w oddali i znów zapadła cisza.

* Daj mi latarkę * powiedział nagle Halder.

* Co się stało?

* Chyba coś zauważyłem.

Kiedy Weaver mu ją podał, Halder poświecił na ziemię.

* Była tutaj * stwierdził, wskazując kilka plam krwi na piasku, parę metrów dalej, między dwoma kolejnymi grobowcami.

Weaver wyciągnął rękę w kierunku schodów, wiodących do pierwszego z nich.

* Spróbujmy poszukać w tym * zaproponował. Gdzieś na niebie cicho zawarczał samolot i obaj spojrzeli w górę, ale niczego nie dostrzegli. Warkot zbliżał się.

* Założę się, że to pilot Deacona * powiedział Halder. * Może już dotarła do lądowiska?

* Lepiej się upewnić.

Świecąc latarką, Weaver szybko zszedł po schodkach do grobowca, a Halder za nim.

Rahman leciał nisko, wypuściwszy już klapy i celując nosem maszyny prosto w światła. Pot spływał mu po twarzy. Lądowanie na pustynnym lądowisku było ryzykowne nawet w dzień, a w kompletnych ciemnościach śmiertelnie niebezpieczne. Jeśli trafi kołami na jakąś większą przeszkodę, może uszkodzić podwozie lub zaryć się w piasek i wtedy nie zdoła wystartować.

* Powoli i spokojnie * mruknął do siebie.

Łagodnie pchnął drążek do przodu, nie odrywając oczu od zapalonych świateł. Znajdował się na wysokości zaledwie sześćdziesięciu metrów nad ziemią i szykował się do przyziemienia. W ostatniej chwili włączył światła lądowania. Kiedy w ich ostrym blasku pośpiesznie rzucił okiem na lądowisko, wypatrując kamieni lub przeszkód, krew zastygła mu w żyłach. Po prawej i lewej stronie pasa ujrzał szeregi wojskowych ciężarówek.

Pułapka.

* Dranie! * wrzasnął. Mocno pchnął dźwignię przepust*nicy, jednocześnie wciągając klapy i przyginając do siebie drążek sterowy. Bristol z rykiem poderwał się w niebo. Z dołu trysnęły smugi reflektorów i powietrze przeszły serie z broni maszynowej, zasypując samolot śmiercionośnym gradem ołowiu.

Okienko kabiny rozprysło się na kawałki i kilka pocisków trafiło kapitana Rahmana w bark, obracając go na fotelu. Kolejna seria trafiła go w plecy. Wrzasnął i osunął się na drążek sterowniczy.

Nie żył już, kiedy bristol gwałtownie zanurkował, z rykiem uderzył w ziemię i zmienił się w wielką kulę pomarańczowego ognia.

Znaleźli ją leżącą pod ścianą grobowca. Obwiązała się bluzą munduru, żeby powstrzymać krwawienie ze straszliwej rany w boku. Materiał bluzy był szkarłatny od krwi i Rachel wyglądała jak mała dziewczynka, zagubiona i bezradna. Oddychała płytko, pot spływał jej po twarzy i dławiła się własną krwią. Na ich widok zamruwała powiekami. Weaver klęknął przy niej. Ścisnęło go w gardle.

* Nie ruszaj się. Leż spokojnie.

Na przemian odzyskiwała i traciła przytomność, ale zdołała szepnąć ochryple:

* Lepiej będzie, jeśli mnie zostawisz, Harry.

* Rany boskie, wykrwawisz się na śmierć.

Halder podszedł, delikatnie odchylił prowizoryczny opatrunek i spojrzał na ziejącą ranę w boku, wyrwaną przez serię z pistoletu maszynowego. Potem spojrzał jej w oczy, dotknął policzka i zapytał:

dłaczego to zrobiłaś? Skrzywiła się z bólu i odkaszlnęła krwią.

* O... obaj wiecie dlaczego. Teraz czas na rewanż. Skończcie z tym. * Strumyk krwi popłynął jej po brodzie. * Wszystko zakończy się tu, gdzie się zaczęło.

Weaver wstał i powiedział z rozpaczą:

* Sprowadzę pomoc...

Halder chwycił go za ramię i rzekł posępnie:

* Obawiam się, że to już nic nie da.

Rachel krzyknęła okropnie, jak udręczone zwierzę. W jej oczach zabłyśły łzy.

* Na miłość boską, nie macie litości? Proszę, niech któryś z was mnie zastrzeli!

Znów jęknęła, oszalała z bólu, i zacisnęła powieki. Weaver nie mógł już tego znieść. Wyrwał pistolet z kabury i stanął nad Rachel. Drżącą dłonią wycelował lufę w jej skroń. Krople potu spływały mu z czoła i przez chwilę stał tak, z palcem na spuszczeniu, patrząc na nią i nie mogąc tego zrobić. Po raz pierwszy od wielu lat chciało mu się płakać.

* Proszę...

Usłyszał metaliczny szczęk, spojrzał i zobaczył, że Halder z oczami mokrymi od łez unosi broń.

Huk wystrzału odbił się echem od kamiennych ścian.

Wynieśli jej ciało z grobowca i położyli na piasku, a potem Weaver zdjął kurtkę i zakrył twarz Rachel. Przez długi czas stali w napiętej ciszy, aż w końcu Halder powiedział drżącym głosem:

* Nie było innego wyjścia, przyjacielu. To był akt miłosierdzia.

Weaver miał twarz szarą jak popiół.

* Mogłem sprowadzić pomoc...

* I tak nie zdołałbyś jej ocalić. Przecież wiesz, Harry. Weaver w milczeniu spojrzał na pustynię, dostrzegł migoczące

światła i łunę płonącego samolotu.

* Zdaje się, że Sanson ściągnął komitet powitalny na lądowisko.

Halder z ponurą miną wyjął pistolet i przełknął ślinę.

* Każdy musi pójść do piekła własną drogą. Teraz zostaw mnie samego i pozwól mi odejść z honorem.

* Twoja śmierć byłaby zupełnie niepotrzebna. Już po wszystkim, Jack. Schowaj broń.

* Obawiam się, że nie mam innego wyjścia. Jeśli mnie aresztujesz, czeka mnie szubienica lub pluton egzekucyjny. Naprawdę nie mam ochoty zawisnąć. * Halder odbezpieczył broń. * Wyświadcz mi grzeczność i odejź.

Weaver bardzo powoli wyciągnął rękę i chwycił za lufę pistoletu.

* Powiedziałem: schowaj to, Jack.

* Nie ułatwiasz mi sprawy.

* Weź samochód. Jedź na południe, najdalej jak możesz. Jeśli dopisze ci szczęście, do rana dotrzesz do Luksoru. * Halder milczał, zaskoczony, a Weaver dodał: * Jedź, dopóki jeszcze możesz, zanim zjawią się tu ludzie Sansona.

* Będą chcieli wiedzieć, co się ze mną stało.

* Zostaw to mnie. Jedź. Zanim będzie za późno. Halder był bliski załamania. Klęknął obok ciała Rachel, podniósł bluzę munduru i dotknął jej twarzy.

* Obiecasz mi, że będzie miała porządny pogrzeb? * Spojrzał na pustynię i dorzucił ochryplym głosem: * Gdzieś tam. Gdzie wszyscy byliśmy tak szczęśliwi, zanim zaczęło się to szaleństwo.

Weaver skinął głową.

* Teraz lepiej już idź.

* Co za przekłeta rzecz, ta parszywa wojna! * wykrzyknął z wściekłością Halder. * W końcu dopadła nas wszystkich.

Weaver nie odpowiedział, bo nie znalazł na to żadnej odpowiedzi. Halder ostatni raz położył dłoń na jego ramieniu.

* Uważaj na siebie, Harry. Nie wiem, czy jeszcze kiedyś się spotkamy, ale postaraj się doczekać końca wojny.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik, jeszcze raz pomachał ręką przyjacielowi, a potem oliwkowy humber ruszył w ciemność i zniknął w niej jak duch.

Weaver osunął się na piasek. Tak wiele się wydarzyło, zbyt wiele w tak krótkim czasie. Wziął w ramiona głowę Rachel i ukrył twarz w jej włosach. Przez chwilę w oddali cichł warkot odjeżdżającego samochodu. A potem Weaver słyszał tylko własny szloch i odwieczną ciszę pustyni.

Rozdział 74

Kair

Zanim Weaver skończył swoją opowieść, była prawie trzecia nad ranem. W hotelowym holu było pusto, a obsługa baru poszła już do domu. Chamsin przestał wiać kilka godzin wcześniej i nadciągnęła gęsta mgła, spowijając miasto upiornym całunem. Gdzieś na Nilu ostrzegawczo zahuczała syrena. Weaver odstawił szklanke.

* No, Carney, masz swoją opowieść. Spojrzałem na niego.

* To wprost niewiarygodne.

* Rzeczywiście, ale przysięgam Bogu, że to prawda. Rozumiem, że dotrzymasz obietnicy i nie opublikujesz tego przed moją śmiercią? Bo nadal chcesz o tym napisać, prawda?

* Oczywiście, ma pan moje słowo. Zastanawiałem się tylko, czy ktoś w to uwierzy. * Zawahałem się. * Mogę o coś spytać?

* Pytaj.

* Skąd dowiedział się pan o zwłokach w kostnicy? I dlaczego podejrzewał pan, że po tylu latach Halder

może jeszcze żyje?

* Mam w Kairze znajomego, teraz już starca, którego wynająłem przed wieloma laty, żeby spróbował odnaleźć Jacka. Tak jak i pan, przeczytał wiadomość w gazetach i natychmiast skontaktował się ze mną. Nazwisko i wiek zmarłego, a także jego niemiecka narodowość sugerowały, że może to nie być zbieg okoliczności. Dlatego przyleciałem tu pierwszym samolotem, dziś po południu. Miałem cholerne szczęście, bo z powodu burzy lotnisko zostało zamknięte dziesięć minut po naszym przybyciu.

* Nie miał pan żadnych innych poszlak?

* Miałem, ale dawno temu.

* Jak dawno?

* Kilka lat po wojnie odkryłem, że posiadłość Halderów została sprzedana za pośrednictwem szwajcarskiego banku w Zurychu. Oboje rodzice Jacka nie żyli, więc zastanawiałem się, kto ją sprzedawał. Skontaktowałem się z bankiem, ale odmówili mi podania jakichkolwiek informacji. Znasz Szwajcarów, mają obsesję na punkcie tajemnicy i ochrony interesów klientów, tak więc moje śledztwo do niczego nie doprowadziło, chociaż wykorzystałem dawne znajomości w kręgach wywiadu. Potem, nagle, kilka miesięcy później, dostałem od Jacka pocztówkę z Casablanki. Napisał tylko: „Wszystko w porządku. Jack”.

* A więc udało mu się uciec i przeżyć. Weaver skinął głową.

* Przez wiele lat próbowałem go odnaleźć, ale nie zdołałem. Franz Halder był lubianym i szanowanym człowiekiem, miał też liczne kontakty na Środkowym Wschodzie. Ci ludzie na pewno chętnie pomagali jego synowi. Jack mógł przebywać w każdym z krajów tego rejonu. Poza tym jego ojciec był bogaty. Z pewnością zostawił sporo pieniędzy, które w połączeniu z sumą uzyskaną ze sprzedaży posiadłości pozwoliły Jackowi żyć dostatnio i spokojnie do końca życia.

* Sądzi pan, że Jack Halder dowiedział się, co się stało z jego synem?

* Na pewno. Byłem w Berlinie na grobie Pauliego. Chłopiec jest pochowany obok matki. * Weaver zamilkł i po chwili dodał: * Wie pan, co mnie zaskoczyło? Na płycie nagrobka leżały dwie świeże lilie, po jednej dla obojga. Co miesiąc dostarczała je tam berlińska kwiaciarnia. Białe lilie, dokładnie takie same, jakie mój ojciec hodował dla matki Haldera. Dowiedziałem się, że polecenie dostarczania kwiatów wydał ten sam bank w Zurychu, na którym urwał się trop. Po raz ostatni byłem na tych grobach pięć lat temu. Lilie znowu tam leżały, tak jak przedtem. To kolejny powód, który każe mi przypuszczać, że Jack wciąż żyje.

Chciałem nalać sobie brandy, ale butelka była już pusta. Odstawiłem ją.

* A inni? Co się z nimi stało?

* Na pewno wie pan, co się stało z Canarisem. Wkrótce po fiasku operacji „Sfinks” Abwehra została rozwiązana, a jej

zadania przejął SD. Admirala aresztowano wraz z grupą innych oficerów spiskujących przeciwko Hitlerowi i zamordowano. Wyszło na jaw, że przez wiele lat dostarczał informacje aliantom za pośrednictwem brytyjskiego wywiadu. Schellen*berg, zgodnie ze swoją naturą, wymyślał kolejne szaleńcze operacje. Tydzień po fiasku „Sfinks” próbował przeprowadzić podobną akcję, tym razem w Teheranie, gdzie Roosevelt i Chur*chill mieli spotkać się ze Stalinem. I znów był bliski sukcesu, ale nie udało mu się. Został schwytany przez aliantów i skazany po procesie w Norymberdze. Uniknął szubienicy, ale skazano go na długoletnie więzienie, jako zbrodniarza wojennego. Wypuszczono go po dwóch latach z powodu złego zdrowia i wkrótce potem umarł na raka płuc. Himmler też został pojmany, kiedy próbował uciec w mundurze szeregowca, jednak popełnił samobójstwo przed procesem, rozgryzając ukrytą w zębie ampułkę z cyjankiem. Co do pozostałych... Reggie Salter przeżył, ale sześć miesięcy później stanął przed * sądem polowym, został uznany za winnego dezercji oraz morderstwa i rozstrzelany. Harveya Deacona spotkał ten sam los, jako szpiega.

* A co z Sansonem i Helen Kane?

* Chociaż nie zgadzaliśmy się z Sansonem, muszę przyznać, że był dobrym żołnierzem. Takiego człowieka każdy chciałby mieć po swojej stronie: oddany, niestrudzony, nieustępliwy. Do końca wojny służył w Kairze, a potem wrócił do Wielkiej Brytanii i przez wiele lat prowadził z powodzeniem agencję reklamową, zanim przeszedł na emeryturę. Umarł dziesięć lat temu, w Londynie. * Weaver zawahał się, patrząc gdzieś w dal. * Helen Kane dowiedziała się, że jej chłopak przebywa w niemieckim obozie jenieckim w Grecji. Po wyzwoleniu Aten spotkali się, pobrali i w końcu osiedli w Anglii. Bóg wie, czy jeszcze żyje. Często o niej myślę. Była wspaniałą kobietą.

* Wie pan, co mnie dziwi? Jak taka historia mogła tak długo pozostać tajemnicą. Wydaje się to niewiarygodne.

* W kilku opracowaniach historycznych zamieszczono o tym krótkie wzmianki, ale rzeczywiście nie napisano niczego konkretnego, a już z pewnością nie całą prawdę. Fakt, że tę historię zachowano w tajemnicy, nikogo nie powinien dziwić, jeśli się nad tym zastanowić. W tej decydującej fazie wojny amerykańska i brytyjska opinia publiczna byłaby wstrząśnięta, gdyby wyszło na jaw, że naziści o mało nie zabili przywódców obu państw, nie mówiąc już o tym, jaki wpływ miałyby taka

wiadomość na morale żołnierzy. W Waszyngtonie i Londynie zgodnie postanowiono zachować tę historię w tajemnicy. Berlin też nie był skłonny przyznać się do porażki. Pod koniec czterdziestego trzeciego roku naziści byli przyparci do ściany i potrzebowali zwycięstw, nie porażek. Taka klęska również źle wpłynęłaby na morale ich wojsk, dlatego Hitler kazał zniszczyć wszystkie dokumenty dotyczące operacji „Sfinks”, a wszyscy biorący w niej udział złożyli przysięgę, że dochowają tajemnicy. Poza tym w tamtych czasach krążyło tyle pogłosek na temat tego rodzaju akcji... jedne prawdziwe, inne nie. Alianci podobno planowali zamach na Hitlera lub porwanie Rommla, a Hitler zamierzał załatwić Roosevelta i Churchilla lub jednego z alianckich dowódców. Trudno było odróżnić prawdę od fikcji. Po wojnie zapomniano o nich, zapomniano także o operacji „Sfinks”.

* A co się stało z panem?

Weaver odpowiedział z krzywym uśmiechem:

* Nie stanąłem przed sądem polowym, bo chyba o to pan pyta? To było najdziwniejsze. Z jakiegoś, jemu tylko znanego powodu Sanson nie wysunął przeciwko mnie żadnych zarzutów. Oczywiście przez jakiś czas szukano Haldera, ale nie rozdmuchiwano tej sprawy i nie zadawano mi żadnych pytań. Może Sanson doskonale zdawał sobie sprawę, przez co przeszedłem, kiedy musiałem dokonać wyboru między obowiązkiem a miłością i przyjaźnią. Po tym wszystkim zrobiono mnie doradcą do spraw osobistego bezpieczeństwa prezydenta. Co miałem powiedzieć? Że życie Roosevelta ratował niemiecki agent, który miał go zabić i któremu ja pomogłem uciec? Wywołałoby to niekończące się pytania. Dlatego wolałem nie budzić licha.

* Jak dowiedział się pan wszystkiego o Rachel Stern?

* W czterdziestym piątym roku w ręce aliantów wpadła część akt osobowych pracowników SD. Wśród nich była jej teczka i udało mi się zdobyć kopię jej akt. Dopisało mi też szczęście i zdołałem porozmawiać z Schellenbergieni, kiedy siedział w więzieniu. To on uzupełnił brakujące fakty.

Spojrzałem mu w oczy.

* Myśli pan, że naprawdę kochała was obu?

Przez chwilę milczał i w jego oczach widziałem bezbrzeżny smutek.

* Nigdy nie potrafiłem sobie odpowiedzieć na to pytanie. Chyba zabiorę je ze sobą do grobu. I może tak powinno być.

Niektóre pytania lepiej pozostawić bez odpowiedzi. Jeśli jednak koniecznie chce pan wiedzieć, zawsze lubiłem sobie wyobrażać, że tak.

* Co się stało z jej ciałem?

* Została pochowana w nieoznaczonym grobie, na pustyni opodal Sakkary. Nie było religijnej ceremonii, zwykły wojskowy pogrzeb, sierżant przeczytał fragment z Biblii, co w tych okolicznościach wydawało się najważniejsze. * Weaver pokręcił głową. * Nie byłem na tym pogrzebie. Nie czułem się na siłach. Później jednak pojechałem tam i odmówiłem modlitwę, chociaż nie wiem, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie.

* A jej rodzina?

* Himmler, oczywiście, nigdy nie dotrzymywał obietnic. Pomimo wstawiennictwa Schellenberga jej ojciec został stracony razem z innymi spiskowcami, tak samo jak dwaj jej bracia, niewienni chłopcy, którzy nie mieli nic wspólnego ze spiskiem. Oszczędzono tylko jej matkę, ale i ona wkrótce potem zmarła, biedaczka.

Popatrzyłem uważnie na Weavera.

* Jak pan sądzi, dlaczego Halder nigdy nie próbował się z panem zobaczyć? I dlaczego ukrywał się przez tyle lat? Mówił pan, że w Stanach Zjednoczonych mógłby zostać powieszony jako zdrajca. To raczej mało

prawdopodobne, prawda? Był żołnierzem, a nie zbrodniarzem wojennym. Dlaczego się ukrywa?

Westchnął.

* Z pewnością ma pan rację. Często się nad tym zastanawiałem i tylko w następujący sposób mogę wytłumaczyć fakt, że się ukrył i nigdy nie chciał się ze mną spotkać. Po pierwsze, był bardzo dumnym człowiekiem. Widocznie uważał, że zawiódł ojczyznę swojej matki, zadając się z nazistami. Ale nie miał przecież żadnego wyboru. Tak jak wielu dobrych Niemców, porwał go nurt wydarzeń. Zgodził się wziąć udział w tej operacji tylko ze względu na syna. Musi pan jednak pamiętać, że w jego żyłach płynęła również pruska krew. Chodziło o honor. To niemieckie słowo Pflicht było bardzo ważne dla Jacka. Można je przetłumaczyć jako „obowiązek”, ale dowiedziałem się, że oznacza dużo, dużo więcej. Między innymi to, że nie wolno ściągać hańby na najbliższych. Być może uznał, iż zhańbił naszą przyjaźń i dlatego nie mógł spojrzeć mi w twarz. Drugi powód wydaje się bardziej prozaiczny. Może po tych wszystkich cięż-

kich i bolesnych przeżyciach * po utracie żony i dziecka, po śmierci ojca, nie mówiąc już o tym, co zaszło podczas tamtej misji w Egipcie * postanowił po prostu odciąć się od wszystkiego, rozpocząć nowe życie i spróbować zapomnieć o przeszłości. Czasem tak bywa. Ludzie, którzy przeżyli okropne chwile, całkowicie zapominają o dawnym życiu i próbują rozpocząć nowe. Zmieniają tożsamość, zakładają nowe rodziny, rozpoczynają nowe kariery i odsuwają od siebie wszystkie wspomnienia. Coś w rodzaju psychicznego oczyszczenia. Jestem pewny, że psycholog potrafiłby wyjaśnić to lepiej, ale ja uważam, że to całkiem sensowne. I mam wrażenie, że Jack próbował właśnie coś takiego zrobić. Można twierdzić, że przecież nie zapomniał o żonie i synu, skoro kazał regularnie kłaść kwiaty na ich grobie, ale sądzę, że kiedy traci się ukochane osoby, nie da się całkowicie usunąć ich z pamięci.

Za plecami usłyszałem jakiś szmer. Pojawiły się sprzątaczkі z nocnej zmiany. Zdziwiły się, widząc kogoś w barze o tak wczesnej porze, ale zignorowały nas i zabrały się do pracy, sprzątając ze stołów i układając krzesła. Weaver zerknął na zegarek.

* Chyba się zasiedzieliśmy. No cóż, muszę się trochę przespać, Carney. * Wstał. * Jutro lecę z powrotem do Stanów.

Uścisnął mi dłoń, a ja odprowadziłem go do windy.

* Mam jeszcze jedno pytanie.

* Tak? Jakie?

* Jest pan pewny, że ten nieboszczyk w kostnicy to nie Halder?

* Jack miał sporą bliznę na lewej nodze... pamiątkę z dzieciństwa, wyniesioną z naszych wspólnych zabaw na terenie posiadłości jego matki. Ten biedak w kostnicy nie miał żadnej. Pewnie nigdy się nie dowiemy, kim był.

* Dziwny zbieg okoliczności. Był w tym samym wieku i miał tak samo na imię, jak Halder.

* A także dokumenty na nazwisko Hansa Meyera, o ile wiem.

Kiwnąłem głową.

* Znajomy z kairskiej policji powiedział mi, że w skrytce w jego mieszkaniu znaleźli stare dokumenty tożsamości.

* Pewnie słyszał pan, że po wojnie do Egiptu przybyło wielu Niemców? Niektórzy byli poszukiwanymi przestępcami, inni młodymi naukowcami, zatrudnionymi przez Nassera przy pracy nad tajnym programem raketowym w ośrodku Helwan, na pustyni. Sądzę, że część z nich jeszcze żyje. Teraz są już starzy, zbyt starzy, aby wracać do domu. Dożywają swoich dni anonimowo, w nędznych norach, takich jak ta w Imbabwe. W wielu przypadkach po przyjeździe do Egiptu przyjęli nowe tożsamości, próbując zatrzeć za sobą ślady. Sądzę, że ten mężczyzna z kostnicy był jednym z nich i przypadkiem przybrał nazwisko Johanna Haldera. Nie ma w tym niczego niezwykłego, to nazwisko jest dość popularne w Niemczech. Tak samo jak Hans Meyer. Założę się, że ten człowiek od wielu lat występował pod fałszywym nazwiskiem. * Weaver milczał przez chwilę. * Nadal masz wątpliwości, Carney? Wzruszyłem ramionami.

* To pewnie dlatego, że jestem dziennikarzem i nie lubię niedokończonych opowieści. Chciałbym mieć pewność, czy Halder wciąż żyje.

* Chcesz powiedzieć, że chciałbyś wiedzieć, co się stało z kolekcją jego ojca?

* To dziwne, ale szczerze mówiąc, teraz bardziej interesuje mnie sam Halder.

Weaver potrząsnął głową.

* Z tego, co wiem, może od dawna nie żyje. Niewielu już nas pozostało, starych żołnierzy. Kwiaty na grobie jego żony i syna mogą być składane nawet po jego śmierci. Właśnie czegoś takiego mógłbym się spodziewać po Jacku. Jeśli nie żyje, to szkoda. Chciałbym go jeszcze zobaczyć, chociaż raz. * W głosie Weavera usłyszałem szczerą smutek i żal. * Wszystko to zdarzyło się tak dawno temu. Jak to powiedział pewien pisarz? „Im staję się starszy, tym bardziej oddalam się od brzegów mojej przeszłości, aż staję się odległym, zamglonym wspomnieniem”. Ja też odnoszę takie wrażenie.

* Bardzo dokładnie pamięta pan te wydarzenia. Weaver zawahał się, a potem powoli sięgnął do kieszeni, wyjął portfel i podał mi coś.

* Może dlatego, że ono mi je przypomina.

Podał mi stare, wyblakłe czarno*białe zdjęcie, starannie za*foliowane, pomarszczone i popękane. Było na nim troje młodych ludzi o zdrowych, opalonych twarzach, stojących wśród grobowców opodal schodkowej piramidy Dżosera, obejmujących się ramionami i śmiejących do obiektywu. Natychmiast rozpoznałem młodego Harry'ego Weavera. Przy nim stała

piękna kobieta o delikatnych rysach twarzy i włosach wybielonych słońcem. Obok niej przystojny, uśmiechnięty mężczyzna. Jack Halder i Rachel Stern.

Przez dłuższą chwilę spoglądałem na fotografię, czując, jak postacie z opowieści nagle nabierają życia. Potem w milczeniu oddałem zdjęcie Weaverowi. Chciałem coś powiedzieć, ale nie wiedziałem co.

Schował fotografię do portfela.

* Cieszę się, że sobie pogadaliśmy, Carney. Jeśli kiedyś znów znajdziesz się w Stanach, wpadnij do mnie. Zawsze chętnie przyjmuję gości. Pozostało mi tak niewielu przyjaciół... prawie wszyscy już odeszli.

* Zrobię to.

* No cóż, dobranoc, a raczej dzień dobry.

* Dzień dobry panu.

Zaczekałem, aż wsiądzie do windy. Drzwi zamknęły się i już go nie było.

Wróciłem do mojego mieszkania, ale nie mogłem zasnąć. Z jakiegoś powodu opowieść Weavera nie dawała mi spokoju. Siedziałem w fotelu, pijąc kawę, patrząc na wschód słońca i myśląc o tym wszystkim, o czym mi opowiedział, aż w końcu ubrałem się, zszedłem na ulicę i poszedłem w kierunku pustego mostu Kasr*el*Nil. Zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę. Kierowca zapytał:

* Dokąd chce pan jechać?

* Do Sakkary.

Nie okazał zdziwienia, że ktoś chce odwiedzić to słynne miejsce o tak wczesnej porze. Wsiadłem. Pojechaliśmy Drogą Piramid, skręciliśmy na południe, przez zielone pola nad Nilem i wzdłuż kanału, mijając po drodze nędzne uspione wioski, potem dotarliśmy do ruin legendarnego miasta Memfis, aż wreszcie ukazała się przed nami Sakkara * monumentalny pomnik dawno zmarłego władcy.

O świcie wyglądała przepięknie: niebo i ziemia miały barwę czerwonego piaskowca, a rdzawe promienie słońca oblewały tę najstarszą piramidę Egiptu, wzniesioną w miejscu, gdzie naj*żyźniejsza kraina na Ziemi, delta Nilu, kończy się gwałtownie gęstym palmowym gajem i zaczyna się pustynia. Przy drodze stała budka policji turystycznej, kontrolującej ruch pojazdów,

lecz o tak wczesnej porze nie było w niej nikogo. Kazałem taksówkarzowi jechać stromą drogą do wykopalisk. Kiedy zatrzymał wóz na żwirowym parkingu opodał wejścia, wysiadłem. * Proszę na mnie poczekać.

Wszedłem na wzgórze. Na pustyni było jeszcze zimno po lodowato mroźnej nocy i wokół było pusto. Żadnych turystów czy natrętnych poganiaczy wielbłądów i przewodników oferujących swoje usługi. Przeszedłem między ruinami grobowców i stanąłem w cieniu wspaniałej piramidy Dżosera. Opodał zobaczyłem tablicę informującą o pracach wykopaliskowych, prowadzonych tu przez międzynarodową ekipę archeologiczną, ale w pobliżu nie zauważyłem nikogo, więc podszedłem i usiadłem na jednym z masywnych głazów podstawy.

W brązowym, starym kamieniu były wryte na pół zatarte inicjały, setki i tysiące znaków wydrapanych i

wykutych w ciągu niezliczonych wieków. Prymitywne znaki rzymskich legionistów, cyfry wydrapane na kamieniu przez zwycięskie armie Napoleona oraz niezliczone imiona dawno nieżyjących kochanków. Szukałem długo, odgarniając piasek, przechodząc od kamienia do kamienia. W niektórych miejscach napisy były tak zatarte, że nie byłem w stanie ich odczytać. Nagle przeszedł mnie dreszcz, gdyż znalazłem to, czego szukałem * litery tak zatarte, że musiałem pomagać sobie, wodząc po nich czubkiem palca. Jednak były tu. RS, HW, JH. 1939.

Pomyślałem o tym lecie, kiedy Harry Weaver po raz pierwszy przyjechał do Sakkary. I o Jacku Halderze i Rachel Stern, i o wszystkich zmarłych z przeszłości, których ciała już dawno obróciły się w proch, razem z ich namiętnościami i cierpieniem, waśniami i intrygami. Przede wszystkim jednak zastanawiałem się, czy Jack Halder nadal żyje. Byłby już bardzo starym

człowiekiem...

Takie rozważania nie miały sensu. Tak jak powiedział Wea*ver, powoli odpływamy od brzegów przeszłości, aż stają się tylko odległym wspomnieniem. Jediną prawdą pozostała ta stara i wyblakła fotografia oraz na pół zatarte inicjały w kamieniu. I taka prawda mi wystarczała.

Wstałem, otrzepałem dłonie i zacząłem schodzić ze wzgórza.

Nigdy nie dowiedziałem się, co się stało z kolekcją Franza Haldera i już nigdy nie zobaczyłem Harry'ego Weavera. Cztery

miesiące później miał wylew i po kilku dniach umarł w nowojorskim szpitalu. Wszystkie większe gazety zamieściły notatki żałobne i pochowano go na cmentarzu w jego rodzinnym mieście, gdzie razem z Jackiem Halderem spędzili dzieciństwo.

W tym czasie akurat byłem na urlopie w Nowym Jorku, więc postanowiłem wynająć samochód i przejechać kawał stanu, żeby wziąć udział w pogrzebie. Po drodze trafiłem na burzę, przez którą spóźniłem się i przybyłem na miejsce pod sam koniec pogrzebu. Wśród licznych żałobników zobaczyłem wiele znanych twarzy, również z Białego Domu. Deszcz lał jak z cebra i po niebie przetoczył się grom, więc zaraz po zakończeniu ceremonii goście pospiesznie wsiedli do samochodów i odjechali. Zostałem sam.

Za pomalowanym na biało kościółkiem, na pobliskim wzniesieniu, dostrzegłem miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się rezydencja rodziny Jacka Haldera. Już dawno zastąpiło ją centrum handlowe i wielki parking. Z jakiegoś powodu pomyślałem

o dwóch chłopcach, którzy kiedyś bawili się tam i zostali przyjaciółmi, a których potem okoliczności uczyniły wrogami.

Stojąc tak i moknąc na deszczu, spojrzałem na grób. Był pokryty wieńcami i wiązkami, z dedykacjami Pentagonu, Stowarzyszenia Weteranów, a nawet dwóch byłych prezydentów.

Pomiędzy wieńcami i kwiatami dostrzegłem jedną śnieżnobiałą lilię, leżącą na podstawie nagrobka z

czarnego marmuru. Zimny dreszcz przebiegł mi po plecach. Podniosłem kopertę

i przeczytałem umieszczoną w niej karteczkę. Skreślone drżącą ręką litery układały się w następujące słowa:

Dotrzymałem obietnicy. Jack.

BIBLIOTEKA PUBLICZ.NA GMINY WARSZAWA*BŁELANY

im. Stanisława Staszica

Wypożyczalnia óh Dorosłych i Młodzieży

ul. Goidonisgo I

Wio

Od Autora

Żadna książka nie powstaje bez niczyjej pomocy, a spośród wielu ludzi, którzy pomagali mi zebrać materiał, chcę szczególnie podziękować Jamesowi H. Griffithowi, byłemu agentowi Secret Service chroniącemu prezydenta Roosevelta, który osobiście brał udział w kairskim spotkaniu w 1943 roku. Archiwście Secret Service, Mike'owi Sampsonowi oraz H. Terrence Samwayowi, zastępcy dyrektora Biura Rzecznika Rządu i Spraw Publicznych w Waszyngtonie, za ich uprzejmą pomoc w uzyskaniu interesujących mnie materiałów archiwalnych. Tedowi Allbeury'emu, pisarzowi, oraz Stevenowi Frankowi ze Służb Środkowowschodnich za niezwykle cenne rady w kwestiach dotyczących wywiadu; Johnowi Hackettowi, prawdziwemu angielskiemu dżentelmenowi, znającemu więcej opowieści, niż jakkolwiek pisarz mógłby wysłuchać przez całe swoje życie, oraz Samirowi Raafatowi, pisarzowi i historykowi, za wprowadzenie mnie w realia wojennego Kairu, a także za kurtuazję i uprzejmość, Jukie okazał mi podczas mojego pobytu w Egipcie.

Książka „Piaski Sakkary” opowiada o fikcyjnych wydarzeniach, jednak zawiera wiele prawdziwych faktów. Wszelkie pomyłki histo*ryczne, zamierzone lub nie, są wyłącznie moim dziełem. To, że naziści zamierzali zamordować prezydenta Roosevelta i premiera Churchilla podczas spotkań, w jakich obaj brali udział na Środkowym Wschodzie pod koniec 1943 roku, jest faktem historycznym.

Opis akcji „Sfinks” oparłem na relacji z operacji „Długi Skok”, będącej ściśle tajnym planem opracowanym przez Heinricha Himmlera i Waltera Schellenberga, gdy niesławnej pamięci hitlerowski szpieg, „Cicero”, dostarczył im informacje *wykradzione z sejfu brytyjskiego ambasadora w Turcji * że amerykański prezydent i brytyjski premier zamierzają prowadzić tajne narady w Kairze, a potem w Teheranie.

W założeniu miała to być połączona operacja SD i Abwehry, które wysłały do Egiptu specjalną grupę agentów, mających ustalić miejsce pobytu alianckich przywódców. W końcowej fazie akcji Berlin wysłał dwa samoloty doborowych spadochroniarzy SS, mających zaatakować budynek, w którym przebywali Churchill i Roosevelt * przy czym głównym celem miał być prezydent USA. Plan ten o mało nie zakończył

się sukcesem i spalił na panewce dosłownie w ostatniej chwili, gdy ujawnił go schwytany niemiecki szpieg. Ukryta w starożytnym grobowcu radiostacja, która miała sprowadzić maszyny do lądowania, została zniszczona, w wyniku czego jeden transportowy samolot Luftwaffe zestrzelono, a drugi zmuszono do ucieczki. Agenci Secret Service pośpiesznie wywieźli prezydenta Roosevelta w bezpieczne miejsce do czasu, aż wszyscy pozostali agenci zostali schwytani lub zastrzeleni.

Wiele wydarzeń, jakie miały miejsce podczas tych mrocznych, intrygujących i niezwykłych dni drugiej wojny światowej, spowija mgła czasu i tajemnicy. Starzy pracownicy wywiadu odchodzą i zabierają swoje tajemnice do grobu. To, czy operacja „Sfinks” naprawdę mogła zmienić bieg historii, na zawsze pozostanie zagadką.

* Iglica w M3 Kleista...